

A close-up photograph of a woman with dark hair and green eyes. She has a shocked or fearful expression, with her hands pressed against her mouth as if she is trying to keep a secret or is in disbelief. The background is dark, making her face the central focus.

**JONATHAN**

**KELLERMAN**

**NIEDOBRA,  
MIŁOŚĆ**

**Jonathan Kellerman**

## **Niedobra Miłość**

*(Bad Love)*

*Przełożył Adam Łanowy*

*Mojej córce – Rachel.*

*Jej zdolnościom, urodzie, gracji, stylowi*

*i złotemu sercu.*

Specjalne podziękowania dla zastępcy szeryfa

Kurta Eberta.

### **Rozdział pierwszy**

Paczkę dostarczono w gładkim, brązowym opakowaniu. Była to wypchana koperta o rozmiarach książki. Sądziłem, że zawiera akademicki tekst, o którego zamówieniu zapomniałem.

Trafiła na stolik z pocztą razem z poniedziałkowymi rachunkami i zapowiedziami seminariów na Hawajach i w St. Craix. Wróciłem do biblioteki, usiłując wymyślić, co zrobię, kiedy za dziesięć minut Tiffani i Chondra Wallace przyjdą na drugą sesję.

Rok temu, na skraju Angeles Crest Forest, ich matka została zamordowana przez swego męża.

Zabójca twierdził, że to zbrodnia namiętności, i może, w najgorszym tego słowa znaczeniu, miał rację. Z akt sądowych dowiedziałem się, że namiętność nie stanowiła problemu dla Ruthanne i Donalda Dell Wallace'a. Ona nigdy nie miała silnej woli i mimo brzydkiego rozwodu, nie przestała „kochać” Donalda Della. Nikt się więc nie dziwił, kiedy pochlebstwami skłonił ją do nocnej przejażdżki, obiecując kolację z homarami i dobrą marihuanę.

Niedługo po zaparkowaniu na cienistej krawędzi lasu uprawiali w ekstazie miłość, rozmawiali, spierali się, bili, wreszcie wpadli w furję i skoczyli sobie do gardeł. Potem Donald

Dell wymierzył kupiony za dolara nóż w kobietę, która wciąż nosiła jego nazwisko. Zadał jej trzydzieści trzy ciosy, a następnie wyrzucił ciało z furgonetki. Cały szkopał polegał na tym, że na miejscu zbrodni pozostawił srebrny indiański portfel wypchany gotówką i swoją kartę członkowską klubu motocyklowego Żelazny Zakon.

Wylądował w więzieniu Folsom z wyrokiem od pięciu do dziesięciu lat za zabójstwo drugiego stopnia. Skumał się z członkami Bractwa Aryjskiego z sąsiednich cel, zaczął chodzić na kurs mechaniki samochodowej i próbował zaskarbić sobie dobrym zachowaniem łaski w kaplicy.

Po czterech miesiącach odsiadki gotów był spotkać się z córkami.

Według konstytucji jego prawa ojcowskie muszą zostać wzięte pod uwagę.

Sędzia sądu rodzinnego Los Angeles o nazwisku Stephen Huff poprosił mnie o ocenę.

Spotkaliśmy się wrześniego ranka w jego kancelarii, gdzie popijając piwo imbirowe i kręcąc łysą głową zapoznał mnie ze szczegółami. W pokoju była piękna boazeria ze starego dębu i tanie wiejskie meble. Wszędzie znajdowały się fotografie z dzieciństwa.

- W jaki sposób chce się z nimi widywać, Steve?
- Dwa razy w miesiącu, w więzieniu.
- To przecież podróż samolotem.
- Przyjaciele zrzucą się na opłatę.
- Jacy przyjaciele?
- Kilku idiotów pod nazwą „Fundusz Obrony Donalda Della Wallace’a”.
- Kanciarze?
- Tyle o ile.
- Myślisz, że to pieniądze z handlu amfetaminą?

Uśmiechnął się ze znudzeniem i lekką urazą.

- Nie wyciągaj pochopnie wniosków, Alex.

– A co dalej, Steve? Renta inwalidzka, ponieważ jest zestresowany jako jedyny rodzic?

– Tak to wygląda. Co można zrobić? Porozmawiaj kilka razy z dziećmi, napisz raport stwierdzający, że te wizyty będą odbijać się na ich psychice, a my zajmiemy się resztą.

– Na jak długo?

Odstawił piwo i obserwował, jak szklanka pozostawia mokry ślad na bibularzu.

– Mogę odroczyć to co najmniej na rok.

– Co potem?

– Jeśli złożą następny wniosek, dzieci zostaną ponownie przediagnozowane i znowu uzyskamy odroczenie. Czas jest po ich stronie, zgadza się? Będą dorośleć i staną się twardsze.

– Za rok będą miały dziesięć i jedenaście lat, Steve.

– Co ci mam powiedzieć, Alex? Też nie chcę, żeby skończyły w rynsztoku. Proszę cię o diagnozę, bo znasz się na tym.

– Uważasz, że ktoś inny mógł zalecić odwiedziny?

– Możliwe. Powinieneś zobaczyć kilka opinii wystawionych przez twoich kolegów. Trafiłem na jedną, która stwierdzała, że wieczne przygnębienie matki dobrze wpływało na dziecko – uczyło je doceniać wartość prawdziwych uczuć.

– W porządku – powiedziałem – ale chcę zrobić prawdziwe rozpoznanie, nie jakieś tam duperele. Coś, co może im się przydać w przyszłości.

– Terapia? Dlaczego nie? Pewnie, rób co chcesz. Jesteś teraz urzędowym psychiatrą.

Przesyłaj wszystkie rachunki prosto do mnie, a ja dopilnuję, żeby ci zapłacono w przeciągu dwóch tygodni.

– Kto płaci, a kolesie w skórach?

– Nie martw się. Dopilnuję, żeby płacili na czas.

– Byłe tylko nie próbowali dostarczyć czeku osobiście.

– O to bym się nie martwił, Alex. Te typy są z natury nieśmiałe.

Dziewczynki przybyły punktualnie, tak jak w zeszłym tygodniu. Trzymały się za ręce i ukrywały za plecami babki.

– Oto są – ogłosiła Evelyn Rodriguez. Stanęła w wejściu i popchnęła dzieci do środka.

– Dzień dobry – powiedziałem – cześć, dziewczyny.

Tiffani wysiliła się na uśmiech. Jej starsza siostra odwróciła oczy.

– Dobrze wam minęła podróż?

Evelyn wzruszyła ramionami, wyduła wargi i ściągnęła je z powrotem. Cofnęła się, ciągle trzymając je w uścisku. Dziewczynki poddawały się niechętnie, stawiając bierny opór. Czując go, Evelyn odpuściła. Skrzyżowała ręce na piersiach, zakaszła i odwróciła ode mnie wzrok.

Rodriguez był jej czwartym mężem. Evelyn była pięćdziesięcioośmioletnią, otyłą Angielką, z pomarszczoną, poplamioną nikotyną skórą oraz ustami tak cienkimi i prostymi jak cięcie chirurga. Prowadzenie rozmowy sprawiało jej ogromną trudność. Byłem niemalże pewien, że właśnie ta cecha charakteru przyczyniła się do morderstwa córki.

Tego ranka miała na sobie bezkształtną bluzkę z krótkim rękawem i wyblakłym niebieskim nadrukiem. Bluzka spływała luźno na czarne, streczowe dzinsy. Błękitne tenisówki były upstrzone białymi plamami. Miała krótkie, kręcone, żółte włosy z czarnymi odrostami. Poza kolczykami, nie nosiła innej biżuterii. Ukryte za binoklami oczy uparcie unikały mojego spojrzenia.

Pogładziła Chondrę po głowie, a dziewczyna wtuliła twarz w jej tłuste, miękkie ramię.

Tiffani weszła do pokoju i gapiała się w wiszący na ścianie obraz.

– Okay, w takim razie zejdem na dół i poczekam w samochodzie powiedziała Evelyn Rodriguez.

– Jeśli zrobi się zbyt gorąco, proszę się nie krępować i przyjść do nas zachęciłem.

– Upał mi nie przeszkadza. – Uniosła rękę i zerknęła na maleńki zegarek. – Jak długo to potrwa?

– Mniej więcej godzinę.

– Ostatnim razem było dwadzieścia minut.

– Dzisiaj chciałbym spróbować trochę dłużej.

Zmarszczyła brwi.

– W porządku... Mogę zapalić tam na dole?

– Na zewnątrz? Pewnie.

Wymamrotała coś pod nosem.

– Chciałaby mi pani coś powiedzieć? – zapytałem.

– Ja? – Puknęła się palcem w pierś i uśmiechnęła. – Nieee.. Zachowujcie się dobrze, dziewczyny.

Wyszła na taras i zamknęła za sobą drzwi. Tiffani nadal obserwowała malowidło. Chondra dotknęła klamki i oblizwała usta. Miała na sobie białą koszulkę ze Snoopym, czerwone szorty i sandały bez skarpetek. Rolka owocowych dropsów wystawała z kieszeni spodenek. Ręce i nogi dziewczyny były blade, a twarz szeroka i puciołowata. Blond włosy, zaplecione w bardzo długie i bardzo cienkie mysie ogonki, lśniły prawie metalicznym blaskiem, który kontrastował z ziemistą cerą. Okres dojrzewania może spowodować jakieś zmiany w jej urodzie. Zastanawiałem się, co jeszcze może przynieść.

Przygryzła dolną wargę. Mój uśmiech przeszedł niezauważony.

– Jak się czujesz, Chondra?

Ponownie wzruszyła ramionami i wbiła wzrok w podłogę. Była dziesięć miesięcy starsza od swojej siostry, nieco niższa i wydawała się mniej dojrzała. Podczas pierwszej sesji nie wypowiedziała ani słowa. Siedziała jedynie z rękami skrzyżowanymi na kolanach, w czasie gdy

Tiffani mówiła na okrągło.

– Robisz coś zabawnego w tym tygodniu?

Pokręciła głową. Położyłem rękę na jej ramieniu. Stała sztywno, dopóki nie usunąłem dłoni.

Ta reakcja sprawiła, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie była w jakiś sposób napastowana. Jak wiele warstw tej rodziny będę zdolny przebić?

Akta na mojej nocnej szafce zawierały materiały ze wstępnych analiz. Czytałem je przed snem dla dodania sobie otuchy.

Prawnicze żargony, policyjna proza, ohydne zdjęcia. Perfekcyjnie napisane transkrypcje z nieskazitelnie białymi marginesami.

Ruthanne Wallace oddana koronerowi.

Głębokość ran, urazy kości...

Bandyckie zdjęcie Donalda Della – dzikie oczy, czarna broda, spływający po twarzy pot.

„A wtedy zaczęła mnie wyzywać – wiedziała, że nie zniosę wyzwisk, ale to jej w żaden sposób nie powstrzymywało. A potem ja po prostu – wiesz straciłem kontrolę. To nie powinno się wydarzyć. Co mogę powiedzieć?”

– Lubisz rysować, Chondra? – zapytałem.

– Czasami.

– Może znajdziemy w bawialni coś, co ci się spodoba.

Wzruszyła ramionami i spuściła wzrok na dywan.

Tiffani wodziła palcem po obramowaniu fotografii. Zdjęcie boksera George’a Belowsa.

Kupiłem je odruchowo w jakimś sklepiku od kobiety, której nigdy więcej nie widziałem.

– Lubisz rysować? – zapytałem.

Odwróciła się. Miała bardzo wąskie usta rozepchnięte wielkimi, nieregularnymi zębami, co powodowało, że cały czas chodziła z otwartą buzią i wyglądała gapowato. Myszowate włosy

były obcięte krótko, z postrzępioną grzywką. Na górnej wardze pozostał fragment jedzenia.

Paznokcie były brudne, a oczy niewiarygodnie brązowe; gdy uśmiechnęła się, wyraz gapiostwa zniknął. W tym momencie mogłaby być modelką i sprzedawałaby wszystko.

– Taa, jest fajne.

– A co najbardziej lubisz?

– Walki.

– Walki?

– Tak – odparła, uderzając pięścią w powietrze. – Akcję. Jak w ŚFZ.

– ŚFZ – powtórzyłem – Światowa Federacja Zapaśnicza?

Zaprezentowała boksterskiego haka.

– Bum, bęc – powiedziała Tiffani, zbliżywszy się do siostry. – Witamy na walce ŚFZ; nazywam się Pełzający Niszczyciel, a to jest Czerwona Żmija w olśniewającym meczu stulecia.

Ding!

Roześmiała się nerwowo. Chondra wykrzywiła usta i usiłowała zdobyć się na uśmiech.

– Aar... – powiedziała Tiffani, zbliżając się. Pociągnęła wyimaginowany gong. – Ding. Bum,

bęc – wymachując rękoma ruszyła do ataku. – Giń, Żmijo! Aar...!

Dosięgnęła Chondry i zaczęła łaskotać ją pod pachami. Starsza dziewczynka zachichotała i niezgrabnie starała się odeprzeć atak. Tiffani puściła ją i zaczęła krążyć wokół niej młócąc pięściami powietrze. Chondra ponownie zajęła się przygryzaniem warg.

– Chodźcie, dzieciaki – rozkazałem i zabrałem je do biblioteki. Chondra momentalnie usiadła przy stoliku do gier. Tiffani chodziła po pokoju, podskakując, wymachując rękami jak nakręcana zabawka i mamrocząc coś do siebie.

Chondra obserwowała siostrę. Po chwili wzięła ze stojącego przed nią pliku arkusz papieru, a później kredkę. Czekałem, aż zacznie rysować, ale odłożyła kredkę i śledziła dalej poczynania



siostry.

– Oglądacie w domu zapasy? – zapytałem.

– Roddy ogląda – odpowiedziała Tiffani nie przerywając sobie dobrej zabawy.

– To mąż waszej babci?

Skinięcie głową, cios w powietrze.

– On nie jest naszym dziadkiem. To Meksykanin.

– Lubisz zapasy?

– Uhum. Bum, bęc!

Odwróciłem się do Chondry. Nie poruszyła się.

– Ty też oglądasz zapasy w telewizji?

Potrząśnięcie głową.

– Ona lubi „Surfingistów” – oznajmiła Tiffani. – I czasami też „Szereg milionerów”.

Chondra przygryzła wargę.

– „Szereg milionerów” – powtórzyłem – film, w którym bogaci ludzie mają wszelkie możliwe rodzaje problemów?

– Oni umierają – odpowiedziała Tiffani. – Czasami. To rzeczywiście prawdziwe.

Opuściła ramiona i przestała krążyć po pokoju. Podchodząc do nas, powiedziała.

– Umierają, ponieważ pieniądze i dobra materialne są korzeniami grzechu, a kiedy ustalasz prawa z szatanem, twoja dusza nigdy nie zazna spokoju.

– Czy ci bogaci ludzie z „Szeregu milionerów” ustalają prawa z szatanem?

– Czasami – odparła i wróciła do walki z niewidzialnymi wrogami.

– Jak tam w szkole? – zapytałem Chondrę.

Pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– Jeszcze nie zaczęliśmy – odpowiedziała Tiffani.

– Dlaczego?

– Babcia mówi, że nie musimy.

– Brakuje wam spotkań z przyjaciółmi?

Wahanie.

– Może.

– Mogę o tym porozmawiać z babcią?

Spojrzała na Chondrę. Starsza dziewczynka zrywała papierową oprawkę z kredki.

Tiffani skinęła głową. Potem rzekła.

– Nie rób tak – zwróciła uwagę siostrze. – Są jego.

– Nic nie szkodzi – powiedziałem.

– Nie powinnaś niszczyć cudzych rzeczy.

– To prawda – stwierdziłem – ale niektóre rzeczy są przeznaczone do zużycia. Na przykład kredki. A te tu są dla was.

– Kto je kupił? – spytała Tiffani.

– Ja.

– Niszczenie to dzieło szatana. – Tiffani rozpostarła ramiona i zatoczyła szerokie koła w powietrzu.

– W kościele tak powiedzieli? – zainteresowałem się.

Wydawało się, że nie usłyszała.

– On wszedł w układ z szatanem.

– Kto?

– Wallace.

Usta Chondry zadrżały.

– Przestań – powiedziała bardzo miękko głosem. Tiffani podeszła i objęła siostrę

ramieniem. W porządku, on nie jest naszym tatą, pamiętasz? Szatan zamienił go w złego ducha i wszystkie jego grzechy połączyły się w jedno. Jak wielkie burrito.

Chondra odwróciła się od niej.

– Daj spokój – powiedziała Tiffani, szturchając siostrę w plecy – nie martw się.

– Połączyły się? – zapytałem.

– W jedność – wyjaśniła mi. – PAN liczy wszystkie twoje dobre uczynki i grzechy i łączy je w jedno. Więc kiedy umierasz, ON od razu wie, czy idziesz do góry, czy na dół. On pójdzie na dół. Kiedy się tam dostanie, aniołowie popatrzą i będą wiedzieli o wszystkim, co zrobił. A potem spłonie – wzruszyła ramionami. – Taka jest prawda.

Oczy Chondry wypełniły się łzami. Próbowwała usunąć rękę Tiffani z ramienia, ale młodsza siostra trzymała mocno.

– W porządku – kontynuowała Tiffani – trzeba porozmawiać o prawdzie.

– Przestań – rozkazała Chondra.

– W porządku – upierała się Tiffani – musisz z nim porozmawiać. Spojrzała na mnie. –

Wtedy napisze dobrą książkę dla sędziego i on nigdy nie wyjdzie.

Chondra również popatrzyła na mnie.

– To ile czasu spędzi w więzieniu, nie zależy od tego, co napiszę powiedziałem.

– Może – obstawała przy swoim Tiffani. – Jeśli twoja książka powie sędziemu, jakim on jest złem, to może zamkną go na dłużej.

– Czy kiedykolwiek był dla was zły?

Brak odpowiedzi.

Chondra pokręciła głową.

– Bił nas – powiedziała Tiffani.

– Często?

– Czasami.

– Ręką czy czymś innym?

– Ręką.

– Nigdy kijem ani pasem, ani niczym innym?

Znowu potrząśnięcie głową Chondry. Tiffani zrobiła to samo, ale dużo wolniej, niechętnie.

– Nie dużo, ale czasami – stwierdziłem.

– Kiedy byliśmy niedobre.

– Niedobre?

– Robiąc bałagan, chodząc blisko jego roweru... Mamę bił częściej, prawda? – szturchnęła

Chondrę. – Bił ją.

Chondra nieznacznie skinęła głową. Potem chwyciła kredkę i ponownie zaczęła zrywać z niej oprawkę. Tiffani obserwowała, ale nie powstrzymywała siostry.

– Dlatego go zostawiłyśmy – tłumaczyła – bił ją cały czas, a potem przyszedł do niej z pożądaniem i grzechem w sercu, i zamordował. Powiedz to sędziemu. Jesteś bogaty. On cię posłucha!

Chondra zaczęła płakać. Tiffani poklepała ją i powiedziała:

– Już dobrze. Musimy.

Wytarła oczy siostrze. Chondra przycisnęła kredkę do ust.

– Nie jedz tego – odezwała się Tiffani – to trucizna.

Chondra wypuściła z ręki kredkę, która wylądowała na podłodze. Młodsza dziewczynka podniosła ją i starannie ułożyła na miejscu w pudełku. Starsza oblizywała wargi. Zamknęła oczy i zacisnęła dłonie w pięści.

– W zasadzie – odezwałem się – kredka nie jest trująca. To tylko wosk z kolorowym barwnikiem, ale chyba niezbyt smaczny.

Chondra otworzyła oczy. Uśmiechnąłem się. Próbowła zrobić to samo, ale zdołała unieść tylko jeden koniuszek ust.

– Cóż, to nie jedzenie – stwierdziła Tiffani.

– Nie, istotnie nie.

Znowu trochę pobiegała po pokoju, boksowała i mamrotała pod nosem.

– Porozmawiajmy o tym, o czym mówiłem wam w zeszłym tygodniu. Jesteście tutaj, bo wasz ojciec chce, żebyście odwiedzały go w więzieniu. Moim zadaniem jest dowiedzieć się, co wy na ten temat sądzicie, a potem przekazać to sędziemu.

– Dlaczego nie zapyta nas?

– Zrobi tak – powiedziałem – porozmawia z wami, ale najpierw chce, żebym...

– Dlaczego?

– Ponieważ na tym polega moja praca... na rozmawianiu z dziećmi o uczuciach.

Dowiadujemy się, co naprawdę...

– Nie chcemy go widzieć – rzekła Tiffani. – Jest instrumentem w rękach szatana.

– Ins...

– Instrumentem! Zawarł układ z szatanem i stał się pełnym grzechu duchem. Kiedy umrze, spłonie w piekle. To pewne.

Chondra zakryła twarz rękoma.

– Przestań! – krzyknęła Tiffani i ruszyła w kierunku siostry. Zanim jednak dotarła do stolika,

Chondra wstała, wydała z siebie głęboki jęk i pobiegła do drzwi. Otworzyła je z takim impetem, że prawie straciła równowagę.

Wybiegła z pokoju.

Tiffani obserwowała siostrę i wyglądała na bezradną.

– Trzeba mówić prawdę – stwierdziła ponownie.

– Bezapelacyjnie – zgodziłem się – ale czasami jest to trudne.

Skinęła głową. Teraz jej oczy były wilgotne.

Ponownie zaczęła dreptać po sali.

– Twoja siostra jest starsza, ale chyba to ty się nią zajmujesz.

Zatrzymała się i posłała mi wojownicze spojrzenie, ale wyglądała na zadowoloną.

– Dobrze się nią opiekujesz – rzekłem.

Wzruszyła ramionami.

– To musi być czasami trudne.

W jej oczach pojawił się błysk. Oparła ręce na biodrach i zadarła brodę.

– Nie, jest w porządku – oznajmiła.

Posłałem jej uśmiech.

– Ona jest moją siostrą.

Poklepałem Tiffani po ramieniu.

Pociągnęła nosem i odeszła.

– Trzeba mówić prawdę – powiedziała raz jeszcze.

– Tak, trzeba.

Cios w powietrze, szturchnięcie.

– Bum, bęc... Chcę wracać do domu.

Chondra już siedziała obok Evelyn na przednim fotelu trzydziestoletniego chevroleta w śliwkowym kolorze. Samochód miał prawie zupełnie startą farbę z karoserii i złamaną antenę. Ktoś odwalił tu amatorskie lakiernictwo. Tylny zderzak auta był strzaskany i jeden koniec zwisał tuż nad ziemią.

Podszedłem do samochodu, kiedy Tiffani schodziła po schodach. Evelyn Rodriguez nie podniosła wzroku. Papieros zwisał z jej ust. Paczka winstonów leżała na tablicy rozdzielczej.

Połowa przedniej szyby od strony kierowcy była pokryta tłustą mgłą. Palce kobiety zajmowały się przywiązywaniem breloczka do kluczy. Cała reszta jej ciała pozostawała nieruchoma.

Chondra wtuliła się w fotel. Podkurczyła nogi i uparcie wpatrywała w swoje kolana.

Nadeszła Tiffani i patrząc na mnie zanurkowała na tylne siedzenie.

Evelyn oderwała wreszcie wzrok od swojego zajęcia, ale jej palce nie przestały się poruszać.

Talrep był biało-brązowy i przypominał skórę węża.

– No, to było krótko – stwierdziła. – Teraz zamknij drzwi.

Tiffani wykonała polecenie.

– Dziewczyny nie zaczęły jeszcze chodzić do szkoły – powiedziałem.

Evelyn Rodriguez popatrzyła przez moment na Tiffani, a potem odwróciła się do mnie.

– Zgadza się.

– Potrzebuje pani jakiejś pomocy?

– Pomocy?

– Żeby zaczęły. Czy jest jakiś problem?

– Nieee, byliśmy zajęci... pilnuję, żeby czytały w domu. Nic im nie będzie.

– Planuje pani wkrótce je wysłać?

– Pewnie, kiedy się wszystko uspokoi. Więc co dalej? Muszą przyjechać jeszcze raz?

– Spróbujemy znowu jutro. Pasuje pani?

– Nie – odparła – w zasadzie to nie. Mam trochę spraw do załatwienia.

– A więc kiedy pani odpowiada?

Pociągnęła papierosa, poprawiła okulary i umieściła brelok na siedzeniu.

– W ogóle mi nie odpowiada. Wszystkie odpowiednie chwile już minęły.

Zapaliła silnik. Jej usta trzęsły się, papieros dygotał między nimi. Gwałtownym ruchem

wykonała ostry skręt kierownicą. Przednie koła z piskiem zarysowały asfalt.

– Chciałbym je wkrótce znowu zobaczyć – powiedziałem.

– Po co?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Tiffani rozciągnęła się na tylnym siedzeniu i zaczęła kopać tapicerkę drzwi nogami.

– Przestań! – krzyknęła nie odwracając się pani Rodriguez. – Po co? powtórzyła. – Po to, żeby powiedziano nam, co i jak mamy robić?

– Nie, ja...

– Problem polega na tym, że sprawy przewróciły się do góry nogami. Bezsensownie. Ci, którzy powinni być martwi, nie są, a ci, którzy są, nie powinni byli umrzeć. Żadne rozmowy tego nie zmieniają, więc co za różnica? Kompletnie przewrócone. A teraz ja znowu mam zostać mamą.

– On może napisać książkę – przerwała Tiffani – i wtedy...

Evelyn uciszyła ją spojrzeniem.

– Ty się nie zamartwiaj takimi sprawami. Wracamy. Jeśli będzie czas, to kupię ci loda.

Opuściła lewarek zmiany biegów, chevrolet zabełkotał i odjechał z łomotem, ocierając jezdnię tylnym zderzakiem.

Stałem tam przez chwilę, tłumiąc w sobie złość. Potem wróciłem do domu i sporządziłem notatkę.

*Silne przeciwstawienie się diagnozie, częściowo spowodowane otwartym gniewem T w stosunku do ojca. Mówi o grzechu, karze. C nadal nieaktywna. Konieczna kontynuacja.*

Udałem się do sypialni i wygrzebałem akta policyjne Ruthanne Wallace.

Grube jak książka telefoniczna.

– Transkrypcje procesowe – powiedział Milo, kiedy mi to wręczał. Z pewnością żadne rewelacyjne odkrycia. Tylko baza dla twojej smętnej pracy.

Wyciągnął te dane z TAJNYCH akt oddziału Foothill. Spełnił moją prośbę bez żadnych



zbędnych pytań. Teraz przerzucałem poszczególne strony i nie wiedziałem, po co o to prosiłem.

Złożywszy dokumenty zaniósłem je do biblioteki i umieściłem w szufladzie biurka.

Dziesiąta rano, a ja już czułem się zmęczony.

Poszedłem do kuchni, wsypałem trochę kawy do ekspresu i zabrałem się do przeglądania poczty. Bzdurne reklamówki, czeki do podpisania, druki do wypełnienia oraz paczuszka w brązowym opakowaniu. Sądziłem, że to książka.

Rozdarłem wypchaną kopertę i sięgnąłem dłonią do wnętrza. Oczekiwałem, że moja ręka natrafi na tom w twardej oprawie. Palce nie dotknęły niczego, więc pchnąłem je głębiej, aż wreszcie trafiłem na coś gładkiego i twardego. Plastik. Wsunięty w sam róg opakowania.

Potrząsnąłem torbą. Wypadła kasetka audio i z klekotem upadła na stół.

Czarna. Brak naklejki i opisów.

Obejrzałem papierową kopertę. Moje imię i adres zostały napisane drukiem na białej naklejce. Żadnego kodu. Żadnego adresu zwrotnego. Znaczek ostemplowano cztery dni temu na lotnisku Annex.

Zaintrygowany, zaniósłem kasetę do salonu, włożyłem do magnetofonu i klapnąłem na starej, skórzanej kanapie.

Klik. Nie byłem zaniepokojony, oczekiwałem na jakiś psikus.

Dźwięk, który popłynął z kasety, w jednej chwili zmienił mój nastrój i przyprawił mnie o gwałtowne bicie serca.

Ludzki głos. Krzyczący.

Wyjący.

Kobięcy. Ochrypli. Głośny. Śliski – jakby przedostający się przez falę bólu.

Bólu nie do zniesienia.

Przeraźliwie dziwny głos.

Siedziałem na kanapie, zbyt zaskoczony, by móc wykonać jakiś ruch.

Rozrywające gardziel wycie urozmaicone sapaniem zwierzęcia schwytanego w sidła.

Ciężkie dyszenie.

Potem więcej krzyków. Głośniejszych. Bez kształtu i sensu... jak ścieżka dźwiękowa z jakiegoś horroru.

Wyobraziłem sobie izbę tortur. Krzyczące czarne usta i ciała wijące się z bólu.

Wycie przesywało moją głowę. Starłem się wyłapać jakieś słowa, ale słyszałem tylko ból.

Coraz głośniej.

Nachyliłem się, aby ściszyć odbiornik, ale spostrzegłem, że wskazówka jest w najniższym położeniu.

Postanowiłem wyłączyć sprzęt, lecz zanim to zrobiłem, krzyki ucichły.

Statyczna cisza.

Potem nowy głos.

Miękki. Wysoki. Nosowy.

Dziecięcy głos.

*Niedobra miłość. Niedobra miłość.*

*Nie dawaj mi tej parszywej miłości.*

\* \* \*

Dziecięcy sopran, ale jakże sztuczny.

Nienaturalnie płaski – podobny do dźwięku, jaki wydają roboty.

*Niedobra miłość. Niedobra miłość.*

*Nie dawaj mi tej parszywej miłości...*

Powtórzył te wersy. Trzeci raz. Czwarty. Pieśń żałobna – tak dziwnie metaliczna. Prawie jak modlitwa.

*Niedobra miłość. Parszywa miłość...*

Nie. Zbyt nieszczerza jak na modlitwę... pozbawiona wiary.

Bałwochwalcza.

Modlitwa dla zmarłego.

Odmawiana przez zmarłego.

## **Rozdział drugi**

Wyłączyłem magnetofon. Palce zeszywniały mi od zaciskania. Serce waliło gwałtownie, a usta były wyschnięte.

Zapach kawy ściągnął mnie do kuchni. Napelniłem filiżankę. Wróciłem do salonu i przewinałem taśmę. Maksymalnie ściszyłem i wcisnąłem PLAY. Poczułem skurcz w żołądku.

Potem nadeszły krzyki.

Były odrażające.

Kogoś krzywdzono.

Potem znowu ta dziecięca pieśń. W powtórce nawet jeszcze gorsza. Metaliczny warkot nasunął mi na myśl poszarzałą twarz, zapadnięte oczy i ledwie poruszające się drobne usta.

*Niedobra miłość. Parszywa miłość...*

Co zrobiono, żeby tak ogołocić głos ze wszelkich uczuć?

Słyszałem ten rodzaj dźwięku wcześniej – w poczekalniach dworcowych, w komorach celnych na lotniskach i w schronach.

„Parszywa miłość...”

Ten zwrot był mi dziwnie znajomy, ale dlaczego?

Siedziałem w salonie bardzo długo, starając się cokolwiek sobie przypomnieć. Kawa stygła nietknięta. Wreszcie podniosłem się z kanapy. Wyjąłem kasetę i zaniósłem do biblioteki.

Umieściłem taśmę w szufladzie biurka, tuż obok akt Ruthanne.

Mroczne muzeum doktora Delaware'a.

Moje serce nadal dudniło z ogromną prędkością. Krzyki i pieśni wypełniały umysł.

Dom wydawał się zbyt pusty. Robin miała wrócić z Oakland dopiero w czwartek.

Przynajmniej nie musiała tego słuchać.

Podczas lat spędzonych razem usilnie starałem się izolować ją od tych bardziej paskudnych aspektów mojej pracy. W końcu zorientowałem się, że umieszczam poprzeczkę zbyt wysoko i pozwoliłem jej angażować się w większość spraw.

Ale nie w to. Tego nie powinna usłyszeć.

Usiadłem na krześle przy biurku i zastanawiałem się, o co w tym wszystkim, do cholery, chodzi...

„Niedobra miłość...” i co ja powinienem w związku z tym zrobić?

Jakiś chory dowcip?

Ten dziecięcy głos...

„Parszywa miłość...” Wiedziałem, że słyszałem już kiedyś ten zwrot. Powtórzyłem frazę na głos, usiłując pobudzić pamięć. Jednak słowa po prostu rozplynęły się w powietrzu.

Zwrot psychologiczny? Coś z podręcznika?

Rzeczywiście, było w tym coś z psychoanalitycznej terminologii.

Tylko dlaczego ta kasetka została wysłana do mnie?

Głupie pytanie. Nigdy nie potrafiłbym na nie odpowiedzieć.

Niedobra miłość... coś ortodoksyjnie freudowskiego. Melanie Klein wysunęła kiedyś teorię na temat złych i dobrych piersi. Może było to dziełem kogoś o niezdrowym poczuciu humoru i zainteresowanego neofreudowskimi teoriami.

Podszedłem do półek z książkami. Wyciągnąłem słownik terminów psychologicznych. Nic.

Przejrzałem indeksy wielu innych tomów.

Żadnej wskazówki.

Wróciłem do biurka.

Jakiś eks-pacjent urągający mi za marnie świadczone usługi?

A może coś ze spraw obecnych? Donald Dell Wallace, gnijący w więzieniu Folsom, widzi we mnie wroga i próbuje bawić się moim umysłem?

Jego adwokat, Sherman Bucklear, dzwonił kilkakrotnie, zanim spotkałem się z dziewczynkami, i próbował mnie przekonać, że jego klient to oddany ojciec.

– To Ruthanne je zaniedbywała, doktorze. Cokolwiek by zrobił Donald Dell, to o nie zawsze się troszczył.

– A co z pieniędzmi na utrzymanie dzieci?

– Czasy są teraz trudne. Robił, co tylko mógł – czy pan jest uprzedzony do niego, doktorze?

– Nie mam jeszcze sprecyzowanej opinii, panie Bucklear.

– Nie, oczywiście nie. Nikt nie twierdzi, że już powinien pan ją mieć. Chodzi tylko o to, czy w ogóle ją pan chce sobie wyrobić, czy też podejmie pan decyzję na podstawie tego, co zrobił Donald Dell?

– Spędzę trochę czasu z dziećmi. Potem sformułuję opinię.

– Wiele osób jest uprzedzonych do mojego klienta.

– Dlatego, że zamordował żonę?

– Dokładnie to mam na myśli, doktorze; wie pan, że zawsze mogę wystawić własnych ekspertów.

– Oczywiście, proszę bardzo.

– Wiem o tym. To wolny kraj; dobrze panu zrobi, jeśli będzie pan o tym pamiętać.

Inni eksperci. Czy ta próba zastraszenia miała na celu przekonanie mnie, że bym usunął się z drogi i pozostawił wolne pole cynglom Bucleara? Gang Donalda Della – Żelazny Zakon słynął ze

znęcania się nad konkurentami w handlu narkotykami, ale nadal nic z tego nie rozumiałem. Jak ktoś mógł zakładać, że odkryję związek pomiędzy krzykami, pieśnią żałobną i dwiema małymi dziewczynkami?

Chyba że był to dopiero pierwszy krok w kampanii mającej na celu zastraszenie. Nawet jeżeli tak, to ktoś postąpił głupkowato i niezręcznie.

Z drugiej strony jednak pozostawienie przez Donalda Della własnej karty identyfikacyjnej na miejscu zbrodni nie wskazywało na wyjątkową finezję.

Postanowiłem skonsultować się z innym ekspertem. Wykręciłem numer posterunku w zachodnim Los Angeles. Połączono mnie z wydziałem kradzieży i zabójstw, gdzie poprosiłem do telefonu detektywa Sturgisa.

Milo nie było w biurze – żadne zaskoczenie. Przecierpiał obniżenie stopnia służbowego i sześć miesięcy bezpłatnego zawieszenia za złamanie szczęki homofobicznemu porucznikowi, który naraził jego życie na niebezpieczeństwo. Potem spędził nudny rok jako urzędnik komputerowy w Parker Center. Departament miał nadzieję, że beczynność doprowadzi go do przejścia na emeryturę ze względów zdrowotnych. Departament Policji Los Angeles zaprzeczał istnieniu gliniarzy-homoseksualistów, a obecność Milo była jawnym atakiem na tę strusią politykę.

Przetrzymał te wszystkie przykrości i powróciwszy do czynnej służby jako „Detektyw 2”, ponownie znalazł się na ulicach, których większość patrolował sam.

– Wie pan może, kiedy wróci? – zapytałem swojego rozmówcę.

– Nie – odpowiedział głos po drugiej stronie drutu.

Podąłem nazwisko. W odpowiedzi usłyszałem „Uh-hm” i zakończyliśmy konwersację.

Zdecydowałem, że nic nie osiągnę samym zamartwianiem się. Założyłem koszulę, szorty i trampki i ruszyłem w stronę frontowych drzwi, gotowy na półgodzinny bieg.

Zbiegłem po schodach i truchtem minąłem miejsce, gdzie z samochodu Evelyn Rodriguez wyciekł olej. Gdy tylko minąłem żywopłot oddzielający mój dom od starej dróżki używanej przez konne wozy, coś stanęło tuż pod moimi nogami.

Gapiło się na mnie.

Pies, ale nigdy nie widziałem takiego jak ten.

Mały pies. Miał może trzydzieści centymetrów wysokości i dwa razy tyle długości. Wśród krótkiej czarnej sierści jawiły się żółte włoski. Duża ilość mięśni wypełniała pękate ciało, które lśniło w świetle słońca. Pies miał chude nogi, kark prawie jak u byka, beczkowatą klatkę piersiową i wąski zad. Głowa zwierzęcia była nieproporcjonalnie szeroka i kwadratowa, pysk płaski, a dolna szczeka nienaturalnie obwisła.

Coś pośredniego między żabą i małpą.

Ślina ściekała z jego obwisłych warg.

Nadal wbijał ślepia prosto w moje oczy. Wykonał krok do przodu, jakby gotował się do skoku. Zad zwierzęcia uwieńczony był dwucentymetrowym kikutem. Samiec. Bezpłodny.

Posłałem mu groźne spojrzenie. Zasapał i warknął ukazując masywne, ostre białe zęby.

Językiem o rozmiarach banana oblizwał mięsiste wargi.

W centrum klatki piersiowej zwierzaka lśnił kwadracik białych kłaków pulsujący rytmicznie w takt bicia serca.

– Hej, koleś.

Miał jasnobrązowe gałki oczne, które nie poruszyły się ani przez chwilę. Ziewnął.

Dostrzegłem purpurowe podniebienie. Łapczywie złapał powietrze i nadal pozostawał w bezruchu.

Jakiś rodzaj buldoga albo minidoga. Zaskorupiała skóra nad oczami i ciężki oddech psa dowodziły, że upał najwyraźniej mu nie sprzyja.

Nie, to nie mops. Za duży na mopsa. I te sterczące uszy, jak u bostońskich terierów.

Faktycznie trochę wyglądał na teriera, ale był niższy i o wiele cięższy. Bostończyk na sterydach.

Może to jakiś egzotyczny skarłowaciały pies obronny, wytresowany do rozszarpywania rzepek w kolanach? Albo szczenię, które przerodzi się w masywne zwierzę?

Ponownie ziewnął i parsknął szorstko.

Kontynuowaliśmy wzajemną obserwację.

Zaćwierkał ptak.

Na ułamek sekundy pies obrócił łeb w stronę, z której dochodził dźwięk, i natychmiast przeniósł oczy z powrotem na mnie.

Oblizwał wargi. Strużka śliny wydłużyła się i opadła na chodnik.

Sapanie, sapanie, sapanie.

– Spragniony?

Żadnej reakcji.

– Przyjaciel czy wróg?

Kolejna prezentacja zębów przypominająca bardziej uśmiech niż warknięcie, ale kto wie?

Postanowiłem zakończyć te wzajemne podchody. Nawet z tym masywnym cielskiem nie mógł ważyć więcej niż dwanaście, piętnaście kilogramów.

Zrobiłem krok do przodu, potem następny.

Pies również ruszył w moją stronę. Poruszał się z opuszczoną głową, kolebiąc się z boku na bok i charcząc.

Zatrzymałem się, on szedł dalej.

Podniosłem rękę do ust, zdając sobie nagle sprawę, że mam gołe nogi.

Podszedł do mnie. Do moich nóg. Potarł łbem o goleń.

Pysk miał gorący. Zbyt rozpalony i suchy jak na zdrowy organizm.



Sięgnąłem dłonią i dotknąłem łba zwierzęcia. Teraz, zwiesiwszy język, sapał coraz szybciej.

Opuściłem rękę, a pies obdarzył ją przeciągłym liźnięciem, lecz skóra pozostała sucha.

Sapnięcia zmieniły się w niezdrowo brzmiące dźwięki.

Klęknąłem i pogłaskałem go po łbie. Spojrzał na mnie dostojnym, smutnym wzrokiem buldoga. Guzły wokół oczu psa były tak suche, że tworzyły skorupę. Fałdy na mordzie również.

Najbliższe źródło wody znajdowało się w altance u wylotu stawu. Wstałem i ręką wskazałem kierunek.

– No, chodź, łobuzie, do kąpieli.

Pies naprężył się, ale nie ruszył z miejsca. Coraz gwałtowniej łapał oddech. Wydawało mi się, że widzę, jak trzęsą się jego przednie łapy.

Zacząłem iść w kierunku ogrodu. Usłyszałem za sobą miękkie stąpania. Obejrzałem się i zobaczyłem, że podąża za mną w niewielkiej odległości. Trzymał się lewej strony; czyżby wyszkolony do śledzenia ruchu pięt?

Jednak gdy otworzyłem bramę prowadzącą do stawu, cofnął się i nie wychodził za ogrodzenie.

Ruszyłem naprzód. Na skutek upału woda w stawie zzieleniała, ale nadal była czysta. Karpie leniwie krążyły tuż pod taflą. Niektóre zauważyły mnie i podплыnęły w oczekiwaniu na resztki jedzenia. Młode, które przetrwały nieoczekiwany wylęg dwa lata temu, teraz miały ponad trzydzieści centymetrów długości.

Pies stał cierpiący, z nosem wywalonym w stronę wody.

– No chodź, kolego – podniosłem gumowy wąż.

Nic.

Rozwinąłem kilka metrów węża i odkręciłem zawór. Guma zaczęła szumieć między moimi palcami.

– Spokojnie, to tylko H2O.

Pies gapił się przez bramę, sapał, charczał, nogi uginały się pod nim z wycieńczenia, ale nie wykonał żadnego ruchu.

– No, dalej. O co chodzi, chłopie? Jakiś rodzaj fobii, czy nie lubisz morskiej żywności?

Zamrugał ślepiami, ale nadal się nie poruszył.

Przeciagnałem wąż za bramę, dewastując przy okazji całą gamę roślin.

Pies stał w miejscu, dopóki woda nie znalazła się centymetr przed jego mordą, wtedy napiął kark i zaczął się chlapać. Tarzał się, kąpał, potrząsał łbem i wyciągał jęzor po więcej życiodajnego płynu.

Wiele czasu musiało minąć od jego ostatniej kąpieli.

Wreszcie otrzepał się, odwrócił łeb od wody i usiadł.

Kiedy wróciłem, odniósłszy wąż na miejsce, siedział dalej pod bramą.

– Jak teraz? – zapytałem.

Spokojnym krokiem zbliżył się i ułożył głowę przy mojej nodze. Co za ranek – westchnąłem.

Parsknięcie. Odpowiedź?

Spróbowałem raz jeszcze: westchnąłem na głos. Pies zareagował wyniosłym chrząknięciem.

– Rozmowniś – stwierdziłem – ktoś z tobą konwersuje, prawda? Ktoś się o ciebie troszczy.

Chrząknięcie.

– Jak się tu dostałeś?

Pomruk.

Poczta od świra i rozmowa z psem. Oto do czego doszło, Delaware. Zwierzę spoglądało na mnie wzrokiem, który sklasyfikowałem jako przyjacielski.

Lubi się to, co się ma.

Obserwował, jak wyprowadzałem seville z podjazdu. Kiedy otworzyłem drzwi od strony

pilota, wskoczył na siedzenie, jakby czuł się właścicielem pojazdu. Przez następne półtorej godziny wyglądał przez boczną szybę, podczas gdy ja krążyłem wokół kanionu i rozglądałem się za plakatami o zagubionych psach. Rozmawiałem także z napotkanymi sąsiadami. Nikt go nie rozpoznał i nikt nie zgłaszał zaginięcia takiego stworzenia.

Zatrzymałem się przy markecie Beverly Glen, gdzie kupiłem trochę warzyw i małą torebkę suchego pokarmu dla czworonogów. Kiedy wróciłem do domu, pies wtoczył się za mną po schodach, a później obserwował, jak rozpakowywałem zakupy. Nasypałem karmy do miski i postawiłem na kuchennej podłodze. Tuż obok umieściłem drugie naczynie z wodą. Pies zignorował ten gest i zajął pozycję przy drzwiach lodówki. Zwilżyłem nieco karmę, ale nie przyniosło to efektów. Wskazałem ręką na miskę.

Pies zaczął trącać pyskiem drzwi lodówki i spoglądać na mnie. Otworzyłem, a on próbował wepchnąć łeb do wnętrza. Przytrzymując go za kark, wygrzebałem z lodówki kawałek schabu. Uwolnił się z mojego uchwytu i podskakiwał prawie na wysokość moich bioder.

– Smakosz, he?

Rozdrobiłem schab i wymieszałem z suchą karmą. Pies zaczął pałaszować, zanim jeszcze zdążyłem wyciągnąć palce z miski.

Obserwowałem, jak jadł. Kiedy skończył, poderwał łeb. Gapił się na mnie przez chwilę, po czym przemaszerował na tył kuchni, obwąchując podłogę.

– Co teraz? Sorbet na przepłukanie podniebienia?

Przez moment krążył jeszcze po kuchni, a potem podszedł do tylnych drzwi, które zaczął obdrapywać.

– Aha, rozumiem – powiedziałem. Uchyliłem drzwi. Patrzyłem, jak zbiegł po schodach i znalazł przytulne, zacienione miejsce pod krzakiem jałowca, zanim podniósł nogę.

Wspiął się z powrotem na górę. Wyglądał na usatysfakcjonowanego.

– Dziękuję – powiedziałem.

Gapił się na mnie, dopóki nie pogłaskałem go po głowie. Potem przeniósł się za mną do jadalni. Usiadł na tylnych łapach i wyczekująco uniósł żabią mordę. Podrapałem go po pysku, wysunął przednie łapy.

Tym razem połechtalem zwierzę po brzuchu. Pies wydał z siebie przeciągły, niski, flegmatyczny pomruk. Kiedy chciałem przestać, przycisnął łapą moją dłoń, żebym kontynuował. Wreszcie ułożył się na podłodze i zapadł w sen.

– Ktoś na pewno cię teraz szuka.

Rzuciłem na stół poranną prasę. Znalazłem mnóstwo ogłoszeń o zaginionych psach najrozmaitszych ras. Jednak żadne z opisywanych zwierząt nie było podobne do tej, rozciągniętej na podłodze kreatury.

W informacji telefonicznej uzyskałem numer schroniska dla zwierząt. Zadzwoiłem i opowiedziałem kobiecie, która odebrała słuchawkę, o tym co znalazłem.

– Brzmi nieźle – stwierdziła.

– Wie pani może, jaka to rasa?

– Nie powiem panu na poczekaniu. Wydaje mi się, że jakiś rodzaj buldoga, prawdopodobnie mieszaniec.

– I co ja mam z nim zrobić?

– Cóż – rzekła – prawo mówi, że musi pan próbować go oddać. Może pan zostawić psa u nas, ale jest tu teraz dosyć tłoczno i powiem panu szczerze, że raczej nie otrzyma nic prócz podstawowej opieki.

– A co jeśli zostanie u was i nikt się po niego nie zgłosi?

– Hmm... cóż, wie pan.

– Jakie więc mam możliwości?

– Może pan umieścić ogłoszenie w rubryce „Znalezione” – te anonsy są zazwyczaj bezpłatne. Mógłby pan również zabrać go do lekarza i upewnić się, czy nie jest nosicielem jakiejś choroby, która spowodowałaby kłopoty.

Podziękowałem. Zadzwoiłem do gazety i umieściłem ogłoszenie. Potem sięgnąłem po kolumny ogłoszeń i uzyskałem adresy weterynarzy. Na Sepulveda, niedaleko Olympic, znajdował się szpital zwierzęcy, który reklamował się hasłem „wchodzić bez pukania, nie tylko w nagłych przypadkach”.

Pozwoliłem psu godzinę się przespać, a następnie zabrałem go na kolejną przejażdżkę.

Klinika znajdowała się w mlecznoniebieskim betonowym budynku, usytuowanym między masywną, żelazną odlewnią a remizą strażacką. Ruch uliczny na Sepulveda wyglądał groźnie, więc przeniósłem mojego towarzysza do frontowych drzwi. Stwierdziłem, że waży więcej niż dwanaście kilo. W poczekalni nie było nikogo poza starym mężczyzną w czapce golfowej, pocieszającym gigantycznego białego owczarka niemieckiego. Pies leżał na czarnej wykładzinie podłogowej. Wył i trzął się ze strachu. Mężczyzna cały czas powtarzał:

– Już dobrze, Rex, w porządku.

Zapukałem w szklane okienko i zarejestrowałem się. Użyłem własnego imienia, ponieważ nie wiedziałem, jak się wabi to cudo. Pięć minut później został wezwany Rex, a w chwilę potem młoda dziewczyna otworzyła drzwi i zawołała:

– Alex?

Buldog leżał rozciągnięty na podłodze. Spał i sapał. Chwyciłem go i wniosłem do gabinetu.

Otworzył jedno oko, ale nadal pozostawał bez sił.

– Co dziś dolega Alexowi? – zapytała dziewczyna.

– To długa historia – odparłem i ruszyłem za nią do małego pokoju naszpikowanego chirurgicznymi narzędziami. Zapach środków odkażających przypominał mi o urazach, których

kiedyś doznałem. Pies nadal pozostawał spokojny.

Wkrótce potem przybył weterynarz – młody, krótko obcięty Azjata w niebieskim fartuchu.

Uśmiechał się i wycierał ręce papierowym ręcznikiem.

– Witam, jestem doktor Uno – och, Frenchie, nie spotyka się ich zbyt często.

– Frenchie?

Lekarz wrzucił ręcznik do kosza.

– Francuski buldog.

– Aha.

Przyjrzał mi się bacznie.

– Nie wie pan, co to za pies?

– Znalazłem go.

– Och. Cóż, to bardzo rzadka odmiana, na pewno ktoś się po niego zgłosi. – Poglaskał psa. –

Są dosyć drogie, a ten wygląda na całkiem niezły egzemplarz. – Rozchylił obwisłe wargi zwierzaka. – Jest również wyjątkowo zadbany. Niedawno usuwano z tych zębów kamień. Ma czyściutkie uszy i... a tak w ogóle, to jaki ma pan z nim kłopot?

– Poza tym, że boi się wody, żadnego – oznajmiłem. – Chciałbym tylko, żeby go ogólnie zbadano.

– Boi się wody?

Opisałem zachowanie się psa przy stawie.

– Ciekawe – stwierdził weterynarz. – To prawdopodobnie oznacza, że został tak celowo wyszkolony, dla własnego bezpieczeństwa. Buldogi mogą łatwo utonąć. Mają naprawdę ciężkie kości, więc toną jak kamienie. Jeden z moich pacjentów stracił w ten sposób parę swoich ulubieńców. Tak więc nasz chłoptaş zachował się całkiem sprytnie.

– Wie też, jak zachowywać się w mieszkaniu, i potrafi iść śladem pięt poinformowałem.

Weterynarz uśmiechnął się. Zdałem sobie sprawę, że coś bliskiego dumie właściciela pojawiło się w moim głosie.

– Może postawi go pan na stole i zobaczymy, co jeszcze potrafi robić.

Pies został przebadany, zaszczepiony i otrzymał świadectwo nieskazitelnego zdrowia.

– Ktoś najwidoczniej bardzo się o niego troszczył – powiedział Uno. Podstawowa rzecz, na którą należy uważać, to skoki temperatury. Szczególnie teraz, kiedy mamy upały. Te krótkogłowe psy są na to naprawdę czułe, tak więc proszę chronić go przed gorącem.

Wręczył mi kilka broszur na temat podstawowej opieki nad psami. Powtórzył ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem upałów i dodał na zakończenie:

– To wszystko. Powodzenia w szukaniu właściciela.

– Ma pan jakieś pomysły co do tego ostatniego?

– Proszę dać ogłoszenie do gazety albo – jeśli mamy tu lokalny klub miłośników Frenchie – to mógłby pan spróbować się z nimi skontaktować.

– Ma pan wykaz adresów takich klubów?

– Nie, przykro mi. Może AFTP – Amerykańska Federacja Tresury Psów – mogłoby pomóc.

Rejestrują większość rasowych narodzin.

– Gdzie mają siedzibę?

– W Nowym Jorku.

Odprowadził mnie do drzwi.

– Czy te psy mają na ogół spokojny temperament? – zapytałem.

Spojrzał na psa, który gapił się na nas i unosił swój kikutowaty ogonek.

– Z tego, co wyczytałem i słyszałem, to zachowują się tak, jak widać po jego mordzie teraz.

– Czy kiedykolwiek atakują?

– Atakują? – wybuchnął śmiechem. – Sądzę, że jeśli się przywiąże, to może będzie próbował

pana bronić. Ale osobiście bym na to nie liczył. Nie zdają się na wiele więcej, niż bycie przyjacielem.

– No, to już coś – stwierdziłem.

– Pewnie, że tak – zgodził się z moją opinią doktor. – To podstawa, no nie?

### **Rozdział trzeci**

Odjechałem z kliniki głaszcząc psa i rozmyślając o dzieciennym głosie z taśmy. Nie byłem głodny, ale stwierdziłem, że najwyższy czas wreszcie zjeść lunch. Zauważyłem na Sepuhzedą budkę z hamburgerami i zakupiłem porcję na wynos. Zapach potrawy obudził psa, który ślinił się przez całą drogę powrotną do domu. Kilka razy próbował nawet wetknąć nos w torbę. Kiedy znaleźliśmy się w kuchni, przekonał mnie, bym podzielił się z nim pasztecikiem. Potem zaniósł swą zdobycz do kąta i spałaszował hałaśliwie. Następnie ułożył się na podłodze do poobiedniej drzemki.

Zadzwoiłem do telefonicznego serwisu i dowiedziałem się, że szukał mnie Milo. Tym razem siedział w biurze wydziału zabójstw.

– Sturgis.

– Jak leci, stary brachu?

– Jak zwykle. Kubły pełne krwi. A co u ciebie?

Opowiedziałem mu o kasecie.

– Prawdopodobnie jakiś dowcip, ale żeby mieszać do tego dziecko?

Szykowałem się na słowa krytyki, tymczasem Milo powiedział:

– „Parszywa miłość?” To dziwne.

– Co?

– Dokładnie te same słowa pojawiły się w pewnej sprawie kilka miesięcy temu. Pamiętasz tę pracowniczkę socjalną zamordowaną w centrum zdrowia psychicznego? Rebeckę Basille?



- Mówili o tym w wiadomościach – rzekłem, przypomniawszy sobie nagłówek i uśmiechniętą fotografię ładnej, ciemnowłosej młodej kobiety, która została zakatowana w dźwiękoszczelnym pokoju terapeutycznym. Nigdy nie mówiłeś, że to była twoja sprawa.
- W zasadzie była niczyja, ponieważ nie prowadzono żadnego dochodzenia. Psychol, który ją zadźgał, zginął, próbując wziąć zakładnika.
- Pamiętam.
- Na mnie zwalili papierkową robotę.
- Kiedy pojawiły się słowa „niedobra miłość”?
- Ten świr wykrzyczał je, kiedy uciekał po zamordowaniu Becky. Dyrektorka kliniki stała w holu i słyszała jego krzyki. Potem uciekła do biura, gdzie się ukryła. Uznałem wtedy, że były to słowa schizofrenika.
- To może być coś psychologicznego – żargon, który podłapał gdzieś w zakładzie chorób umysłowych. Też mi się wydaje, że to już gdzieś słyszałem, tylko nie potrafię sobie przypomnieć gdzie.
- Pewnie masz rację – stwierdził. – Dziecko, hę?
- Dziecko smęcące dziwnym, płaskim głosem. To może mieć związek ze sprawą, którą teraz prowadzę, Milo. Pamiętasz akta, które mi dałeś... kobieta zamordowana przez męża?
- Ten oszust?
- Siedzi od sześciu miesięcy. Dwa miesiące temu zaczął prosić o widzenia ze swoimi córkami. Mniej więcej w tym czasie, kiedy zamordowano Rebeckę. Jeśli wrzask mordercy nadano w wiadomościach, mógł to nagrać i przeznaczyć do wykorzystania w przyszłości.
- Zastraszenie psychiatry. Może chce ci przypomnieć, co może przydarzyć się terapii, który zachowuje się niepoprawnie?
- Dokładnie. To nie żadne przestępstwo, zgadza się? Tylko przesłanie taśmy.

– To nawet nie przewinienie. Ale jak mógł wydedukować, że znajdziesz powiązanie?

– Nie wiem. Chyba, że jest to tylko pilot, a ciąg dalszy nastąpi.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak się ten głupek nazywa?

– Donald Dell Wallace.

Powtórzył nazwisko i dodał:

– Nigdy nie przeczytałem tych akt. Opowiedz mi o nim.

– Zwykł pętać się z gangiem kanciarzy zwanym Żelazny Zakon. Między kolejnymi odsiadkami pracował jako mechanik motocykli. Myślę, że jest członkiem Bractwa Aryjskiego.

– No, to charakter idealny na twojego przeciwnika. Pozwól, że zobaczę, czego zdołam się dowiedzieć.

– Myślisz, że powinienem się o coś martwić?

– Niekoniecznie... ale powinieneś pamiętać o zamykaniu drzwi.

– Tak właśnie robię.

– Gratuluję. Będziesz w domu wieczorem?

– Tak.

– Jak tam Robin?

– Dobrze. Jest w Oakland. Prowadzi sympozjum na temat średniowiecznych lutni.

– Sprytna rzecz – praca z martwymi przedmiotami. W porządku, wpadnę wieczorem i uratuję cię przed samozamartwianiem. Jeśli chcesz, mogę zdjąć odciski palców z kasety i porównać je z odciskami Wallace’a. Jeżeli to on, damy znać komu trzeba. Przynajmniej będzie wiedział, że nie zamierzasz stulić ogona.

– Dobra, dzięki.

– Taak... nie dotykaj jej więcej. Twardy plastik jest idealną powierzchnią do zdejmowania linii papilarnych... Parszywa miłość. Brzmi jak z filmu science fiction albo coś w tym guście.

– Nie mogłem tego znaleźć w żadnej z moich książek. Może masz rację. Może zabójca

Becky też usłyszał to w jakimś filmie. Wszyscy jesteśmy dziećmi srebrnego ekranu. Kasetę wysłano z lotniska Annex, nie z Folsom. Jeśli stoi za tym Wallace, to ktoś musi mu pomagać.

– Sprawdzę też resztę gangu. Przynajmniej tych z kartotekami. Nie marnuj przez to nocy.

Spróbuję wpaść około ósmej. Teraz może wróćmy do tematu rzeźni.

– Kubły pełne krwi, hę?

– Wielkie kipiące kubły. Codziennie rano, kiedy się budzę, chwalam Pana i dziękuję mu za to całe bezceństwo. Co sądzisz o takiej perwersji?

– Hej, widzę, że kochasz swoją pracę.

– Taak – odparł. – Tak, kocham. Obniżenie stopnia służbowego to cholernie cudowna rzecz.

– Dobrze cię traktuje departament?

– Nie popadajmy w fantazję. Departament toleruje mnie, ponieważ uważają, że głęboko mnie zranili i że wreszcie przejdę w stan spoczynku jak każdy normalny śmiertelnik. Ale ja jestem upartym draniem.

– Nie są zbyt spostrzegawczy, prawda?

– Właśnie dlatego są administratorami.

Kiedy się rozłączył, zadzwoniłem do domu Evelyn Rodriguez w Sunland. W czasie gdy czekałem na połączenie, wyobraziłem sobie mężczyznę, który poszatkował jej córkę, bawiącego się przy magnetofonie w celi.

Nikt nie odbierał. Odłożyłem słuchawkę.

Pomyślałem o Rebecce Basille zadżganej na śmierć w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. To morderstwo naprawdę mnie poruszyło. Poruszyło większość terapeutów. Wyleciało mi jednak z głowy i dopiero Milo przypomniał je.

Uderzyłem pięścią w blat stołu. Pies uniósł łeb i spojrzał na mnie. Zapomniałem, że tam

leżał.

Co może przytrafić się terapeutom, którzy zachowują się niepoprawnie...

A co jeśli Wallace nie ma nic wspólnego z tą kasetą? Może to ktoś z mojej przeszłości.

Poszedłem do biblioteki, a pies udał się za mną. Szafa była zapchana teczkami pełnymi akt pacjentów. Nie znajdowały się w ścisłym chronologicznym porządku, ponieważ niektórzy byli przyjmowani w kilku różnych okresach.

Włączyłem radio i zacząłem przeglądać akta począwszy od litery A. Szukałem danych dzieci, u których stwierdziłem psychopatyczne lub antyspołeczne tendencje, a także spraw, które zakończyły się w jakiś sposób niepomyślnie.

Przejrzałem połowę. Lekcja historii nie przyniosła na razie żadnych rezultatów. Przed końcem południa czułem się wycieńczony. Piekły mnie oczy.

Przestałem czytać, gdyż zorientowałem się, że szorstkie sapanie jest głośniejsze od płynącej z radia muzyki. Pogładziłem muskularny kark buldoga. Wzdrygnął się, ale spał nadal. Kilka wykresów spoczywało na biurku. Nawet gdybym trafił na coś podejrzanego, to wedle zasady poufności akt pacjenta i tak nie mógłbym dyskutować na ten temat z Milo.

Poszedłem do kuchni. Wymieszałem suchą kannę ze schabowym i przygotowałem świeżą wodę. Obserwowałem, jak mój kompan siorbie, wchłania, sapie i chrząka. Otworzyłem drzwi dla służby i pies udał się za potrzebą.

Zadzwoniłem do hotelu Robin w Oakland, ale jeszcze nie było jej w pokoju.

Wrócił pies. Razem poszliśmy do salonu i obejrzelśmy wieczorne wiadomości. Bieżące informacje nie były zbyt pogodne, ale wydawało się, że zwierzęciu to nie przeszkadza.

Dzwonek u drzwi odezwał się o dwudziestej piętnaście. Pies nie zaszczekał, ale jego uszy zeszywniały. Towarzyszył mi w drodze do drzwi, trzymając się moich pięt.

W świetle lampy umieszczonej nad framugą drzwi twarz Milo wyglądała jak wielka, szeroka,

rozmazana, szara plama.

– Policja! Otwierać albo będę strzelać!

Wyszczерzył zęby do wizjera. Otworzyłem drzwi. Wszedł, taszcząc ze sobą czarną aktówkę.

Miał na sobie roboczy strój: niebieski blezer, szare spodnie, białą, obcisłą na brzuchu koszulę, luźno zwisający szaroniebieski krawat i zamszowe buty.

Zauważyłem, że niedawno musiał złożyć wizytę fryzjerowi, ale ostrzygł się tak jak zwykle – skrócone boki i tył, kudłaty czubek głowy i długie bokobrody. Wieśniacy nosili takie fryzury w latach pięćdziesiątych, a hipisi na Melrose Avenue – obecnie. Wątpiłem, czy Milo zdawał sobie z tego sprawę. Czarna grzywka opadała mu na czoło. Jego zielone oczy były przejrzyste.

Najwyraźniej znowu przybrał na wadze i wyglądał, jakby nosił co najmniej sto dwadzieścia kilo na stu siedemdziesięciu centymetrach długości.

Spojrzał na psa i zapytał:

– Co?

– Gii, tatusiu, szedł za mną do domu. Mogę go zatrzymać?

Pies wlepił w niego ślepią i ziewnął.

– Taak, ja też jestem znużony – powiedział mu Milo. – Co to, do cholery, jest, Alex?

– Francuski buldog – oznajmiłem. – Według weterynarza, rzadki i cenny okaz. Ten oto pies to cholernie dobry egzemplarz.

– Egzemplarz. – Pokręcił głową Milo. – Czy jest cywilizowany?

– Porównując do tego, do czego przywykłeś, to bardzo.

Zmarszczył brwi i pogłaskał psa, a potem spojrzał na mnie.

– Czarujący, ale skąd go wzięłeś?

– Mówię poważnie – pojawił się dziś rano. Usiłuję znaleźć właściciela. Dałem ogłoszenie do gazety. Weterynarz stwierdził, że jest nieźle zadbany. To tylko kwestia czasu, nim ktoś się po

niego zgłosi.

– Przez chwilę myślałem, że naprawdę przejąłeś się tą kasetą. Wyszedłeś i kupiłeś sobie psa do obrony.

– Tego? – wybuchnąłem śmiechem, pamiętając zaskoczenie doktora Uno. – Nie wydaje mi się.

– Hej, czasami złe rzeczy nadchodzą w miłutkiej oprawie. Z tego co wiem, jest wyszkolony, by atakować gonady.

Pies oparł się na zadzie i przednimi łapami dotknął spodni Milo.

– Siad, Rover – rozkazał detektyw.

– O co chodzi, nie lubisz zwierząt?

– Lubię pieczone. Nazwałeś go już?

Pokręciłem głową.

– Więc Rover będzie musiało zostać – zdjął blezer i rzucił kurtkę na krzesło. – Oto co do tej pory mam na temat Wallace’a: utrzymuje kontakty z podziemiem i ma jakieś powiązania z Bractwem Aryjskim, ale nie jest pełnoprawnym członkiem. Nie wiem jeszcze, jaki sprzęt posiada w celi. No, gdzie mamy rzekomą kasetę?

– W rzekomym magnetofonie.

Podszedł do szafki i włączył stereo. Pies został przy mnie.

– Wiesz, skąd pochodzi schab, prawda? – zapytałem buldoga.

Potrząsnął łbem i polizał mnie po rękę.

Potem nadeszły krzyki i włosy zjeżyły się na karku zwierzęcia.

Słuchałem tego po raz trzeci. Było jeszcze gorsze. Twarz Milo rejestrowała odgłosy, ale kiedy dźwięk zamarł, nie powiedział ani słowa. Sięgnął po swoją aktówkę. Wyłączył magnetofon i wyjął kasetę wkładając ołówek w oczko jednej z rolek.

– Czarna powierzchnia – wymamrotał. – Taak, dobry biały proszek.

Umieściwszy kasetę na tarczy gramofonu, Milo wyjął z nesesera małą szczotkę i jakąś fiolkę.

Zanurzył szczoteczkę w buteleczce i pokrył taśmę proszkiem w kolorze popiołu.

– Wygląda na to, że mamy tutaj kilka ładnych prążków i zwojów oznajmił – ale one wszystkie mogą należeć do ciebie. Twoje odciski są w raportach medycznych, zgadza się? Mogę sprawdzić?

– Pobrali je, kiedy otrzymałem licencję.

– Oznacza to dwa tygodnie grzebania w papierkach, zanim wyciągną je z Sacramento. Chyba że figurujesz w kartotece policyjnej. Nie byłeś ostatnio za nic aresztowany, prawda?

– O ile pamiętam, to nie.

– Fatalnie. Okay, pobierzemy teraz co nieco z twoich rączek.

Wyjął z aktówki poduszkę z atramentem i wzorzec odcisków. Pies obserwował, jak Milo zamoczył moje palce w tuszu i przetoczył po matrycy. Kasetę leżała tuż obok mojej ręki, więc przyglądałem się białym plamkom na powierzchni plastiku.

– Trzymaj palce luźno – polecił Milo. – Czujesz już pieczenie w opuszkach?

– Nie powiem ani słowa bez mojego adwokata, ty świnió.

Zachichotał i podał mi kawałek szmatki. Kiedy wycierałem palce, wyjął z walizeczki mały aparat i sfotografował odciski z kasety. Następnie odwrócił taśmę na drugą stronę i powtórzył cały proces. Potem umieścił kasetę w małym pudełku wyłożonym bawełną. Zapieczętował pojemnik i schował do aktówki.

– Co o tym myślisz? – zapytałem.

Pokręcił głową i odpowiedział:

– Dla mnie zawsze wygląda tak samo. Niech pomęczą się nad tym w laboratorium.

– Chodziło mi o te dźwięki. Czy może kojarzy ci się to z jakimś filmem?

Przetarł twarz dłonią, jakby mył się bez wody.

– Raczej nie.

– Mnie też nie. Czy głos dziecka nie brzmiał nienaturalnie?

– Nienaturalnie martwo – odparł Milo – tak, to było paskudne. Ale wcale nie znaczy, że prawdziwe. Moim zdaniem nadal można to zakwalifikować do kategorii „kiepski dowcip”.

– Ktoś dla żartu angażuje dziecko, żeby śpiewało pieśń żałobną?

Milo skinął głową.

– Żyjemy w zwariowanych czasach, doktorku.

– A co, jeśli to jest prawdziwe? Co, jeśli mamy do czynienia z sadystą, który porwał i torturował dziecko, a teraz mówi mi o tym, żebym nabrał przed nim respektu?

– Wygląda na to, że torturowano tego, który wrzeszczał, Alex. A to był dorosły. Ktoś bawi się twoim umysłem.

– Jeśli to nie Wallace – powiedziałem – może to jakiś psychopata, który wybrał mnie na swój cel, ponieważ pracuję z dziećmi i czasami moje nazwisko trafia do gazet. Ktoś, kto przeczytał o mordercy Becky krzyżującym „niedobra miłość” i wpadł na ten pomysł. O ile wiem, to jestem jedynym terapeutą, z którym się skontaktował.

– Możliwe. Kiedy ostatni raz pisali o tobie w gazetach?

– Tego lata, kiedy sprawa Jonesa trafiła do sądu.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził Milo.

– A może to coś prostszego. Jakiś eks-pacjent chce mi dać do zrozumienia, że go zawiodłem.

Zacząłem przeglądać akta, doszedłem do połowy, ale niczego nie znalazłem. Ale kto wie?

Wszyscy moi pacjenci byli dziećmi. W większości przypadków nie mam pojęcia, w jakich dorosłych się przerodzili.

– Jeśli znalazłbyś coś zabawnego, podałbyś mi nazwiska?



– Nie mogę – odparłem. – Bez pewności o jawnym niebezpieczeństwie, nie wolno naruszyć zasad poufności danych.

Milo zawył. Pies obserwował go, nie reagując.

– Na co się gapisz? – zapytał policjant.

Buldog zamerdał ogonem.

Sturgis zaczął się uśmiechać, ale zrezygnował. Uniósł aktówkę i położył ciężką dłoń na moim ramieniu.

– Słuchaj, Alex. Nadał nie będzie mi to spędzać snu z oczu. Pozwól, żebym zabrał materiał do laboratorium teraz, a nie jutro. Sprawdzę, czy uda mi się nakłonić jakiegoś nocnego pracocholika, żeby nad tym popracował. Zrobię też kopię i założę akta sprawy – prywatne; tylko dla mnie. Kiedyś wreszcie trzeba stać się cholernym urzędasem.

Po wyjściu Milo próbowałem czytać psychologiczny magazyn, ale nie mogłem się skoncentrować. Obejrzałem wiadomości. Przejrzałem pięćdziesiąt kartotek. Nic. Sprawdziłem całą resztę. W dalszym ciągu nic. Żadnych nawiązań do „niedobrej miłości”. Nie trafiłem na dane nikogo, kto mógłby chcieć mnie przestraszyć.

O dziewiątej zadzwoniłem do Robin.

– Cześć, złotko.

– Hej – odparłem. – Po głosie wnioskuję, że wszystko dobrze.

– Dobrze, poza tym, że mi brak ciebie. Może prędzej wrócę do domu.

– Byłoby wspaniale. Powiedz tylko kiedy, a będę czekał na lotnisku.

– Czy wszystko w porządku?

– Świetnie. Mamy gościa.

Opowiedziałem historię buldoga.

– Och, brzmi cudownie. Teraz zdecydowanie chcę szybko wrócić do domu.

– Sapie i się ślini.

– Jak miło. Wiesz co, powinniśmy mieć psa. Jesteśmy wykształconymi ludźmi, prawda?

Miałeś psa, kiedy byłeś dzieckiem? Nie tęsknisz za nim?

– Mój ojciec miał – sprostowałem – myśliwskiego, który nie lubił dzieci. Zdechł, kiedy miałem pięć lat, i nigdy potem nie kupiliśmy innego. Pewnie lubię psy; co powiesz na coś dużego i obronnego?

– Jeżeli będzie też ciepłe i puszyste.

– Jaka rasa ci się podoba?

– Nie wiem – wierna i oddana. Pomyślę nad tym, a jak wrócę, to pójdziemy na zakupy.

– Brzmi nieźle.

– Po powrocie możemy zrobić też kilka innych rzeczy – powiedziała.

– To brzmi jeszcze lepiej.

Tuż przed północą sporządziłem z kilku ręczników posłanie dla psa. Umieściłem je na podłodze ganku i zgasilem światło. Buldog popatrzał na mnie i powędrował do drzwi lodówki.

– Nie ma mowy – powiedziałem – czas spać.

Odwrócił się do mnie tyłem i usiadł. Wyszedłem do sypialni. Udał się za mną. Czując się jak Simon Legree, zamknąłem drzwi tuż przed błagającymi ślepiami zwierzęcia.

Kiedy tylko wskoczyłem pod kołdrę, usłyszałem drapanie pazurów i ciężkie sapnięcia.

Później coś, co brzmiało jak kaszel podstarzałego mężczyzny.

Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem drzwi. Pies przebiegł między moimi nogami i wtoczył się na łóżko.

– Zapomnij o tym – powiedziałem i zestawiłem go na dywan.

Ponownie wydał z siebie kaszlący odgłos i usiłował wspiąć się do pościeli.

Znów ściągnąłem go na podłogę.

Po kilku następnych próbach wreszcie się poddał. Ulokował się przy koszu na śmieci.

Wydawało się to rozsądnym kompromisem.

Lecz kiedy obudziłem się w środku nocy, myśląc o wrzaskach i metalicznym, żalonym głosie, leżał tuż obok mnie, z miękkimi pełnymi żalu oczami. Zostawiłem go w tej pozycji.

Chwilę później zaczął sapać, co pomogło mi ponownie zapaść w sen.

## **Rozdział czwarty**

Następnego ranka obudziłem się czując w ustach gorzki smak koszmarnych snów.

Nakarmiłem psa i zadzwoniłem do domu Evelyn Rodriguez. Bez skutku; tyle tylko, że automatyczna sekretarka uraczyła mnie zmęczonym głosem Evelyn na muzycznym tle Conway Twitty śpiewającej „Powolną rękę”.

Poprosiłem, żeby do mnie zadzwoniła. Nie zrobiła tego w czasie, gdy brałem prysznic i ogoliłem się. Nie zadzwonił też nikt inny.

Zostawiłem psu ogromnego herbatnika i wyszedłem. Odbyłem kilkukilometrowy spacer do miasteczka uniwersyteckiego. Nie znalazłem hasła „niedobra miłość” w żadnym z komputerów tutejszej biblioteki i w południe wróciłem do domu. Pies podskakiwał radośnie i lizał mi rękę. Pogłaskałem go i poczęstowałem serem. Przy okazji podziękowań całą moją dłoń pokrył śliną. Posegregowawszy dane, zaniósłem je z powrotem do szafy. Na półce nadal pozostawał jeden karton. Zastanawiając się, czy zawiera akta, które pominąłem, ściągnąłem go na dół.

Nie było w nim kartotek pacjentów, cały wyładowany był wykresami i przedrukami artykułów, które odstawiłem kiedyś na bok. Trafiłem na związaną gumką i wetkniętą pomiędzy foldery grubą rolkę wycinków z gazet. Odczytałem wykaliigrafowane moim charakterem pisma słowa: „DOGLĘBNE BADANIA”. Przypomniałem sobie młodszego siebie – bardziej gniewnego i sarkastycznego.

Usuając gumkę z rolki, wciągnąłem powietrze i po chwili miałem płuca pełne kurzu.

Nieco nostalgii: kolekcja artykułów mojego autorstwa i programy sesji naukowych, na których wygłaszałem prelekcje.

Przerzucałem bezmyślnie papiery, dopóki mojej uwagi nie przykuła pewna broszura. Na niebieskim papierze drukowane czarne litery, w dolnym rogu plama po kawie.

## DOBRA MIŁOŚĆ/NIEDOBRA MIŁOŚĆ

Psychoanalityczne Perspektywy  
i Strategie w Zmiennym Świecie.

Listopad 28 – 29, 1979

Zachodnie Pediatriczne Centrum Medyczne

Los Angeles, Kalifornia.

Konferencja Badająca Trafność

Teorii de Boscha w Kwestiach

Społecznych i Psychologicznych

i Upamiętniająca Pięćdziesięciolecie

Nauczania, Badań i Pracy Klinicznej

ANDREASA B. DE BOSCHA, doktora filozofii.

Sponsorowana przez WMPC

oraz

Instytut de Boscha i Szkołę Poprawczą,

Santa Barbara, Kalifornia.

Konferencji przewodniczą:

Katarina V. de Bosch, doktor filozofii,

Praktykujący Psychoanalityk i Pełniący Obowiązki

Dyrektora Instytutu de Boscha i Szkoły Poprawczej.

Alexander Delaware, doktor filozofii,

Asystent Profesora Pediatrii

i Psychologii, WMPC.

Harvey M. Rosenblatt, doktor medycyny

Psychoanalitik i Profesor

Kliniki Psychiatrycznej

Nowy Jork, Wyższa Szkoła Medyczna.

Zdjęcie całej naszej trójki:

Katarina de Bosch, szczupła i zamyślona; Rosenblatt i ja – zarośnięty i bardzo profesorski.

Resztę broszury zajmowała lista planowanych mówców, spora liczba ujęć i drobne szczegóły dotyczące sympozjum.

„Dobra miłość/Niedobra miłość”. Teraz pamiętam dokładnie. Zastanawiałem się, jak mogłem zapomnieć.

Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty był moim czwartym rokiem w Western Peds.

Ten okres znaczyły długie noce i dni na oddziale chorób nowotworowych i zaburzeń genetycznych. Trzymałem wtedy za ręce umierające dzieci i wysłuchiwałem rodzin zadających pytania, na które nie było odpowiedzi.

W marcu tego roku obydwaj szefowie psychiatrii i psychologii zdecydowali się wziąć urlop na czas nieokreślony. Wedle ich ostatniego oficjalnego zarządzenia, mnie uczyniono czasowym administratorem.

Poklepując po plecach i szczerząc zęby starali się zachęcić mnie do wykonywania nowego cudownego zajęcia. Ale wszystko sprowadziło się jedynie do większej liczby prac menadżerskich i krótkotrwałej podwyżki pensji. Dzięki tej drugiej rzeczy wpadłem na następny podatkowy pułap, ale byłem zbyt młody, żeby wiedzieć co dobre.

Wtedy Western Peds było prestiżowym miejscem i szybko nauczyłem się, że jednym z moich nowych zadań było spełnianie życzeń tych agencji i instytucji, które chciały współpracować ze szpitalem. Do najbardziej powszechnych form współpracy należały sponsorowane konferencje, w których szpital za udostępnienie lokalu i dobrego imienia dostawał kredyty na utrzymanie personelu oraz procent z uzyskanych dochodów. Z propozycji otrzymywanych co roku, najwięcej dotyczyło dwóch dziedzin – psychiatrii i psychologii. Zazwyczaj akceptowano z nich jedynie dwie lub trzy.

List Katariny de Bosch był jednym z wielu, jakie otrzymałem tuż po objęciu nowego stanowiska. Przejrzałem go i odrzuciłem.

Temat po prostu nie interesował ani mnie, ani mojego personelu. Codzienne bitwy, które staczaliśmy na poszczególnych oddziałach, spychały klasyczną psychoanalizę na niską lokatę na liście. Wyczytałem, że Andreas de Bosch był średniej klasy analitykiem, a prócz tego płodnym, choć powierzchownym twórcą, który raczej nie odznaczał się oryginalnym sposobem myślenia. Spędził rok w Wiedniu jako jeden ze studentów Freuda, a w czasie wojny brał udział we francuskim ruchu oporu. Z listu napisanego przez jego córkę nie mogłem wywnioskować, czy pan Andreas jeszcze żyje. Konferencja, której projekt wysłała Katarina, miała upamiętniać jego zasługi.

Napisałem uprzejme podziękowanie.

Dwa tygodnie później zostałem wezwany przez szefa działu medycznego. Stawiłem się u chirurga pediatrii o imieniu Henry Bork, który nosił garnitury Hickey-Freeman, palił jamajskie cygara, fascynował się sztuką abstrakcyjną i nie operował od lat.

– Alex – uśmiechnął się i wskazał dłonią krzesło Breuera. Jakaś elegancka kobieta siedziała na skórzanej kanapie po drugiej stronie pokoju.

Wyglądała na trochę starszą ode mnie; nieco ponad trzydziestkę; ale jej twarz była jedną z

tych długich, ziemistych konstrukcji, które zawsze wydają się stare. Zaczątki zmarszczek nadawały jej rysom wyraz strapienia. Usta miała suche i spierzchnięte, a jedyny makijaż, jaki nosiła, to kilka kresek, wykonanych tuszem do rzęs.

Oczy były duże, osadzone głęboko, z ciemnymi, rzucającymi cień powiekami. Nos miała duży i ostry, z małym wybrzuszeniem na koniuszku. Nogi trzymała złączone w kolanach, a stopy idealnie równo przylegające do siebie.

Ubrana była w czarny wełniany sweter opadający na plisowaną czarną spódnicę. Żadnej biżuterii. Proste, kasztanowe, długie włosy podpięła przy uszach szerokimi, czerwonymi, drewnianymi wsuwkami. Kaszmirowy żakiet sięgał do kolan. Tuż przy jej stopach stała czarna skórzana aktówka.

Obserwowała mnie, kiedy usiadłem. Jej dłonie z krótko obciętymi paznokciami spoczywały jedna na drugiej.

Bork wkroczył pomiędzy nas i rozłożył ramiona, jakby zamierzał dyrygować orkiestrą.

– Doktorze Delaware, oto Katarina de Bosch. Pani doktor, Alex Delaware, nasz naczelny psycholog.

Odwrociłem się w jej kierunku i uśmiechnąłem. Kiwnęła głową tak nieznacznie, jak sobie to wyobrażałem.

Bork wycofał się, usiadł na biurku i złożył ręce na kolanie. Powierzchnia biurka miała dwadzieścia stóp kwadratowych i była w kształcie deski surfingowej. Upiększał ją staroświecki biurowy notes i zielony marmurowy kałamarz. Z notesu wystawała kartka błękitnego papieru, którą wyciągnął i użył do ocierania palców.

– Czy przypominasz sobie, Alex, pismo doktor de Bosch sugerujące wspólne przedsięwzięcie z twoim oddziałem?

Skinąłem głową.

– I jak załatwiłeś tę prośbę?

– Odrzuciłem ją.

– Mogę spytać dlaczego?

– Personel prosi o sprawy bezpośrednio powiązane z zarządzaniem, Henry.

Wyglądał na dotkniętego. Pokręcił głową, a następnie podał mi niebieską kartkę papieru.

Program konferencji. Jeszcze pachniał świeżym tuszem. Kompletny plan, wykaz przemawiających i rejestracja. Zauważyłem moje nazwisko jako przewodniczącego, zaraz po imieniu Katariny de Bosch. Poniżej znajdowało się moje zdjęcie.

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Wziąłem głęboki oddech.

– Wygląda to na rzecz dokonaną, Henry – próbowałem oddać mu broszurę, ale ponownie złożył ręce na kolanach.

– Włącz to do swoich akt, Alex.

Bork wstał i drobnymi kroczkami zaczął się przesuwać w stronę krzesła stojącego przy biurku. Wreszcie zdołał wsunąć się za deskę surfingową i usiadł.

Katarina de Bosch bacznie przyglądała się swoim palcom.

Rozważałem możliwość próby obrony godności własnej, ale zrezygnowałem z tego.

– Miło wiedzieć, co będę robić w listopadzie, Henry. Czy byłbyś łaskaw podać mi mój terminarz na resztę dekady.

Nieznaczone parsknięcie dobiegło nas od strony krzesła Katariny. Bork uśmiechnął się do niej, po czym odwrócił do mnie i wydał usta w nienaturalnym grymasie.

– Niefortunne nieporozumienie, Alex. Zawsze może wypaść coś nieoczekiwanego, prawda?

Ponownie spojrział na Katarinę, która nie zareagowała. Opuścił wzrok na bibularz.

Pomachałem w powietrzu niebieską broszurą. – Nieporozumienie – powtórzył Bork. – To jedna z tymczasowych decyzji, jakie muszą zostać zrealizowane podczas urlopu doktora



Greiloffa i doktora Franka, a tym samym za twojej kadencji. Rada przyznaje, że to kłopotliwe.

– W takim razie, po co zawracać sobie głowę jakimś listem aplikacyjnym?

– Ponieważ jestem taktowna – wtrąciła się Katarina.

– Nie wiedziałem, Henry, że rada miesza się do harmonogramu konferencji.

Bork uśmiechnął się.

– Wszystko, Alex, jest nadzorowane przez radę. Ale masz rację. To dla nas nietypowe, żeby bezpośrednio ingerować w sprawę tego typu. Aczkolwiek...

Przerwał. Spojrzał na Katarinę, która lekko skinęła głową. Odchrząknął i zaczął obmacywać owinięte celofanem cygaro; jedno z trzech davidoffs, umieszczonych w kieszeni jego marynarki obok białej jedwabnej chustki do nosa.

– Fakt, że istotnie się zaangażowaliśmy, powinien dać ci do myślenia, Alex – powiedział i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– O co chodzi, Henry?

– Doktor de Bosch – obydwójce doktorzy de Bosch – są szalenie cenieni przez . zachodnią wspólnotę medyczną. Są. Więc ten staruszek nadal żyje.

– Rozumiem – odparłem.

– Tak właśnie.

Wyciągnął cygaro z kieszeni i trzymał je między palcami. Kątem oka zerknąłem na Katarinę.

Obserwowała mnie. Żadne z nich się nie odzywało. Czuję, iż następna kwestia należy do mnie, ale nie przychodziło mi na myśl nic, co mógłbym powiedzieć.

– Wysoko cenieni – odezwał się wreszcie Bork bardziej napiętym głosem.

Zastanawiałem się, co go dręczyło, i przypomniałem sobie plotkę sprzed kilku lat. Pogłoskę z rodzaju tych, które zawsze starałem się puszczać mimo uszu.

Najmłodsza z czterech córek Borka wiecznie przysparzała mu kłopotów. Nastolatka

chronicznie wagarowała i wykazywała tendencje do seksualnych eksperymentów. Dwa lub trzy lata temu została odesłana do czegoś w rodzaju poprawczaka. Rodzinka paliła się ze wstydu. Jeden z wielu wrogów Borka opowiadał tę historię z ogromną przyjemnością.

*Institut de Boscha i Szkoła Poprawcza...*

Bork obserwował mnie. Wyraz jego twarzy oznajmił mi, że nie powinienem więcej naciskać.

– Oczywiście – powiedziałem.

Zabrzmiało to głucho. Katarina de Bosch zmarszczyła brwi. Bork nagle się rozweselił.

– Tak. Gorąco pragniemy, żeby ta konferencja się odbyła. Mam nadzieję, że będzie się wam razem dobrze pracowało.

– Czy będę pracować z obojgiem doktorów de Bosch?

– Mój ojciec nie czuje się zbyt dobrze – odpowiedziała Katarina. Ubiegłej zimy miał wylew.

– Przykro mi to słyszeć.

Wstała i kilkoma zgrabnymi ruchami wygładziła spódnicę. Następnie sięgnęła po neseser.

Gdy siedziała, wydawała się wysoka, ale naprawdę nie miała więcej niż metr sześćdziesiąt i ważyła może czterdzieści pięć kilogramów. Miała krótkie nogi, a spódnica kończyła się jakies dwa centymetry przed kolanami.

– W zasadzie to muszę wracać, by się nim zająć – oznajmiła. – Proszę odprowadzić mnie do samochodu, panie Delaware, a podam panu szczegóły związane z konferencją.

Bork skrzywił się na dźwięk jej władczego tonu, a potem spojrzał na mnie zdesperowanym wzrokiem.

Pomyślałem o jego przejściach z córką. Uniosłem się z krzesła i powiedziałem:

– Oczywiście.

Henry włożył cygaro do ust.

– Wspaniale – skomentował. – Dziękuję ci, Alex.

Katarina nie spojrzawszy na niego powiedziała „do widzenia” i ruszyła w kierunku drzwi.

Wyskoczył zza swojego biurka i zdołał otworzyć je, zanim dosięgnęła celu pani de Bosch.

Był politykiem i ciężko harującym wykwalifikowanym chirurgiem, który przestał interesować się leczeniem i stracił zainteresowanie ludzkimi sprawami. W ciągu następnych lat nigdy nie wyraził uznania za moje zaangażowanie wykazane tamtego popołudnia. Nie okazał mi nigdy odrobiny wdzięczności za to, co zrobiłem. W każdej sytuacji zachowywał się wrogo i obstruktywnie, a ja zaczynałem go intensywnie nienawidzić. Jednak nie żałowałem tego, co zrobiłem.

Kiedy tylko znaleźliśmy się za drzwiami, Katarina zapytała:

– Jesteś behawiorystą, prawda?

– Eklektykiem – oznajmiłem. – Pracuję nad wszystkim, łącznie z teorią behawiorystyczną.

Uśmiechnęła się z afektacją i wymachując aktówką ruszyła szybkim krokiem przez zatłoczony szpitalny korytarz. Podczas drogi do szklanych frontowych drzwi budynku, żadne z nas nie przemówiło. Kiedy dotarliśmy do wyjścia, zatrzymała się. Chwyciła neseser obiema rękami i zaczęła, aż otworzę przed nią drzwi, tak jak to uczynił Bork. Wyobraziłem sobie panią de Bosch dorastającą w otoczeniu służby.

Jej samochód stał zaparkowany przed wejściem do kliniki, w strefie przeznaczonej dla ambulansów. Był to nowy buick, duży i masywny. Czarny, ze srebrno-winyłowym dachem, błyszczał od wosku jak generalskie buty. Jeden ze szpitalnych strażników pełnił wartę przy samochodzie. Kiedy zauważył zbliżającą się panią doktor, podniósł dłoń do kapelusza. Kolejne drzwi zostały otwarte. Nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał sygnał trąbki w momencie, kiedy zajęła fotel kierowcy.

Zapaliła starter gwałtownym ruchem. Uznałem, że jawnie mnie ignoruje. Stałem tam i patrzyłem na nią przez zasuniętą szybę.

Wreszcie spojrzała na mnie i uniosła brwi, jakby zdziwiona, że nadal tam byłem.

Elektrycznie zamykana szyba została opuszczona.

– Tak?

– Mieliśmy przedyskutować szczegóły – powiedziałem.

– Szczegóły. Ja wszystko załatwię. Nie martw się o to i nie komplikuj spraw, a wszystko pójdzie gładko. W porządku?

Poczułem ścisk w gardle. Ruszyła.

– Tak, proszę pani – odparłem. Ale zanim wyrzuciłem z siebie drugie słowo, samochód odjechał.

Wróciłem do szpitala. Kupiłem w automacie kawę i poszedłem do swojego biura.

Próbowałem zapomnieć o tym, co się stało, i skoncentrować myśli na zadaniach bieżącego dnia.

Później, kiedy siedziałem przy biurku i przeglądałem ranne raporty, potrąciłem kubek i trochę kawy rozlało się na niebieską broszurę.

\*\*\*

Nie miałem od niej wiadomości aż do tygodnia poprzedzającego konferencję. Wtedy przysłała mi list z zapytaniem, czy mógłbym przygotować przemówienie. Zadzwoiłem i odmówiłem. Miałem wrażenie, że sprawiło jej to ulgę.

– Ale byłoby miło, gdybyś chociaż powitał audytorium – powiedziała.

– Byłoby?

– Tak.

Rozłączyła się.

Istotnie, pokazałem się w pierwszym dniu sympozjum i wygłosiłem kilka krótkich sloganów na powitanie. Nie zdołałem jednak wymknąć się niepostrzeżenie i spędziłem całutki ranek na podium, obok drugiego przewodniczącego – Harveya Rosenblatta, psychiatry z Nowego Jorku.

Staralem zainteresować się przemówieniem Katariny. Zastanawiałem się, czy ujrzę jej inne oblicze – bardziej przystosowane do publicznego odbioru.

Tyle tylko, że niewiele zebrało się owej publiki. W audytorium mieszczącym czterysta osób siedziało siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu terapeutów i absolwentów wyższych szkół medycznych.

Przedstawiła się imieniem i tytułem, a następnie odczytała przygotowaną, umiarkowanie monotonną, mowę. Używała zawiłych, krętych zdań, których znaczenie ulatywało po drugim czy trzecim przecinku. Wkrótce publiczność wyglądała na ogólnie skołowaną. Katarina nie przejmowała się tym. Mówiła wyłącznie do siebie.

Wspominała o dniach chwały ojca.

Przygotowując się do sympozjum, raz jeszcze przejrzałem twórczość Andreasa de Boscha i moja opinia o nim nie uległa zmianie. Jego sposób pisania był zrozumiały, ale teorie na temat wychowania dzieci; spektrum dobrej i niedobrej miłości, jakiego jego córka użyła do zatytułowania konferencji; nie wydawały się niczym więcej, niż rozszerzonymi fuzjami prac innych ludzi. Tu trochę z Anny Freud, tam troszkę Melanie Klein, a wszystko zmiksowane z dogmatami Winnicotta, Junga, Harry'ego Stacka Sullivana i Bruno Bettelheima.

Całość pracy nasycona była anegdotami o dzieciach, które leczył w swojej szkole, oraz opowiadkami z wiedeńskiej pielgrzymki i wojennych doświadczeń.

Nowe szaty cesarza, a widownia na sali nie przejawiała większego zainteresowania.

Drugiego dnia konferencji publika zmniejszyła się o połowę. Nawet przemawiający trzej analitycy z L.A. wyglądali na nieszczęśliwych, że znaleźli się w tym miejscu. Może byłoby mi żal Katariny, ale wydawała się zupełnie nieświadoma tego, co się wokół niej działo. Wyświetlała slajdy swego ojca; ciemnowłosego i lubieżnego samca, pracującego przy ogromnym, rzeźbionym biurku, zawałonym stosami książek; rysującego węglem z młodymi pacjentami i piszącego w

mrocznym świetle nocnej lampki od Tifany'ego.

Potem kolejne zdjęcie: ojciec obejmujący córkę ramionami. Nawet jako nastolatka wyglądała tak staro, że mogliby być parą kochanków. Następna zmiana zdjęć ukazywała okrytego kocem starca zatopionego w wózku inwalidzkim. W tle jawił się piękny, błękitny ocean.

Smutny, krótki film. Uczestnicy, którzy pozostali na sali, odwrócili wzrok z zakłopotaniem.

Harvey Rosenblatt wydawał się wyjątkowo dotknięty. Widziałem, jak poszarzały jego oczy.

Zaczął przeglądać notatki, które czytał już wcześniej.

Wysoki, powłóczący nogami facet około czterdziestki. Zaczął konwersację ze mną w czasie, gdy czekaliśmy na rozpoczęcie popołudniowej sesji. Jego ciepło wydawało się czymś więcej, niż tylko terapeutyczną sztuczką. Z łatwością przychodziło mu rozmawianie o swojej przeszłości, co nieczęsto zdarza się analitykom. Mówił o praktyce na Manhattanie, o dwudziestoletnim małżeństwie z psychologką oraz o zabawach i obowiązkach związanych z wychowaniem trójki dzieci. Najmłodszym z nich był piętnastoletni chłopak, którego Harvey zabrał ze sobą na wyjazd.

– Został w hotelu – oznajmił – ogląda filmy na kablówce. Pewnie te sprośne, co? Obiecałem, że wrócę za godzinę i zabiorę go do Disneylandu. Wie pan może, do której jest tam otwarte?

– Myślę, że w zimie tylko do szóstej.

– Och – zmarszczył brwi – chyba będziemy musieli zrobić to jutro. Mam nadzieję, że Josh zrozumie.

– Lubi gry wideo? – zapytałem.

– A czy kaczka kwacze?

– Może wybierzecie się do Santa Monica. Tam jest czynne do późna w nocy.

– Okay, to brzmi nieźle. Dzięki. Sprzedają tam może dobre hot-dogi?

– Sprzedają, ale nie mogę gwarantować ich jakości.

Rosenblatt uśmiechnął się.

– Josh jest koneserem hot-dogów, Alex. Fatalnie z tym Disneylandem. Nienawidzę go zawodzić.

– Uroki ojcostwa, hę? – zapytałem.

Jego twarz ponownie rozjaśnił uśmiech.

– To słodki dzieciak. Zabrałem go ze sobą, bo miałem nadzieję na małe wakacje dla nas obu.

Próbuję to robić z każdą z moich latorośli, jeśli jest już wystarczająco dorosła. Trudno pogodzić pracę z cudzymi dziećmi z brakiem czasu dla własnych. Masz swoje?

Pokręciłem głową.

– To dobra edukacja, wierz mi. Warta dużo więcej niż dziesięć lat szkoły.

– Leczysz wyłącznie małolaty? – spytałem.

– I tak, i nie. W zasadzie, to z biegiem czasu coraz mniej pracuję z dziećmi.

– A to dlaczego?

– Szczerze mówiąc, praca z dziećmi jest dla mnie zbyt męcząca. Po trzech godzinach terapeutycznej zabawy dostaję kręcka i mieni mi się w oczach. Zdaję sobie z tego sprawę, ale wiem, że niewiele zmieni się na korzyść, jeśli odejdę z tego fachu. Natomiast moja żona nie ma nic przeciwko temu. Podchodzi do sprawy w prawdziwie artystyczny sposób. Jest wspaniałą matką.

Poszliśmy do kafeterii, gdzie wypiliśmy kawę i zjedliśmy paczkę orzeszków ziemnych. Przez chwilę gawędziliśmy o kilku innych miejscach, gdzie mógłby zabrać swojego syna. Kiedy wracaliśmy do audytorium, zapytałem Rosenblatta o jego związki z parą doktorów de Bosch.

– Andreas był moim nauczycielem – odpowiedział. – W Anglii. Jedenaście lat temu byłem członkiem stowarzyszenia naukowego w Southwick Hospital, niedaleko Manchesteru.

Psychiatria dziecięca i neurologia pediatryczna. Bawiła mnie idea pracowania dla rządu i chciałem poznać brytyjski system.

– Neurologia? – zdziwiłem się. – Nie wiedziałem, że de Bosch interesował się organiczną stroną kwestii.

– Bo się nie interesował. Southwick miało charakter typowo biologiczny; nadal ma, ale Andreas był ich pokazowym analitykiem. Rodzaj... – uśmiechnął się – miałem zamiar powiedzieć „okazu”, ale to nie byłoby adekwatne. Nie, żeby stanowił jakiś relik. W zasadzie jest całkiem żywotny, trochę despotyczny w stosunku do podwładnych, ale któż z nas nie potrzebuje dyscypliny.

Weszliśmy do sali konferencyjnej. Za dziesięć minut miał się zacząć następny odczyt, a audytorium było prawie puste.

– Dobrze ci minął ten rok? – zapytałem, gdy już zajęliśmy miejsca.

– Współpracy? Pewnie. Miałem masę długoterminowej pracy z dziećmi z biednych rodzin klasy pracującej, a Andreas był cudownym nauczycielem. Wspaniale przekazywał wiedzę.

Pomyślałem, że w rodzinie de Boschów nie była to cecha genetyczna.

– Jest dobrym pisarzem – stwierdziłem.

Rosenblatt skinął głową. Skrzyżował nogi i rozejrzał się po opustoszałym audytorium.

– Jak tutaj przyjmuje się analizy dzieci? – zapytał.

– Nie używamy ich zbyt często – odparłem. – Mamy do czynienia głównie z dziećmi dotkniętymi poważnymi chorobami. Emfaza działa na krótki dystans: kontrole bólu, porady rodzinne i takie rzeczy.

– Niewiele tolerancji dla opóźnionej gratyfikacji.

– Niewiele.

– Czy uważasz to za satysfakcjonujące... jako analityk?

– Nie jestem analitykiem.

– Och – rumieniec pokrył zarośniętą twarz – zakładałem, że jesteś. W takim razie, w jaki



sposób dostałeś się na konferencję?

– Dzięki sile perswazji Katariny de Bosch.

Rosenblatt uśmiechnął się krzywo.

– Może być prawdziwym niszczycielem, prawda? Kiedy znałem ją w Anglii, była jeszcze dzieckiem. Nawet jako czternasto – czy piętnastolatka miała potężną osobowość. Przychodziła na nasze seminaria absolwenckie. Przemawiała jak prawdziwy lord.

– Krew ojca.

– Dokładnie tak.

– Czternasto – lub piętnastolatka – powiedziałem. – Więc teraz ma tylko dwadzieścia pięć albo sześć lat?

Przez chwilę myślał i zgodził się ze mną.

– Wygląda starzej.

– Tak, istotnie. Jak to mówią Chińczycy, ma starą duszę.

– Jest mężatką?

Harvey pokręcił głową.

– Kiedyś myślałem, że to lesbijka, ale teraz tak nie uważam. Ma raczej aseksualne usposobienie.

– Pobudzenie edypowskiego stylu myślenia oznacza duże braki w codziennym życiu,

Harvey.

– Kobiety cierpią na syndrom Elektry – rzekł z rozbawieniem kiwając palcem. – Naucz się rozróżniać kompleksy.

– Jedną też prowadzi.

– Co?

– Jej samochód to elektra – wielki buick.

Harvey wybuchnął śmiechem.

– No proszę, jeżeli to nie przekonuje cię do gorliwej wiary w filozofię Freuda, nie wiem, co robić.

– Anna Freud też nie wyszła nigdy za mąż, prawda? Melanie Klein również nie.

– Co, neurotyczny wzór? – zapytał, nadal krztusząc się ze śmiechu.

– Tylko przedstawiam fakty, Harvey. Wsuń teraz swoje wnioski.

– Cóż, moja córka szaleje za chłopakami, więc jeszcze nie przymierzałbym się do opublikowania tej teorii. – Nagle zaczął mówić poważnie. Mimo to jestem pewien, że siła impetu tak potężnego wzorca...

Przerwał. Zobaczyłem, jak Katarina kieruje się w naszą stronę z lewej części audytorium.

Niosła w dłoni folder i maszerowała spoglądając na zegarek.

Kiedy dotarła do nas, Rosenblatt wstał.

– Katarino, jak idzie?

W jego głosie słyhać było winę. Nie nadawał się na kłamcę.

– Świetnie, Harvey – odrzekła i spojrzała na rozpiskę – wchodzisz za dwie minuty. Możesz już zająć miejsce na podeście.

\* \* \*

Nigdy więcej nie spotkałem ani Harveya, ani Katariny. Wydarzenia tamtej jesieni szybko umknęły z mojej pamięci. Jedyne w styczniu następnego roku widziałem w gazecie nekrolog Andreeasa de Boscha. Przyczyną śmierci było samobójcze przedawkowanie środków uśmierzających ból. Zawodowe osiągnięcia analityka zostały wyliczone w podniosłych i przejawionych szczegółach. Wiedziałem, kto dostarczył detali.

Teraz, po wielu latach, kolejny ślad.

„Dobra miłość/Niedobra miłość”. Termin de Boschów określający macierzyństwo

sparszywiał.

Więc prawdopodobnie nie była to sprawa Donalda Dell Wallace'a. Wziął się za mnie ktoś inny. Z powodu konferencji?

Ktoś z drobiazgową pamięcią? Czego i o czym? Posunięcie wykonane przez doktor de Bosch? W imię de Boschijskiej teorii?

Moje wiceprzewodniczenie sprawiło, że czułem się jak uczeń, ale to był jedyny związek z tą sprawą.

Jakiś rodzaj skargi? Rzeczywistość czy tylko iluzja?

Jakiś psychopata siedzący wtedy w audytorium – słuchający, drżący z gniewu...

Pomyślałem o siedemdziesięciu nieznanym uczestnikach. Kolektywny zamęt.

I dlaczego morderca Becky Basille wykrzykiwał „parszywa miłość”?

Następny szalenciec?

Odpowiedź mogła znać Katarina. Ale nie była mi przychylna wtedy, w siedemdziesiątym dziewiątym, więc nie sądziłem, że teraz zechce rozmawiać.

Chyba że też otrzymała podobną kasetę i również była przestraszona.

Wykręciłem 805 na informację. Nie mieli numeru Instytutu de Boscha ani Szkoły

Poprawczej. Poprosiłem o numer biura Katariny de Bosch, a potem o domowy. Nic.

Odłożyłem słuchawkę i sięgnąłem po ostatnie wydanie słownika Stowarzyszenia

Amerykańskich Psychologów. Znowu nic. Wyszperałem kilka starszych tomów. Wreszcie

znalazłem namiary na Katarinę de Bosch w edycji słownika wydanego pięć lat temu. Adres i numer telefonu były danymi szkoły w Santa Barbara. Zadzwoiłem licząc na to, że towarzystwo telefoniczne popełniło omyłkę.

Odebrała jakaś inna kobieta:

– Taco Bonanza – metaliczne trzaski i krzyki zagłuszały dźwięk głosu.

Przerwałem połączenie i zasiadłem przy biurku. Łechtałem buldoga po głowie i gapiłem się na broszurę zalaną kawą.

Harvey Rosenblatt.

Dwunasta trzydzieści tutaj, oznaczała wpół do piątej w Nowym Jorku. Zdobyłem numer Nowojorskiej Wyższej Szkoły Medycznej. Zadzwoiłem i poprosiłem z działem psychiatrii. Po kilku minutach oczekiwania poinformowano mnie, że żaden doktor H. Rosenblatt nie figuruje na liście pracowników kliniki.

Mamy Leonarda Rosenblatta – oznajmiła sekretarka. – Jego biuro znajduje się poza szpitalem w New Rochelle. Jest też Shirley Rosenblatt na Manhattanie, na Sześćdziesiątej Piątej Ulicy.

– Czy Shirley jest doktorem medycyny czy psychiatrii?

– Ummm – chwileczkę – to doktor filozofii i kliniczny psycholog.

– Ale żadnego Harveya?

– Niestety, proszę pana.

– Czy ma pani gdzieś wykaz starszych pracowników, którzy przenieśli się na emeryturę?

– Może coś takiego tu się znajduje, proszę pana, ale naprawdę nie mam czasu szukać. Jeśli pan wybaczy...

– Czy mogłaby pani mi podać numer Shirley Rosenblatt?

– Chwileczkę.

Zapisałem podane cyfry. Zadzwoiłem na informację Manhattanu i dowiedziałem się, że w ich specyfikacjach nie figuruje żaden Harvey Rosenblatt, doktor medycyny. Wykręciłem numer Shirley.

Miękki żeński głos z brooklyńskim akcentem oznajmił:

– Tu mieszkanie Shirley Rosenblatt. Jestem na sesji lub poza biurem i nie mogę odebrać

telefonu. Jeśli dzwonisz w naprawdę ważnej sprawie, naciśnij jedynekę. Jeśli nie, proszę wciśnij dwójkę, poczekaj na sygnał i zostaw wiadomość. Dziękuję i życzę cudownego dnia.

W tle muzyka Mozarta... biiip.

– Doktor Rosenblatt, mówi doktor Alex Delaware z Los Angeles. Nie jestem pewien, czy jest pani żoną Harveya Rosenblatta i czy w ogóle go pani zna. Spotkałem go kilka lat temu na konferencji i chciałbym nawiązać z nim kontakt w sprawie badań naukowych. Jeśli może pani pomóc mi w odnalezieniu go, bardzo proszę o przekazanie mojego numeru telefonu.

Wyrecytowałem dziesięć cyfr i odłożyłem słuchawkę na widełki. Pół godziny później nadeszła poczta. Nic nadzwyczajnego, ale kiedy usłyszałem trzask, z jakim spadła do skrzynki, moje serce zabiło gwałtowniej.

## **Rozdział piaty**

Poszedłem na dół, żeby nakarmić ryby, a kiedy wróciłem, dzwonił telefon. Operator mojej centrali oznajmił:

– Tu Joan, doktorze Delaware, jest pan wolny? Na linii ktoś w sprawie psa, chyba jakieś dziecko.

– Oczywiście.

Sekundę później cienki młody głos powiedział:

– Halo?

– Cześć, przy telefonie doktor Delaware.

– Umm... mówi Karen Alnord. Mój pies się zgubił, a pan napisał, że znalazł buldoga.

– Tak, istotnie, to mały francuski buldog.

– Och... mój to bokser.

– Przykro mi, ten nie jest bokserem, Karen.

– Och... po prostu myślałam... wie pan, czasami ludzie myślą je z buldogami.

– Ja też widzę podobieństwo – odparłem. – Płaska mordka...

– Taak.

– Ale ten, którego znalazłem, jest dużo mniejszy od boksera.

– Mój to szczeniak – powiedziała. – Jeszcze nie jest zbyt wielki.

Oszacowałem jej wiek na dziesięć lub jedenaście lat.

– Ten buldog jest bez wątpienia w pełni dorosły, Karen. Wiem, ponieważ zabrałem go do weterynarza.

– Och... umm... okay. Dziękuję panu.

– Gdzie zgubiłaś swojego psa, Karen?

– Niedaleko domu. Mamy bramę, ale ktoś zostawił ją otwartą i pies się wydostał.

– Naprawdę mi przykro. Mam nadzieję, że go odnajdziesz.

– Znajdę – powiedziała załamany głosem. – Też dałam ogłoszenie. I dzwonię po wszystkich ogłoszeniach, chociaż moja mama twierdzi, że to nie ma sensu. Daję również nagrodę, dwadzieścia dolarów, więc jeśli go pan znajdzie, może je pan dostać. Nazywa się Bo. Ma przypięty do obroży uchwyt w kształcie kości, na którym jest wypisane jego imię i mój numer telefonu.

– Będę się rozglądał, Karen. Gdzie mieszkasz?

– Reseda. Pomiędzy Sherman Way i Saticoy. Jego uszy nie były przycinane. Jeśli go pan znajdzie, proszę, oto mój numer telefonu.

Zapisałem cyfry, chociaż Reseda leżała około dwudziestu kilometrów na północ.

– Powodzenia, Karen.

– Dziękuję panu. Mam nadzieję, że ten buldog znajdzie właściciela.

Przypomniałem sobie wtedy, że nie dzwoniłem jeszcze do Kennel Club.

Informacja podała mi numery w Nowym Jorku i w Północnej Kalifornii. W obydwu

miejskach odzywały się automatyczne sekretarki, które oznajmiały, że godziny pracy już minęły.

– Jutro – poinformowałem buldoga.

Obserwował mnie z zainteresowaniem. Martwił mnie fakt, że prawdopodobnie ktoś za nim rozpacział, ale nie wiedziałem, co innego mogę zrobić niż zaopiekować się tym psem.

Opieka znaczyła dostarczenie mu jedzenia, wody i schronienia. Także spaceru, jeśli robiło się dostatecznie chłodno.

Do spacerów potrzebna była smycz.

Wybraliśmy się razem na przejażdżkę do sklepu zoologicznego na Westwood. Kupiłem smycz, trochę psiej karmy, herbatniki o rozmaitych smakach i kilka nylonowych kości, o których sprzedawca zapewniał, iż są wyśmienite. Po powrocie uznałem, że pogoda będzie idealna na przechadzkę. Kiedy zakładałem mu smycz, stał spokojnie, jedynie gwałtownie merdał ogonkiem.

Unikając ruchu ulicznego, odbyliśmy półgodzinny spacer po Glen.

Kiedy wróciliśmy, zadzwoniłem do mojej sekretarki. Joan oznajmiła:

– Był właśnie telefon od pani Rodriguez... chwileczkę, ktoś właśnie dzwoni.

Poczekalem i za moment znowu usłyszałem jej głos:

– Na linii pan Silk, mówi, że chciałby umówić się na wizytę.

– Dzięki, przełącz go.

Klik.

– Doktor Delaware.

Cisza.

– Halo?

Nic.

– Pan Silk?

Żadnej odpowiedzi. Kiedy już chciałem rozłączyć się, ze słuchawki wydobył się niski

dźwięk. Mamrotanie...? Nie. Śmiech.

Głęboki, gardłowy chichot.

– Cha, cha, cha.

– Kto mówi? – zapytałem.

– Cha, cha, cha.

Nie odezwałem się.

– Cha, cha, cha.

Głucha cisza.

Połączyłem się ponownie z Joan.

– Joan, czy ten facet, który dzwonił przed chwilą, podał coś poza swoim nazwiskiem?

– Nie. Zapytał tylko, czy równie dobrze leczy pan dorosłych co dzieci.

Odpowiedziałam, że musi na ten temat porozmawiać z panem.

– I podał nazwisko Silk? Jak jedwab?

– Tak usłyszałam. Czy coś nie tak, doktorze?

– On nic nie mówił, tylko się śmiał.

– No cóż, to pewnego rodzaju maniactwo. Pański problem, nieprawdaż, doktorze?

Evelyn Rodriguez natychmiast odebrała telefon. Kiedy usłyszała mój głos, zamilkła.

– Co słyhać? – zapytałem.

– Wszystko świetnie.

– Wiem, że to dla pani kłopotliwe, ale chciałbym się zobaczyć z dziewczynkami.

– Tak, kłopotliwe – odpowiedziała. – Cała ta podróż do pana.

– To może ja przyjadę do was?

Żadnej odpowiedzi.

– Pani Rodriguez?



– Zrobiłby pan to?

– Tak.

– Jest jakiś kruczek?

– Żaden kruczek. Po prostu chciałbym w największym stopniu ułatwić pani całą sprawę.

– Dlaczego?

Żeby pokazać Donaldowi Dell Wallace, że nie da się mnie zastraszyć.

– Żeby pomóc dziewczynom – odpowiedziałem.

– Uh-hmm... płacą panu za poświęcony czas, zgadza się? Jego... banda pogan.

– Sędzia uczynił Donalda Della odpowiedzialnym za pokrycie kosztów wystawienia opinii, pani Rodriguez, ale jeśli już o tym rozmawiamy, nie obliguje mnie to w żadnym stopniu względem niego.

– Uh-hm.

– Czy to sprawia pani kłopot? – zapytałem. – Fakt, że właśnie on płaci?

Przez moment się nie odzywała, a potem stwierdziła:

– Założę się, że nieźle pan sobie liczy.

– Wedle zwykłej stawki – odparłem, zdając sobie sprawę, że mówię tonem świadka afery Watergate.

– Jestem pewna, że wliczone są w nią koszty przejazdu i wszystkich innych drobiazgów. Od drzwi do drzwi, tak jak prawnicy.

– Dokładnie tak.

– To dobrze – rzekła rozciągając słowo. – Więc niech pan przyjedzie i proszę jechać wolno.

Proszę włączyć licznik i niech te dranie płacą.

Złośliwy śmiech.

– Kiedy wobec tego mam się pojawić? – zapytałem.

– Może teraz? Latają tu jak dzicy Indianie, pan by je uspokoił. Może wyjedzie pan

natychmiast? Jest pan na to przygotowany?

– Będę tam za jakieś czterdzieści pięć minut.

– Proszę bardzo. Siedzimy cały czas na miejscu. Nie wybieramy się na żadne wakacje do Honolulu.

Rozłączyła się, zanim mogłem spytać o drogę. Sprawdziłem adres w aktach. Zostawiłem psu wodę, jedzenie i kość i wyszedłem. Wcale nie czułem się nieszczęśliwy z powodu wykorzystywania budżetu Żelaznych Zakonników.

\* \* \*

Mknąc szosą 405, wpadłem w zgiełk ruchu ulicznego północnej strefy. Sporo czasu spędziłem w korkach, słuchając muzyki i starając się zachować cierpliwość. Wreszcie przebiłem się do 118-tej Wschodniej, a potem do 210-tej. Wjechałem do opustoszałej części miasta i nabierałem prędkości, w miarę jak przersedzały się droga i powietrze.

Dotarłem do handlowej odnogi Foothill Boulevard, która biegła równoległe do gór. Mijałem sklepy z częściami samochodowymi, konfekcją i meblami.

Kilka minut później zauważyłem McVine i skręciłem w lewo. Ulica była wąska, a krawężniki zarastała sucha żółta trawa. Domy były małe i niskie, a niektóre z nich zastępowały po prostu ustawione na fundamentach przyczepy.

Rezydencja Rodriguezów znajdowała się na rogu północno-wschodnim. Ganek szpeciły trzy okna w metalowych obramowaniach. Jedno okratowane. Wysoki, różowy mur otaczał tył posiadłości.

Wysiadłem z samochodu. Śliwkowy chery Evelyn stał zaparkowany po lewej stronie ulicy, tuż za czerwonym półtonowym pikapem z dwoma naklejkami na zderzaku. Jedna wychwalała drużynę Raiders, a druga ostrzegała, by chronić dzieci przed narkotykami. Nalepka na drzwiach

kierowcy oznajmiała: R and R MURARSTWO.

Nacisnąłem dzwonek, który zabrzmiał jak bzyczenie osy. Drzwi otworzyła jakaś kobieta.

Spojrzała na mnie przez dym unoszący się znad świeżo zapalonego virginia slim.

Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, jasną karnację i tłuste blond włosy splecione w warkocz. Była niska i chuda. Ciemne oczy i szerokie kości policzkowe nadawały jej słowiańskiego charakteru. Sylwetka idealnie pasowała do ery unisexu; muskularne ramiona; wysokie piersi i długie nogi prowadzące do bioder niewiele szerszych niż męskie. Ubrana była w obcisłe dżinsy i trykotową, błękitną koszulkę podciągniętą tak wysoko, że odsłaniała pępek.

Miała bose stopy. Jedną z nich lekko uderzała o podłogę.

– Pan jest tym doktorem? – zapytała ochryplym głosem przez smugę dymu.

– Delaware – przedstawiłem się i wyciągnąłem rękę.

Sięgnęła po moją dłoń i ścisnęła ją mocno, z uśmiechem na ustach.

– Jestem Bonnie. Czekają na pana, proszę wejść.

Salon był duży i śmierdział starym tytoniem. Podłogę zdobił włochaty dywan, a ściany – sosnowa boazeria. Długa brązowa sztruksowa sofa biegła wzdłuż czarnej ściany. Nad kanapą wisiała ryba – symbol odrodzenia. Po lewej stronie stała konsola z telewizorem i magnetowidem. Na stoliku brydżowym zauważyłem popielniczkę, wypełnioną po same brzegi niedopałkami.

Pozostałą część powierzchni zajmowała kuchnia. Oba pomieszczenia oddzielały chromowane drzwi. Bonnie otworzyła je pchnięciem, wpuszczając do środka dużo słonecznego światła, i poprowadziła mnie dalej przez krótki hol. Przy końcu korytarza znajdowała się przytulna salka ze ścianami z surowej cegły. Kolejny telewizor, porcelanowe figurki nad kominkiem, a poniżej trzy wiszące strzelby.

Bonnie otworzyła szklane drzwi i weszliśmy na podwórze. Był to mały kwadratowy placyk z

wyschniętą trawą, otoczony wysokim różowym murem. Na jednym rogu rosło avokado, ogromne i przekrzywione. Z cienia, które rzucała roślina, wylaniał się owalny basen z wodą bardziej błękitną niż niebo. W tym basenie siedziała Chondra, pluskając się z entuzjazmem. Odwrócona do nas tyłem Tiffani skakała przez rozciągniętą gumę.

Evelyn Rodriguez siedziała pomiędzy nimi na rozkładanym krześle. Pracowała nad breloczkiem i paliła papierosa. Miała na sobie białe szorty, ciemnoniebieską koszulę i gumowe plażowe sandały. Obok krzesła, na trawie, leżała jej torebka.

– Hej – zawołała Bonnie i cała trójka podniosła wzrok.

Pomachałem ręką. Dziewczynki wytrzeszczyły oczy.

– Idź, przynieś mu krzesło – rozkazała Evelyn.

Bonnie uniosła powieki i oddaliła się.

Evelyn zmarszczyła brwi, spojrzała na zegarek i posłała mi uśmiech.

– Czterdzieści dwie minuty. Nie mogłeś się pan zatrzymać na kawę albo coś?

Zmusiłem się do parsknięcia.

– Oczywiście, to co pan rzeczywiście robi, nie ma żadnego znaczenia. Zawsze można powiedzieć zupełnie co innego, zgadza się? Może pan mówić, cokolwiek pan zechce, jak każdy prawnik, nie?

Rzuciła papierosa w trawę.

Podszedłem do basenu. Chondra odpowiedziała na moje „cześć” nieznacznym, cichym uśmiechem. Tym razem pokazała kilka zębów – duży postęp.

– Pisze już pan swoją książkę? – zapytała Tiffani.

– Jeszcze nie, potrzebuję więcej informacji od ciebie.

Skinęła głową.

– Dowiedziałam się mnóstwa prawdy... nie chcemy go nawet widzieć.

Chwyciła oparcie ławki i zaczęła rytmicznie podrygiwać.

– Baw się dobrze – powiedziałem, ale nie odpowiedziała.

Pojawiła się Bonnie z rozkładanym krzesłem. Podszedłem i zabrałem je od dziewczyny.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do domu, energicznie ruszając tyłkiem. Evelyn wytarła nos i zapytała:

– No i?

Rozłożyłem krzesło.

– No i co?

– Ma to jakieś znaczenie? To co się dzieje? Przecież robi pan to, co zechce; napisze pan to, co zechce, no nie?

Usiadłem obok niej tak, by widzieć obie dziewczynki. Chondra siedziała nieruchomo w basenie i gapiała się na pień avokado.

– Wychodzisz już? – zawołała Evelyn.

Chondra pokręciła głową i ponownie zaczęła się pluskać. Robiła to wolno, jakby odpracowując codzienny kierat. Jej białe warkoczyki przybrały kolor zaśnieżonego brązu. Nad różowymi ścianami niebo było stateczne i błękitne. Niżej skrywała się pokryta sadzą chmura. Ktoś w sąsiedztwie piekł jakieś smakołyki i zapach tłuszczu i przypraw unosił się rozwiewany przez jesienne, gorące powietrze.

– Myśli pani, że nie będę uczciwy, hę? – zapytałem. – Ogólny uraz do lekarzy, czy chodzi wyłącznie o moją osobę?

Odwróciła się powoli w moją stronę.

– Myślę, że powinien pan wykonać swoją pracę i wracać do domu odparła – jak każdy inny.

Myślę, że robi pan to, co najlepsze dla pana, jak wszyscy.

– Szczera odpowiedź – stwierdziłem. – Nie zamierzam siedzieć tutaj i wmawiać pani, że

jestem jakimś świętym, który pracuje za darmo albo, że naprawdę wiem, co pani teraz przechodzi, bo dzięki Bogu nie wiem. Ale wydaje mi się, iż rozumiem pani wściekłość. Jeśli ktoś zrobiłby to mojemu dziecku, byłbym gotów go zabić. Nie ma co do tego dwóch zdań.

Wyjęła z kieszeni winstony i wysunęła papierosa z paczki. Chwytając go między dwa palce odezwała się:

– Och, doprawdy? To byłaby zemsta, a według Biblii jest to wielce nieprzyzwoity akt.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko. Kiedy wypuszczała dym, jej nozdrza się zwężyły.

Tiffani zaczęła skakać bardzo szybko. Zastanawiałem się, czy słyszy, o czym rozmawiamy.

Evelyn pokręciła głową.

– Kiedyś złamie sobie kark – stwierdziła.

– Ma dużo energii – przyznałem.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Ruthanne też była taka?

Wciągnęła dym, skinęła głową i zaczęła płakać. Łzy spływały po jej twarzy, a ona ścierała kropelki gniewnymi ruchami dłoni. Wysunęła pierś do przodu i przez chwilę sądziłem, że zamierza odejść.

– Ruthanne była dokładnie taka jako dziecko. Ciągłe w ruchu. Nigdy nie mogłabym... Miała duszę. Miała cudowną duszę.

Pociągnęła nosem.

– Chce pan kawy?

– Pewnie.

– Niech pan chwilę zaczeka.

Poszła do mieszkania.

– Hej, dziewczyny! – zawołałem.

Tiffani nie przestała skakać. Chondra podniosła wzrok. Miała lekko otwarte usta i kropelki wody jak pot pokrywały jej czoło. Podeszedłem do niej.

– Dużo pływasz?

Skinęła bardzo dyskretnie głową, a potem odwróciła się w stronę avokado. Z gałęzi zwisały młode owoce, niektóre szerniały od działania robactwa. Tiffani pomachała do mnie. Później zaczęła głośno śpiewać.

*Poszłam do chińskiej restauracji, by dostać bochenek chleba, chleba, chleba, był tam mężczyzna z wielkim wąsem i oto co powiedział, powiedział, powiedział El eye, el eye, ty moja piękności...*

Nadeszła Evelyn niosąc parę kubków. Za nią maszerowała Bonnie z talerzem pełnym andrutów. Wyraz jej twarzy oznajmiał, że czuje się stworzona do lepszych zajęć.

Podeszedłem z powrotem do krzesła.

– Proszę – rzekła Bonnie. Wręczyła mi talerz i oddaliła się pospiesznie.

Evelyn podała mi kubek.

– Czarną czy ze śmietanką?

– Czarną.

Usiedliśmy. Balansowałem z talerzem na kolanach.

– Proszę spróbować – zachęcała mnie pani Rodriguez. – Chyba że jest pan jednym z tych fanatyków zdrowej żywności?

Uniosłem wafel i wsunąłem do ust. Miał nieświeży cytrynowy smak.

– Nie wiem, może ja też powinnam zacząć się zdrowo odżywiać. Zawsze daję dzieciakom słodycze i cukier, cokolwiek zechcą, a może nie powinnam. Mój chłopak zdezerterował dwa lata temu z jednostki w Niemczech i nawet nie wiem, gdzie teraz jest. To dziecko nie ma zielonego

pojęcia, co zrobić ze swoim życiem, a Ruthie...

Pokręciła głową i zerknęła na Tiffani.

– Uważaj na głowę przy tej gałęzi!

– „Dziecko” to Bonnie? – zapytałem.

– Jest zupełnie jak jej tata – mógł zostać gwiazdorem filmowym. Jeden raz w życiu poleciałam na wygląd i Boże, co to był za okropny błąd. Odszedł trzynaście miesięcy po ślubie. I zostawił mnie z dzieckiem w pieluchach. Pojechał do Luizjany pracować przy łodziach podwodnych. Wkrótce potem zginął. Powiedzieli, że to był wypadek. Nie dbał nigdy o ubezpieczenie, więc nie dostałam ani centa.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Miał wybuchowy charakter. Jak zresztą wszyscy moi mężczyźni. Roddy też, chociaż trzeba czasu, żeby go pobudzić. To Meksykanin, ale najlepszy ze wszystkich.

Pogładziła kieszonkę, w której trzymała papierosy.

– Słodczyce, złe temperamenty i nowotwory. Czy ja przez to wszystko naprawdę przesłam?

Jej oczy ponownie zaszły wilgocią. Zapaliła papierosa.

– Wszystkie te wspaniałe rzeczy – dodała.

Trzymała papierosa w ustach; ścisnęła dłonie i rozluźniała je, powtarzając to bez końca.

Zapomniany breloczek spoczywał w trawie.

– Nigdzie nie widzę tu pani winy – powiedziałem.

Wyjęła papierosa z ust i spojrzała na mnie.

– Co pan mówi?

– Że nie widzę tu pani winy. Wszystkim należy obwiniać Donalda Della. Sto procent całości.

Próbowała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Nikt inny nie powinien nieść tego ciężaru, Evelyn. Ani Ruthanne, która zgodziła się z nim



pójść tamtej nocy, ani z pewnością nie ty, za sposób, w jaki wychowałaś córkę. To wyłącznie

Dell musi ponieść teraz ten krzyż.

Patrzyła na mnie, ale się wahała. Kontynuowałem dalej swój wywód:

– On jest złym facetem; robi paskudne rzeczy i nikt nie wie dlaczego. Teraz musisz być znowu mamą, czego wcale nie planowałaś. Zamierzasz to zrobić bez zbytniego narzekania i będziesz robić wszystko, co w twojej mocy. Nikt za to nie zapłaci, więc musisz dać coś samej sobie.

– Słodkie gadanie. Mówisz mi to, co chcę usłyszeć – powiedziała ostrożnie, ale bez złości.

– Mówię wprost. Masz rację, każdy z nas robi, co uważa dla siebie za najlepsze. A ja naprawdę lubię zarabiać pieniądze. Długo chodziłem do szkoły, żeby nauczyć się tego, co robię. Jestem wart wysokiej zapłaty, więc jej żądam. Lubię też dobrze spać w nocy.

– Ja również i co z tego? – zaciągnęła się, odkaszlnęła i zgasiła papierosa ze wstrętem. –

Wiele wody upłynęło od czasu, kiedy spałam spokojnie.

– To potrwa.

– Taak... jak długo?

– Nie wiem, Evelyn.

– Przynajmniej jesteś szczery. Może.

– A co z dziewczynkami? – spytałem. – Jak sypiają?

– Nie za dobrze – odrzekła – jak by mogły? Młodsza budzi się w nocy i płacze, że jest głodna. To śmieszne, ponieważ je przez cały dzień, choć nie widać tego po niej, prawda? Możesz nie wierzyć, ale też byłam taka. Wstaje trzy razy w nocy, chce ciastka i lodów.

– Dostaje?

– Do diabła – nie. Jest pewna granica. Daję jej kawałek pomarańczy albo ciastka i odsyłam do łóżka. Ale i tak następnym razem jest to samo.

– A co z Chondrą?

– Nie wstaje, ale często słyszę, jak płacze pod kołdrą.

Evelyn spojrzała na starszą z dziewczynek, która siedziała nieruchomo w centrum basenu.

Jest mniej wytrzymała, miękka jak galareta. Westchnęła i spojrzała na kawę.

– Słabo zaparzona. Mogłam zrobić lepszą, – Jest niezła – stwierdziłem i wypilem dla potwierdzenia swoich słów.

– Niezła, ale nie wspaniała. Nie widuję tu wokół zbyt często wspaniałych rzeczy. Mój drugi mąż, ojciec Briana, miał sporą posiadłość niedaleko Fresno. Plantację winogron, kilka koni...

Mieszkaliśmy tam parę lat. To było prawie wspaniałe.. cała ta przestrzeń. Potem zaczął pić i wszystko diabli wzięli. Ruthie kochała to miejsce, szczególnie konie. Niedaleko stamtąd, w Shadow Hills, jest stadnina, ale bardzo droga. Zawsze chcieliśmy ją przejąć, lecz nigdy się nie udało.

Słońce spłynęło za ciemną chmurę i podwórze okrył cień.

– Co zamierzasz z nami zrobić? – spytała.

– Z wami?

– Jaki masz plan?

– Chciałbym pomóc.

– Jeśli chcesz pomóc dziewczynkom, trzymaj je z dala od Della. To wszystko. On jest prawdziwym diabłem.

– Tiffani nazwała go „narzędziem szatana”.

– Tak jej powiedziałam – odparła. – Jest w tym coś złego?

– Absolutnie nie.

– To wiara, która mnie podpira.

– Jak Ruthie go poznała?

Ramiona Evelyn zadrgały.

Była kelnerką w barze Tujunga. On przesiadywał tam ze swoją paczką i umawiała się z nim wiele miesięcy wcześniej, zanim mi o tym powiedziała. Kiedy przyprowadziła go do domu, ja po pierwszym spojrzeniu powiedziała im: „nie, nie, nie”. Po moich doświadczeniach potrafię poznać zgniłe jabłko.

Ostrzegałam ją wiele razy, ale to nie pomogło. Może poddałam się zbyt łatwo, nie wiem.

Miałam własne problemy, a Ruthanne uważała, że nie powiem nic mądrego.

Zapaliła następnego papierosa i zaciągnęła się nerwowo kilka razy.

– Była uparta, to był jej prawdziwy, jedyny grzech.

Wypiłem resztę kawy.

– Nie masz nic do powiedzenia, doktorku? A może cię nudzę?

– Wolę słuchać.

– I płacą ci za to pieniądze? Dobra fucha.

– Uczciwa praca – oznajmiłem.

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy widziałem na jej twarzy przyjazny uśmiech.

– Uparta – powtórzyła Evelyn. Zaciągnęła się, wypuściła dym i zawołała: – Jeszcze pięć minut, a potem do domu odrabiać lekcje, obydwie!

Dziewczynki zignorowały komendę. Evelyn wciąż spoglądała na nie, jakby zapomniała, że też tam jestem. Nagle odwróciła się i popatrzyła na mnie.

– Więc, panie swobodny słuchaczu, czego pan chce ode mnie i moich małych kobietek?

To samo pytanie zadała na pierwszym spotkaniu.

– Wystarczająco dużo czasu, żeby dokładnie się dowiedzieć, jak wpłynęła na nie śmierć matki – odpowiedziałem.

– A jak myślisz, że wpłynęła? Kochały matkę. Są zdruzgotane.

- Muszę to sprecyzować dla sądu.
- To znaczy?
- Muszę wskazać symptomy, które udowodnią ich psychiczne cierpienie.
- Zamierzasz stwierdzić, że zwariowały?
- Nie, nic takiego. Będę mówił o symptomach roztrzęsienia. Jak na przykład problemy ze snem, zmiany apetytu, sprawy, które wstrząsają nimi na myśl o Dellu. W innym wypadku system je zniszczy. Niektóre z tych rzeczy mogę usłyszeć od ciebie, ale muszę także porozmawiać z nimi.
- Czy gadanie nie pogorszy jeszcze bardziej wszystkiego?
- Nie – odparłem – odwrotnie, tłumienie uczuć może stwarzać problemy.

Obdarzyła mnie sceptycznym spojrzeniem.

- Nie zauważyłam, żeby do tej pory dużo z tobą rozmawiały.
- Potrzebuję czasu, żeby zdobyć ich zaufanie.

Pomyślała nad tym przez chwilę.

- Tak, nie będziemy tutaj siedzieć i kłapać szczękami.
- Moglibyśmy zacząć od lekcji historii. Opisz mi, co pamiętasz z okresu, kiedy były małymi dziećmi. Każdy najmniejszy szczegół może okazać się istotny.
- Historia, he?

Zaciągnęła się głęboko, jakby starając się wyssać maksimum trucizny z papierosa.

- Więc teraz przechodzimy do historii... taak, mam ci wiele do powiedzenia. Może wyciągniesz ołówek i zaczniesz notować.

## **Rozdział szósty**

Mówiła, podczas kiedy niebo coraz bardziej szarzało, a dziewczynki nadal się bawiły.

Wspominała koszmary, dni udręki i tragedie bycia sierotą. O piątej trzydzieści przyszła Bonnie i

zapaliła dwie lampy, które rozjaśniły podwórze. Jej matka przerwała zwierzenia, wstała i rozkazała dziewczynkom:

– Idźcie już do domu.

Kiedy tylko odeszły, pojawił się jakiś mężczyzna, który zbliżał się do nas zacierając dłonie.

Był niewysoki, około sześćdziesiątki, z nisko zawieszoną talią i długimi wytatuowanymi ramionami. Poruszał się chwiejnym krokiem. Oczy osłaniały gęste, szare rzęsy, a wąsy w kolorze stali zdobiły usta. Miał na sobie koszulę roboczą w kolorze khaki i niebieskie dzinsy z podwiniętymi nogawkami. W miarę jak się zbliżał, coraz szybciej pocierał dłońią o dłoń.

Evelyn przywitała go uniesieniem ręki.

Odpowiedział podobnym gestem i spojrzał na mnie.

– To jest ten doktor – wyjaśniła. – Odbywamy miłą pogawędkę.

Skinął głową. Na koszuli miał wyryty owalny emblemat z napisem „Roddy”. Z bliskiej odległości dostrzegłem, że jego twarz jest w kilku miejscach ospowata. Parę blizn zbiegało się na podbródku Roddy’ego.

Wyciągnąłem rękę na powitanie.

Spojrzał na swoje dłonie, uśmiechnął się z zażenowaniem i powiedział:

– Brudne. – Miał chropowaty, miękki głos.

Opuściłem rękę. Uśmiechnął się ponownie i skinął głową w ukłonie.

– Doktor Delaware – przedstawiłem się.

– Roddy. Miło poznać – rzekł z góralskim akcentem. Kiedy opuścił rękę, zauważyłem tatuaże na kostkach palców: M-I-Ł-O-Ś-Ć. Amatorska robota: N-I-E-N-A-W-I-Ś-Ć. Na fałdce pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym dostrzegłem mały niebieski krucyfiks. Tuż obok drobny pajęczek z czerwonymi oczami pracował nad subtelną pajęczyną. Wsunął ręce do kieszeni.

– Jak ci minął dzień? – zapytała Evelyn.

Wyglądała, jakby chciała przytulić męża.

– W porządku – pociągnął nosem Roddy.

– Głodny?

– Tak, zjadłbym coś – zatarł ręce. – Muszę się umyć.

– Pewnie, ojczulku.

Poszedł do domu.

– Cóż – odezwała się Evelyn – idę do kuchni. Zresztą chyba już za późno na rozmowę z dziewczynkami. Może pan przyjedzie jutro.

– Świetnie.

Weszliśmy do budynku. Chondra i Tiffani siedziały na kanapie i oglądały kreskówki w telewizji. Tiffani trzymała pilota.

– Do widzenia, dziewczyny.

Wytrzeszczone oczy.

– Pożegnajcie się z doktorem.

Dziewczynki podniosły wzrok. Niepewne uśmiechy.

– Opuszczam was teraz – oznajmiłem. – Przyjadę jutro. Może będziemy mieli okazję, żeby porozmawiać.

– Do zobaczenia – powiedziała Tiffani i szturchnęła łokciem siostrę.

– Do widzenia – rzekła Chondra.

Evelyn zniknęła. Znalazłem ją w kuchni; wyciągała coś z lodówki. Rodriguez leżał rozciągnięty na kanapie z piwem w ręce.

– Do jutra – pożegnałem się.

– Jedną sekundę.

Evelyn podeszła do mnie. W dłoni trzymała mrożoną porcję jakiejś dietetycznej potrawy.

– Może lepiej pojutrze. Zapomniałam, że mam parę spraw do załatwienia.

– W porządku. O tej samej porze?

– Pewnie – spojrzała na mrożonkę i pokręciła głową. – Co powiesz na nowojorski stek?! – krzyknęła do męża.

– Taak – odpowiedział nie otwierając oczu.

– Lubi steki – poinformowała mnie cicho. – Jak na faceta swoich rozmiarów, jest prawdziwym pochłaniaczem mięsa.

Odprowadziła mnie do frontowych drzwi.

Utknąłem w korku przy zachodnim wylocie 210. Zaparkowałem przed domem dopiero po siódmej. Gdy wszedłem do mieszkania, pies powitał mnie z opuszczoną głową. Wyglądał na przegranego. Najpierw poczułem przyczynę, a następnie zobaczyłem ją w pobliżu drzwi na ganek.

– To moja wina, że zostawiłem cię w zamknięciu. – Pogładziłem go po karku, a buldog obdarzył mnie pełnym wdzięczności liźnięciem. Zaraz potem przetoczył się do drzwi lodówki.

– Powoli, chłopie, powoli.

Posprzątałem bałagan, myśląc o odpowiedzialności ciąży na miłośnikach czworonogów, i zadzwoniłem do centrali zastanawiając się, czy ktoś odpowiedział na ogłoszenie. Okazało się, że nikt. Nie było też żadnych wiadomości od Shirley Rosenblatt ani od pana Silka. Operatorka przekazała mi treść kilku służbowych telefonów. Postanowiłem zapomnieć o kasecie, ale głos tego dziecka zakleszczył się w moim umyśle i nie pozwolił spokojnie siedzieć.

Nakarmiłem psa i zacząłem się zastanawiać, co przyrządzić na kolację dla siebie, kiedy zadzwonił Milo.

– Żadnych odcisków na kasecie poza twoimi. Jakies dalsze problemy z pocztą?

Po głosie wyczułem, że był zmęczony.

– Nie, ale miałem telefon.

Opowiedziałem mu o chichoczącym mężczyźnie.

– Silk, hę? To jakiś świr. Wygląda na to, że uwikłałeś się w zwariowaną sprawę.

– Nie myślisz tak chyba serio?

Pauza.

– Większość takich facetów to tchórze, wolą pozostawać na drugim planie. Ale, szczerze mówiąc, Alex, kto wie?

– Myślę, że chyba już wiem, co znaczy ta „niedobra miłość”, i opowiedziałem mu o sympozjum.

– Siedemdziesiąty dziewiąty rok – zdziwił się. – Jakiś świr z wyjątkowo dobrą pamięcią.

– Myślisz, że to zły znak?

– Myślę... Spotkajmy się i wtedy pogadamy. Jadłeś już?

– Nie.

– Jestem w Palms, mam tu do załatwienia kilka spraw. Moglibyśmy się tu gdzieś spotkać za jakieś pół godziny.

– Może lepiej nie – stwierdziłem. – I tak już dzisiaj zostawiłem mojego gościa samego na ładne parę godzin.

– Jakiego gościa? Och tego. Dlaczego nie możesz go zostawić samego. Czy jest samotny i przygnębiony?

– Bardziej chodzi o potrzeby fizjologiczne – wyjaśniłem, łechocząc zwierzę za uszami. –

Właśnie przed chwilą jadł i może potrzebować łatwej drogi ewakuacyjnej.

– Ewaku... och... zabawne. Dobra, Alex, zainstaluj drzwi dla psa, a potem będziesz mógł korzystać z życia.



– To oznacza wywiercenie dla niego dziury. A on jest tylko tymczasowym lokatorem.

– Tak ci będzie wygodniej.

– Dobra – odparłem – wstawię drzwi. Robin i tak chce mieć psa. Co powiesz na taki układ: przywieziesz tu drzwi, ja je zainstaluję, a potem będziemy mogli wyjść.

– Skąd, do cholery, mam o tej porze wziąć drzwi dla psa?

– Nie wiem, ty jesteś detektywem.

Trzask słuchawki.

Przyjechał o ósmej piętnaście i zaparkował nieoznakowanego forda na podjeździe. Miał luźno zwisający krawat i wyglądał bardzo mizernie. Taszczył dwie torby – jedną ze sklepu zoologicznego, a drugą z chińskiej restauracji.

Pies obwąchał na powitanie nogawki jego spodni, a Milo pogłaskał zwierzę, wyciągnął z torby metalowo-plastikową konstrukcję i powiedział: łatwe wyjście ewakuacyjne.

– Stwierdziłem, że skoro nie czuję zapału do manualnej pracy przed kolacją, a główny rezydent tego domostwa wyjechał z miasta, najlepiej będzie, jeśli kupię coś gotowego.

Podszedł do lodówki. Buldog podążył za nim. Obserwując powolne ruchy Milo, powiedziałem:

– Wyglądasz na wycieńczonego. Nowe kubły z krwią?

Wydobył butelkę Grolscha, otworzył i skinął głową.

– Pracowałem w Palms nad napadem z bronią w ręku. Mały sklepik spożywczy babci-i-dziadka. Dziadek zmarł kilka miesięcy temu, babcia ma osiemdziesiątkę i ledwie się trzyma. Dwa małe gnojki z nożami wpadły tam dzisiaj po południu. Zagrozili, że zgwałcą ją i odetną cycki, jeśli nie odda im kasy. Starsza pani twierdzi, że nie mieli więcej niż po czternaście lat. Jest w zbyt dużym szoku, żeby powiedzieć coś więcej. Ma bóle mostka i traci oddech.

Wysłali ją na obserwację do St. John.

– Biedaczka. Nie więcej niż czternaście lat?

– Taak. Całkiem możliwe, że te małe dupki zrobiły napad po zakończeniu lekcji w szkole.

Jak to się ma do twoich psychologicznych diagnoz? Może to miło spędzający dzień twoi pupile – psychopaci.

– Tom i Huck Urban – powiedziałem.

– Całkiem prawdopodobne.

Usiadł przy stole i obwąchał szyjkę butelki. Pies siedział koło lodówki i obserwował go.

Najwyraźniej zastanawiał się, czy podejść do Milo, ale ton głosu i gestykulacja detektywa zniechęcały go. Wreszcie usadowił się u moich nóg.

– Więc na kasecie nie było żadnych odcisków palców poza moimi powiedziałem.

– Żadnych.

– O czym to świadczy? Czyżby ktoś zadał sobie trud i wyczyścił taśmę?

– Albo dotykał jej w rękawiczkach. Albo były tam ślady, które nieświadomie starłeś.

Rozprostował nogi.

– Pokaż mi tę broszurę, którą znalazłeś.

Poszedłem do biblioteki, wziąłem program konferencji i dałem mu. Przejrzał go.

– Nie ma tu nikogo o nazwisku Silk.

– Może był na widowni.

– Wyglądasz na spiętego – stwierdził wskazując moją fotografię – ta broda, jak u żydowskiego rabina.

– W rzeczywistości byłem znudzony.

Opowiedziałem mu, w jaki sposób zostałem wiceprzewodniczącym. Milo odstawił butelkę.

– 1979... Ktoś dusił w sobie urazę przez tyle lat?

– Może ostatnio wydarzyło się coś, co poruszyło wspomnienia z siedemdziesiątego

dziwiącego. Próbowałem skontaktować się z Katariną i Rosenblattem, żeby dowiedzieć się, czy dostali podobne przesyłki. Ale ona zlikwidowała szkołę w Santa Barbara, a Harvey nie uprawia już praktyki lekarskiej na Manhattanie. Znalazłem w Nowym Jorku panią psycholog, która może być jego żoną.

Jeszcze raz przestudiował broszurę.

– O co ktoś mógłby żywić do ciebie urazę?

– Nie mam pojęcia, Milo. Może wcale nie chodzi o tę konferencję. Może ktoś uważa się za ofiarę terapeuty albo terapii. Może to nawet nie są prawdziwe pretensje, ale paranoidalna iluzja wytwarzana w takim stanie umysłu, o jakim my dwaj nie mamy nawet pojęcia.

– Dlatego że jesteśmy normalni?

– Całkiem prawdopodobne.

Uśmiechnął się.

– Więc nie pamiętasz niczego dziwnego, co wydarzyłoby się na tej konferencji?

– Zupełnie nic.

– A ten de Bosch... był w jakiś sposób kontrowersyjny? Rodzaj faceta przysparzającego sobie wrogów?

– Z tego co wiem, nie. Ale jedyne mój kontakt z nim polegał na czytaniu jego prac. One nie były kontrowersyjne.

– No dobra, a co z jego córką?

Pomyślałem chwilę.

– Taak. Ona mogła mieć wrogów. Ale jeśli jest obiektem czyjejś urazy, dlaczego ja dostałem tę kasetę? Moje jedyne powiązanie z nią to, to symposium.

Milo pomachał broszurą.

– Czytając to ktoś mógł pomyśleć, że jesteście bliskimi przyjaciółmi. Osaczyła cię, hę?

– W perfekcyjny sposób. Spiknęła się z dyrektorem szpitala. Sądziłem wtedy, że leczyła jedną z jego córek – dziecko z problemami – i w ten sposób sobie to załatwiła. Ale mogło to być coś zupełnie innego.

Milo postawił piwo na stole. Pies uniósł łeb, a po chwili ułożył brodę na podłodze.

– Ten dziecięcy głos na kasecie – mówiłem – jak do tego wszystkiego pasuje? I co z facetem, który zabił Becky Basille... Hewitt. Dorsey Hewitt. Taak, co on ma z tym wspólnego?

– Może także był leczony przez de Boschów. Może „niedobra miłość” to zwrot, którego używali w terapii. Ale co to znaczy? Terapeutyczne sztuczki psychologów uderzają rykoszetem w lekarzy, którzy je stosowali?

– Poczekaj chwilę – przerwał mi Milo – przykro mi z powodu tej kasety i telefonu od świra, ale to nie ma nic wspólnego z morderstwem.

Oddał mi broszurę i rzekł.

– Zastanawiam się, czy Donald Wallace był kiedykolwiek leczony przez de Boschów. Ciągle czekam na więcej informacji z więzienia. Jak się mają dziewczynki?

– Kłopoty, jakie przewidziałeś. Zdobyć uzasadnionej dokumentacji przeciwko wizytom nie powinno okazać się problemem. Ich babcia również trochę się otworzyła. Byłem dzisiaj u nich z wizytą. Jej obecny mąż wygląda jak marynarz na emeryturze. Ma mnóstwo tatuaży domowej roboty.

Opisałem detektywowi rysunki na skórze Rodrigueza.

– Mamy do czynienia z elitą – stwierdził. – Tak ty, jak i ja.

Skrzyżował nogi i spojrzał na psa.

– Chodź tu, Rover.

Buldog zignorował komendę.

– Dobry pies – pochwalił go Milo i pociągnął łyk piwa.

Milo wyszedł o dziewiątej trzydziści. Zdecydowałem, że odłożę zainstalowanie psich drzwi na następny dzień. O dziesiątej pięćdziesiąt zadzwoniła Robin i poinformowała mnie, że definitywnie wróca wcześniej jutro wieczorem o dziewiątej. Zapisałem numer lotu.

Powiedziałem, że będę czekać na lotnisku i że ją kocham. Następnie położyłem się spać.

Śnił mi się jakiś miły erotyk, kiedy, tuż po trzeciej nad ranem, obudził mnie pies. Wył i sapał.

Jęknąłem. Czuję, jakby ktoś skleił mi powieki.

Buldog ponownie zawył.

– Co jest?

Cisza.

Skrobanie.

Usiadłem na łóżku.

– O co chodzi?

Pies zachrzakał jak stary astmatyk.

Łatwe wyjście ewakuacyjne..

Klnąc siebie za niezainstalowanie drzwiczek, z trudem zwlokłem się z łóżka. Prawie na ślepo pokonałem trasę do kuchni. Kiedy otworzyłem drzwi na ganek, pies pognał schodami w dół.

Czekałem ziewając i mrużąc:

– Załatw to szybko.

Buldog nie zatrzymał się w pobliżu krzaków, ale pognał dalej i zniknął z pola widzenia.

– Aha, penetruje nowe tereny.

Zimne powietrze wlatywało przez otwarte drzwi. Wyjrzałem na zewnątrz, ale nie mogłem dostrzec go w ciemnościach.

Kiedy nie wracał przez minutę, zszedłem na dół, żeby go poszukać. Zeszło sporo czasu,

zanim go znalazłem. Siedział przy podjeździe, jakby pilnował samochodu. Kręcił głową z rozdrażnieniem.

– Co się dzieje, chłopie?

Ruszał głową coraz szybciej, ale jego ciało ani drgnęło.

Rozejrzałem się dookoła, ciągle niewiele widząc. W nozdrza uderzyła mnie mieszanina zapachu różnych roślin. Niebo było zamglone, lśniła jedynie wąska strużka księżycowego światła. W tymże blasku oczy psa były żółte.

Buldog podrapał ziemię i parsknął. Wciąż nerwowo kiwał łbem.

– Co jest?

Pobiegł w kierunku stawu i zatrzymał się kilka metrów przed ogrodzeniem; dokładnie jak podczas naszego pierwszego spotkania. Potem zamarł w miejscu.

Brama była zamknięta. Minęło wiele godzin od momentu wyłączenia oświetlenia. Słyszałem wolny szum przepływającej wody.

Znów spojrzałem na psa.

Nieruchomy jak skała.

– Słyszałeś coś?

Pokręcił łbem.

– To pewnie kot, przyjacielu. Albo kojot, który mógłby się okazać trochę za duży jak na ciebie. Bez obrazy.

Zadyszał i poskrobał ziemię przednią łapą.

– Słuchaj, doceniam twoją czujność, ale czy możemy już wracać?

Zerknął na mnie i ziewnął. Następnie wydał z siebie lekki skowyt.

– Też jestem zmęczony – powiedziałem i ruszyłem w kierunku schodów.

Kiedy byłem w połowie drogi, dołączył do mnie nieoczekiwanie zwiewnym truchtem.

– Już żadnych takich wypadów dzisiaj, okay?

Wróciliśmy do sypialni. Wskoczył na łóżko i rozciągnął się po stronie Robin. Za bardzo zmęczony, by się wyklócać; zostawiłem go w takiej pozycji. Zaczął chrapać dużo wcześniej niż ja.

W środę rano zrobiłem przegląd sytuacji. Dziwaczne listy i telefony mogłem sobie z tym poradzić, jeżeli będę je otrzymywał w umiarkowanym tempie. Miłość mojego życia powracająca z Oakland – z tym bez wątpienia też sobie poradzę. Psa, liżącego właśnie moją twarz, chyba również można umieścić po stronie pozytywów. Kiedy wypuściłem go na dwór, ponownie zniknął z pola widzenia i długo nie wracał.

Tym razem znalazłem go siedzącego bliżej bramy. Otworzyłem bramę, a wtedy zrobił następny krok. Potem zatrzymał się.

Małą, zabią mordę przechylił w moją stronę. Coś spowodowało, że wykrzywił ją grymaśnie i zwięził ślepią. Uznałem, że walczy o przewycięzenie swojej wodnej fobii.

Warknął i odwrócił pysk w stronę bramy.

Wyglądał na rozgniewanego. Czyżbym nie zgadł? Może przeszkadzało mu coś znajdującego się w pobliżu stawu?

Warczał coraz głośniej. Zerknąłem nad płotem i zobaczyłem to.

Jeden z moich karpí – czerwono-biały *kohaku*, największy i najładniejszy z młodych, które przeżyły – leżał na torfowisku, tuż przy krawędzi akwenu.

Skoczek. Cholera.

Czasami tak się zdarza. A może kot wyciągnął rybę z wody i właśnie to usłyszał pies...

Lecz ciało nie wyglądało na rozszarpane.

Otworzyłem bramkę i poszedłem nad staw. Uklęknąłem, żeby zobaczyć rybę zwłoki, a buldog usiadł przy płocie.

Jednak zostało rozszarpane. I nie uczynił tego żaden czworonożny drapieżca.

Coś wystawało z pyszczka ryby. – Sztywna czerwona gałązka z jednym listkiem.

Gałąź karłowatego klonu, który zasadziłem ubiegłej zimy.

Przyjrzałem się drzewku i zauważyłem miejsce, skąd została odcięta.

Czyste cięcie, wykonane nożem wiele godzin temu. Ponownie przyjrzałem się rybce.

Gałąź wepchnięto w jej gardziel i przepchano przez ciało. Roślinna dzida wychodziła tuż pod ogonową płetwą. Krew pokrywała torfowisko, które przybrało rdzawo-brązową barwę.

Poczułem złość i wstręt. Dostrzegłem również inne szczegóły, które napawały mnie odrazą.

Na mchu leżało mnóstwo rybich łusek.

Zauważyłem ślady, które mogły być odciskami stóp.

Przyjrzałem się im baczniej. Według mojego niewyszkolonego oka pozostawiły charakterystyczne wyłobienia.

Zobaczyłem także opadnięte liście klonu w miejscu, gdzie gałąź została odcięta.

Martwe oczy ryby gapiły się na mnie.

Pies warczał.

Dołączyłem się i nieźle szło nam w duecie.

## **Rozdział siódmy**

Wykopałem grób dla ryby. Niebo było idealnie czyste, a poranek, jakby urągając robocie, jaką wykonywałem, piękny.

Pomyślałem o innym cudownym niebie – tym ze slajdów Katariny de Bosch. Lazurowy błękit stanowił tło dla postaci jej ojca na wózku inwalidzkim.

„Dobra miłość/Niedobra miłość”.

Definitywnie oznaczało to coś więcej niż tylko głupi dowcip.

Muchy bombardowały poszarpany korpus ryby. Wrzuciłem ciało karpia do wykopanej dziury



i zasypałem. Pies obserwował moje poczynania.

– Powiniennem ubiegłej nocy potraktować cię poważniej.

Pokręcił głową i mrugnął delikatnie brązowymi ślepiami. Wyrównałem nogami powierzchnię ziemi nad grobem. Spojrzałem jeszcze raz na swoje dzieło i powlokłem się do domu. Czując się jak uzależnione od rodziców dziecko, zadzwoniłem do Milo. Nie zastałem go, więc usiadłem przy biurku zamyślony i wściekły.

Ktoś buszował po mojej posiadłości. Ktoś mnie obserwował.

Niebieska broszura leżała na biurku..

„Czytając to, ktoś mógł pomyśleć, że jesteście bliskimi przyjaciółmi”.

Zadzwoniłem do sekretarki. Nadal żadnych wiadomości od Sbirley Rosenblatt. Może nie była żoną Harveya. . Wykręciłem numer jej mieszkania, ale usłyszawszy to samo nagranie, trzasnąłem słuchawką.

Zacząłem miętosić broszurę. Nagle mój wzrok zatrzymał się u dołu strony. Wyglądziłem pomięty papier.

Inne nazwiska.

Trzech następnych mówców.

Wilbert Harrison, doktor medycyny FACP

Praktykujący Psychoanalitik

Beverly Hills, California.

Grant P. Stoumen, doktor medycyny FACP

Praktykujący Psychoanalitik

Beverly Hills, California.

Mitchell A. Lerner, M.S.W. ACSW

Psychoanalitik – Terapeuta

Północne Hollywood, California.

Harrison – pyzaty, jasnowłosy, około pięćdziesiątki; zabawny wygląd i przyciemnione okulary. Stoumen – starszy, łysy, z nadętą miną i lśniącem białym wąsem. Lerner – najmłodszy z całej trójki, zarośnięty od podbródka aż po baczki, jak Rosenblatt i ja.

Nie pamiętałem nic poza tym. Tematy ich przemówień nic mi nie mówiły. Usiadłem wyężdżając umysł. Byłem wściekły, że zgodziłem się wziąć udział w tym sympozjum.

Trzej miejscowi.

Otworzyłem książkę telefoniczną. Nie znalazłem nazwisk Harrisona i Lenera, ale Grant P.

Stoumen, doktor medycyny, nadal posiadał biuro na North Bedford Drive. Zadzwoiłem.

Operatorka odpowiedziała:

– Psychiatria Beverly Hills, mówi Joan.

Ta sama obsługa, której ja używałem. Ten głos, który dobrze znam.

– To ja, Joan, doktor Delaware.

– Witam, doktorze! To zabawne, że znowu pana słyszę.

– Mały ten świat – stwierdziłem.

– Taak. Chociaż w zasadzie to zdarza się bardzo często. Prowadzimy centrale wielu doktorów psychologii. Z kim chce pan rozmawiać?

– Z doktorem Stoumenem.

– Z doktorem Stoumenem? – powtórzyła zniżonym głosem. – Przecież on odszedł.

– Z zespołu?

– Z... tego świata, doktorze Delaware. Zmarł sześć miesięcy temu. Nie słyszał pan?

– Nie – odparłem – nie znałem go.

– Och... cóż, to było dość tragiczne. Tak niespodziewanie, chociaż był bardzo stary.

– Na co umarł?

– Zginął w wypadku samochodowym. Chyba w maju ubiegłego roku. .

Poza miastem. Nie pamiętam dokładnie gdzie. Był na jakimś zebraniu i potracił go samochód. Czyż to nie straszne?

– Na zebraniu?

– Wie pan, na jednym z tych medycznych zlotów. Taki miły facet. Nie tracił nigdy cierpliwości, jak niektórzy...

Nerwowy śmiech.

– Proszę zapomnieć o tym komentarzu, doktorze Delaware. Jeśli dzwoni pan w sprawie jakiegoś pacjenta, to wszystkie sprawy Stoumena zostały rozdzielone pomiędzy pozostałych lekarzy z zespołu. Nie wiem dokładnie, który z nich pracuje z osobą, o którą panu chodzi.

– Ilu lekarzy jest w zespole?

– Carney, Langenbaum i Wolf. Langenbaum wyjechał na wakacje, ale dwaj pozostali są.

Proszę sobie wybrać.

– Kogo możesz polecić?

– Cóż... – Kolejny nerwowy śmiech. – Obydwoje są w porządku. Wolf jest chyba lepszy w odpowiadaniu na telefony.

– Niech będzie Wolf. To on czy ona?

– On. Stanley Wolf, doktor medycyny. Aktualnie jest na sesji. Zostawię mu wiadomość, żeby do pana zadzwonił.

– Wielkie dzięki, Joan.

– Miłego dnia, doktorze Delaware.

Zainstalowałem drzwi dla psa. Praca szła opieszale, gdyż co chwila robiłem przerwy pomiędzy kolejnymi uderzeniami młotkiem. Wydawało mi się, że w całym domu słyszę odgłosy stóp i niezidentyfikowane hałasy na zewnątrz.

Kilka razy nawet zszedłem do ogrodu i rozglądałem się uważnie po terenie.

Grób karpia pokryła warstwa kurzu. Wyschnięte rybie łuski i brązowa plama po wsiąkniętej w grunt krwi znaczyły brzeg stawu.

Wróciłem na górę. Wykonałem prace wykończeniowe w postaci malowania framugi psich drzwi, potem sprzątnąłem i wypłem piwo. Buldog wypróbował swoje nowe, łatwe wyjście ewakuacyjne i świetnie się przy tym bawił.

Wreszcie, zmęczony, ułożył się przy moich stopach do snu. Zastanawiałem się, kto chciałby mnie przestraszyć albo skrzywdzić. Widziałem przed oczyma martwą rybę i pozostawałem czujny. O jedenastej buldog obudził się i popędził do frontowych drzwi. Chwilę później przyszła poczta.

Otworzyłem i znalazłem wyłącznie koperty o standardowym rozmiarze. Na jednej z nich widniał adres zwrotny więzienia Folsom. Nad nim, ręcznym pismem, wykalgrowano czerwonym atramentem jedenaście cyfr seryjnych. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka papieru. Wiadomość napisano tym samym, czerwonym tuszem.

*Doktor A. Delaware, doktor filozofii.*

*Drogi doktorze Delaware!*

*Piszę do Pana, by wyrazić swoje uczucia dotyczące widywania moich córek, Chondry Wallace i Tiffani Wallace, jako ich naturalny ojciec i prawny opiekun.*

*Cokolwiek złego stało się w naszej rodzinie, włączając moje czyny, już się nie odstanie. A skoro tak jest, nie powinno się mi odbierać rodzicielskiego prawa do widywania moich córek, Chondry i Tiffani Wallace.*

*Nigdy ich nie skrzywdziłem i zawsze ciężko pracowałem na ich utrzymanie, nawet w trudnych czasach. Nie mam żadnych innych dzieci i muszę spotykać się z nimi, żeby nasza rodzina nie rozpadła się w pył.*

*Dzieciom jest potrzebny ojciec, jestem pewien, że nie muszę tłumaczyć tego doktorowi pańskiej rangi. Pewnego dnia skończy się termin wyroku. Jestem ich ojcem i będę się nimi opiekował. Chondra Wallace i Tiffani Wallace potrzebują mnie. Proszę, niech Pan weźmie pod uwagę te fakty.*

*Szczerze oddany Donald Dell Wallace.*

Umieściłem list w grubej teczce, zaraz obok raportu koronera na temat Ruthanne. Milo zadzwonił o dwunastej, a ja powiedziałem mu o rybie.

– To chyba więcej niż wygłup, prawda?

Pauza.

– Więcej niż się spodziewałem – przyznał Milo.

– Donald Dell zna mój adres. Właśnie dostałem od niego list.

– Co pisze?

– Że pewnego dnia wyjdzie z pudła i chce być tatusiem na pełny etat, więc nie powinienem odbierać mu jego praw. Subtelna groźba?

– Nie. Mógł dostać adres od adwokata. Pracujesz nad jego sprawą, więc wedle prawa może się z tobą kontaktować. Przy okazji, dowiedziałem się z pewnych źródeł, że nie ma magnetofonu w celach. Telewizor i magnetowid owszem.

– Okrutne i niezwykle. No i co mam robić?

– Przyjadę i sprawdzę staw. Zauważyłeś jakieś odciski stóp albo inne ślady?

– Było kilka odcisków, ale niewiele wypatrzyłem moimi amatorskimi oczami. Może są też inne ślady, których nie zlokalizowałem. Starłem się niczego nie ruszać. O, cholera, pochowałem tę rybę. Czy coś spieprzyłem?

– Nie zamartwiaj się, nie będziemy robić autopsji.

Po głosie wyczułem, że Milo jest spięty.

– Coś nie tak? – zapytałem.

– Wszystko gra, wpadnę, jak tylko będę mógł. Najprawdopodobniej po południu.

Ostatnie słowa były niepewne. Jakby obracał je w pytanie.

– Co jest, Milo?

– To, że nie mogę tu zbyt wiele zrobić. Zabicie ryby nie jest wielkim przestępstwem. Mamy tu najwyżej wykroczenie i niegodziwość.

– Rozumiem.

– Prawdopodobnie będę mógł sam zdjąć część odcisków – dodał – może warto.

– Słuchaj, dalej nie traktuję tej sprawy poważnie. To jakieś tchórzowe gówno. Ktokolwiek za tym stoi, na pewno nie chce doprowadzić do konfrontacji.

– Możliwe – stwierdził Milo. Nadal czułem jego zaniepokojenie i zaczęło mnie to przerażać.

– Jest coś jeszcze – powiedziałem. – Pewnie nic wielkiego. Znowu przeglądałem broszurę o konferencji i spróbowałem nawiązać kontakt z trzema miejscowymi terapeutami, którzy wygłaszali wtedy przemówienia. Dwóch nie namierzyłem, ale ten trzeci został ubiegłej wiosny zabity. Potrafił go samochód, kiedy był na sympozjum psychiatrycznym. Dowiedziałem się tego od operatorki, z której usług obydwaj korzystamy. To znaczy – on już nie.

– Zabity tutaj, w L.A.?

– Poza miastem, nie pamiętam dokładnie gdzie.

– Sympozjum – powtórzył Milo – klątwa konferencji?

– Jak powiedziałem, to pewnie nie ma znaczenia. Jedyna rzecz, która mnie zaczyna denerwować, to fakt, że nie mogę znaleźć nikogo związanego z sympozjum de Boschów. Z drugiej strony minęło sporo czasu. Ludzie zmieniają profesje i miejsca zamieszkania.

– Taak.

– Milo, ty się czymś martwisz. O co chodzi?

Pauza.

– Myślę, że biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje, powinieneś stać się... czujny. Żadnej prowokacji, bądź po prostu wyjątkowo ostrożny.

– Dobra – odparłem. – Robin wraca do domu wcześniej; dziś wieczorem. Odbieram ją z lotniska. Co jej powiedzieć?

– Prawdę, to twardy dzieciak. O której przylatuje?

– O dziewiątej.

– Wpadnę dużo wcześniej i poukładamy nasze puzzle. Jak chcesz, mogę zostać w domu, kiedy pojedziesz na lotnisko. Tylko mnie nakarm, daj pić i powiedz Roverowi, żeby nie roszczył żadnych pretensji.

– Według mnie Rover jest bohaterem. To on usłyszał intruza.

– Taak, ale nic później nie nastąpiło. Zamiast gnoja zjeść, tylko siedział i obserwował. Hodujesz czworonożnego biurokratę.

– To nieczułe – stwierdziłem – nie oglądałeś nigdy „Lessie”?

– Daj spokój, mnie fascynowała „Godzilla”, to dopiero użyteczny zwierzak.

Do trzeciej nikt nie odpowiadał na moje telefony. Czułem się jak animowany ludzik na bezludnej wyspie. Zajmowałem się papierkową robotą i często wyglądałem przez okno. O trzeciej trzydzieści udałem się z psem na spacer po Glen. Kiedy wróciłem do domu, nie trafiłem na żaden ślad intruza.

Krótko po czwartej przyjechał Milo. Wyglądał na zakłopotanego. Kiedy pies zbliżył się do niego, detektyw nie zwrócił na niego nawet uwagi.

W jednej ręce trzymał kasetę audio, a w drugiej swoją winylową aktówkę. Zamiast do kuchni, jak to zazwyczaj robił, wszedł do salonu i poluzował krawat. Położył aktówkę na stoliku i wręczył mi kasetę.

– Oryginalna jest w moich aktach. To kopia dla ciebie – oznajmił.

Widok taśmy przywiódł mi znowu na myśl krzyki i pieśń tego dziecka...

Schowałem kasetę do biurka. Potem zeszliśmy nad staw, gdzie pokazałem mu odciski stóp.

Uklęknął i badał je przez długą chwilę. Następnie wstał marszcząc brwi.

– Masz rację, te są bezużyteczne. Sądzę, że ktoś zadał sobie trud i po sobie posprzątał.

Pokręcił się trochę wokół stawu. Zmarnował czas i pobrudził spodnie.

– Nie-e. Nie warte złamanego szeląga. Cholera. Przykro mi.

Ten sam zakłopotany głos, który słyszałem przez telefon. Coś w sobie dusił, ale wiedziałem, że bezsensu byłoby pytać co. Wróciliśmy do salonu.

– Chcesz coś do picia? – zapytałem.

– Później.

Otworzył winylową aktówkę i wyciągnął brązowe, plastikowe pudełko. Wydobył z niego kasetę wideo i trzymał na wysokości uda. Kasetę nie była opisana, ale naklejka na pudełku oznajmiała:

WŁASNOŚĆ DEP. POL. L.A. DOWÓD RZECZOWY.

– Ostatni występ Dorsey'a Hewitta – poinformował mnie Milo – zdecydowanie nie w najlepszym momencie, ale jest tu coś, co chciałbym, żebyś sprawdził. Jeżeli twój żołądek to wytrzyma.

– Poradzę sobie.

Weszliśmy do biblioteki. Przed włożeniem kasety do magnetowidu Sturgis zajrzał do wlotu urządzenia.

– Kiedy ostatnio to oliwiłeś?

– Nigdy – odpowiedziałem – używam go tylko do nagrywania materiałów sądowych.

Odetchnął głęboko, wsunął kasetę i chwycił pilota. Nacisnął PLAY i cofnął się o krok



obserwując monitor z rękami opartymi na biodrach. Pies wskoczył na duże, skórzane krzesło i spoglądał na detektywa. Ekran pokrył jasny błękit.

Po upływie pół minuty ujrzeliśmy elektroniczny wydruk daty sprzed dwóch miesięcy.

Później zobaczyliśmy jednopiętrowy ładny budynek z drewnianymi okiennicami i wykuszem prowadzącym na podwórze. Po prawej stronie łuku spadzisty dach i brązowe drzwi.

Zbliżenie na tablicę informacyjną: CENTRUM ZDROWIA PSYCHICZNEGO  
HRABSTWA LOS ANGELES, WESTSIDE.

Ponowne ujęcie z oddali: dwie małe, ciemne postacie czające się po obydwu stronach wejścia na podwórze. W rękach strzelby.

Ujęcie z boku pokazujące oddziały policyjne tuż przy ogrodzeniu.

Żadnego konkretnego dźwięku poza szumem.

Pies nadstawił uszu.

Milo zwiększył głośność i przez szum zaczęły się przebijać niezrozumiałe dźwięki.

Przez kilka sekund nic się nie działo. Potem jedna z ciemnych postaci przemieściła się i ulokowała przy lewej stronie drzwi. Następna postać wynurzyła się zza rogu i zaczęła czołgać z obiema rękami złożonymi na broni.

Zbliżenie pokazało nowego przybysza.

Strój w kolorze niebieskim. Kamizelka kuloodporna, a na szerokich plecach białe litery:

LAPD. Wojskowe buty. Kominiarka odsłaniająca jedynie oczy. Pomyślałem o monachijskich terrorystach i wiedziałem, że zaraz wydarzy się coś złego.

Jednak przez następne kilka chwil nic się nie stało. Uszy psa nadal były sztywne, a oddech coraz szybszy.

Milo potarł dłonią twarz.

Wtedy na ekranie otworzyły się z trzaskiem brązowe drzwi i ujrzeliśmy kolejne dwie osoby.

Zarośnięty, kościsty mężczyzna z długimi włosami. Broda – mieszanka blond i szarych kędziorków; nad oszpeconym czołem kołtunowate strąki włosów przypominające dziecięcy rysunek słońca.

Kamera zbliża się do niego rejestrując brudne ciało, zapadnięte policzki i niewiarygodnie szeroko otwarte oczy.

Od pasa w górę był nagi i wściekle się pocił. Dzikie gałki oczne zaczęły wirować w obłąkany sposób. Ani nie mrugały, ani nie stawały w miejscu. Miał otwarte usta, zupełnie jak pacjent w gabinecie stomatologicznym, ale nie wydawał z siebie żadnych odgłosów. Spostrzegłem, że był bezzębny.

Lewe ramię mężczyzny zaciskało się wokół masywnej Murzynki. Kobieta była ubrana w zieloną spódnicę i częściowo podwiniętą do góry białą bluzkę. Miała około trzydziestu pięciu lat, a twarz mokrą od potu i łez. Widoczne były zęby i usta wykrzywione w bolesnym wyrazie przerażenia.

Prawe ramię mężczyzny tworzyło kościstą pętlę wokół karku kobiety. Coś srebrnego błysnęło w jego dłoni – przycisnął ten przedmiot do gardła Murzynki.

Zamknęła oczy.

Mężczyzna przyciskał ją do siebie, wyginając jej kręgosłup i ukazując w pełnej krasie wielki, lśniący nóż kuchenny. Zbroczone krwią ręce. Zbroczony krwią nóż.

Dotykała chodnika tylko piętami. Walczyła o zachowanie równowagi. Mężczyzna zamrugał oczami i spojrzał na jednego z gliniarzy SWAT. Kilkanaście strzelb wycelowanych było w niego. Nikt się nie ruszał.

Kobieta zadrżała, a zaciskająca się wokół jej szyi ręka mimowolnie się przesunęła. Na szyi zakładniczki pojawiła się rubinowa plamka.

Otworzyła oczy i spoglądała wprost przed siebie. Mężczyzna coś do niej krzyknął, potrząsnął

nią i powieki opadły ponownie. Kamera gładko przesunęła się na jednego z ludzi SWAT.

Nikt się nie ruszał.

Pies stał na krześle ciężko oddychając.

Mężczyzna otworzył usta i za moment je zamknął. Wyglądało, jakby wrzeszczał pełną mocą swoich płuc, ale dźwięk nie dochodził.

Usta kobiety były nadal otwarte. Rana na szyi zdążyła już zakrzepnąć. Pozostał tylko strup.

Mężczyzna przeciągnął ją bardzo powoli wzdłuż chodnika. Z nogi zakładniczki osunął się but. Nie zauważył tego. Zerkał od jednej strony do drugiej, od gliniarza do gliniarza. Bez przerwy wrzeszczał.

Wtedy usłyszeliśmy dźwięk. Bardzo głośny.

Pies zaczął szczekać.

Mężczyzna z nożem krzyczał zachrypłym głosem.

Wrzask bólu.

Zacisnąłem ręce na udach. Milo spoglądał bez przerwy na ekran.

Brodaty facet przerzucał głowę z jednej strony do drugiej, coraz szybciej i gwałtowniej.

Krzyczał coraz głośniej. Przyciskał nóż wyżej, pod podbródek kobiety.

Błyskawicznie uniosła powieki.

Szczekanie psa zmieniło się w chrapliwe wycie. Głośne i dużo bardziej przerażające od ostrzegawczych dźwięków, jakie wydawał ubiegłej nocy.

Mężczyzna z nożem kierował swoje krzyki w stronę policjanta znajdującego się po lewej.

Gliniarz musiał coś powiedzieć, gdyż szalencie jeszcze bardziej uniosł głos.

Ryczał. Wrzeszczał.

Cofnął się, mocniej ściskając zakładniczkę. Ciągnął ją w stronę bramy, chowając za nią głowę.

Potem uśmiech i krótki, ostry ruch nadgarstka.

Kolejny krwawy punkt – większy od poprzedniego – pojawił się na gardle kobiety.

Instynktownie wyrzuciła ręce do góry, usiłując wyswobodzić się z uścisku.

Jej waga i ruchliwość zaskoczyły szaleńca. Na krótką chwilę, kiedy starał się utrzymać w pionie i odciągnąć w tył, obniżył ramię.

Szybki, ostry dźwięk i czerwony punkcik pokazał się na prawym policzku terrorysty.

Rozpostarł szeroko ramiona. Kolejny krwisty punkt – tuż nad szczęką.

W momencie kiedy posypał się deszcz pocisków, kobieta upadła na chodnik. Podmuch odrzucił włosy szaleńca w tył. Kula rozerwała klatkę piersiową, a jego twarz zamieniła się w czerwoną miazgę.

Zakładniczka leżała twarzą do ziemi. Opadł na nią krwawy prysznic.

Mężczyzna, teraz bez twarzy, jeszcze przez ułamek sekundy trzymał się na nogach. Wciąż zaciskał w dłoni nóż, a z jego głowy wylewał się czerwony sok. Musiał już być martwy, ale stał nadal, uginając nogi w kolanach. Cień rozwalonej głowy szaleńca padł na ramiona zakładniczki.

Wreszcie upuścił nóż i upadł wprost na kobietę, pokrywając ją jak narzuta. Odwróciła się i zaczęła okładać go ciosami. Wreszcie się wyswobodziła i zdołała klęknąć. Szlochała i zakrywała głowę dłońmi.

Podbiegli do niej policjanci.

Jedna z bosych stóp maniaka dotykała jej nogi. Nie zauważyła tego, ale jakiś gliniarz tak.

Odsunął stopę trupa kopniakiem. Inny oficer, wciąż z zasłoniętą twarzą, stał z wycelowaną bronią nad zwłokami.

Ekran pociemniał.

Pies znowu szczekał głośno i uparcie.

Wydałem z siebie cichy świst. Buldog popatrzył na mnie i potrząsnął głową. Skonfundowany

gapił się i ani drgnął. Podszedłem i pogłaskałem go po karku. Mięśnie psa były napięte, a ślina ciekła mu z warg.

– W porządku, koleś.

Mój głos brzmiał fałszywie, ręce miałem lodowate. Buldog polizał jedną z nich i uniósł mordę.

– W porządku – powtórzyłem.

Milo przewinął kasetę.

– Jak długo ta scena trwała? Kilka minut? Czułem, jakby oglądanie jej zabrało wieki.

Ponownie zająłem się pieszczaniem buldoga.

Milo spoglądał na cyfry z wyświetlacza magnetowidu.

– To on, prawda? – zapytałem – Hewitt. Ten, który wrzeszczał na mojej kasecie.

– On albo cholernie dobra imitacja.

– Kim jest ta biedna kobieta?

– Pracownik centrum. Adeline Potthurst. Znalazła się po prostu w niewłaściwym miejscu, kiedy wybiegł po zamordowaniu Becky.

– Co z nią?

– Fizycznie w porządku – kilka powierzchownych ran. Emocjonalnie? Wzruszył ramionami.

– Odeszła z pracy. Nie chciała rozmawiać ani ze mną, ani z kimkolwiek innym.

Przesunął dłoń wzdłuż krawędzi półki, lekko muskając książki i zabawki.

– Jak wpadłeś na to, że to głos Hewitta?

– W zasadzie to nie jestem pewien na co wpadłem – odpowiedział.

Znów wzruszył ramionami. W słabym świetle biblioteki jego oczy wydawały się bezbarwne.

Magnetowid wypchał kasetę. Milo położył ją na krawędzi stołu i usiadł. Pies, kołysząc się, podszedł do niego. Tym razem Sturgis wydawał się zadowolony z jego widoku.

Drapiąc gruby kark buldoga oznajmił.

– Kiedy pierwszy raz usłyszałem twoją kasetę, coś mnie zaniepokoiło. Przypominało mi to coś, ale nie wiedziałem co. Więc nic ci nie mówiłem. Później skojarzyłem, że tego zwrotu użył Hewitt. O „niedobrej miłości” czytałem w raporcie dyrektora kliniki.

– Oglądałeś ten zapis wideo już wcześniej?

Skinął głową.

– Ale na posterunku i bardzo pobieżnie. Zgraja detektywów siedziała wokół i wiwatowała, kiedy załatwili Hewitta. Nie jestem asem w tej dziedzinie. Wypełniałem formularze, odwalałem papierkową robotę... Początkowo tak jak ty myślałem, że to kiepski dowcip.

– Ten telefon i ryba czynią z tego coś więcej niż dowcip, prawda?

– Telefon sam w sobie to głupota. Tak jak powiedziałaś, tchórzliwe gówno. Buszowanie po twojej posiadłości w środku nocy i zabicie ryby to już coś więcej. Wszystko zebrane do kupy to dużo. Jak dużo, jeszcze nie wiem. Ale wolę popaść w lekką przesadę niż dać się zaskoczyć. Po naszej dzisiejszej rozmowie mózg mi stawał, tak chciałem zgadnąć, o co chodzi. Zagłębiłem się ponownie w akta Basille. Znalazłem tę kasetę i obejrzałem. Zorientowałem się, że nie pamiętam słów, lecz właśnie te krzyki. Ktoś przesłał ci w prezencie wrzaski Hewitta.

Usunął mokrą dłoń spod pyska psa i wytarł rękę w marynarkę.

– Skąd pochodzi ten zapis? – zapytałem. – Czy to surowy materiał telewizyjny?

Skinął głową.

– Ile z tego pokazano na antenie?

– Niewiele. Ta stacja telewizyjna dysponuje furgonetką ze skanerem, która przez okrągłą dobę krąży i rejestruje wszelkie możliwe przestępstwa. Dotarli na miejsce pierwsi i jedyni sfilmowali zdarzenie. Całość trwa jakieś dziesięć minut. Żadnej akcji, dopóki Hewitt nie wychodzi z Adeline. Właśnie zobaczyłeś trzydziestopięciosekundowy fragment.

- Tylko tyle. Myślałem, że dłuższy.
  - Wydawało się, jakby to trwało całą pieprzoną wieczność, ale jednak nie. Część, która ukazała się w wiadomościach, trwała dziesięć sekund. Pięć zbliżenia na Hewitta z Adeline, trzy – na tych Rambo ze SWAT i jedna – na powalonego napastnika. Żadnej krwi i żadnych krzyków.
  - Dlaczego przez większość czasu nie ma dźwięku? – zapytałem. – Problemy techniczne?
  - Tak. Poluzowały im się kable. Naprawili to w połowie zapisu.
  - Co przekazały inne stacje?
  - Analizy ogłoszone po fakcie przez ludzi z departamentu.
  - Więc jeśli krzyki pojawiły się na mojej kasecie, jedynym źródłem musiał być ten zapis wideo.
  - Na to wygląda.
  - O czym to świadczy? Pan Silk pracuje dla telewizji?
  - Albo jego kolega, dziecko, kochanek, ojciec, ktokolwiek. Jeśli podasz mi listę swoich pacjentów, mogę spróbować zdobyć akta personalne pracowników stacji. Wtedy sprawdziłbym każdego po kolei.
  - Będzie lepiej, jeśli podasz mi listę pracowników, a ja porównam ją ze spisem pacjentów. W ten sposób nie naruszę zasad etyki zawodowej.
  - Świetnie. Mógłbyś również sporządzić listę z konferencji. Znajdź każdego uczestnika. Fakt, że było to dawno temu, ale może szpital przechowuje jakieś akta.
  - Zadzwoń tam jutro.
- Wstał i dotknął gardła.
- No, teraz jestem spragniony.

Udaliśmy się do kuchni. Otworzyliśmy piwa i zasiedliśmy przy stole. Pies ulokował się pomiędzy nami i oblizywał wargi.

– Nie powinien się czegoś napić? – zapytał Milo.

– Pewnie tak – odparłem. Wstałem i podsunąłem pod nos psa miskę. Buldog zignorował gest.

– Gówno prawda. On chce słodyczy i chmielu – skonkludował Milo. Wygląda na typa, który zaliczył już w życiu sporo knajp.

– To dla ciebie szansa na otworzenie własnego biznesu. Zaczynaj produkować napoje wyskokowe dla takich stworzeń. Chociaż nie jestem pewien twoich uczuć dla gatunków, które nie potrafią korzystać z toalety.

Zarechotał. Też zmusiłem się do uśmiechu. Obydwoje próbowaliśmy zapomnieć o kasecie wideo. I o wszystkim innym.

– Jest inna możliwość – rzekłem. – Może głosu Hewitta nie wykorzystano z tego zapisu.

Może ktoś nagrał krzyki w szpitalu psychicznie chorych. Ktoś, kto przypadkowo miał przy sobie dyktafon i wykorzystał go podczas jatki w dniu morderstwa. Z pewnością w centrum też mają odpowiedni sprzęt.

– Twierdzisz, że stoi za tym jakiś terapeuta?

– Myślałem raczej o pacjencie. O jakimś paranoiku, który zbiera nagrania. Osoba, która od siedemdziesiątego dziewiątego nosi w sobie urazę, musi być niezłym popaprańcem.

Pomyślał nad tym.

– Świr z kieszonkowym magnetofonem Sony, hę? Ktoś, kogo leczyłeś, a wylądował w centrum dla psychicznie chorych?

– Albo osoba, która pamiętała mnie z konferencji, a skończyła w szpitalu psychiatrycznym.

Ktoś, komu się kojarzę z parszywą miłością – cokolwiek to dla niego znaczy. Prawdopodobnie gniew na złą terapię. Albo terapię, którą uważa za złą. Teoria de Boscha mówiła o parszywych matkach, które zawodziły. O zdradzie. Jeśli myśli się o terapeutach jako o drugich rodzicach, to nie trudno o urazę.



Odstawił butelkę i spojrział na sufit.

– Tak więc mamy tu czubka, jednego z twoich byłych pacjentów, który nie może sobie pozwolić na prywatne leczenie i oddaje się pod opiekę hrabstwa. Przypadkowo znajduje się w centrum, kiedy Hewitt szatkuje Becky. Ma w kieszeni magnetofon i nagrywa wszystkich ludzi znajdujących się za jego plecami. Słyszy krzyki; naciska RECORD... Wydaje mi się, że to możliwe – wszystko jest możliwe w tym mieście. Przetoczył butelkę między dłońmi.

– Może. Ale dwóch czubków, którzy sfiksowali na punkcie „niedobrej miłości” tego samego dnia i o tej samej porze, to cholernie dużo jak na mój gust.

– Na mój również – odparłem.

Wypił jeszcze łyk piwa.

– A co, jeśli to w ogóle nie był zbieg okoliczności, Milo? Co w wypadku, gdy Hewitt i ten podsłuchiwach się znali? A może nawet wspólnie dzielili nienawiść do niedobrej miłości, de Boschów i terapeutów ogólnie? Jeżeli to centrum zdrowia przypomina inne, to jest zatłoczonym miejscem, gdzie pacjenci czekają na przyjęcie godzinami. Nie byłoby wcale takie dziwne, gdyby spotkało się dwóch ludzi cierpiących na tę samą niedolę, no nie? Skoro obaj byli paranoikami, mogli wzajemnie napawać się iluzją i strachem. Przedstawiać sobie świat w sposób, w jaki go widzą. Podsłuchiwach może być kimś, kto w innych okolicznościach nie byłby gwałtowny. Ale widząc, jak Hewitt morduje swojego terapeutę, a potem rozerwaną na kawałki twarz kolegi, traci panowanie nad sobą.

– I teraz jest gotów wykończyć własnego terapeutę? A co ma do tego kasetka, telefon i ryba?

– Przygotowuje scenerię. Może nie posunie się dalej – nie wiem. I coś jeszcze: mogą nie stanowić jedyne celu tego szaleńca. Może teraz mieć nowego lekarza, któremu grozi niebezpieczeństwo.

– Masz pomysł, kto to mógłby być? Ktoś z twojej listy pacjentów?

– Nie. I to cały problem. Nikt nie pasuje. Ale leczyłem różne dzieci. Wiele z biegiem czasu mogło się zmienić.

Milo ponownie spojrzął na sufit.

– A propos dzieci. Jak się ma do twojego scenariusza o czubkach ten dziecięcy głos?

– Cholera, nie wiem. Może podsłuchiwacz ma dziecko. Może został w dzieciństwie porwany? Boże, mam nadzieję, że nie. Ten głos był taki płaski, prawda? Czy Hewitt miał jakieś dzieci?

– Nie. Według raportu nie był żonaty, nie pracował, wszystko nie.

– Dobrze byłoby wiedzieć, z kim się zadawał w szpitalu. Moglibyśmy też sprawdzić, czy do nagrania kasety, którą dostałem, wykorzystano ten zapis wideo. Jeśli nie, to nie będziemy mieli dodatkowego kłopotu ze sprawdzaniem personelu stacji telewizyjnej.

Uśmiechnął się.

– A ty nie musiałbyś ujawniać listy swoich pacjentów, zgadza się?

– Istotnie. To byłaby wielka zdrada. Nadal nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Jesteś pewien, że to nie ktoś z nich?

– Nie jestem pewien, ale co mam zrobić? Zadzwoń do paru setek ludzi i zapytać, czy przypadkiem nie wyrosli na chorych z nienawiści maniaków?

– Żadnego pana Silka w twojej przeszłości, hę?

– Tylko jedwabne krawaty, które noszę.

– Jedną rzecz mogę ci powiedzieć. Twoja kasetka nie jest dokładną kopią, dźwięku z wideo. Z zarejestrowanych przez kamerę trzydziestu pięciu sekund, Hewitt wrzeszczy przez równe dwadzieścia siedem. Na taśmie, którą dostałeś, krzyki trwają jedynie szesnaście. Sprawdziłem to przed przyjściem tutaj. Równocześnie odtworzyłem obie kasety, żeby zobaczyć, czy potrafię wyłapać fragmenty, które dokładnie się pokrywają. Nie udało mi się. To wcale nie takie proste.

Poza tym nie mamy tu do czynienia ze słowami. Po pewnym czasie wszystkie krzyki brzmią tak samo.

– A może zrobić jakąś analizę głosu? Spróbować to dopasować elektronicznie?

– Z tego co wiem, to do dopasowania niezbędne są słowa. Zresztą departament nie przeprowadza już analiz głosu. Prawdopodobnie za mało dostają telefonów. Takie analizy są przydatne głównie w wypadkach porwań, a to zazwyczaj sprawy FBI. Cała reszta schodzi na drugi plan, ustępując pola kubłom pełnym krwi. Wydaje mi się, że robi je pewien facet z biura szeryfa. Dowiem się.

Pies wreszcie zanurzył pysk w misce i zaczął siorbać wodę. Milo uniósł butelkę piwa, powiedział „na zdrowie”, a następnie wypił jej zawartość.

– Może spróbujemy teraz domowej zespołowej pracy technika? – zapytałem. – Ty bierzesz audio, a ja – wideo.

– I będę w krainie wrzasków zaraz za tobą.

Przyniósł do biblioteki magnetofon. Usiedliśmy naprzeciwko siebie nasłuchując wrzasków.

Nawet przy udziale dwóch osób trudno było rozdzielić wycie na konkretne segmenty.

Odtwarzaliśmy materiał na okrągło, usiłując zlokalizować szesnaście sekund z taśmy o parszywej miłości, pośród bólu i hałasu dłuższego fragmentu wideo. Pies wytrzymał trochę ponad minutę i uciekł z pokoju.

Po półgodzinie – triumf.

Rozbieżność.

Dwusekundowy bezsłowny bełkot przy końcu mojej taśmy nie pokrywał się w żadnym punkcie ze ścieżką dźwiękową z wideo.

Był to ledwie słyszalny krzyk, ale kiedy już raz go wychwyciłem, potem dawał się rozpoznać bez najmniejszego problemu.

– Dwie oddzielne sesje nagraniowe – stwierdziłem – w przeciwnym razie, w jaki sposób na krótszej taśmie znalazłby się fragment, którego nie ma na dłuższej?

– Taak – zgodził się Milo. Wiedziałem, że był zły, że nie wyłapał tego przede mną.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Spojrzał na zegarek.

– Mówiłeś, że o której jedziesz na lotnisko?

– O dziewiątej.

– Jeśli nie masz nic przeciwko zostawieniu tego miejsca niestrzeżonego, to pojedę załatwić kilka spraw.

– Pewnie – odparłem i również podniosłem się z fotela – jakich spraw?

– Porozmawiam z dyrektorem kliniki o życiu prywatnym Hewitta.

Zabrał swoje rzeczy i podeszliśmy do drzwi.

– Okay, spadam – poinformował mnie. – Kup sobie porsche i komórkowca, żebyś w razie potrzeby mógł mnie zawsze namierzyć.

– Dzięki za wszystko, Milo.

– Od czego ma się przyjaciół?

Na myśl nasunęły mi się paskudne odpowiedzi, ale nie przekazałem ich detektywowi.

## **Rozdział ósmy**

Kiedy właśnie przygotowywałem się do wyjścia na lotnisko, zadzwonił doktor Stanley Wolf.

Mówił głosem mężczyzny w średnim wieku, miękkim i niezdecydowanym, jakby nie był pewny siebie.

Podziękowałem mu za fatywę i powiedziałem, że dzwoniłem w sprawie doktora Granta Stoumena.

– Tak, dostałem pańską wiadomość.

Potem zadał kilka pytań dotyczących moich referencji, a następnie zapytał, czy byłem

uczniem Granta.

– Nie – odparłem – nigdy się nie spotkaliśmy.

– Och... w takim razie, co chce pan wiedzieć?

– Ktoś mnie niepokoi i myślałem, że doktor Stoumen mógłby rzucić trochę światła na tę sprawę.

– Niepokoi?

– Otrzymuję denerwującą pocztę. Może to mieć związek z konferencją, której przewodniczyłem kilka lat temu. Doktor Stoumen dostarczał wtedy materiałów.

– Z konferencją? Nie rozumiem.

– Z symposium na temat pracy Andreasa de Boscha zatytułowanym „Dobra miłość/Niedobra miłość”. Terminu „niedobra miłość” użyto w listach, które otrzymałem.

– Kiedy odbyła się ta konferencja?

– W siedemdziesiątym dziewiątym.

– De Bosch – ten dziecięcy analityk?

– Znał go pan?

– Nie. Analityka dziecięca wykracza poza mój... resort działalności.

– Czy doktor Stoumen kiedykolwiek wspominał o de Boschu – albo o tej konkretnej konferencji?

– Nic takiego nie pamiętam. Nigdy też nie mówił o żadnym... Denerwująca poczta?

– Może „denerwująca” to zbyt łagodne określenie – odpowiedziałem taka raczej dosyć paskudna sprawa.

– Uh-hm.

Nie wyglądało na to, że go przekonałem.

– Ubiegłej nocy posunięto się nawet dalej. Ktoś buszował po mojej posiadłości. Mam w

ogrodzie mały staw. Wyciągnęli z niego rybę, zabili ją i zostawili przy brzegu, żebym mógł bez trudu znaleźć przesyłkę.

– Hmm... zadziwiające. I myśli pan, że to sympozjum ma jakiś związek?

– Nie wiem, ale na razie to wszystko, co mam. Usiłuję skontaktować się z kimś, kto również uczestniczył w sympozjum, i sprawdzić, czy przypadkiem nie ma podobnych problemów. Jak dotąd wszyscy, z którymi próbowałem nawiązać kontakt, wyprowadzili się z miasta. Czy nie zna pan czasem psychiatry o imieniu Wilbert Harrison albo pracownika socjalnego Mitchella Lenera?

– Nie.

– Oni również dostarczali materiały. Pozostałymi osobami przewodniczącymi konferencji byli: córka de Boscha – Katarina i analityk z Nowego Jorku – Harvey Rosenblatt.

– Rozumiem.. Cóż, jak mówiłem, nie jestem dziecięcym analitykiem, a niestety Grant nie żyje. Obawiam się więc, że...

– Gdzie zdarzył się wypadek?

– W Seattle – odpowiedział z nagłą mocą w głosie. – W zasadzie to podczas konferencji. I nie był to zwyczajny wypadek. Kierowca potrącił go i uciekł. Grant wyszedł na późny spacer. Został przejechany tuż pod frontowymi drzwiami hotelu.

– Przykro mi.

– Tak, to straszne.

– Co było przedmiotem konferencji?

– Coś na temat pomocy dla dzieci – chyba Północno-zachodnie sympozjum na Temat Pomocy Dzieciom. Grant zawsze był wielkim orędownikiem młodocianych.

– Okropne – stwierdziłem. – I to wydarzyło się w maju?

– Na początku czerwca. Grant miał już swoje lata – zmysły wzroku i słuchu nie

funkcjonowały najlepiej. Wolimy myśleć, że nie widział nadjeżdżającego auta.

– Ile miał lat?

– Osiemdziesiąt dziewięć.

– Czy w dalszym ciągu leczył?

– Kilku starych pacjentów wpadało od czasu do czasu. Nadal trzymał biuro i upierał się na dzielenie opłat czynszowych. Ale głównie podróżował. Wystawy sztuki, koncerty. I konferencje.

– Był rówieśnikiem Andreasa de Boscha – zauważyłem. – Czy kiedykolwiek o nim wspominał?

– Jeśli nawet, to nie przypominam sobie. Grant znał mnóstwo ludzi.

Praktykował ponad sześćdziesiąt lat.

– Czy leczył szczególnie gwałtownych pacjentów?

– Wie pan, że nie wolno mi mówić o jego sprawach, doktorze Delaware.

– Nie pytam o poszczególne przypadki, tylko o ogólny zarys praktyki.

– To co zauważyłem, było raczej dość konwencjonalne. Dzieci z problemami prawnymi.

– W porządku, dziękuję. Czy z kimś jeszcze mógłbym o nim porozmawiać?

– Jedyne doktor Langenbaum, ale nie powie panu więcej niż ja.

– Czy doktor Stoumen miał żonę?

– Zmarła kilka lat temu, a dzieci nie mieli. Cóż, teraz naprawdę muszę już kończyć.

– Dziękuję za poświęcony czas, doktorze Wolf.

– Nie ma problemu... hmm. Życzę szczęścia... przy rozpracowaniu tej sprawy.

Sięgnąłem po kluczyki do samochodu. Włączyłem jazz na stereo i zostawiłem oświetlony dom. Pies spał na łóżku, ale przebudził się i człapał za mną do drzwi.

– Zostań na straży – rozkazałem.

Gapił się przez chwilę, a potem usiadł.

Wyszedłem, zamknąłem drzwi i posłuchałem odgłosów protestu. Kiedy ucichły, zszedłem do podjazdu. Zapowiadała się chłodna noc. Odjechałem, nasłuchując szmerzącej w stawie wody. Ruszyłem w kierunku Glen. Zatrzymałem się przy wylocie drogi. Spojrzałem na czerwone korony drzew i ciemnoszare niebo. Z jakiegoś budynku przebijał się przez mrok cienki promyk światła, jak migocząca gwiazda.

Żadnych szans na określenie odległości dzielącej mnie od tej gwiazdy. W zasadzie nie miałem sąsiadów, ponieważ, nienadający się pod budowę ze względu na wyźłobienie pokładu wodnego, kawałek gruntu o szerokości akra przebiegał właśnie przez tę część Glen. Teren, na którym znajdowała się moja posiadłość, był jedynym nadającym się do wykorzystania.

Kilka lat temu izolacja była właśnie tym, czego pragnąłem. Teraz przypadkowi przechodnie wcale mi nie przeszkadzali.

Samochód pędził na północ. Jadąc zbyt szybko wyleciał na zewnętrzny pas szosy trafiwszy na ślepy zakręt. Odbiłem w prawo, w kierunku 405-tej Południowej. Zanim dotarłem do autostrady, rozmyślałem o beztroskim uśmiechu Robin i okłamywałem się, że nic innego nie ma znaczenia.

Nie była to ruchliwa noc na lotnisku. Taksówki krążyły wokół terminalu. Znalazłem sobie przytulne miejsce w poczekalni i spędziłem tam czas, aż do momentu, kiedy Robin pojawiła się w pasażu.

Ucałowałem ją i uściskałem. Wziąłem od niej walizkę i – umieściłem w bagażniku seville.

Jakiś mężczyzna w hawajskiej koszuli obserwował Robin poprzez dym papierosa. Przyglądało się jej także kilka dzieciaków.

Miała na sobie czarną jedwabną koszulkę i czarne dżinsy. Wokół bioder zwisała przewiązana koszula typu kimono w kolorze purpury. Dżinsy były wetknięte w czarne wysokie buty okute na szpicach srebrnymi blaszkami. Miała rozpuszczone, długie do ramion, włosy. Skóra błyszczała, a



ciemne oczy cechowała przejrzystość i spokój. Minęło pięć dni od czasu, kiedy ostatnio ją widziałem, ale czułem się jak po długiej separacji.

Dotknęła mojego policzka i uśmiechnęła się. Obdarowałem ją długim pocałunkiem.

– Łał! – wykrzyknęła – będę częściej wyjeżdżać.

– Niekoniecznie – odparłem – czasami trafia się dym bez ognia.

Wybuchnęła śmiechem i przytuliła się do mnie. Przytrzymałem otwarte drzwi, kiedy wsiadała do auta. Facet w hawajskiej koszuli odwrócił się do nas plecami.

Kiedy odjeżdżałem, położyła rękę na moim kolanie i obejrzała się na tylne siedzenie.

– Gdzie pies?

– Pilnuje domu. Jak ci poszło przemówienie?

– Świetnie. Do tego mogę sprzedać tę gitarę, którą zrobiłam ubiegłego lata. Poznałam jazzmena, który chce ją kupić.

– Wspaniale – stwierdziłem. – Poświęciłaś jej mnóstwo czasu.

– Pięćset godzin, ale kto to liczy.

Położyła głowę na moim ramieniu. Kilka razy przeciągle ziewnęła. Obudziła się dopiero, kiedy przyjechałem do Sunset.

– Dom, słodki dom – wyrecytowała miękko. Poczekalem, aż ocknie się na dobre, zanim przekazałem jej złe wieści.

Przyjęła je po męsku.

– Okay – stwierdziła. – Sądzę, że to wiąże się z terytorium. Może powinniśmy się wyprowadzić na jakiś czas i zamieszkać w sklepie.

– Wyprowadzić się?

– Dopóki nie dowiesz się, o co chodzi.

Pomyślałem o studiu Robin, oddzielonym cienkim fornirem białych ścian od głównych ulic

Venice. Drelichy i drewniane rzeźby na parterze. Poddasze, na którym uprawialiśmy miłość tak wiele razy...

– Dzięki – odpowiedziałem. – Ale to chyba nie jest najlepszy pomysł. Nie możemy zostawić domu bez opieki. Nie wspominając już o rybach.

To zabrzmiało trywialnie, ale Robin odrzekła.

– Ta biedna rybka. A tak ciężko pracowałeś, żeby utrzymać je przy życiu.

Dotknęła mojego policzka.

– Witaj w domu – powiedziałem ponuro.

– Nie martw się, Alex. Zastanówmy się tylko, jak radzić sobie z tą głupotą, dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana.

– Nie chcę cię narażać na żadne niebezpieczeństwa. Może powinnaś wyprowadzić się do sklepu.

– I zostawić cię tutaj samego?

– Chcę tylko być pewien, że z tobą jest wszystko w porządku.

– A myślisz, że będzie w porządku, jeżeli w każdej minucie będę się o ciebie martwić? Ryby są cudowne, Alex, ale możesz wynająć kogoś, żeby je karmił. I zatrudnić kogoś, kto zaopiekuje się domem, aż do zakończenia całej sprawy.

– Mam skulić ogon i uciekać?

– A co jest złego w odrobinie ostrożności, kochanie?

– Nie wiem... to tylko bardzo drastycznie wygląda, a cała sprawa jest pewnie beznadziejnie głupim kawałem.

– Więc dlaczego byłeś taki smutny, kiedy mi o tym mówiłeś?

– Przepraszam, nie chciałem cię martwić.

– Oczywiście, że mnie zmartwiłeś. Ktoś wysyła ci dziwaczne kasety, wdziera się na teren

posiadłości... Położyła dłoń na moim ramieniu.

Zapaliło się zielone światło i skręciłem w lewo.

– To ma związek z tym terenem – powtórzyła. – Wszyscy ci pacjenci, z którymi pracowałeś przez całe lata. Wszystkie błędnie ukierunkowane namiętności. Wcale się nie dziwię, że taka rzecz się wydarzyła. Zdumiewa mnie tylko, że doszło do tego tak późno.

– Nie mówiłaś nigdy, że się tym przejmujesz.

– Nie chodzi o zmartwienia. Po prostu czasem o tym myślałam.

– Nigdy mi nie powiedziałaś.

– A jaki to miałoby sens? Nie chciałam martwić ciebie.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem.

– Okay – rzekła – chronimy się wzajemnie. Czy nie na tym polega prawdziwa miłość?

Zajechałem przed dom. Żadnych wyraźnych symptomów wtargnięcia na tereny mojej własności.

– Pozwól mi sprawdzić parę rzeczy, zanim wysiądziesz.

– Na pewno! – odpowiedziała, ale została w samochodzie.

Poddałem szybkiej inspekcji staw. Ryby poruszały się w nocnym marazmie, ale żadnej nie brakowało.

Wbiegłem po schodach na ganek i sprawdziłem frontowe drzwi. Następnie zajrzałem do środka przez okno salonu. Coś się poruszyło. Buldog przycisnął mordę do szyby. Uniosłem rękę na powitanie. Polizał szybę. Przez drewniane ściany słyszałem odgłosy jazzu.

Kiedy wróciłem do auta, Robin wyciągała z bagażnika walizkę. Gdy próbowałem zabrać od niej bagaż, powiedziała, że sobie poradzi, i ruszyła w kierunku schodów.

Podczas gdy otwierałem drzwi wejściowe, stwierdziła.

– Moglibyśmy przynajmniej założyć alarm, wszyscy inni mają.

– Nigdy nie byłem niewolnikiem mody – odrzekłem, ale kiedy nie zobaczyłem uśmiechu na jej twarzy, dodałem – dobra, jutro zadzwonię po monterów.

Weszliśmy do środka. Omal nie potknęliśmy się o buldoga, który usadowił się na macie przy drzwiach. Z właściwym sobie dostojeństwem spoglądał to na Robin, to na mnie.

– Mój Boże – skomentowała Robin.

– Co? – zapytałem.

– To istne чудо, Alex. Chodź tu, skarbie. – Kucnęła przy nim i wyciągnęła rękę.

Zbliżył się bez wahania i oparł przednie łapy na barkach Robin. Polizał ją po twarzy.

– Ooch! – roześmiała się – jaki z ciebie przystojniaczek, popatrzcie tylko na te mięśnie!

Wstała nadal rozbawiona. Wytarła twarz. Pies wciąż się łąsił i obdrapywał nogi Robin. Sapał z wywalonym jęzorem.

Położyła rękę na moim ramieniu i posłała mi grobowe spojrzenie.

– Przepraszam, Alex. Jest teraz jeszcze jeden mężczyzna w moim życiu nachyliła się i poskrobała buldoga za uszami.

– Jestem zdruzgotany – oznajmiłem, przyłożywszy dłoń do serca. – Przemyśl to raz jeszcze, on nie ma gruczołów płciowych.

– To się nie liczy – odrzekła z uśmiechem. – Popatrz na tę twarz!

– Poza tym chrapie.

– Ty czasami też.

– Nigdy mi nie mówiłaś.

Wzruszyła ramionami.

– Kopię cię i zazwyczaj przestajesz. Cóż, spójrz na siebie. Apatia nie jest twoim problemem, prawda?

Ponownie uklękła przy zwierzaku.

– Ale cudo!

– Pomyśl o zmianach w swoim życiu towarzyskim – powiedziałem. Schabowy i sucha karma przy świecach.

Znów wybuchnęła śmiechem i poczochnęła futro buldoga.

Podczas kiedy ta dwójka spędzała mile czas, ja przeniosłem bagaże do sypialni. W trakcie drogi przelotnie sprawdziłem pokoje. Starłem się robić to na tyle dyskretnie, żeby Robin nie zauważyła. Wszystko wyglądało świetnie. Rozpakowałem ubrania Robin i ulokowałem je na łóżku.

Gdy wróciłem, siedziała na skórzanej kanapie, z głową psa na kolanach.

– Wiem, że to paskudne, Alex, ale chciałabym, żeby jego właściciel nigdy nie zadzwonił. Jak długo zgodnie z prawem powinieneś dawać ogłoszenie?

– Nie mam pojęcia.

– Musi być jakiś limit, nie? Jakiś rodzaj statutu ograniczenia.

– Najprawdopodobniej.

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

– Przy moim niefarcie pewnie ktoś jutro zadzwoni i go zabierze.

Ziewnęła przeciągle. Pies spojrzał na nią z fascynacją.

– Zmęczona? – zapytałem.

– Trochę. Czy wszystko w domu w porządku? Jestem pewna, że sprawdziłeś.

– Wszystko idealnie.

– Rozpakuję się.

– Już to zrobiłem. Może wskoczysz do wanny? Posprzątam trochę i dołączę do ciebie.

– Jesteś kochany, dzięki.

Spojrzała na psa.

– Widzisz, nasz doktor D. to naprawdę miły facet. A co z tobą? Też lubisz się kąpać?

– W gruncie rzeczy nienawidzi wody. Nawet się do niej nie zbliża. Tak więc zostaje tylko nas dwoje.

– Jakże egoistycznie z twojej strony. Gdzie on śpi?

– Ubiegłej nocy spał w łóżku. Dzisiaj przenosi się do kuchni.

Zrobiła kwaśną minę.

Pokręciłem głową.

– Y-ym, nie ma mowy.

– Och, daj spokój, Alex. Tylko czasowo.

– Chcesz, żeby te oczy nas obserwowały?

– Obserwowały, jak robimy co?

– Rozwiązujemy krzyżówki.

– Będzie tam samotny, Alex. Jestem pewna, że to dżentelmen. Poza tym, jak wcześniej niegrzecznie zauważyłeś, nie ma...

– Jaj albo żadnych jaj. To naturysta, Robin. I ma na ciebie ochotę. Do kuchni.

Jeszcze bardziej wyduła usta.

– Wybij to sobie z głowy – rozkazałem.

– Okrutny – stwierdziła – bez serca i okrutny.

– To brzmi jak nazwa firmy prawniczej. Bez serca, okrutny i wścibski.

Kiedy Robin zanurzała się w pianie, pies usadowił się w drzwiach łazienki. Namydliła się, a ja przeniosłem mamroczące zwierzę do sporządzonego z ręczników łóżka. Gdy tylko go położyłem, usiłował uciec. Zamknąłem kuchenne drzwi i rzuciłem mu sztuczną kość. Zaczął ją przeżuwać, a ja wymknąłem się z pomieszczenia.

Przez chwilę marudził, wydając z siebie najrozmaitsze dźwięki. W ramach procesu

wychowywania psa zignorowałem te odgłosy. Po kilku minutach uspokoił się. Wkrótce usłyszałem, jak miarowo chrapie.

Kiedy wszedłem do łazienki, Robin spojrzała na mnie z wyrzutem. Miała spięte włosy, a piana sięgała jej sutek.

– Nic mu nie jest – oznajmiłem zdejmując ubranie – zapadł już w słodką drzemkę.

– Cóż – powiedziała kładąc ręce za głowę – tak jest chyba najlepiej.

– Czy mi przebaczone? – zapytałem i zanurzyłem się w gorącej wodzie.

Przemyślała sprawę. Westchnęła. Uśmiechnęła się.

– No, nie wiem...

Pocałowałem ją. Odwzajemniła się tym samym. Dotknąłem jednej piersi i wyciąłem mydlaną brodawkę.

– Umm. No...

– Co, no?

– Możesz zapomnieć o panach Bez Serca i Okrutnym, ale myślę, że czas zapoznać się z ich współnikami. Jak on się nazywał?

## **Rozdział dziewiąty**

W czwartek rano wstała i wzięła prysznic już przed szóstą piętnaście. Kiedy wszedłem do kuchni, spodziewałem się ujrzeć ją ubraną i gotową do pracy, ale nadal miała na sobie nocną koszulę. Piła kawę i czytała „Forum Sztuki”. Nakarmiła psa. W paczce zostało już tylko kilka kawałków suchej karmy. Przelotnie spojrzała na mnie i zajęła się czytaniem. Po chwili odłożyła gazetę i uśmiechnęła się na powitanie. Ucałowałem ją i poinformowałem:

– Możesz już iść, poradzę sobie.

– A jeśli chcę być z tobą?

– Cudownie.

– Oczywiście, jeśli ty masz inne plany...

– Żadnych planów, aż do popołudnia.

– Co wtedy?

– Spotkanie z pacjentem na wyjeździe. W Sun Valley o trzeciej trzydzieści.

– Wizyta domowa?

Skinąłem głową.

– Sprawa o opiekę. Napotkałem opór i chcę pogadać z dziećmiakami w ich naturalnym środowisku.

– Trzecia trzydzieści? To dobrze. Do tego czasu możemy się zająć sobą.

– Świetnie.

Nalałem sobie kawy. Usiadłem i wskazałem ca magazyn.

– Co nowego w świecie sztuki?

– Zwyczajne głupoty – zamknęła czasopismo i odsunęła je na bok. W zasadzie to nie wiem, co się dzieje w świecie sztuki ani gdziekolwiek indziej. Nie mogę się skoncentrować, Alex.

Obudziłam się w środku nocy i myślałam o tym wszystkim, co się przydarzyło tobie i temu biednemu psychiatrze w Seattle. Czy naprawdę uważasz, że jest tu jakiś związek?

– Nie wiem. Kierowca uciekł z miejsca wypadku. Ale Stoumen miał osiemdziesiąt dziewięć lat, problemy ze wzrokiem i słuchem. Tak jak powiedział Freud: czasami cygaro to po prostu cygaro. Spałaś trochę?

– Niewiele.

– Chrapałem?

– Nie.

– Powiesz mi, kiedy będę chrapać?

– Tak! – delikatnie ścisnęła moją dłoń.



– Dlaczego nie obudziłaś mnie, żeby porozmawiać? – zapytałem.

– Spałeś jak zabity. Nie miałam serca.

– Następnym razem mnie obudź.

– Możemy porozmawiać teraz, jeśli chcesz. Przechodzą mnie ciarki, ilekroć pomyślę o tej sprawie. Martwię się o ciebie. Czego się dowiemy z następnej poczty czy telefonu?

– Miło się w to zagłębił – oznajmiłem – rozpracujemy całą sprawę.

Uścisnąłem jej dłoń.

– Nie masz pojęcia, kto chciałby się mścić na tobie? Z tych wszystkich pacjentów, których leczyłeś?

– Raczej nie. Kiedy pracowałem w szpitalu, miałem do czynienia z chorymi umysłowo dziećmi. W rzeczywistości były to normalne dzieci z najrozmaitszymi problemami. Stoumen leczył pacjentów tego samego rodzaju.

– A co z twoimi sprawami sądowymi? Wyłącznie te brednie o opiekę?

– Teoretycznie wszystko jest możliwe – stwierdziłem – ale przejrzałem moje akta i nie znalazłem nic. Kluczem musi być ta konferencja „niedobra miłość”.

– A ten szaleniec – Hewitt? Dlaczego wykrzykiwał te słowa?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

Puściła moją rękę.

– On zabił swojego terapeutę, Alex.

– Sądzę, że mógłbym zmienić branżę, ale chyba nie nadaję się do niczego innego.

– Bądź poważny.

– Okay, to co przydarzyło się Becky Basille, to ostateczność. Długą drogą od przesyłania głupkowatych kaset i pastwienia się nad karpiami do morderstwa.

Zauważywszy jej spojrzenie dodałem:

– Będę ostrożny; słowo skauta. Założę alarm i będę słuchał poleceń Milo.

– Nie rozważasz możliwości czasowego wyprowadzenia się?

– Zobaczymy, co się wydarzy podczas kilku następnych dni.

– Na co, Alex, chcesz czekać? Aż się pogorszy? Och, nieważne, lepiej nie krakać.

Wstała kręcąc głową. Podeszła do dzbanka z kawą po dolewkę. Pozostała tam. Piła i wyglądała przez okno.

– Kochanie, nie zamierzam wcale zgrywać twardego – powiedziałem. Chcę tylko zobaczyć, czego dowie się Milo, zanim zupełnie rozwalę harmonogram naszego życia. Dajmy mu przynajmniej dzień lub dwa, żeby się temu przyjrzał, okay? Jeżeli nie rzuci żadnego światła na sprawę, przeprowadzimy się do studia.

– Dzień albo dwa. Trzymam cię za słowo.

Buldog przydreptał do niej. Uśmiechnęła się do niego, a potem do mnie.

– Może zresztą przesadzam. Ta kasetka istotnie była taka paskudna?

– Dziwaczna – odrzekłem – po prostu kneblowała usta.

– Właśnie ta kwestia mnie martwi.

Pies chrząknął i potrząsnął łbem. Robin wyjęła trochę sera z lodówki. Rozkazała zwierzęciu usiąść i nagradzała jego posłuszeństwo małymi kęsami. Połykał ser hałaśliwie i oblizywał wargi.

Po chwili ostatni kawałek zniknął pomiędzy fałdami psiej mordy. Robin umyła ręce. Buldog siedział i gapił się na nią.

– Nie powinniśmy dać mu imienia, Alex?

– Milo nazywa go Rover.

– Pasuje.

– Ja pozostaję przy „hej ty”, ponieważ wciąż czekam, aż ktoś zadzwoni i odbierze go.

– Racja... po co się przywiązywać... jesteś głodny? Ugotuję coś.

– Może gdzieś wyjdziemy?

– Zjemy na mieście?

– Jak normalni ludzie.

– Pewnie. Przebiorę się.

Błysek w jej oczach skłonił mnie do sugestii:

– A może ubierzemy się w coś zabawnego i uderzymy w Bel Air?

– Bel Air? Co świętujemy?

– Nowy porządek świata.

– Jeśli tylko istnieje coś takiego. A co z nim?

– Mleczna kość *a la kuchnia* – oznajmiłem. – Nie mam dla niego garnituru.

Założyła bluzkę z gatunku *crepe de chine* i czarną spódnicę. Ja znalazłem letni, sportowy płaszcz i spodnie w kolorze khaki. Całość wyglądała nieźle. Poinformowałem operatorkę, gdzie będę uchwytany, i ruszyliśmy w kierunku Stone Canyon. Stamtąd przejechaliśmy kilometr do hotelu Bel Air. Służący w różowej koszuli otworzył nam drzwi i przespacerowaliśmy się mostem do głównego wejścia.

Poniżej kładki, w nieruchomym zielonym stawie, po powierzchni wody krążyły łabędzie.

Brzegi akwenu obrastała biała konopia. Ogromne sosny i eukaliptusy urozmaicały teren, dostarczając naturalnej klimatyzacji.

Kamienne ścieżki, po których kroczyliśmy, były świeżo nawilżone wodą. Wokół rozkwitły azalie. Personel obsługi przetaczał zapełnione wózki do poszczególnych apartamentów. Jakaś wychudzona, długowłosa istota szła tuż za nami. Obficie się pocąc, niosła pod pozbawionym mięśni ramieniem plik „Wall Street Journal”. Miała w oczach śmierć. Robin zagryzła wargę.

Ścisnąłem mocniej jej ramię i wkroczyliśmy do sali jadalnej, wymieniając uśmiechy z kelnerami. Posadzono nas w pobliżu francuskich drzwi. Kilka lat temu – niedługo po tym jak się

poznaliśmy – przychodziliśmy tutaj regularnie. Kiedyś właśnie przez te drzwi widzieliśmy Betty Davis. Stała na tarasie w długiej czarnej sukni zdobionej diamentami. Wyglądała równie spokojnie jak te pływające po stawie łabędzie.

Tego ranka sala była prawie pusta. Przy narożnym stoliku jakiś Arab w śmietankowym garniturze pił samotnie herbatę. Obok starsza para wznosiła toast szepcząc coś do siebie. W drugim, odległym końcu sali, w obszernej kabinie siedziało dwanaście czarnych garniturów, słuchając krótko obciętego blondyna w czerwonej koszulce i khaki. Opowiadał dowcip, gestykulując zawzięcie niezapalonym cygarem.

Wypiliśmy kawę i bardzo długo nie mogliśmy się zdecydować, co zamówić do jedzenia.

Żadne z nas nie było w nastroju do rozmowy. Po chwili zacząłem odczuwać ciszę jako pewien luksus i w pełni się rozluźniłem.

Wypiliśmy kilka porcji świeżego grapefruitowego soku i w końcu zdecydowaliśmy się na konkretne zamówienie. Ledwie zdołałem wbić zęby w omlet, kiedy spostrzegłem zbliżającą się kelnerkę. Tuż za nią szedł ktoś jeszcze.

Wysoka, barczysta postać chowała się za plecami hostessy. Milo ubrany był w jasnoniebieską marynarkę, gołębio-szare spodnie i brązowo-niebieski krawat. Trzymał ręce w kieszeniach i wyglądał groźnie.

Hostessa trzymała się na dystans od detektywa. Najwyraźniej chciała być w zupełnie innym miejscu. Wyprzedził ją, zanim dotarła do naszego stolika. Pocałowałszy Robin, sięgnął po krzesło z sąsiedniego stolika i przysiadł się do nas.

– Będzie pan coś zamawiał, sir? – zapytała kelnerka.

– Kawę.

– Tak, sir – odeszła w pośpiechu.

Milo odwrócił się w stronę Robin.

– Witamy w domu. Wyglądasz jak zawsze cudownie.

– Dziękuję, Milo.

– Jak tam lot?

– W porządku.

– Za każdym razem, kiedy jestem w górze, w jednej z tych latających rzeczy, zastanawiam się, co daje nam prawo do łamania prawa grawitacji.

Robin uśmiechnęła się.

– Czemu zawdzięczamy ten honor?

Przetarł twarz dłonią.

– Powiedział ci, co się dzieje?

Skinęła głową.

– Myślmy o przeprowadzeniu się do sklepu, aż sprawy się nie wyjaśnią.

Milo chrząknął i spojrzał na obrus.

Kelner przyniósł kawę i dodatkowe nakrycie. Detektyw rozłożył serwetkę na kolanach i zabębnił łyżką po stole. Kiedy nalewano kawę, Milo rozglądał się po pokoju. Zwrócił uwagę na stado garniturów.

– Biznes przy śniadaniu – powiedział, kiedy odszedł kelner. – Show biznes albo przestępstwo.

– Jest jakaś różnica? – zapytałem.

Uśmiech na jego twarzy pojawił się natychmiast, ale był dziwnie słaby. Wydawał się torturować fizjonomię detektywa.

– Pojawiły się nowe komplikacje – oznajmił. – Dzisiaj rano zdecydowałem się zajrzeć do pamięci komputera. Szukałem jakichkolwiek odsyłek do „parszywej miłości” w aktach spraw. Nie spodziewałem się, że w ogóle coś znajdę. Jednak znalazłem. Dwie nierozwiązane sprawy

zabójstw. Jedno sprzed trzech, drugie sprzed pięciu lat. Pobicie i zadźganie nożem.

– Och, Boże – skomentowała Robin.

Położył rękę na jej dłoni.

– Nie chciałem popsuć wam śniadania, ale nie byłem pewien, kiedy was złapię. Operatorka skierowała mnie tutaj.

– Nie, nie. Cieszę się, że przyszedłeś.

Odsunęła talerz i ścisnęła rękę Milo.

– Kto został zabity? – spytałem.

– Czy imię Rodney Shipler, coś ci mówi?

– Nie. To ofiara czy podejrzany?

– Ofiara. A może Myra Paprock?

Przeliterowałem nazwisko. Pokręciłem głową.

– Jesteś pewien? Żadne z nich nie było twoim pacjentem?

Powtórzyłem w myśli obydwa nazwiska.

– Nie. Nigdy o nich nie słyszałem. Co „parszywa miłość” ma wspólnego z tymi morderstwami?

– Przy Shiplerze – tym, którego zakatowano – słowa te znaleziono napisane na ścianie na miejscu zbrodni. Jeszcze nie jestem pewien, jaki ma to związek z drugą sprawą. Komputer po prostu wypłuł z siebie „parszywa miłość” w kategorii „rozmaite czynniki – brak wyjaśnienia”.

– Ci sami detektywi prowadzili obydwa śledztwa?

Pokręcił głową.

– Shiplerem zajął się oddział Southwest, a Paprock znaleziono dalej na północ, za doliną. O ile wiem, to nigdy nie dopatrzonego związku między tymi dwiema sprawami. Dwuletni odstęp czasu, różne części miasta. Po południu zamierzam przejrzeć rejestr aktualnych spraw.

– Na pewno warto – stwierdziłem. – Ubiegłej nocy rozmawiałem ze współpracownikiem doktora Stoumena. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Zdarzyło się to w Seattle, w czerwcu zeszłego roku.

Milo uniósł brwi.

– To istotnie mógł być wypadek – dodałem. – Stoumen miał prawie dziewięćdziesiątkę.

Słabo widział i słyszał. Ktoś potrącił go, kiedy wchodził na jezdnię.

– Podczas sympozjum psychologicznego.

– Tak, ale jeśli Shipler i Paprock nie byli terapeutami, to jaki może być związek?

– Nie wiem jeszcze, kim byli. Komputer nie podaje takich szczegółów.

Robin opuściła głowę. Kręcone włosy opadły na stół. Po chwili podniosła wzrok.

– Więc co robimy? – zapytała.

– Cóż – odezwał się Sturgis – wiecie, że nie należę do panikarzy, ale przy tym wszystkim, co tu mamy: przesyłka, telefon od świra, martwa ryba, dwa zabójstwa z premedytacją i konferencja, na której ciąży klątwa.. – Przerwał i spojrzał na mnie. – Przeprowadzenie się nie jest głupim pomysłem. Ale nie do sklepu. Myślę, że ktokolwiek dostarcza Alexowi kłopotów, zadał sobie trud sprawdzenia i wie bardzo dużo na jego temat.

Robin wyjrzała przez okno i pokręciła głową. Milo poklepał ją po ramieniu.

– Nic mi nie jest – oznajmiła – zastanówmy się tylko, gdzie będziemy musieli mieszkać. –

Rozejrzała się po sali. – Tu wcale nie jest tak źle. Ogromna szkoda, że nie zaliczamy się do potentatów naftowych.

– W zasadzie – powiedział Milo – myślę, że miałbym dla was pewną propozycję.

Mianowicie jeden z moich prywatnych klientów, bankier, wyjechał na rok do Anglii i zostawił swój dom do wynajęcia. Zaangażował mnie, żebym doglądał wszystkich formalnych spraw. To przyjemne miejsce niedaleko was. Beverly Hills, za Benedict Canyon. Nadal stoi puste, wiecie

jak jest z handlem nieruchomości. Facet wraca za trzy miesiące. Jestem pewien, że się zgodzi, będzie tam pomieszkali.

– Benedict Canyon – uśmiechnęła się Robin – to blisko od domu Sharon Tate?

– Istotnie blisko, ale to najbezpieczniejsze z wszystkich możliwych miejsc. Właściciel ma dużą kolekcję sztuki i bardzo rozbudowany system alarmowy. Elektroniczne bramy, kamery wideo, syreny alarmowe...

Przypominało to opis więzienia. Nie odezwałem się.

– Alarm połączony jest z komendą policji Beverly Hills – kontynuował Milo. – W razie czego zjawią się na miejscu po dwóch minutach; cholernie szybko. Dzieci, nie zamierzam przekonywać was, że macie to nazywać domem, ale uważam, że to idealne miejsce na czasowy pobyt.

– A ten twój klient nie będzie miał nic przeciwko?

– Nieee, nie ma o czym mówić.

– Dzięki, Milo – rzekła Robin – jesteś cudowny.

– Żaden problem.

– A co mam robić z pracą? Mogę chodzić do sklepu?

– Nie zaszkodziłoby, gdybyś sobie odpuściła kilka dni. Przynajmniej dopóki nie dowiem się czegoś więcej o tych nierozwiązanych sprawach.

– Mam zaległe zamówienia jeszcze sprzed wyjazdu do Oakland, Milo. A teraz, po powrocie, jeszcze bardziej jestem do tyłu – powiedziała Robin, a po chwili chwyciła i zgmiotła serwetkę. – Przepraszam, kochanie, tobie grozi niebezpieczeństwo, a ja się przejmuję...

– Na pewien czas możesz przenieść pracownię do garażu – zasugerował Milo – jest potrójny, a stoi tam tylko jeden samochód.

– To wystarczy, ale przecież nie mogę przetransportować wszystkich sprzętów.



– Może w tym również będę ci mógł pomóc – konkludował Sturgis.

– Rozwiązaniem byłoby przeprowadzenie się do studia i zatrudnienie ochrony – powiedziałem.

– Po co ryzykować? – spytał. – Kiedy problemy staną u twoich drzwi, udawaj, że nie ma cię w domu. Możecie nawet zabrać Rovera ze sobą.

– Brzmi nieźle – przyznałem, ale czułem suchość w gardle. – Jeśli mówimy o zabieraniu zwierząt, to w stawie pływa jeszcze reszta karpia. Może znajdzie się ktoś, kto by się nimi zajął. Robin zwinęła serwetkę w ciasny rulonik, który obracała między palcami. Usta miała zaciśnięte. Wlepiała oczy w jakiś punkt nad moim ramieniem, jakby spoglądała w niepewną przyszłość.

Pojawił się kelner z kawą i Milo odprawił go gestem ręki.

Z obszernej kabiny, z drugiego końca sali, dobiegł nas męski śmiech. Ta ogólna wesołość trwała już pewnie dłuższą chwilę, ale ja usłyszałem głosy garniturowców dopiero teraz, kiedy nasza trójka przestała konwersować.

Arab wstał od stolika i wygładził garnitur. Położył gotówkę na obrusie, a następnie wyszedł z jadalni.

– Chyba najwyższy czas się zbierać – stwierdziła Robin, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Ta cała sprawa wydaje się taka nierealna – powiedziałem.

– Może się okaże, że martwimy się o nic – odparł Milo – ale należycie do grona niewielu ludzi, do których żywię pozytywne uczucie. A w takiej sytuacji czuję się zobligowany, by was ochraniać.

Popatrzył na prawie nietknięte przez nas dania i zmarszczył brwi.

– To będzie was trochę kosztować.

– Może spróbujesz – pchnąłem talerz w jego kierunku.

Milo pokręcił głową.

– Z nerwów przeszliśmy na dietę – poinformowałem detektywa.

Jechał za nami do domu w swoim nieoznakowanym fordzie. Kiedy w trójkę weszliśmy do mieszkania, pies myślał, że zapowiada się jakaś impreza i zaczął wesoło skakać.

– Weź sobie walium, Rover – zasugerował Milo.

– Bądź dla niego miły – powiedziała Robin, klękając i wyciągając ramiona. Pies zbliżył się, potarła go przez sekundę i wstała. – Lepiej się zastanowię, co muszę ze sobą zabrać.

Poszła do sypialni. Buldog wiernie dreptał przy jej pięcie.

– Prawdziwa miłość – podsumował Milo.

– Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś mi powiedzieć? – zapytałem.

– Myślisz, że oszczędziłem jej opisu niektórych krwawych szczegółów? Nie. Stwierdziłem, że nie powinienem.

– Nie, oczywiście, że nie – odparłem – chodzi tylko o to, że ja nadal chciałbym ją chronić.

– W takim razie przeprowadzka jest właściwym posunięciem.

Nie odpowiedziałem.

– Nie ma się czego wstydzić. Instynkt samoobrony. Trzymam Ricka z dala od mojej pracy, a on robi to samo dla mnie.

– Jeśli cokolwiek by się jej stało...

Z tyłu domu dochodziły odgłosy kroków Robin. Gwałtowne i szybkie. Pauza i decyzja.

Monotonny szelest ciuchów spadających na łóżko. Słodkie, miękkie słowa, które wypowiadała do psa. Pokręciłem się trochę po pokoju i usiłowałem skupić – co zabrać, co zostawić...

– Stokrotka wśród róż – powiedział Milo. – Teraz wyglądasz jak ja, kiedy jestem wstawiony.

Potarłem twarz dłonią. Zaśmiał się i rozpiął marynarkę. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął

notatnik i pióro. W brązowej kaburze pod lewą pachą nosił rewolwer.

– A ty masz dla mnie jeszcze jakieś szczegóły? Co z tym psychiatrą Stoumenem?

– Tylko przybliżona data – początek czerwca – i nazwa konferencji: Północno-zachodnie Sympozjum na Temat Pomocy Dzieciom. Jestem pewien, że była sponsorowana przez Ligę Pomocy Dzieciom, której biuro mieści się tutaj w L.A. Może mógłbyś wyciągnąć od nich listę uczestników.

– Sprawdziłeś już listę pediatrów?

– Nie. Zaraz spróbuję.

Zadzwońłem do szpitala i poprosiłem z Biurem do Spraw Edukacji. Sekretarka poinformowała mnie, że akta sympozjów przechowywane są jedynie przez rok. Powiedziałem, żeby mimo to sprawdziła; co zrobiła.

– Nic, doktorze.

– Nie macie żadnego archiwum, ani nic?

– Archiwum? Przy naszych problemach z budżetem cieszymy się, że mamy przenośne baseny, doktorze.

Milo słuchał na drugim aparacie. Kiedy odłożyłem słuchawkę, powiedział:

– Dobra, olej to. Sprawdzę w FBI datę morderstwa i zobaczę, czy „parszywa miłość” pojawiła się w zabójstwach pozamiejskich.

– A co z Dorseyem Hewittem? – zapytałem. – Czy on mógł zabić Shiplera i Paprock?

– Postaram się sprawdzić, czy mieszkał w L.A. podczas tych morderstw. Nadal próbuję skontaktować się z Jeanem Jefferssem, dyrektorem kliniki, żeby dowiedzieć się, czy Hewitt miał w szpitalu kumpli.

– Podśluchiwacze... Wiesz, ta druga sesja mogła się odbyć w dniu morderstwa. Ktoś podsłuchał Hewitta zaraz po zabiciu Becky. Zanim jeszcze wybiegł i wpadł w pole obiektywów

telewizyjnych kamer. A co, jeśli ten podsłuchiwacz dokładnie wiedział, co Hewitt zrobi, i był gotów, żeby go nagrać?

– Współwinny?

– Albo uświadomiony sprzymierzeniec. Wiedział, że Becky ma umrzeć, ale nie starał się temu zapobiec.

Milo spojrział na mnie z grymasem. Zapisał coś w notesie i zapytał:

– Gotowy do pakowania?

Około godziny zajęło nam zgromadzenie walizek, reklamówek i papierowych kartonów.

Powstała mniejsza sterta niż się spodziewałem.

Razem z Milo przeniosłem wszystko do salonu. Potem zadzwoniłem do ogrodnika i poleciłem mu zabrać ryby.

Kiedy wróciłem do salonu, Robin i Milo gapili się na stos waliz.

– Pójdę do sklepu, wezmę jakieś narzędzia i parę innych drobiazgów oznajmiła.

– Uważaj na siebie – ostrzegł ją Milo. Jeśli zauważysz kogoś podejrzanego, to zaraz wracaj.

– Podejrzanego? Mówimy o Venice.

– Względnie dziwnego.

– Rozumiem.

Zabrała psa ze sobą. Odprowadziłem ją do półciężarówki i obserwowałem, jak odjeżdża.

Wypiliśmy z Milo kilka butelek coli. Potem odezwał się dzwonek i detektyw poszedł otworzyć.

Zajrzawszy uprzednio przez wizjer, wpuścił do środka trzech mężczyzn – w zasadzie chłopców około dwudziestki.

Mieli pociągłe twarze i potężnie zbudowane ciała. Dwóch białych, jeden czarny. Jeden z białych był wysoki. Nosili wojskowe bluzy, kolorowe spodnie i wysokie, czarne, sznurowane buty. Biali chłopcy mieli krótko obcięte włosy. Głowa Murzyna była ogolona do gołej skóry.

Mimo masywnej budowy, wszyscy trzej wyglądali na onieśmiałych.

– Cześć, chłopaki – przywitał się Milo – to doktor Delaware. Jest psychologiem, więc potrafi czytać w waszych myślach. Doktorze, to są Keenan, Chuck i De Longpre. Nie mieli pomysłu na życie, więc zrobili niewłaściwy użytek z pobytu w Silver Gym i wydali pieniądze Keenana.

Zgadza się, chłopcy?

Wszyscy trzej uśmiechnęli się i „przebili piątki”. Przez otwarte drzwi widziałem czarnego vana zaparkowanego niedaleko wjazdu. Obniżone zawieszenie, sportowe siedzenia, przyciemniane szyby, lampki w kształcie rombu z czarnego plastiku przy bocznej listwie, a poniżej trupia czaszka i piszczele z kalkomanii.

– Gustowne, he? – zapytał Milo. – Powiedzcie doktorowi Delaware, kto odzyskał wasze cztery kółka po tym, jak zostawiliście ciężarówkę na bulwarze Santa Monica z kluczykiem w stacyjce.

– Pan, panie Sturgis – odpowiedział niższy biały chłopiec. Miał złamany nos, wydęte usta, bardzo głęboki głos i lekko seplenił. To wyznanie jakby sprawiło mu ulgę, bo wyszczerzył zęby w uśmiechu. Brakowało jednego z siekaczy.

– A kto wspomógł cię finansowo w tym miesiącu, ponieważ skończyły ci się fundusze, Keenan?

– Pan, sir.

– Czy to był prezent?

– Nie, sir.

– Czy jestem jakimś naiwniakiem?

Potrząśnięcie chudej głowy.

– Czego żądam w zamian, chłopcy?

– Niewolniczej pracy! – odkrzyknęli zgodnie.

Milo skinął głową i zatarł ręce.

– Czas zapłaty. Ładujcie cały ten majdan do Pojazdu Śmierci. Potem wieziecie to do Venice, Pacific Avenue. Wiecie, gdzie to jest?

– Pewnie – odpowiedział Keenan – niedaleko Muscle Beach, zgadza się?

– Bardzo dobrze. Pojedziecie za mną i zobaczymy, z jakiej gliny jesteście ulepieni. Kiedy skończycie, będziecie trzymać gęby na kłódkę. Zrozumiano?

– Tak, sir.

– I uważajcie, jakby to był transport chińskiej porcelany.

## **Rozdział dziesiąty**

Dołączyliśmy do Robin i załadowaliśmy jej furgon; gdy patrzyła na opróżnianie sklepu, kilka łez zakręciło się w jej oczach. Jednak szybko doszła do siebie.

– Dobra, idziemy – powiedziała.

Uformowaliśmy mały konwój – Milo na przodzie, Robin, pies i ja w seville, van z tyłu – i ruszyliśmy z powrotem w kierunku Sunset. Ominęliśmy Glen i po wjechaniu do Beverly Hills skierowaliśmy się w stronę Benedict Canyon.

Milo zawrócił na wąskiej drodze obrośniętej z obydwu stron eukaliptusami. Jakieś sto metrów przed nami ujrzeliśmy białą, żelazną bramę. Wsunął klucz-kartę w podłużną szczelinę i brama otworzyła się. Konwój jechał teraz wzdłuż niewielkiego wzniesienia, porośniętego wysokimi cyprysami włoskimi. Później droga zakręciła i jechaliśmy jeszcze kilkaset metrów do przypominającego miskę dziedzińca o szerokości połowy akra.

Niski, biały jednopiętrowy dom znajdował się w centrum misy. Długi, prosty betonowy podjazd prowadził do frontowych drzwi. Kiedy znalazłem się bliżej, zauważyłem, że budynek stał na szczycie wzgórza.

Posiadłość otaczały góry i kaniony. Mnóstwo brunatnych zboczy i kilka zielonych punktów,

a wśród nich, od czasu do czasu jakiś domek. Zastanawiałem się, czy mój byłby stąd widoczny.

Rozejrzałem się, ale nie mogłem dostrzec swojej posesji.

Dom był szeroki, ze zbyt masywnym aluminiowym dachem w kolorze ciemnego brązu i takimiż oknami.

Niski garaż oddzielony był od głównego budynku nieogrodzonym kortem tenisowym.

Trzymetrowa czasza anteny satelitarnej umieszczona została na jego dachu.

W pobliżu budynku rosło kilka drzew juki i kaktusów. To co mogło być frontowym trawnikiem, zostało przekształcone w betonowy gościniec. Kiedy wysiadłem z auta, spostrzegłem nad drzwiami kamerę kawowego koloru. Powietrze było gorące i czyste.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do lory Robin.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Wygląda jak motel, prawda?

– Chyba że właściciel nazywa się Norman.

Czarny van zacharczał w momencie gaszenia silnika. Trzej chłopcy wyszli i otworzyli tylne drzwi wozu. Chwilę poklęli i pomamrotali, a następnie zaczęli wyładowywać sprzęt z kabiny.

Milo coś im powiedział, a następnie pomachał do nas. Zdjął marynarkę, ale nadal miał przy sobie broń. Upał znów wrócił.

– Wariacka pogoda – zakomunikowałem.

Robin wysiadła i wyniosła z pikapa buldoga. Podeszliśmy do frontowych drzwi i Milo wpuścił nas do domu. Podłoga była z białego marmuru w różowe paski. Meble – drewniane, hebanowe i pokryte jasnoniebieskim welurem. Pośrodku jednej ściany znajdowały się pojedyncze, jasne, francuskie drzwi. Na wszystkich pozostałych wisiały najrozmaitsze malowidła. Prawie stykały się ramami i widoczne były tylko białe pasemka gipsu. Drzwi – szklanymi oknami w żelaznych obramowaniach – wyglądały na podwórze, ogrodzone prawie

niewidocznym płotem. Grządka trawy oddzielała betonowy ganek od długiego, wąskiego basenu.

Basen został wykopany przy samej krawędzi działki. Ktoś liczył na efekt fuzji wody z niebem.

Ale woda była niebieska a niebo szare, jak pozbawiona smaku kubistyczna rzeźba.

Buldog podbiegł do francuskich drzwi i uderzył łapami w szybę. Milo wypuścił go i pies załatwił się na trawie, a następnie wrócił.

– Czuj się jak u siebie – zachęcił go detektyw, a później zwrócił się do nas.

– Dzwoniłem do Londynu, wszystko załatwione. Nie musicie się o nic martwić.

Podziękowaliśmy mu. Starł kurz z jednej z kanap, a ja przestudiowałem dzieła sztuki.

Impresjonistyczne obrazy wyglądały na francuskie; wyrażały sprzeciw wobec prerafaelickiej mitologii. Przyglądałem się orientalnym scenom z haremów i angielskim pejzażom z polowań.

Były również dzieła nowoczesne: Mondrian, galon munduru Franka Stelli i szkic metra Red Grooms.

Jadalnia była w stylu Maxfield Parrish: kobaltowe nieba, gęste lasy i piękni chłopcy ze złocistymi włosami.

Dużo rzeźb. Głównie męskie akty. Lampa, której czarną, granitową podstawą był muskularny tors Venus z Milo. Oprawiona okładka „The Advocate” upamiętniająca powstanie Christophera Streeta, obok dzieła Paula Cadmusa przedstawiające odpoczywającego Adonisa. Obramowana reklama koszul strzeleckich ze starego egzemplarza „Collier”, dotrzymująca towarzystwa biało-czarnemu zdjęciu Paula Newmana..

Poczułem się bardziej nieswojo niż oczekiwałem.

Milo powiódł nas z powrotem do drzwi i zaprezentował działanie systemu alarmowego.

Dwie kamery – jedna od frontu, druga penetrująca obszar z tyłu domu. W budynku dwa czarno-białe monitory. Jeden z nich pokazywał trzech pocących się z wysiłku chłopaków.

Milo otworzył drzwi i krzyknął:



– Ostrożnie!

Zamykając je zapytał:

– I co myślicie?

– Wspaniale – odparłem – mnóstwo przestrzeni, wielkie dzięki.

– Cudowne widoki – dodała Robin. – Naprawdę urzekające.

Poszliśmy z nim do kuchni, gdzie otworzył drzwiczki zamrażarki. Była pusta, nie licząc butelki hiszpańskiego wina.

– Załatwię wam jakąś dostawę.

– Daj spokój, ja się tym zajmę.

– Jak chcecie... Może pójdziemy obejrzyć sypialnię.

Poprowadził nas na dół szerokim holem. Ścienny zegar w korytarzu wskazywał drugą trzydzieści pięć. Za niespełna godzinę miałem znaleźć się w Sunland.

Robin czytała w moich myślach.

– Twoja popołudniowa wizyta?

– O której? – zapytał Milo.

– Trzecia trzydzieści – odpowiedziałem.

– Gdzie?

– U teściowej Wallace’a. Mam się tam spotkać z dziewczynkami. Chyba nic nie uniemożliwia mi tego wyjazdu...

Przez chwilę pomyślał.

– Nie widzę przeciwwskazań.

Robin wyłapała wahanie w jego głosie.

– Dlaczego miałby nie jechać?

– Chodzi o tę szczególną sprawę – oznajmiłem – potencjalnie wygląda paskudnie. Dwie małe

dziewczynki, których ojciec zabił matkę, a teraz chce wizyt.

– To absurd.

– Właśnie. Sąd poprosił mnie o ocenę i rekomendację. Na samym początku rozważaliśmy z Milo ewentualność, że ta kaseta jest sprawką ich ojca, który chciał mnie w ten sposób zastraszyć. Ma pokazać kartotekę policyjną i obraca się w towarzystwie gangu motocyklowego, znanego z używania przemocy.

– I ten bandzior jest na wolności?

– Nie, siedzi w więzieniu. W Folsom – bardzo dobrze strzeżonym. Niedawno dostałem od niego list, w którym przekonuje mnie, że jest dobrym ojcem.

– Cudownie – skomentowała Robin.

– On za tym nie stoi. To były tylko spekulacje, zanim wyskoczył temat sympozjum „parszywej miłości”. Moje problemy mają jakiś związek z de Boschem.

Spojrzała na Milo, który skinął głową.

– W porządku – rzekła całując mnie w brodę – przestaję być troskliwą mamuszką i zajmuję się własnymi sprawami.

Objąłem ją. Milo odwrócił wzrok.

– Będę ostrożny – obiecałem.

Przytuliła głowę do mojej piersi.

Pies zaczął drapać podłogę.

– Uspokój się, Rover – skarcił go Milo.

Robin odepchnęła mnie delikatnie.

– Idź i pomóż tym biednym dziewczynkom.

Ruszyłem z Benedict i przy Van Nuys Boulevard wjechałem na autostradę Ventura. Ulice wprost roły się od samochodów. Przez ohydne korki dobrnąłem do Mc Vine dopiero o 3.40.

Kiedy podjechałem pod dom Rodriguezów, nie stało tam żadne auto i nikt nie odpowiadał na mój dzwonek.

Evelyn okazująca niezadowolenie z powodu mojej niepunktualności?

Spróbowałem ponownie. Zapukałem raz, potem znowu – mocniej. Kiedy nie przyniosło to rezultatu, poszedłem na tył posesji. Zdołałem wspiąć się na tyle, by wyrzeć przez różową ścianę.

Zlustrowałem podwórze.

Pusto. Żadnej zabawki ani kawałka mebla w zasięgu wzroku. Garaż zamknięty, a żaluzje w oknach zaciągnięte.

Wróciłem do frontowych drzwi. Zajrzałem do skrzynki pocztowej i znalazłem wczorajszą i dzisiejszą pocztę; katalogi reklamowe i coś z gazowni.

Włożyłem przesyłki z powrotem do skrzynki i spojrzałem na drogę. Dziesięcioletni chłopiec jechał na wrotkach. Kilka minut później czerwona ciężarówka nadjechała od strony Foothill.

Przez chwilę myślałem, że to samochód Roddy'ego. Kiedy przejeżdżała obok mnie, zauważyłem, że miała jaśniejszy odcień i była o jakąś dekadę nowsza. Kobieta o blond włosach siedziała na fotelu kierowcy. Wielki żółty pies leżał z wywalonym ozorem na fotelu pilota.

Wsiadłem do seville i czekałem przez następne dwadzieścia pięć minut, ale nikt się nie pokazał. Usiłowałem przypomnieć sobie nazwę firmy Rodrigueza. Udało się: R and R.

Ruszyłem z powrotem w kierunku Foothill Boulevard. Skręciłem na południe i przy Arco Station zauważyłem budkę telefoniczną. Książka była zerwana z łańcucha, więc zadzwoniłem na informację. Zapytałem o adres i numer telefonu R and R. Operator zignorował mnie i podał tylko numer. Wykręciłem podyktowane cyfry. Nikt nie odbierał. Spróbowałem raz jeszcze nawiązać kontakt z operatorem i zdobyłem adres firmy. Okazało się, że mieściła się na Foothill, około dziesięciu przecznic od miejsca, w którym stałem.

Pod otrzymanym adresem znalazłem lichy budynek i niewielką działkę ogrodzoną drutem

kolczastym. Po jednej stronie znajdowała się piwiarnia, a po drugiej lombard.

Teren był pusty, nie licząc kilku ceglanych fragmentów i rolek papy. Budynek wyglądał, jakby kiedyś pełnił rolę podwójnego garażu. Dwie pary staromodnych obrotowych drzwi zajmowały większą część frontowej ściany. Ponad nimi żółte, zdobne litery oznajmiały: R AND R MURARSTWO: CEMENT, ŻUŻEL I CEGŁA. Poniżej widniał napis: NASZĄ SPECJALNOŚCIĄ RENOWACJA ŚCIAN.

Zaparkowałem i wysiadłem z wozu. Żadnych oznak życia. Kłódka wisząca na bramie była rozmiaru piłki baseballowej.

Podszedłem do lombardu. Drzwi były zamknięte, a napis nad czerwonym guzikiem informował: NACISNAĆ I CZEKAĆ. Postąpiłem wedle instrukcji. Sygnał odezwał się, ale drzwi nie stanęły otworem. Zbliżyłem się do okna. Za niewysoką ladą stał jakiś mężczyzna.

Zignorował mnie.

Nacisnąłem raz jeszcze.

Wykonał gwałtowny ruch dłonią i drzwi się otworzyły.

Szedłem między półkami wypełnionymi aparatami fotograficznymi, tanimi gitarami, magnetofonami, nożami kieszonkowymi i sprzętem wędkarskim.

Mężczyzna usiłował równocześnie patrzeć na mnie i na zegarek.

Miał około sześćdziesięciu lat i długą, nadętą twarz.

Chrząknąłem.

– Tak? – zapytał, wciąż spoglądając na zegarek. Obracał go w zabarwionych nikotyną palcach i przeżuwał coś, jakby przygotowywał się do splunięcia. Sklep miał miękkie drewniane podłogi. W powietrzu unosił się zapach siarki z zapalek i ludzkiego potu.

– Szukam Roddy'ego Rodrigueza z domu obok – oznajmiłem – mam dla niego trochę pracy przy renowacji ściany.

Odłożył zegarek i wziął do ręki następny.

– Przepraszam – powiedziałem z naciskiem.

– Chce pan coś kupić albo sprzedać?

– Nie. Zastanawiałem się tylko, czy nie wie pan, kiedy Rodriguez...

Odwrócił się do mnie plecami i odszedł. Przez szybę z pleksi zobaczyłem stare biuro, pełne najrozmaitszych papierów. Sklepiarz uniósł zegarek pod fluorescencyjną żarówkę.

Wyszedłem i udałem się do baru. Frontowe drzwi nie były w żaden sposób oznaczone. Nad nimi wisiał neon w kształcie słońca z napisem SUNNY SUN'S VALLEY. Pojedyncze okienko poniżej wypełniał emblemat Budweissera.

Wszedłem do środka. Spodziewałem się zadymionej, mrocznej knajpki; bilardowych stukotów i kowbojskiej szafy grającej. Tymczasem trafiłem na jaskrawe oświetlenie, ZZ Top śpiewające o meksykańskiej dziwce i prawie pustą salę, niewiele większą od mojej kuchni. Żadnego stołu bilardowego. W ogóle żadnych stołów, tylko długi drewniany bar, a przy nim wmontowane na stałe, dopasowane na odpowiednią wysokość, stołki. Na jednej ze ścian wisiał automat z papierosami. Wystrój podłogi stanowił wyłącznie beton.

Mężczyzna obsługujący bar miał około trzydziestki. Był łysiejącym blondynem ze szczecinowatą bródką. Nosił przyciemniane okulary i złoty ćwiek w jednym uchu. Koszulka i fartuch zakrywały wiotką klatkę. Jego ramiona też wyglądały na sflaczałe – blade i wytatuowane.

Nie przepracowywał się zbytnio. Dwóch klientów siedziało przy barze w dużej odległości od siebie. Jeszcze więcej tatuaży. Nie ruszali się. Całość wyglądała jak plakat reklamujący

Międzynarodowy Dzień Zastoju Szarych Komórek.

Zająłem miejsce pomiędzy tymi dwiema mumiami i zamówiłem piwo.

– Kufel czy butelka?

– Kufel.

Napełnienie kufła zajęło barmanowi sporą chwilę. W tym czasie przyjrzałem się moim towarzyszom. Obydwaj nosili czapeczki z napisami, T-shirty, džinsy i robocze obuwie. Jeden był chudy, drugi – atletycznej postury. Mieli brudne ręce i zmęczone twarze. Palili i pili.

Barman postawił przede mną piwo. Pociągnąłem łyk z kufła. Nie było ani złe, ani dobre; w każdym razie nie tak tragiczne, jak się spodziewałem.

– Wiesz może, kiedy wróci Roddy? – zapytałem.

– Kto? – odpowiedział pytaniem barman.

– Rodriguez – taki murarz z zakładu obok. Ma odrestaurować moją ścianę i się nie pokazuje.

Wzruszył ramionami.

– Tam jest zamknięte – poinformowałem.

Żadnej odpowiedzi.

– Świetnie. Facet wziął cholerną zaliczkę.

Barman zajął się wycieraniem szklanek.

Wypiłem jeszcze trochę piwa.

ZZ Top ustąpiło miejsca dyskdzokejowi, który polecał ubezpieczenie samochodu osobom mającym problemy na drogach. Potem zanieczyściła powietrze seria reklam.

– Kiedy ostatni raz widziałeś go tutaj? – zapytałem.

– Kogo?

– Rodrigueza.

Wzruszenie ramion.

– Czy to miejsce było zamknięte przez jakiś czas?

Kolejny podryg ramion. Ponownie zajął się pucowaniem szkła.

– Super – stwierdziłem.

– Nigdy tu nie przychodzi. Nie mam z nim nic wspólnego, okay? wybuchnął nagle barman.

– Niewiele pija?

Wzruszenie ramion.

– Pieprzony dupek – odezwał się mężczyzna po mojej prawej, ten chudy.

Chudy i pryszczaty. Jego papieros umierał w popielniczce. Jednym ze środkowych palców grzebał w popiele.

– Kto? Rodriguez? – zapytałem.

Skinął głową.

– Pieprzony szmalcownik nie płaci.

– Pracowałeś dla niego?

– Popieprzeniec. Kopałem jego pieprzone rowy. Potem facet przywozi wózkiem lunch i ja chcę zaliczkę, żeby kupić buritto. On mówi, przykro mi, amigo, nie przed końcem dniówki.

Więc, adios, amigo, człowieku.

Pokręcił głową, nadal zraniony tą odmową.

– Dupek – powtórzył i zajął się swoim piwem.

– Więc ciebie też wyrolował – stwierdziłem.

– Pieprzony facet – odpowiedział.

– Masz jakiś pomysł, gdzie mogę go znaleźć?

– Może w Meksyku, człowieku.

– W Meksyku?

– Taak, wszyscy ci spryciarze mają tam drugie domy. Mają drugie żony i małe taco-tico dzieciaki. Wysyłają tam wszystkie pieniądze.

Usłyszałem metaliczny dźwięk po lewej. Spostrzegłem, jak muskularny facet zapala papierosa. Miał około trzydziestki, dwudniowy zarost i grube czarne wąsy. Na czapce nosił napis: KOT. Wypuścił strugę dymu w kierunku baru.

– Ty też znasz Rodrigueza? – zapytałem.

Powoli pokręcił głową i wysunął swój kufel. Barman napełnił go. Później atletyczny mężczyzna wyciągnął rękę, w której trzymał paczkę papierosów. Barman poczęstował się, skinął głową w podziękowaniu i zapalił.

Z radia popłynęły dźwięki muzyki Guns' n Roses.

Berman spojrzał na mój pusty do połowy kubek.

– Coś jeszcze?

Pokręciłem głową, położyłem należność na ladzie i wyszedłem.

– Dupek – powtórzył chudy mężczyzna podchmielonym głosem, który się dał słyszeć ponad muzyką.

Pojechałem z powrotem do domu Rodriguezów. Nadal ciemno i pusto. Jakaś kobieta przechodziła z miotłą przez ulicę i zaczęła mi się podejrzliwie przyglądać.

– Wie pani może, kiedy wrócą? – zawołałem.

Weszła do swojego domu. Odjechałem i dostałem się znów na autostradę, z której odbiłem na północ w kierunku Beverly Glen. Po chwili zdałem sobie sprawę z popełnionego błędu, ale nie zawróciłem. Zaparkowałem na podjeździe. Obejrzawszy się przez ramię, z paranoiczną gorliwością zdecydowałem, że bezpieczniej będzie wysiąść z samochodu.

Pospacerowałem wokół mojej posiadłości, oglądając i rozpamiętując. Dom wyglądał samotnie.

*Wiecie, jakie stają się miejsca, kiedy są puste...*

Rzuciłem okiem na staw. Ryby nadal tam były i podpłynęły, żeby mnie przywitać.

– Tymczasem, chłopaki – powiedziałem i odszedłem. Zastanawiałem się, ile z nich przetrwa.

## **Rozdział jedenasty**

Kilka minut później byłem już w Benedict. Czarny furgon i cywilny ford zniknęły. Dwoje z



trzech drzwi garażu były otwarte. Wewnątrz zobaczyłem Robin ubraną w robocze ciuchy i okulary ochronne, pracującą przy swojej obrabiarce.

Zauważyła, jak nadchodzę, i wyłączyła maszynę. W trzecim garażu stało złote BMW. Reszta powierzchni wyglądała jak duplikat sklepu z Venice.

– Widzę, że się urządziłaś – stwierdziłem.

Zsunęła gogle na czoło.

– W zasadzie nie jest tak źle. Muszę tylko zostawiać otwarte drzwi dla wentylacji. Dlaczego wróciłeś tak wcześnie?

– Nie było nikogo w domu.

– Kpią sobie z ciebie?

– Wygląda, jakby wyjechali na jakiś czas.

– Wyprowadzili się?

– Jeżeli tak, to dość dawno.

– Skąd wiesz?

– Znalazłem w skrzynce nieodebraną od dwóch dni pocztę, a warsztat jej męża był zamknięty.

– Powinna cię uprzedzić.

– Kurtuazja nie jest najlepszą jej cechą. Nie przejmowała się zbytnio moimi diagnozami, ale mimo to myślałem, że robimy postępy. Prawdopodobnie wywiozła dziewczynki poza stan, może na Hawaje. Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, zrobiła dygresję na temat wakacji w Honolulu. Albo Meksyk. Możliwe, że jej mąż ma tam rodzinę... lepiej zadzwonię do sędziego.

– Urządzimy ci biuro w jednej z sypialni – powiedziała nachylając się i całując mój policzek.

– Dostaniesz tę z najlepszym widokiem i z Hockneyem na ścianie – dwóch chłopców pod prysznicem. – Uśmiechnęła się. – Biedny Milo. Był trochę zażenowany tym wszystkim. Zaczynał

mamrtać coś o „atmosferze”. Prawie przeproszał. Po tym wszystkim, co dla nas zrobił!

Usiedliśmy i odbyliśmy poważną rozmowę.

– O czym?

– O sensie życia. Powiedziałam mu, że ta atmosfera nie będzie ci przeszkadzać.

– Co on na to?

– Tylko chrząkał i przecierał twarz dłońmi. Potem zrobiłam kawy i powiedziałam mu, że jeżeli nauczy się grać na jakimś instrumencie, to zrobię taki dla niego.

– Bezpieczna oferta.

– Może nie. Okazało się, że jako dziecko grywał na akordeonie. Poza tym śpiewa, słyszałeś kiedyś?

– Nie.

– Cóż, zaśpiewał dzisiaj dla mnie. Stary, irlandzki folklor. I wiesz co? Ma naprawdę miły głos.

– Basso profundo?

– Tenor. Śpiewał w chórze kościelnym, kiedy był mały.

– Trudno sobie wyobrazić – powiedziałem.

– Jest pewnie wiele rzeczy, jakich nie wiesz o nim.

– Prawdopodobnie. Z każdym rokiem borykam się z coraz większą ignorancją z mojej strony... À propos mamrotania, to gdzie jest nasz czworonogi przyjaciel?

– Śpi na ganku dla służby. Próbowaliśmy trzymać go tutaj, kiedy pracowałam, ale szturmował maszyny. Zdecydowałam się więc zamknąć go pod kluczem.

– Prawdziwa miłość, co? Czy charczał, jak to ma w zwyczaju?

– Och, pewnie – odparła. Położyła rękę na gardle i wydała z siebie zduszony odgłos. –

Krzyknęłam na niego, żeby siedział cicho, i przestał.

– Biedactwo, pewnie myślał, że będziesz jego zbawieniem.

Uśmiechnęła się.

– Może jestem czuła i namiętna, ale na pewno nie łatwa.

Wypuściłem psa. Poczekalem, aż się załatwi w ogrodzie, i zabrałem go do mojego nowego biura. Chromowane biurko ze szklanym blatem stało dociśnięte do ściany. Moje dokumenty i książki zostały starannie ułożone na welurowej kanapie. Widok z okna był fantastyczny, ale po kilku chwilach przestałem zwracać na to uwagę.

Zadzwońłem do sądu. Zastałem Steve’a Huffa w kancelarii i powiedziałem mu o nieobecności Evelyn Rodriguez.

– Może zapomniała – skomentował – może zrezygnowała albo cię unika, albo cokolwiek.

– Myślę, że istnieje jakaś przyczyna, dlaczego jej nie ma, Steve.

Opisałem zaryglowany zakład R. Rodrigueza.

– Na to wygląda – stwierdził.

– Nie mogę jej obwiniać. Kiedy widziałem się z nią dwa dni temu, naprawdę szczerze i chętnie mówiła o problemach dziewczynek. Mają ich mnóstwo. Aha, i Donald napisał do mnie list. Żadne pogrożki, zapewnia tylko, że jest dobrym ojcem.

– Napisał do ciebie list?

– Dzwonił do mnie również jego adwokat.

– Straszyl cię?

Zawahałem się.

– Nie, tylko zrzędził.

– Fatalnie. Wedle prawa nie można na to nic poradzić... Nie, ja też nie mogę powiedzieć, że bym ją obwiniał. Chcesz poczekać i spróbować jeszcze raz, czy już teraz napiszesz raport; podsumujesz wszystko, co ci powiedziała?

– A co za różnica?

– Wszystko zależy od tego, kiedy chcesz otrzymać zapłatę i jak wiele czasu możesz jej poświęcić. Kiedy oddasz mi raport, mam obowiązek posłać go do Bucklear. „On” otrzyma to najdalej za kilka tygodni, potem podpisze dokument i dostanie nakaz sądowy.

– Morderca dostanie nakaz aresztowania babki, która wywiozła swoje wnuki z miasta? W aktach umieścimy to pod literą „I” jak ironia, czy pod „W” – jak wariactwo?

– Mam rozumieć, że będziesz czekać?

– Ile orientacyjnie mogę dać jej czasu?

– Rozsądny okres. Mniej więcej tyle, ile zazwyczaj trwają te wasze psychologiczne badania.

– To znaczy?

– To znaczy tak, jak normalnie robią psychiatrzy. Trzy, cztery, a nawet pięć tygodni nie zdziwi nikogo – zawsze się spóźniacie z papierkową robotą. Mógłbyś nawet przeciągnąć to do sześciu, a może siedmiu tygodni. Tylko pamiętaj; nigdy tego ode mnie nie słyszałeś. W zasadzie to nigdy nie dyskutowaliśmy na ten temat, prawda?

– Jaki temat? – zapytałem.

– Inaczej... uff, szeryf ma coś do mnie, czas wracać do zajęć, cześć.

Odłożyłem słuchawkę. Buldog umieścił łapy na moim kolanie i próbował wdrapać się na mnie. Podniosłem go i okrył mnie ciepłą warstwą swojego cielska. Co najmniej piętnaście kilo. Hockney wisiał tuż przede mną. Wspaniałe dzieło. Równie wielkie jak malowidło Thomasa Harta Bentona ze ściany obok.

Przez chwilę spoglądałem na obydwa obrazy. Zastanawiałem się, o czym rozmawiali Robin i Milo. Pies siedział w bezruchu niczym mały, futrzany budda. Połechtalem go po łbie, a on polizał moją rękę. Chłopak i jego pies... Zdałem sobie sprawę, że nie zdobyłem jeszcze numeru do klubu buldogów. Dochodziła siedemnasta. Za późno, żeby dzwonić do związku kynologicznego. Zrobię

to jutro rano.

Nie spałem zbyt dobrze tej nocy. W piątek rano, o ósmej, zadzwoniłem do Karoliny

Północnej i zdobyłem adres Amerykańskiego Klubu Francuskich Buldogów w Rahway, New Jersey. Oznaczenie kodowe. Żadnego numeru telefonu.

Dziesięć po ósmej zadzwoniłem do domu Rodriguezów. Z nagranej informacji dowiedziałem się, że ta linia została odłączona. Wyobraziłem sobie Evelyn z dziewczynkami jadącą zakurzoną drogą w Baja i Rodrigueza podążającego za nimi w swojej ciężarówce. Albo może cała czwórka spacerowała teraz przez Waikiki zwiedzając je w tłumie turystów. Gdyby tylko wiedzieli, jak wiele nas łączyło...

Zacząłem rozpakowywać książki. O ósmej trzydzieści pięć odezwał się dzwonek i Milo pojawił się na jednym z monitorów. Tupał nogą i taszczył białą torbę.

– Śniadanie – ogłosił, a ja otworzyłem drzwi. – Zaserwowałem już porcję pani Castagna.

Boże, ta kobieca praca... Co robisz?

– Urządzam się.

– Dobrze spałeś?

– Wspaniale – skłamałem – dzięki za załatwienie tego wszystkiego.

Rozejrzał się dookoła.

– Jak tam biuro?

– Idealne.

– Wspaniały widok, nie?

– Można by dla niego umrzeć.

Poszliśmy do kuchni. Wyjął z torby kilka bułeczek i dwa kubki z kawą. Usiedliśmy przy stole z niebieskiego granitu.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytał.

– Raczej niesprecyzowane, biorąc pod uwagę fakt, że sprawa Wallace’a jest chwilowo zawieszona. Wygląda na to, że babunia wzięła sprawy w swoje ręce.

Opowiedziałem mu, czego dowiedziałem się w Sunland.

– Prawdopodobnie wyjechali – podsumował Milo. – Jeżeli miałbyś ochotę podjąć się małego zadania, to mam takie jedno dla ciebie.

– Mianowicie?

– Jedź do Centrum Zdrowia Psychicznego i porozmawiaj z panią Jean Jeffers. Wreszcie do niej dotarłem. W zasadzie to ona dzwoniła do mnie ubiegłej nocy, co uważam za miłe zachowanie jak na biurokratkę. Ma lepszy stosunek do sprawy, niż przypuszczałem.

Powiedziałem jej, że pracujemy nad przestępstwem – nie wdawałem się w żadne szczegóły – i mamy powody wierzyć, że ma ono związek z jednym z jej pacjentów. Dodałem, iż możliwe jest, że ta osoba była kumplem Hewitta. Usłyszawszy to imię zaczęła nawijać, jaką straszną klęską ich wszystkich było morderstwo Becky. Nadal jest tym bardzo wstrząśnięta. Zapytałem, czy nie wie, z kim Hewitt się zadawał, i odpowiedziała, że nie. Potem spytałem, czy mogłaby zajrzeć do kartoteki pacjentów, odparła, że szalenie chciałaby pomóc, ale nie może – poufność akt.

Postraszyłem ją Tarasoffem, mając nadzieję, że nie zna aż tak dobrze prawa. Znała: nie ma określonej groźby przeciw określonej ofierze; nie ma obowiązku Tarasoffa. W tej sytuacji wyciągnąłem asa z kieszeni. Powiedziałem jej, że departament ma konsultanta, który

współpracuje z nami przy przestępstwach o podłożu psychiatrycznym. Faceta zaufanego i dyskretnego. Podałem jej twoje nazwisko, na wypadek, gdyby o tobie słyszała. I wiesz co?

Wydawało jej się, że tak. Szczególnie po tym, jak powiedziałem, że jesteś dość sławną postacią.

– Fiu, fiu.

– Fiu, fiu i to na maksa. Oznajmiła, że nie może nic obiecać, ale porozmawia z tobą; może znajdzie się jakiś sposób na wyciągnięcie od niej informacji. Im dłużej rozmawialiśmy, tym

bardziej stawiała się przyjacielska. Czuję, że chce pomóc, ale ma pewne opory. Postępuj z nią delikatnie.

– Żadnego nacisku – rzekłem. – Jak dużo mogę powiedzieć?

Milo przełknął kawałek bułki.

– Najmniej jak to możliwe.

– Kiedy może się ze mną spotkać?

– Dziś po południu. Tu masz numer. – Wyjął skrawek papieru z kieszeni, podał mi go i wstał.

– Gdzie idziesz? – zapytałem.

– Do Van Nuys. Postaram się jak najwięcej dowiedzieć o tym, kto pocałował Myrę Paprock pięć lat temu.

Kiedy wyszedłem, zadzwoniłem do mojej operatorki. Nadal żadnych wiadomości od Shirley Rosenblatt z Nowego Jorku.

Potem napisałem list do buldożego klubu. Poinformowałem ich, że znalazłem kogoś, kto może być ulubieńcem jednego z ich członków. O dziewiątej trzydzieści zadzwoniłem do Jean Jeffers. Połączyłem się z jej sekretarką. Dowiedziałem się, że jeśli mam czas, to za godzinę mogę przyjść na spotkanie.

Złapałem bułkę, założyłem krawat i wyszedłem.

Centrum znajdowało się w bloku uroczych apartamentów w pastelowych kolorach, w zachodnim L.A., niedaleko Santa Monica. W starej dzielnicy robotniczej, niedaleko parku przemysłowego, którego galopujący rozwój został nagle przerwany przez nadejście ciężkich czasów. Po okresie prosperity pozostały w połowie wykończone budynki; wykopane pod fundamenty doły; zabite deskami okna bungalów, obesrane przez gołębie tabliczki z napisem „na sprzedaż”.

Klinika była jedynym ładnym kawałkiem architektury w zasięgu wzroku. Frontowe okna

szpitala pokrywały kraty, a na żelaznych łańcuszkach zwisały doniczki z begoniami. To miejsce na chodniku, gdzie Dorsey Hewitt padł trupem, było czyste, bez najmniejszej plamki.

Obszerny parking był w dwóch trzecich pusty i oznaczony tabliczką: TYLKO DLA PRACOWNIKÓW. Zdecydowałem, że specjalny konsultant kwalifikuje się do grona pracowników, i zaparkowałem.

Wróciłem do frontowej strony budynku, minąwszy ścianę uzbrojoną w kamerę telewizyjną. Na cementowym narożniku wyryto nazwiska zapomnianych polityków oraz oświadczenie, że budynek ten został wzniesiony jako klinika weteranów z 1919 r. Drzwi, przez które wychodził Hewitt, znajdowały się tuż obok, po prawej stronie. Były nieoznaczone i zaryglowane dostrzegłem dwie kłódki; równie potężne jak ta, pieczętująca ogrodzenie firmy Rodrigueza. Główne wejście znajdowało się idealnie pośrodku frontowej ściany budynku. Poprzez zdobiony łuk prowadziło na dziedziniec z pustą fontanną. Łodzia po prawej stronie fontanny – droga, którą Hewitt mógł próbować się dostać do nieoznaczonych drzwi – była oddzielona grubym, stalowym ogrodzeniem. Korytarz po przeciwnej stronie doprowadził mnie do drzwi w szklanej oprawie.

Za drzwiami stał umundurowany strażnik – wysoki, stary, czarny i żujący gumę. Zbadał mnie wzrokiem, a następnie otworzył jedne z wrót i wskazał ręką na detektor metali; takie urządzenie, które często spotykamy na lotniskach. Musiałem oddać mu swoje klucze, żeby przejść przez nie bezszmerowo.

– Proszę bardzo – powiedział, oddając mi je z powrotem.

Podszedłem do recepcji. Za siatką ochronną siedziała młoda Murzynka.

– W czym mogę pomóc?

– Doktor Delaware do pani Jeffers.

– Sekundkę.



Chwyliła za telefon. Inne kobiety siedziały przy biurkach, pisały na maszynach i mówiły do słuchawek. Okna w tle były okratowane. Przez kraty widziałem ciężarówki, samochody osobowe i cienie – szare graffiti na ścianach alei.

Znalazłem się w małej, nieumeblowanej salce pomalowanej na zielono, z drzwiami po prawej stronie. Klaustrofobiczny pokoik. Kojarzył mi się z bramą wypadową w więzieniu stanowym. Byłem ciekaw, jak paranoiczny schizofrenik albo ktoś przechodzący kryzys mógł się tutaj dobrze czuć. Jak łatwo ktoś z zaburzeniami psychiki mógł przedostać się z parkingu, przez detektor metali, do tej ponurej celi.

– Okay. Właśnie schodzi na dół – oznajmiła recepcjonistka i nacisnęła jakiś guziczek.

Dzwonek zabrzączał, nie tak głośno jak ten w lombardzie, ale równie nieprzyjemnie, i wkroczyłem do długiego holu w kolorze kremowym, z mnóstwem drzwi po obu stronach. Gruby, szary dywan pokrywał podłogę. Światło było przesadnie jaskrawe.

Większość drzwi była nieoznaczona. Niektóre zaopatrzone w naklejki: TERAPIA, a na kilku zaledwie widniały konkretne nazwiska. Kremowa farba została świeżo nałożona. Ile warstw było potrzebnych, żeby zakryć krwawe plamy?

W korytarzu, nie licząc odgłosu moich kroków, panowała cisza. Kiedy doszedłem do końca holu, otworzyły się drzwi po mojej lewej stronie. Pojawili się ludzie, ale nie było słychać żadnych głosów.

Trzy osoby – dwie kobiety i mężczyzna; biednie ubrani i powłóczący nogami. Każdy szedł osobno. Mężczyzna garbił się i miał zapadnięte policzki. Kobiety były grube, z purpurowymi twarzami i lepкими włosami. Kiedy przechodzili obok mnie, wszyscy opuścili wzrok na dywan. Każde z nich trzymało mały, biały kawałek papieru ze znaczkiem „Rx.”

Pokój, z którego wyszli, miał rozmiary sali lekcyjnej. Był zatłoczony, długa kolejka ludzi stała przed metalowym biurkiem, przy którym siedział młody mężczyzna. Krótko rozmawiał z

każdą z podchodzących osób, wypisywał receptę i wręczał ją z uśmiechem. Ludzie z szeregu przesuwali się równie automatycznie jak pustaki na taśmie produkcyjnej. Niektórzy wyciągali ręce, zanim dotarli do biurka. Nikt nie wychodził bez świstka. Nikt nie wyglądał na zadowolonego.

Kontynuowałem spacer. Drzwi przy samym końcu zdobiła tabliczka z napisem: JEAN JEFFERS, MSW, LCSW. DYREKTOR.

Za drzwiami znajdował się sekretariat, okupowany przez młodą Azjatkę z nalaną twarzą. Jej biurko ledwie mieściło komputer i bibularz. Prawie całą powierzchnię ściany zajmowały drewniane, ciemne drzwi. Z radia stojącego na krawędzi stolika płynęły ledwo słyszalne dźwięki rocka. Napis na tabliczce przed komputerem głosił: MARY CHIN.

– Doktor Delaware? Proszę wejść. Jean oczekuje pana.

– Dziękuję.

Zaczęła otwierać drzwi. Uprzedziła ją pani Jeffers, łapiąc za klamkę z drugiej strony.

Wysoka blondynka, około czterdziestu pięciu lat. Miała na sobie purpurową sukienkę ściągniętą w talii szerokim, białym pasem.

– Pan doktor? Miło mi, jestem Jean. – Wyciągnęła rękę prawie tak dużą jak moja. Na lewej dłoni, tuż za szeroką, złotą obrączką, nosiła rubinowy pierścień.

Jeszcze trochę bieli w łezkowatych kolczykach i bransoletka ze sztucznej kości słoniowej na jednym ręku, a solidnie wyglądający zegarek na drugim.

Była zgrabna, pas podkreślał szczupłą talię. Twarz miała długą, lekko opaloną, z rysami miękkimi, choć wydatnymi. Szpeciła ją tylko odrobinę zdeformowana górna warga.

Ciemnoniebieskie oczy lustrowały mnie uważnie spod czarnych rzęs. Okulary w złotych oprawkach zwisały na łańcuszku owiniętym wokół szyi. Włosy, prawie białe, były krótko obcięte z tyłu, a z przodu gładko zaczesane na boki. Bardzo surowo, gdyby nie kosmyk, który opadał jej

na czoło i prawie zakrywał prawe oko. Atrakcyjna kobieta.

– Dziękuję za spotkanie – powiedziałem.

– Ależ nie ma sprawy, doktorze. Proszę usiąść.

Jej gabinet stanowił kwadrat o standardowych wymiarach – dwanaście na dwanaście. Do wyposażenia należało biurko z prawdziwego drewna, dwa pluszowe fotele, szafka na akta, niemalże pusta biblioteczka i kilka obrazów z mewami. Na biurku leżało pióro, notatnik i plik dokumentów.

Na jednej z półek stało oprawione w ramki zdjęcie – ona i sympatycznie wyglądający mężczyzna atletycznej postury. Oboje ubrani w hawajskie koszule. Na innej półce zauważyłem dyplomy za pracę socjalną dla Jean Marie LaPorte. Wszystkie pochodziły z kalifornijskich uczelni. Sprawdziłem daty. Jeśli skończyła koledż w wieku dwudziestu dwóch lat, to miała teraz dokładnie czterdzieści pięć.

– Jest pan szpitalnym psychologiem, nieprawdaż? – spytała siadając za biurkiem.

Usiadłem na jednym z krzeseł.

– Tak, istotnie.

– Kiedy detektyw Sturgis wymienił pańskie nazwisko, wiedziałam, że je pamiętam, tylko nie mogłam przypomnieć sobie skąd.

Uśmiechnęła się ponownie. Ja również posłałem jej uśmiech.

– W jaki sposób psycholog staje się policyjnym konsultantem? – zapytała.

– W zasadzie to przez przypadek. Kilka lat temu leczyłem dzieci, które były niewłaściwie traktowane w centrum opieki dziennej. Skończyło się zeznaniami w sądzie i współpracą z wymiarem sprawiedliwości. Jedno prowadzi do drugiego.

– Centrum opieki dziennej? – to ten mężczyzna, który robił zdjęcia? Związany z tymi strasznymi wyłudzacami?

Skinąłem głową.

– Cóż, to na pewno stąd pamiętam pańskie nazwisko. Był pan wtedy bohaterem, nieprawdaż?

– Niezupełnie. Robiłem, co do mnie należało.

– Hmm... – rzekła, usadowiwszy się wygodniej. Odgarnęła włosy z czoła. – Jestem pewna, że mówi pan tak przez skromność. Szczerze powiedziawszy, to nie mogłabym pracować z takimi dziećmi. Może to brzmieć śmiesznie, biorąc pod uwagę, z czym się teraz borykamy, ale dzieci...

– pokręciła głową – zbyt trudno byłoby mi znaleźć choć gram sympatii dla złoczyńców, choćby sami byli kiedyś ofiarami.

– Wiem, co ma pani na myśli.

– Dla mnie najgorsze, to właśnie gwałcenie zaufania dziecka. Jak pan sobie z tym radzi?

– To nie jest łatwe – odparłem. – Próbowałem zostać sojusznikiem dziecka i robię wszystko, co może mu pomóc.

– Próbowałem? Nie pracuje pan już więcej nad takimi przypadkami?

– Okazjonalnie. Tylko w sprawach opieki. Głównie doradzam sądowi w sprawach urazów psychicznych i rozwodach.

– Czy pan w ogóle leczy?

– Niewiele.

– Ja w zasadzie też. Moim głównym celem w szkole było zostać terapeutą, ale nie pamiętam już, kiedy ostatnio prowadziłam jakieś poważne badanie.

Uśmiechnęła się ponownie i potrząsnęła głową. Fala włosów zakryła jej oczy. Jean odrzuciła je do tyłu zadziwiająco młodzieńczym gestem.

– Tak czy inaczej – powiedziała – naprawdę nie wiem, jak mogę pomóc w sprawie, o której mówił detektyw Sturgis. Muszę przestrzegać tajemnicy lekarskiej, pomimo tego, co przydarzyło się Becky.

Zagryzła wargi, opuściła wzrok i pokręciła głową.

– To musiało być straszne – powiedziałem.

– To wydarzyło się zbyt szybko, żeby było straszne. Ta okropna sprawa nie docierała do mnie, aż do momentu, kiedy wszystko się skończyło. Widząc ją... patrząc co on... dopiero teraz naprawdę rozumiem, co oznacza termin „pourazowy stres”.

Przycisnęła palcem górną wargę.

– Nikt nie wiedział, co z nią robił. Siedziałam tutaj, zajmując się własnymi sprawami przez cały czas, kiedy on... Pokoje terapeutyczne są dźwiękoszczelne. On... – usunęła palec z ust. Białe kółeczko pojawiło się na wardze, a po chwili zniknęło. – Potem usłyszałam hałas w korytarzu mówiła dalej Jean. – Ten straszny krzyk... on cały czas krzyczał.

– Parszywa miłość – wtrąciłem się.

Jej usta pozostały otwarte. Błękitne oczy zmatowiały na sekundę.

– Tak... On... Wyszłam do biura Mary. Nie znalazłam jej tam, więc otworzyłam drzwi do holu i zobaczyłam go. Krzyczącego, wymachującego tym nożem; tryskała krew, zobaczył mnie, widziałam, jak wbija we mnie wzrok i dalej krzyczy. Zatrzasnęłam drzwi. Podsunęłam pod klamkę biurko Mary i pobiegłam z powrotem do swojego pokoju. Trzasnęłam tymi drzwiami i zablokowałam je. Byłam schowana za krzesłem cały czas, kiedy... Później dowiedziałam się, że złapał Adeline.

Wytarła oczy z łez.

– Przepraszam, nie musi pan tego słuchać.

– Nie, nie, proszę.

Rzuciła okiem na blankiet z wiadomościami. Pusty. Wzięła pióro i napisała coś na kartce.

– Nie, wystarczy, powtarzałam to tak wiele razy... nikt nie wie, jak długo on... czy długo cierpiała. Jedyne, na co mogę liczyć, to że niedługo. Sama myśl o niej... – pokręciła głową i

dotknęła ręką skroni. – Te dźwiękoszczelne pokoje zrobili w latach sześćdziesiątych; wtedy to miejsce było szpitalem dla weteranów wojny wietnamskiej. My z całą pewnością nie potrzebujemy ich teraz.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nikt nie przeprowadza tu wielu badań.

Wzięła głęboki oddech i z lekkim klaśnięciem opuściła dłonie na biurko.

– Życie toczy się dalej, prawda? Chciałby pan coś do picia? Mamy automat do kawy w drugim skrzydle. Mogę wysłać Mary, żeby przyniosła...

– Nie, dziękuję.

– Dobry wybór – skomentowała z uśmiechem – jest dość lurowata.

– Dlaczego nie prowadzi się tu badań? – zapytałem. – Pacjenci stali się zbyt niespokojni?

– Zbyt niespokojni, za biedni, za dużo ich. Potrzebują jedzenia, schronienia i chcą przestać słyszeć głosy. Preferowanym środkiem leczenia, jest thorazine, haldol i tegretol lub cokolwiek, co odpędzałoby demony. Prawdziwa terapia byłaby miłym luksusem, ale nie mamy na to środków. Nie wspominając już o funduszach. Właśnie dlatego nie mamy wśród personelu żadnych psychologów, a jedynie zwykłych pracowników socjalnych. Większość z nich to zresztą asystenci SWA. Jak Becky.

– Kiedy tu szedłem, widziałem lekarza wypisującego recepty.

– Zgadza się – odparła – mamy piątek, prawda? To doktor Winttel. Psychiatra, który wpada tu raz na tydzień. Naprawdę miły chłopak. Ale kiedy zdobędzie praktykę, zniknie stąd jak wszyscy inni.

– Jeżeli nikt tu nie leczy, to co robiła Becky z Hewittem w pokoju terapeutycznym?

– Nie mówiłam, że nigdy nie rozmawiamy z naszymi pacjentami. Po prostu nie prowadzimy dogłębionych badań. Czasami brakuje nam miejsca i używamy sal terapeutycznych do odwalania

papierkowej roboty. Każdy wykorzystuje to co ma pod ręką. Jeśli chodzi o Becky, to mogła z nim robić cokolwiek. Dawać mu bony do hotelu opieki społecznej, tłumaczyć, gdzie mógłby się odwszyć... Może próbowała dostać się do wnętrza jego umysłu – była tego rodzaju osobą.

– To znaczy?

– Optymistką. Idealistką. Większość z nas zaczyna w ten sposób, nieprawdaż?

Skinąłem głową.

– Czy Hewitt miał jakąś burzliwą przeszłość?

– Nic takiego nie ma w naszych aktach. Został aresztowany kilka tygodni wcześniej za kradzież i miał stanąć przed sądem – może właśnie o tym z nim rozmawiała. W dokumentach nie było nic, co mogłoby nas ostrzec. A nawet jeśli był gwałtowny, to jest spora szansa, że ta informacja nigdy do nas nie dotarła.

– Odłożyła pióro i spojrzała na mnie.

– Prawda jest taka, że był dokładnie taki sam jak większość innych, którzy przychodzą i odchodzą. Nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć.

Sięgnęła po jeden z dokumentów leżących na biurku.

– Oto jego akta. Policja skonfiskowała je, a później oddała. Zgaduję, że tym samym nie są już poufne.

Wewnątrz znajdowały się tylko dwa arkusze przypięte do okładek. U góry pierwszego figurowały dane osobowe Hewitta: jego wiek – trzydzieści jeden lat i adres – brak. Pod hasłem „PRZYCZYNA PRZYJĘCIA” ktoś napisał „złożone problemy socjalne”. Pod „DIAGNOZA”:  
„prawd, chron. schizof.” Pozostałe kategorie: „PROGNOZY, UTRZYMANIE RODZINY, HISTORIA CHOROBY, INNE LECZENIA PSYCH.” nie zostały wypełnione. Nic o „parszywej miłości”.

Na spodzie formularza były notatki dotyczące przyjęcia pacjenta i podpis, który głosił

„R.Basille, SWA.”

Drugi arkusz był gładki i biały, oznaczony jedynie notką „Kontynuacja nastąpi w razie potrzeby, R.B., SWA.” Data była o osiem tygodni wcześniejsza od dnia morderstwa. Oddałem dokumentację pani Jeffers.

– Niewiele – stwierdziłem.

Uśmiechnęła się smutno.

– Papierkowa robota nie należała do mocnych stron Becky.

– Więc nie ma pani pojęcia, ile razy Rebecka widziała się z nim?

– Chyba nie świadczy to najlepiej o moich umiejętnościach administracyjnych, prawda? Ale nie należę do ludzi, którzy uważają, że kierowanie personelem oznacza sprawdzanie wszystkich poczynań. Usiłuję znajdować najlepszych ludzi, jakich mogę, daję im motywację i wolną rękę w pracy. Normalnie to działa. Z Becky... Wyrzuciła ręce w górę:

– Ona była urocza, naprawdę słodka osóbka. Nie za bardzo pasująca do dyscypliny pracy i takich rzeczy, ale cóż z tego? – pokręciła głową. Rozmawialiśmy o tym, kiedy pomagałam jej, żeby zdążyła na czas z papierkową robotą. Obiecała spróbować, lecz szczerze mówiąc nie wiązałam z tym wielkich nadziei. I miałam to gdzieś. Była wydajna tam, gdzie się to naprawdę liczyło. Potrafiła wisieć cały dzień na telefonie i wyklócać się z agencjami o każdego centa dla swoich pacjentów. Przesiadywała w klinice do późna, robiła wszystko, co mogło im pomóc. Kto wie? Może poświęcała też swój wolny czas dla Hewitta...

Podniosła słuchawkę.

– Mary? Kawę proszę... Nie, tylko jedną.

Odłożywszy telefon powiedziała:

– Prawdziwy horror polega na tym, że to się może zdarzyć ponownie. Mamy teraz odpowiednie pomieszczenie, do którego kierujemy ich zaraz po tym, jak dostaną swoje



lekarstwa. Władze stanowe w końcu przydzieliły nam strażnika i detektor metali, ale niech mi pan powie, jak przewidzieć, który z chorych dostanie nagle ataku szału?

– Nie jesteśmy zbyt dobrymi prorokami w takich sytuacjach.

– Nie, istotnie. Setki ludzi zgłaszają się do nas każdego tygodnia po lekarstwa i bony.

Musimy ich wpuszczać. Każdy z nich może być drugim Hewitem. Nawet gdybyśmy chcieli trzymać ich pod kluczem, to nie możemy. Nie wiem, jaka jest pana teoria na temat psychozy, ale ja uważam, że większość psychopatów się z tym rodzi. To geny; jak w każdej innej chorobie. Tymczasem zamiast ich leczyć – albo demonizujemy, albo idealizujemy ich przypadłości; i w rezultacie jedni z nich uważają, że są zupełnie w porządku i powinni zostać wypuszczeni na wolność, a drugim do szczęścia wystarczy umiejętność zawiązania sznurowadeł.

– Rozumiem – odrzekłem – kiedy uczęszczałem do średniej szkoły, cała ta wspólnota psychologiczna była w pełnym rozkwicie; schizofrenia jako alternatywny styl życia, uwalnianie pacjentów z sal szpitalnych i zachęcanie ich do samoleczenia.

– Zachęcanie – zaśmiała się nie otwierając ust.

– Miałem profesora, który był fanatykiem tego poglądu – oznajmiłem. Studiował system zdrowia psychicznego w Belgii czy gdzieś i napisał książkę na ten temat. Kiedyś pisaliśmy wypracowanie o dezinstytucjonalizacji. Im bardziej się w to wgłębiałem, tym bardziej wydawało mi się niemożliwe do zrealizowania. Zacząłem się zastanawiać, co działałoby się z chorymi psychicznie, którzy potrzebowaliby leczenia, a sami nie mogliby sobie z tym poradzić. Oddał mi sprawdzone wypracowanie z jednym komentarzem: „Leczenie to kontrola umysłu” i dostałem trzy minus.

– Cóż, ja daję panu pięć. Niektórzy z naszych pacjentów nie potrafią samodzielnie jeść!

Moim zdaniem dezinstytucjonalizacja jest głównym problemem opieki nad bezdomnymi.

Pewnie, niektórzy bezdomni pracują i jakoś sobie radzą, ale trzydzieści lub czterdzieści procent

to osoby dotknięte chorobami umysłowymi. Powinni leżeć w szpitalach, a nie pod jakimiś mostami. A teraz, przy tych wszystkich narkotykach, powiedzenie, że psychicznie chory nie jest groźny dla otoczenia, jest po prostu kłamstwem. Z każdym rokiem jest coraz gorzej, doktorze Delaware. Modłę się, żeby nie było następnego Hewitta, ale nie liczę na to.

– Czy pani w ogóle próbowała stwierdzić, którzy pacjenci są gwałtowni?

– Jeżeli otrzymujemy kartotekę policyjną, to traktujemy ją poważnie. Ale jak powiedziałam, rzadko się to zdarza. Musimy tu sami być policją. Jeśli ktoś biega i rzuca groźby, to wzywamy ochronę. Ale większość z nich jest spokojna. Hewitt też był. O ile wiem, to nie zadawał się z nikim. Prawdopodobnie dlatego nie mogłam zbyt pomóc detektywowi Sturgisowi. A w ogóle to, o co mu chodzi?

– Najwyraźniej podejrzewa, że Hewitt miał przyjaciela, który może teraz grozić pewnym ludziom. Stara się dowiedzieć, czy ten kumpel Dorsey'a był tutejszym pacjentem.

– Cóż. Po tym jak Sturgis do mnie dzwonił, zapytałam innych pracowników, czy nie widywali z kimś Hewitta. Niestety. Jedyna osoba, która mogła to wiedzieć, to Becky.

– Czy tylko ona odbywała z nim sesje?

Skinęła głową.

– Jak długo tu pracowała?

– Trochę ponad rok. Uzyskała tytuł laborantki ubiegłego lata i zgłosiła się zaraz potem. Jedna z tzw. drugich karier. Pracowała przez pewien czas jako sekretarka, potem zdecydowała się wrócić do szkoły, żeby robić coś ważnego społecznie – zacytowałam tu jej słowa.

Mrugnęła oczami.

– Taka słodka dziewczyna – powiedziała. Pokręciła głową, a później spojrzała na mnie. –

Wie pan, o czym pomyślałam? Adwokat Hewitta, ten który bronił go w sprawie kradzieży... On może wiedzieć, czy Hewitt miał jakichś przyjaciół. Mam gdzieś jego wizytówkę, chwileczkę...

Podeszła do szafki i otworzyła środkową szufladę. Zaczęła przerzucać różne papiery.

– Sekundę, taki tu bajzel... Dzwonił do mnie po zabójstwie Becky. Chciał wiedzieć, czy jest coś, co mógłby zrobić. Myślę, że chciał porozmawiać i pozbyć się kamienia ciężącego na piersi.

Nie miałam czasu na... ach, no, mamy.

Wyciągnęła z szuflady tekturową paletę z wizytówkami. Wydobyła jedną kartę i podała mi.

Tani biały papier. Zielone litery.

Andrew Coburg

Obrońca

The Human Interest Law Center

1912 Lincoln Avenue

Venice, California

– „Prawo w służbie ludziom” – przeczytałem.

– Myślę, że to chwyt reklamowy.

– Dzięki – rzekłem, chowając kartę do kieszeni – przekażę to detektywowi Sturgisowi.

Otworzyły się drzwi i weszła Mary z kawą.

Jean Jeffers podziękowała jej i kazała powiedzieć komuś o imieniu Amy, że będzie gotowa za minutkę.

Kiedy drzwi się zamknęły, pani dyrektor zaczęła mieszać kawę.

– Cóż, miło się z panem rozmawiało. Przykro mi, że nie mogę w niczym więcej pomóc.

– Dziękuję za poświęcony czas – powiedziałem. – Czy mógłbym porozmawiać jeszcze z kimś, kto okazałby się pomocny?

– Raczej nie.

– A co z kobietą, którą wziął za zakładniczkę?

– Adeline? To naprawdę smutna historia. Została tu przeniesiona miesiąc wcześniej z kliniki

w South Central. Miała wysokie ciśnienie i chciała bezpieczniejszego środowiska.

Znowu wyrzuciła ręce w górę i zaśmiała się cierpko.

– Hewitt złapał ją z jakiejś szczególnej przyczyny? – zapytałem.

– Chodzi panu o to, czy ją znał?

– Tak.

Pokręciła głową. Kosmyk włosów zakrył jej oko.

– Po prostu czysty niefort. Przypadkowo siedziała przy biurku w holu wtedy, gdy uciekał.

Odprowadziła mnie do drzwi. Ludzie nadal wychodzili z biura psychiatry. Spojrzała na nich.

– Jak można kogoś takiego poznać? – powiedziała. – Na dobrą sprawę, to jak można naprawdę poznać kogokolwiek?

## **Rozdział dwunasty**

Zdecydowałem pojechać do biura Andrew Coburga i sprawdzić wrażliwość jego charakteru.

Minąwszy Pico, dotarłem do Lincoln i ruszyłem na południe Venice.

The Human Interest Law Center mieścił się w segmencie jednopiętrowego budynku w kolorze zestarzałej musztardy. Z fasady odpryskiwał tynk. Dwa pozostałe lokale zajmowały: sklep z alkoholami i niewielka restauracyjka.

Okna prawniczego biura pokrywała aluminiowa folia. Nad drzwiami powiewała amerykańska flaga. Na białym pasku papieru wypisano: POZNAJ SWOJE PRAWA.

Drzwi były zamknięte, ale niezaryglowane. Kiedy je pchnąłem, zabrzączał dzwoneczek, lecz nikt nie wyszedł mi na powitanie. Przed sobą zobaczyłem tablicę z czarnymi strzałkami wskazującymi kierunek. Niżej wymalowano napis „Witajcie!” – po angielsku i hiszpańsku.

Dobiegł mnie gwar odgłosów dzwoniących telefonów i pisania na maszynie.

Podążyłem w kierunku wskazywanym przez jedną ze strzałek. Dotarłem do obszernej sali, długiej i wąskiej. Ściany były szarobiałe, wytapetowane pocztówkami i plakatami, a sufit wysoki.

Żadnej sekretarki ani recepcjonistki. Osiem czy dziewięć biurk nieregularnie rozstawionych w sali. Wszystkie zaopatrzone w czarny aparat telefoniczny, maszynę do pisania i obrotowe krzesło. Białe perkalowe zasłony wisiały na szynach, oddzielając poszczególne segmenty. Niektóre z firan były zaciągnięte, a pozostałe nie. Spod pofałdowanych kotar wystawały buty i nogawki.

Za biurkami siedzieli młodzi ludzie. Mówili do słuchawek i do osób siedzących na krzesłach naprzeciwko nich. Większość klientów stanowili czarni i Hiszpanie. Niektórzy wyglądali na zaspanych. Jeden z interesantów, starszy facet bliżej nieokreślonej rasy, trzymał na kolanach terriera. Kilkoro małych dzieci krążyło po sali i wyglądało jakby się zgubiły.

Biuurko stojące najbliżej mnie zajmował brunet w zielonym garniturze i białej koszuli.

Zamiast krawata miał fular. Potrzebował golenia; miał tłuste włosy, a twarz ostrą jak nóż do lodu. Chociaż słuchawka telefonu spoczywała tuż pod jego brodą, to nie wyglądał ani na słuchacza, ani na mówcę. Rozbiegane oczy pobiegły w moją stronę.

– Co mogę dla pana zrobić?

– Szukam Andrew Coburga.

– Tam z tyłu – odpowiedział, wykonując nieznaczny ruch głową – ale chyba jest teraz z klientem.

– Które biurko? – zapytałem.

Odłożył telefon. Okręcił się na krześle i wskazał stanowisko, dokładnie pośrodku sali.

Opuszczone kotary. Brudne trampki i cal owłosionej nogi pod lamówką perkalu.

– Może zaczekam?

– Pewnie. Jest pan adwokatem?

– Nie.

– Niech pan poczeka.

Podniósł słuchawkę i zaczął opieszale wykręcać numer. Ktoś musiał odebrać, gdyż powiedział: Taak, cześć, mówi Hank z H.I. Taak, ja też. Taak. Śmiech. Słuchaj, co z tym *nolo*, o którym rozmawialiśmy? Taak, sprawdź, tak myślę. Taak.

Spojrzałem na plakaty ozdabiające ścianę. Jeden przedstawiał łysego orła o kulach. Pod zwierzęciem wisiał napis: UZDROWIĆ NASZ SYSTEM. Następne hasło wydrukowano po hiszpańsku – coś mającego związek z *immigration* i *liberation*.

Facet z ostrą twarzą zaczął mówić prawniczym żargonem. W tym samym czasie dźgał piórem powietrze i wybuchał śmiechem. Wciąż jeszcze prowadził telefoniczną konwersację, kiedy rozsunęły się zasłony sektora Andrew Coburga. Zobaczyłem wychudzonego mężczyznę w wełnianym swetrze domowej roboty i krótkich spodenkach. Nosił brodę i przyлизane żelatyną włosy. Serce zabiło mi gwałtowniej, ponieważ uznałem, że mógłby być bratem Dorsey'a Hewitta. Potem zdałem sobie sprawę, że widziałem braterstwo ubóstwa i szaleństwa.

Uścisnął dłoń Coburga i wyszedł. Kiedy przechodził obok mnie, cofnąłem się, czując przeraźliwy fetor. W bliskiej odległości minął także mężczyznę o imieniu Hank. Tamten jednak nie zwrócił uwagi i dalej wesoło konwersował.

Coburg nadal stał. Wytrzeł dłonie w spodnie. Ziewnął i przeciągnął się. Trzydziestka, dwa metry i ze dwieście kilo. Jasne włosy. Ramiona nieproporcjonalnie wąskie do szerokich bioder. Miał przyjemne miękkie rysy twarzy i zarumienione policzki. Prawdopodobnie był pięknym dzieckiem.

Nosił imbirową, roboczą koszulę z mankietami podwiniętymi do łokci, luźny krawat, pomarszczone spodnie khaki i letnie buty. Sznurowadła w jednym z nich nie były zawiązane. Przeciągnął się ponownie. Usiadł, podniósł słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Większość pozostałych prawników także rozmawiała przez telefon. Pokój wyglądał jak gigantyczna centrala telefoniczna.

Podszedłem do niego. Uniósł brwi, kiedy usiadłem, ale nie okazywał oznak zdenerwowania.

Prawdopodobnie przywykł do takich klientów.

– Słuchaj, muszę kończyć – powiedział do słuchawki. – O co chodzi...? Świetnie. Zgadzam się pod warunkiem, że wszystko będzie w porządku? Co...? Nie, mam tu kogoś. Okay. Ściskam.

Odłożył słuchawkę i zapytał uprzejmym głosem.

– Cześć. W czym mogę pomóc?

Miał wyjątkowo oryginalną spinkę do krawatu – czerwoną gitarę na srebrnej kracie.

Powiedziałem mu, kim jestem i że próbuję zlokalizować przyjaciół Dorseya Hewitta.

– Dorsey. Jeden z moich triumfów – oznajmił i cała uprzejmość zniknęła.

Usadowił się wygodnie i skrzyżował nogi.

– Więc dla jakiej gazety pan pracuje?

– Jestem psychologiem, jak już mówiłem.

– Doprawdy? – uśmiechnął się.

– Słowo skauta – odwzajemniłem uśmiech.

– A także policyjnym konsultantem.

– Zgadza się.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli zobaczę jakiś dokument?

Pokazałem mu licencję psychologa i moją starą kartę konsultanta departamentu policji L.A.

– Policja – rzekł, jakby nie mógł nadal w to uwierzyć. – Czy ma pan z tym jakieś problemy?

– Z czym?

– Praca z ludźmi o policyjnej mentalności. Cała ta nietolerancja, władczość..

– W zasadzie nie – odparłem. – Oni są bardzo różni.

– Nie mam tego typu doświadczeń – oznajmił.

Tuż obok jego maszyny do pisania stał słoik z pałeczkami lukrecji. Wziął jedną i przesunął

słoik w moją stronę.

– Nie, dzięki.

– Wysokie ciśnienie?

– Nie.

– Lukrecja je podnosi – poinformował mnie przeżuwając – moje zdecydowanie się obniża.

Nie twierdzą, że policjanci mają zakorzenione zło. Jestem pewien, że większość z nich zaczynała jako fajni ludzie, ale praca ich psuje; za dużo władzy, za mało odpowiedzialności.

– Chyba to samo można powiedzieć o lekarzach i prawnikach.

Uśmiechnął się ponownie.

– Więc po co policyjnemu konsultantowi informacje na temat kumpli Dorsey a?

Poczęstowałem go tym samym wyjaśnieniem, jakie zaoferowałem Jean Jeffers.

Kiedy mówiłem, zadzwonił telefon. Coburg podniósł słuchawkę.

– Co? Okay, jasne... Cześć, Bill, o co chodzi? Co? Co? Chyba żartujesz! Nie ma akwarium, nie ma rybek. Mówię poważnie. Mówimy tu o cholernie dużym wykroczeniu; mam gdzieś, kim on jest, dobra, zrób tak. Dobry pomysł. Śmiało. Pogadaj z nim i zadzwoń do mnie. Na razie.

Odłożył słuchawkę.

– O czym to mówiliśmy? Ach tak, zastraszenie. Jakiego rodzaju?

– Nie znam wszystkich szczegółów.

Odchylił głowę i spojrzał ukradkiem. Miał grubą, ale miękką szyję. Skrzyżował krótkie ręce na brzuchu.

– Gliniarze biorą cię na konsultanta, a nie wprowadzają w detale. Typowe. Ja bym się nie podjął.

Nie widząc innego wyjścia powiedziałem:

– Ktoś dostaje kasety z pogrózkami. Możliwe, że na taśmach nagrany jest głos Hewitta



wykrzykujący „parszywa miłość”. Te same słowa wyrzucił z siebie po zamordowaniu Becky Basille.

Coburg pomyślał przez minutę.

– Więc? Ktoś nagrał go z telewizji. Nie brak tam dziwnych zapisów.

– Możliwe – odparłem – ale policja sądzi, że warto się tym zająć.

– Kto dostaje te kasety?

– Tego nie wiem.

– Musi to być ktoś ważny, skoro gliny zadają sobie tyle kłopotu.

Wzruszyłem ramionami.

– Może ich pan zapytać – przeliterowałem nazwisko Milo i numer. Nie pofatygował się, by go zanotować.

Wyjmując kolejną porcję lukrecji ze słoika powiedział.

– Kasety; więc w czym problem?

– Policja zastanawia się, czy Hewitt miał bliskiego przyjaciela – kogoś znajdującego się pod wpływem Dorsey’a i tego, co zrobił; kogoś z równie niebezpiecznymi tendencjami.

– Pod wpływem? – wyglądał na skołowanego. – Jakiś klub szantażystów? Ludzie z ulicy nękający porządnych obywateli?

– Hewitt był nie całkiem nieszkodliwy.

Prawnik zaczął wykręcać pałkę lukrecji.

– W zasadzie to był. Był zaskakująco nieszkodliwy, kiedy brał swoje lekarstwo. Pewnego dnia mogłeś go spotkać i uznać za miłego faceta.

– Nie był pod wpływem lekarstw, kiedy popełnił morderstwo?

– Tak twierdzi koroner. Za dużo alkoholu, za mało thiorazyny. Musiał przestać jeść pigułki jakiś tydzień wcześniej.

– Dlaczego?

– Kto może wiedzieć? Wątpię, czy była to świadoma decyzja: „hmm, chyba nie wezmę dzisiaj rano lekarstw i zobaczę, jak minie dzionek”. Raczej zapomniał lub skończył mu się zapas. Próbował go uzupełnić, ale już nie zdążył. Zaczął coraz bardziej wariować i prawdopodobnie w ogóle zapomniał o pigułkach i po co je brał. To się ciągle przydarza ludziom na dnie. Każdy szczegół codziennego życia jest dla nich walką, ale oczekuje się od nich punktualnego stawiania na spotkania, wypełniania formularzy i czekania w kolejkach.

– Wiem – odrzekłem – byłem w centrum. Zastanawiam się, jak ci pacjenci dają sobie radę.

– Słabo. Nawet jeżeli grają wedle narzuconych im reguł. Ma pan pojęcie, jak trudno jest chorej osobie, bez pieniędzy, zdobyć pomoc w tym mieście?

– Pewnie – odpowiedziałem – spędziłem dziesięć lat w Zachodnim Centrum Pediatrii.

– W Hollywood?

Skinąłem głową.

– Okay – powiedział – więc rzeczywiście pan wie. Nie, żebym błędnie interpretował to, co zrobił Dorsey. Ciągłe nie śpię z powodu tej biednej dziewczyny. Ale on też był ofiarą, choć wiem, że to brzmi głupkowato. Powinien znajdować się pod właściwą opieką.

– Zamknięty w zakładzie?

Jego oczy zapalały gniewem. Po raz pierwszy zobaczyłem ich prawdziwy kolor – bardzo jasnobrązowe.

– Pod opieką – nie w więzieniu; och, do cholery, nawet więzienie nie byłoby złe, gdyby oznaczało leczenie. Ale nigdy tak nie jest.

– Czy był chory psychicznie od dłuższego czasu?

– Nie wiem. Nie był osobą, z którą po prostu siadasz i prowadzisz rozmowę: „No więc, stary, opowiedz mi historię swojego życia”. Przez większość czasu był zupełnie gdzie indziej.

– Skąd pochodził?

– Z Oklahomy. Ale żył w L.A. Od lat.

– Na ulicy?

– Od dzieciństwa.

– Miał jakąś rodzinę?

– Nie wiem nic na ten temat.

Sięgnął po następną lukrecję. Drugą ręką poprawił krawat. Teraz on był gdzie indziej.

Kiedy dotknął telefonu, wiedziałem, że zamierza skończyć konwersację.

– Jaki rodzaj muzyki pan uprawia? – zapytałem, spoglądając na spinkę z gitarą.

– Co? A... to? Czasami rzępolę w weekendy.

– Ja też. Zaliczyłem klasę gitary w muzycznym koledżu.

– Tak? Jak wielu innych.

Obciągnął krawat i spojrzał na sufit. Czułem, że jego zainteresowanie systematycznie się zmniejsza.

– Na jakiej pan zazwyczaj gra – elektrycznej czy akustycznej?

– Ostatnio wzięłem się za elektryczną – uśmiechnął się. – Więc o co teraz chodzi?

Spoufalenie się z przedmiotem przesłuchania? Ale przynajmniej nie uprawia pan standardowego policyjno-oskarżycielskiego rapu; obrzucania mnie winą za to, co Dorsey zrobił, przez wypytywanie, jak mogę żyć broniąc szumowin od pudła.

– To mi nie przeszkadza – odparłem – to dobry system, a pan jest ważną jego częścią. Wcale też nie twierdzę, że pana popieram.

– Ło!

Uśmiechnąłem się.

– W zasadzie to system jest okay – stwierdził. – Założę się, że gdyby pan poznał fundatorów,

nie pomyślałby pan jacy to wspaniali faceci. Spasieni właściciele niewolników i na pewno nie myśleli o kobietach i dzieciach.

Telefon ponownie zadzwonił. Odebrał, przełykając końcówkę lukrecji. Rozmawiał prawniczym żargonem, dyskutując sprawę przyszłości jakiegoś oskarżonego. Ani przez moment nie podniósł głosu.

Kiedy się rozłączył, oznajmił:

- Próbuje tak wprowadzać system w życie, żeby sponsorów to nie obchodziło.
- Kto was sponsoruje?
- Otrzymujemy zasiłki, dotacje. Jest pan zainteresowany wsparciem systemu?
- Zastanowię się.
- Na pewno. Dostajemy słabe pensje, nie otrzymujemy pokrycia wydatków. Dlatego większość z tych ludzi odejdzie jeszcze przed końcem roku. Jak tylko zaczną myśleć o wygodnych mieszkaniach i niemieckich samochodach.
- A co z panem?
- Ze mną? Jestem weteranem. Pięć lat i nadal szczytuję. To co robię jest dużo bardziej fascynujące niż sprawy testamentowe i bronienie profanatorów.

Odwrócił wzrok.

- Pewnie, że to paskudne – oznajmił, jakby odpowiadając na pytanie to co zrobił Dorsey było paskudne. Jezu, co... to była tragedia. Jak inaczej można to nazwać? Cholernie głupia tragedia. Wiem, że nie mogłem nic zrobić, ale to nie powinno się wydarzyć. To po prostu cuchnie, ale co można urobić ze społeczeństwem, które samo siebie deprecjonuje? Dorsey nigdy nie okazywał przy mnie oznak gwałtu. Nic. Poważnie mówiłem, że mógłby go pan polubić. W większości przypadków był uprzejmy, spokojny, bierny. Jeden z moich najłatwiejszych klientów. Trochę paranoiczny, ale nigdy agresywny.

- Jakiego rodzaju iluzji miewał?
- Zwyczajne. Głosy rozkazujące, żeby robił najrozmaitsze rzeczy: jednego dnia przechodził sześć razy tę samą ulicę, następnego pił sok pomidorowy; nie pamiętam dokładnie.
- Czy te głosy wyzwalaly w nim gniew?
- Denerwowały go, ale nie nazwałbym tego gniewem. To było jakby je zaakceptował i uważał za część siebie. Często się spotykam z czymś takim. Przyzwyczajają się do tego i z tym żyją. Żadnej agresywności czy wrogości.
- Pod warunkiem, że brał swoje lekarstwo.
- Zakładam, że brał, ponieważ zawsze był przy mnie okay.
- Jak dobrze go pan znał?
- Nie użyłbym słowa „znał”. Odwaliłem dla niego trochę podstawowej, prawniczej roboty.
- Kiedy pierwszy raz go pan spotkał?

Zajrzał do notatnika.

- Zobaczymy... to musiało być jakiś rok temu.
- Przypadkowy klient?
- Nie, został przysłany na polecenie sądu.
- Za jakiego rodzaju kradzież pan go bronił?

Uśmiech.

- Gliny panu nie mówiły?
- Nie pytam o więcej niż potrzebuję.
- Sprytnie. Kradzież to przesada. Zabrał ze sklepu butelkę dżinu i kilka kawałków wołowiny. Zrobił to na widoku pracownika i złapali go. Jestem pewien, że wcale nie miał takich zamiarów. Pracownik omalże nie złamał sobie ręki próbując zatrzymać Dorsey'a.
- Jaki rodzaj obrony pan zaplanował?

– A jak pan myśli?

– Powołanie się na niepoczytalność?

– Cóż innego? Do tej pory nie miał kartoteki. Nie było sensu dodatkowo zagęszczać więzienia.

Oparł się na krzesło i zatopił pięć palców w gęstych włosach. Masując czaszkę powiedział:

– Gritz.

– Słucham?

– To imię, Gritz.

– Tak jak „owies”?

– Przez „z”. Ktoś, kogo można by nazwać przyjacielem Dorseya.

– Imię, czy nazwisko?

– Nie wiem. Przychodził tu kilka razy z Hewittem. Bezdomny. Kiedyś zwróciłem na niego uwagę i zapytałem Dorseya, kto to, a on odpowiedział: „Gritz”. Zareagowałem dokładnie tak jak pan. Zapytałem czy tak jak owies. To nie dotarło do Hewitta i próbowałem mu wytłumaczyć. Wyjaśniłem mu, co to owies, i spytałem, czy Gritz to imię, czy nazwisko. Odpowiedział, że to imię, które wymawia się przez „z”. Przeliterował je dla mnie. Bardzo wolno – zawsze mówił wolno. „G-R-I-T-Z”. Moim zdaniem robił to celowo.

– Chciał tak robić?

– A jak pan myśli; był schizofrenikiem?

– Czy kiedykolwiek użył przy panu terminu „parszywa miłość”?

Adwokat pokręcił głową.

– Pierwszy raz usłyszałem te słowa od policji. Pytali mnie, dlaczego Dorsey to wykrzykiwał; jakbym miał wiedzieć.

Odsunął się na krzesło od biurka.

– I to chyba na tyle.

– Może pan opisać tego Gritza?

Pomyślał przez chwilę.

– To było dosyć dawno... Jest mniej więcej w tym samym wieku co Hewitt, chociaż trudno określić wiek bezdomnego... Myślę, że trochę wyższy od Dorseya – spojrzął na zegarek. – Muszę wykonać pewien telefon.

Wstałem i podziękowałem mu za poświęcony czas. Skinął głową i podniósł słuchawkę.

– Wie pan, gdzie mogę zlokalizować tego Gritza?

– Nie.

– Gdzie zazwyczaj kręcił się Dorsey?

– Wszędzie, a ja nie jestem wścibski. Kiedy było ciepło, lubił krążyć po plaży. Pacific Palisades Park. Kiedy się ochładzało, załatwiałem mu schronienie, ale wolał spać pod gołym niebem. Zazwyczaj spędzał noce na Little Calcutta.

– Gdzie to jest?

– Przy autostradzie wylotowej, zachodnie L.A.

– Przy której autostradzie?

– San Diego, zaraz za Sepulveda. Nie wie pan gdzie?

Pokręciłem głową. On również. Uśmiechnął się i odłożył słuchawkę.

– Niemożliwe miasto... były tam małe szopy zwane Komfy Kort. Zbudowano je Bóg wie kiedy dla meksykańskich robotników z Sawtele.

– Ach... pamiętam – odparłem.

– Nie zauważył pan przypadkiem, że już ich tam nie ma? Kilka lat temu zostały usunięte przez miasto i teren opanowali bezdomni. Oni nie mają nic, co nadawałoby się do usunięcia, więc co mogło zrobić miasto? Pozwolili im tam zostać.

– Little Calcutta.

– Tak, to wspaniałe, małe przedmieście. Wygląda pan na faceta z zachodniej części L.A.

Mieszka pan gdzieś tam?

– Niedaleko.

– Proszę się przyjrzeć i rzucić okiem. Pozna pan swoich sąsiadów.

## **Rozdział trzynasty**

Pojechałem na wschód, do miejsca, które wskazał Coburg. Jezdnia tworzyła betonowy sufit nad ogrodzoną, glinianą działką. Tunel pod szosą upiększały konopie i masywne, podtrzymujące go kolumny. Słupy rzucały zimny i szary cień. Nawet przy zamkniętych szybach słyszałem warkot silników niewidocznych samochodów.

Parcela była pusta, a glina wyglądała świeżo. Żadnych namiotów czy baraków. Żadnych śladów życia.

Zaparkowałem seville.

Little Calcutta. Świeża glina oznaczała zapewne działanie buldożera. Może wreszcie miasto oczyściło ten obszar. Pojechałem dalej do Exposition Boulevard. Po zachodniej stronie ulicy stały rzędy budynków mieszkalnych. Zauważywszy kilka podwracanych kartonów, zatrzymałem się i próbowałem przebić wzrokiem mroczne cienie.

Nic.

Minąłem parę następnych bloków. Zawróciłem w miejscu, gdzie autostrada zniknęła mi z pola widzenia.

Kiedy znów przejeżdżałem obok Exposition, spostrzegłem coś lśniącego i dużego – górę białego metalu; jakąś fabrykę lub warsztat. Zobaczyłem gigantyczne kontenery, pompy, drabiny i zawory.

Równoległe do linii maszyn biegły tory kolejowe. Z torami graniczył płaski teren pokryty



piaskiem.

Dwadzieścia lat w L.A. i nigdy wcześniej nie zauważyłem tego miejsca.

Niemżliwe miasto.

Ruszyłem w stronę urzędzeń. Zbliżyłem się i przeczytałem czerwono-niebieski napis na jednym z przeogromnych podnośników: AVALON. ŻWIR I ASFALT.

Kiedy zamierzałem ponownie zmienić kierunek jazdy, zauważyłem następną ogrodzoną parcelę. Była ciemniejsza, prawie zaczerniona cieniem rzucanym przez jezdnię i obrośnięta zielono-szarymi krzakami. Poprzez krzewy zauważyłem, fragmenty kartonów i dykty.

Podjechałem do krawężnika. Zgasilem silnik i usiadłem. W powietrzu unosił się zapach kurzu i zsiadłego mleka.

Jedynym pojazdem w zasięgu wzroku był wrak czegoś dwudrzwiowego ze zgniecionym dachem. Mój seville był już stary i wymagał pracy lakiernika, ale tutaj wyglądał jak karoca monarchy.

Przeszedłem przez ulicę. Zbliżyłem się do płotu z dykty i zajrzałem przez otwór pomiędzy ściankami. W ciemności powoli zaczęły się formować kształty.

Przewrócony fotel z wystającymi sprężynami.

Pusta szpulka monterska pozbawiona drutu i pęknięta w środku.

Opakowania po jedzeniu.

Coś zielonego i potarganego, co kiedyś mogło być śpiworem.

A nad głową zawsze ten sam warkot silników, regularny jak oddech.

Wtem – nagły ruch. Coś przesunęło się po ziemi. Wynurzyło się głęboko w mroku i nie mógłbym powiedzieć, czy to był człowiek, a nawet czy w ogóle coś żywego.

Rozejrzałem się po ogrodzeniu szukając wejścia na parcelę. Po pewnym czasie znalazłem wycięty w sklejce i zabarykadowany drutem kolczastym kwadrat.

Obluzowałem drut, kalecząc przy okazji palce. Wreszcie przecisnąłem się przez zakamuflowane drzwi. Szedłem po miękkiej glinie czując w nozdrzach odór kału. Po drodze napotkałem mnóstwo kontenerów po jedzeniu i innych rzeczy nie wartych wnikliwego badania. Żadnych butelek czy puszek.

Nie zauważyłem nic zielonego. Tylko czerń i brązowoszare barwy. Perfekcyjny kamuflaż dla tajemnego świata.

Poczułem ohydny swąd przewyższający nawet fetor odchodów. Słyszając bzyczenie much spojrzałem pod nogi i zobaczyłem kocie ścierwo. Było tak świeże, że robaki nie zdążyły się w nim jeszcze zadomowić. Obok dostrzegłem leżący na starym kocu stos rozmokłych gazet.

Żadnych ludzi. Skąd pochodził tamten ruch?

Podszedłem do miejsca, w którym wydawało mi się, że widziałem coś przemieszczającego się po gruncie.

Stałem bez ruchu. Czekałem. Poczułem kłucie w dole pleców. Zobaczyłem to ponownie.

Poruszenie. Włosy. Ręce. Ktoś leżący przetaczał się wśród kilku prześcieradeł.

Uprawianie miłości? Nie. Za mało miejsca w tej dziurze dla pary. Powoli zbliżyłem się do tego; ostrożnie, nie chcąc przestraszyć. Trąciłem nogą coś twardego. Odgłos był ledwie słyszalny, ale postać znajdująca się przede mną usiadła.

Młoda, czarna Latynoska z szerokimi ramionami. Blizna po szczepionce na jednym ramieniu.

Patrzyła na mnie przyciskając do piersi jakieś zawiniątko. Długie, rozwiane włosy wyglądały na pozlepiane.

Usta miała otwarte, a twarz okrągłą, gładką i przestraszoną.

I ponizoną.

Prześcieradło lekko opadło i spostrzegłem, że była naga. Tuliła do piersi coś ciemnego z

małą główką.

Niemowlę owinięte było w zabrudzony kawałek bawełny.

Cofnąłem się o krok. Uśmiechnąłem się i uniosłem dłoń na powitanie.

Twarz młodej matki była wprost naelektryzowana strachem.

Dziecko ssało pierś, a ona położyła rękę na drobniutką główkę niemowlęcia.

U jej nóg stało niewielkie tekturowe pudełko. Zajrzałem do wnętrza. Pieluchy – nowe i używane. Więcej much. Puszka skondensowanego mleka i zardzewiały otwieracz. Prawie pusta torebka chrupek ziemniaczanych. Para gumowych sandałów.

Kobieta próbowała karmić dziecko i równocześnie odsunąć się jak najdalej ode mnie. W jej oczach zauważyłem inny rodzaj strachu. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z jakimś mężczyzną, a w zasadzie chłopcem – siedemnasto – lub osiemnastoletnim.

Również Latynos. Niski i mizernej budowy. Rzadki wąsik i broda tak cieniutka, że wydawała się częścią szyi.

Jego oczy były wściekłe. Miał otwarte usta, które ukazywały pokaźne braki w uzębieniu.

Nosił podartą, flanelową koszulę, spodnie ze streczu i niezawiazane trampki. Kostki Latynosa były czarne od gliny.

W trzęsących się rękach taszczył żelazny drąg.

Cofnąłem się. Po chwili wahania ruszył w moim kierunku.

Przeraźliwy stukot rozszedł się ponad naszymi głowami.

Kobieta krzyknęła.

Przestraszony chłopak spojrzał na nią. Wtedy ja włączyłem się do akcji. Chwyciłem drąg i wyrwałem z ręki Latynosa. Zamach rzucił go plecami na ziemię. Uległ tak łatwo, że poczułem się jak rasowy zapaśnik.

Pozostał w pozycji leżącej. Spoglądał na mnie i zasłaniał twarz ręką.

Kobieta uniosła się na nogi. Prześcieradła osunęły się na gliniaste podłoże. Stała naga pozostawiając kwilące niemowlę na ziemi. Mimo że nie miała więcej niż dwadzieścia lat, jej brzuch i piersi były obwisłe.

Odrzuciłem drąg najdalej jak umiałem. Uniosłem obie ręce w czymś co, miałem nadzieję, przypominało pokojowy gest.

Para Latynosów spojrzała na mnie pokornie. Teraz czułem się jak niedobry rodzic.

Dziecko wrzeszczało, piąstkami boksowało powietrze i wierzgało. Wskazałem na nie dłonią.

Kobieta podbiegła i wzięła maleństwo na ręce. Zdając sobie sprawę, że jest naga, skuliła się i zwiesiła głowę.

Ręce chłopaka nadal się trzęsły. Próbowałem kolejnego uśmiechu. Zdesperowany opuścił wzrok.

Sięgnąłem do kieszeni po portfel. Wyjąłem dziesięć dolarów. Podeszedłem do kobiety i podałem jej banknot.

Nie poruszyła się.

Włożyłem nominał do tekturowego pudełka. Wróciłem do chłopaka. Wyciągnąłem następny banknot i pokazałem Latynosowi.

Dostrzegłem ten sam rodzaj wahania, jaki okazywał, kiedy ruszał na mnie z żelazną pałąką.

Po chwili zrobił krok do przodu i zagryzłszy wargi capnął pieniądze.

Trzymając jeszcze jeden banknot ruszyłem w stronę miejsca, gdzie przebiłem się przez ogrodzenie. Brnąc przez błoto oglądałem się w tył.

Chłopak poszedł za mną. Starał się dotrzymać mi kroku, ale nie dawał rady. Chodzenie sprawiało mu trudność. Miał otwarte usta, a jego nogi wyglądały jak gumowe. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio jadł.

Dotarłem do kwadratowego przejścia. Poluzowałem druty i wyszedłem na chodnik. On

pojawił się kilka minut później. Gwałtownie mrugał oczami.

Światło najwyraźniej raniło mojego towarzysza. Wydawało się, że dogorywa.

Wreszcie przestał mrugać.

– *Habla ingles?* – zapytałem.

– Jestem z Tucson, człowieku – odpowiedział po angielsku, bez akcentu.

Zaciskał pięści, ale drżenie ciała i jego drobna budowa sprawiały, że nie wyglądał na wojownika. Zaczął sucho i przeciągle kaszleć. Próbował odkaszlnąć flegmę, ale nie mógł.

– Nie chciałem was przestraszyć – oznajmiłem.

Patrzył na pieniądze. Wyciągnąłem rękę. Szybko chwycił banknot i schował za koszulę. Miał za duże spodnie, podtrzymywane czerwonym, plastikowym paskiem. Jeden trampek był oklejony celofanową taśmą. Kiedy jego ręka owinęła się wokół dziesięciodolarówki, zauważyłem, że nie ma jednego palca u lewej dłoni.

– Daj więcej – powiedział.

Nie zareagowałem.

– Daj mi więcej – powtórzył – ale ona i tak nie będzie się z tobą pieprzyć.

– Wcale nie chcę.

Pomyślał chwilę.

– Ja też nie będę.

– To mnie również nie interesuje.

Zmarszczył brwi i włożył palec do ust.

Rozejrzałem się dookoła. Nie zauważyłem nikogo. Wyciągnąłem czwartą dziesiątkę.

– Co? – zapytał, sięgając ręką po banknot.

Trzymając go poza zasięgiem chłopaka, zapytałem:

– Czy to jest Little Calcutta?

– Hmm?

– Miejsce, w którym przed chwilą byliśmy. Czy to Little Calcutta?

– Może.

– Może?

– Taak – zakasłał ponownie i uderzył się w pierś czteropalczystą dłońią.

– Ilu ludzi tam mieszka?

– Nie wiem.

– Czy są tam też jacyś inni? Ludzie, których nie widziałem?

Zastanowił się i pokręcił głową.

– Czy bywają też tam inni?

– Czasami.

– A gdzie są teraz?

– W okolicy – popatrzył na pieniądze. Oblizał wargę i zbliżył się do mnie.

– Będzie się z tobą pieprzyć, jak dasz jeszcze dwadzieścia dolców.

Wsunąłem nominał do kieszeni.

– Hej! – krzyknął, jakbym oszukiwał przy grze w pokera.

– Nie chcę się z nikim pieprzyć – oznajmiłem – chcę tylko pewnych informacji. Odpowiedz na moje pytania, to dostaniesz pieniądze, OK?

– Dlaczego, człowieku?

– Bo jestem ciekawskim facetem.

– Gliniarzem?

– Nie.

Wzruszył ramionami. Ponownie włożył palce do ust i potarł dziąsła. Kiedy wyciągnął dłoń, zobaczyłem krew na jego palcach.

– Czy to twoje dziecko? – spytałem.

– To chcesz wiedzieć?

– Twoje?

– Nie wiem.

– Ona jest twoją kobietą?

Uśmiechnął się.

– Czasami.

– Jak ci na imię?

– Terminator Trzy.

Jawnie sobie ze mnie drwił.

– Okay – rzekłem – są tam inni ludzie?

– Powiedziałem ci, człowieku. Nie teraz. Tylko w nocy.

– Wracają na noc?

– Taak.

– Na każdą noc?

Popatrzył na mnie jak na skończonego głupka. Pokręcił głową powoli.

– Czasami to się zmienia, nie wiem.

– Przenoszą się z miejsca na miejsca?

– Taak.

Idea miasta-namiotu. Niektórzy dziennikarze młodej fali mogliby się tym zająć.

– A co z gościem o imieniu Gritz?

– Kto?

– Gritz – zacząłem opisywać faceta, o którym mówił Coburg. Ku memu zaskoczeniu, przerwał moją wypowiedź.

– Taaak.

– Znasz go?

– Widziałem go.

– Mieszka tutaj?

Ręka ponownie zanurzyła się w otworze gębowym. Skrzywił się, zamruczał i wyciągnął ząb.

Splunął krwią na chodnik i otarł rękawem usta.

– Czy Gritz kręci się tutaj?

Nie słyszał mnie. Z fascynacją gapił się na ząb. Powtórzyłem pytanie. Dalej uparcie spoglądał na kielek, aż wreszcie wrzucił go do kieszeni.

– Nie, już nie – odparł.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

– Nie wiem.

Wyciągnął rękę. Usiłował dotknąć rękawa mojej kurtki – piętnastoletniej Harris Tweed, z której zaczynały już odpadać guziki. Cofnąłem się o krok.

– Wełna? – zapytał.

– Tak.

Oblizął usta.

– Co wiesz o Gritzu?

– Nic.

– Ale znasz go?

– Widziałem w okolicy.

– Kiedy ostatnio widziałeś Gritza w okolicy?

Zamknął oczy.

– Tydzień temu.



- Na pewno tydzień, czy może tydzień?
  - Tak myślę – nie wiem, człowieku.
  - Wiesz, gdzie może teraz być?
  - Zarabia.
  - Zarabia?
  - Taak. Tak powiedział. Pił i bawił się, wiesz. I śpiewał. Czasami lubił śpiewać o tym, że szybko się wzbogaci. Będzie miał samochód i łódź, takie rzeczy.
  - Czy mówił, w jaki sposób się wzbogaci?
  - Niee.
  - Powiedział jak? – powtórzyłem.
  - Nie, człowieku. Bawił się i śpiewał – to był świr. Tak właśnie, człowieku.
  - Gritz to imię czy nazwisko?
  - Nie wiem, człowieku – zakaszłał i uderzył się w pierś. – Kurwa.
  - Jeśli powiem żebyś poszedł do lekarza, to pewnie mnie wyśmiejesz, co?
- Pokazał w uśmiechu dziurę po wyrwanym zębie.
- Zapłacisz za to?
  - A jeżeli masz chorobę, którą możesz zarazić ją albo dziecko?
  - Daj mi więcej pieniędzy – odpowiedział ponownie wyciągnąwszy rękę.
  - Dziecko też musi iść do lekarza.
  - Daj mi więcej pieniędzy.
  - Z kim się kręcił Gritz?
  - Z nikim.
  - W ogóle z nikim?
  - No mówiłem, człowieku. Daj więcej pieniędzy.

– A co z facetem o nazwisku Hewitt?

– He?

– Facet o imieniu Dorsey Hewitt? Widziałeś kiedyś z nim Gritza?

Opisałem Hewitta. Chłopak gapił się beznamiętnie. Zorientowałem się, że jego ignorancja była prawdziwa.

– Hewitt – powtórzyłem.

– Nie znam chłopca.

– Jak długo już tu żyjesz?

– Sto lat.

Flegmatyczny uśmiech.

– Hewitt zabił kobietę. Pokazywali to w wiadomościach.

– Nie mam kablówki.

– Pracownicę socjalną o imieniu Rebecka Basille w Centrum Zdrowia Psychicznego?

– Tak, coś słyszałem.

– Co?

Uśmiech.

– Muzykę. W mojej głowie – przyłożył dłoń do ucha. – To jak mieszanka rocka i soullu, człowieka.

Mimowolnie westchnąłem. Latynos nagle się ożywił.

– Daj mi pieniądze, człowieku – kasznięcie. – Daj mi.

– Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

– Taak.

– Co? – zapytałem.

– To moje dziecko – uśmiechnął się.

Pozostałe zęby pokrywała świeża krew.

– Gratuluję.

– Masz papierosa?

– Nie palę.

– To daj mi pieniądze. Popytam dla ciebie, człowieku. Przyjdiesz znowu, to powiem ci wszystko, czego się dowiem.

Przeliczyłem, ile miałem w portfelu.

Dwie dziesiątki i trzy jedyńki. Dałem mu wszystko. Kurtkę też.

## **Rozdział czternasty**

Przecisnął się przez płot i zniknął w ciemnościach. Dopiero kiedy ucichły odgłosy jego stóp, poszedłem do samochodu. Ochłodziło się. Nagłe zmiany aury stały się regułą tegorocznej jesieni.

Miękki wiatr ze wschodu strącał śmieci z chodnika.

Podjechałem na stację w Olympic. Zatankowałem seville i skorzystałem z płatnego telefonu.

Usiłowałem zdobyć numer najbliższego biura opieki społecznej. Odsyłano mnie od jednego biurokraty do drugiego. Wreszcie zdołałem połączyć się z kierowniczką i powiedziałem jej o niemowlęciu, żyjącym pod autostradą.

– Czy dziecko było źle traktowane, sir?

– Nie.

– Czy wyglądało na maltretowane?

– Nie, ale...

– Czy na ciele dziecka były widoczne blizny, siniaki albo inne oznaki niegodziwego postępowania?

– Nic takiego – odpowiedziałem – matka troszczyła się o dziecko, ale żyją tam w strasznych warunkach. A chłopak, który możliwe, że jest ojcem dziecka, miał gruźliczy kaszel.

- Czy dziecko kaszlało?
- Jeszcze nie.
- Musi pan zadzwonić do centrum zdrowia społecznego i poprosić oficera dyżurnego od spraw chorób zakaźnych.
- Nie możecie nic zrobić?
- Wygląda na to, że nic tam po nas, sir.
- A może zorganizowalibyście dziecku jakieś schronienie?
- Oni muszą wysunąć prośbę, sir.
- A dziecko może?
- Prawni opiekunowie. Nie błąkamy się po mieście i nie werbujemy bezdomnych.

Klik.

Sygnal był równie głośny jak hałas dochodzący z autostrady. Poczulem, że głupieję. Jak umysłowo chory dałby sobie z tym radę?

Chciałem zadzwonić do Robin. Wtedy zorientowałem się, że nie zapamiętałem jeszcze swojego nowego numeru telefonu. Nie wiedziałem nawet, jak się nazywa właściciel domu.

Zadzwoniłem do Milo. Siedział w biurze. Podał mi siedem cyfr, a później dodał:

- Zanim się rozłączysz, powiem ci kilka ciekawostek. Przejrzałem akta tej Myry Paprock.

Nie była terapeutką. Agentka handlu nieruchomościami zabita w czasie pracy. Pokazywała dom i ktoś ją pociął. Obrabował, zgwałcił i na ścianie napisał szminką „parszywa miłość”.

- O Jezu...

- Taak. Na zdjęciach szminka wyglądała jak krew.

- Agentka handlu nieruchomościami – powtórzyłem. – Czasami ludzie mają drugi fach.

Może wcześniej pracowała jako terapeutką.

- Jeżeli nawet, to nie ma tego w aktach. Ale wydaje mi się, że chłopcy z Van Nuys odwalili

całkiem dobrą robotę. Shipler – ta ofiara pobicia – też nie był psychiatrą. Osobiście nie widzę tu żadnego związku.

– Czym się zajmował?

– Był woźnym w Jefferson High. Nie mam jeszcze jego akt, ale pewien urzędnik z Centrali naświetlił mi temat.

– Też zabito go w czasie pracy?

– Nie. W jego własnym domu.

– Gdzie mieszkał?

– Budlong Avenue – południowe L.A.

– Murzyn?

– Taak. Został stłuczony na papkę, a dom obrócono w śmietnik.

– Kradzież?

– Wątpliwe. Stereo, telewizor i biżuteria zostały nietknięte.

– A więc, co? Ktoś czegoś szukał?

– Albo ktoś się nieziemsko wpienił. Zobaczymy, jak przeczytam całe akta.

– Agentka od nieruchomości i woźny – powiedziałem – to bez sensu. Jest między nimi jakiś związek?

– Poza „parszywą miłością” na ścianie, żadnego. Nie pasuje nic. Ona miała trzydzieści pięć lat, on – sześćdziesiąt jeden. On został zabity wczesnym rankiem, zaraz po zakończeniu nocnej szychty. A ona w środku dnia. Myrę zadźgano, a jego zatłuczono pałką. Nawet napis został wykonany inną techniką. U Shiplera użyto melasy z jego lodówki.

– W obydwu przypadkach zabójca był wygodnicki, użył czegoś należącego do ofiary.

– To dotyczy również narzędzia zbrodni – odparł Milo. – Myrę zadźgano nożem z kuchni domu, który pokazywała; Shipler zmarł od uderzeń pogrzebacza z własnego kominka. No i?

- Nie wiem. Może chciano zwrócić uwagę na siłę tkwiącą w przedmiotach. Przeciwstawienie ich ofiarom... Tak jak użycie gałązki z drzewa do zabicia karpia. Czy znaleziono jakieś oznaki zniewolenia?
- Paprock miała stanik owinięty wokół szyi. Koroner uznał, że zawiązano go już po jej śmierci. Żadnych tego typu symptomów u Shiplera.
- Wszystko jedno, to ważna informacja – stwierdziłem – morderca chciał przez to dać coś do zrozumienia.
- Na pewno – rzekł Milo bez entuzjazmu.
- Shipler mieszkał sam?
- Tak. Rozwodnik.
- A co z tą Paprock?
- Tu również brak związku. Mężatka, dwoje dzieci.
- Jeżeli z domu Shiplera nie zginęło nic, to jaki był motyw?
- Uznano, że to robota jakiegoś gangu. Zdarzało się wiele takich przypadków w sąsiedztwie. Jak sam powiedziałaś, zdewastowanie domu mogło oznaczać, że ktoś czegoś szukał. Centrala wykombinowała, że Shipler wpędził się w jakąś narkotykową aferę. „Parszywa miłość” to, jak stwierdzili, slogan, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli.
- Shipler rzeczywiście miał związek z gangami albo narkotykami?
- Z tego co wiem, nie miał kartoteki, ale teoretycznie to możliwe. Southwest stwierdziło, że to robota grupy punków, którzy jednak spanikowali i uciekli nie zabierając nic z mieszkania. Tak bywa, kiedy żółtodzioby z gangu biorą udział w dziewiczej przygodzie.
- Robota amatorów?
- Taak. Młodo zaczynają. Noszą spluwy w pampersach. Tacy jak ci mali wagarowicze, których przyłapałem na kradzieży w Palms. Bez wątpienia przydałaby się im terapia. Chcesz

klientów?

– Nie, dzięki.

– Cynik.

– Czy gangi działały też w okolicy, gdzie zamordowano Paprock?

– Niewiele, głównie na obrzeżach. Południową część Van Nuys zamieszkuje przeważnie klasa pracująca. Nikt tu nie podejrzewał działania gangu. Ale jeżeli chłopcy stamtąd pogadaliiby z Southwest, to może zmieniliby zdanie. Do tej pory nikt nie powiązał tych zabójstw.

– Zamierzasz podsunąć im ten pomysł?

– Najpierw przeczytam dokładnie akta sprawy Shiplera. Zobaczę, co można z nich wyłuskać.

Potem... taak, będę musiał im powiedzieć. Wszystko według dawnego schematu, bla, bla, bla...

Ciekawe, jak zareagują. Mam nadzieję, że cała sprawa nie skończy się jedynie na gadaniu.

Chociaż, jeżeli „parszywa miłość” pojawi się gdzieś w aktach Stoumena, to wtedy będziemy się borykać z międzystanowym bla, bla, bla.

– Jakież wieści z Seattle?

– Bardzo zwięzłe. Przesyłają akta. Prawdopodobnie zajmie to około tygodnia. Obydwaj detektywi od tej sprawy przeszli na emeryturę i są nieosiągalni. Jeżeli w aktach pojawi się coś prowokacyjnego, to po prostu ich skinę.

– A co z danymi FBI na temat innych morderstw związanych z „parszywą miłością”?

– Na razie nic. Ci są dokładni.

– Agentka handlu nieruchomościami, woźny i „parszywa miłość” powiedziałem. – Nadal myślę, że to wszystko ma związek z konferencją. Albo z samym de Boschem. Paprock i Shipler mogli być jego pacjentami.

– To dlaczego ktoś miałby ich zabijać?

– Może jeszcze jakiś inny pacjent jest o coś wściekły.

- Więc jaką ty masz teorię?
- Nie wiem... Wszystko bez sensu, cholera.
- Dowiedziałeś się czegoś od Jeffers?
- Nikt w klinice nie pamięta, żeby Hewitt miał przyjaciół. Ale pani dyrektor odesłała mnie do prawnika Hewitta, a on podał mi imię i prawdopodobny adres.

Opisałem spotkanie z ludźmi żyjącymi pod autostradą.

- Gritz – powtórzył Milo – jak „owies”?
- Przez „z”. To może być nazwisko, imię albo przezwisko.
- Sprawdzę to.
- Chłopak, z którym rozmawiałem, powiedział, że nie ma go od tygodnia. Mówił też, że Gritz śpiewał o wzbogaceniu się.
- Śpiewał?
- Tak powiedział.
- Och, te romantyczne przyśpiewki przy ognisku.
- Może Gritz miał nagraną jakąś robotę, a może to wszystko bujda. Małolat równie dobrze mógł mnie nabierać. Zapewnił, że popyta po okolicy. Mam przyjść za jakiś czas.
- Wzbogacić się – powtórzył Milo – wszyscy o tym mówią i śpiewają. Ta Calcutta to może siedlisko mętów, ale dalej L.A.
- Zgadza się – przyznałem – ale czyż nie byłoby interesujące, gdyby Gritz istotnie oczekiwał za coś zapłaty?

Na przykład za zabicie mojego karpia i inne obrzydlistwa.

- Zamachowiec wynajęty do ukatrupienia ryby? Kto by go zatrudniał?
- Anonimowy niedobry facet. Wiem, że to bzdurny pomysł.
- W obecnej sytuacji nic nie jest bzdurne, Alex. Ale jeżeli ktoś chciałby wynająć nocnego



objacza, to czy szukałby wśród bezdomnych świrów?

– Racja.. Może wynajęto Gritza, żeby krzyczał na kasecie – naśladował głos Hewitta, ponieważ wiedział, jak brzmiał.

– Naśladował? Dla mnie te głosy brzmią identycznie, Alex. Chociaż może nigdy nie będziemy mogli ich porównać. Rozmawiałem z tym analitykiem głosów od szeryfa. Stwierdził, że same krzyki do niczego się nie nadają.

Do porównania, którego można użyć w sądzie, potrzeba dwóch podkładów. Na każdym musi się znajdować minimum dwadzieścia słów. Nawet wtedy nastęcza to sporo trudności.

Dopasowanie krzyków to prawie nierealna sprawa. Tylko słowa mają charakterystyczną tonację.

Poprosiłem szeryfa, żeby mimo wszystko posłuchał. Powiedział, że spróbuje... Dlaczego ktoś chciałby naśladować głos Hewitta?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, ale myślę, że kasetka jest częścią rytuału. Element ceremonialny, który ma znaczenie wyłącznie dla zabójcy.

– A co z tym dziecięcym głosem na taśmie?

– To mógł być bezdomny dzieciak, ktoś z Little Calcutta albo z podobnego miejsca. Życie w takiej norze wyjaśniałoby metaliczność głosu; depresję. Powinieneś to widzieć, Milo. Zęby chłopaka gniły. Miał gruźliczy kaszel. Dziewczyna była naga, owinięta w prześcieradła i starała się karmić dziecko. Jeżeli zaproponowałbym wystarczająco dużo pieniędzy, to prawdopodobnie mógłbym kupić to dziecko.

– Widywałem takie rzeczy – odrzekł łagodnie.

– Wiem, że widywałeś. Ja też. Ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Co chcesz zrobić? Rozwiązać problemy wszystkich ludzi? Na razie masz dosyć swoich.

Masz nazwiska tych ludzi?

– Dziewczyny nie. Chłopak nazywa się Terminatorem Trzy.

Roześmiał się.

– Nikogo tam nie było poza tą dwójką i dzieciakiem?

– Nie widziałem żywego ducha, a wymachiwałem dziesięciodolarówkami.

– Naprawdę mądrze, Alex.

– Byłem czujny.

– Taak.

– Chłopak mówił, że miejsce zapełnia się w nocy. Mógłbym wrócić tam po zmroku i spytać, czy ktoś jeszcze zna Gritza.

– Naprawdę masz ochotę dać sobie poderznąć gardło, co?

– Jakbym miał u boku gliniarza, byłbym bezpieczniejszy, prawda?

– Nie licz na to... Taak, okay. Prawdopodobnie to strata czasu, ale trudno, czego się nie robi dla przyjaciela.

Robin dalej pracowała w garażu. Trzymała w dłoniach lśniące ostre przedmioty, które przypominały narzędzia dentystyczne. Miała spięte w kok włosy, a okulary ochronne nasunięte na czoło. Pod kombinezonem nosiła ściekającą potem koszulkę. Powiedziała „cześć, laleczko”, a jej dłonie nie przestawały się poruszać. Pies siedział przy nogach Robin. Polizał moją dłoń, kiedy zajrzałem przez jej ramię.

Drobna, prostokątna muszla ślimaka była umocowana w imadle. Krawędzie muszelki były stożkowate, a rogi pokryte złotym drucikiem i kawałkami kości słoniowej.

– Piękne – stwierdziłem – ozdobna mozaika?

– Ummm. Dzięki.

Zdmuchnęła pył i przetrzała krawędź paznokciem. – Rzeźbisz też kanaliki nerwowe?

Wybuchnęła śmiechem i pochyliła się nad dziełem.

– Na mój gust styl barokowy. Dla maklera, który chce przyozdobić sobie ścianę.

Popracowała jeszcze przez chwilę. Wreszcie odłożyła narzędzia. Otarła czoło i poruszyła palcami.

- Wystarczy na jeden dzień. Zaczynam drętwić.
- Wszystko w porządku? – pomasowałem ją po szyi.
- Miło i spokojnie. A jak u ciebie?
- Nieźle.

Pocałowałem ją. Wiatr był silniejszy i bardziej suchy. Potrząsał koronami cyprysowych drzew i strzelał zimnym strumieniem przez otwarty garaż. Robin uwolniła muszlę z imadła i włożyła do kieszeni. Objąłem ją ramieniem i ruszyliśmy w stronę domu. Wiatr przenosił sterty pyłu, co powodowało, że buldog prychnął i mrugał ślepiami.

- Santa Anna? – zapytała.
- Za zimno. Prawdopodobnie kraniec Arktyki.
- Brr... – powiedziała, zamykając drzwi – zostawiłeś kurtkę w samochodzie?

Pokręciłem głową. Weszliśmy do mieszkania.

- Miałeś ją, prawda? – spytała, pocierając ręce. – Ten workowaty, brązowy tweed.

Oko artysty.

- Tak.
- Zgubiłeś go?
- Niezupełnie.
- Niezupełnie?
- Dałem go komuś.

Roześmiała się.

- Co zrobiłeś?
- Żadna sprawa, rozchodził się w szwach.

– Komu go dałeś?

Opowiedziałem jej o Little Calcutta. Słuchała z dłońmi na ustach. Pokręciła głową i poszła do kuchni umyć ręce. Kiedy wróciła, nadal kiwała głową.

– Wiem, wiem. Ale to była stara szmata, a oni wyglądali naprawdę Żałośnie.

– Założyłeś ją, kiedy umówiliśmy się na pierwszą randkę. Nigdy jej nie lubiłam.

– Nie lubiłaś?

– Nie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– To nie było aż takie ważne.

– O czym jeszcze nie wiem, co ci się nie podoba?

– Nic, teraz, kiedy pozbyłeś się tej kurtki, jesteś idealny.

Zwichrzyła moje włosy. Podeszła do francuskich drzwi i popatrzyła na góry. Skrzyły się i lśniły w słońcu w miejscach, gdzie opadły zeschłe Uście. Woda w basenie była wzburzona.

Powierzchnię pokrywały kawałki gliny i mokre liście.

Robin rozpuściła włosy. Przyglądałem się jej.

Perfekcyjna rzeźba kobiety. Skała odporna na upływ czasu.

Rozwiązała jeden pasek kombinezonu, później następny, aż drelich opadł na podłogę. Stała tylko w koszulce i w majtkach.

Obróciwszy się o dziewięćdziesiąt stopni, z rękami na biodrach, spojrzała na mnie:

– A może byś mi coś dał, duży chłopczyku? – powiedziała z zachodnim akcentem.

Pies chrząknął.

– Ty cicho! – uspokoiła go Robin – psujesz mój nastrój.

– Teraz czuję się jak w domu – oznajmiła przewracając się pod kołdrą – chociaż preferuję

nasze małe gniazdko miłości. Więc czego dzisiaj się dowiedziałeś?

Drugie moje sprawozdanie z przeżytego dnia. Zdałem je szybko, dodając to, co Milo powiedział mi o morderstwach. Pomiąłem wulgarną patologię. Nawet uogólnione informacje były złe i Robin zamilkła.

Pomasowałem dolne partie jej pleców. Krążyłem dłonią po wszystkich dolinach i wzniesieniach. Ciało Robin rozluźniło się, ale tylko na moment.

– Jesteś pewien, że nie słyszałeś nigdy o tych dwóch zamordowanych? zapytała unieruchamiając moją rękę.

– Jestem pewien. Poza tym najprawdopodobniej nie istnieje pomiędzy nimi żaden związek. Kobieta była agentką od handlu nieruchomościami. Ten facet – woźnym. On był dwadzieścia sześć lat starszy. Mieszkali po przeciwnych krańcach miasta. W inny sposób zostali zamordowani. Nic wspólnego poza „parszywą miłością”. Może byli pacjentami de Boscha.

– Nie mogli być twoimi pacjentami?

– Niemożliwe. Przejrzałem akta wszystkich moich spraw. Szczerze mówiąc, nie przemawia do mnie ta teoria. Skoro ktoś jest cięty na de Boscha, to dlaczego zabija pacjentów, których ten leczył?

– A co z terapią zbiorową, Alex? W grupach nietrudno o nieporozumienie, prawda? Ludzie skoczyli sobie do gardeł? Może ktoś żywił głęboki uraz i nigdy tego nie zapomniał.

– To chyba możliwe – stwierdziłem i usiadłem. Dobry terapeuta zawsze usiłuje panować nad emocjonalnym klimatem grupy, ale sprawy mogą wymykać się spod kontroli. Czasami nie ma możliwości zorientowania się, że ktoś czuje urazę. Kiedyś, w szpitalu, musiałem uspokajać ojca chłopaka z rakiem kości. Przyniósł na salę załadowany pistolet. Gdy wreszcie otworzył się przede mną, dowiedziałem się, że kipiał już od tygodni. Nagle eksplodował, a do tego czasu był zupełnie spokojnym facetem.

– No i proszę – podsumowała Robin – więc może jakiś pacjent de Boscha dostał szału, ale tłumiał to w sobie i nie powiedział nikomu. Wreszcie teraz, po latach, postanowił ulżyć swojemu sercu.

– Ale jaki rodzaj terapii mógł łączyć agentkę handlu posiadłościami i czarnego stróża?

– Nie wiem. Może nie oni byli pacjentami, ale ich dzieci. Grupa rodziców dzieci z problemami – de Bosch generalnie zajmował się terapią dziecięcą, prawda?

Skinąłem głową, usiłując to sobie wyobrazić.

– Shipler był dużo starszy od Paprock. Podejrzewam, że ona mogła być młodą matką, a on starym ojcem.

Usłyszeliśmy drapanie psa o framugę. Wstałem i otworzyłem drzwi. Buldog wtoczył się do pokoju. Udał się prosto w kierunku Robin. Stał na tylnych nogach, przednie położył na materacu i zaczął sapać. Wciągnęła psa na łóżko. Buldog obdarzył ją pożądanym liźnięciem.

– Siadaj – rozkazała. – Uł-ooch-patrz, on się podnieca.

– I to przy braku jąder. Widzisz, jak działasz na mężczyzn?

– Ależ oczywiście – spojrzała na mnie i ponownie odwróciła głowę w stronę psa. Wreszcie, ugniatając fałdy ciała wokół szczęk zwierzęcia, zmusiła go, by położył się spokojnie. Z łatwością zapadł w sen. Ale kiedy przysunąłem się, żeby pocałować Robin, otworzył oczy i parsknął.

Potem wgramolił się pomiędzy nas i zaczął oblizywać łapy.

– Może Milo dowie się czegoś na temat przeszłości Shiplera i Paprock. Zobaczymy, czy gdzieś figuruje nazwisko de Bosch albo Szkoła Poprawcza. Czasami ludzie ukrywają przed światem fakt, że są psychicznie leczeni. Zapytam go dziś wieczorem.

– Co znaczy dziś wieczorem?

– Planujemy wrócić pod tę autostradę. Porozmawiamy z innymi bezdomnymi. Może dowiemy się czegoś więcej o tym Gritz.

– Czy to bezpieczne tam wracać?

– Miło będzie ze mną. Warto spróbować, niezależnie od tego, czy ta wycieczka przyniesie korzyści.

– W porządku. Jeżeli chcesz być produktywny, to może zatrzymasz się przy markecie i kupisz tym ludziom trochę jedzenia?

– Dobry pomysł. Masz ich dzisiaj sporo, prawda?

– Motywacja – oznajmiła. Nagle spoważniała i ujęła moją twarz obiema rękami. – Chcę, żeby to się skończyło. Proszę, uważaj na siebie.

– Obiecuję.

Zdołaliśmy się przytulić, mimo bliskiej asysty buldoga.

Zasnąłem, wdychając zapach perfum i psiej karmy. Kiedy się obudziłem, czułem skwaśnienie w żołądku i piekły mnie stopy. Odetchnąłem głęboko. Usiadłem i przetarłem oczy.

– Co jest? – wymamrotała Robin, leżąc plecami do mnie.

– Tylko myślę.

– O czym? – odwróciła się i spojrzała mi w twarz.

– O kimś w grupie terapeutycznej, kto dusił w sobie urazy przez te wszystkie lata.

Dotknęła mojego policzka.

– I co ja, do diabła, mam z tym zrobić? – powiedziałem. – Jestem tylko nazwiskiem na jakiejś cholernej broszurce, może skrzywdziłem kogoś i nawet o tym nie wiem?!

## **Rozdział piętnasty**

Usłyszałem charczenie niewyregulowanego silnika. Fiat Milo wyglądał na monitorze jak dziecinna zabawka. Wyszedłem z domu. Wiatr ustał. Samochód wypuścił pióropusz dymu i zakolebał się w konwulsjach. Nie wyglądało na to, żeby maszyna przetrwała ten wieczór.

– Stwierdziłem, że doskonale wtopi się w otoczenie – oznajmił Milo wysiadając. Taszczył

ogromną, białą torbę i miał na sobie robocze ciuchy. Torba pachniała mięsem i czosnkiem.

– Jedzonko? – zapytałem.

– Włoskie sandwicze. Uważaj mnie za swojego oficjalnego chłopca na posyłki z departamentu policji Los Angeles.

Robin wróciła do garażu i zaczęła pracować nad fluorescencyjnym rozdzielaczem. Pies również tam był. Kiedy nas dostrzegł, ruszył prosto w stronę torby.

Milo podniósł ją poza zasięg buldoga.

– Stój. Siadaj, a w ogóle to najlepiej odejdz.

Pies parsknął. Odwrócił się do nas tyłem i usiadł.

– Jednego mniej. Nie jest źle – stwierdził detektyw. Pomachał do Robin. Podniosła rękę i odłożyła narzędzia.

– Wygląda, że się zadomowiła – powiedział. – A co z tobą, Nicku Danger?

– Wszystko gra. Znalazłeś coś o Gritzu?

Zanim Milo zdążył odpowiedzieć, podeszła Robin.

– Przyniósł nam kolację – oznajmiłem.

– Co za książkę – pocałowała go w policzek. – Jesteś teraz głodny?

– Nie bardzo – odparł muskając swój brzuch – wziąłem co nieco na poprawienie apetytu, kiedy stałem w kolejce.

– To dobrze – stwierdziła – musisz rosnać.

– Rosnę w niewłaściwym kierunku.

– Masz odpowiednią prezencję, Milo – poklepała detektywa po ramieniu. Po sposobie, w jaki poruszała palcami, zorientowałem się, że niecierpliwi się, by wracać do swojego zajęcia. Mnie również świerzbiło. Myślałem o ludziach spod autostrady. Pies wciąż siedział nadęty.

– A ty, kochanie? – zapytała Robin. Buldog podszedł do nas myśląc albo udając, że pytanie



zostało skierowane do niego.

– Mogę poczekać.

– Ja też. Wrzucę to do lodówki i zjemy, kiedy wrócicie.

– Brzmi nieźle. – Milo podał jej torbę. Pies usiłował polizać siatkę.

– Spokojnie, mam dla ciebie mleczną kość – uspokoiła go Robin.

Ponad dachem niebo było czarne i puste. Światła domów po drugiej stronie kanionu wydawały się odległe o tysiące mil.

– Dasz sobie radę? – zapytałem.

– Nic mi nie będzie. Idźcie – obdarzyła mnie szybkim pocałunkiem i uściskiem.

Ruszyliśmy z Milo w stronę fiata. Buldog obserwował oddalający się samochód.

Byłem spokojniejszy zostawiając ją samą dopiero wtedy, gdy usłyszałem szczęk masywnej bramy zamykającej się za nami. Milo skierował się na Benedict. Osiągnął maksymalną prędkość, jaką mógł rozwinąć ten samochodzik. Jego masywne dłonie prawie zupełnie pokrywały kierownicę. Kiedy skręciliśmy na południe, zapytałem:

– Masz coś o Gritzu?

– Znalazłem jedną wzmiankę. Dzięki Bogu, że to takie niespotykane nazwisko. Lyle Edward; biały, trzydzieści cztery lata, metr siedemdziesiąt osiem. Koloru oczu nie pamiętam.

– Coburg mówił, że jest niższy od Hewitta.

Skinął głową.

– Kilka spraw za pijaństwo i zakłócanie porządku, posiadanie narkotyków i parę drobnych oszustw. Nic poważnego.

– Kiedy przyjechał do L.A.?

– Pierwszy raz został aresztowany czternaście lat temu. Komputer nie podaje żadnego adresu ani kuratora. Za niektóre przestępstwa był pod sądowym nadzorem, za inne siedział w więzieniu

stanowym. Wyroki odsiadywał w całości.

– Jakież wzmianki o chorobie psychicznej?

– Nie może być takich wzmianek; chyba że popełniłby jakieś zwyrodniałe przestępstwo.

– Zadzwoń w poniedziałek do Jean Jeffers. Dowiem się, czy był leczony w klinice.

– Tymczasem możemy pogadać z innymi włóczęgami.

– Robin zasugerowała, że moglibyśmy przynieść im jakąś żywność. To zwiększy ich zaufanie.

Wzruszył ramionami.

– Czemu nie. Jest taki mały sklepik niedaleko Olympic.

Przejechaliśmy kawałek drogi. Milo zmarszczył brwi i potarł twarz dłonią.

– Jakiś problem? – zapytałem.

– Nieee... to co zwykle. Znowu sprawiedliwość została pogwałcona. Chodzi o tych dwóch gnojków na wagarach. Ta stara kobieta zmarła dziś po południu.

– Przykro mi. Czy to zakrawa na morderstwo?

Docisnął pedał gazu.

– To zakrawa na gówno. Miała postępującą arteriosklerozę i narastające bóle w okolicy.

Według autopsji była to tylko kwestia czasu. Wiek kobiety i fakt, że dzieciaki jej nie tknęły, oznacza, że biuro prokuratury nie będzie chciało tracić czasu na próbę udowodnienia śmierci z nienaturalnych przyczyn. Kiedy przyjęto ją do szpitala, nie była nawet w stanie podpisać zeznania przeciwko chłopakom. Bez tego nie będzie oskarżenia. Nawet o rabunek.

Prawdopodobnie usłyszą wykład umoralniający i odejdą wolno. Chcesz się założyć, że zanim zaczną się golić, zginie następna osoba?

Dojechał do Sunset. Włączył się do płynnego, szybkiego ruchu spływającego z Beverly Hills.

Wśród wielkich limuzyn i sportowych wozów ten fiat wyglądał jak okrutne nieporozumienie.

Jakiś mercedes zajechał nam drogę i Milo siarczyście zaklął.

– Mógłbyś dać mu mandat – zasugerowałem.

– Nie kuś mnie.

Kilometr dalej powiedziałem:

– Robin wymyśliła możliwy związek między Shiplerem i Paprock. Obydwoje mogli być w grupie terapeutycznej de Boscha. Leczyli się albo rozmawiali z innymi rodzicami o problemach swoich dzieci. W tej grupie mógł także znajdować się zabójca. Ktoś niewłaściwie go potraktował

– albo on myślał, że tak było – i żywił urazę, która z czasem urosła do paranoicznych rozmiarów.

– Zbiorowa terapia...

– Rodzaj próby rozwiązania wspólnych problemów. Co innego mogło zbliżyć dwoje tak różnych ludzi do de Boscha?

– Ciekawe.. ale jeśli to była grupa rodziców, to nie mógł jej prowadzić de Bosch. Zmarł w osiemdziesiątym. Dzieci Paprock mają teraz sześć i siedem lat. Za dekady de Boscha nie było ich jeszcze na świecie. Kiedy umarła Myra, były w zasadzie niemowlętami. Jakie mogły mieć wtedy problemy?

– Może to był jakiś program związany z wychowaniem dzieci. Albo z chorobami dziedzicznymi? Jesteś pewien, że Paprock była tylko raz zamężna?

– Według akt, tak.

– Okay. Więc może terapeutką była Katarina. Albo jeszcze ktoś inny ze szkoły – może zabójca wierzy w kolektywną winę. Może to była grupa dorosłych. Lekarze dziecięcy nie zawsze zajmują się wyłącznie dziećmi.

– Dobra. Ale tutaj wracamy do podstawowego pytania: jaki ty masz z tym związek?

– Tu musi chodzić o konferencję. Zabójca dostał ataku i przestał panować nad sobą. Według niego każdy mający związek z de Boschem jest winny. Zaczyna od grupy terapeutów

składających hołd staremu lekarzowi. Może śmierć Stoumena to nie był wypadek...

– Co, pierwszozigowy masowy mord? Zabójca dobiera się do pacjentów i do terapeutów?

– Nie wiem. Tylko strzelam.

Usłyszał frustrację w moim głosie.

– W porządku. Strzelaj dalej. To nie kosztuje ani centa. Z tego co wiem, mamy do czynienia z kimś tak obłąkanym, że każda teoria będzie bez sensu.

Po chwili dodał:

– De Bosch miał prywatną, drogą klinikę. Jak mógł stróż pokroju Shiplera pozwolić sobie na takie leczenie?

– Czasami, w wyjątkowo trudnych przypadkach, prywatne kliniki zgadzają się na bezpłatne leczenie. Zresztą, może Shipler był odpowiednio ubezpieczony? A co z Paprock? Miała pieniądze?

– Z tego co wiem, to żadne kokosy. Mąż pracował jako sprzedawca samochodów.

– Możesz sprawdzić ich polisy ubezpieczeniowe?

– Jeżeli tylko mieli i nie zostały zniszczone.

Pomyślałem o dwóch osieroconych dzieciach i zapytałem:

– Ile dokładnie lat miały dzieci Paprock, kiedy ją zamordowano?

– Nie mogę precyzyjnie określić.

– Kto je potem wychowywał?

– Podejrzewam, że jej mąż.

– Nadal jest w mieście?

– Tego również nie wiem.

– Jeśli tak, to może będzie chciał o niej porozmawiać. Dowiedzielibyśmy się, czy była pacjentką w klinice de Boscha.

Wskazał palcem na tylne siedzenie.

– Mam tutaj te akta. Sprawdź adres.

Odwrociłem się i zobaczyłem karton z dokumentami.

– Na samej górze – powiedział – te brązowe.

Kolory nie były rozpoznawalne w ciemności, ale sięgnąłem ręką i chwyciłem teczkę.

Otworzywszy ją zmrużyłem oczy.

– W schowku jest paluszkowa latarka.

Spróbowałem otworzyć szafkę, ale zaklinował się zamek. Milo potraktował schowek pięścią.

Klapka opadła i jakieś papiery wysypały się na podłogę. Wetknąłem je z powrotem i znalazłem

latarkę. Cienki promyk światła padł na stronę z wpiętymi fotografiami z miejsca przestępstwa.

Mnóstwo róży i czerwieni. Zbliżenie na napis ze ściany: „parszywa miłość” wykaligrafowane

dużymi, drukowanymi literami. Kolor pasował do krwi na podłodze... staranne pismo...

Przewróciłem stronę. Imię wdowca po Myrze Paprock widniało pośrodku danych.

– Ralph Martin Paprock – przeczytałem – Valley Vista Cadillac. Adres domowy z North Hollywood.

– Sprawdzę, czy nadal tam mieszka.

– Muszę poszukać innych ludzi z konferencji i ostrzec ich.

– Pewnie, ale jeżeli nie możesz im powiedzieć, kto i dlaczego, to co to da? „Drogi panie albo pani, muszę poinformować, że może zostać pan załuczony, zadźgany lub przejechany przez nie zidentyfikowanego, żadnego zemsty świra”...?

– Może któreś z nich powie mi, kto i dlaczego. Ja wiem, że chciałbym zostać ostrzeżony.

Problem polega na znalezieniu ich. Wszyscy zmienili prace i miejsce zamieszkania. A kobieta, o której myślałem, że jest żoną Rosenblatta, nie odpowiedziała na żaden z moich telefonów.

Zapadła długa cisza.

– Zastanawiasz się – powiedział wreszcie Milo – czy im również nie złożono wizyt.

– Istotnie, przebiegło mi to przez myśl. Katarina nie figuruje w rejestrze psychiatrów od pięciu lat. Mogła po prostu przestać opłacać składki, ale to nie podobne do niej. Nie wierzę, żeby zerwała z psychologią i zamknęła szkołę. Była ambitna. Z uporem kontynuowałaby pracę ojca.

– Cóż – odparł Milo – sprawdzenie rozliczeń podatkowych i akt tych wszystkich ludzi nie powinno sprawiać wiele trudności. Dowiemy się, kto jeszcze oddycha, a kto już nie.

Dojechał do Hilgard i skręcił w lewo. Minął teren uniwersytetu, na którym wiele lat temu przeżywałem ciężkie akademickie chwile.

– Tak wielu ludzi zaginęło – stwierdziłem – teraz dziewczynki Wallace’ów. Jakby każdy zwijał swój namiot i uciekał.

– Hej – odezwał się Milo – może wiedzą coś, czego my nie wiemy.

Teren handlowy przy Olympic był mroczny, poza ohydnie prowokującym białym światłem padającym z minimarketu. Sklepek był cichy i spokojny. Za ladą Pakistańczyk w turbanie popijał Gatorade.

Zakupiliśmy chleb, zupy w puszkach, porcjowane mięso, kaszę i mleko. Pakistańczyk zmierzył nas nieprzyjaznym wzrokiem, kiedy zsumował całość. Nosił firmową koszulę z zielonym nadrukiem. Identyfikator przypięty do piersi sprzedawcy nie był wypełniony.

Milo sięgnął po swój portfel. Uprzedziłem go i wręczyłem kasjerowi gotówkę. Nadal wyglądał na niezadowolonego.

– O co chodzi? – zapytał Milo. – Jemy za dużo cholesterolu?

Sprzedawca wyduł usta i spojrzął na kamerę wideo umieszczoną nad drzwiami. Cyklopie oko maszyny powoli lustrowało obszar sklepu. Ekran wypełniały mleczone, szare kontury.

Przeniósł wzrok na chłodziarkę z nabiałem. Przed nią stał zaniedbany mężczyzna i gapił się na półlitrowe kartoniki z mlekiem. Nie zauważyłem go wcześniej i zastanawiałem się, skąd się

pojawił. Milo przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. Potem zwrócił się ponownie do Pakistańczyka.

– Taak, policyjna robota to mordęga – oznajmił – potrzebujemy tych kalorii, żeby łapać niedobrych facetów.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

Mężczyzna przy lodówce odwrócił się i rzucił na nas okiem. Po chwili zaczął przyglądać się śmietanie.

Był wychudzony i zarośnięty. Nosił zabrudzoną czarną wojskową kurtkę, dzinsy i plażowe sandały. Ręce mu się trzęsły. Najwyraźniej nie widział na jedno oko.

Kolejny członek rozległej rodziny Dorseya Hewitta.

Położył jedną rękę na karku i odwrócił się. Jego wzrok napotkał spojrzenie Milo.

Sturgis zasalutował.

– Dobry wieczór, koleś.

Mężczyzna przez sekundę nie poruszył się. Potem zanurzył ręce w kieszeniach i wyszedł ze sklepu. Sandały stukały na winylowej posadzce.

Sprzedawca obserwował, jak wychodzi. Elektryczna kasa wydała z siebie komputerowy mamrot i wypłuła rachunek. Kasjer oderwał taśmę i wrzucił do jednej z pół tuzina toreb, które spakowaliśmy.

– Ma pan jakiś karton na to wszystko?

– Nie, sir – odparł sprzedawca.

– A może z tyłu, za sklepem?

Pakistańczyk wzruszył ramionami.

Wynieśliśmy żywność. Niechlujny mężczyzna stał przy wylocie ulicy. Kopał asfalt i chodził od witryny do witryny. Gapił się na czarne szyby.

– Hej! – zawołał Milo.

Żadnej reakcji.

Powtórzył okrzyk. Wydobył z torebki paczkę kaszy i pomachał nią nad głową.

Mężczyzna wyprostował się i spojrzał w naszym kierunku, ale się nie zbliżył. Milo podszedł w jego stronę i rzucił paczkę.

Włóczęga wyciągnął rękę, ale nie złapał przesyłki. Klęknął i podniósł grykę z ziemi. Sturgis wracał do samochodu i nie widział wyrazu twarzy bezdomnego. Zmieszanie, nieufność, a potem błysk wdzięczności.

Mężczyzna oddalił się w ciemność, paznokciami rozrywając opakowanie i rozsypując kaszę po chodniku.

– Wynośmy się stąd, do cholery – zakomunikował Milo.

Weszliśmy do fiata. Detektyw zajechał pod zaplecze sklepu, gdzie siedziało trzech innych bezdomnych. Kilka pustych kartonów stało przy kontenerach na śmieci. Wybraliśmy te, które wyglądały i pachniały względnie czysto. Wrzuciliśmy do nich torby i załadowaliśmy na tylne siedzenie auta obok foldera z aktami Myry Paprock.

Srebro księżycy było ledwie widoczne za chmurami. Niebo wyglądało na zabrudzone.

Autostradę wypełniały hałas i światło. Dotarliśmy do Little Calcutta. Ciemność otaczała okolice, ale miejsce, gdzie rozmawiałem z Terminatorem Trzy, było w zasięgu ulicznej lampy.

Wskazałem je Milo, Wyszliśmy z samochodu. Znaleźliśmy luki w sklejce. Prześwitywały przez nie błękitne języki – cienkich, gazowych, alkoholowych płomieni.

– Oszczędni smakosze – skomentował Milo.

Zaprowadziłem go do miejsca, gdzie kilka godzin temu wchodziłem na teren bezdomnych.

Od tego czasu dodano do ogrodzenia kilka drutów. Były zardzewiałe i ostre, zbyt kurczowo pozaginane, by można poluzować je rękoma.



Milo wyjął z kieszeni spodni szwajcarski nóż wojskowy i małe sekator. Manipulując tymi narzędziami zdołał odblokować właz.

Wróciliśmy do samochodu po kartony z jedzeniem i wkroczyliśmy na mroczne tereny.

Niebieskie światełka zaczęły wygasać, jakbyśmy prowadzili ze sobą falę silnego wiatru.

Milo ponownie sięgnął do kieszeni i wydobył paluszkową latarkę, której używałem w samochodzie. Włożyłem ją do schowka i nie zauważyłem, żeby zabierał ją stamtąd.

Wyciągnął coś z jednej z toreb i skierował na to promyk światła.

Uniósł zapakowaną na plastikowej tacce wołowinę i krzyknął:

– Jedzenie!

Okrzyk był ledwie słyszalny przy akompaniamencie hałasu dochodzącego z autostrady.

Światełka nadal systematycznie wygasały. Paczka i dłoń Sturgisa wydawały się wisieć w powietrzu.

Przez kilka następnych sekund nic się nie wydarzyło. Milo położył mięso na ziemi.

Następnie wydobył więcej pakunków i rozsypał je na glinie. Wycofując się w kierunku dziury w sklejce, zostawił za sobą szlak usłany jedzeniem, który prowadził aż na chodnik.

– Cholerni Hansel i Gretel – wymamrotał i czmychnął za tekturowy płot. Poszedłem za nim.

Stał przy fiacie i podrzucał pomiętą torbę.

Czekaliśmy. Samochody pędziły nad naszymi głowami i dudniły po betonie. Milo zapalił panatelę i wypuścił parę kółek dymu.

Kilka minut później zgasił cygaro i wetknął je między palce. Wrócił do otworu w sklejce i wsadził głowę we właz. Nie ruszał się przez sekundę, a później kiwnął na mnie dłonią.

Skierował światło latarki w wielkie poruszenie pięć metrów przed nami.

Chaotyczna, nerwowa szarpanina ramion.

Mrużąc oczy dojrzałem w mroku kontury ludzkich postaci. Rozdrapywali żywność

poruszając się na klęczkach, zupełnie jak mężczyzna przy minimarkecie.

Po kilku sekundach zarówno oni, jak i żywność zniknęły. Milo przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

– Jest tego więcej, ludzie!

Żadnej reakcji.

Zgasił latarkę i ponownie przeszliśmy na drugą stronę płotu.

Wydawało się, że to bezsensowna gierka, ale Milo wyglądał na rozluźnionego.

Zaczął opróżniać następną torbę. Umieścił jej zawartość na oświetlonej części chodnika.

Potem wrócił do samochodu. Usiadł na tylnej klapie i ponownie zapalił cygaro.

Zastawił sidła, a teraz rozkoszował się urokiem polowania.

Minęło jeszcze trochę czasu. Wzrok Milo krążył wokół dziury w płocie. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Przygryzł cygaro między zębami.

Duża, ciemna ręka wynurzyła się z włazu i usiłowała chwycić bochenek białego chleba.

Sturgis podszedł i kopniakiem odsunął paczkę.

– Przykro mi – powiedział – bez pracy nie ma kołaczy.

Wyjął swoją odznakę i przystawił do wlotu.

– Chcę tylko pogadać – oznajmił.

Nic.

Westchnąwszy, podniósł chleb i rzucił go przez dziurę. Wziął do ręki puszkę zupy i pomachał przed ogrodzeniem.

– Zafunduj sobie zróżnicowany posiłek, koleś.

Chwilę później para nie zasznurowanych trampek pojawiła się w przejściu. Ponad nimi widniały nogawki zatłuszczonych jasnych spodni i dolna część wojskowej narzuty.

Głowa nad ubraniem pozostała w ciemnościach niewidzialna.

Milo ujął zupę pomiędzy kciuk i palec wskazujący. Nowoorleańska potrawa z pizmaka.

– Jest tego dużo więcej – oznajmił – tylko za odpowiedź na kilka pytań.

Jeden, a za chwilę drugi trampek uderzył o chodnik.

W świetle ulicznej latarni pojawił się mężczyzna.

Po same kolana był owinięty kocem, który okrywał jego głowę i większość twarzy. Wyglądał jak mnich.

Nie zakryte fragmenty ciała były czarne i ziarniste. Mężczyzna wykonał niepewny krok w przód, jakby testował wytrzymałość chodnika. Koc nieco się osunął. Czaszka Murzyna była duża i prawie łyśa. Koścista, długa twarz wyglądała na rzeźbioną. Miał szorstką, szczecinowatą brodę, a skórę zniszczoną i pomarszczoną. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt lat. Złamany nos był tak płaski, że prawie wtapiał się w zapadnięte policzki. Jego oczy mrugały, łzawiły i nie przestawały się poruszać.

Trzymał w ręce biały chleb i patrzył na zupę.

Milo spróbował podać mu puszkę.

Mężczyzna zawahał się. Jego oczy były teraz spokojniejsze.

– Wiesz, co się robi z darowanym koniem? – zapytał Milo.

Murzyn przełknął ślinę. Ścisnął chleb tak mocno, że bochenek przybrał formę ósemki.

Podszedłem do niego i powiedziałem:

– Chcemy tylko porozmawiać. To wszystko.

Zmierzył mnie wzrokiem. Jego oczy wypełniała żółć i przekrwione naczynka. Coś w nich błyszczało – inteligencja, a może tylko podejrzliwość. Śmierdział wymiotami i alkoholem. Wargi miał obwisłe jak u angielskiego doga. Musiałem powstrzymać się przed zrobieniem kroku w tył.

Milo stanął za moimi plecami i zneutralizował część fetoru dymem z cygara. Wyciągnął dłoń

z puszką zupy na wysokość piersi mężczyzny. Bezdomny spojrział na nią i wreszcie przyjął dar, ale wciąż gapił się na mnie.

– Ty nie jesteś policjantem – jego głos był zaskakująco czysty. – Zdecydowanie nie jesteś.

– Zgadza się – odparłem – ale on jest.

Mężczyzna zerknął na Milo i uśmiechnął się. Potarł dłonią część koca zakrywającą jego brzuch. Następnie schował obie ręce pod narzutę, ukrywając chleb i zupę.

– Kilka pytań, przyjacielu – rzekł Sturgis – prosta sprawa.

– Nic w życiu nie jest proste – stwierdził Murzyn.

Milo wskazał kciukiem torby leżące na chodniku.

– Filozof... Wystarczy tego, żebyś się najadł razem z przyjaciółmi. Urządźcie sobie małe przyjęcie.

Bezdomny pokręcił głową.

– Może być zatrute.

– Dlaczego, do cholery, miałyby być zatrute?

Uśmiech.

– Dlaczego nie? Cały świat jest zatruty. Pewnego razu ktoś dał komuś prezent pełen trucizny i ten ktoś umarł.

– Gdzie się to stało?

– Na Marsie.

– Poważnie.

– Na Wenus.

– Okay – odparł Milo, wypuszczając dym – jak chcesz. Zapytamy gdzie indziej.

Mężczyzna obliznął usta.

– Proszę bardzo. I tak mam wirusa i nie robi mi to różnicy.

– Wirusa, he? – zapytał Milo.

– Jak nie wierzysz, to możesz mnie pocałować.

Bezdomny wysunął język. Koc opadł mu na ramiona. Pod spodem nosił umorusaną koszulę.

Jego barki i szyja były wychudzone.

– Opuść sobie – stwierdził detektyw.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Na pewno – i co teraz? Wyciągniesz to ze mnie siłą?

– Wyciągnę, co?

– To czego chcesz. Ty masz władzę.

– Neeee... – odparł Milo – masz przed sobą przedstawiciela departamentu policji L.A.

Jesteśmy czułymi facetami nowej generacji.

Murzyn ponownie głośno się zaśmiał. Jego oddech był gorący i chrapliwy.

– Gówna prawda. Zawsze będziecie dzikusami. Musicie, żeby utrzymać porządek.

– Miłego dnia – powiedział Sturgis i zaczął się odwracać.

– A w ogóle to co chcecie wiedzieć?

– Cokolwiek na temat faceta o imieniu Lyle Edward Gritz – wyjaśnił Milo. – Znasz go?

– Jak brata.

– Doprawdy?

– Tak – odparł mężczyzna – ale niestety w obecnej dekadzie panują kiepskie stosunki w naszej rodzinie, co oznacza, że znam go raczej słabo.

Milo przeniósł wzrok na właz.

– Jest tam teraz?

– Nie.

– Widziałeś go ostatnio?

– Nie.

– Ale kręcił się tutaj?

– Od czasu do czasu.

– Kiedy ostatnim razem?

Murzyn zignorował pytanie i ponownie zaczął się na mnie gapić.

– Kim ty jesteś? – zapytał. – Jakimś dziennikarzem na niedzielnej wycieczce?

– On jest doktorem – wyjaśnił Milo.

– Ach, taak? Masz trochę penicyliny? Zdarzają się tu infekcje. Amoksyliny, erytromycyny, tetracykliny – czegokolwiek, co może pomóc tym łachudrom?

– Jestem psychologiem – oznajmiłem.

– Ummm... – powiedział bezdomny, jakby zraniony. Zamknął oczy i pokręcił głową. Kiedy je otworzył, były suche i skupione.

– Wybacz moje słownictwo, ale w takim razie jesteś dla mnie gównem wart.

– Gritz – powtórzył Milo – możesz coś o nim powiedzieć?

Bezdomny wyglądał na osobnika kontemplującego.

– Biały śmieć, sucza głowa, niski współczynnik inteligencji, ale zdolne ciało. Nie miał żadnej wymówki na to, że skończył w takiej dziurze. Nie to co ja. Pewnie uważacie mnie za jakiegoś nieudanego dorobkiewicza, prawda? Dlatego, że jestem czarny i znam gramatykę. No więc nie rzekł – ja zbierałem śmieci. Profesjonalnie. W Compton. Dobra płaca; zakładasz rękawice i wszystko jest świetnie. Mój błąd polegał na rozwinięciu własnego biznesu. Winyłowe parkiety. Odwalałem dobrą robotę. Pracowało dla mnie sześciu ludzi. Wszystko szło dobrze, aż do chwili, kiedy interes padł, a ja zacząłem topić smutki w narkotykach.

Wyciągnął rękę spod koca. Uniósł ją i mankiet osunął się z kościstego przedramienia.

Wewnętrzną stronę kończyny pokrywały blizny i ślady nakłuć.

– To jest świeże – oznajmił, wskazując na ranę w okolicy nadgarstka odstępując od swoich praw, dlaczego mnie nie zapuszczajecie i nie dacie pryczy na noc?

– To nie moja sprawa – odparł Milo.

– Nie twoja sprawa? – zaśmiał się Murzyn. – Jesteś jakimś liberałem?

Milo spojrzał na niego i zaciągnął się cygarem.

Mężczyzna cofnął rękę.

– No to chociaż załatwcie mi jakiegoś prawdziwego doktora, żebym dostał trochę metadonu.

– A co z władzami stanowymi?

– Stanowe konowały wykazują braki. Nie mogę dostać nawet antybiotyków.

– Cóż – powiedział Milo – jeżeli chcesz, to mogę cię zawieźć na dyżurne pogotowie.

Murzyn znów się roześmiał.

– Po co? Żebym siedział tam z postrzelonymi i zawałowcami? Nie postawiono mi żadnej konkretnej diagnozy. Tylko ten wirus; na razie brak symptomów. Wszystko, co mogą zrobić, to kazać mi czekać. Więzienie jest lepsze – szybciej się tobą zajmują.

– Trzymaj – rzekł Sturgis, sięgając do kieszeni i wyciągając portfel. Wydobył kilka banknotów i podał je bezdomnemu – znajdź sobie pokój i zatrzymaj resztę.

Na twarzy mężczyzny pojawił się gorący, szeroki uśmiech. Wepchnął pieniądze pod koc.

– To bardzo miłe, panie policjancie. Upiększył pan wieczór bezdomnego indywiduum.

– Gritz też brał narkotyki?

– Tylko kwas. To, jak mówiłem, biały śmieć. On i to jego wzniosłe śpiewanie.

– Lubił śpiewać?

– Rzępolił cały czas tym jodłowym, śmiecianym głosem. Chciał być Elvisem.

– Miał talent?

Murzyn wzruszył ramionami.

– Czy kiedykolwiek był w stosunku do kogoś gwałtowny?

– Nie zauważyłem.

– Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

– Niewiele. Zamknięty w sobie – jak my wszyscy. Tu jest Little Calcutta, a nie jakaś tam hipisowska komuna.

– Kręcił się z kimś?

– Nie zauważyłem.

– A co wiesz o Dorseyu Hewitcie?

Mężczyzna wydał wargi.

– Hewitt, Hewitt... ten, który załatwił tę lekarkę?

– Znałeś go?

– Nie. Czytam gazety. Kiedy ten głupek to zrobił, martwiłem się, że ludzie będą tu ściągać i się do nas przychrzaniać.

– Nie spotkałeś nigdy Hewitta?

– Nie.

– Nie wiesz, czy on i Gritz byli kumplami?

– Skąd miałbym wiedzieć, skoro nigdy go nie poznałem?

– Ktoś powiedział nam, że Gritz mówił o wzbogaceniu się.

– Pewnie, zawsze tak gadał. Idiota. Chciał nagrać płytę i zostać następnym Elvisem. Po wlaniu w siebie butelki wody, był numerem jeden na wszystkich listach.

Bezdomny odwrócił się do mnie.

– Co możesz powiedzieć na temat mojej choroby?

– Nie znam cię wystarczająco dobrze – odparłem.

– Interniści w klinice stwierdzili, że mam postępującą chorobę: dotkliwe zmiany nastroju.



Potem odcięli mi racje metadonu.

Zacisnął zęby i czekał, aż skomentuję. Kiedy tego nie zrobiłem, dodał;

– Rzekomo używałem go do samoleczenia. Byłem swoim własnym psychiatrą – zaśmiał się.

– Gówna prawda. Używałem tego, żeby być szczęśliwym.

– Wróćmy do tematu – wtrącił się Milo. – Co jeszcze wiesz o Gritzku?

– To już wszystko – uśmiech. – Czy nadal mogę zatrzymać te pieniądze?

– Terminator Trzeci jest tu jeszcze? – spytałem.

– Kto?

– Chłopak z Arizony. Bez palca, z paskudnym kaszlem. Ma dziewczynę i dziecko.

– Ach, taak, Wayne. Teraz się każe tak nazywać? Nieee, zabrali się dziś po południu. Jak mówiłem, ludzie przychodzą i odchodzą...

Mężczyzna owinał się kocem i patrząc na nas zaczął kierować się w stronę płotu.

– A co z pokojem na noc? – zapytał Miło.

Bezdomny stanął i obejrzał się.

– Nieee... dzisiaj rozbiję obóz pod gołym niebem. Przyda mi się trochę świeżego powietrza.

Sturgis zaśmiał się nieznacznie i spojrzał na jedzenie.

– A co z tym?

– Ta... wezmę trochę tej Gatorady. Pepsi też. Podniósł napoje i wetknął je za pazuchę.

– To wszystko? – zdziwił się Milo.

– Jestem na diecie – oznajmił Murzyn. – Jeżeli chcesz, możesz zanieść resztę do środka. Na pewno ktoś sobie coś wybierze.

Zakapturzony mężczyzna poprowadził nas przez ciemność. Szedł chwiejnym krokiem, ale bez cienia wahania. Poruszał się jak niewidomy z dobrą praktyką.

Milo i ja potykaliśmy się o siebie. Walczyliśmy o zachowanie równowagi, podążając za

wątlým swiatełkiem ołówkowej latarki.

Po pewnym czasie poczułem ludzką obecność i zapach strachu. Potem słodką woń benzyny.

Mocz. Kał. Tytoń. Pleśń.

Amoniak świeżej spermy.

Człowiek w kapturze przystanął i wskazał ręką na ziemię.

Położyliśmy kartony. Zaiskrzył się niebieski płomyk, a po chwili następny. Z mroku wyłoniła się betonowa ściana. Pod nią stały prowizoryczne łóżka i sterty gazet. Ciała i twarze mieniły się na niebiesko.

– Cudowny nastał czas, ludziska – krzyknął Murzyn, a następnie odszedł w ciemność.

Pojawiło się więcej świateł i około dziesięciu osób – bez twarzy, płci, stłoczonych w kupie jak ofiary sztormu.

Milo wyjął coś z pudła i położył to na dłoni. Jakaś ręka sięgnęła z mroku i błyskawicznym ruchem pochwyciła przedmiot. Więcej ludzi zgromadziło się wokół nas z ustami otwartymi z zaskoczenia.

Sturgis nachylił się i wykonał kilka ruchów szczękami. To co powiedział sprawiło, że część bezdomnych oddaliła się w popłochu. Inni słuchali, a część z nich odpowiadała.

Rozdał już większość żywności. Dołączyłem się i wkrótce nasze kartony były puste.

Zostaliśmy sami.

Milo oświetlił latarką betonową ścianę.

Zakapturzony mężczyzna siedział oparty plecami o mur. Trzymał zgięte w łokciu ramię, przewiązane na bicepsie czymś elastycznym.

Zobaczyłem piękny uśmiech na jego twarzy i igłę zagłębioną w ciele.

Milo odwrócił wzrok i zniżył promień latarki.

– Chodź! – powiedział wystarczająco głośno, żebym usłyszał.

Ruszył na zachód oznajmiając:

– Cóż, to było wielkie, cholerne zero.

– Żaden z nich nie miał nic do powiedzenia?

– Zgodnie twierdzili, że Lyle Gritz nie pokazywał się tam od tygodnia lub dwóch. To żadna afera, ponieważ facet krąży tam i z powrotem. Istotnie dużo mówił o zarobieniu pieniędzy przed swoim zniknięciem, ale wszyscy słyszeli to już wcześniej.

– Drugi Elvis.

Milo skinął głową.

– Interesował się muzyką, a nie mordowaniem ryb. Domagałem się szczegółów i jeden z nich powiedział, że widział Gritza niecały tydzień temu, jak wsiadał do jakiegoś samochodu. Tylko, że facet nie potrafił określić marki, koloru ani podać żadnego szczegółu na temat auta. Nie jestem pewien, czy nie powiedział tego na odczepne. Sprawdzę, czy Gritz pojawił się ostatnio w aktach aresztowań. Ty możesz zapytać Jeffers, czy był kiedyś pacjentem w klinice. Ale jeżeli nawet go znajdziemy, to nie jestem przekonany, czy to coś zmieni. Dobra, masz ochotę na chwilę relaksu? Ja dalej czuję zapach tej cholernej nory.

Podjechał do koktajlbaru na Wilshire, w dzielnicy prostytutek Santa Monica. Owalny neon świecił nad pikowanymi drzwiami. Nigdy nie byłem w tym miejscu. Po sposobie, w jaki Milo zaparkował na podjeździe, poznałem, że zna tą budę dobrze.

W knajpie nie było wiele jaśniej niż na ulicy. Umyliśmy ręce w toalecie i zajęliśmy miejsca przy barze. Dekoracja wnętrza ograniczała się do czerwonego winylu i nikotyny. Bywalcy lokalu byli dość apatyczni. Kilku wyglądało na pogrążonych w martwym śnie. Szafa grająca poprawiała nastrój wypluwając z siebie ciche rytmy Vica Diamonda.

Milo wepchnął do ust garść solonych orzeszków. Zamówił podwójną wódkę. Nie komentował, gdy poprosiłem o butelkę coli.

– Gdzie jest telefon? – zapytałem.

Skierował mnie do aparatu.

Zadzwoiłem do Robin.

– Jak leci?

– Nieźle – odrzekła – razem z tym drugim mężczyzną mojego życia siedzimy i oglądamy komedię.

– Zabawna?

– Nie sądzę. On też się nie śmieje – tylko się ślini. Jakies postępy u was?

– Raczej nie, ale rozdaliśmy sporo jedzenia.

– Cóż, dobre uczynki nie szkodzą nikomu. Wracasz do domu?

– Milo chciał się zatrzymać na drinka, może będę musiał go odwiedzić, to zależy od jego nastroju. Lepiej zjedz kolację bez nas.

– Dobra... Zostawię ci światło w oknie i kość na talerzu.

## **Rozdział szesnasty**

Kiedy dotarliśmy do Benedict Canyon, zasugerowałem Milo, żeby został w jednej z sypialni.

Zgodził się bez protestów. Gdy obudziłem się następnego ranka, już go nie było. Łóżko, w którym spał, zostawił w idealnym porządku.

O dziewiątej zadzwonili moi ludzie od porządkowania stawu. Oznajmili, że przeniosą ryby o czternastej.

Zjedliśmy z Robin śniadanie. Po rannym posiłku udałem się do biblioteki.

W sekcji psychiatrycznej sprawdziłem nazwisko Wilberta Harrisona w Słowniku

Medycznych Specjalistów. Ostatnia wzmianka o nim pochodziła sprzed dziesięciu lat. Znalazłem tylko adres na Signal Street w Ojai. Zanotowałem tę informację i przeczytałem jego biografię.

Wykształcenie medyczne zdobył na Uniwersytecie Columbia i w klinice Menninger. Był

członkiem towarzystwa antropologicznego przy UC Santa Barbara. Uczestniczył na spotkaniach w Instytucie de Boscha i w Szkole Poprawczej.

Ciekawa była praktyka lekarza. Katalog sugerował zainteresowania sięgające daleko poza praktykę prywatną. Ale nie prowadził żadnych zajęć akademickich. Specjalizował się w psychoanalizie i leczeniu chorych umysłowo. Wedle podanej daty urodzenia miał obecnie sześćdziesiąt pięć lat wystarczająco dużo, żeby przejść na emeryturę. Pewnie się przeniósł z Beverly Hills do Ojai, a brak linii telefonicznej oznaczał pragnienie spokojnego życia.

Przeskoczyłem do litery R. Znalazłem dane Harveya Rosenblatta. Był związany z uniwersytetem nowojorskim, miał biuro przy 65 na Manhattanie. Ten sam adres, co Shirley, z którą się próbowałem skontaktować. Zignorowała mój telefon, ponieważ nie byli już razem? A może z jakiegoś gorszego powodu?

Czytałem dalej. Rosenblatt ukończył Uniwersytet Nowy Jork. Odbywał praktykę przy Bellevue, w Instytucie Psychoanalizy Roberta Eyanstona na Manhattanie i w szpitalu Southwick w Anglii. Zajmował się psychoanalizą i psychoanalityczną psychoterapią. Urodził się przed pięćdziesięciu laty.

Figurował także w następnym tomie słownika. Szukałem dalej, aż do czasu, kiedy jego nazwisko nagle zniknęło z wykazów.

Cztery lata temu.

Dokładnie pomiędzy morderstwami Shiplera i Paprock.

*Zastanawiasz się, czy też nie złożono im wizyt?*

Uznałem, że jest sposób, by to sprawdzić. Magazyn Amerykańskiego Stowarzyszenia

Lekarzy każdego miesiąca drukował nekrologi. Wygrzebałem odpowiednie roczniki gazety. Nie znalazłem wzmianek o żadnym z tych dwóch psychiatrów. Ale może nie zadali sobie trudu, żeby wstąpić do ASL.

Przejrzałem egzemplarze Amerykańskiego Magazynu Psychiatrii. Znowu nic. Może nie byli członkami żadnego specjalistycznego stowarzyszenia.

Kilka przegródek dalej znalazłem Słownik Amerykańskich Stowarzyszeń Psychologicznych. Trafiłem na wzmiankę o Katarinie de Bosch. Była to informacja sprzed pięciu lat, ta sama, którą miałem w swojej biblioteczkę.

Nie doszukałem się także jej nekrologu.

Może to co robiłem było bezcelowe.

Pomyślałem o innym możliwym sposobie zdobycia adresów, a mianowicie poprzez naukowe publikacje. Wedle Medycznego Indexu i Psychologicznej Kwintesencji Katarina napisała wspólnie z ojcem kilka artykułów, ale nie spłodziła nic po jego śmierci. Jeden z nich miał związek z wychowywaniem dzieci i zawierał odniesienie do „parszywej miłości”:

*Więź pomiędzy matką i dzieckiem jest fundamentem dla wszystkich zażyłych związków. Zachwianie równowagi tego procesu zasiewa ziarno psychopatologii, które dojrzewa w późniejszym życiu dziecka. Dobra miłość – odżywcze, altruistyczne, psychologiczne „ssanie” matki, przyczynia się do poczucia bezpieczeństwa dziecka i wzmacnia jego zdolność formułowania stabilnej więzi uczuciowej z rodzicem. Zła miłość – niewłaściwe używanie rodzicielskiej władzy – kreuje cynizm, wyobcowanie, wrogość i, w najgorszych przypadkach, gwałtowne zachowanie dziecka, usiłującego zemścić się na matczynej piersi, która je zawiodła.*

Zemsta. Niewłaściwe używanie rodzicielskiej władzy. Ktoś został zawiedziony. Ktoś pragnął zemsty.

Szukałem artykułów Harrisona i Rosenblatta. Żaden z nich nie opublikował ani słowa.

Nie byłem bardzo zaskoczony. Większość praktykujących lekarzy nie bierze się za pisanie.

Ale nadal wydawało mi się dziwne, że nie potrafiłem zlokalizować żadnego z nich.

Jeszcze jeden terapeuta do sprawdzenia: pracownik socjalny, Mitchell Lerner.

Ostatni raz zapisano go na liście członków organizacji narodowych pracowników socjalnych sześć lat temu. Zanotowałem adres jego biura na Laurel Canyon i numer telefonu. Dyplom zdobył w Berkeley. Praktykę odbywał w San Francisco General Hospital. Później, dwa lata pracował w Szkole Poprawczej. Specjalizował się w terapii rodzinnej i zbiorowej.

Nie mając wielkiej nadziei, sięgnąłem po stare – sprzed sześciu i siedmiu lat – egzemplarze biuletynu pracy socjalnej.

Nie znalazłem żadnych wzmianek na jego temat, ale moją uwagę przykuła umieszczona tuż pod nekrologami z grudnia, notatka zatytułowana „Odroczenia”. Informowała, że trzynastu pracowników socjalnych zostało usuniętych z powodu pogwałcenia zasad etyki. Pomiędzy nazwiskami figurował „Lerner, Mitchell A.”

Nie podano żadnych szczegółów na temat grzechów, jakie popełniła ta grupa ludzi. Stanowy Dział Inspektoratu Zachowań Naukowych był nieczynny w weekend, więc zanotowałem datę powyższego wydarzenia z dopiskiem, by zadzwonić w tej sprawie w poniedziałek rano.

Stwierdziwszy, że nie dowiem się z książek niczego więcej, opuściłem bibliotekę. Wróciłem do domu na Benedict. Robin pracowała, a pies wyglądał na znudzonego. Podreptał za mną do kuchni i ślinił się, kiedy przyrządzałem sobie kanapkę. Zrobiłem trochę papierkowej roboty i podzieliłem się lunchem z buldogiem. Później wyszedłem z nim do seville.

– Dokąd? – zapytała Robin.

– Do domu. Chcę się upewnić, że wszystko w porządku z transportem ryb.

Posłała mi pełne wątpliwości spojrzenie, ale nie powiedziała nic.

– Będzie w okolicy mnóstwo ludzi – zapewniłem.

Skinęła głową i spojrzała w stronę auta. Pies obdrapywał przedni zderzak, co przyprawiło ją o uśmiech.

– Ktoś jest w nastroju do podróżowania. Może zabierzesz go ze sobą?

– Jasne, ale on nie należy do miłośników stawu – cierpi na fobię wodną.

– Może spróbujesz z nim jakiejś terapii?

– W zasadzie dlaczego nie? To byłby początek zupełnie nowej kariery.

Czteroosobowa ekipa przyjechała wcześniej. Kiedy przyjechałem, staw był do połowy pusty.

Ryby zostały umieszczone w błękitnych pojemnikach, które złożono na furgonie. Pracownicy zrobili również porządek z roślinkami i żwirem.

Porozmawiałem chwilę z szefem załogi. Chudym, mlecznoskórym chłopakiem o blond lokach i ufarbowanej na biało brodzie. Pies zachowywał dystans. Ruszył za mną, kiedy poszedłem na taras zabrać dwudniową porcję poczty.

Wśród mnóstwa rutynowych przesyłek wyjątkiem była podłużna biała koperta.

Tani papier, jaki widziałem już wcześniej.

SHERMAN BUCKLEAR, OBROŃCA PRAWNY.

Niżej przeczytałem adres zwrotny z Simi Valley.

Wewnątrz znalazłem list informujący, że petent Donald Dell Wallace ma wszelkie powody uważać, iż jestem w posiadaniu wiadomości na temat obecnego miejsca pobytu jego potomstwa: Chondry Nicolette Wallace i Tiffani Starr Wallace. W tej sytuacji jestem zobowiązany do niezwłocznego przekazania tej informacji adwokatowi petenta, by prawa wyżej wymienionego nie zostały ograniczone.

Reszta składała się z gróźb ujętych w legalne oświadczenia. Włożyłem list z powrotem do koperty i schowałem do kieszeni. Pies drapał we frontowe drzwi.

– Już cię bierze nostalgia?

Gdy otworzyłem drzwi, pobiegł do kuchni, prosto pod drzwi lodówki.

Zorientowałem się, że w całym tym zamieszaniu zapomniałem usunąć z niej łatwo psujące się artykuły.



Dokonałem szybkiej inspekcji półek. Dostrzegłem zsiadłe mleko, zapleśniały ser i jakiś owoc, który zaczynał już brązowieć. Pakując jeszcze nie zepsutą żywność do torby pomyślałem o ludziach spod autostrady.

W plastikowym opakowaniu leżało jakieś mięsko. Pachniało znośnie, a pies wyglądał, jakby ujrzał mesjasza.

– Dobra, dobra – włożyłem zawartość tacki do miski i umieściłem przed mordą buldoga.

Zapakowałem nadające się do jedzenia owoce i warzywa i zaniósłem torbę do samochodu.

Ekipa kończyła już pracę. Karpie załadowane do furgonu wydawały się w dobrym nastroju.

Szef załogi oznajmił:

– Okay. Pompa działa i basen wyschnie za jakąś godzinę. Jak pan chce, to możemy poczekać, ale płaci nam pan od godziny, więc może pan sam zostać i zakręcić zawór.

– Nie ma problemu – odparłem i rzuciłem okiem na ciężarówkę. Dbajcie o nie.

– Jasne, kiedy będzie je pan chciał z powrotem?

– Jeszcze nie wiem.

– Takie długie wakacje, hej?

– Coś takiego.

– Fajnie.

Wręczył mi rachunek i zasiadł za kierownicę traka. Kilka sekund później odjechali.

Usiadłem na brzegu stawu, który teraz był błotnistą dziurą. Czekałem i obserwowałem spadek poziomu wody. Upał i cisza sprawiły, że straciłem poczucie czasu. Ocknąłem się dopiero, gdy ktoś zawołał:

– Hej!

Odwróciłem się gwałtownym ruchem.

Jakiś mężczyzna stał w bramie i trzymał żelazny pręt.

Miał około trzydziestu lat, gruby, ciemny zarost i masywną budowę ciała.

Nosił poplamione dzinsy, okute kowbojskie buty i czarną koszulę pod skórzaną kamizelką.

Dostrzegłem złoty kolczyk w jego uchu i stalowe łańcuchy wokół szyi.

Miał szerokie, wytatuowane ramiona i zwisający, wielki brzuch. Mierzył jakieś metr dziewięćdziesiąt i ważył ze dwieście kilo.

W Sunny's Sun Valley przy zakładzie murarskim Rodrigueza nosił na głowie czarną baseballową czapkę z napisem KOT.

To był ten muskularny facet, który siedział przy barze i niewiele mówił.

Zbliżył się. Opuścił rękę z prętem. Trzymał ją teraz na wysokości uda. Zrobił jeszcze parę kroków naprzód. Spojrzał mi w twarz. Na jego fizjonomii widniał leniwy uśmiech rozpoznania.

– Renowacja ściany, co?

– Czego chcesz?

– Dzieciaków Donalda, człowieku – powiedział ochrypłym głosem. Brzmiał, jakby przed chwilą wyszedł z knajpy.

– Nie ma ich tutaj.

– A gdzie, człowieku?

– Nie wiem.

Uniósł lekko żelazo.

– Skąd miałbym wiedzieć? – dodałem.

– Szukałeś małego, czekoladowego brata, człowieku. Może go znalazłeś.

– Nie znalazłem.

– Może jednak tak.

Zrobił kilka następnych kroków. Znajdował się zaledwie parę metrów ode mnie.

Zauważyłem, że brak mu wielu zębów. Nad lewym okiem wyrzynał się ropny pryszcz. Tatuże

były kiepsko zrobione. Przedstawiały grupę zielono-niebieskich kobiecych torsów; krwawe ostrza noży i gotyckie litery.

– Dostałem właśnie list od prawnika...

– Pierdol to, facet.

Zbliżył się na niebezpieczną odległość. Śmierdział jak wymagający opróżnienia zsyp.

Cofnąłem się, ale nie miałem wiele miejsca do manewru. Za moimi plecami rósł żywopłot, a przy nim drzewko, którego gałęzi użyto do zabicia ryby.

– Wcale nie pomagasz teraz Dellowi – powiedziałem – to mu nie wyjdzie na dobre.

– A kogo to, kurwa, obchodzi, człowieku? Jesteś zdjęty ze sprawy.

Szybkim ruchem opuścił żelazo i uderzył w glinianą nawierzchnię. Popatrzył na jezioro i ponownie skierował wzrok na mnie. Rozejrzałem się po okolicy za jakąś bronią. Dostrzegłem pozostawione przez ekipę polietylenowe torby, gumowy wąż i kilka brudnych, pokrytych pianą filtrów oczyszczania wody. Może wykorzystać sieć...?

– Od kiedy? – zapytałem.

– Co?

– Od kiedy jestem zdjęty ze sprawy?

– Od kiedy tak powiedzieliśmy, człowieku.

– My? Żelazny Zakon?

– Gdzie są dzieciaki, człowieku?

– Powiedziałem ci, że nie wiem.

Pokręcił głową.

– Nie pogarszaj sprawy, człowieku. To tylko robota, do kurwy nędzy.

– Lubisz ryby?

– Hę?

– Ryby. Zwierzątka z płetwami.

– Hej, czło...

– Lubisz przebijać je na wylot gałązkami drzew?

– Co?

– Byłeś już tutaj, prawda? Polowałeś na karpia, ty chory pojebańcu.

Zdezorientowanie pojawiło się na jego twarzy. Potem ustąpiło miejsca złości. Uniósł żelazo i wyprowadził cios, mierząc w mój brzuch. Odskokczyłem w tył.

– Hej! – zawołał rozwścieczony.

Spróbował ponownie. Spudłował.

– A ty, ty malutki... – Śmiał się.

Usuwałem się przed kolejnymi ciosami, balansując na skalistym brzegu stawu. Kamienie pokryte były śliskimi glonami. Musiałem energicznie pracować ramionami, żeby utrzymać równowagę. To rozbawiło go jeszcze bardziej. Krzyczał i powoli, niezdarnie podążał za mną.

Spodobała mu się ta gra; jakby specjalnie w tym celu przyszedł.

Cmokał z zadowoleniem.

Skoncentrowałem uwagę na pręcie. Przygotowywałem się do wykorzystania w walce jego własnej wagi. Jeżeli go nie zaskoczę i chybię, to mogę skończyć z pogruchotaną ręką.

– Bum, bum, bum, kici-kici...

– No chodź tu, ty idioto – zachęciłem bandziora.

Spoważniał i jego twarz nadeła się od wzburzenia. Trzymając żelazo oburącz, wykonał nagły zamach na okolice moich kolan.

Umknąłem przed uderzeniem, ale straciłem równowagę. Ześlizgnąłem się na kamieniste podłoże stawu, amortyzując upadek dłonią.

Obręcz wylądowała z brzękiem na skale. Natychmiast uniósł ją wysoko nad głowę.

Następnie za jego plecami rozległy się dźwięki.

Wściekłe ujadanie.

Gniewne parsknięcia.

Zaczął odwracać się w ich kierunku, trzymając pręt na wysokości piersi. Zobaczył pędzący w jego stronę, mały, czarny pocisk, z zębami wyszczerzonymi w pełnym furii grymasie.

W tym momencie zerwałem się na nogi i ruszyłem do ataku. Nie zdołałem łajdaka przewrócić, ale zacisnąłem dłonie na obu końcach żelaza i z całą siłą opuściłem pręt na jego żebra. Coś trzasnęło.

– Ooochch... – odezwał się dziwnie nienaturalnym głosem. Wykrzywił usta z bólu.

Teraz do dzieła zabrał się pies. Wbił zęby w drelichową nogę i miotał łbem z boku na bok.

Warczał i pluł śliną.

Mężczyzna przywarł do mnie plecami. Gwałtownie poderwałem pręt i umiejscowiłem go pod jego brodą. Ciągnąłem do siebie, aż do chwili, kiedy zaczął wydawać charczące odgłosy.

Wreszcie opuścił luźno ramiona i poczułem na sobie ciężar jego ciała. Walcząc o utrzymanie równowagi, pozwoliłem mu osunąć się na ziemię. Miałem nadzieję, że nie rozgniotłem mu grdyki, ale nawet gdyby, to nie przejąłbym się zbytnio tym faktem.

Pies nadal borykał się z dzinsem.

Mężczyzna leżał w glinie. Sprawdziłem mu puls. Tętnił miarowo, a opryszek już zaczynał się ruszać i mamrotać.

Rozejrzałem się za czymś do związania intruza. Zauważyłem polietylenowe torby.

Rozkazałem psu zostać i pobiegłem po nie. Złączyłem kilka sztuk, tworząc dwie grube plastikowe liny. Jednej użyłem do związania bandziorowi rąk za plecami, a drugiej do skrępowania mu nóg.

Pies cofnął się i obserwował moje poczynania.

– Świetnie się spisałeś – pochwaliłem buldoga – ale nie zjesz tej sztuki. Później zaserwuję ci polędwicę. Ma więcej wartościowych składników.

Mężczyzna otworzył oczy. Usiłował coś powiedzieć, ale zdobył się jedynie na ochryply kaszel. Część jego szyi była dziwnie wykręcona, a ciemnoniebieski siniak zaczynał nabierać intensywnych barw.

Intruz zamrugał oczami. Odwrócił głowę na bok i wykrzywił usta z bólu.

– Spokojnie, Spike, zostaw. Żadnej krwi – rozkazałem psu.

Buldog spojrzał na mnie swoimi łagodnymi ślepiami. Miałem nadzieję, że to go nie zdradzi.

Bandzior kaszłał i chrząkał nie mogąc złapać tchu.

Nozdrza psa rozszerzyły się. Ślina kapała z jego obwisłych warg i wciąż nie przestawał warczeć.

– Dobry chłopak, Spike – pochwaliłem zwierzę – pilnuj go przez sekundę. Jeżeli będzie ci sprawiał problemy, to na zaostrenie apetytu rozerwij mu gardło.

## **Rozdział siedemnasty**

Co za idiota – skomentował Milo, odkładając notatnik. – Nazywa się Hurley Keffler. Był już notowany, ale za jakieś drobiazgi. Znaleźliśmy jego motor zaparkowany w dole ulicy. Twierdzi, że wcale cię nie atakował. Był w pobliżu stawu, kiedy odjechała ekipa pracowników i zdecydował się na pogawędkę.

– Po prostu taka zwykła weekendowa przejażdżka, co?

– Taak.

Staliśmy na tarasie obserwując, jak odjeżdżają policyjne wozy. Wetknąwszy swój płaski łeb między rurki balustrady, pies również bacznie się przyglądał.

– Dostałem list od prawnika Wallace’a – poinformowałem detektywa. Chce wiedzieć, gdzie są dziewczynki. Profilaktycznie przesłał kilka gróźb, na wypadek gdybym nie zechciał mu

powiedzieć. Wygląda na to, że Żelazny Zakon postanowił nie czekać.

– To nie mogła być ich oficjalna misja – skonkludował Milo. – Może Keffler sam zdecydował się na improwizację. Ma prawdopodobnie niską pozycję w gangu. Próbował zrobić wrażenie na bractwie.

– Za co go zapuszczajecie?

– Za naruszenie cudzej własności i wtargnięcie na prywatny teren. Może jeszcze za jazdę po pijaku, zależnie od tego, ile promili alkoholu wykryjemy w jego krwi. Jeżeli Żelazny Zakon zapłaci kaucję, prawdopodobnie za kilka dni będzie wolny. Pogadam z nimi. Powiem, żeby trzymali go pod kluczem. Co za pajac...

Chrząknął i dodał.

– Założę się, że twój mały przyjaciel nie był zbytnio pomocny. Jak sobie poradziłeś? Może użyłeś jakiegoś tajnego ciosu karate?

– W rzeczywistości – powiedziałem, nachylając się i klepiąc psa po muskularnym karku – to on zasługuje na pochwałę. Przeprowadził atak od tyłu, co dało mi okazję do obezwładnienia Kefflera. W dodatku przezwyciężył swoją wodną fobię – pobiegł prosto do stawu.

– Poważnie? – uśmiechnął się Milo – dobra, załatwię mu święcenia.

Również się pochylił i posmerzał zwierzę za uszami.

– Gratuluję święty Buldogusie, jesteś bohaterem K-9.

Kierowca jednego z radiowozów spojrzał na nas. Sturgis machnięciem ręki kazał mu odjechać.

– Dobry chłopak – pochwaliłem psa.

– Nie uważasz, że skoro uratował twoje rzepek, to zasługuje na prawdziwe imię? Nadal upieram się przy Roverze.

– Kiedy próbowałem nastraszyć Kefflera, nazwałem go Spike.

– Bardzo męskie.

– Jedyne problem polega na tym, że on już pewnie ma jakieś imię oznajmiłem. – Prędszej czy później, ktoś się po niego zgłosi. Szkoda. Zaczynam się przywiązywać do tego czworonoga.

– Co? – delikatnie trącił mnie łokciem w żebro – boimy się, żeby ktoś nas nie skrzywdził, więc nie dążymy do zażyłości? Daj mu to cholerne imię, Alex. Podniesiesz jego psie morale.

Roześmiałem się i jeszcze trochę głaskałem zwierzę. Westchnął i położył łeb przy mojej stopie.

– To nie Keffier zabił mojego karpia – powiedziałem. – Kiedy o tym napomknąłem, był absolutnie zdziwiony.

– Możliwe – zgodził się Milo – użycie gałązki to zbyt subtelne jak na Zakon. Oni wyłowiliby wszystkie ryby i rozłukliby o brzeg. Może nawet by je zjedli i zostawili tylko ości.

– A co z naszym maniakiem od „parszywej miłości”? – zapytałem, zmieniając temat. – Masz coś nowego o Lyle’u Gritzcu?

– Jeszcze nie.

– Byłem dzisiaj rano w bibliotece i sprawdziłem słowniki. Nie znalazłem żadnych danych na temat Rosenblatta i Katariny de Bosch. Harrison przeniósł się do Ojai i nie ma telefonu. Wygląda na to, że przeszedł na emeryturę. Lerner – ten pracownik socjalny – został odsunięty z organizacji za pogwałcenie zasad etycznych.

– Jakie pogwałcenie?

– Tego nie było w biuletynie.

– A co to zazwyczaj oznacza? Spanie z pacjentką?

– To najczęstszy przypadek. Ale mogły to również być jakieś finansowe machlojki, zdradzenie poufnych danych albo ujawnienie osobistych problemów pacjenta – na przykład skłonności do alkoholu czy narkotyków.



Oparł ramiona na poręczy balustrady. Radiowozy odjechały. Mój staw był teraz suchą dziurą, a pompa ssąca wciągała powietrze. Zszedłem do ogrodu i zakręciłem zawór. Pies wiernie podążał za mną.

Kiedy wróciłem, Milo przedstawił mi swoje wnioski.

– Jeżeli Lerner był niegrzecznym chłopcem, mógł zrobić coś, co wkurwiło jakiegoś pacjenta.

– Pewnie – zgodziłem się z takim rozumowaniem. – Przejrzałem artykuły de Boscha na temat „parszywej miłości”. Mówią o niewłaściwym wykorzystywaniu rodzicielskiej władzy, co prowadzi do wyobcowania, cynizmu, a w ekstremalnych przypadkach do gwałtownego zachowania. De Bosch użył terminu „pragnienie zemsty”. Ale ja nadal nie mam pojęcia, co takiego mogłem, do cholery, zrobić.

– Może spróbujesz skontaktować się z Harrisonem? Zobaczysz, czy nie wie przypadkiem, co się dzieje. Jeżeli ma zastrzeżony numer, mogę go dla ciebie zdobyć.

– Dobra. Harrison może się również okazać przydatny w innej sprawie. Kiedy terapeuci zostają zawieszani, to zazwyczaj poddaje się ich obserwacji lekarskiej. Harrison specjalizował się między innymi w tej dziedzinie. Czyż nie byłoby interesujące, gdyby okazało się, że leczył Lenera? Jeśli nie, to Lerner prawdopodobnie zwrócił się do terapeuty, którego Harrison zna. Załatw natychmiast ten numer, to zadzwonię.

Poszedł do samochodu i posłużył się linią radiową. Wrócił po dziesięciu minutach i oznajmił.

– Nie ma w ogóle numeru, ale adres nadal figuruje na orzeczeniach podatkowych. Może poświęcisz trochę czasu na małą przejażdżkę? Ojaj to miłe miejsce o tej porze roku; małe sklepiki, dużo zabytków i tak dalej. Weź ze sobą piękną pannę na wycieczkę po wybrzeżu.

Połącz interesy z przyjemnością.

– Mam wyjechać na trochę z miasta?

Milo wzruszył ramionami.

– W porządku. Ojai jest blisko Santa Barbara. Mogę zapuścić się nieco dalej. Szkołę de Boscha zlikwidowano, ale może sąsiedzi coś pamiętają. Może zamknięto instytucję na skutek jakiegoś skandalu i ktoś od tamtej pory nosi w sobie urazę.

– Jasne, powęsz trochę. Jeżeli Robin to znosi, to kimże ja jestem, żeby próbować cię powstrzymać? – klepnął mnie po ramieniu. – Dobra, zmykam.

– Dokąd?

– Popracuję jeszcze nad Paprock i Shiplerem.

– Coś nowego?

– Nie. Planuję na jutro spotkanie z mężem Paprock. Nadal pracuje jako sprzedawca samochodów, a niedziela to dobry dzień w tej branży.

– Pójdę z tobą.

– Myślałem, że jedziesz do Ojai.

– W poniedziałek – odparłem – poniedziałek jest dobrym dniem dla psychologów.

– Tak? A to dlaczego?

– Bo to zwykły dzień dla wszystkich innych. Możemy skoncentrować się na problemach ludzi i zapomnieć o swoich własnych.

Wróciłem do domu i zajrzałem do zamrażarki. Podczas nagłej przeprowadzki zapomnieliśmy także o jej opróżnieniu. W górnej przegródce znalazłem kilka porcji mięsa. Wyciągnąłem jedną z nich i wrzuciłem do mikrofalówki. Oczy buldoga uważnie śledziły każdy mój ruch. Kiedy aromat pieczonego mięsa rozniósł się po kuchni, pies w błagalnej pozycji usadowił się na podłodze.

– Nagrodę zawsze otrzymują ci, którzy zasłużyli – poinformowałem czworonoga.

Pogłaskałem go i zadzwoniłem do mojej operatorki. Dowiedziałem się, że Jean Jeffers zostawiła wiadomość. Dyrektorka kliniki dzwoniła o jedenastej i prosiła, żebym oddzwonił pod numer 818.

– Mówiła, o co chodzi? – zapytałam sekretarkę.

– Nie, doktorze. Prosiła tylko o telefon.

Zadzwoń. W słuchawce odezwał się przyjaźnie brzmiący kobiecy głos nagrany na taśmę.

Zacząłem przekazywać wiadomość, kiedy Jean weszła na linię.

– Cześć, dzięki za telefon.

– Cześć, o co chodzi?

Wydawało mi się, że słyszałem jej oddech.

– Mam trochę... myślę, że najlepiej będzie jeżeli się spotkamy.

– Coś na temat Hewitta?

– Coś na te.. przepraszam, ale wolałabym porozmawiać o tym twarzą w twarz, jeżeli nie masz nic przeciwko.

– Jasne. Gdzie i kiedy chciałabyś się spotkać?

– Jutro mi odpowiada.

– Mnie również.

– Świetnie – stwierdziła – gdzie mieszkasz?

– Zachodnie L.A.

– Jestem w Studio City, ale chętnie odbędę niedzielną przejażdżkę na wzgórze.

– Mogę zejść do doliny.

– Nie, w zasadzie to lubię spędzać czas poza domem, jeżeli nie jest to związane z pracą. Nie mam nigdy okazji, żeby nacieszyć się miastem. Gdzie w zachodnim L.A.?

– Niedaleko Beverly Hills.

– Okay... może spotkamy się w „Amanda”; to mała knajpka na Beverly Drive.

– O której?

– Powiedzmy, o trzynastej?

– W porządku.

Zaśmiała się nerwowo.

– Wiem, że to musi wydawać się dziwne, ale może... och, porozmawiamy o tym jutro.

Podałę psu kilka kawałków steku. Resztę zawinałem w plastik i schowałem do kieszeni.

Następnie pojechaliliśmy do sklepu zoologicznego, gdzie pozwoliłem mu powęszyć wokół toreb z jedzeniem. Nie mógł oderwać się od jakiejś karmy, która podobno była naukowymi metodami preparowana z organicznych składników. Ceną dwukrotnie przewyższała wszystkie pozostałe.

– Zarobiłeś na to – stwierdziłem i zakupiłem pięć kilo, a także kilka innych psich przekąsek.

W drodze powrotnej uszczęśliwiony pomrukiwał nad precelem o bekonowym smaku.

– *Bon appetit*, Spike. Prawdopodobnie oryginalnie nazywasz się jak coś w stylu Pierre de Cordon Blue.

Wróciwszy do Benedict Canyon, zastałem Robin w salonie. Powiedziałem jej o

wydarzeniach minionego popołudnia. Słuchała ze spokojem i rezygnacją, jakbym był dzieckiem ze skłonnościami przestępczymi, bez żadnych szans na rehabilitację.

– Okazałeś się wiernym przyjacielem – powiedziała do buldoga. Pies wskoczył na kanapę i położył głowę na jej kolanach.

– Co zamierzają z nim zrobić – z tym Kefflerem?

– Posiedzi chwilę w więzieniu.

– Jak długo potrwa ta chwila?

– Prawdopodobnie niedługo. Jego gang zapłaci kaucję.

– I co potem?

– Potem wyjdzie, ale nie zna tego adresu. Chcesz się przejechać do Ojai?

– Interesy czy przyjemność?

– Jedno i drugie.

Powiedziałem jej o Lernerze i Harrisonie i o tym, że chcę porozmawiać z sąsiadami Szkoły Poprawczej.

– Chciałabym, Alex, ale naprawdę nie powinnam. Mam tu za dużo roboty.

– Jesteś pewna?

– Tak, kochanie. Przepraszam – dotknęła mojej twarzy. – Nazbierało się tego sporo. Chociaż sprężam się maksymalnie, to czuję się tu inaczej. Pracuję wolniej i muszę znowu wskoczyć w rytm.

– Wciągnąłem cię w to, prawda?

– Nie – odparła, uśmiechając się i czochrając moje włosy – to ciebie wciągnęli.

Uśmiech poszerzył się i – przekształcił w śmiech.

– Co cię tak śmieszy? – zapytałem.

– Sposób, w jaki mężczyźni rozumują. Jakby wspólne przeżywanie jakiegoś stresu było wciąganiem w sprawę. Martwię się o ciebie, ale cieszę, że jestem tutaj z tobą, że jestem częścią tej sprawy. „Wciąganie mnie” to coś zupełnie odmiennego.

– Na przykład?

– Nieliczenie się ze mną, lekceważenie moich opinii, traktowanie z pogardliwą łaskawością.

Wszystko, co powodowałoby, że zaczęłabym sama kwestionować swoją wartość. Jeżeli będziesz w ten sposób traktował kobietę, to może i z tobą zostanie, ale nigdy nie pomyśli tego samego o tobie.

– Och.

– Och – powtórzyła, śmiejąc się i ściskając mnie – dość wyczerpujące, nie? Jesteś zły, że nie chcę jechać do Ojai?

– Nie. Tylko rozczarowany.

– Jedź sam. Obiecujesz, że będziesz ostrożny?

– Obiecuję.

– Dobrze – stwierdziła. – To bardzo ważne.

## **Rozdział osiemnasty**

Zjedliśmy kolację w indyjskiej restauracji niedaleko południowej granicy Beverly Hills z L.A. Popiliśmy posiłek goździkową herbatą i wróciliśmy do domu w dobrych nastrojach. Robin przygotowała kąpiel, a ja zadzwoniłem do Milo. Poinformowałem go o telefonie od Jean.

– Ma mi coś do powiedzenia, ale nie chciała mówić przez telefon. Wyglądała na zdenerwowaną. Sądzę, że dowiedziała się o Hewitcie czegoś, co ją przeraziło. Spotkam się z nią jutro o pierwszej i zapytam o Gritza. Kiedy planujesz wizytę u Ralpha Paprocka?

– Dokładnie o tej samej porze.

– Nie możesz wcześniej?

– Salon będzie zamknięty. Złapiemy go, jak tylko wejdzie.

– Przyjadę po ciebie.

W niedzielny rano udałem się do West Hollywood. Milo i Rick mieszkali w znakomicie utrzymanym hiszpańskim domku. Stał przy końcu jednej z tych krótkich, mrocznych uliczek, skrytych w cieniu błękitno-zielonych masywnych bloków. Centrum Projektacji Cedars – Sinai znajdowało się w niewielkiej odległości stąd. Czasami Rick przemierzał drogę do pracy uprawiając jogging. Dziś prawdopodobnie użył swojego białego porsche; bo nie dostrzegłem go przed domem.

Milo czekał na zewnątrz. Mały trawnik przed posesją był obrośnięty kwiatami, które wypuszczały pomarańczowe pąki.

Zauważył, że przyglądam się roślinom, i kiedy wsiadał do samochodu, oznajmił.

– Odporne na suszę. Ten „środowiskowy projektant”, o którym ci mówiłem, zmieniłby cały świat w kaktus, gdyby tylko mógł.

Jechałem do Valley przez Laurel Canyon. Mijaliśmy szcudłowate domy i ultranowoczesne budynki. Kiedyś w tej okolicy mieszkał gubernator stanu. Od tamtych czasów magia tego miejsca nie uległa zatarciu.

Skręciłem w lewo przy Ventura i przejechałem trzy kilometry do Valley Vista Cadillac.

Teren otoczony był dwudziestometrowymi kamiennymi płytami. Salon samochodowy ozdabiały szerokie drzwi wjazdowe. Nad drutami wysokiego napięcia powiewały sztandary. Światła były wyłączone, ale poranne słońce wdzierało się do środka i oświetlało opływowe kształty najnowszych modeli wozów.

Elegancki, czarny mężczyzna w nieźle skrojonym garniturze stał tuż obok szarej seville.

Zobaczył, jak wysiedliśmy z mojego rzęcha. Chociaż godziny pracy jeszcze się nie rozpoczęły, podszedł i otworzył drzwi salonu. Na jego twarzy widniał uśmiech bardziej kwiecisty niż rabatki przed domem Milo. Miał perfekcyjnie przycięte wąsy i koszulę białą jak śnieżna lawina.

Za salą reprezentacyjną znajdował się rząd pomieszczeń, z którego dobiegł mnie odgłos telefonicznej rozmowy. Samochody były bez najmniejszej skazy i wprost kipiały dodatkowym wyposażeniem. Całe miejsce pachniało skórą i gumą. Moje auto też kiedyś miało taki zapach, chociaż kupiłem je z drugiej ręki. Ktoś mówił mi, że tę woń wprowadzano celowo, używając chemikalii w aerozolu.

– Pana auto to prawdziwy zabytek – stwierdził mężczyzna, wyglądając przez okno.

– Dobrze mi służy – odpowiedziałem.

– Ja bym go nie sprzedawał, tylko schował w garażu. Pewnego dnia doceni pan jego wartość.

Jak pieniędzy w banku. W międzyczasie może pan jeździć czymś nowym. Mamy spory wybór w tym roku, nie uważa pan?

– Istotnie.

– Zawarliśmy kilka zagranicznych kontraktów. Ludzie wyjeżdżają na próbną jazdę i widzą

różnicę. Jest pan prawnikiem?

– Psychologiem.

Uśmiechnął się niepewnie i wręczył mi wizytówkę.

John Allbright

Kierownik Sprzedaży

– Tegoroczne modele mają również wyjątkowo dobre zawieszania oznajmił. – Z całym szacunkiem do pana antyku, myślę, że odkryłby pan w jednym z nich zupełnie nowy świat. Mają też wspaniałe sprzęt nagłośnieniowy, jeśli chciałby pan...

– Szukamy Ralpa Paprocka – przerwał mu Milo.

Allbright spojrzał na policjanta zupełnie zbity z tropu. Przyłożył dłoń do ust i wywołał na twarzy uśmiech.

– Ralpa – powtórzył – jasne, Ralph jest tam.

Wskazał pomieszczenia biurowe i szybko oddalił się. Stał przy szklanym narożniku i zaczął się gapić na podjazd.

Pierwsze dwa pomieszczenia były puste. W trzecim za biurkiem siedział Ralph Paprock.

Miał około pięćdziesiątki i rzadkie szare włosy. Był szczupły i wysoki. Nosił, podobnie jak Allbright, dwurzędowy oliwkowozielony garnitur i kremową koszulę. Jego krawat był zatłoczony rysunkami palm i papug.

Pochylał się nad jakimiś dokumentami. Koniuszek języka wysuwał się z jego wąskich ust.

Pióro z dużą prędkością poruszało się po arkuszu papieru. Paznokcie lśniły.

Kiedy Milo odchrząknął, Paprock wciągnął język i uśmiechnął się przejmująco. Mimo uśmiechu, jego twarz była zmęczona, a mięśnie luźne i zwiotczałe. Miał oczy małe i bursztynowe.

– W czym mogę pomóc, panowie?



– Jestem detektyw Sturgis z policji Los Angeles – przedstawił się Milo i wręczył mu wizytówkę.

Spojrzenie Paprocka zdawało się pytać: *A czego tym razem ode mnie chcecie?* Poczulem się parszywie. Nie mieliśmy mu nic do zaoferowania, a chcieliśmy dostać jak najwięcej.

Odłożył pióro.

Kątem oka dostrzegłem na jego biurku oprawioną w ramki fotografię. Było to zdjęcie dwójki jasnowłosych dzieci. Młodsze z nich – dziewczynka uśmiechało się, a chłopak wydawał się bliski płaczu. Za nimi stała kobieta około siedemdziesiątki, w przeciwsłonecznych okularach, z kręconymi białymi włosami. Była podobna do Ralpha, ale miała ostrzejsze kontury szczęki.

– Przepraszamy za kłopot, panie Paprock, ale właśnie trafiliśmy na kolejne morderstwo, które może mieć związek ze śmiercią pana żony. Chcielibyśmy raz jeszcze poprosić o odpowiedź na kilka pytań.

– Kolejne? – zdziwił się Ralph – nie widziałem nic w wiadomościach.

– To przestępstwo popełniono trzy lata temu...

– Trzy lata temu? Trzy lata i właśnie na nie trafiliście? Złapaliście go wreszcie?

– Nie, sir.

– Jezus – ręce Paprocka opadły na blat biurka. Na czole pojawiły się kropelki. Otarł je wierzchem jednej dłoni. – Właśnie tego mi było trzeba na rozpoczęcie tygodnia.

Przed biurkiem stały dwa krzesła. Popatrzył na nie, ale nic nie powiedział.

Przekroczyliśmy próg biura. Milo zamknął drzwi. Paprock wskazał ręką krzesła i usiedliśmy.

Dyplom wiszący za biurkiem informował, że trzy lata temu Ralph otrzymał nagrodę za najlepszego sprzedawcę roku.

– Kto jest tą następną ofiarą?

– Mężczyzna o imieniu Rodney Shipler.

– Mężczyzna?

– Tak, sir.

– Nie rozumiem.

– Nie poznaje pan nazwiska?

– Nie. Ale jeśli by nawet tak, to skąd przypuszczenie, że te morderstwa mają ze sobą związek.

– Na miejscu zbrodni wypisano na ścianie słowa „parszywa miłość”.

– „Parszywa miłość” – powtórzył Paprock. – Śniło mi się to po nocach. Wymyślałem dla tego zwrotu różne znaczenia, ale nadal...

Zamknął oczy, otworzył je i wyjął z szuflady biurka małą buteleczkę aspiryny. Połknął kilka tabletek. Następnie umieścił lekarstwo w wewnętrznej kieszeni marynarki, tuż za kolorową chusteczką do nosa.

– Jakie znaczenia? – zainteresował się Milo.

Paprock spojrział na detektywa.

– Jakieś wariactwa – próbowałem odgadnąć co to, do cholery, znaczy. Nie pamiętam. A co to ma do rzeczy?

Zaczął żywo gestykulować rękoma, starając się znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia swoich myśli.

– Czy były jakieś... jakieś oznaki, czy ten Shipler... chodzi mi o to, czy ma to jakiś związek z seksem?

– Nie, sir.

– Oni powiedzieli mi, że właśnie o to chodziło. Ci pierwsi gliniarze. Że to był jakiś psychopata używający seksu w niewłaściwy sposób; pewien rodzaj seksualnego świra. Perwers chełpiący się tym co robił – parszywą miłością.

Niczego takiego nie było w aktach Myry Paprock.

Milo skinął głową.

– Mężczyzna – powtórzył znowu Ralph. – Więc mówicie mi, że ci pierwsi gliniarze byli w błędzie? Poszli niewłaściwym tropem?

– W zasadzie to na razie wiemy bardzo niewiele, sir. Tylko tyle, że ktoś napisał „parszywa miłość” przy zwłokach Shiplera.

– Shipler – Paprock spojrzał z ukosa – odgrzebujecie całą sprawę z jego powodu?

– Zbieramy jeszcze raz wszystkie fakty, panie Paprock.

Ralph zamknął oczy. Po chwili otworzył je i wziął głęboki oddech.

– Myra została rozerwana na strzępy. Musiałem ją zidentyfikować. Może dla was takie rzeczy to małe piwo, ale... – Pokręcił głową.

– To nigdy nie jest małe piwo, sir.

Paprock posłał mu pełne zwątpienia spojrzenie.

– Jak już to zrobiłem, zidentyfikowałem ją, wiele czasu upłynęło, zanim znowu pamiętałem ją taką, jaka naprawdę była... Nawet teraz... Ci pierwsi gliniarze powiedzieli, że ktokolwiek to zrobił, dokonał tego po śmierci Myry – błysk niepokoju pojawił się w jego oczach – mówili prawdę, prawda?

– Tak, sir.

Dłonie Paprocka spoczęły na krawędzi biurka.

– Proszę mi powiedzieć prawdę, detektywie. Nie chcę myśleć, że cierpiała, ale jeżeli. . Nie, nieważne, proszę nie mówić, nie chcę tego wiedzieć.

– Nie cierpiała, sir. Jedyna nowa rzecz, to morderstwo Shiplera.

– Później – kontynuował Paprock – po tej identyfikacji, musiałem iść i powiedzieć dzieciakom. Starszemu, mniejsze było jeszcze niemowlęciem. W zasadzie, to starsze też jeszcze

sikało w pieluchy. Ale pytał o nią. Musiałem coś mu powiedzieć.

Minęło cholernie dużo czasu, zanim poukładałem w myśli wszystko, co mi się wydarzyło.

Kiedy poszedłem powiedzieć mojemu chłopcu, myślałem tylko o tym, co widziałem w kostnicy, wyobrażałem sobie ją.. a on pyta o mamę. Mama, mama – miał wtedy dwa i pół roku.

Powiedziałem, że mama zachorowała i zasnęła na zawsze. Kiedy jego siostra wystarczająco podrosła, dałem jemu zadanie poinformowania jej. To cudowne dzieciaki. Moja matka pomaga mi je wychowywać. Ma prawie osiemdziesiątkę i nie sprawiają jej żadnych kłopotów. Kto chciałby to zmieniać? Kto chce widzieć nazwisko Myry w gazetach i ponownie wywlekać całą sprawę? Był taki okres, kiedy desperacko pragnąłem dowiedzieć się, kto to zrobił. Ale to już minęło. Zresztą jaka różnica? Ona nie wróci, zgadza się?

Skinąłem głową. Milo ani drgnął.

Paprock dotknął skroni i szeroko otworzył oczy.

– To wszystko? – zapytał.

– Jeszcze tylko kilka pytań na temat przeszłości pańskiej żony odparł Milo.

– Jej przeszłości?

– Zawodowej przeszłości, panie Paprock. Czy robiła coś innego, zanim została agentką sprzedaży nieruchomości?

– Dlaczego?

– Po prostu zbieram fakty, sir.

– Pracowała w banku, okay? Czym zajmował się ten Shipler?

– Był portierem. W jakim banku pracowała?

– Federalnym w Encino. Była inspektorem kasy pożyczkowej. W ten sposób poznaliśmy się.

Nasza firma brała pożyczki z tego banku. Kiedyś poszedłem tam i zobaczyłem ją siedzącą w okienku kasy.

Milo wyjął notatnik i zapisał informację.

– Pewnie zostałaby wicedyrektorem – stwierdził Paprock. – Była bystra, ale chciała pracować dla siebie. Miała dosyć urzędniczenia, więc nocami uczyła się, żeby zdobyć licencję agenta i odeszła z banku. Radziła sobie bardzo dobrze, zawarła mnóstwo kontraktów...

Odwrócił wzrok i spojrzał na fotografię wiszącą na ścianie. Przedstawiała dwoje znakomicie wyglądających ludzi w tenisowych strojach. Wsiadali do turkusowego coupe de ville ze skrzącymi jak diamenty felgami.

– Dość urzędniczenia – powtórzył Milo. – Zajmowała się czymś jeszcze, zanim podjęła pracę w banku?

– Taak – powiedział Paprock, nadal odwrócony w stronę ściany – uczyła w szkole, ale to jeszcze, zanim ją poznałem.

– Tutaj, w L.A.?

– Nie. W Golecte, niedaleko Santa Barbara.

– Goleta – zapisał Milo. – Pamięta pan nazwę szkoły?

Paprock spojrzał ponownie na nas.

– To była jakaś państwowa szkoła – dlaczego? Jaki związek ma z tym jej praca?

– Może żaden, sir, ale proszę, by jeszcze przez moment znosił pan moją obecność. Czy kiedykolwiek uczyła w L.A.?

– Nic o tym nie wiem. Zanim przeniosła się tutaj, miała już dosyć uczenia.

– Dlaczego?

– Ogólnie; dzieciaki nie chciały się uczyć, marnie płacili, co tu lubić?

– Państwowa szkoła – powiedziałem.

– Taak.

– Jakich przedmiotów uczyła? – zapytał Milo.

– Wydaje mi się, że wszystkich. Uczyła piątą klasę. A może czwartą, nie wiem. W szkole podstawowej ten sam nauczyciel uczy wszystkiego, prawda? Nigdy aż tak szczegółowo nie rozmawialiśmy na ten temat.

– Czy uczyła gdzieś przed Goletą? – dopytywał się Milo.

– O ile wiem, to nie. Sądzę, że pracowała tam zaraz po skończeniu szkoły.

– Kiedy to było?

– Hmm, miała wtedy dwadzieścia dwa lata. Tego maja miałyby czterdzieści – więc jakieś osiemnaście lat temu. Uczyła chyba przez cztery, pięć lat, a potem zajęła się bankowością.

Znowu popatrzył na fotografię i otarł czoło.

Milo zamknął notatnik. Na ten odgłos Ralph podskoczył na krześle. Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Milo. Sturgis uśmiechnął się tak delikatnie, jak nigdy przedtem w swoim życiu.

– Dziękuję za poświęcony czas, panie Paprock. Czy jest jeszcze coś, co chciałby nam pan powiedzieć?

– Pewnie – odrzekł Paprock. – Chcę wam powiedzieć, żebyście znaleźli tego plugawego popieprzeńca i zamknęli nas razem w jednym pokoju. Potarł oczy, zacisnął pięści, rozluźnił je i uśmiechnął się gorzko. – Miałby niewielkie szanse.

Wstaliśmy z krzeseł. Sekundę później Paprock również wstał. Był średniego wzrostu i raczej drobnej budowy.

Poklepał się po piersi. Wyjął z kieszeni butelkę aspiryny i zaczął przekładać ją z ręki do ręki.

Obszedł biurko dookoła, otworzył drzwi i przytrzymał je dla nas. Na głównej sali nie zauważyłem nikogo. Paprock przeszedł z nami przez salę wystawową. Po drodze potarł dłonią błotnik złotego eldorado.

– Jeśli tu już jesteście, to może chcecie kupić samochód? – zapytał.

Potem się zatrzymał.

Milo wyciągnął rękę.

Potrząsnął nią, a później pożegnał się ze mną.

Jeszcze raz podziękowaliśmy mu za stracony czas.

– Słuchajcie – powiedział – to co mówiłem wcześniej, że nie chcę wiedzieć, to gówna prawda. Ciągle o niej myślę. Ożeniłem się ponownie, ale trwało to zaledwie trzy miesiące. Dzieci nienawidziły tej suki. Myra była... wyjątkowa. Pewnego dnia dzieciaki będą musiały się dowiedzieć. Poradzę sobie. Umiem sobie dawać z tym radę. Jeżeli coś znajdziecie, powiadomcie mnie, okay? Jeżeli znajdziecie cokolwiek, dajcie mi znać.

Ruszyłem w stronę Coldwater Canyon i pojechałem z powrotem do miasta.

– Państwowa szkoła niedaleko Santa Barbara – powiedziałem – marnie płacili, więc może dorabiała w jakiejś lokalnej, prywatnej instytucji.

– Sensowne przypuszczenie – skomentował Milo. Opuścił szybę od strony pasażera. Zapalił jedno ze swoich paskudnych cygar i wypuścił chmurę dymu. Przy Ventura Boulevard prowadzono prace remontowe i drewniane koziółki blokowały ulicę. Duży ruch zawsze sprawiał, że Milo siarczyście klął. Tym razem siedział cicho. Zaciągnął się cygarem i myślał.

– Shipler był szkolnym woźnym – zauważyłem – może pracował też w szkole de Boscha. To mogłoby oznaczać związek. Obydwoje należeli do personelu, a nie do grupy pacjentów.

– Dwadzieścia lat temu. . Zastanawiam się, jak długo przechowywane są akta tej szkoły.

Sprawdzę, czy Shipler przeprowadził się z Santa Barbara.

– Jest coraz więcej powodów, dla których miałbym tam pojechać stwierdziłem.

– Kiedy więc jedziesz?

– Jutro. Robin zostaje, ma za dużo pracy. Zresztą przekopywanie się przez archiwum szkoły i szukanie Wilberta Harrisona w Ojai nie będzie chyba najatrakcyjniejszą wycieczką.

– Ci pozostali faceci – terapeuci z sympozjum – też pracowali w tej szkole, zgadza się?

– Harrison i Lerner tak. Rosenblatt nie – praktykował z de Boschem w Anglii. Nie jestem pewien co do Stoumena, ale był rówieśnikiem de Boscha. Poza tym Katarina prosiła go o przemówienie, więc prawdopodobnie był między nimi jakiś związek.

– Tak czy inaczej, wszystko kręci się wokół de Boscha... Każdy, kto miał z nim związek, wydaje się celem dla tego świra... „Parszywa miłość”; niszczenie zaufania dziecka, hm...?

– Tak brzmi definicja.

Dotarłem do Coldwater i zacząłem brnąć pod górę. Milo zgasił cygaro i powiedział:

– Paprock miał rację co do swojej żony. Widziałeś zdjęcia – była rozerwana na strzępy.

– Biedny facet – stwierdziłem.

– To co mu powiedziałem, że została zgwałcona po śmierci to prawda. Ale cierpiała, Alex.

Sześćdziesiąt cztery rany kłute, z których większość otrzymała, zanim umarła. Taki rodzaj zemsty, za jakiś tam uraz?

Komuś musiało się nieźle popierdzielić we łbie.

## **Rozdział dziewiętnasty**

Przyjechałem do Beverly Hills pięć minut przed pierwszą. Nie mogąc znaleźć miejsca do zaparkowania, musiałem użyć strzeżonego parkingu, dwie przecznice od „Amandy”. Długo czekałem przy krawężniku, podczas gdy zamyślony fagas decydował się, czy wywiesić tabliczkę BRAK MIEJSCA, czy też nie.

Ostatecznie wpuścił mnie na parking. Do restauracji przybyłem z pięciominutowym spóźnieniem. Był tłok i pachniało parmezanem. Kelnerki wywoływały nazwy dań i dreptały po popękanej, marmurowej podłodze do zgłaszających się klientów. Stoliki i fragmenty ścian były również marmurowe. Restauracja miała przyjemny i chłodny wygląd krypty. Ale powietrze było gorące od zniecierpliwienia. Musiałem łokciami torować sobie drogę przez tłum klienteli.

Rozejrzałem się i zauważyłem przy jednym ze stolików Jean Jeffers. Siedziała przy



południowej ścianie restauracji. Pomachała ręką. Towarzyszący jej mężczyzna spojrział na mnie, ale nie wykonał żadnego gestu.

Rozpoznałem w nim masywnego faceta ze zdjęcia w biurze Jean. Na fotografii obydwójce nosili szorty i hawajskie koszule. Dziś ona miała na sobie żółty golf i białą sukienkę, a jej towarzysz – podobny sweter i białą koszulę.

Również pomachałem i podszedłem do ich stolika. Przed nimi stały na wpół puste kubki z kawą i talerze z kawałkami chleba posmarowanego oliwkowym masłem. Mężczyzna miał twarz osoby zajmującej wysokie stanowisko.

Jean uniosła się nieznacznie, kiedy siadałem. On – nie, chociaż wyraz twarzy miał zdecydowanie przyjazny.

– To mój mąż, Dick Jeffers. Dick, to jest doktor Alex Delaware.

– Jeffers.

– Delaware.

Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń.

– Dick.

– Alex.

– No i dobrze – skomentowała Jean.

Na obu żółtych swetrach widniały logo rakiet tenisowych.

– Cóż – rzekła Jean – spory tłok. Mam nadzieję, że jedzenie jest dobre.

– To Beverly Hills – zauważył jej mąż – cudowne życie.

Uśmiechnęła się do niego i spojrzała na swoje kolana. Leżała tam duża, biała torebka, którą kurczowo przytrzymała dłonią.

– Chyba będę szedł, Jeanie – oznajmił Dick – miło było pana poznać, doktorze.

– Mnie również.

Wymienili całusy, a później Jeffers wstał. Wydawało się, że stracił na sekundę równowagę.

Odzyskał ją, opierając dłoń na blacie stołu. Odsunął krzesło nogą i mrugnął do mnie. Następnie odszedł, wyraźnie utykając.

– Ma świeżą protezę i jeszcze do niej nie przywykł – wyjaśniła Jeffers. Zabrzmiało to jak frazes, który powtarzała wiele razy.

– To może być trudne. Wiele lat temu pracowałem z dziećmi pozbawionymi kończyn.

– Doprawdy? Dick stracił nogę w wypadku samochodowym – oznajmiła, a w jej oczach zauważyłem ból.

– Ostatnio? – zapytałem.

– Och, nie. Kilka lat temu. Zanim jeszcze ktokolwiek docenił przydatność pasów bezpieczeństwa. Jechał kabrioletem i podczas zderzenia wyleciał z auta. Inny samochód przejechał mu nogę.

– Straszne.

– Dzięki Bogu nie zginął. Poznałam go, kiedy przebywał na oddziale rehabilitacyjnym.

Pracowałam wtedy w Rancho Los Amigos, a on spędził tam kilka miesięcy. Zawsze świetnie sobie radził z protezą, aż do chwili, kiedy parę miesięcy temu zaczęła mu doskwierać.

Przyzwyczai się do nowej. To dobry facet, bardzo stanowczy.

Uśmiechnąłem się.

– No więc? – zapytała.

– Czuję się świetnie i jestem bardzo zaintrygowany.

– Z powodu?

– Twojego telefonu.

– Och – kosmyk włosów opadł jej na oko – cóż, nie chciałam, żeby zabrzmiało to przesadnie dramatycznie, ale... – Rozejrzała się dookoła. Może najpierw coś zamówimy, a później

przedyskutujemy ten temat.

Przejrzeliśmy menu. Szef kuchni najwyraźniej lubował się w zaprawianiu wszelkich potraw octem.

Kiedy powiedziała: „No, ja już wiem, co chcę”, machnąłem ręką na kelnera. Podeszedł do nas Azjata, mniej więcej dziewiętnastoletni, z warkoczem do pasa i dziesięcioma drobnymi kolczykami w lewym uchu.

Nie dało się na niego patrzeć, więc spoglądałem na stół, kiedy Jean zamawiała wybrane danie. Poprosiłem o „linguine marinara” i mrożoną herbatę. Po chwili kelner ze zrujnowanym uchem wrócił z napojem i dolewką kawy dla Jean.

Kiedy odszedł, zapytała:

– Więc mieszkasz niedaleko stąd?

– Istotnie.

– Rozważaliśmy z Dickiem możliwość przeprowadzki za wzgórze, ale ceny nagle zaczęły niemiłosiernie iść w górę.

– Faktycznie, ostatnio trochę podskoczyły.

– Wcale się nie użalam, Dick jest inżynierem lotnictwa i dobrze zarabia, ale nie można nigdy być pewnym, czy rząd nie odrzuci nagle projektu. Mieszkanie, które mamy w Studio Place, jest naprawdę bardzo miłutkie spojrzała na zegarek. – Prawdopodobnie krąży teraz po Rudnicks.

Lubi tam kupować swetry.

– Nie je lunchu?

– To o czym chcę porozmawiać, jest poufne. Dick to rozumie. To dlaczego go ze sobą przyprowadziłam, tak? Szczerze mówiąc dlatego, że nadal cała się trzęsę. Wciąż nie mogę przywyknąć do samotności.

– Wcale cię nie winię.

– Nie uważasz, że powinnam się już z tym dawno oswoić?

– Ja bym się pewnie nie oswoił.

– To miłe, co mówisz.

– To prawda.

Ponownie uśmiech rozjaśnił jej twarz. Na sekundę dotknęła mojej dłoni. Potem znów chwyciła kubek z kawą.

– Sypiam trochę lepiej – wyznała – ale nie można tego nazwać naprawdę spokojnym snem.

Początkowo czuwałam całymi nocami. Mdliło mnie i latałam po mieszkaniu z tętniącym sercem.

Teraz zasypiam bez problemu, ale czasami budzę się w środku nocy, cała złana potem. Czasem wzdrygam się na samą myśl o wyjściu do pracy i zakopuję głęboko pod kołdrą. Dick pracuje w Westliester, niedaleko lotniska. Zazwyczaj podwozi mnie do pracy, a potem odbiera. Wydaje mi się, że jestem od niego poważnie uzależniona.

Posłała mi delikatny uśmiech.

– A na razie wmawiam personelowi i pacjentom, że zupełnie nie ma się czym martwić.

Azjata z zacwiekowanym uchem przyniósł jedzenie.

– Wygląda apetycznie – stwierdziła. Zanurzyła widelec w misie z sałatką, ale nie jadła. Jedną ręką wciąż przytrzymywała białą torebkę.

Spróbowałam trochę linguiny. Przypomniałam sobie szkolne lunchy. Jean nabiła kawałek sałaty na widelec i wsunęła do ust. Rozejrzała się wokół i otworzyła torebkę.

– Musisz obiecać mi, że to zostanie utrzymane w całkowitej tajemnicy. Przynajmniej to, od kogo to dostałeś, okay?

– Czy to ma związek z Hewittem?

– W pewien sposób tak. W zasadzie nie jest to nic, co mogłoby pomóc detektywowi

Sturgisowi. To znaczy ja tak uważam. Nie powinnam ci tego nawet pokazywać, ale ludzie są

zastraszeni, a ja wiem, co to znaczy być napastowanym. Ale jeśli to okaże się jakimś tropem, to proszę, trzymajcie mnie od tego z daleka, dobrze?

– W porządku – obiecałem.

– Dziękuję ci – wciągnęła powietrze.

Zatopiła dłoń w torebce i wyciągnęła standardowych rozmiarów kopertę – białą, czystą i nie opisaną.

Na tle białego papieru jej paznokcie wydawały się intensywniej czerwone.

– Pamiętasz, jak pobieżne były notatki Becky na temat Hewitta? – zapytała. – Jak mówiłam, że była dobrą terapeutką, ale nie radziła sobie z papierkową robotą? Nie dawało mi to spokoju. Bardziej niż okazywałam. Może po prostu nie chciałam mieszać się w tę sprawę. Ale kiedy wyszedłeś, wciąż o tym myślałam. Postanowiłam sprawdzić, czy nie znajdę notatek, które z jakiegoś powodu nie zostały włączone do akt. Zapytałam moją sekretarkę, Mary. Powiedziała, że wszystkie kartoteki pacjentów, z którymi pracowała Becky, zostały rozdzielone pomiędzy innych pracowników. Dowiedziałam się również, że część jej osobistych akt mogła trafić do archiwum. Poświęciłam kilka godzin w piątkowe popołudnie na szperanie w papierkach. Na jednej z półek znalazłam wetknięte w róg pudełko z inicjałami Becky „R.B.” Kto wie, jak tam trafiło. Wewnątrz znalazłam rupiecie zebrane z jej biurka – długopisy, spinacze i inne drobiazgi. Na dnie leżało to. Jej ręce trzęsły się, kiedy podawała mi kopertę.

Wyciągnąłem zawartość – trzy arkusze diagnostycznego papieru z rubrykami wypełnionymi pismem maszynowym.

Pierwszy zapis był sprzed sześciu miesięcy.

*Widziałam dziś DH. Dalej słyszy głos, ale lekr wydaje się pomag. Dalej zmaga się z str zstr-życia. Przyszedł z G. obydwaj zestr.*

*BB,SWA*

*Trzy tygodnie później:*

*D dużo lepiej. Uczć, też. Tylko lekr, czy ja? Cha, cha. Może jakaś nadzieja?*

*BB,SWA*

*Potem:*

*D okazuje uczuć coraz więcej. Też dużo rozm. Bardzo dobrze! Taak, terap! Sukces! Ale zachować limit.*

*BB,SWA*

*D wymt-ucz wł, totalnie czysty! Ale nadal spóźniony. Rozmowy dzieciw, etc. Odróżnia f-k, ale właść. G czekający. Trochę wr nast? Zazdrosny? Cdn*

*BB*

*D inn. osób. Otwarty, rozm. uczć. Dalej spóźniony. Więcej f-k. Właść? Ustalić lim?*

*Porozmawiać z JJ? Wart postępu? Tak!*

*BB*

*D spóźniony – ale mniej – 15 min. Trochę zden. Sł gł? Zaprzecza, mówi str, alkh – pił z G.*

*Rozm G., spokr D i G. Trochę zden, obraż, ale nadal otw. Więcej f-k, ale ok, ulżyło zden. O.K.*

*BB*

*D wygi. szcz. Brdz werb, żadnego gnw, żadn słyz gł. G nie. Konfl pom G i D? F-k, próbował pocałować, żadnego gnw, kiedy mówię nie. Dobrze! Właść socj ukier! Hurra!*

*BB*

*Ostatnia notka była zapisana trzy tygodnie przed śmiercią Becky.*

*D wcześniej – poz. zmiana! Taak! G czeka w holu. Zdec. wrogś. Stos pom D i G nap? Z pow.*

*mnie? D wyw str na G? Więcej f-k. Poćk, ale szybki. Dużo uczć. Rozm o tym. Granice, lim, etc. D trochę zawiedziony, ale znosi to, właść.*

*BB*

– „F-k” – powiedziałem, odkładając papiery.

– Fizyczny kontakt – odparła żalnym głosem. – Czytałam to tysiąc razy i to jedyne wyjaśnienie mające sens.

Przeczytałem notatki jeszcze raz.

– Myślę, że masz rację – stwierdziłem. – Hewitt przywiązywał się do niej coraz bardziej.

Także fizycznie.

Jean przebiegł dreszcz.

– Popatrz na ostatni zapis. Pozwoliła mu się pocałować. Musiała zupełnie stracić kontrolę nad sytuacją. Nie miałam o tym pojęcia – nigdy mi nie powiedziała.

– Najwyraźniej myślała o rozmowie z tobą – „porozmawiać z JJ?”

– Ale tego nie zrobiła. Spójrz, co napisała zaraz potem.

Przeczytałem na głos:

– „Warte postępu? Tak!” Chyba przekonała się, że mu pomaga.

– Przekonała się, że wiedziała, co robi – pokręciła głową i popatrzyła na blat stołu. – Mój Boże.

– Euforia prokursora – skomentowałem.

– Była taka słodka, taka naiwna. Powinnam mieć ją na oku. Może wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

Odsunęła wazę z sałatką. Jej włosy opadły na arkusz papieru. Zakryła twarz dłońmi i słyszałem, jak ciężko wzdycha.

– Hewitt był psychicznie chory – powiedziałem. – Któż może wiedzieć, co spowodowało, że eksplodował.

Jean podniosła wzrok.

– Pozwolenie mu na pocałunek na pewno nie pomogło! Pisze o zachowaniu limitu, a on ze

swoją paranoją odebrał to pewnie jako odmowę!

Uniosła głos. Mężczyzna, siedzący przy stoliku obok, spojrział znad filiżanki cappuccino. Jean uśmiechnęła się do niego. Wzięła do ręki serwetkę i wytarła usta.

Przejrzałem notatki raz jeszcze. *Taak, terapia! Hurra!*

Jeffers wyciągnęła rękę.

– Potrzebuję to z powrotem.

Oddałem jej papiery, które schowała do koperty.

– Co chcesz z nimi zrobić? – zapytałem.

– Zniszczyć. Możesz sobie wyobrazić, co media by zrobiły? Obwiniając Becky, obracając całą sprawę na niekorzyść dziewczyny? Proszę, Alex, zachowaj te informacje dla siebie. Nie chcę drugi raz oglądać Rebecki jako ofiary. Mówiąc szczerze nie chcę też, żeby obwiniono mnie za brak nadzoru nad działaniem personelu.

– Pokazanie mi tego wymagało odwagi – rzekłem.

– Odwagi? – wybuchnęła miękkim śmiechem – może raczej głupoty. Ale z jakiejś przyczyny zaufałam ci. Sama nie wiem, dlaczego ci to pokazałam, chyba, żeby zrzucić ciężar z piersi.

Włożyła kopertę do torebki i znów pokręciła głową.

– Jak ona mogła do tego dopuścić? Pisała, że próbował ją dotykać i całować. Ja wyczytałam pomiędzy wierszami, że to ona zaczynała żywić do Hewitta jakieś uczucie. I całe to f-kowanie, jakby to była miła niewinna gierka. Zgodzisz się ze mną?

– Istotnie. Bez wątplenia czuła do niego pociąg – przyznałem. – Ale nie wiem czy psychiczny, czy też seksualny.

– Nawet gdyby to było czyste uczucie, to bez sensu. Ten facet cierpiał na chorobę umysłową, nie potrafił nawet dokładnie się umyć. I ta osoba G, o której wciąż wspomina. Nie mam nadal pojęcia, kto to mógł być. Prawdopodobnie dziewczyna Hewitta. Jakaś inna psychotyczka, którą



poznał na ulicy i zabrał ze sobą. Becky wciągnęła się w trójkąt miłosny z chorymi psychicznie.

Na miłość Boga, jak ona mogła? Była naiwna, ale też inteligentna – jak mogła wykazać się tak niemądrą diagnozą?

– Prawdopodobnie uważała, że nie robi nic niewłaściwie, Jean. W innym wypadku, po co sporządzałyby te notatki?

– Ale jeśli myślała, że postępuje słusznie, to dlaczego nie odnotowała tego w kartotece Hewitta?

– Słuszna uwaga – przyznałem.

– To prawdziwy bajzel. Powinnam bardziej dogłądać jej poczynań. Powinnam mieć więcej kontaktu... Po prostu nie rozumiem, jak mogła mu pozwolić tak się do siebie zbliżyć.

– Reakcja przeciwna do oczekiwanej – wyjaśniłem. – To się ciągle zdarza.

– Ale z kimś takim?

– Terapeuci więzienni przywiązują się do skazańców. Kto wie, co powoduje takie zauroczenie?

– Powinnam wiedzieć.

– Nie ma sensu obwiniać się. Niezależnie od tego, jak bardzo kontrolujesz poczynania jakiejś osoby, i tak nie możesz z nią spędzać dwudziestu czterech godzin na dobę. Miała odpowiedzialną praktykę, Jean. Od niej zależało, czy ci powie, czy nie.

– Próbowałam ją kontrolować. Ustalałam spotkania, ale ona większość z nich opuszczała.

Mogłam trzymać ją krótko – powinnam tak zrobić. Gdybym tylko cokolwiek podejrzewała... Ona nigdy nie dała powodu do podejrzeń. Zawsze miała uśmiech na twarzy, jak jedno z tych dzieciaków w Disneylandzie.

– Była szczęśliwa – powiedziałem – myślała, że go leczy.

– Taak. Co za bajzel. . Pokazałam ci to, prawdopodobnie dlatego, że byłeś życzliwy, a ja

nadal trzęsę się na samą myśl o tym, co się wydarzyło. . Pomyślałam, że mogłabym z tobą porozmawiać.

– Możesz.

– Doceniam to – powiedziała zmęczonym głosem – ale bądźmy szczerzy. Co da chęć rozmowy? Becky nie żyje, a ja muszę egzystować z myślą, że mogłam zapobiec jej śmierci.

– Nie widzę tego w ten sposób. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

– Jesteś słodki – spojrzała na moją dłoń, jakby znowu chciała jej dotknąć. Ale nie poruszyła się, tylko przeniosła wzrok na sałatkę.

– Wesoły lunch – stwierdziła ponuro.

– Jean, całkiem możliwe, że te notatki mogłyby pomóc Sturgisowi.

– W jaki sposób?

– „G” może nie oznaczać kobiecego inicjału.

– Wiesz, kto to jest? – Tym razem położyła swoją dłoń na mojej. Poczułem jej lodowate palce.

– Pamiętasz tego prawnika, którego nazwisko mi podałaś – Andrew Coburga? Spotkałem się z nim i powiedział, że Hewitt miał przyjaciela o imieniu Gritz. Lyle Edward Gritz.

Brak reakcji.

– Gritz to nałogowy alkoholik z kryminalną przeszłością – oznajmiłem. – Lyle kręcił się w towarzystwie Hewitta, a teraz nikt nie potrafi go znaleźć. Tydzień czy dwa temu, Gritz poinformował kilku bezdomnych, że w najbliższym czasie spodziewa się zdobyć większą gotówkę. Potem zniknął.

– Gotówkę? W jaki sposób?

– Tego nie powiedział, ale przedtem mówił o zostaniu gwiazdą rocka. O ile wiem, to była tylko pijacka gadka i nie ma związku z Becky. Jeśli jednak w zapiskach chodzi o niego, to

wskazywałoby to na wzrost napięcia pomiędzy Gritzem a Rebecką.

– Gritz – powtórzyła. – Myślałam, że chodzi o kobietę. Twierdzisz, że między Gritzem i Hewittem istniał jakiś homoseksualny związek, w który wdepnęła Becky? Och Boże, to się robi coraz gorsze, prawda?

– Może nie było żadnego związku między Gritzem i Hewittem. Tylko bliska przyjaźń, którą zniszczyła Becky.

– Możliwe... – Raz jeszcze wyciągnęła notatki i przeczytała kilka wersów. – Tak, rozumiem, co masz na myśli. Zwykła przyjaźń... Ale Becky czuła, że Gritz jest wrogo nastawiony do niej.

– Weszła pomiędzy nich dwóch – zauważyłem. – Cały ten proces terapii wystawił na próbę związek Hewitta z Gritzem, niezależnie od tego, co ich łączyło. Jak Rebecka sformułowała ostatni zapis?

– Chwileczkę, znajdę... jest: „Stosunki pomiędzy D i G napięte. Z powodu mnie?” Tak, chyba masz rację. Zaraz potem pisze o następnym f-k podczas sesji, kiedy ją pocałował... Wiesz, czytasz to i czujesz, jakby ona go uwodziła. Boże, co za parodia. Dlaczego interesuje cię ten Gritz? Myślisz, że on naprzykrza się ludziom?

– Możliwe.

– Dlaczego? Jakie przestępstwa popełnił?

– Nie jestem pewien co do szczegółów, ale w groźbach pojawia się zwrot „parszywa miłość”...

– To co Hewitt krzyczał... Czy to w ogóle coś znaczy? O co tu chodzi?

Splotła swoje palce z moimi. Spojrzałem na jej dłonie, a wtedy cofnęła się i przeczeswała włosy. Kosmyk zakrywał jedno oko. W drugim dostrzegłem paniczny strach.

– Nie wiem, Jean – odpowiedziałem – ale przeczytawszy te notatki, zaczynam się zastanawiać, czy Gritz nie odegrał roli w skłonieniu Hewitta do zamordowania Becky.

– Nie odegrał roli? Jak?

– Wykorzystując paranoję Hewitta. Wmawiając mu najróżniejsze rzeczy na temat Rebecki.

Jeśli był bliskim przyjacielem, wiedział, które czułe punkty naciskać.

– Och, Boże. A teraz zniknął... to się jeszcze nie skończyło, prawda?

– Może tak. To wszystko przypuszczenia, Jean. Ale znalezienie Gritza pomogłoby w ich wyjaśnieniu. Jest możliwe, że był pacjentem Centrum?

– To imię nic mi nie mówi.. „parszywa miłość”. . Myślałem, że Hewitt po prostu bredził. A teraz mówisz mi, że może reagował na coś, co zaszło między nim a Becky? Że zabił ją, ponieważ go odrzuciła.

– Możliwe. Odnalazłem zwrot „parszywa miłość” w literaturze psychologicznej. To termin stworzony przez psychoanalityka o imieniu Andreas de Bosch.

Powoli skinęła głową.

– Wydaje mi się, że o nim słyszałam. Co pisał na ten temat?

– Użył tego terminu do określenia niewłaściwego wychowania dzieci zdradzania ich zaufania przez rodziców. Budowania wiary, a potem jej mszczenia. Wedle de Boscha w ekstremalnych przypadkach może to doprowadzić do gwałtownych reakcji. Tę samą teorię możemy zastosować do zakończonych niepowodzeniem stosunków pacjent – terapeuta. Hewitt mógł gdzieś słyszeć o „parszywej miłości”, prawdopodobnie od innego terapeuty albo nawet od Gritza. Kiedy wyobraził sobie, że Becky go odrzuciła, poczuł się zdradzonym dzieckiem i wybuchnął.

– Zdradzonym dzieckiem? – zdziwiła się. – Twierdzisz, że to morderstwo było efektem napadu wściekłości?

– Wściekłości sięgającej zenitu w przypadku Hewitta. Kto wie, może nie zażył też swojego lekarstwa? Może zresztą Gritz przekonał go, by go nie brał?

– Gritz – powtórzyła – możesz to przeliterować?

Przeliterowałem.

- Sprawdź, czy nie był jednym z twoich pacjentów.
- Zrobię to jutro. Rozkopię całe cholerne archiwum, jeśli będę musiała. Jeśli coś znajdę, natychmiast do ciebie zadzwonię. Musimy to wiedzieć dla własnego bezpieczeństwa.
- Jutro będę poza miastem. Zostaw wiadomość u operatorki.
- Nie będzie cię przez cały dzień? – W jej głosie usłyszałem nutkę paniki.

Skinąłem głową.

- Jadę do Santa Barbara.
- Uwielbiam Santa Barbara. Jest cudowne. Robisz sobie małe wakacje?
- De Bosch prowadził tam klinikę i szkołę. Zamierzam spróbować dowiedzieć się, czy Hewitt albo Gritz byli kiedyś jego pacjentami.
- Dam ci znać, jeśli był naszym. Też zadzwonisz, okay? Powiesz, czego się dowiedziałeś.
- Jasne.

Ponownie rzuciła okiem na sałatkę.

- Nie mogę jeść.

Przywołałem kelnera z dziurawym uchem i poprosiłem o rachunek.

- Nie, to ja zaprosiłam ciebie – zaprotestowała Jean i usiłowała mi odebrać świstek. Po krótkiej sprzeczce ustąpiła i zapłaciłem za lunch.

Wepchnęła notatki do torby i spojrzała na zegarek.

- Dick wróci dopiero za pół godziny.
- Poczekam.
- Nie będę cię zatrzymywać. Ale dobrze mi zrobi trochę świeżego powietrza. Chętnie odprowadzę cię do samochodu.

Po wyjściu z restauracji zatrzymała się, żeby zapiąć sweter i przygładzić włosy.

Przeszliśmy do parkingu nie zamieniając ze sobą ani słowa. Spoglądała na sklepowe okna, ale wydawała się niezainteresowana towarami z wystaw. Towarzyszyła mi aż do drzwi seville.

– Dzięki – powiedziałem potrząsając jej dłonią.

Wsunąłem kluczyk do zamka.

– Pamiętasz o zachowaniu tego w tajemnicy – upewniła się.

– Oczywiście.

– I tak detektyw Sturgis nie wykorzysta w żaden sposób tych notatek.

Czego one naprawdę dowodzą?

– Tylko tego, że ludzie są omylni.

– Och tak. Są.

Wsiadłem do samochodu. Wsunęła głowę przez opuszczoną szybę.

– Jesteś w tej sprawie kimś więcej niż konsultantem, prawda?

– Dlaczego tak uważasz?

– Konsultanci nie angażują się tak głęboko.

– Traktuję poważnie moją pracę – odparłem z uśmiechem.

Cofnęła się gwałtownie, jakbym miał zabójczo nieświeży oddech.

– Ja również – powiedziała – i czasem tego żałuję.

## **Rozdział dwudziesty**

W poniedziałek o dziewiątej wyruszyłem do Ojai. Jadąc 405 i 101 dotarłem po godzinie do truskawkowych pól Camarillo. Pracownicy żwawo poruszali się po terenie gęsto pokrytym zielonymi rzędami. Za Ventura County Fairgrounds skręciłem na północ w 33, mijając rafinerię, która przypominała gigantycznych rozmiarów wysypisko śmieci. Kilka mil dalej znów otaczał mnie całkiem miły krajobraz – drzewa eukaliptusowe i czarne góry po północno-wschodniej stronie. Szczyty lśniły w blasku słońca.

Po kolejnych piętnastu minutach podróży dojechałem do miasta Ojai. Po drodze dostrzegłem znaki kierujące podróżnych do Ojai Palm Spa w kierunku Instytutu Teozofli Humanistycznej, Marlomade Hot Springs. Po południowej stronie rozpościerał się czysty, zielony wiejski pejzaż. Miejscowe samochody wyglądały przyzwoicie, ludzie również.

Ojaia była miasteczkiem spokojnym i nieruchawym. Przy głównej ulicy stały niskie budynki w stylu neohiszpańskim i nie strzeżony, prawie pusty parking. Ludzie byli opaleni, mieli dobre sylwetki i uśmiechnięte twarze.

Po lewej stronie alei budynek z pochylonym dachem wypełniały niewielkie lokale różnych branż. Salon sztuki amerykańskiej, sklepik z ciepłą odzieżą, zielarnia. Po przeciwnej stronie znajdował się stary, świeżo odrestaurowany teatr. W repertuarze dzisiejszego wieczoru było „Leningrad Cowboys”. Miałem przewodnik po drogach stanu Ventura, ale nie musiałem z niego korzystać. Signal było parę dzielnic dalej, a na 800 Północną musiałem skręcić w lewo.

Mijałem ogromne drzewa, małe domki i rezydencje z oliwkowymi alejkami. Po lewej stronie biegł wyłożony kostką brukową kanalik ściekowy. Co kilka metrów przebiegały nad nim trzydziestocentymetrowe kładki.

Posiadłość Wilberta Harrisona znajdowała się przy samym końcu ulicy. Nieco dalej rozpościerały się otwarte pola. Drewniany dom ze spadzistym dachem w dziwnym purpurowo-czerwonym kolorze. Stał prawie ukryty za skręconymi łodygami gigantycznej agawy. Jaskrawa purpura prześwitywała między liśćmi jak krwawa rana. Obok drewnianej chaty dostrzegłem stary gliniany podjazd i chevroleta zaparkowanego pod pojedynczym garażem. Cztery kamienne stopnie prowadziły do frontowego ganku. Szklane drzwi były zamknięte, ale drewniane, tuż za nimi, szeroko otwarte.

Zapukałem we framugę i zajrzałem do niewielkiego mrocznego salonu z drewnianą podłogą, zatłoczonego antycznymi meblami. Zauważyłem również kilka rozrzuconych poduszek i pianino.

Na parapecie stały zakurzone butelki.

Z sąsiedniego pokoju dochodziły dźwięki muzyki. Zapukałem głośniej.

– Chwileczkę – padła odpowiedź.

Muzyka ucichła. W drzwiach po prawej stronie pojawił się mężczyzna.

Był niski, przysadzisty i miał siwe włosy. Nosił poliestrowy dres w takim samym kolorze co fasada budynku. Część mebli była również purpurowo-czerwona.

Otworzył frontowe drzwi. Obrzucił mnie ciekawym, ale przyjacielskim spojrzeniem. Na jego twarzy malowała się łagodność, ale nie zauważyłem ani cienia słabości.

– Doktor Harrison?

– Tak, Bert Harrison – odpowiedział czystym barytonem. Zapięty z przodu dres miał obszerne pofałdowane klapy. Krótkie rękawy eksponowały białe piegowate ręce. Twarz lekarza była również piegowata, a w jego siwych włosach zauważyłem kilka rudawych kosmyków. Nosił pierścień z fiołkowym kamieniem i luźno związany fular. Na bosych stopach widniały sandały.

– Nazywam się Alex Delaware. Jestem psychologiem szpitalnym z Los Angeles. Chciałbym porozmawiać z panem o Andreasie de Boschu i „parszywej miłości”

Oczy Harrisona nie zmieniły kształtu ani barwy.

– Pamiętam pana – odrzekł – spotkaliśmy się już gdzieś.

– W siedemdziesiątym dziewiątym – podpowiedziałem – w Zachodnim Centrum Pediatrii odbywała się konferencja na temat pracy de Boscha. Pan wygłaszał przemówienie, a ja byłem wiceprzewodniczącym. Oficjalnie jednak nie poznaliśmy się nigdy.

– Tak – powiedział z uśmiechem – był pan tam reprezentantem kliniki, ale pańska dusza przebywała zupełnie gdzie indziej.

– Pamięta to pan?

– Dokładnie. Taka atmosfera towarzyszyła całej konferencji – ambiwalencja. Był pan bardzo



młody i nosił brodę, prawda?

– Tak – przyznałem zdumiony.

– Zaczątki podeszłego wieku – stwierdził, nadal się uśmiechając – zamierzchłe wydarzenia widzę przejrzysto, ale nie pamiętam, gdzie przed sekundą położyłem klucze.

– Nadal jestem pod wrażeniem, doktorze.

– Dokładnie pamiętam tę brodę. Może dlatego, że sam miałem problemy z wyhodowaniem odpowiedniego zarostu. I ten pański głos. Pełen zdenerwowania, dokładnie taki jak teraz.

Zapraszam do środka. Zajmiemy się tym zestresowaniem. Kawy czy herbaty?

Za salonem znajdowała się mała kuchnia z drzwiami prowadzącymi do sypialni. W sypialni zauważyłem purpurowe ściany i regały z książkami.

Kuchnię o długości dwóch metrów zdobiła brzozowa boazeria. Harrison przyrządził kawę z ekspresu i usiedliśmy przy białym blacie z purpurowymi wstawkami. Na skutek niewielkich gabarytów pomieszczenia omal nie stykaliśmy się łokciami.

– Odpowiem na twoje nie zadane pytanie – oznajmił, wlewając do kawy sporą ilość śmietanki. Później wsypał do kubka trzy łyżeczki cukru. – To jedyny kolor, jaki widzę. Rzadkie genetyczne uwarunkowanie. Wszystko inne jest w moim świecie szare, więc robię, co mogę, by to rozjaśnić.

– Całkiem sensowne – skomentowałem.

– Ale to bez znaczenia. Powiedz, co chciałbyś wiedzieć o Andreasie i „parszywej miłości” – taki był tytuł sympozjum, zgadza się?

– Tak. Nie wydaje się pan zaskoczony moją wizytą.

– Och, jestem zaskoczony. Ale lubię niespodzianki. Wszystko, co różni się od zwykłego dnia, odświeża nasze życie.

– To może być nieprzyjemna niespodzianka, doktorze Harrison. Może być pan w

niebezpieczeństwie.

Jego wyraz twarzy nie uległ zmianie.

– To znaczy?

Opowiedziałem mu o kasecie z „parszywą miłością”, moich teoriach i prawdopodobnym związku Hewitta z Gritzem.

– I uważasz, że jeden z tych mężczyzn mógł być kiedyś pacjentem Andreeasa?

– To możliwe. Hewitt miał trzydzieści trzy lata, kiedy umarł, a Gritz jest o rok starszy.

Każdy z nich mógł w dzieciństwie leczyć się u de Boscha. Hewitt zabił psychoterapeutkę, może pod wpływem Gritza, a Gritz wciąż gdzieś krąży i można podejrzewać, że również szuka ofiar.

– Za co miałyby brać odwet?

– Za pewnego rodzaju nieudaną terapię; de Boscha lub kogoś z nim związanego. Coś wydarzyło się w szkole.

Harrison nie skomentował, więc kontynuowałem.

– Hewitt był poważnym przypadkiem schizofrenii. Nie znam stanu zdrowia psychicznego Gritza, ale może być podobny. Mogli wzajemnie oddziaływać na siebie patologicznie.

– Symbiotyczna psychoza?

– Albo na przykład podobne rodzaje snutyh fantazji. – Zamrugnął oczami.

– Kasety, telefony... nie, niczego takiego nie doświadczyłem. A ta chichocząca osoba przedstawiła się jako Silk?

Skinąłem głową.

– Hmm. I myślisz, że jaką rolę może tu odgrywać ta konferencja?

– Mogła pobudzić czyjąś pamięć. Naprawdę nie wiem, ale to moje jedyne powiązanie z de Boschem. Czuję się zobligowany powiedzieć o tym panu, ponieważ jeden z mówców, doktor Stoumen, został zabity w ubiegłym roku, a ja nie jestem w stanie zloka...

– Grant? – zapytał. Przysunął się tak blisko, że poczułem zapach mięty w jego oddechu. –

Słyszałem, że zginął w wypadku samochodowym.

– Kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Zdarzyło się to, kiedy przebywał na sympozjum.

Wszedł na jezdnię i przejechał go samochód. To nigdy nie zostało wyjaśnione, doktorze Harrison. Policja uznała to za wypadek, sugerując się podeszłym wiekiem Stoumena, jego kiepskim wzrokiem i słuchem.

– Sympozjum – powtórzył – biedny Grant, taki miły człowiek.

– Pracował kiedyś w szkole?

– Czasami udzielał konsultacji. Przyjeżdżał latem na tydzień lub dwa. Łączył wakacje z biznesem. Kierowca zbiegł... – Pokręcił głową.

– I jak mówiłem, nie potrafię zlokalizować żadnego z pozostałych mówców ani przewodniczących.

– Zlokalizowałeś mnie.

– Jest pan jedynym, doktorze Harrison.

– Proszę, mów mi Bert. A tak z ciekawości, jak mnie znalazłeś?

– Ze Słownika Specjalistów Medycznych.

– Och, widocznie zapomniałem o wycofaniu tego wpisu. – Wyglądał na zmartwionego.

– Nie chciałem naruszać twojej prywatności, ale...

– Nie, nie. W porządku. Jesteś tutaj dla mojego dobra... i mówiąc prawdę, chętnie przyjmuję gości. Po trzydziestu latach praktyki miło jest porozmawiać z ludźmi, a nie tylko słuchać.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć pozostałych? Katarinę de Bosch, Mitchella Lenera, Harveya Rosenblatta?

– Katarina mieszka nie opodal, na wybrzeżu w Santa Barbara.

– Nadal?

– Nie słyszałem, żeby się przeprowadziła.

– Masz jej adres?

– I numer telefonu. Zaraz mogę tam zadzwonić.

Wyciągnął z szuflady szkarłatny aparat i ustawił go na stole. Kiedy wykręcał numer, zanotowałem go sobie. Potem przyłożył do ucha słuchawkę, a następnie odłożył na widełki.

– Nikt nie odbiera – oznajmił.

– Kiedy ją ostatni raz widziałeś?

– Jakiś rok temu. Przypadkiem. Natknąłem się na nią w księgarni w Santa Barbara.

– W dziale psychologii?

Uśmiechnął się.

– Nie, krążyła po sekcji science fiction. Chcesz jej adres?

– Tak, proszę.

Napisał. Podał mi kartkę. Shoreline Drive.

– Przy samym oceanie – wyjaśnił – w górę od portu.

Przypomniałem sobie slajdy, które pokazywała Katarina. Błękit nieba za wózkiem inwalidzkim. Ocean.

– Mieszkała tam z ojcem? – zapytałem.

– Od czasu, kiedy przyjechali do Kalifornii.

– Była do niego bardzo przywiązana, prawda?

– Otaczała go czią – odpowiedział.

– Wyszła za męża?

Harrison pokręcił głową.

– Kiedy zamknięto szkołę?

– Niebawem po śmierci Andreasa, chyba w osiemdziesiątym pierwszym.

– Katarina nie chciała jej dalej prowadzić?

Położył ręce na blacie, a dłonie splótł przy kubku z kawą. Miał potężne kciuki, a pozostałe palce – krótkie.

– Będziesz musiał ją o to sam spytać.

– Zajmuje się obecnie psychologią?

– Nie słyszałem, żeby praktykowała.

– Wczesna emerytura?

Wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy. Odstawił kubek i dotknął dolnej części chusty.

Najwyraźniej coś go martwiło.

– Spotkałem ją zaledwie dwukrotnie, ale nie uważam jej za hobbystkę, Bert.

Uśmiechnął się i odparł:

– Poznałeś siłę jej osobowości.

– Z powodu Katariny, wbrew mojej woli, znalazłem się na tej konferencji. Załatwiła wszystko za moimi plecami.

– Taka właśnie była – stwierdził – traktowała życie jak praktykę na strzelnicy – ułożyć oko, wycelować i odpalić. Mnie również przekonała do tego przemówienia.

– Nie kwapiłeś się zbytnio?

– Nie, ale wróćmy jeszcze do Granta. Nie wyjaśnione okoliczności wypadku, to nie to samo co morderstwo z premedytacją.

– Może jestem w błędzie, ale nadal nie mogę znaleźć nikogo, kto uczestniczył w tym sympozjum.

Ujął kubek obiema dłońmi.

– Mogę opowiedzieć ci o Mitchu – Mitchellu Lernerze. Nie żyje. Również miał wypadek. W Acapulco, w Meksyku, podczas górskiej wspinaczki. Spadł ze skały.

– Kiedy?

– Dwa lata temu.

Rok przed Stoumenem, rok po Rodneyu Shiplerze. Luki się wypełniają...

– ...Wtedy – kontynuował Bert – nie miałem powodów, by sądzić, że było to coś innego niż tragiczny wypadek. Szczególnie w sytuacji, że był to upadek ze skały.

– Dlaczegoż to?

Poruszył szczękami i położył dłonie na stole. Kilkakrotnie wykrzywił usta. Zauważyłem zdenerwowanie i sztuczną szczękę.

– Mitchell czasami miał problemy z zachowaniem równowagi – odpowiedział.

– Alkohol?

Spojrzał na mnie.

– Wiem o jego skłonnościach – dodałem.

– Przykro mi, ale nie mogę nic więcej powiedzieć.

– Rozumiem, że był twoim pacjentem.

Cisza oznaczała potwierdzenie. Potem rzekł.

– Próbował się pozbierać przed powrotem do pracy. Wycieczka do Meksyku była częścią tego zamiaru. Pojechał tam na konferencję.

Włożył palec do ust i poprawił sztuczną szczękę.

– Cóż – powiedział z uśmiechem – przestałem jeździć na konferencje, więc może jestem bezpieczny.

– Czy mówi ci coś imię Myra Paprock?

Pokręcił głową.

– Kto to?

– Kobieta, która została zamordowana pięć lat temu. Na miejscu zbrodni wypisano szminką

słowa „parszywa miłość”. Policja znalazła też inną ofiarę, przy której napisano to samo. Był to mężczyzna Rodney Shipler. Skatowano go na śmierć trzy lata temu.

– Nie – oznajmił – jego też nie znam. Byli terapeutami?

– Nie.

– Więc co mogliby mieć wspólnego z konferencją?

– Nic, o czym bym wiedział, ale mogą mieć związek z de Boschem. Myra Paprock pracowała jako agentka handlu nieruchomościami, ale wcześniej uczyła w Goleta. Mogła dorabiać w Szkole Poprawczej. Było to jeszcze, zanim wyszła za mąż, więc jej nazwisko brzmiało wtedy inaczej.

– Myra – powtórzył pocierając dłonią usta. – Była tam jakaś Myra, kiedy ja udzielałem konsultacji. Młoda kobieta, świeżo po koledżu... blondynka, ładna... Trochę... – zamknął oczy. – Myra... Myra... jak ona się nazywała – Myra Evans. Tak myślę. Tak, jestem pewien, że właśnie tak. Myra Evans. Mówisz, że ją zamordowano...

– Co jeszcze chciałeś o niej powiedzieć, Bert?

– Słucham?

– Powiedziałeś „ładna blondynka” i coś jeszcze.

– Nie, nic takiego – odparł – pamiętam ją jako osobę trochę bezwzględną. Nic patologicznego, po prostu objaw młodości.

– Była szorstka dla dzieci?

– Grubiańska? Nigdy tego nie zauważyłem. To nie było takie miejsce; siła osobowości Andreeasa wystarczała, żeby utrzymać odpowiedni poziom... porządku.

– A jakie były metody Myry na utrzymanie porządku?

– Całe listy reguł. Była jednym z tych typów, które robią wszystko według rygorystycznie ustalonych, zasad.

- Czy doktor Stoumen również taki był?
- Cechowało go wszystko, tylko nie surowość. Jego problemem był brak dyscypliny.
- A Harvey Rosenblatt?
- W ogóle go nie znam. Nigdy przed konferencją się nie spotkaliśmy.
- Nie widziałeś nigdy, żeby Myra Evans zbyt surowo zwracała się do dzieci?
- Nie... słabo ją pamiętam. To wszystko tylko wrażenia, mogą być nieprawdziwe. – Grant był... ortodoksyjny. Lubił swoje zasady. Ale był wyjątkowo delikatną osobą, trochę nieśmiałą.
- A Lerner?
- Wszystko, ale nie surowość. Jego problemem był brak dyscypliny.
- Nie wątpię w to.

Poruszył szczęką.

- Wszystkie te morderstwa. Myślisz, że...

Pokręcił głową.

- Jak istotna była koncepcja „parszywej miłości” dla filozofii de Boscha?
- Powiedziałbym, że kluczowa. Andreas przywiązywał ogromną wagę do sprawiedliwości.

Uważał ją za główny powód naszej egzystencji. Widział wiele rzeczy, które mogłyby udoskonalić ją.

- Poszukiwanie porządku.

Skinął głową.

- I dobrej miłości.
- Kiedy stałeś się przeciwnikiem jego filozofii?

Wyglądał na dotkniętego.

- Powiedziałeś – ciągnąłem – że Katarina zmusiła cię do tego przemówienia. Dlaczego obiecujący naukowiec miałby być zmuszany?



Wstał i odwrócił się do mnie plecami. Położył dłoń na blacie kredensu. Niski mężczyzna w śmiesznym ubraniu, próbujący dostarczyć kolorów swojemu światu.

– Tak naprawdę to nigdy nie byłem z nim blisko – wyznał. – Kiedy zacząłem studiować antropologię, często kręciłem się w okolicy – zrobiwszy kilka kroków, przetarł ładę ręką.

– To było twoje własne poszukiwanie konsystencji?

Wyprostował się, ale nie odwrócił.

– Rasizm – powiedział – słyszałem, jak Andreas czynił uwagi...

– Na temat kogo?

– Czarnych, Meksykanów.

– Czy w szkole były czarne i meksykańskie dzieci?

– Tak, ale ich nie oczerniał. Chodziło o pracowników. Za szkołą był areał ziemi i Andreas zatrudnił ludzi ze State Street, żeby co pewien czas plewili teren.

– Co słyszałeś, że o nich mówił?

– Zwyczajne głędzenie; że są leniwi, głupi. Genetycznie słabsi. Nazywał czarnych istotami o jeden szczebel wyższymi od małp. I mówił, że Meksykanie nie są wiele lepsi.

– Powiedział ci to w twarz?

Zawahał się.

– Nie. Katarinie – podsłuchałem rozmowę.

– Zgodziła się z nim, prawda?

Odwrócił się.

– Zawsze się z nim zgadzała.

– W jaki sposób ich podsłuchałeś?

– Nie stałem pod drzwiami – wyjaśnił – wszedłem do pokoju w trakcie, gdy rozmawiali, a

Andreas nie przerwał wypowiedzi. To naprawdę mnie martwiło – fakt, że myślał, że się z nim

zgadzam. To nie zdarzyło się tylko raz. Kilkakrotnie słyszałem, jak mówił takie rzeczy. Prawie mi urągał, ale nie reagowałem. Był moim nauczycielem, a ja byłem tchórzem.

Ponownie usiadł na krześle.

– Katarina odpowiadała na te wszystkie uwagi?

– Śmiała się.. ja byłem wstrząśnięty. Z pewnością nie jestem okazem cnoty. Wiele razy udawałem, że słucham pacjenta będąc myślami gdzie indziej. Udawałem, że się przejmuję.

Byłem żonaty pięć razy, nigdy dłużej niż dwadzieścia sześć miesięcy. Kiedy wreszcie zrozumiałem, że powinienem przestać rujnować życie kobietom, postanowiłem egzystować w samotności. Ale zawsze byłem tolerancyjny. Urodziłem się z różnymi anomaliami; poza niezdolnością rozróżniania kolorów...

Odwrócił wzrok, jakby rozważając swoje życiowe wybory. Krótkimi palcami wskazał na usta i oznajmił.

– Jestem zupełnie bezzębny. Wada wrodzona. Moja prawa stopa ma trzy palce, a lewa jest maczugowata. Jestem niezdolny do płodzenia dzieci, a jedna z moich nerek znikła, kiedy miałem trzy lata. Większość dzieciństwa spędziłem przykuty do łóżka na skutek chorób skóry i dziury w komorze serca. Więc chyba nie nadaję się na dyskryminatora. Ale nie zabierałem głosu, po prostu opuściłem szkołę.

Skinąłem głową.

– Czy nietolerancja de Boscha ujawniała się na inne sposoby?

– Nie, i w tym cały szkopał. Na co dzień był niezmiernie liberalny. To samo dotyczyło jego pracy. Zajmował się pacjentami należącymi do narodowych mniejszości i wydawał się traktować ich równie dobrze jak całą resztę. W swoich publikacjach był cudownie tolerancyjny. Czytałeś jego eseje na temat nazistów?

– Nie.

– Cudownie – powtórzył. – Wykorzystał ich pseudoteorie o wyższości rasowej przeciwko nim samym, używając dobrze brzmiącego naukowego języka. To była jedna z rzeczy, które przyciągnęły mnie do niego, kiedy mieszkałem na terenie szkoły. Kombinacja społecznego sumienia i psychoanalizy. Zbyt wielu analityków żyje w świecie dziesięciu metrów kwadratowych; ich biura są wszechświatem. Bogaci ludzie siedzą na kanapie i spędzają wakacje w Wiedniu. Ja chciałem więcej.

– I dlatego studiowałeś antropologię?

– Chciałem dowiedzieć się więcej o innych kulturach. Andreas popierał mnie w tym.

Powiedział, że uczyni mnie to lepszym terapeutą. Był wspaniałym mentorem, Alex. Dlatego tak druzgocące było usłyszeć, jak ze mnie kpi. Gorzko, wiele razy, przełykałem w milczeniu ślinę.

Wreszcie zrezygnowałem i opuściłem miasto.

– Wyjechałeś do Beverly Hills?

– Przez rok prowadziłem badania w Chile, a potem wróciłem do swojego piętnastometrowego świata.

– Powiedziałaś mu, dlaczego odchodzisz?

– Nie. Powiedziałem mu tylko, że jestem nieszczęśliwy. Ale on zrozumiał. – Pokręcił głową.

– Był odważnym mężczyzną, a ja tchórzem.

– Potrzeba ogromnej siły osobowości, żeby zdominować Katarinę.

– Och tak. A on dominował nad nią... Po moim powrocie z Chile zadzwonił do mnie tylko raz. Odbyliśmy chłodną konwersację i na tym się skończyło.

– Ale Katarina i tak chciała, żebyś uczestniczył w sympozjum.

– Chciała, ponieważ stanowiłem część jego przeszłości – lat chwały. Wtedy on był już wegetującym warzywem, a ona usiłowała go wskrzesić. Przywiozła mi jego zdjęcia na wózku inwalidzkim: „Porzuciłeś go już raz, Bert, nie rób tego ponownie”. Uczucie winy jest

doskonałym bodźcem.

Odwrócił wzrok, popracował szczękami.

– Nie widzę żadnego oczywistego powiązania – wyznałem – ale Rodney Shipler, ten zakatowany mężczyzna, był czarny. Pracował jako woźny w L.A. Nikogo ci nie przypomina?

– Nie, to nazwisko nie wydaje mi się znajome.

Spojrzał ponownie na mnie wzrokiem winowajcy.

– O co chodzi, Bert?

– Co?

– Coś cię gryzie – uśmiechnąłem się – widać to po tobie.

Odwzajemnił uśmiech i westchnął.

– Coś mi przyszło do głowy. Ten twój pan Silk. Prawdopodobnie nie jest związany...

– Z Lernerem?

– Nie, nie. To się wydarzyło po konferencji, niedługo potem, chyba kilka dni – zamknął oczy i potarł czoło, jakby wygrzebywał zamierzchłe wspomnienia. – Tak, to było dwa lub trzy dni po zakończeniu sympozjum. Po godzinach pracy otrzymałem w biurze telefon. Wychodziłem już i podniosłem słuchawkę, zanim moja sekretarka zdążyła to zrobić. Odezwał się jakiś mężczyzna, bardzo roztrzęsiony i zdenerwowany. Młody, a przynajmniej tak sądziłem po jego głosie.

Powiedział, że wysłuchawszy mojego przemówienia na konferencji chciałby się umówić na wizytę. Chciał się poddać długoterminowej psychoanalizie. Mówił głosem szorstkim, prawie sarkastycznym.

Zapytałem, jakiego rodzaju problemów doświadczał. Odpowiedział, że wielu; zbyt wielu, aby dyskutować o tym przez telefon. Oznajmił, że moje przemówienie przypomniało mu o nich.

Zapytałem, w jaki sposób, ale nie wyjaśnił. Jego głos był przepełniony stresem, prawie cierpiący.

Zapytał, czy zgodzę mu się pomóc. Odparłem, że naturalnie, zostanę do późna i spotkam się z

nim natychmiast.

– Uznałeś to zachowanie za kryzysowe?

– Przynajmniej graniczące z kryzysem; słyszałem rzeczywiście ból w jego głosie. I . . . –  
uśmiechnął się – nie miałem żadnych planów na wieczór poza kolacją z jedną z moich żon, chyba  
trzecią... Teraz rozumiesz, dlaczego byłem tak kiepskim obiektem matrymonialnym.. Ku  
mojemu zdziwieniu nie zgodził się, pora nie była dla niego właściwa. Ale oświadczył, że  
przyjdzie następnego wieczora. Byłem trochę zbity z tropu, ale znasz pacjentów: opór,  
ambiwalencja...

Skinałem głową.

– Tak więc umówiliśmy się na następne popołudnie, ale nie przyszedł. Numer telefonu, który  
mi podał, był głuchy i nie figurował w żadnej lokalnej książce telefonicznej. Uznałem to za  
dziwne, ale cały nasz zawód jest dziwaczny, prawda? Trochę rozmyślałem nad tą sprawą, a  
potem zapomniałem. Aż do dzisiaj. Jego obecność na konferencji... cały ten gniew. Nie wiem.

– Nazywał się Silk?

– Waham się co do tego, Alex. Nigdy formalnie nie stał się moim pacjentem, ale w pewnym  
sensie nim był. Ponieważ poprosił o pomoc, a ja telefonicznie udzieliłem mu porady, a  
przynajmniej usiłowałem..

– To nie było żadne formalne leczenie, Bert. Nie widzę żadnego etycznego problemu.

– Nie w tym rzecz. Jest tu do rozważenia pewna kwestia moralna.

– Istotnie jest – przyznałem – ale spójrz na to z innej strony. Dwa morderstwa. Trzy, jeżeli  
liczyć Granta Stoumena. Może cztery, jeśli ktoś zepchnął Mitchella Lernerę ze skały. Myra  
Paprock została zmasakrowana i zgwałcona. Zostawiła dwójkę małych dzieci. Niedawno  
rozmawiałem z jej mężem. Nadal jeszcze nie doszedł do siebie.

– Jesteś bardzo dobry w motywacji, młody człowieku.

– Robię co mogę, Bert. Jak to się wszystko ma do kwestii moralnej?

Uśmiechnął się.

– Bez wątpienia jesteś praktykującym terapeutą... Nie, nie nazywał się Silk. Podał inną nazwę materiału. Merynos. Tak, pamiętam dokładnie.

– To imię?

– Nie wyjaśnił. Przedstawił się jako „pan Merynos”. Zabrzmiało to pretensjonalnie u kogoś tak młodego. Okropnie niepewnie.

– Potrafisz określić jego wiek?

– W okolicach dwudziestki. Miał impulsywność młodzika. Ale był zestresowany. Stres powoduje regresję, więc może był nieco starszy.

– Kiedy założono Szkołę Poprawczą?

– W sześćdziesiątym drugim.

– Jeżeli był dwudziestoparolatkiem w siedemdziesiątym dziewiątym, to mógł się zaliczać do grona pacjentów lub personelu. Merino to hiszpańskie imię.

– Mógł być równie dobrze kimś w ogóle nie związanym ze szkołą stwierdził – a co jeżeli był po prostu kimś siedzącym w audytorium podczas sympozjum i zareagował na nie z jakiejś przyczyny?

– Możliwe – odparłem – Dorsey Hewitt w 1979 miał osiemnaście lat. Lyle Gritz rok więcej.

– W porządku; dzięki za tę informację. Nie ujawnię jej; chyba że będzie to kluczowe dla sprawy. Czy pamiętasz jeszcze coś, co mogłoby pomóc?

– Nie, nie wydaje mi się. Dziękuję ci za ostrzeżenie mnie.

Rozejrzał się po swym małym domku rozmarzonym wzrokiem.

– Masz dokąd pójść? – zapytałem.

Skinął głową.

– Zawsze się znajdzie jakieś nowe miejsce i nowe przygody.

Odprowadził mnie do samochodu. Upał trochę się zwiększył i tłuste pszczoły leniwie poruszały się w powietrzu.

– Odjazd do Santa Barbara? – zapytał.

– Tak.

– Przekaż Katarinie moje pozdrowienia. Najszybciej dojedziesz tam 105. Zaraz za miastem jest zjazd na autostradę, a stamtąd to jakieś pół godziny drogi.

– Dzięki.

Potrząsnęliśmy dłońmi.

– Jeszcze jedna rzecz, Bert?

– Tak?

– Chodzi o problemy Lerner'a. Czy w jakiś sposób mogły zrodzić się w szkole?

– Nie wiem. Nie mówił nigdy o pracy w szkole. Był bardzo zamkniętą w sobie osobą.

– Pytałeś go o to?

– Pytałem go o każdy element jego przeszłości. Odmawiał rozmowy na tematy inne niż alkoholizm. W swojej pracy gardził behawioryzmem, ale kiedy doszło do jego terapii, chciał zostać odrestaurowany. Chciał czegoś krótkoterminowego i dyskretnego – hipnozy, czegokolwiek.

– Jesteś analitykiem. Dlaczego przyszedł do ciebie?

– Bezpieczeństwo rodzinnego grona – odparł z uśmiechem – poza tym słyszałem wtedy z pragmatyzmu.

– Jeżeli był tak odporny, to dlaczego chciał zaczynać od terapii?

– To był warunek okresu próbnego. Komitet socjalny tego zażądał. Zachowanie Lerner'a odbijało się na jego pracy: nie dotrzymywał terminów spotkań, nie wypełniał kartotek chorych.

Obawiam się, że postępowiał w ten sam sposób co pacjenci, których leczył. Nie można było na nim polegać.

– Jak długo się z nim spotykałeś?

– Najwyraźniej niewystarczająco długo.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Nie było prawie żadnych wątpliwości. Myra Evans i Myra Paprock to ta sama osoba.

Wydawało się też mało prawdopodobne, by jej morderstwo i pozostałe zabójstwa nie miały związku z de Boschem i szkołą. Silk. Merinos. Konferencja, która przypomniła komuś o przeżywanych problemach...

O jakiegoś rodzaju urazie.

„Parszywa miłość”.

Rozerwana na strzępy. Dziecięca pieśń żałobna.

Poczułem nagle zdenerwowanie z powodu zostawienia Robin samej w domu. Zatrzymałem się w centrum Ojai i skorzystałem z budki telefonicznej. Po dłuższej chwili telefon odebrała operatorka.

Zapytałem, czy Robin informowała, dokąd wychodzi.

– Nie, doktorze, nie mówiła. Chce pan odebrać swoje wiadomości?

– Tak, proszę.

– W zasadzie to jest tylko jedna. Od pana Sturgisa. Zadzwoił i powiedział, że Van Nuys już wkrótce zajmie się pańską taśmą – ma zepsute stereo. Doktorze Delaware?

– Jasne jak słońce – odparłem.

– Cóż, wie pan, jak to jest. Maksymalnie komplikują sprawy i ludzie muszą się głupio czuć.

\* \* \*

Kilka mil za miastem wyjechałem na 150 i skierowałem się na północny zachód. Równolegle



do autostrady układały się meandry jeziora Casitas. Pola wokół porastały głównie drzewa avokado, których owoce lśniły w słońcu. W połowie drogi do Santa Barbara autostrada łączyła się ze 101 szybkiego ruchu.

Rozmyślałem o tym, co Harrison powiedział o rasizmie de Boscha. Zastanawiałem się, co powiem Katarinie, kiedy już ją odnajdę.

Zjechałem z autostrady nie znalazłszy odpowiedzi. Zatankowałem i zadzwoniłem pod numer podany przez Harrisona. Nikt nie odbierał. Zdecydowałem odwlec nieco konfrontację z córką de Boscha. Przejrzałem przewodnik szukając miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się Szkoła Poprawcza. Znalazłem. Stała niedaleko granicy z Montecito, kilka mil przed Shoreline Drive; niewątpliwy omen.

Miejsce okazało się prostą, cieniastą ulicą. Po obu stronach widniały bramy posesji. Eukaliptusy były ogromne, ale wyglądały na wyschnięte, prawie zaśniedziałe. W okolicy dominowały spadziste dachy i mercedesy.

Pod podanym mi adresem znalazłem ładnie wyglądający teren ogrodzony wysokim kamiennym murem. To co zdołałem dostrzec przez ścianę było duże i kremowego koloru. Po przeciwnej stronie ulicy znajdował się brązowy pałacyk. Tabliczka wisząca na budynku informowała: SZKOŁA BANCROFTA. Pod rozłożystym dębem stał zaparkowany czarny lincoln.

Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Miał około sześćdziesiątki – był dostatecznie stary, żeby pamiętać. Podjechałem od strony fotela kierowcy i opuściłem szybę.

Nie miał przyjaznego wyrazu twarzy. Był wysoki i atletycznie zbudowany, ubrany w tweedowe spodnie i luźną, niebieską bluzę. Trzymał starą skórzaną aktówkę z mosiężnymi klamrami. Czulem zapach świeżo oliwionej skóry. Z kieszeni na piersi mężczyzny wystawały główki kilku długopisów. Obejrzał seville wąskimi ciemnymi oczami. Potem zmierzył wzrokiem

moją twarz.

– Przepraszam, czy kiedyś, tam po drugiej stronie, była Szkoła Poprawcza? – zapytałem.

– Zgadza się – odparł i skierował się do odejścia.

– Dawno temu została zamknięta?

– Dość dawno. Dlaczego?

– Mam kilka pytań na temat tej instytucji.

Postawił swoją dyplomatkę i zajrzał do środka samochodu.

– Jest pan... wychowankiem?

– Nie.

Wyglądał na uspokojonego.

– Czy oni często się pojawiają? – spytałem.

– Nie, nieczęsto, ale... wie pan, jakiego rodzaju to była szkoła.

– Dzieci z problemami wychowawczymi.

– Z wielkimi problemami. Nie byliśmy zachwyceni jej istnieniem. Wie pan, byliśmy tu wcześniej. Mój ojciec zajął ten grunt trzydzieści lat wcześniej, nim oni przyszli.

– Doprawdy?

– Byliśmy tu jeszcze, zanim postawiono większość domów. Wtedy to wszystko pokrywały tereny rolnicze.

– Czy uczniowie Szkoły Poprawczej stwarzali problem?

– A dlaczego to pana interesuje?

– Jestem psychologiem – wyjaśniłem podając mu wizytówkę – prowadzę pracę

konsultacyjną dla departamentu policji w Los Angeles. Pewne dowody wskazują na to, że jeden z wychowanków jest zamieszany w coś nieprzyjemnego.

– Coś nieprzyjemnego. Cóż, to chyba nie zaskoczenie, prawda? W jaki rodzaj

nieprzyjemności?

– Przykro mi, ale nie mogę ujawnić szczegółów – pan Bancroft, zgadza się?

– Istotnie – odparł i wręczył mi swoją wizytówkę. – Białą, z tłustym nadrukiem.

Szkoła Bancrofta

Załącznik 1933 przez Col. CH. Bancroft (Em.)

„Budowanie szkolnictwa i charakteru”

Condon H. Bancroft, Jr., B.A., M.A. Dyrektor.

– Pod pojęciem „nieprzyjemne” ma pan na myśli „przestępcze”.

– To możliwe.

Skinął ze zrozumieniem głową.

– Dlaczego zamknięto szkołę?

– Francuz zmarł – i nie został nikt, kto mógłby ją poprowadzić. Edukacja to wielka sztuka.

– Nie miał przypadkiem córki?

– Zaoferowała mi posesję, ale odrzuciłem tę propozycję. Popełniłem błąd. Powinienem zająć się ziemią. Teraz oni przyszli i wybudowali to. – Rzucił wzrokiem na kamienną ścianę.

– Oni?

– Jakaś zagraniczna firma. Oczywiście Azjaci. Proponowała mi całość: teren, budynki, wyposażenie, ale żądała zawrotnej sumy i nie chciała negocjować. Dla nich pieniądze nie stanowią problemu.

– Dalej jest w mieście, prawda?

– W Santa Barbara – odpowiedział. – A wracając do tych nieprzyjemności... To nic, co urządziłoby mojej szkole? Nie chcę rozgłosu i policji węszącej dookoła.

– Czy uczniowie de Boscha kiedykolwiek sprawiali panu kłopoty?

– Nie, ponieważ tego pilnowałem. Teren mojej szkoły był ogrodzony jak Murem Berlińskim.

- Utrzymanie porządku musiało być trudne, biorąc pod uwagę tak bliskie sąsiedztwo.
- Nie, nie było trudne – stwierdził – kiedy się tylko zbliżali, momentalnie odsyłałem ich z powrotem.
- Więc nie miał pan nigdy problemów?
- Problemem był hałas. Zawsze było za dużo hałasu. Jedyna kłopotliwa sytuacja zdarzyła się już po zamknięciu szkoły. Przyszedł jeden z wychowanków i zaczął się naprzykrzać. Jego stan nie świadczył zbyt dobrze o metodach Francuza.
- A w jakim był stanie?
- Włóczęgowskim – odpowiedział Bancroft. – Był nie domyty, nie uczesany i na prochach. Tak przynajmniej wywnioskowałem po jego spojrzeniu.
- Skąd pan wie, że należał do grona uczniów?
- Tak powiedział. Dokładnie tak: „Jestem absolwentem”. Jakby te słowa miały wyrzeć na mnie wrażenie.
- Kiedy to było?
- Dostyc dawno... hmm, rozmawiałem wtedy z Crummerem, a on się kręcił w pobliżu... jakieś dziesięć lat temu.
- Ile lat miał ten włóczęga?
- Ponad dwadzieścia. Wpadł prosto do biura, ignorując moją sekretarkę. Rozmawiałem wtedy z młodym Crummerem i jego rodzicami. Fantastyczna rodzina. Starsi chłopcy odnosili spore sukcesy w Bancroft. Sytuacja, którą on wytworzył, odwiodła ich od zamiaru posłania najmłodszego syna do naszej szkoły.
- Czego chciał?
- Gdzie szkoła!? Co się z nią stało!? Uniósł głos i robił sceny. Biedna pani Crummer... Myślałem, że będę musiał wezwać policję, ale wreszcie przekonałem go, żeby poszedł.

Powiedziałem mu, że Francuz zmarł i szkoła upadła.

– To go usatysfakcjonowało?

– Nie wiem, jak to na niego wpłynęło, ale wyszedł. I miał szczęście. Bancroft potrząsnął pięścią. – Był nienormalny, musiał zażywać narkotyki...

– Może go pan opisać?

– Brudny, rozczochrany; co za różnica. I nie miał samochodu. Odszedł pieszo.

Obserwowałem, jak szedł w stronę autostrady. Boże, dopomóż temu, kto zechciał go podwieźć.

Kiedy odjeżdżałem, obserwował również mnie. Stał z rękami założonymi na piersi. Zdałem sobie sprawę, że nie widziałem ani nie słyszałem żadnych dzieci w jego szkole.

Dwudziestokilkuletni włóczęga.

Usiłujący rozkopać przeszłość.

Ten sam mężczyzna, który dzwonił do Harrisona?

Silk Merinos. Maniak tekstylii.

Hewitt i Gritz. Dwaj włóczędzy, którzy mieli wtedy po dwadzieścia lat.

Myrę Paprock zamordowano pięć lat temu. Dwa lata później – Shiplera. Potem Lenera.

Potem Stoumena. Czy Rosenblatt żył nadal?

Katarina – tak. Kilka mil dalej, przy tej pięknej drodze. Ten fakt sprawiał, że coś nas łączyło.

Byłem gotów z nią porozmawiać.

\* \* \*

Cabrillo Boulevard leżało tuż przy oceanie. Nadbrzeże wyglądało na wyludnione. Jego daleki koniec skrywał się w opadającej w wodę mgle. Kilku cyklistów mknęło po rowerowym trakcie.

Dostrzegłem również paru amatorów joggingu. Minąłem ogromne hotele, z których okien roztaczały się widoki na bezkresne morze. Przejechałem obok małej restauracji, gdzie kiedyś jedliśmy z Robin krewetki i piliśmy piwo. Teraz knajpę wypełniała rozbawiona klientela.

Santa Barbara było uroczym miejscem, ale czasami czułem się tu zagubiony. Zbyt dużo psychicznej przestrzeni, a za mało geografii.

State Street ciągnęła się od schronisk dla bezdomnych, poprzez lokalne bary, do sklepów jubilerskich i zakładów krawieckich. Peryferie Isla Vista i Goleta były zaniedbane jak przedmieścia każdego wielkiego miasta.

Wyobraziłem sobie Andreasa de Boscha przemierzającego State w poszukiwaniu robotników. Jego córkę – słuchającą i śmiejącą się z rasistowskich uwag ojca.

Cabrillo biegło dalej pod górę. Przechodnie zniknęli. Dostrzegłem bezmiar oceanu. Jachty utknęły na wodzie i czekały na ostrzejszy powiew wiatru. Na linii horyzontu zauważyłem płaskodenne łodzie rybackie, nieruchome jak modele artysty. Ulica zakręcała i łączyła się z Shoreline. Zacząłem sprawdzać numery poszczególnych rezydencji.

Większość budynków wzniesiono w latach pięćdziesiątych. Kilka z nich znajdowało się w renowacji. Pamiętam tę okolicę pięknie ukwieconą. Obecnie mnóstwo roślin zniknęło. Te, które zostały, wyglądały na nie pielęgnowane. Susza odcisnęła piętno na tym oblewanym słońcą wodą miasteczku.

Najbardziej ucierpiały trawniki. Większość umarła lub wymierała. Kilka z nich było jaskrawozielone. Przesadnie zielone. Ktoś wykorzystał sporą porcję farby.

Dotarłem do posiadłości Katariny, rezydencji ewidentnie starszej niż pozostałe w sąsiedztwie. Była to mała, błękitna, wiejska chata, wzniesiona w angielskim stylu z dwiema wieżyczkami i płaskim dachem wymagającym naprawy. Lingustrowy płot otaczał teren. To co kiedyś było różanym ogrodem, teraz stanowiło kolekcję wyschniętych badyli.

Staromodna furtka zdobiła wylany asfalt podjazd, ale kiedy podjechałem, zauważyłem, że nie była domknięta. Wsiadłem z auta i wszedłem pchnąwszy bramkę. Stary, popękany asfalt prowadził do wrót garażu, pod którymi stał niewielki japoński samochód.

We wszystkich oknach pozaciągano rolety. Frontowe drzwi zdobiła dębowa boazeria.

Poniżej kołatki w kształcie lwiego łba zauważyłem naklejkę SĄSIEDZIE, OBSERWUJ TEREN.

Tuż obok wisiała kolejna, informująca o zainstalowanym systemie alarmowym.

Użyłem dzwonka. Poczekalem. Zadzwońłem raz jeszcze. Wykorzystałem lwia kołatkę. Nic.

Nie było nikogo w domu. Słyszałem szmer oceanu.

Obszedłem chatę mijając biały samochód i garaż z uchylonymi do połowy drzwiami.

Podwórze było dwukrotnie większe od frontowej parceli. Granice z sąsiadującymi działkami

wyznaczały grube pnie martwych cytrusów i avokado. Grunt obrastały bezkształtne formy

pozbawionych życia krzaków. Nawet chwasty walczyły o przetrwanie.

Panującą suszę przetrzymały tylko gigantyczne sosny rosnące w tyle podwórza; ich korzenie

sięgały dostatecznie głęboko, by uzyskać wystarczającą ilość wody. Przez ich korony

prześwitywał szary lakier oceanu. Posiadłość znajdowała się co najmniej trzysta metrów nad

poziomem morza, ale szum wody był w stanie zagłuszyć wszelkie inne dźwięki.

Obejrzałem tył domu. Zauważyłem zaryglowane drzwi i pozaciągane kotary. Nie opodal

urwiska stał drewniany stół i dwa krzesła. Całość zszarzała ze starości. Połowa blatu zakryta była

obrusem, na którym stały filiżanka, spodek i talerz.

Podszedłem do stołu. Resztki kawy w filiżance, okruchy na talerzu i pomarańczowa plama,

która wyglądała jak skostniała marmolada.

Ocean zawył, a morskie ptaki wrzasnęły w odzewie. Stałem na krawędzi urwiska, w

miejsku gdzie Katarina fotografowała swego ojca.

Suche, gliniaste podłoże. Żadnego płotu ani ogrodzenia. Spojrzałem w dół i doznałem

lekkiego zawrotu głowy. Kiedy minął, popatrzyłem raz jeszcze na skalistą plażę głęboko pode

mną.

Ponownie usłyszałem wrzask mew. Ten głos orzeźwił mnie i przypomniał o misji do

spełnienia.

Kawa i okruszki oznaczały, że Katarina była w mieście. Prawdopodobnie wyszła za sprawunkami.

Mogłem tu czekać, ale sensowniejszą rzeczą wydawało się zadzwonienie do Milo i powiadomienie go o zebranych informacjach.

Zabrałem się do opuszczenia posesji. Przechodząc obok garażu dostrzegłem tył innego samochodu, zaparkowanego przed białym sedanem. Był większy i ciemniejszy – czarny. Zobaczyłem charakterystyczne pionowe reflektory buicka elektry. Tego samego auta, które widziałem przed szpitalem w siedemdziesiątym dziewiątym.

Coś leżało tuż przy tylnej oponie.

Palce. Białe i chude. Ręka z rumianym wypryskiem.

Nie, jakiś inny rodzaj plamy.

Ciemniejszy od wyprysku.

Leżała na cementowej posadzce z twarzą do góry, prawie wsunięta pod podwozie buicka.

Druga ręka spoczywała na głowie. Na dłoni widniały głębokie rany cięte. Z niektórych ran zwisały ścięgna.

Broniła się przed ciosami.

Miała na sobie różową domową spódnicę pod białą aksamitną suknią. Suknia była rozerwana, a spódnica poderwana prawie aż pod podbródek. Jej bosa stopy były szare od gliny.

Okulary, z jedną strzaskaną soczewką, leżały kilka metrów dalej.

Szyja kobiety również została podcięta, ale najwięcej ciosów padło na jej brzuch. Z rozerwanego żołądka wydostawała się mieszanina trzewi – bardzo dziwnie nadęta.

Zawrót głowy powrócił. Odwróciłem się i zbadałem teren. Ponownie spojrzałem na ciało.

Nagle poczułem, że jestem zaskakująco spokojny. Po chwili moją czaszkę wypełnił chaos i



przeraźliwy hałas, jakby cały ocean przeniósł się do garażu.

Czegoś brakowało. Gdzie pozostawiono nieuniknioną przesłankę?

Zmusiłem się do rozejrzenia za czerwonymi literami.

Szukałem dwóch słów... nic. Nie zauważyłem w garażu niczego. Widziałem tylko samochód,

Katarinę i czułem zapach metalowych sprzętów wypełniających półki.

Warsztat podobny do roboczej ławy Robin. Puszki z farbą, narzędzia i słoje ze smarami.

Zwisające z haków młotki, śrubokręty i dłuta. Jeden hak pusty.

Na stole nóż ze lśniącym, czerwonym ostrzem.

Brzozowy trzonek, szerokie ostrze.

Na warsztacie czerwone plamy... ale żadnych słów, tylko ślady krwi.

Kleksy farb. Stare i świeże. Całość wymieszana w tonacji brunatno-krwistej.

Krople i kropelki, ale żadnego napisu.

Coś białego pod rączką narzędzia zbrodni.

Skrawek papieru. Nie biały – prawie biały; beżowy.

Wizytówka.

Śmiałe, brązowe litery informowały :

SZI

9817 Wilshire Boulevard

Apart. 1233

Beverly Hills, Ca 90212

I coś jeszcze.

W górnym, prawym rogu. Drobne.

Ręcznie napisane piórem. Staranna kaligrafia.

Charakter pisma identyczny jak na mojej przesyłce z kasetą. Ktoś z tak ogromną siłą naciskał

stalówkę, że wierzchnia warstwa papieru została zdrapana.

## **Rozdział dwudziesty drugi**

Popędziłem do samochodu i odjechałem w stronę portu. Na nadbrzeżu, przy kubłach na sieci, stała budka telefoniczna. W powietrzu unosił się kłujący w nozdrza fetor.

Znów spróbowałem zadzwonić do Robin. Nie odebrał nikt. Kiedy wykręciłem numer Milo, odebrał jakiś detektyw z wydziału zabójstw West L.A. i oznajmił:

– Nie ma go.

– To nagły wypadek.

– Przykro mi, nie wiem gdzie jest.

– Może w samochodzie – zasugerowałem – mógłby pan spróbować namierzyć go drogą radiową?

– Kto mówi? – zapytał bardziej ostrym głosem.

– Asystent komendanta Murchisona – skłamałem bez zastanowienia.

Sekunda ciszy. Dźwięk, który mógł oznaczać przełknięcie śliny.

– Chwileczkę, sir.

Po półminucie usłyszałem:

– Sturgis.

– To ja, Milo...

Pauza.

– Alex – wyjaśniłem.

– Przedstawiłeś się jako Murchison?

– Katarina nie żyje. Właśnie znalazłem jej ciało – podałem mu szczegóły, opisawszy w burzliwym potoku słów miejsce przestępstwa. Powiedziałem o wizytówce z „parszywą miłością”.

– To samo pismo co na kopercie z kasetą.

– SZI... – powiedział.

– Instytut znajduje się w Beverly Hills. Może z jakiegoś konkretnego powodu zdecydował się wykorzystać go do przesłania informacji.

– SZI... To na pewno nie Instytut Strategii Zbrojeniowej.

– Mógłbyś sprawdzić, co z Robin? Wiem, że miejsce jest bezpieczne, ale zabójca nabiera rozpędu, a pomysł zostawienia jej tam samej... Dzwoniłem dwa razy i nie odbierała.

– Prawdopodobnie wyszła po zakupy, ale zajrzę po drodze.

– Dzięki. Co mam teraz robić? Nie zawiadomiłem nawet miejscowej policji.

– Gdzie jesteś?

– W budce telefonicznej, pięć minut drogi od jej domu.

– Dobra, jadę tam. Trzymaj się z daleka od miejsca zbrodni i czekaj. Zadzwońię do departamentu policji Santa Barbara i powiem im o co chodzi. Która jest godzina? – Trzecia trzydzieści... powinienem być tam najdalej przed szóstą.

Czekałem nie opodal zbrodni, w bezpiecznej odległości od garażu. Gapiłem się na ocean. Wdychałem słone powietrze i próbowałem w myślach zebrać wszystko do kupy.

Najpierw pojawiło się dwóch umundurowanych. Jeden pozostał przy zwłokach, a drugi wysłuchał mojego pobieżnego raportu – podałem nazwisko, rangę, numer identyfikacyjny, czas i miejsce, w którym znalazłem ciało. Policjant słuchał grzecznie i nieco podejrzliwie.

Dwadzieścia minut później przybyła dwójka detektywów. Jednym z nich była kobieta o imieniu Sarah Grayson – wysoka, szczupła i atrakcyjna. Miała brązowe, lekko skośne oczy.

Zabierali się do pracy wolno, ale stanowczo i konkretnie. Jej partnerem był masywnej budowy mężczyzna o nazwisku Steen, z krzaczastym wąsem i prawie łysym czubkiem głowy. Z miejsca udał się do garażu i zostawił mnie na łasce Grayson.

Zawędrowaliśmy w pobliże krawędzi skały. Powiedziałem jej do dyktafonu wszystko, co wiedziałem. Pani detektyw słuchała nie przerywając mojej wypowiedzi. Potem wskazała ręką na wodę i oznajmiła:

– Chyba wynurza się tam foka.

Spojrzałem na punkt, o którym mówiła. Zauważyłem czarny tors przecinający powierzchnię oceanu.

– Albo lew morski – dodała – to te z uszami, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

– Zaczynaj jeszcze raz od początku, doktorze.

Postąpiłem jak kazała. Kiedy skończyłem, zapytała:

– Więc szukał pan doktor de Bosch, żeby ostrzec ją przed tym mściwym świrem?

– Tak. Chciałem się również dowiedzieć, czy nie wie o czymś, co wyjaśniłoby, dlaczego ten świr pragnie zemsty.

– I myśli pan, że ma to związek z tą szkołą?

– Prowadziła ją razem z ojcem. To jedyna rzecz, która wydaje się mieć sens.

– Jak dokładnie brzmiała nazwa szkoły? – zapytała.

– Instytut i Szkoła Poprawcza de Boscha. Zamknięto ją w osiemdziesiątym pierwszym.

– I myślał pan, że wiedziała, co się wydarzyło, dlatego że była córką właściciela?

Skinąłem głową i spojrzałem na tył domu.

– Wewnątrz powinny znajdować się akta. Kartoteki terapii, coś o incydencie, który pozostawił głęboki uraz w psychice jednego z uczniów.

– Jakiego rodzaju uczniowie uczęszczali do tej szkoły?

– Z zaburzeniami psychicznymi. Pan Bancroft, właściciel szkoły znajdującej się po drugiej stronie ulicy, określił ich jako antyspołecznych wagarowiczów, szkodników i włóczęgów.

Uśmiechnęła się.

– Znam pana Bancrofta. Więc myśli pan, że kiedy tamten incydent miał miejsce?

– Tak gdzieś przed siedemdziesiątym dziewiątym.

– Wtedy odbyła się ta konferencja?

– Zgadza się.

Pomyślała przez chwilę.

– A jak długo szkoła działała?

– Od sześćdziesiątego drugiego do osiemdziesiątego pierwszego.

– Cóż, to się da sprawdzić – powiedziała bardziej do siebie niż do mnie. Zakładając, że coś takiego się wydarzyło, powinniśmy mieć to w aktach.

– Co ma pani na myśli?

– Przed chwilą powiedział mi pan, doktorze, że ten facet to wariat. Więc może wyssał całą historię z palca. Ubzdurał sobie, że ktoś go zranił.

– Możliwe. Ale bycie psychotykiem wcale nie oznacza bycia zupełnym szaleńcem.

Większość psychotyków miewa okresy trzeźwości. Poza tym psychotyk może również działać pod wpływem szoku. A w ogóle to on może wcale nie być psychicznie chory, tylko mieć wyjątkowo silne zaburzenia.

Znowu się uśmiechnęła.

– Mówi pan jak ekspert sądowy. – ostrożnie.

– Zeznawałem w sądzie.

– Wiem. Detektyw Sturgis mi powiedział. Rozmawiałam też o panu z sędzią Stephenem Huffem.

– Zna pani Steve'a?

– Znam go dobrze. Pracowałam w L.A. w wydziale nieletnich. Steve zajmował się wtedy

takimi sprawami. Miło znam również. Obraca się pan w dobrym towarzystwie, doktorze.

Spojrzała na dom.

– Ta ofiara z L.A., Myra Paprock; sądzi pan, że uczyła w tutejszej szkole?

– Tak. Pod nazwiskiem Evans. Myra Evans. Pracowała też w państwowej szkole w Goleta.

Powinno się to znajdować w jej aktach personalnych. A Rodney Shipler, ten zamordowany mężczyzna, pracował jako woźny w szkole w L.A. Możliwe, że parał się podobnym zajęciem tutaj.

– Shipler – powtórzyła, nadal spoglądając na chatę Katariny. – Gdzie w L.A. pan praktykuje?

– W zachodniej części.

– Terapia dziecięca?

– Obecnie wykonuję głównie zlecenia sądowe. Diagnozy więźniów, wypadki okaleczeń.

– Diagnozy więźniów, to dopiero coś. Dobra, jak tylko przyjedzie koroner i ekipa techników, rozejrzemy się po domu.

Popatrzyła jeszcze chwilę na ocean, a później przeniosła wzrok na drewniany stół.

– Jadła śniadanie – stwierdziła – fusy jeszcze się nie rozeschły, więc chyba dzisiejszego ranka.

Skinąłem głową.

– Dlatego myślałem, że jest w domu. Ale jeżeli tutaj jadła i tu ją zaskoczył, to czy dom nie byłby otwarty? Proszę spojrzeć, na jaki opustoszały wygląda. I dlaczego nikt nie słyszał jej krzyków?

Uniósłszy palec zarzuciła torebkę na ramię i oddaliła się w stronę garażu. Kilka minut

później wyszła razem ze Steenem. Mężczyzna niósł metalową taśmę mierniczą i aparat. Słuchał jej i kiwał głową.

Wyjęła coś z torebki. Chirurgiczne rękawiczki. Strzepnęła je, założyła i otworzyła tylne

drzwi. Wsunęła na moment głowę do środka i po chwili cofnęła się.

Następna konferencja ze Steenem.

Z powrotem do mnie.

– Co tam jest? – zapytałem.

– Totalny bajzel – odparła marszcząc nos.

– Kolejne zwłoki?

– Nie zauważyłam... Proszę posłuchać, doktorze. Zejdzie nam sporo czasu na zorientowaniu się w tym bałaganie. Może spróbuje się pan zrelaksować do czasu, aż przyjedzie detektyw Sturgis? Przykro mi, że nie może pan siedzieć na tych krzesłach. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko trawie, to proszę sobie znaleźć jakieś miejsce na podwórzu. Sprawdziłam już tam odciski stóp i – och, następny lew morski! Całkiem ładna okolica, nieprawdaż?

Milo zjawił się o piątej czterdzieści osiem. Zająłem miejsce w rogu podwórza, do którego podszedł zaraz po krótkiej rozmowie z Grayson.

– Robin jeszcze nie wróciła, kiedy sprawdzałem – oznajmił – nie zauważyłem vana, jej torebki i psa, a na lodówce była jakaś notka o sałacie.

Prawdopodobnie pojechała po zakupy. Wszystko absolutnie w porządku. Nic się nie martw.

– Może powinna zostać z tobą?

– Dlaczego?

– Nie jestem osobą, przy której można się czuć bezpiecznie.

– Okay, w porządku, jeśli tylko to cię uspokoi. Ale zagwarantujemy wam bezpieczeństwo.

Na moment położył rękę na moim ramieniu. Później wszedł do garażu i pozostał tam około dwudziestu minut. Koroner przyjechał, a potem odjechał razem z ciałem. Technicy pracowali dalej. Obserwowałem ich, dopóki nie wyszedł Milo.

– Idziemy – oświadczył.

– Dokąd?

– Byle dalej stąd.

– Nie jestem im już potrzebny?

– Powiedziałaś Sally wszystko, co wiesz?

– Tak.

– No to idziemy.

Wyszliśmy z posiadłości, mijając garaż. Steen klęczał przy kredowym konturze i mówił do dyktafonu. Sarah Grayson stała obok niego. Sporządzała notatki. Zobaczyła mnie i pomachała ręką. Potem wróciła do swojej pracy.

– Miła kobieta – stwierdziłem, kiedy szliśmy do samochodu.

– Była jednym z najlepszych detektywów Central Juvey. Wyszła za męża za kapitana wydziału, prawdziwego dupka. Ciągle pił. Podobno był bardzo okrutny dla niej i dla dzieci.

– Znęcał się?

Wzruszył ramionami.

– Nie widziałem nigdy siniaków na jej ciele, ale facet miał zabójczy temperament. Wreszcie się rozwiedli. Parę miesięcy później przyszedł do jej mieszkania i wszczął awanturę. Skończyło się na tym, że odstrzelił sobie palec u nogi. Przeprowadzono śledztwo na wielką skalę. Potem Sally przeniosła się tutaj, a ten dupek przeszedł na emeryturę i osiedlił w Idaho.

– Postrzelił się w nogę? – zapytałem – musiał nie należeć do asów.

– W zasadzie to należał. Kiedyś był nawet instruktorem. Mnóstwo ludzi nie mogło uwierzyć, że sam to sobie zrobił. Ale wiesz jak to jest z chronicznym odurzeniem alkoholowym. Tracisz kontrolę nad mięśniami.

Dotarliśmy do ulicy. Policyjne samochody parkowały przy krawężniku otaczając seville.

Sąsiedzi tłoczyli się przy żółtej taśmie odgradzającej miejsce zbrodni. Nadjeżdżał telewizyjny



furgon. Rozejrzałem się za autem Milo.

– Gdzie twój samochód?

– W L.A. Wziąłem taksówkę.

– Dokąd?

– Do lotniska.

– A jak się dostałeś stamtąd?

– Zabrali mnie mundurowi Santa Barb.

– Ma się te przywileje – stwierdziłem. – Fiu, fiu.

– Taak. Sally mieszkała kiedyś w Mar Vista. Prowadziłem sprawę eks-palca jej eks-męża.

– Och.

– Tak. Och. Teraz ty mnie podwieź. Spływajmy, zanim prasa zacznie węszyć.

\* \* \*

Ruszyłem w dół Cabrillo. Milo zapytał:

– Jesteś w nastroju, żeby coś zjeść?

– Nie jadłem nic od rana. Mógłbym coś przełknąć albo przynajmniej popatrzeć, jak ty jesz.

– Voyeur – wygląda przyjemnie, zatrzymaj się – wskazał małą knajpkę przy jednym z plażowych moteli. Wewnątrz stało kilka stolików przykrytych pofałdowanymi obrusami. Na nich spoczywały popielniczki w kształcie muszli. Podłogę pokrywały trociny. Na ścianach wisiały sieci. Specjalnym daniem dnia był łosoś z frytkami. Obydwaj zamówiliśmy to i usiedliśmy przy stoliku przy oknie. Młoda kelnerka zapytała, czy chcemy coś do picia. Przyniosła dwa piwa i oddaliła się pośpiesznie.

Korzystając ze znajdującego się na zapleczu telefonu, spróbowałem znów zadzwonić do

Robin. Żadnych rezultatów. Wróciłem do stolika. Milo ocierał pianę z górnej wargi.

– Katarina była w ciąży – oznajmił – koroner stwierdził, że płód w zasadzie z niej wystawał.

– Boże – westchnąłem przypominając sobie zmasakrowany brzuch. W jak zaawansowanej ciąży?

– W piątym albo szóstym miesiącu. Koroner mógł stwierdzić, że to chłopiec.

Usiłowałem powstrzymać odruchy wymiotne.

– Harrison powiedział, że nie wyszła nigdy za mąż i żyła w samotności. Kim więc mógł być ojciec?

– Prawdopodobnie jakiś student medycyny z kartą członkowską Mensa. SZI oznacza Skład Inwentarza Zarodków.

– Bank spermy?

– I to szczytujący się bardzo dystyngowanymi dawcami.

– Producenci dzieci – skomentowałem – tak, mogę zrozumieć, dlaczego Katarina zdecydowała się na coś takiego. Sztuczne zapłodnienie dałoby jej całkowitą kontrolę nad wychowaniem dziecka, żadnych powikłań emocjonalnych... W piątym miesiącu ciąża prawdopodobnie była już widoczna. Dlatego zabójca skoncentrował się na jej brzuchu – zogniskował tam cały swój gniew. Zniszczył nasienie de Boschów.

Milo zmarszczył brwi.

– Może wybrał do przesyłki kartę spermy z tej samej przyczyny dodałem. – Rozmyślnie pozostawił wizytówkę przy narzędziu zbrodni. To wszystko było dla niego wielkim aktem rytualnym.

Kelnerka przyniosła jedzenie. Spojrzenie na nasze miny starło uśmiech z jej twarzy.

– Próbuje usunąć, wymazać wszystko, co ma związek z de Boschem kontynuowałem. –

Ponownie użył broni, którą miał pod ręką. Ale musiał też przynieść ze sobą coś innego, co nastraszyło ją.

– Mogły wystarczyć jego pięści. Wokół oczu miała sporo siniaków.

- Czy straciła przytomność na skutek uderzeń?
- Ciężko powiedzieć bez autopsji, ale koroner uważał, że nie.
- Jeżeli była przytomna, to dlaczego nikt nie słyszał jej krzyków?
- Czasami ludzie nie krzyczą – wyjaśnił Milo – w wielu przypadkach po prostu kamienieją i nie mogą wydobyć z siebie głosu. Poza tym mogły ogłuszyć ją ciosy zadane w głowę. A nawet jeżeli krzyczała, to mogło to nic nie dać. Sąsiedzi, po obu stronach, mieszkają daleko, a ocean wycisza większość odgłosów.
- A co z innymi sąsiadami? Może któryś z nich zauważył, jak ktoś wchodzi na teren posiadłości?
- Jak dotąd nikt taki się nie zgłosił. Sally i Steen zrobią rundkę po domach.
- Sally powiedziała, że w domu był bajzel. Miała na myśli bałagan, czy porozwalane sprzęty?
- Przewrócone meble i pozrywaną tapicerkę.
- Furia – wywnioskowałem – albo szukał starych kartotek szkolnych. Czegoś, co mogłoby go zdemaskować.
- Pozbywanie się dowodów? Zabija ludzi od lat. Dlaczego teraz miałyby zacząć się tym przejmować?
- Może staje się nerwowy.
- Z własnego doświadczenia wiem, że jest zupełnie odwrotnie – oznajmił. – Mordercy zaczynają rozkoszować się zbrodnią i postępują mniej ostrożnie.
- Miejmy nadzieję, że istotnie nie był ostrożny i coś tam znajdziecie.
- Dokładne sprawdzenie zajmie kilka dni.
- Z zewnątrz miejsce wyglądało na szczelnie pozamykane. Gdybym nie zauważył talerzy ze śniadania, pomyślałbym, że Katarina wyjechała z miasta. Zabójca musiał pozaciągać rolety, a

później buszował w spokoju.

– Jak powiedziałeś, to rytuał. Starannie przygotowany.

– Więc nie mamy do czynienia z oszalałym psychotykiem. Wszystko, co się wydarzyło, jest zbyt wykalkulowane jak na schizofrenika. Jeżdżenie po konferencjach; symulowanie wypadków; przeszywanie mojej ryby; nagrywanie krzyczącego Hewitta. Podkradanie się i wyczekiwanie całymi latami. To zimne, wykalkulowane okrucieństwo, Milo, jakiś rodzaj psychopatii. Biorąc pod uwagę notatki Becky, powinniśmy baczniej przyjrzeć się Gritzowi. Jeżeli to on jest Silkiem – Merinosem, to włóczęgowski żywot może być tylko przykrywką. Idealną przykrywką. Bezdomni są wszędzie, to część krajobrazu. Dla większości z nas oni wszyscy wyglądają tak samo.

Pamiętam faceta spotkanego w biurze Coburga. Był ogromnie podobny do Hewitta. Jedyne co Bancroft zapamiętał o intruzie, to umorusana twarz i skołtunione włosy.

Sturgis przez chwilę pomyślał.

– Bancroft mówił, że kiedy się to wydarzyło?

– Około dziesięciu lat temu. Facet miał około dwudziestu lat. Teraz ma około trzydziestki, co pasowałoby do Gritza. Pan Merinos od Berta Harrisona też pasuje do tej ramki czasowej.

Obydwaj, Merinos i ten włóczęga, byli wstrząśnięci. Merinos mówił, że konferencja ożywiła w nim dawne problemy. Kilka lat później jakiś tramp wraca do swojej starej szkoły, robi scenę i próbuje rozkopywać przeszłość. To mógł być ten sam facet. A może wielu wychowanków Szkoły Poprawczej krąży po okolicy usiłując poskładać swoje życie w jedną całość. Coś tam się wydarzyło, Milo. Bancroft nazwał tych uczniów niegodziwcami i antyspołecznikami. Zaprzeczył jakoby sprawiali mu kiedyś większe problemy, ale mógł kłamać.

– Cóż – odezwał się Milo – można sprawdzić miejscowe akta, a Sally jeszcze raz porozmawia z Bancroftem. Zobaczymy, czy uzyska więcej szczegółów.

– Życzę jej szczęścia. On nie przepada za ludźmi klasy średniej.

Uśmiechnął się i uniół szklanke.

– W porządku. Sally nie przepada za dupkami.

Wypił jeszcze trochę piwa, ale nie tknął jedzenia. Spojrzałem na moje danie. Wyglądało na dobrze przyrządzone, lecz jakoś nie mogłem się skusić.

– Myra Paprock uczyła w szkole od drugiej połowy lat sześćdziesiątych do pierwszej siedemdziesiątych – oświadczyłem – więc prawdopodobnie to przedział czasu, który nas interesuje. Lyle Gritz miał wtedy dziesięć czy jedenaście lat. Harrison pamięta Myrę jako osobę młodą i bardzo dogmatyczną. Może ciężką ręką utrzymywała dyscyplinę. Dziecko odebrało to zachowanie jako „parszywą miłość”, Shipler mógł również tam pracować na etacie woźnego. Zaangażował się w to, cokolwiek się wydarzyło. I większość przemawiających na konferencji też pracowała wtedy w szkole. Dokładne daty mam w notesie w domu. Skończmy tutaj, wracajmy do L.A i sprawdźmy.

– Ty sprawdzisz – zawyrokował Milo – ja zostanę tutaj na dzień lub dwa. Popracuję z Sally i Steenem. Zostawiaj wiadomości na jej nazwisko.

Podał mi wizytówkę.

– Zabójca nabiera rozpędu – powiedziałem. – Rok przerwy między tamtymi ofiarami, a teraz tylko kilka miesięcy pomiędzy śmiercią Stoumena i Katariny.

– Chyba, że są ofiary, o których nie wiemy.

– Słusznie. Nadal nie mogę znaleźć Harveya Rosenblatta, a jego żona nie odpowiada na moje telefony. Może jest wdową, która nie chce roztrząsać starych ran. Ale muszę próbować. Jeżeli Rosenblatt żyje, muszę go ostrzec. Harrisona również. Zaraz zadzwonię do niego i powiem o Katarinie.

Znów podszedłem do aparatu i nakręciłem numer w Ojai. Nikt nie odbierał. Miałem nadzieję, że to ze względu na ostro rozwinięty instynkt samoobrony. Ten mały człowieczek mógłby

stanowić łatwy cel.

Wróciłem do stolika. Milo nadal nie zaczął jeść łososia.

– Nie ma go – oznajmiłem – może już się ukrył. Mówił, że ma dokąd pójść.

– Poproszę gliniarza z Ojai, żeby tam wdepnął. A co z Becky Basille? Jak według ciebie ona do tego pasuje? Hewitt krzychał „parszywa miłość”. Zabójca nagrywający Hewitta...?

– Może Hewitt również był wychowankiem Szkoły Poprawczej. Może zabójca zaznałomił Hewitta z ideologią parszywej miłości. Jeżeli mordercą jest Gritz, to wobec bliskiej przyjaźni z Hewitem mógł na niego dość łatwo wpływać; naciskać czułe punkty, pociągać za sznurki.

Pozbawiając go lekarstw i oddziałując na jego paranoję, zwrócił go przeciwko jego terapeutce, ponieważ on sam nienawidził terapeutów. Poza tym miał dodatkową przyczynę, żeby nienawidzić Becky: Hewitt przywiązał się do niej.

Milo zaczął dziobać łososia widelcem. Przerwał i potarł twarz dłonią.

– Dalej szukam pana Gritza. Zebrałem komplet jego akt, ale to wszystko drobiazgi.

– Powiedział ludziom z Calcutty, że zamierza się wzbogacić. Czy motywem tych morderstw mogła być czysta chęć zysku?

– Może po prostu bredził. Psychopaci tak robią – spojrzał na jedzenie i odsunął talerz. – Kogo ja oszukuję?

– Dziecko na kasecie – przypomniałem sobie. – Czy są w aktach jakieś informacje o dzieciach Gritza?

Milo pokręcił głową.

– Żałobna pieśń – rzekłem – „Parszywa miłość, parszywa miłość, nie dawaj mi tej parszywej miłości”. Dziecko, które to wyrecytowało, może być częścią rytuału; uwalnianie się z przeszłości przez wykorzystanie własnej terminologii de Boscha. Jeden Bóg wie, co on jeszcze zrobił starając się uśmierzyć swój ból.

Detektyw położył gotówkę na stole. Próbował zwrócić na siebie uwagę kelnerki, ale stała plecami do nas.

– Milo – powiedziałem – Becky wciąż może stanowić powiązanie. Mogła rozmawiać z kimś o Hewitcie i Gritzu.

– Z kim?

– Z krewnym, przyjacielem. Miała chłopaka?

– Uważasz, że złamała zasadę poufności?

– Była prekursorem. Poza tym wiemy już, że nie należała do ostrożnych.

– Nie wiem nic o żadnym chłopaku – odparł. – Ale skoro nie powiedziała nic Jeffers, to dlaczego miałyby potem wypaplać wszystko jakiemuś laikowi?

– Ponieważ poinformowanie Jeffers oznaczałoby odsuniecie od sprawy Hewitta. Mogła z kimś rozmawiać nie zdając sobie sprawy, że łamie poufność danych. Nie wymieniała nazwisk, ale może powiedziała coś, co dałoby nam trop.

– Jedyne członek jej rodziny, jakiego spotkałem, to jej matka. Rozmawiałem z nią tylko raz, a w zasadzie to słuchałem jej płaczu.

– Matka może być powierniczką.

Spojrzał na mnie przeciągle.

– Po tym pikniku z mężem Paprock chcesz dokonać następnej wiewisekcji?

– A co nam innego pozostało?

Zaczął widelcem przesuwać rybę po talerzu.

– Ta matka jest miłą osobą. Jak chciałbyś ją podejść?

– Prosto i zdecydowanie. Hewitt miał przyjaciela, który może być zamieszany w inne morderstwa. Kogoś, kogo nazwisko zaczyna się na G. Czy Becky kiedykolwiek o nim wspominała?

Napotkał wzrok kelnerki i machnął na nią dłonią. Uśmiechnęła się i podniosła palec.

Kończyła serwować specjał dnia jakiejś parze siedzącej po drugiej stronie sali.

– Mieszka przy parku La Brea – powiedział – blisko muzeum. Nazywa się Ramona, albo Rowena. Myślę, że jej adres znajdziemy w książce telefonicznej. Chociaż po morderstwie mogła wycofać z niej swój adres. Jeżeli tak, to zawiadam mnie przez Sally, zdobędę go dla ciebie.

Spojrzał na nie tknięte potrawy, sięgnął po wykałaczkę i zatopił ją pomiędzy zębami.

– Przesłuchałem twoją wiadomość o szeryfie – oznajmiłem. – Kiedy planuje wziąć się do kasy?

– W ciągu najbliższych kilku dni. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale przynajmniej dostaniemy naukową diagnozę.

– Mówiąc o nauce – wtrąciłem – czy wiecie już, kiedy Katarina została zamordowana?

– Według koronera, od ośmiu do dwudziestu godzin wcześniej, nim ją znalazłeś.

– Chyba bliżej ośmiu. Fusy od kawy nie zdążyły jeszcze wyschnąć. Gdybym przyjechał tam trochę wcześniej, mógłbym...

– Mógłbyś dać się okaleczyć – przerwał mi Milo – zapomnij o ratowniczych fantazjach, Alex.

Bolała mnie głowa i oczy. Potarłem je i napiłem się wody. Kelnerka podeszła i spojrzała na nie tknięte dania.

– Coś nie tak?

– Nie – odrzekł Milo – po prostu coś nam wypadło i musimy lecieć.

– Mogę zapakować to na wynos.

– Nie, nie trzeba – wręczył jej gotówkę.

Zmarszczyła brwi.

– Oka-ay. Zaraz wrócę z pańską resztą, sir..



– Może ją pani zatrzymać.

Jej uśmiech był tak szeroki, jak zderzak mojego auta.

– Dziękuję, sir. Oferujemy dzisiaj grzecznościowy, kremowy deser.

Milo poklepał się po brzuchu.

– Może następnym razem.

– Jest pan pewien, sir? Jest naprawdę bardzo dobry – dotknęła jego dłoni. – Naprawdę.

– Dobra – odparł – wykręcisz mi rękę. Zapakuj dwie porcje na wynos.

– Już się robi, sir.

Odbiegła i wróciła za kilka sekund z wypchaną, papierową torebką. Milo wziął pakunek i opuściliśmy restaurację. Ruszyliśmy w stronę seville. Kiedy wsiadałem do auta, zorientowałem się, że Milo nie ma przy mnie. Odwróciłem się i zobaczyłem go stojącego nad szczupłym, barczystym chłopakiem około osiemnastoletnim. Dzieciak siedział na krawężniku pod motelem. Trzymał kartonową tabliczkę z napisem: BĘDĘ PRACOWAĆ ZA JEDZENIE. Miał zapadnięte policzki i tłuste, zwichrzone włosy.

Milo podał mu torebkę. Chłopak powiedział coś. Detektyw wyglądał na rozgniewanego, ale sięgnął po portfel i wręczył dzieciakowi zielony papierek.

Potem usiadł na fotelu pasażera i zawył.

– Zabieraj mnie do pracy.

## **Rozdział dwudziesty trzeci**

Przez całą drogę powrotną do L.A. miałem przed oczyma scenę z garażu. Zator uliczny tuż za Thousand Oak spowodował, że siedziałem w bezruchu. Wizja okaleczonego ciała Katariny wypełniała moją głowę. Słuchałem pracy silnika seville. Myślałem o bólu, zemście i o Robin osamotnionej na Benedict Canyon. Pan Silk, kimkolwiek był, odniósł częściowe zwycięstwo. Sytuacja na drodze wreszcie się wyklarowała. Uciekłem na 101, potem do 405, a stamtąd

prawie pustą szosą pomknąłem do Sunset. Wjeżdżałem na Benedict tuż po dziewiątej trzydzięci.

Nagle zauważyłem dwa czerwone światelka migoczące w dali przede mną.

Światła stopu. Jakiś samochód zatrzymał się.

Wydawał się stać naprzeciw wąskiej dróżki, która prowadziła do mojego nowego domu, ale z tej odległości nie mogłem być pewien. Nacisnąłem gaz, lecz zanim tam dojechałem, światelka i samochód znikły.

Przez chwilę ostrożnie krążyłem po ulicy. Moje serce gwałtownie biło. Czekałem. Wokół panowała cisza. Podjechałem do białej bramy i wsunąłem kartkę we wlot. Następnie z zawrotną prędkością przejechałem obrośnięty cyprysem podjazd.

Dom był oświetlony od wewnątrz, a garaż – zamknięty. Podeszedłem do frontowych drzwi i przekręciłem klucz w zamku. Ociekałem potem, a moje serce było bliskie eksplozji.

Robin leżała na kanapie i czytała magazyn mody. Buldog ulokował się między jej nogami.

Siedział z otwartą mordą i chrapał.

– Piękna i Bestia – skomentowałem, ale mój głos był słaby.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. Pies otworzył jedno oko, a po chwili opuścił powiekę.

– Całe popołudnie na zakupach? – zapytałem, zdejmując marynarkę. Próbowałem kilka razy dzwonić.

– Uh-hm – mruknęła. Miałam masę spraw... O co chodzi, Alex?

Powiedziałem jej o zwłokach Katariny przy Shoreline Drive.

– Och, nie! – uniosła się na łokciach. Pies ocknął się, ale pozostał w pozycji leżącej. – Byłeś tak blisko sprawcy.

Usiadłem. Ścisnęła moją rękę. Opowiedziałem jej o tym, co znalazłem i czego się dowiedziałem od Berta Harrisona i Condon Bancrofta. Słuchała przyłożywszy palce do ust.

– Ktokolwiek za tym stoi, jest bezlitosny – stwierdziłem – chcę, żebyś się czasowo gdzieś przeprowadziła.

Usiadła na kanapie.

– Co?

– Tylko na trochę. Nie jesteś przy mnie bezpieczna.

– Przeprowadziliśmy się i jesteśmy bezpieczni. Skąd ktoś może wiedzieć, że tu mieszkamy?

Myśląc o światłach stopu, powiedziałem.

– Jestem pewien, że nikt nie wie. Ale chcę po prostu być ostrożny. Rozmawiałem z Milo.

Możesz przenieść się do jego mieszkania. Tylko do czasu, kiedy wszystko się uspokoi.

– To nie jest konieczne, Alex.

Pies był już kompletnie rozbudzony i rzucał wzrokiem od Robin do mnie. W jego oczach dostrzegłem zmieszanie i strach dziecka obserwującego, jak rodzice się kłócą.

– Tylko chwilowo – powtórzyłem.

– Chwilowo? Jeżeli ta osoba zrobiła to co uważasz, że zrobiła, to potrafi czekać latami! Więc o jakim okresie tu mówimy?

Nie umiałem odpowiedzieć.

– Nie. Nie ma mowy, Alex. Nie zostawię cię. Do diabła z nim – nie może nam tego robić.

– Robin, ona była w ciąży. Widziałem, co zrobił jej.

– Nie – odparła z oczami pełnymi łez – proszę. Nie chcę tego słuchać.

– Okay – rzekłem.

– Nachyliła się i chwyciła obiema rękami moje ramiona. Przyciągnęła mnie i trzymała kurczowo. Jej policzek przywarł do mojego. Oddech Robin wpływał mi do ucha. Był szybki i gorący.

– Już dobrze – próbowałem ją uspokoić – poradzimy sobie.

Ścisnęła mnie mocniej.

– Och, Alex. Przenieśmy się na inną planetę.

Pies zeskoczył z kanapy na podłogę i gapił się na nas. Z jego nozdrzy dochodziły świszczące odgłosy. Oczy miał przejrzyste i żywe, prawie ludzkie.

– Hej, Spike – zawołałem. – Dobry był?

– Najlepszy.

Uczucie w jej głosie sprawiło, że uniósł czujnie uszy. Podreptał do rogu kanapy i złożył łapy na kolanie Robin. Pogłaskała go po łbie. Podniósł pysk i uraczył jej dłoń przeciągłym liźnięciem.

– Mogłabyś zabrać go ze sobą – zasugerowałem. – Miałabyś wtedy permanentnie męskie towarzystwo.

– Zapomnij o tym, Alex – wbiła paznokcie w moje plecy – zresztą pewnie i tak nie będziemy go długo mieć. Dostałam dzisiaj rano telefon od grupy pod nazwą Sekcja Ratownicza Francuskich Buldogów. Rozmawiałam z szalenie miłą panią z Burbank. Napisałeś do narodowego klubu, a oni przekazali list jej. Apeluje o trochę cierpliwości. Mówi, że to tylko kwestia czasu, zanim ktoś się po niego zgłosi, ponieważ te zwierzaki nie bywają celowo porzucane.

– Do tej pory nikt nie zgłosił jego zniknięcia?

– Nie, ale nie podniecaj się zbytnio. Ta kobieta posiada całkiem niezłą sieć komunikacyjną.

Była prawie pewna, że znajdzie jego właściciela. Zaoferowała się, że przyjedzie i zabierze psa, ale odpowiedziałam, że możemy się nim na razie opiekować.

Buldog spoglądał na mnie oczekująco. Położyłem rękę na jego głowie. Wydał niski, usatysfakcjonowany pomruk.

– Teraz wiem, jak czują się rodzice – wyznała Robin. Chwyciła i pocałowała miękki podbródek zwierzęcia. Szorty uniosły się i odsłoniły jej uda. Obciągnęła materiał. – Jadłeś już

kolację?

– Nie.

– Kupiłam trochę smacznych rzeczy – chilli, enchiladas, nawet paczkę Coronys, jeżeli chcielibyśmy urządzić sobie zwierzęce przyjęcie. Jest trochę późno, żeby zaczynać ucztę, ale mogę szybko coś przygotować, jeżeli jesteś głodny.

– Nie kłopotz się. Zrobię sobie kanapkę.

– Nie, ja ci zrobię, Alex. Muszę się czymś zająć. Potem możemy położyć się do łóżka, porozwiązywać krzyżówki, obejrzeć jakiś sprośny film w telewizji i kto wie co jeszcze.

– Kto wie? – zapytałem przyciągając ją gwałtownie.

Zgasiliśmy światła około północy. Zasnąłem rozluźniony, ale obudziłem się z uczuciem, jakby ktoś wyssał z mojego ciała wszystkie fluidy.

Przetrwiałem śniadanie. Karmiłem psa kawałkami jajka i konwersowałem z Robin, dopóki obydwójce nie wyszli do garażu.

Kiedy tylko zostałem w domu sam, zadzwoniłem do doktor Shirley Rosenblatt z Manhattanu.

Usłyszałem znajomy tekst z automatycznej sekretarki. Powtórzyłem swoją prośbę, dodając, że sprawa jest strasznie ważna, i poprosiłem, żeby skontaktowała się ze mną najszybciej jak to możliwe.

Wziąłem prysznic, ogoliłem się i ubrałem. Nikt nie zadzwonił. Wykręciłem numer Jean Jeffers. Wyszła z biura na jakieś spotkanie w mieście. Nie zostawiła sekretarce żadnej wiadomości na temat Gritza. Przypomniawszy sobie, jak gorąco pragnęła zająć się poszukiwaniami danych Lyle'a, domyśliłem się, że nic nie znalazła.

W informacji nie mieli numeru Ramony ani Roweny Basille. Ale podano mi telefon „Basille R.” zamieszkałej na 618 South Houser Street, tuż przy parku La Brea.

Starszy kobiecy głos odpowiedział:

– Halo?

– Pani Basille?

– Rolanda, kto mówi? – zapytała szorstko, z wyraźnym akcentem zachodnim.

– Nazywam się Alex Delaware. Jestem psychologiem, konsultantem Departamentu Policji Los Angeles...

– Tak?

– Przepraszam, że panią niepokoję...

– O co chodzi? Co się stało?

– Nic, pani Basille. Zastanawiam się, czy nie mogłaby mi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

– Dotyczących Becky?

– Dotyczących kogoś, kogo Becky mogła znać.

– Kogo?

– Przyjaciela Dorsey'a Hewitta.

Nazwisko przyprawiło ją o jęk.

– Jaki przyjaciel? Kto? Nie rozumiem.

– Mężczyzna o imieniu Lyle Gritz.

– Jaki mężczyzna? Co się dzieje?

– Czy kiedykolwiek słyszała pani o nim?

– Nie, nigdy. Co to ma wspólnego z Rebecką?

– Bezpośrednio nic, pani Basille. Ale Gritz może być zamieszany w kilka innych przestępstw. Mógł również używać imion Silk lub Merinos.

– Jakich przestępstw? Morderstw?

– Tak.

– Nie rozumiem. Dlaczego dzwoni psycholog, tak pan powiedział prawdę, że jest

psychologiem. Psychiatrą...?

– Psychologiem.

– Jeżeli chodzi o jakieś morderstwa, to dlaczego nie dzwoni policja?

– To jeszcze nie jest oficjalne śledztwo.

Pauza.

– Dobra, kim jesteś, draniu? Jakimś cholernym pismakiem? Przechodziłam już przez to i powiem ci co możesz...

– Nie jestem dziennikarzem – oznajmiłem – jestem tym, kim powiedziałem, że jestem, pani Basille. Jeżeli chce to pani sprawdzić, może pani zadzwonić do detektywa Milo Sturgisa z zachodniej L.A. On podał mi pani numer.

– Sturgis – powtórzyła.

– Prowadził śledztwo w sprawie Becky.

– Który to był – a... taak, ten duży... taak, próbował być miły. Ale skąd on się wziął, żeby dawać panu mój numer? Co pan robi; pisze jakąś psychologiczną pracę? Szuka pan królika doświadczalnego?

– Nie, nic takiego.

– Więc, co?

Wydawało się, że nie mam wyboru.

– Moje zaangażowanie jest dużo bardziej osobiste, pani Basille. Jestem potencjalną ofiarą.

– Of... kogo, tego Gritcha?

– Gritz. Lyle Edward Gritz. Albo Silk, albo...

– Nie słyszałam nigdy o żadnym z nich.

– Są pewne dowody, że morduje psychoterapeutów. Zabił kilku w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Och, nie...

– Ostatnią ofiarę znaleziono wczoraj w Santa Barbara. To kobieta o imieniu Katarina de Bosch.

– Wczor... o, Boże – jej głos uległ przemianie. Obniżył się i zmiękł. – I myśli pan, że teraz poluje właśnie na pana.

– Tak.

– Dlaczego?

– Może czuć ogólny uraz do psychologów. Na miejscu zbrodni pozostawia zawsze wiadomość; słowa: „parszywa miłość”.

– To samo krzyczał ten drań!

– Dlatego uważamy, że może istnieć pewien związek. W ubiegłym tygodniu dostałem kasetę, na której dziecięcy głos śpiewał o „niedobrej miłości”. Krótco potem otrzymałem dziwny telefon, a następnie ktoś wdarł się na moją posiadłość i dokonał szkód.

– I pan mówi, że Rebecka była częścią tego czegoś?

– Naprawdę nie wiem, pani Basille.

– Ale może tak było? Ktoś przecież był zamieszany w zabójstwo mojej...

Głośny stukot dobiegł mego ucha. Odezwała się kilka sekund później.

– Upuściłam telefon, jest pan tam jeszcze?

– Tak.

– Więc co pan mówi? Ten Gritz mógł być zamieszany w skrzywdzenie mojego dziecka?

– Chciałbym to pani wyjaśnić, pani Basille. Gritz i Hewitt byli przyjaciółmi, więc jest możliwe, że Gritz miał jakiś wpływ na Hewitta. Ale nie ma dowodów...

– Parszywa miłość – rzekła. – Nikt nie potrafił mi wyjaśnić, co to znaczy.

– To psychologiczny termin stworzony przez ojca Katariny de Bosch, doktora Andreeasa de Boscha.



– Debausza?

– De Boscha. Był psychologiem, który prowadził szkołę specjalną w Santa Barbara.

Żadnej reakcji.

– Lyle Gritz mógł być tam pacjentem – dodałem. – O ile wiem, to Hewitt również mógł poddawać się terapii w tej szkole. Czy Rebecka kiedykolwiek wspominała o którymś z nich?

– Nie... Dobry Boże... Chyba się rozchoruję.

– Naprawdę mi przykro, pani...

– Mówił pan, że jak się nazywa?

– Alex Delaware.

– Niech mi pan poda swój numer.

Podąłem.

– Okay – odparła – dzwonię teraz do tego Sturgisa i sprawdzam pana.

– Jest w Santa Barbara. Zastanie go pani w tamtejszym departamencie policji – wyciągnąłem wizytówkę Sarah Graysoni odczytałem numer telefonu.

Odłożyła słuchawkę nie skomentowawszy.

Dziesięć minut później moja operatorka połączyła mnie z nią ponownie.

– Nie było go – oznajmiła – ale rozmawiałam z jakąś policjantką, która potwierdziła pana tożsamość. Okay, przykro mi z powodu tego, co pan przechodzi, ale kiedy już pan będzie to mieć za sobą, lepiej pan zrozumie innych. Dobra, co mogę dla pana zrobić?

– Zastanawiałem się, czy Becky kiedykolwiek mówiła pani o swojej pracy. Może powiedziała coś, co pomogłoby znaleźć Gritza i rzucić trochę światła na całą sprawę.

– Czy mówiła? Taak, mówiła. Kochała swoją... chwileczkę... mój żołądek... myślałam, że nic mi nie jest, ale teraz czuję jakbym miała znowu wymiotować – zrobię coś, a później do pana zadzwonię. Nie, niech pan o tym zapomni, nienawidzę telefonu. Gdy tylko dzwoni, moje serce

wali, jakby zaraz miało eksplodować. Jeżeli chce się pan ze mną spotkać, to w porządku.

Zobaczę, jak pan wygląda, nienawidzę telefonu.

– Może przyjadę do pani domu?

– Pewnie – nie, lepiej nie. To miejsce jest beznadziejne. Nigdy nie byłam dobrą gospodynią, a teraz w ogóle nic nie robię. Może spotkamy się w Hancock Park? W samym parku; wie pan, gdzie to jest?

– Przy osadnikach ze smołą.

– Tak. Spotkamy się po stronie 6 Ulicy, za muzeum. Teren jest zacieniony. Jak pan będzie ubrany?

– W dzinsy i białą koszulę.

– Świetnie. Ja będę miała – nie, to jest brudne, muszę się przebrać – będę w... zielonej bluzce. Zielonej z białym kołnierzem. Niech pan wypatruje brzydkiej, starej baby w zielonej bluzce.

Bluzka miała kolor trawy. Pani Basille siedziała pod rozłożystymi konarami drzew. Zajęła miejsce na niskim pniu naprzeciw okrągłego trawnika oddzielającego Stanowe Muzeum Sztuki od hali dinozaurów, którą George Page wybudował za misyjne pieniądze. Przy końcu trawnika za żelaznymi prętami stały pojemniki ze smołą. Gliniane mastodonty wyły i zerkwały przez płot na Wilshire Boulevard. Smoła wyciekała na trawnik i zalewała nierówności terenu. Omal nie wpadłem w oleistą kałużę, kiedy szedłem na spotkanie Rolandy Basille.

Siedziała tyłem do 6 Ulicy. Miała około sześćdziesięciu pięciu lat, śnieżnobiały kołnierz w stylu Piotrusia Pana i wełniane, za grube na tę pogodę spodnie. Jej włosy były czarne jak smoła zza płotu, a twarz mała i pobrużdżona. Artretyczne ręce położyła na kolanach. Czerwone tenisówki okrywały jej stopy, a z ramienia zwisała obszerna, zielona, plastikowa torebka. Kobieta ważyła najwyżej czterdzieści pięć kilo.

Ziemię pokrywały suche liście, które szeleściły pod butami. Basille wciąż gapiła się na trawnik, gdzie bawiły się dzieci.

Drzewa uformowały swego rodzaju ogrodzenie, które rzucało głęboki cień na pobliski teren.

Na trawie leżało kilka odrąbanych pni. Na jednym z nich, z głową na papierowej torbie, spał jakiś

Murzyn. Tuż obok dwie kobiety w wieku Rolandy grały na gitarach i śpiewały.

Stanąłem przed panią Basille.

Podniosła wzrok i klapnęła dłonią o pieńek.

Usiadłem. Od strony dwóch gitarzystek dobiegały dźwięki muzyki. Jakaś narodowa pieśń w obcym języku.

– Siostry Stepne – oznajmiła. – Są tu przez cały czas. Śmierdzą. Widziałeś kiedyś zdjęcie mojej córki?

– Tylko w gazecie.

– Nie było najlepsze. – Otworzyła swoją ogromną torebkę, poszperała chwilę i wyciągnęła średnich rozmiarów kopertę. Wydobyła trzy kolorowe fotografie i wręczyła mi.

Profesjonalne portrety. Rebecka Basille siedząca w białym, wiklinowym krześle na tle górskiego strumyka. Ubrana w niebieską sukienkę. Na szyi sznur pereł. Szeroki uśmiech.

Wspaniałe zęby. Bardzo ładna; delikatna budowa ciała i okrągłe ramiona. Brązowe włosy były długie, lśniące i zakręcone na końcach, a oczy pełne humoru.

– Bardzo piękne – skomentowałem.

– Ona była piękna – oznajmiła Rolanda – zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz.

Wyciągnęła rękę. Oddałem zdjęcia. Kiedy schowała je w torebce, rzekła.

– Po prostu chciałam, żebyś zobaczył, jaką była osobą. Ale nawet zdjęcie tego nie oddaje.

Nie lubiła się fotografować. Jako dziecko była dość grubiutka, ale twarz zawsze miała piękną.

Skinąłem głową.

– Kilka mil stąd – mówiła Basille – zauważyłam zranionego ptaka. Becky zabrałaby go do domu. Kartony po butach, bawełniane piłeczki, oprawki po okularach. Próbowала uratować wszystko; robaki, takie małe, szare, pomięte; jak się one nazywają?..

– Dzikuny ziemniaczane?

– Tak. Mole, karaluchy, cokolwiek. Wszystko by ratowała. Kiedy była naprawdę mała, biegała tutaj i krzyczała, żeby nikt nie ścinał trawnika, ponieważ to boli trawę.

Usiłowała się uśmiechnąć, ale zaczęły się jej trząść usta. Zakryła je dłonią.

– Rozumiesz, o czym mówię? – zapytała wreszcie.

– Tak, rozumiem.

– Nie zmieniała się nigdy. W szkole od razu zajęła się wyrzutkami. Zwracała się z pomocą do każdego, kto był inny albo skrzywdzony. Czasami myślę, że czuła sympatię do krzywdy.

Znów poszperała w torebce. Znalazła okulary słoneczne i założyła je.

– Rozumiem, dlaczego poświęciła się pracy socjalnej – stwierdziłem.

– Dokładnie. Zawsze uważałam, że będzie coś takiego robić. Zawsze podejrzewałam, że pielęgniarstwo albo praca socjalna byłaby dla niej idealna. Ale oczywiście, jeżeli coś im się mówi, to robią zupełnie odwrotnie. Dopiero po długim czasie zrozumiała, czego chce. Nie poszła do koledżu. Trochę pracowała jako kelnerka, potem jako sekretarka. Moje pozostałe dzieci były inne. Naprawdę zdecydowane. Syn jest ortopedą w Reno, a starsza córka pracuje w banku w St. Louis. Jest asystentką wiceprezydenta.

– Becky była najmłodsza?

Skinęła głową.

– Dziewięć lat różnicy pomiędzy nią i Kathy; jedenaście między nią i Carlem. Miałam czterdzieści jeden lat, kiedy się urodziła, a jej ojciec był pięć lat starszy ode mnie. Odszedł od nas zaraz po urodzinach Becky. Zostawił mnie z trójką dzieciaków. Był cukrzykiem, ale nie

przestawał pić wody. Zaczynał tracić wzrok i czucie w nogach. W końcu odcięli mu parę kończyn. Z jednym ramieniem i bez palców u stóp zdecydował, że nadszedł dla niego czas na ponowne życie kawalerskie. Wariactwo, nie?

Pokręciła głową.

– Przeniósł się do Tahoe. Potem to już nie trwało długo – kontynuowała – Becky miała dwa lata, kiedy umarł. Przez cały ten czas nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości. Aż nagle rząd zaczął mi przysyłać jego rentę weterana... Myślisz, że to spowodowało, że była tak podatna na zranienia? Brak – jak się to mówi – ojcowskiej ręki?

– Jakie były te słabe punkty Becky?

– Za bardzo wierzyła ludziom – delikatnym ruchem dłoni wygładziła kołnierzyk. – Z miejsca chciała ratować przegranych. Wierzyła w każdą bzdurną historyjkę.

– Jakich przegranych?

– Zranione ptaki, ludzi, o których myślała, że zdoła ich naprawić. Chciała naprawić cały świat.

Jej ręce zaczęły się trząść i schowała je pod torebkę. Siostry Stepne śpiewały teraz głośniej.

– Zamknąć się! – warknęła w ich stronę.

– Ci przegrani źle ją traktowali?

– Przegrani – powtórzyła, jakby nie słyszała, co mówiłem – wielki poeta, który nie mógł pochwalić się żadnym poematem, banda muzyków wyłącznie z nazwy. Nigdy mężczyźni, zawsze mali chłopcy. Cały czas łajałam ją za ślepe uliczki, w jakie się zapuszczała, ale w końcu to i tak nie miało najmniejszego znaczenia, prawda?

Uniosła okulary i przetarła oko jednym palcem. Założyła szkła z powrotem i powiedziała:

– Nie musisz zresztą tego słuchać, masz własne problemy.

Zobaczyłem swoje odbicie w jej szklach.

– Wydajesz się miłym, młodym człowiekiem, który wysłuchuje moich zrzędzeń. Uratowałeś kiedyś jakieś robale?

– Może parę razy.

Uśmiechnęła się.

– Założę się, że nie więcej niż parę. Pewnie nakłuwasz dziury w pokrywach słoików, żeby te stworzenia miały czym oddychać, co? Jestem pewna, że twoja matka też kochała te wszystkie pełzające po domu pluskwiaki.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Mam rację, prawda? Ja powinnam być psychologiem.

– Istotnie. To przywodzi na myśl dawne wspomnienia – wyznałem.

– Pewnie. Wszyscy chcecie zmieniać świat. Jesteś żonaty?

– Nie.

– Jesteś facetem z podobnym nastawieniem co Becky. Pasowałbyś do niej. Moglibyście razem ocalić świat. Ale szczerze mówiąc prawdopodobnie nie spodobałbyś się jej – bez obrazy, jesteś po prostu za bardzo... ułożony. To komplement, wierz mi – poklepała mnie po kolanie i zmarszczyła brwi. Przykro mi z powodu tego, co przechodzisz. Uważaj na siebie. Jeżeli coś ci się stanie, twoja matka będzie wciąż i wciąż umierać. Ty odejdziesz, a ona będzie umierała każdego dnia, rozumiesz?

Zacisnęła dłoń na moim kolanie. Skinąłem głową.

– Jeżeli coś by ci się stało, twoja matka leżałaby w łóżku i rozmyślałaby o tobie wciąż, wciąż i wciąż. Zastanawiając się, jak bardzo cierpiałeś. Zastanawiając się, co myślałeś, kiedy to się wydarzyło. Dlaczego spotkało to jej dziecko, a nie czyjeś inne. Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Więc uważaj.

– Właśnie dlatego tu jestem – odparłem – żeby się bronić.

Zdjęła okulary. Oczy miała tak rozszerzone, że białka wyglądały prawie jak brązowe.

– Gritz. Nie. Nie wspomniała nigdy słowem o kimś takim. Ani o Silku czy Merinosie.

– Czy kiedykolwiek mówiła o Hewitcie?

– Nie. W zasadzie to nie.

Wydawała się zastanawiać. Nie poruszyłem się ani nie odezwałem.

Surowe oczy zaszły wilgocią.

– Raz napomknęła o nim, może tydzień albo dwa przed. Mówiła, że leczy naprawdę szaloną osobę i że jej pomaga. Mówiła, że to biedny, chory facet, któremu naprawdę chce pomóc. Ze to schizofrenik słyszający jakieś głosy. Nikt inny nie potrafił mu pomóc, ale ona myślała, że może.

Zaczynał jej ufać.

Splunęła na ziemię.

– Czy określała go po imieniu?

– Nie. Zaznaczyła, że nie wolno jej wymieniać żadnych imion. Wielkie postępowanie według reguł.

Przypomniawszy sobie zwięzłe notatki Becky i jej rezygnację z konsultacji z Jean, powiedziałem:

– Prawdziwa pedantka, co?

– Taka była Becky. W szkole jej nauczyciele zawsze powtarzali, że chcieliby mieć klasę pełną Rebeck. Nawet po przejściach z chłopakami nie zeszła nigdy z prostej drogi. Nie wciągała się w narkotyki, w nic. Właśnie dlatego oni nie...

Pokręciła głową. Założyła z powrotem okulary i odwróciła się do mnie tyłem. Pomiędzy cienkimi kosmykami farbowanych włosów widać było jej kark – pokryty wątrobianymi plamami, ze zwiotczałą obwisłą skórą.

– Dlatego oni nie co? – zapytałem.

Przez chwilę nie odpowiadała.

– Dlatego nie zostawali przy niej długo. Zawsze ją opuszczali. Możesz to zrozumieć? Ci, którzy mieli się rozwieść, zawsze wracali do swoich żon. Ci, którzy jechali pociągiem, zawsze z niego wyskakiwali. I zostawiali ją. Była dziesięć razy lepsza od każdego z nich, ale oni zawsze ją zostawiali. Możesz to pojąć?

– Oni byli tymi niestabilnymi – stwierdziłem.

– Dokładnie. Przegrani, zapędzeni w ślepy zaułek. Potrzebowała kogoś o wysokich walorach, ale tacy jej nie pociągali. Tylko ci straceńcy.

– Czy była zaangażowana w jakiś związek, kiedy umarła?

– Prawdopodobnie. Nie wiem. Ostatni raz widziałam ją kilka dni przed. Wpadła, żeby przynieść mi trochę rzeczy do prania. Zapytałam, jak tam jej życie towarzyskie, ale nie chciała o tym mówić. Oznaczało to pewnie, że związała się z kimś i wiedziała, że nie pochwalę tego związku. Martwiłam się o nią. Nie rozmawiałyśmy wiele. Skąd miałam wiedzieć, że to był ostatni raz? Że powinnam cieszyć się każdą minutą spędzoną z nią?

Ramiona Rolandy zadrżały.

Dotknąłem jednego z nich. Gwałtownie się poruszyła.

– No dobra, wystarczy. Nienawidzę tego marudzenia. Dlatego zrezygnowałam z uczestnictwa w grupie rekonwalescencyjnej, którą polecał twój przyjaciel Sturgis. Za dużo umartwiania się nad sobą. Tymczasem nie zrobiłam jeszcze nic dla ciebie.

Głowę miałem pełną przypuszczeń i podejrzeń. Fakt, że Becky przywiązywała się do różnego rodzaju straceńców umocnił mnie w przekonaniu do kluczowego znaczenia jej notatek.

Uśmiechnąłem się i oznajmiłem:

– Miło się z panią rozmawia.



– Z tobą również. Dostanę rachunek?

– Nie, pierwsza godzina jest darmowa.

– No, popatrzcie tylko. Przystojny, z cadillakiem i poczuciem humoru. Dobrze sobie radzisz, prawda? Finansowo?

– Nie narzekam. Znośnie.

– Mówisz raczej skromnie. Założę się, że radzisz sobie lepiej niż znośnie. Tego właśnie chciałam dla Becky. Bezpieczeństwa. Mówiłam jej, po co marnujesz swój czas na odwalanie brudnej roboty dla rządu? Dokończ studia, zrób jakąś licencję. Otwórz biuro w Beverly Hills i lecz grubasów albo te kobiety, które głodzą się na śmierć. Zarób trochę pieniędzy. Nie ma w tym żadnej zbrodni, zgadza się? Ale ona tego nie słuchała. Chciała wykonywać ważną pracę. Dla ludzi, którzy naprawdę potrzebują pomocy.

Pokręciła głową.

– Ratowanie robali – powiedziała prawie niedosłyszalnie. – Myślała, że ma do czynienia z jedną z tych ziemniaczanych pluskiew. Ale nie zauważyła skorpiona, który wdarł się do słoika.

## **Rozdział dwudziesty czwarty**

Opis Becky ściśle przestrzegającej życiowych reguł nie pasował do wspomnień Jean Jeffers.

Maczyna wizja mogła być nieco ubarwiona, jednak bez wątpienia szczerze mówiła o chronicznym pociągu Rebecki do przegranych.

Czy Becky przywiązała się w końcu do tego niewątpliwego szaleńca? Jak mocny był związek między nią a Hewittem?

I co za zwichrowana dynamika połączyła ich dwoje z Gritzem?

Parszywa miłość.

Obwinianie ofiary wprawiało mnie w zakłopotanie, ale zemsta wydawała się paliwem napędzającym tłoki mordercy. Musiałem się zastanowić, czy Becky nie była celem czegoś innego

niż nie planowanej psychozy.

Dojechałem do domu wyężdżając umysł. Nie zauważyłem żadnych nieznajomych pojazdów w promieniu dwustu metrów od bramy. Niepokój z ubiegłej nocy wydał mi się głupi; Robin pracowała, a pies tarosił nylonową kość.

– Właśnie dzwonił Milo z Santa Barbara – oznajmiła – numer leży w kuchni na kredensie.

Udałem się do kuchni i zatelefonowałem. Głos w słuchawce odpowiedział:

– Dział kartotek, słucham.

– Doktor Delaware, odpowiadam na telefon detektywa Sturgisa.

– Jedną minutkę.

Czekałem pięć.

– Sturgis.

– Cześć. Mam już za sobą rozmowę z matką Becky. Rebecka nie wymieniała nigdy żadnych nazwisk, ale mówiła o pomaganiu szalenie potrzebującemu psychotykowi, którym najprawdopodobniej był Hewitt.

– Żadnych napomnień o Gritzcu?

– Ani też o Silku czy Merinosie. Jedna rzecz mnie zaciekała. Rolanda powiedziała, że Becky lubiła nastawiać złamane skrzydła. Miała słabość do przegranych – ludzi, którzy wciągali ją w fatalnie kończące się związki. Jeżeli uznać Hewitta za takiego straceńca, to nasze podejrzenia, że łączyło ich coś poza zawodową płaszczyzną, okażą się słuszne. Choć nie wiem, czy to doprowadzi nas dokądkolwiek.

– Cóż, tutaj również nie idzie nam cudownie. Żadnych szkolnych kartotek w domu Katariny; albo ich nie przechowywała, albo zabójca dokładnie posprzątał. Mamy potwierdzenie, że Myra Evans i Myra Paprock to ta sama osoba. Nie znaleźliśmy nic o Rodneyu Shiplerze. Wedle świadczeń podatkowych pracował dla LA. United School District przez trzydzieści lat. Zaczął,

jak tylko wyszedł z wojska. Nie działał nigdy tutaj. Sprawdzalem to z okregiem S.B. Kompletnie  
zadnego związku ze szkołą de Boscha.

– A co z wakacjami? – zapytałem. Szkolny personel podejmuje czasami półetatowe zajęcia  
poza sezonem.

– W czasie letnich wakacji pracowal w L.A.

– Jak dlugo byl w wojsku?

– Piętnaście lat – w stopniu sierżanta, większość tego czasu spędził na Filipinach. Wzorowy  
przebieg służby. Żadnych kleksów w aktach.

– Doprowadził kogoś do szaleństwa.

– Nie wygląda, żeby kogoś ze szkoły. W zasadzie to nie możemy znaleźć niczego  
podejznanego, co wydarzyłoby się w tej szkole. Żadnych pożarów, zbrodni ani niczego, co  
mogłoby kogoś uprzedzić, Alex. Tylko kilka skarg na hałasy złożonych przez Bancrofta i jeden  
wypadek samochodowy. Co prawda wydarzył się, kiedy uczyła tam Myra Evans – w maju 1973,  
ale to był ewidentny wypadek. Jeden z uczniów ukradł szkolną ciężarówkę i zafundował sobie  
przejażdżkę. Przy Riviera wyleciał z górskiej drogi. Zginął na miejscu. Departament policji z  
Santa Barbara przeprowadził dochodzenie i nie odkrył nic podejznanego.

– Ile miał lat?

– Piętnaście.

– Wypadek samochodowy na górskiej drodze – powtórzyłem – Grant Stoumen został  
potrącony przez samochód, a Mitchell Lerner zepchnięty ze skały.

– To trochę abstrakcyjne, Alex.

– Może nie, jeśli dopasujemy do siebie pewne rzeczy, to uzyskamy to, co składa się na  
sposób rozumowania zabójcy.

Pauza.

- Wiesz o tym więcej ode mnie, ale dlaczego koncentrować się na szkole, jeżeli mamy ofiarę zupełnie z nią nie związaną? Nie znaleźliśmy żadnego związku z de Boschem.
- Shipler mógł być związany z sympozjum.
- W jaki sposób? Woźny zajmujący się psychologią jako hobby? A może zamiatał salę po konferencji?
- Może chodzi tu o kwestię nazistowską. Shipler był czarny, a de Bosch był zagorzałym rasistą.
- Dlaczego ktoś wkurwiony na rasizm miałby zatłuc czarnego mężczyznę?
- Nie wiem. . ale jestem pewien, że de Bosch to jądro całej sprawy. Szkoła – to wszystko. Merinos powiedział Harrisonowi, że sympozjum coś w nim pobudziło. Może to publiczne wychwalania zasług de Boscha, podczas gdy on wiedział, że prawda jest zupełnie inna.
- Możliwe, ale jak dotąd, szkoła ma czystą kartotekę.
- Bancroft uważał, że było to siedlisko antyspołeczników.
- Bancroft nie jest najbardziej wiarygodnym świadkiem. Sally twierdzi, że sływał z despotycznych rządów, a w porównaniu ze swoim ojcem był pluszowym misiem. Obydwaj mieli specyficzny stosunek do de Boscha, ponieważ przelicytował starego Bancrofta w przetargu ziemi, na której wybudował później szkołę. Kiedy de Bosch kupił w sześćdziesiątym drugim grunt, próbowali zbuntować przeciwko niemu sąsiadów. Ale nikt na to nie przystał, ponieważ Bancroftom przez lata udało się skutecznie zniechęcić do siebie miejscowych.
- Sąsiadom nie przeszkadzała szkoła dla dzieciaków z problemami?
- Nie palili się do tej idei, ale pusty teren martwił ich o wiele bardziej. Przychodzili tam włóczędzy, rozpalali ogniska, rozrzucali śmieci i robili ogólny bajzel. Bancroft senior targował się z właścicielem kilka lat. Składał oferty, wycofywał je, nic z tego nie wynikało. Według sąsiadów szkoła de Boscha była lepszym wyjściem. Spokój, cisza, żadnych problemów.

- Nie licząc piętnastolatka w kradzionej ciężarówce.
  - Jeden wypadek w ciągu dwudziestu lat, Alex. Biorąc pod uwagę, że de Bosch zajmował się dziećmi emocjonalnie nie zrównoważonymi, to czy nie uważasz, że to całkiem niezłe?
  - Powiedziałbym, że wyśmienicie. Wyjątkowo. Jedyнным sposobem na utrzymanie takiego porządku jest ostra dyscyplina. Bardzo ostra dyscyplina.
- Milo przeciągle westchnął.
- Pewnie to możliwe. Ale jeśli de Bosch prowadził izbę tortur, to dlaczego nie było żadnych skarg?
  - Pięć martwych osób to dość oczywista skarga.
  - Okay. Ale jeżeli szukasz motywu zemsty, to spójrz na Bancrofta. Przez ponad dwadzieścia lat nosił w sobie urazę do de Boscha. Nie znaczy to wcale, że latał po stanie i mordował wszystkich z nim związanych.
  - Może jemu również powinniście się przyjrzeć.
  - Tak zrobimy – odparł zmęczonym głosem – już mu się przyglądamy. Tymczasem bądź ostrożny. Przykro mi, Alex. Chciałbym, żeby te cholerne kawałki do siebie pasowały, ale całość okazuje się beznadziejnie pogmatwana.
  - Jak w prawdziwym życiu – stwierdziłem. – Coś nowego w sprawie Katariny?
  - Koroner nie potrafi się nadal zdecydować, czy po otrzymaniu ciosów w twarz była przytomna, czy nie. Jej dziecko miało dwadzieścia dwa tygodnie. Płeć męska, rasa kaukaska. Dzwoniłem do banku spermy. Nie sprawdzą nawet, czy była ich klientką. Prawdopodobnie możemy z Sally wysupłać trochę informacji. Tak przy okazji, czy Robin przenosi się do nas? Rick nie widzi problemu poza Roverem, przepraszam, Spikiem. Ma alergię na psy. Ale jeśli Robin bardzo chce zabrać pieszczoła ze sobą, to może zażyć trochę antystryminy i...
  - Nie będzie musiał – oznajmiłem – Robin upiera się przy zostaniu ze mną.

– To na pewno przez twój urok... Cóż, nie martw się, jestem pewien, że jesteście bezpieczni.

– Mam nadzieję.

Powiedziałem mu o światłach stopu, które widziałem ubiegłej nocy.

– Tylko światła, nic zabawniejszego?

– Tylko światła. Potem samochód odjechał.

– Która była godzina?

– Około dziewiątej czterdzieści pięć.

– Jakies inne auta w pobliżu?

– Kilka.

– To chyba nic poważnego. Jeżeli zauważysz coś dziwnego, to zadzwoń na posterunek Beverly Hills; oni bronią swoich obywateli.

– Tak zrobię. Dzięki za wszystko... Ten chłopak, który zjechał ze skały, jak się nazywał?

– Upierasz się, hę? – wydał z siebie przeciągły śmiech – Delmar Parker. Pochodził z New Orleans.

– Na co był leczony w szkole?

– Nie wiem. Nie ma kompletnego policyjnego raportu, ponieważ sprawę zamknięto po śledztwie i odesłano do akt. Mieliśmy szczęście, że znaleźliśmy je w biurze koronera...

Zobaczmy... nazwisko, data, wiek, przyczyna śmierci – liczne urazy i wewnętrzne krwotoki, miejsce urodzenia: N'Awleens... rodzic lub opiekun... no, jest; matka... Marie A. Parker.

– Jakiś adres?

– Nie. A co? Chcesz odgrzebać następnego?

– Nie – odrzekłem. – Nie chcę niczego odkopywać, wierz mi. Po prostu krążę po omacku,

Milo.

Cisza.

– Okay. Spróbuję, ale nie licz na to. Upłynęło sporo czasu. Ludzie się przenoszą. Ludzie umierają.

Udawałem, że wszystko jest w porządku. Zjedliśmy z Robin lunch przy basenie. Przejrzyste, cudowne niebo zbierało siły na odparcie ataku nadciągającej ze wschodu mglistej chmury.

Styl życia bogatych i pełnych strachu.

Horror i gniew nadal krążyły mi po kościach. Ale kiedy pomyślałem o ludziach spod autostrady, momentalnie doceniłem własne położenie. Zadzwonił telefon. Moja operatorka oznajmiła:

– Zamiejscowa rozmowa, doktorze Delaware. Z Nowego Jorku. Jakiś pan Rosenblatt.

– Pan, nie doktor?

– Tak się przedstawił.

– Okay – powiedziałem – dawaj go.

Dokonała połączenia, ale nikt nie odpowiedział na moje halo. Kilka sekund później na linię weszła jakaś młoda kobieta i głosem biznesmena zapytała:

– Schechter, Mohl i Trimmer. Z kim chce pan rozmawiać?

– Z panem Rosenblattem.

– Chwileczkę.

Za moment męski głos oznajmił:

– Rosenblatt.

– Mówi doktor Delaware.

Odchrząknął.

– Doktorze Delaware, nazywam się Joshua Rosenblatt. Jestem praktykującym obrońcą, tutaj, w Nowym Jorku, i dzwonię prosić pana, żeby przestał pan niepokoić telefonami moją matkę, doktor Shirley Rosenblatt.

– Dzwoniłem, ponieważ niepokoję się o pana ojca.

– Wobec tego nie ma się pan o co niepokoić.

– Czy wszystko z nim w porządku?

Cisza.

– Czy wszystko z nim w porządku? – powtórzyłem.

– Nie. Tak bym tego nie ujął. – Pauza. – Mój ojciec nie żyje.

Czułem, jak uchodzi ze mnie powietrze.

– Przepraszam. Bardzo mi przykro.

– Niech tak będzie, jeśli może, doktorze Delaware...

– Kiedy to się stało? Cztery lata temu?

Długa cisza. Chrząknięcie.

– Naprawdę nie chcę do tego powracać, doktorze.

– Czy wyglądało to na wypadek? – zapytałem – jakiś rodzaj upadku? Coś związanego z samochodem? Czy gdzieś przy zwłokach pozostawiono napis „parszywa miłość”?

– Doktorze – zaczął, ale jego głos załamał się na drugiej sylabie. Potem rzekł: – Już raz przez to przechodziliśmy. W tej chwili nie ma sensu rozgrzebywać całej sprawy.

– Grozi mi niebezpieczeństwo – wyznałem. – Może ze strony tej samej osoby, która zabiła pańskiego ojca.

– Co?!

– Dzwoniłem, ponieważ usiłowałem ostrzec pana ojca, i ogromnie mi przykro, że jest już za późno. Spotkałem go tylko raz, ale polubiłem. Wydawał się naprawdę poczciwym facetem.

Długa pauza.

– Kiedy go pan spotkał? – zapytał łagodnie.

– W siedemdziesiątym dziewiątym, tutaj w L.A. Wspólnie przewodniczyliśmy konferencji



dotyczącej zdrowia psychicznego. Sympozjum nadano tytuł „Dobra miłość/niedobra miłość, Strategie w Zmieniającym się Świecie”. Był to hołd złożony nauczycielowi pańskiego ojca, doktorowi Andreasowi de Boschowi.

Żadnej odpowiedzi.

– Panie Rosenblatt?

– To wszystko nie ma sensu.

– Był pan z nim na tej wycieczce – kontynuowałem – nie pamięta pan?

– Jeździłem z ojcem na mnóstwo wycieczek.

– Wiem – odparłem – mówił mi. Sporo o panu opowiadał. Powiedział, że był pan jego najmłodszym dzieckiem. Lubił pan hot-dogi i gry wideo. Chciał pana zabrać do Disneylandu, ale zimą park zamykają wcześniej, więc zasugerowałem, byście się wybrali do Santa Monica.

Pojechaliście tam?

– Hot-dogi – powiedział jeszcze bardziej osłabłym głosem – i co z tego? O co chodzi?

– Myślę, że ta wycieczka ma związek z jego śmiercią.

– Nie, nie, to szaleństwo. Związek z rokiem siedemdziesiątym dziewiątym?

– Pewien rodzaj długoterminowego spisku mającego na celu zemstę wyjaśniłem. – Coś powiązanego z Andreasem de Boschem. Osoba, która zamordowała pańskiego ojca, zabiła też wielu innych ludzi. Co najmniej pięciu, a może więcej.

Podąłem mu nazwiska, daty i miejsca.

– Nie znam żadnego z tych ludzi – oznajmił – to szaleństwo. To doprawdy nienormalne.

– Istotnie. Ale to prawda. Ja mogę być następny. Muszę porozmawiać z pana matką. Zabójca mógł podejść pańskiego ojca, podając się za pacjenta. Jeżeli ona nadal przechowuje stare księgi wizyt, mogłaby...

– Nie, ona nie ma nic. Niech ją pan z tego wyłączy.

– Moje życie jest w niebezpieczeństwie. Dlaczego pana matka nie może ze mną porozmawiać? Dlaczego sama do mnie nie zadzwoniła?

– Bo nie jest w stanie – odpowiedział ze złością. – Nie może rozmawiać z nikim. Miesiąc temu miała wylew. Od paru tygodni czuje się lepiej, ale nadal jest słaba.

– Przykro mi, ale...

– Proszę posłuchać. Mnie również jest przykro z powodu tego przez co pan teraz przechodzi. Ale w zaistniałej sytuacji nie wiem, co mogę dla pana zrobić.

– Pozwolić mi na rozmowę z matką.

– Ale ona jest słaba. Naprawdę słaba. Rozmowa z nią o moim ojcu. . Właśnie zaczęła rehabilitację i robi postępy, doktorze Delaware. Nie mogę pozwolić, by ją przesłuchiowano.

– W ogóle pan jej nie powiedział, że dzwoniłem?

– Troszczyć się o nią. To wymaga podejmowania decyzji.

– Rozumiem – odparłem – ale wcale nie chcę jej przesłuchiwać. Chcę tylko z nią porozmawiać. Zadać kilka pytań. Wszystko z wyczuciem. Mogę przylecieć do Nowego Jorku, jeżeli to pomoże, i spotkać się z nią twarzą w twarz. Odbędę tyle sesji, ile ona potrzebuje.

– Zrobiłby pan to? Przyleciał aż tutaj?

– Mam jakiś wybór?

Słyszałem, jak westchnął.

– Nawet w takim przypadku – powiedział – to zbyt ryzykowne. Nie mogę na to przystać.

– Popracuję z jej lekarzami, panie Rosenblatt. Ustalę moje pytania z nimi i z panem. Uprawiam swój fach od wielu lat. Wiem, co to choroba i okres rekonwalescencji.

– Dlaczego sądzi pan, że wie o czymś, co mogłoby panu pomóc?

– W obecnej sytuacji jest moją ostatnią nadzieją, panie Rosenblatt. Łajdak, który na mnie poluje, nabiera prędkości. Wczoraj zamordował kogoś w Santa Barbara – córkę de Boscha. Była

w ciąży. Rozpruł jej brzuch. Obrał sobie za cel usunięcie zarodka.

– Och, Boże..

– Stara się mnie podejść – powiedziałem. – Szczerze mówiąc, to będę w Nowym Jorku bezpieczniejszy. Tak czy inaczej, przylecę w każdej chwili.

Kolejne westchnięcie.

– Wątpię, czy ona może panu pomóc, ale zapytam.

– Naprawdę doce...

– Proszę mi jeszcze nie dziękować. Nie obiecuję niczego. I niech pan mi prześle faksem swoje listy uwierzytelniające wraz z referencjami.

– Nie ma problemu – odrzekłem. – Jeżeli pana matka nie zechce porozmawiać ze mną, proszę zapytać, czy wie cokolwiek o terminie „parszywa miłość”. I czy pański ojciec mówił o czymś niecodziennym związanym z konferencją z siedemdziesiątego dziewiątego. Może pan też rzucić kilka nazwisk: Lyle Gritz, Dorsey Hewitt, Silk, Merinos.

– Kim oni są?

– Hewitt to zabójca – zamordował terapeutkę w L.A. i został zastrzelony przez policję. Gritz był jego przyjacielem, a może też współnikiem. Możliwe również, że to właśnie on zabił pana ojca. Silk i Merinos to prawdopodobnie pseudonimy.

– Fałszywe nazwiska? – zapytał. – To wszystko takie dziwne.

– Jeszcze jedna rzecz – dodałem – nad sprawą pracuje detektyw z LAPD, Milo Sturgis.

Zamierzam poinformować go o morderstwie pańskiego ojca. On skontaktuje się z nowojorską policją i poprosi o akta.

– To panu nie pomoże – stwierdził. – Proszę mi wierzyć.

## **Rozdział dwudziesty piaty**

W dziale kartotek nie było już Milo, Numer Sally Grayson odebrała policjantka, która nie

widziała jej cały ranek i nie miała pojęcia, gdzie podziewał się Sturgis. Zostawiłem wiadomość i zacząłem się zastanawiać, dlaczego Joshua Rosenblatt był tak pewny, że działanie policji nie pomoże.

Moja oferta wyjazdu do Nowego Jorku była dosyć spontaniczna, ale może coś wynikłoby z rozmowy z Shirley Rosenblatt.

Pojechałbym tak szybko jak to możliwe. Robin musiałaby wyprowadzić się natychmiast.

Spojrzałem na taflę basenu. Kilka zwiędłych liści pływało na powierzchni.

Kto czyścił ten zbiornik? Jak często?

Niewiele wiedziałem o tym miejscu.

Nie wiedziałem, kiedy będę mógł je opuścić.

Wstałem, gotowy, by wyruszyć do Beverly Hills w poszukiwaniu telefaksu. Kiedy wsunąłem portfel do kieszeni spodni, zadzwonił telefon. Głos operatorki oznajmił:

– Pan Buclear chce z panem mówić, doktorze.

– Połącz go.

Klik.

– Doktorze? Sherman Buclear.

– Witam.

– Otrzymał pan moją korespondencję?

– Tak, otrzymałem.

– A ja nie dostałem żadnej odpowiedzi, doktorze.

– Stwierdziłem, że nie było w niej nic, na co miałbym odpowiadać.

– Mam powody wierzyć, że zna pan miejsce aktual...

– Nie znam.

– Może pan to udowodnić?

– A muszę?

Pauza.

– Doktorze, albo rozmawiajmy w cywilizowany sposób, albo sprawy mogą się skomplikować.

– Komplikuj je gdzie indziej, Sherman.

– Zaraz, chwi...

Rozłączyłem się. Zanim mogłem odłożyć słuchawkę, ponownie na linię weszła moja sekretarka, informując o telefonie z Nowego Jorku.

– Doktor Delaware? To znowu ja, Josh Rosenblatt. Moja matka chce z panem porozmawiać, ale muszę pana ostrzec. Ona nie zniesie wiele. Kilka minut na jeden raz. Nie mówiłem jej o żadnych szczegółach. Wie tylko, że znał pan ojca i uważa, iż go zamordowano. Może nie mieć panu nic do powiedzenia. Może tylko zmarnuje pan czas.

– Zaryzykuję. Kiedy mógłbym przyjechać?

– Co jest dzisiaj? Wtorek... Piątek, nie, całe weekendy musi spędzać w łóżku. Chyba najlepiej w czwartek.

– Jeżeli złapałbym samolot dziś wieczorem, to co pan myśli o jutrze?

– Jutro? W porządku. Ale to musi być po południu. Rano poddaje się terapii, a potem drzemie. Niech pan przyjdzie do mojego biura. 5 Avenue, apartament 500. Schechter, Mohl i Trimmer. Trzydzieste trzecie piętro. Przesłał mi już pan swoje dane?

– Właśnie wychodzę, żeby to zrobić.

– Świetnie, ponieważ uważam to za warunek wstępny. Jeśli wszystko będzie okay, spotkamy się, powiedzmy, o drugiej trzydzieści.

Znalazłem odpowiedni zakład na Canon Drive i przefaksowałem moje dokumenty do Nowego Jorku. Wróciłem do domu. Zdecydowałem się odłożyć na później rozmowę z Robin.

Zadzwońiłem do linii lotniczych i zabukowałem miejsca na lot o dwudziestej drugiej. Zapytałem urzędniczkę o lokalizację hoteli w Nowym Jorku.

– W centrum miasta? Naprawdę nie wiem, sir, ale mógłby pan spróbować w Middleton.

Zatrzymują się tam agenci naszego towarzystwa, ale to raczej drogi hotel. Oczywiście, wszystko w Nowym Jorku jest drogie, chyba że chce pan nocować w jakiejś norze.

Podziękowałem jej i zadzwoniłem do Middleton. Mężczyzna z szalenię znużonym głosem wziął numer mojej karty kredytowej. Potem niechętnie zgodził się na zarezerwowanie pojedynczego pokoju za dwieście dwadzieścia dolarów za dobę. Podawszy cenę wydał z siebie dźwięk przypominający ziewnięcie.

Powiedziałem Robin najpierw o Harveyu Rosenblacie.

Kręciła głową i trzymała mnie za rękę.

– Cztery lata temu – dodałem. – Kolejna wypełniona luka.

– Jak umarł?

– Syn nie wdawał się w żadne szczegóły. Ale jeżeli zabójca był konsekwentny, to prawdopodobnie miało to związek z samochodem albo jakimś upadkiem.

– Ci wszyscy ludzie... Mój Boże – zamknęła oczy, przyciskając moją dłoń do policzka. W garażu rozniósł się zapach kleju, kawy i pyłu. Pies głośno i miarowo oddychał.

Czułem, jak przywarł do mojej nogi. Spojrzałem na jego szeroką, płaską mordę. Kilka razy mrugnął i polizał mnie po rękę.

Powiedziałem Robin o planie lotu na wschód i zaproponowałem, żeby leciała ze mną.

– To nie miałoby sensu, prawda? – odparła.

– To nie będą wakacje, ale wyłącznie rozjąttrzanie ludzkiej tragedii. Zaczynam czuć się jak wampir.

Odwróciła wzrok. Spojrzała na swoje narzędzia pracy.

– Byłam w Nowym Jorku tylko raz, na rodzinnej wycieczce. Dotarliśmy aż do Niagara Falls.

Mama z tatą sprzeczcali się przez całą drogę.

– Ja nie byłem tam od czasów ukończenia szkoły.

Skinęła głową. Dotknęła i potarła mój biceps.

– Musisz jechać. Sprawy robią się coraz paskudniejsze. Kiedy chcesz lecieć?

– Myślałem o dzisiejszym wieczorze.

– Zawiozę cię na lotnisko. Kiedy zamierzasz wracać, żebym mogła cię odebrać?

– Zależy, czego się tam dowiem. Prawdopodobnie za dzień lub dwa.

– Masz się gdzie zatrzymać?

– Znalazłem hotel.

– Hotel – powtórzyła – ty sam w jakimś pokoju... – Pokręciła głową.

– Może zostaniesz z Milo i Rickiem, kiedy mnie nie będzie? Wiem, że to niepotrzebne, ale byłbym o wiele spokojniejszy.

Ponownie dotknęła mojej twarzy.

– Nie miałeś ostatnio za dużo spokoju, co? Pewnie, dlaczego nie.

Jeszcze kilka razy bezskutecznie próbowałem skontaktować się z Milo. Chciałem, żeby

Robin przeniosła się tak szybko jak to możliwe. Zadzwoiłem do domu Milo. Odebrał Rick.

Powiedziałem mu, że niebawem ich odwiedzimy.

– Zaopiekujemy się nią, Alex. Naprawdę przykro mi z powodu tego przez co przechodzisz.

Jestem pewien, że nasz wielki facet rozpracuje całą sprawę.

– Ja również jestem pewny. Czy pies będzie sprawiał problem?

– Nie, nie sędzę. Milo powiedział, że zwierzak jest przemiły.

– W mojej obecności Milo nigdy się nim nie zachwycał.

– Dziwi cię to?

– Nie.

Zaśmiał się.

– Masz rozległą alergię na psy, Rick?

– Nie wiem. Nie miałem nigdy psa. Ale nie martw się. Kupię trochę seldanu albo torbę podróżną. À propos, niedługo muszę jechać do Cedros. Kiedy planujecie się zjawić?

– Dziś wieczorem. Wiesz, kiedy wróci Milo?

– Wiem tyle co ty... Coś ci powiem. Zostawię klucz z tyłu domu. Na podwórzu rosną dwie palmy sago – nie byłeś tu od czasu naszych renowacji, prawda?

– Tylko raz, żeby zabrać Milo.

– Remont wyszedł świetnie... te palmy sago – wiesz, jak wyglądają?

– Takie pękate roślinki z liśćmi w kształcie mieczy?

– Dokładnie. Zostawię klucz pod gałęziami mniejszej, tej stojącej po prawej stronie. Milo zabiłby mnie, gdyby wiedział. Mamy też nowy kod alarmu, zmienia go co kilka miesięcy.

Podał pięć cyfr. Zapisałem je i jeszcze raz podziękowałem za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł. – Powinno być zabawnie, nigdy nie mieliśmy czworonogiego przyjaciela.

\* \* \*

Spakowałem trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Robin zrobiła to samo. Zabraliśmy psa na spacer po terenie posesji. Zmęczony zabawą stał się po pewnym czasie senny. Zostawiliśmy go odpoczywającego, a sami pojechaliśmy do miasta na wczesną kolację. W Cholesterol Palace na South Beverly Drive zamówiliśmy tłuste steki ze smażonymi ziemniakami. Zaserwowano nam dwie robocze porcje w cenach, na które żaden robotnik nie mógłby sobie pozwolić. Jedzenie wyglądało i pachniało wspaniale. Żołądek podpowiadał mi, że smakuje również znakomicie. Ale mimo to zmuszałem się do przeżuwania mięsa i połykałem je przez ściśnięte gardło.



O siódmej posprzątałyśmy dom na Benedict. Zabraliśmy psa i pozamykaliśmy wszystkie bramy. Odjechaliśmy w kierunku West Hollywood. Klucz znajdował się tam, gdzie Rick zapewniał, że go umieści. Leżał na ziemi pod karłowatym pnem sago. Resztę podwórza porastały rośliny odporne na suszę. Niewielką przestrzeń ograniczały wysokie ściany ze szczytami pokrytymi wyszczerbionymi kamieniami.

Wewnątrz, tak jak mówił Rick, dokonano wielu zmian: drewniane podłogi, skórzane fotele, szklane stoliki i szare płótno na ścianach. Pokój gościnny zdobiła sosnowa boazeria. Stare żelazne łóżko było świeżo pomalowane i przestawione. Na poduszce spoczywała biała róża. A na nocnej szafce leżała tabliczka szwajcarskiej czekolady.

– Jak słodko – skomentowała Robin, podnosząc kwiatek i obracając go w dłoni. – Tu jest jak w małej cudownej knajpce.

Na podłodze obok łóżka leżał stos gazet. Między czasopismami stała biała napełniona wodą miska, kawałek żółtego sera w plastikowym opakowaniu i kartka z napisem wykonanym przez Ricka: KĄCIK KUNDLA.

Pies od razu zajął się serem. Obwąchał kąsek, ale miał problemy z plastikowym opakowaniem. Wyjąłem ser i nakarmiłem buldoga.

Potem wyszedł na krótką penetrację podwórza.

– Za każdym razem, kiedy tu przychodzę, oni dokonują jakichś zmian oznajmiła Robin.

– Oni? Nie sądzę, Rob.

– Masz rację. Wiesz, czasami trudno sobie wyobrazić Milo mieszkającego w takim miejscu.

– Założę się, że je kocha. Ucieka od wszelkiej brzydoty, ale ktoś inny zajmuje się wykonaniem roboty.

– Pewnie masz rację – wszyscy powinniśmy tak uciekać, nieprawdaż?

O ósmej Robin zawiozła mnie na lotnisko. Kilka lat temu, przed olimpiadą, to miejsce

zostało przebudowane i obecnie zajmowało większy obszar niż dawniej. Mimo to czekaliśmy w korku, żeby dojechać do wejścia.

Przez dwie dekady burmistrz i rozlazła rada miejska nie dokonali zbyt wiele. Miasto pogrążone było w lichej rutynie.

Robin podjechała do krawężnika. Pies nie mógł wejść na terminal, więc pożegnaliśmy się w samochodzie. Czuję się zagubiony i zdenerwowany. Wszedłem do budynku.

Główny hol wypełniały tłumy osób. Ludzie wyglądali na roztrzępanych i zdesperowanych.

Ustawiłem się w kolejce do detektora metali. Poruszała się przeraźliwie wolno. Obsługa urządzenia nie wiedziała, dlaczego detektor gwizdem reaguje na jednego z pasażerów. Wreszcie ktoś wygłówkował, że źródłem pobudzającym zmysły maszyny są metalowe szkle przymocowane do kowbojskich butów faceta. Potem wszystko poszło sprawnie.

Dotarłem do szlabanu o dziewiętej piętnaście. Odebrałem kartę pokładową, odczekałem pół godziny i wreszcie zająłem miejsce w samolocie. Maszyna zaczęła kołować punktualnie o dziesiątej dziesięć. Z kilku tysięcy metrów nad ziemią L.A. nadal wyglądało jak wielka, okrągła taca. Potem otoczyła nas mgła. Potem ciemność.

Większość lotu przespałem. Co pewien czas budziłem się i czułem, jak zlewa mnie gorący pot.

Lotnisko Kennedy'ego było zatłoczone. Zdołałem szybko przebić się przez hordeę obładowanych bagażami podróżnych. Opuściwszy terminal złapałem taksówkę. Samochód pachniał gotowaną kapustą. Obowiązywał w nim zakaz palenia, o czym informowały liczne naklejki w językach: angielskim, hiszpańskim i japońskim. Kierowca miał jakieś niemożliwe do wymówienia nazwisko. Nosił niebieską komandoską bluzę i biały kapelusz z otoczką, przypominający osiemnastowieczny melonik.

– Do hotelu Middleton – rozkazałem. – Na 52 Ulicy.

Wymamrotał coś pod nosem i bardzo wolno odjechał. Z autostrady dojrzałem fragmenty Queens. To co zauważyłem, było niskie, stare, ceglane, chromowane i pokryte różnego rodzaju graffiti. Wjechaliśmy na Queensboro Bridge. Woda była cudownie spokojna. Zarys sylwetki Manhattanu budził strach i niepokój.

Middleton był dwudziestopiętrowym granitowym budynkiem ściśniętym między dwoma biurowcami. Odźwierny wyglądał na osobę w wieku emerytalnym. Korytarz był elegancki i pusty.

Mój pokój znajdował się na dziesiątym piętrze, a rozmiarami przypominał celę śmierci.

Wypełniały go kolonialne meble i uszczelniały ciemne rolety w oknach. Czysty i uporządkowany, ale pachniał pleśnią. Oprawiona w ramki fotografia upolowanej przepiórki wisiała nad łóżkiem. Obok stało ciężkie metalowe urządzenie klimatyzacyjne. Od strony okien dolatywały stłumione dźwięki ulicznego hałasu.

Żadnej róży na poduszce.

Rozpakowałem bagaż. Przebrałem się w szorty i T-shirt. Zamówiłem angielską bagietkę za trzy dolary i jajecznicę za pięć. Później nakręciłem numer hotelowej operatorki i poprosiłem o budzenie o pierwszej. Jedzenie dostarczono zaskakująco szybko. Jeszcze bardziej zdumiał mnie fakt, że było smaczne.

Kiedy skończyłem, odłożyłem tacę na biurko ze szklanym blatem. Następnie ściągnąłem narzutę i wskoczyłem do łóżka. Na nocnej szafce leżał pilot telewizora. Z filmowego programu dowiedziałem się, że mam do wyboru około trzydziestu stacji telewizji kablowej. Wybrałem ostatni, z reklamowanych. Na ekranie ukazał się pękaty nagi mężczyzna rozmawiający z nagą kobietą. Miał wąskie ramiona i owłosione ciało.

– Okay, Velvet – powiedział łypnąwszy okiem – więc... co robisz, żeby... uch... dobrze się bawić?

Przeraźliwie chuda blondynka z haczykowatym nosem i silnie kręconymi włosami dotknęła swojej piersi i odrzekła.

– Szydełkuję.

Wyłączyłem odbiornik.

Zgasiłem światło. Rolety dobrze spełniały swoje zadanie. Moje serce było tak ciemne jak ten pokój.

## **Rozdział dwudziesty szósty**

Uprzedziłem zamówione budzenie o ponad godzinę. Wziąłem prysznic, ogoliłem się i ubrałem. Podciągnąłem żaluzje. Moim oczom ukazał się widok stojącego po drugiej stronie ulicy budynku z czerwonej cegły. Za oknami wieżowca mężczyźni w białych koszulach i krawatach siedzieli przy biurkach, mówili do słuchawek i wymachiwali piórami. W dole, na ulicy, tłoczyły się szeregi aut. Wyły klaksony. Ktoś pracował młotem pneumatycznym. Czulem zapach miasta, nawet przez zamknięte okna.

Zadzwoiłem do Robin o dziewiątej czasu L.A. Powiedzieliśmy sobie, że każde z nas czuje się świetnie, a potem na linię wszedł Milo.

– Powiedz szczerze, stary – rzekł – to wyprawa detektywistyczna czy ucieczka?

– Chyba po części jedno i drugie. Dzięki za opiekę nad damą i włóczęgą.

– Nie ma sprawy. Mam trochę nowych informacji o panu Gritz. Tropiłem go aż do małego miasteczka w Georgia. Właśnie skończyłem rozmawiać z tamtejszym szefem policji. Wygląda na to, że Lyle był dziwnym dzieckiem. Głupkowato się zachowywał, śmiesznie chodził, mówił do siebie i nie miał żadnych przyjaciół. Więcej przebywał poza szkołą niż w klasie. Nie nauczył się nigdy dobrze czytać ani poprawnie mówić. Jego życie domowe również nie toczyło się najlepiej. Żadnych danych na temat ojca. Mieszkał tylko z matką w przyczepie na peryferiach miasta.

Zaczął pić i łądować się w kłopoty. Kradzieże, napady, wandalizm. Od czasu do czasu wdawał

się w bójkę z kimś większym i silniejszym, i kiepsko na tym wychodził. Szeryf mówi, że często zamykał chłopaka do pudła, ale Lyle nie wydawał się tym przejmować. Więzienie było dla niego równie dobre jak dom albo nawet lepsze. Przywykł do siedzenia w celi. Śpiewał i gadał do siebie, jakby żył we własnym świecie.

– To wygląda bardziej na wczesne oznaki schizofrenii niż na rozwój psychopatycznego zachowania – stwierdziłem. – Poryw młodzięczego wieku też pasuje do schizofrenicznego wzorca. Nie pasuje natomiast ten rodzaj wykalkulowania, z którym mamy do czynienia. Czy taki facet mógłby się wkręcać na naukowe sympozjum? Czy przez lata planowałby zemstę?

– Nie bardzo. Ale może zmienił się, kiedy dorósł; nabrał wyrafinowania.

– Pan Silk – rzekłem.

– Może jest dobrym improwizatorem. Zawsze był. Udawał świra nawet wtedy. Psychopaci tak robią, zgadza się?

– Istotnie – przyznałem – ale czy ten szeryf wygląda na faceta, którego łatwo oszukać?

– Nie. Powiedział, że dzieciak był wariatem, ale miał jedną zaletę. Muzyczny talent. Uczył się grać na gitarze, mandolinie, banjo i całym mnóstwie innych instrumentów.

– Drugi Elvis.

– Tak. I przez cały czas ludzie nawet myśleli, że coś z niego będzie. Potem nagle pewnego dnia wyjechał z miasta i słuch o nim zaginął.

– Kiedy to było?

– W 1970.

– Miał tylko dwanaście lat. Nikt nie wiedział, dokąd poszedł?

– Szeryf po raz kolejny przyłapał go za picie i jakąś burdę. Potem udzielił mu standardowego wykładu i dał kilka dolców na nowe ciuchy i fryzjera. Doszedł do wniosku, że jeśli chłopak będzie lepiej wyglądać, to będzie się lepiej zachowywać. Lyle wyszedł z posterunku i udał się

prosto na stację kolejową. Później szeryf dowiedział się, że wykorzystał pieniądze na zakup biletu w jedną stronę do Atlanty.

– Dwanaście lat – powtórzyłem. – Mógł krążyć po kraju i wylądować w Santa Barbara w szkole de Boscha. Francuz lubił działalność charytatywną. To poprawiało image szkoły.

– Żałuję, że nie mogę zdobyć akt tej cholernej szkoły. Nikt tam nie ma żadnych kartotek. Ani miasto, ani urząd stanowy.

– A co z aktami federalnymi? Jeżeli de Bosch zwracał się do rządu z prośbą o sponsorowanie dzieci, których nie było stać na leczenie, musiały zostać jakieś dokumenty.

– Nie wiem jak długo te agencje przechowują kartoteki, ale sprawdzę. Jak dotąd borykam się z historią życia tego drania. W Kalifornii pierwszy raz aresztowano go dziewięć lat temu. Do tego czasu żadnych wzmianek, więc minęła ponad dekada, zanim, po opuszczeniu Georgii, zaczął życie przestępcze na Zachodnim Wybrzeżu. Jeżeli capnęli go kiedyś na jakimś drobiazgu, to mogło nigdy nie trafić do krajowej sieci komputerowej. Ale nadal możesz się czegoś spodziewać. Jest zgniłym jajkiem, gdzie, do diabła, podziewał się przez te wszystkie lata?

– Może jakiś szpital psychiatryczny? – zasugerowałem. – Dwanaście lat i życie na własny rachunek. Bóg jeden wie, co mogło mu się zdarzyć. Mógł załamać się psychicznie i sfiksować. Albo, jeżeli przebywał w szkole w tym samym czasie co Delmar Parker, może obserwował jego śmierć i załamał się wtedy.

– To śmiałe przypuszczenie, że Delmar i Gritz się znali.

– Istotnie. Ale jest kilka czynników, które mogłyby na to wskazywać. Byli w tym samym wieku, obydwaj pochodzili z Południa i przebywali daleko od domu. Może Gritz wreszcie znalazł przyjaciela. Może również maczał palce w kradzieży tej ciężarówki. Jeżeli uniknął śmierci i widział, jak umiera Delmar, to mógł doznać poważnego załamania psychicznego.

– Więc teraz obwinia szkołę de Boscha i wszystkich z nią związanych? Pewnie, dlaczego

nie? Chciałbym tylko, żebyśmy mogli przestać spekulować. Umieszczenie Gritza w szkole, poznanie Delmara i tak dalej, i tak dalej...

– Jakieś postępy w szukaniu matki Parkera?

– Nie mieszka w New Orleans i nie zdołałem zlokalizować żadnych innych krewnych. A jak do tego pasuje ten Silk-Merinos? Dlaczego chłopak z Południa miałby przybierać latynoską ksywę?

– Merinos to typ wełny – powiedziałem – albo owcy; stada podążającego za pasterzem i błędnie poprowadzonego?

– Baa... – odezwał się Milo – kiedy planujesz spotkać się z synem Rosenblatta?

– Za kilka godzin.

– Powodzenia. I nie martw się. Tutaj wszystko gra. Panna Castagana dodaje uroku temu miejscu. Może ją zatrzymamy.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Dlaczego nie? Kobieca ręka w obejściu, te sprawy... A niech to; bestię też możemy zatrzymać. Dookoła trawnika wybudujemy palisadę. Będziemy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną.

\* \* \*

Nowy Jork był równie przejrzysty i czysty jak akwaforta: widać było wszystkie zaułki, okna, spadziste dachy i skórzane paski błękitnego nieba.

Spacerując zatłoczonymi ulicami miasta, kierowałem się w stronę 5 Avenue, do firmy prawniczej.

Okna wystawowe sklepów błyszczały jak diamenty. Ludzie pędzili w pogoni za własnymi interesami. Co kilkanaście metrów pojawiał się spryciarz z trzema kartami. Okrzykami zachęcał do gry. Zbierał szybki profit, a potem zniknął w tłumie. Uliczni sprzedawcy reklamowali różne

głupie zabawki, tanie zegarki, turystyczne mapy i książki bez obwolut. Bezdumni kulili się pod drzwiami budynków. Na ich szyjach zwisały tekturowe kartki z różnymi napisami. Wyciągali ręce z papierowymi kubkami i spoglądali błagalnym wzrokiem. Było ich o wiele więcej niż w L.A., ale wydawali się należeć do części rytmu tego miasta.

Numer 500 na 5 Avenue był sześćsetmetrową wieżą z okrągłym westybulą, całym w granicie i marmurze. Przybyłem na miejsce godzinę przed umówionym spotkaniem. Zacząłem zastanawiać się, co zrobić z wolnym czasem. W ulicznej budce kupiłem hot-doga i jedząc go obserwowałem tłum.

Potem zauważyłem bibliotekę publiczną na rogu 42. Przemierzyłem szerokie, kamienne schody i wszedłem do budynku.

Po krótkim czasie znalazłem czytelnię czasopism. Zacząłem sprawdzać nowojorskie magazyny sprzed czterech lat w poszukiwaniu nekrologu Harveya Rosenblatta. Nie znalazłem żadnej wzmianki, ale godzina upłynęła szybko.

Pomyślałem o miłych manierach psychiatry, o jego otwartości; o sposobie, w jaki mówił o żonie i dzieciach i o nastolatku, który lubił hot-dogi.

W ustach nadal czułem smak zjedzonej przed chwilą parówki. Kwaśny i gorący.

Moje myśli pomknęły do dwunastoletniego chłopca, odjeżdżającego z rodzinnego miasta do Atlanty.

Życie dało w kość im obu, ale Josh okazał się bardziej odporny na ciosy. Ruszyłem, by zobaczyć, w jakim stanie przetrwał.

Dekorator Schechtera, Mohla i Trimmera był zdecydowanie tradycjonalistą: rzeźbione, dębowe boazerie; masywne gzymsy; na podłogach wełniane makaty. Biurko recepcjonistki było ogromnym, orzechowym antykiem. Recepcjonistka natomiast elementem wybitnie



współczesnym: dwadzieścia parę lat, naturalna blondynka, twarz jak z „Vogue”; włosy upięte z tyłu i piersi wystarczająco ostre, by zwrócić na siebie uwagę.

Sprawdziła listę umówionych spotkań.

– Proszę usiąść – oznajmiła. – Pan Rosenblatt za chwileczkę pana przyjmie.

Czekałem dwadzieścia minut. Wreszcie drzwi wewnętrznego gabinetu otworzyły się i do recepcji wkroczył wysoki, dobrze wyglądający młody mężczyzna.

Wiedziałem, że miał dwadzieścia siedem lat, ale wyglądał na studenta koledżu. Miał długą twarz i ciemne kręcone włosy. Nos wąski i ostro zarysowany podbródek. Nosił czarny jak węgiel garnitur, białą koszulę i czerwono-perłowy krawat. Dostrzegłem także jedwabną chustkę do nosa i złotą szpilkę w klapie marynarki. Jeżeli prawo zaczęłoby go nudzić, mógłby pozwać do katalogu Brooks Brothers.

– Doktor Delaware, Josh Rosenblatt.

Żadnego uśmiechu. Wyciągnięcie ręki. Miażdżący uścisk dłoni.

Udałem się za nim. Minąwszy ćwierć akra sekretarek, szafek z aktami i komputerów, dotarliśmy do szerokiej ściany z mnóstwem drzwi. Jego znajdowały się tuż po lewej. Na wypolerowanej, dębowej deseczce zauważyłem mosiężne litery nazwiska Josha.

Biuro młodego Rosenblatta nie było większe od mojej hotelowej klitki. Jedna ze ścian była szklana i roztaczał się przez nią widok na miasto. Tuż obok wisiały dwa dyplomy z Uniwersytetu Columbia i Certyfikat Phi Beta Kappa. W jednym rogu stała leżanka ze sztangą. Wszędzie piętrzyły się stosy dokumentów; nawet na jednym z dwóch krzeseł stojących przed biurkiem. Zająłem miejsce na tym pustym. Rosenblatt zdjął marynarkę i rzucił ją na blat. Miał szerokie ramiona, masywną klatkę piersiową i duże ręce. Usiadł, bacznie mnie obserwując.

– Jakiego rodzaju prawem się pan zajmuje? – zapytałem.

– Biznesem.

– Uczestniczy pan w procesach?

– Tylko kiedy muszę złapać taksówkę – nie jestem jednym z tych facetów działających poza sceną. Taki mol w garniturze.

Kilkakrotnie zabębnił dłonią o blat biurka. Wciąż gapił się na mnie.

– Taka sama twarz jak na zdjęciu – rzekł wreszcie. – Spodziewałem się kogoś starszego – bardziej w... wieku taty.

– Doceniam poświęcony przez pana czas. Kogoś, kogo pan kochał, zamordowano...

– Nie został zamordowany – odparł prawie warcząc. – Przynajmniej nieoficjalnie. Oficjalnie popełnił samobójstwo. Rabin w akcie zgonu napisał „wypadek”, więc ojciec mógł zostać pochowany razem z rodzicami.

– Samobójstwo?

– Poznał pan mojego tatę – czy wyglądał na nieszczęśliwą osobę?

– Raczej wprost przeciwnie.

– Słusznie. Cholernie przeciwnie. – Jego twarz poczerwieniała. – On kochał życie – naprawdę wiedział, jak się dobrze bawić. Żartowaliśmy, że nigdy tak do końca nie dorósł. To czyniło z niego dobrego psychiatrę. Był tak szczęśliwym człowiekiem, że inni psychiatrzy opowiadali o tym anegdoty. Harvey Rosenblatt – jedyny, przystosowany psychiatra w Nowym Jorku.

Wstał i spojrzał na mnie.

– Nie popadał nigdy w depresję. Był najmniej markotną osobą, jaką kiedykolwiek znałem. I wspaniałym ojcem. W domu, przy nas nie odgrywał nigdy psychologa. Grał ze mną w piłkę, chociaż szło mu to nie najlepiej. Niezależnie od tego, co robił, zawsze był gotów odłożyć to, by cię wysłuchać. I my o tym wiedzieliśmy. Cała nasza trójka. Widzieliśmy, jacy są inni ojcowie i docenialiśmy go. Nigdy nie uwierzyliśmy, że się zabił. Ale oni wciąż to powtarzali, ta cholerna

policja. „Dowody są oczywiste”. Wciąż i wciąż, jak muzyka z uszkodzonej płyty.

Przeklął i uderzył dłonią w blat.

– Są biurokratami, jak wszyscy inni w mieście. Przeszli od punktu A do punktu B, znaleźli C i powiedzieli „dobranoc, czas iść do domu”. Więc wynajęliśmy prywatnego detektywa; kogoś, kto pracował dla firmy. I on poszedł tą samą drogą co policja i powtórzył nam dokładnie to samo co oni. Chyba powinienem cieszyć się z tego, że pan jest tutaj i mówi mi, że nie postępowaliśmy jak wariaci.

– Co według nich się stało? – zapytałem. – Kraksa samochodowa, czy jakiś rodzaj upadku? Gwałtownie cofnął głowę, jakby unikając ciosu. Spojrzał na mnie. Zaczął rozluźniać krawat, ale zmienił zdanie i ściągnął węzeł mocniej. Chwyciwszy marynarkę, zarzucił ją na ramiona.

– Wynośmy się stąd, do diabła.

– Jest pan w nastroju do spaceru? – zapytał lustrując mnie od stóp do głów.

– Jak najbardziej.

– To dwadzieścia przecznic stąd.

Ruszył przez tłum w kierunku śródmieścia. Podążyłem za nim, obserwując, jak prześlizgiwał się między przechodniami. Mknął jak kierowca wyścigowy. Czasami zeskakiwał z krawężnika i prawie biegł po jezdni. Patrzył wprost przed siebie; ostrym, czujnym spojrzeniem. Zauważyłem, że coraz więcej ludzi miało ten sam ostry błysk w oku. Tysiące ludzi toczących śródmiejską, chodnikową bitwę.

Oczekiwałem, że zatrzyma się na 65, ale on mknął dalej, aż do 67. Skręciwszy na wschód podprowadził mnie do ośmiopiętrowego budynku z czerwonej cegły, usytuowanego pomiędzy dwoma budowlami z szarego kamienia. Na parterze znajdowały się gabinety lekarskie. W wykuszu po prawej stronie mieściła się francuska restauracja. Przy krawężniku parkowało kilka limuzyn.

Wskazał dłonią w górę.

– Tutaj to było. Apartament na ostatnim piętrze, taak... Powiedzieli, że stamtąd wyskoczył.

– Czyje to mieszkanie?

Wciąż gapił się w górę. Potem opuścił wzrok i spojrzał na chodnik. Dokładnie naprzeciwko było okno dermatologa. Na parapecie stała doniczka z geranium. Josh wydawał się studiować urodę kwiatów. Kiedy odwrócił się do mnie, wyraz bólu zmroził jego rysy.

– To już historia mojej matki – odparł.

Shirley i Harvey Rosenblatt pracowali tam, gdzie mieszkali – w wąskiej kamienicy z potężną bramą wejściową. Trzy piętra, dużo geranium, klon rosnący przy krawężniku.

Josh wydobył pęk kluczy i jednym z nich otworzył bramę. Sufit holu był w kolorze włoskiego orzecha, podłogę pokrywały sześciokątne brukowe płytki, a na końcu korytarza widać było podwójne, szklane drzwi i windę. Ściany były świeżo pomalowane na beżowo. Jeden róg zajmowała rozłożysta palma, w drugim stało krzesło, Ludwik XIV.

Trzy mosiężne skrzynki pocztowe wisiały na północnej ścianie. Numer jeden oznajmiał:

ROSENBLATT. Josh otworzył skrzynkę i wyjął plik kopert. Potem rozsunął szklane drzwi. Za nimi rozciągał się mniejszy westybul z ciemną boazerią. W powietrzu unosił się zapach mydła i środków czyszczących. Jeszcze jedno szklane drzwi i kolejna mosiężna tabliczka z napisem: SHIRLEY ROSENBLATT, PH.D.P.C. Nieco wyżej widać było puste miejsce – ślad po innej wizytówce.

Josh otworzył kolejny zamek – zaprosił mnie do środka. Wkroczyłem do wąskiego pustego holu, gdzie wisiało kilka malowideł Daumiera. Po lewej stronie stał drewniany wieszak, z którego zwisał płaszcz przeciwdeszczowy.

Pojawił się nagle szary, puszysty kot i zaczął się skradać po parkiecie w naszą stronę.

Joshua zrobił kilka kroków w jego kierunku i powiedział:

– Hej, Leo.

Kot stanął. Napiął ogon, rozluźnił i podszedł do Josha. Rosenblatt wyciągnął rękę. Kocur wywalił jęzor. Kiedy zauważył mnie, gwałtownie rozszerzył źrenice.

– W porządku, Leo. Nie bój się. – Chwycił zwierzę i uniósł je do piersi. Następnie zwrócił się do mnie. – Tędy.

Hol prowadził do małego saloniku. Po prawej znajdowała się jadalnia, umeblowana imitacją chippendale, po lewej kuchnia. Pomimo że story w oknach były uniesione, mieszkanie pogrążone było w mroku. Niewiele prostych mebli, kilka obrazów – nic rzadkiego ani drogiego. Wszystko idealnie uporządkowane.

Za salonikiem kolejny pokój; trochę większy i bardziej zaniedbany. Telewizor, proste krzesła, szpinetowe pianino; trzy ściany zastawione regałami i obwieszzone rodzinnymi zdjęciami.

Na czwartej drzwi wykute w kształcie łuku. Josh uchylił je i wetknął głowę w szparę.

– Dzień dobry – powiedział. Kot zamiauczał i Joshua opuścił go na ziemię. Zwierzę przez chwilę lustrowało mnie wzrokiem, a wreszcie znikło za kanapą.

Znowu dźwięk otwieranych drzwi. Josh zrobił krok w tył, kiedy w pokoju pojawiła się czarna kobieta w białym uniformie pielęgniarki. Miała około czterdziestki, okrągłą twarz, błyszczące oczy i krępa, ale zgrabną sylwetkę.

– Dzień dobry, panie Rosenblatt – powiedziała z zachodnioindiańskim akcentem.

– Selena – rzekł biorąc ją za rękę. – Jak ona się czuje?

– Wszystko jest idealnie. Zjadła obfite śniadanie i odbyła długą drzemkę. Robbie była o dziesiątej i prawie przez godzinę ćwiczyły.

– To dobrze. Śpi teraz?

– Nie – pielęgniarka przeniosła wzrok na mnie. – Czeka na pana.

– To jest doktor Delaware.

– Witam, doktorze. Selena Limberton.

– Miło mi. – Potrząsnęliśmy dłońmi.

Josh zapytał.

– Jadłaś już lunch?

– Nie – odparła pielęgniarka.

– Mogłabyś się teraz wybrać – zasugerował Rosenblatt.

Jeszcze przez chwilę rozmawiali o lekarstwach i ćwiczeniach. W tym czasie ja studiowałem rodzinne portrety. Skoncentrowałem się na jednym, przedstawiającym Harveya Rosenblatta w ciemnym trzyczęściowym garniturze. Przy nim stał młody, osiemnastoletni Josh z długimi włosami, krzaczastym wąsikiem i w okularach z czarnymi oprawkami. Obok piękna dziewczyna z pociągłą twarzą i kształtnymi policzkami. Trzy lub dwa lata starsza od Josha. Miała taki sam kolor oczu co on. Najstarszym dzieckiem był młody dwudziestoparoletni człowiek, który przypominał Josha, ale miał o wiele masywniejszy kark, potężniejszą sylwetkę, kręcone włosy i ciemną brodę.

Shirley Rosenblatt była drobna, urocza i błękitnooka. Miała krótko obcięte włosy, a na jej twarzy malował się uśmiech – pełny, ale delikatny. Ramiona kobiety były niewiele szersze od dziecięcych. Trudno było wyobrazić sobie, że urodziła to krzepkie trio.

Pani Limberton oznajmiła:

– W porządku, wrócę za godzinę – gdzie jest Leo?

Joshua rozejrzał się po pokoju.

– Myślę, że ukrywa się za sofą – powiedziałem.

Pielęgniarka podeszła do kanapy. Schyliła się i wyciągnęła kota. Ciało zwierzęcia było wiotkie. Głaszcząc go poinformowała ulubieńca:

– Jeśli będziesz się przyzwoicie zachowywać, przyniosę ci kurczaka.

Kot mrugnął oczami. Położyła go na kanapie. Podkulił ogon i przybrał czujną postawę.

– Nakarmiłaś rybki? – zapytał Joshua.

Uśmiechnęła się.

– Tak. Wszystko pozałatwiałam. I proszę nie martwić się żadnymi drobiazgami. Z mamą wszystko będzie w porządku. Miło było pana poznać, doktorze. Do widzenia.

Drzwi zamknęły się. Rosenblatt zmarszczył brwi.

– Nie martwić się? – powiedział. – Poszedłem do szkoły, żeby się nauczyć, jak się właśnie to robi.

## **Rozdział dwudziesty siódmy**

Wkroczyliśmy do kolejnego, małego pokoju z zasłoniętymi oknami. Shirley Rosenblatt wyglądała lepiej niż się spodziewałem. Leżała na szpitalnym łóżku. Białe prześcieradło zakrywało dolną część jej ciała. Miała wciąż blond włosy, choć teraz farbowane i nieco dłuższe niż na zdjęciu. Jej delikatna twarz w dalszym ciągu była pełna uroku.

Wiklinowa taca stała w rogu pokoju. Po jednej stronie łóżka znajdowało się bambusowe krzesło i sosnowy przybornik wypełniony buteleczkami perfum. Naprzeciwko, na drewnianym podium, stało duże akwarium. Cichutko bulgotał filtr wody. Piękne rybki prześlizgiwały się wśród miniaturowej rafy koralowej.

Josh ucałował matkę w czoło. Uśmiechnęła się i wzięła go za rękę. Prześcieradło osunęło się o kilka cali. Była ubrana we flanelową nocną koszulę, zapinaną na plecach. Na nocnej szafce znajdowały się: kolekcja butelek po pigułkach, plik gazet i gumowe kółko do ćwiczenia mięśni dłoni.

Ponownie uśmiechnęła się do Josha, a potem do mnie. Ujrzałem łagodne, niebieskie oczy, jakich nie odziedziczyło żadne z jej dzieci.

– Tutaj jest poczta – poinformował ją młody Rosenblatt – chcesz, żebym otworzył?

Potrząsnęła głową. Położył koperty na jej kolanach. Zignorowała paczkę i wciąż wpatrywała się we mnie.

– To jest doktor Delaware – oznajmił Joshua.

Przedstawiłem się i powiedziałem:

– Dziękuję, że wyraziła pani chęć na spotkanie ze mną doktor Rosenblatt.

– Shirley – głos miała słaby i wydawało się, jakby mówiła z dużym wysiłkiem. Mrugnęła kilka razy. Jej prawe ramię było nieco wyższe od lewego, a jedna z powiek trochę opadała.

Pocałowała rękę syna i rzekła.

– Możesz iść, kochanie.

Popatrzył na mnie, a później znów na matkę.

– Na pewno?

Skinęła głową.

– Okay, ale wracam za pół godziny. Wysłałem już panią Limberton na lunch i nie chcę, żebyś była zbyt długo sama.

– W porządku. Ona szybko je.

– Upewnię się, czy zostanie tu przez całe popołudnie. Ja prawdopodobnie nie przyjadę wcześniej niż przed siódmą trzydzieści. Mam dużo papierkowej roboty. Może być, czy chcesz jeść wcześniej?

– Nie, kochanie. Przyjdź o siódmej trzydzieści.

– Przynieść ci chińszczyznę?

Skinęła głową i uśmiechnęła się. Zwolniła uścisk na jego dłoni.

– Mogę też kupić coś tajlandzkiego, jeżeli masz ochotę. W tej restauracji na 56.

– Cokolwiek wybierzesz, zjem z chęcią. – Wyciągnęła obie ręce, a Joshua nachylił się, by ją uściskać.



Kiedy wrócił do pionu, powiedziała.

– Do widzenia, kochanie.

– Do widzenia, uważaj na siebie.

Rzucił mi jeszcze ostatnie spojrzenie, a później zniknął za drzwiami. Nacisnęła guzik i uniosła się w łóżku do pozycji siedzącej. Wzięła oddech i stwierdziła.

– Jestem szczęściarą. Praca z dziećmi. . Moje własne są wspaniałe.

– Jestem pewien, że to nie był wypadek.

Wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem... Tak wiele rzeczy jest dziełem przypadku.

Wskazała dłonią bambusowe krzesło.

Przysunąłem je do łóżka i usiadłem.

– Także dziecięcy terapeuta?

Skinąłem głową.

Sporo czasu zajęło jej dotknięcie ust dłonią. Kolejna chwila minęła, zanim pomacała swoją skroń.

– Wydaje mi się, że widziałam twoje nazwisko w kilku artykułach...

– To było wiele lat temu.

– Miło mi cię poznać – oznajmiła jeszcze słabszym głosem.

Nachyliłem się nad nią.

– Miałam wylew – dodała i spróbowała ponownie wzruszyć ramionami.

– Wiem – wyznałem – Josh mi powiedział.

Wyglądała na zdziwioną.

– Nie mówił tego zbyt wielu ludziom. Chroni mnie. Jest kochany. Wszystkie moje dzieci takie są. Ale Josh mieszka tutaj i dużo się widzimy...

– Gdzie są pozostali?

– Sarah jest w Bostonie. Uczy pediatrii na Tufts. David jest biologiem w Narodowym Instytucie Nowotworów w Waszyngtonie.

– Wszyscy za wszystkich – zażartowałem.

Uśmiechnęła się i zerknęła na akwarium. .

– Żyją na własny rachunek... Spotkałeś Harveya tylko raz?

– Tak.

Opowiedziałem jej, gdzie i kiedy.

– Harvey – rzekła, mocno akcentując słowo – był najmilszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Moja matka zwykła powtarzać, żebym nie poślubiła nikogo ani za wygląd, ani za pieniądze, bo obie te rzeczy mogą szybko zniknąć, więc najlepiej wyjść za kogoś miłego.

– Dobra rada.

– Jesteś żonaty?

– Jeszcze nie.

– A masz kogoś?

– Tak. I jest bardzo miła.

– To dobrze – zaczęła się śmiać, ale wydała z siebie tylko cichutki odgłos. Zdołała unieść jedną rękę i dotknąć swojej piersi. – Zapomnij o tytule doktora filozofii, jestem po prostu żydowską matką.

– Może te dwie rzeczy wcale tak się nie różnią?

– Nie... Różnią się. Zdecydowanie. Terapeuci nie osądzają, prawda? Albo przynajmniej udajemy, że tego nie robimy. Matki zawsze wydają sąd.

Spróbowała unieść kopertę leżącą na szczycie stosu korespondencji. Ujęła jeden z rogów i

zrezygnowała.

– Powiedz mi o moim mężu – poprosiła.

Zacząłem opowieść. Mówiłem o morderstwach, ale oszczędzałem jej drastycznych szczegółów. Kiedy doszedłem do części dotyczącej „parszywej miłości” i mojej teorii o zemście, zaczęła gwałtownie mrużyć powieki. Obawiałem się, że wywołałem u niej jakiś rodzaj nerwowej reakcji, ale kiedy przerwałem, powiedziała „mów dalej”. Tak też uczyniłem. Wydawała się teraz bardziej wyprostowana i wyższa. Zimne, analityczne światło błyszczało w jej oczach.

Terapeutka słuchała wyznań swojego pacjenta.

Dziś ja siedziałem na terapeutycznym krześle i otwierałem się przed tą drobną, kaleką kobietą.

Kiedy skończyłem, popatrzyła na nocną szafkę i poleciała.

– Otwórz tę środkową szufladę i wyjmij akta.

Wśród schludnie ułożonych swetrów, znalazłem czarno-białe, marmurowe pudełko. Kiedy chciałem podać go jej, powiedziała.

– Otwórz to.

Usiadłem obok Shirley i uniosłem wieko pudełka. Wewnątrz znajdował się gruby plik dokumentów. Na szczycie leżała doktorska licencja Harveya Rosenblatta.

Zacząłem przerzucać papiery.

Certyfikat rady psychiatrycznej. Akta własności rezydencji. Świadectwo z Instytutu Psychoanalizy Roberta Evansona z Manhattanu. Następny dyplom ze szpitala Southwick. List od rektora New York University potwierdzający kontynuację pracy Rosenblatta na posadzie profesora psychiatrii. Honorowy akt zwolnienia z wojska, które odsłużył jako chirurg-lotnik. Kilka polis ubezpieczeniowych na życie, jedna – wystawiona przez Amerykańskie Stowarzyszenie Psychiatrów.

Kiedy dotarłem do testamentu, Shirley Rosenblatt odwróciła wzrok.

Świadectwo zgonu. Formularze pogrzebowe.

– Powinno być następne – oznajmiła cichym głosem.

Następna była ostemplowana kolekcja skserowanych arkuszy. Na frontowej, białej stronie widniał napis: „Wgląd. Dochodź.”

Wyciągnąłem dokumenty z pudełka. Shirley z powrotem ułożyła się na poduszce; widziałem, że ciężko jej złapać oddech. Kiedy zacząłem czytać, zamknęła oczy.

Na drugiej stronie znajdował się policyjny raport. Autorem był detektyw Salvatore J.

Giordano z dziewiętnastego posterunku Borough of Manhattan, miasta Nowy Jork. Według jego opinii,

*popartej później przez Raport Inspektora Medycznego, sprawa 1453331, Rosenblatt H.A., mężczyzna, biały, wiek 59, zmarł w konsekwencji upadku z okna, oznaczonego na diagramie literą B, spod w/w adresu przy E.67 St., oraz następującego po nim kontaktu ciała z chodnikiem przed budynkiem w/w adresu.*

*Upadek był prawdopodobnie wynikiem zamiaru ofiary. W krwi denata nie stwierdzono wzmożonego procentu alkoholu ani żadnych ilości środków narkotyzujących. Nie znaleziono śladów świadczących o użyciu siły na zmarłym. Nie stwierdzono również żadnych śladów poślizgu na wykładzinie dywanowej i śladów samoobrony na okiennej ramie. W sumie nie znaleziono dowodów na przebywanie osób trzecich w danym miejscu podczas wyżej wymienionego zajścia. Zarejestrowano obecność: Szklanki Kuchennej A (patrz diagram) i Aparatu B (patrz diagram) odpowiadających formą do metody operacyjnej „Włamywacza East Side”.*

Diagram w dole strony ilustrował lokalizację drzwi, okien i mebli z pokoju, w którym

Harvey Rosenblatt spędził ostatnie swoje chwile.

Łóżko; dwie nocne szafki; dwie toaletki – jedna oznaczona „niska”, druga „wysoka”; telewizor, coś oznaczone jako „antyk” i stojak na gazety. Na jednej z szafek napisano: „Szkłanka A” i „Aparat B (akta i klucze)”. Strzałkami zaznaczono okno, z którego wypadł Rosenblatt. Następny paragraf opisywał pięciopokojowe mieszkanie, usytuowane na ósmym piętrze współdzielowego budynku. W czasie skoku Rosenblatta prawni właściciele i rezydenci – Mr i Mrs Malcolm J. Rulerad, (on-bankier, ona-prawniczka) przebywali na trzytygodniowych wakacjach w Europie. Żadne z nich nie spotkało nigdy *zmarłej Ofiary H. Rosenblatta i oboje świadkowie zgodnie twierdzą, że nie mają pojęcia, w jaki sposób Ofiara dostała się do wyżej wymienionego mieszkania. Jakkolwiek znaleziony w łazience wyżej wymienionego miejsca zamieszkania wytrych wskazuje na włamanie z wkroczeniem i fakt, że oddźwierny, pan William P.O'Donell, twierdzi, iż nie zauważyłby Ofiara wchodziła do głównego holu budynku, wskazuje na złodziejskie zamiary Ofiary. Szklanka A, zidentyfikowana przez panią Rulerad jako naczynie pochodzące z jej kuchni, była pełna ciemnego płynu, zidentyfikowanego jako dietetyczna pepsi-cola, i to odpowiada metodzie operacyjnej trzech wcześniejszych B. przypisywanych metodzie „Włamywacza East Side”. Chociaż Żona Ofiary zaprzecza kryminalnej historii, o którą została podejrzana Ofiara, która wedle niej była psychiatrą i nie prowadziła „drugiego życia”, to wedle zebranych dowodów Ofiara takie życie prowadziła, co wskazuje na prawdopodobny motyw Ofiary: wewnętrzne poczucie winy, powstałe na skutek braku możliwości uzewnętrznienia się, związanego z wyżej wymienionym „sekretnym życiem” Ofiary, będącej psychiatrą.*

Następne pół strony zajmował kolejny wywód detektywa Giordano, napisany tydzień później.

*„Sprawa 1453331, Rosenblatt H. Uzyskano pozwolenie żony na przeszukanie pomieszczeń mieszkalnych na E 65 St. odnośnie poszukiwania dowodów związanych ze śmiercią Ofiary.*

*Wyniki przeszukania prowadzonego 17/04/85 od 15:23 do 17:17 w asyście Det. B. Wildetranda i Oficera J. Mc Governy. Pomieszczenia domu i biur Ofiary przeszukano w asyście żony Ofiary Shirley Rosenblatt. Nie znaleziono żadnych form przypisanych modelowi „Włamywacza East Side”. Prośba o przeczytanie psychiatrycznych akt Ofiary odrzucona przez S. Rosenblatt. Temat zostanie skonsultowany z Szefem Det. A.M. Takisani.*

Następna strona została cztery tygodnie później napisana na innej maszynie i podpisana przez detektywa Lewisa S. Jacksona z dziewiętnastego posterunku.

\* \* \*

*Wzn. sprawy 1453331 Det. Giordano, dot. H.A. Rosenblatta. Żona Ofiary – Shirley Rosenblatt i syn – Joshua Rosenblatt, zażądali spotkania w celu ponownego zbadania sprawy. Rozmawiałem z nimi na Postk. Powiedziałem o dyspozycjach. W gniewie powiedzieli, że zostali „oszukani” w kwestii przeszukania domu. Syn oznajmił, że jest adwokatem i że zna „ludzi”. On i matka przekonani są o zab., nie samob. Syn stwierdził, że O. nie popadała nigdy w depresję i nie miała związku z działalnością „przestępczą”. Następnie oznajmił, iż „ten wypadek upozorowano”. Później stwierdził, że przed śmiercią O. rozmawiała ze swoją żoną o „niepokojącej sprawie, która mogła być związana z tym, co mu się przydarzyło”. Zapytany o szczegóły nie wiedział, gdyż O. była psychiatrą i nie ujawniała sekretów swojej pracy z powodu „etyki”. Kiedy powiedziałem, że na podstawie dowodów nic więcej się nie da zrobić, zirytował się jeszcze bardziej. Raport z konwersacji złożony Szefowi Dets. A.M. Takisani.*

Dwie końcowe strony zawierały list datowany półtora miesiąca później.

*USŁUGI DETEKTYWISTYCZNE COMSAC*

*513 Fith Ayenue*

*Apartament 3463*

*Nowy Jork, NY 10110*

30 czerwiec 1985

*Dr Shirley Rosenblatt*

*c/o J. Rosenblatt, Esq.*

*Schechter, Mohl i Trimmer*

*500 Fith Avenue*

*Gabinet 3300*

*Nowy Jork, NY 10110*

*Droga Dr Rosenblatt!*

*Zgodnie z pani prośbą zbadaliśmy akta i dowody związane z niefortunną śmiercią pani męża, łącznie ze szczegółowym sprawdzeniem wszystkich raportów ze sprawy, raportów medycznych i analiz laboratoryjnych. Przeprowadziliśmy również rozmowy z personelem policyjnym, który angażował się w sprawę.*

*Osobista inspekcja lokalu związanego z tą tragiczną śmiercią nie została w pełni przeprowadzona, ponieważ właściciele mieszkania, państwo Malcolm J. Rulerad nie wyrazili zgody na wejście naszych ludzi i zbadanie lokalu. Nie mniej uważamy, że zbadaliśmy wszystkie istotne fakty i ze smutkiem informujemy panią, że nie ma powodu wątpić we wnioski departamentu policji wysunięte w powyższej sprawie. Co więcej, biorąc pod uwagę specyficzne detale sprawy, nie radzimy, by dalej upierać się przy śledztwie.*

*Proszę skontaktować się, jeżeli nasuną się jakieś wątpliwości dotyczące tej sprawy.*

*Z szacunkiem*

*Robert D. Sugrue*

*Starszy Detektyw i Inspektor*

*RACHUNEK ZA WYŚWIADCZONE USŁUGI*

*Dwadzieścia dwie (22) godziny*

*Sześćdziesiąt pięć (65) dolarów za godzinę: 1.430.00*

*Minus 10% zawodowej bonifikaty*

*dla Schechter, Mohl i Trimmer: 1.287.00*

*Proszę uregulować tę sumę.*

Odłożyłem dokument.

Oczy Shirley Rosenblatt były szeroko otwarte i wypełnione łzami.

– To druga śmierć – powiedziała. – Ponowne zabicie go. – Potrząsnęła głową. – Cztery lata... ale nadal... właśnie dlatego Josh jest taki wściekły. Żadnego rozwiązania. A teraz przychodzisz ty...

– Ja...

– Nie – zdołała unieść palec do ust. Opuściła go i uśmiechnęła się. – To dobrze. Prawda wychodzi na jaw. – Uśmiech nieco szerszy, choć wymuszony. – Harvey jako włamywacz – dodała – to prawie zabawne. A ja nie mam siły już dłużej zaprzeczać. Żyłam z nim przez trzydzieści jeden lat.

Spojrzała na mnie oczekując potwierdzenia. Skinąłem głową. Ona pokręciła swoją:

– Więc jak się dostał do tego mieszkania? O to właśnie cały czas mnie pytali, a ja nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Został tam zwabiony – wywnioskowałem. – Prawdopodobnie dostał telefon od jakiegoś pacjenta. Od kogoś, komu chciał pomóc.

– Harvey – powiedziała i zamknęła oczy. Otworzyła je. – Policja powtarzała, że to samobójstwo. Wciąż, wciąż... Ponieważ Harvey był psychiatrą, jeden z nich, ten szef detektywów Takisani, powiedział, że wśród psychiatrów panuje wysoki czynnik popełnianych samobójstw. Potem poinformował mnie, że powinnam czuć się szczęśliwa, że dalej nie zagłębiali się w sprawę. Jeżeli zrobiliby to, wszystko wyszłoby na jaw.



– „Biorąc pod uwagę specyficzne detale sprawy” – powtórzyłem.

– To cytat tego prywatnego, Comsaca... Przynajmniej policja była dużo bardziej...

bezpośrednia. Takisani powiedział mi, że jeżeli będziemy dalej naciskać, to dobre imię Harveya zostanie obrzucone błotem. Cała rodzina będzie permanentnie obrzucana „błotem”. Wydawał się urażony tym, że nie chcieliśmy, by zamknął sprawę. Jakbyśmy byli przestępcami. Wszyscy robili wszystko, byśmy się tak czuli... a teraz przychodzisz ty i mówisz, że mieliśmy racje.

Ścisnęła dłonie.

– Dziękuję ci.

Oparła głowę na poduszce i ciężko oddychała przez spierzchnięte usta. Łzy wypełniły jej oczy i zaczęły spływać po policzkach. Otarłem je chusteczką. Dolna część ciała Shirley nadal pozostawała nieruchoma.

– Jestem taka nieszczęśliwa – oznajmiła – myśląc o tym znowu... wyobrażając to sobie. Ale cieszę się, że przyszedłeś. Dodałeś mi otuchy... Nam.

Przykro mi tylko, że musisz przechodzić przez ten ból. Naprawdę myślisz o jakimś powiązaniu z Andreasem?

– Tak.

– Harvey nigdy o niczym nie mówił.

– A ta niepokojąca sprawa, o której Josh mówił detektywowi Jacksonowi? – zapytałem.

– Pięć tygodni przed... – dwukrotnie głęboko odetchnęła – jadłam z Harveyem lunch.

Jadaliśmy razem prawie codziennie. Był wyraźnie zdenerwowany. Rzadko się denerwował; taki spokojny człowiek... Powiedział, że to przez jakąś sprawę, że bardzo się rozczarował po rozmowie z pacjentem.

Odwróciła się w moją stronę. Jej twarz drżała.

– Rozczarowany z powodu Andreeasa? – zapytałem.

– Nie wymówił imienia Andreasa... Nie podał żadnych szczegółów.

– Zupełnie żadnych?

– Nie rozmawialiśmy nigdy z Harveyem o takich sprawach. Ustaliliśmy tę regułę zaraz na początku naszego małżeństwa... Dwóch terapeutów... Tak łatwo się poślizgnąć. Mówisz sobie, że to... zawodowa konsultacja, a potem wymyka ci się więcej szczegółów niż to konieczne.

Wymykają się nazwiska... i później już rozmawiasz o swoich pacjentach na przyjęciach z przyjaciółmi.

Pokręciła głową.

– Zasady są najlepsze.

– Ale Harvey musiał ci powiedzieć coś, że zaczęłaś podejrzewać związek z jego śmiercią.

– Nie – odparła żałośnie. – W zasadzie to nie podejrzewaliśmy... Po prostu błędziliśmy po omacku. Szukaliśmy najdrobniejszych, niezwykłych detali. Żeby policja zrozumiała, że Harvey nie... Cała sprawa była taka psychotyczna, Harvey w apartamencie nieznajomego.

Wspomnienie wywołało na jej twarzy wyraz wstydu.

– Harvey nie znał właścicieli mieszkania, tych Rulerads? – zapytałem.

– To nikczemni ludzie. Dzwoniłam do tej kobiety i błagałam ją, żeby wpuściła prywatnego detektywa na oględziny. Nawet przeproszałam; sama nie wiem za co. Powiedziała, że mam szczęście, że nie upiera się przy oskarżeniu o włamanie.

Na długą chwilę zamknęła oczy i nie poruszała się. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie zasnęła. Nagle powiedziała.

– Harvey był tak przejęty... tym pacjentem. Właśnie to wzbudziło we mnie podejrzenia.

Nigdy nie angażował się w sprawy aż do tego stopnia. Być rozczarowanym... Andreasm? To bez sensu.

– De Bosch był jego nauczycielem, prawda? Jeżeli Harvey dowiedział się o nim czegoś

straszego, mogło go to rozczarować.

Smętnie, powoli skinęła głową.

– Jak bliski był ich związek? – zapytałem.

– Zwykła relacja między uczniem i nauczycielem. Harvey podziwiał Andreasa, chociaż uważał go za trochę... autorytatywnego.

– Autorytatywnego, w jaki sposób?

– Dogmatycznego w sytuacjach, kiedy był przekonany, że ma rację. Harvey widział w tym fałsz od czasu, gdy Andreas, który zawzięcie walczył przeciwko nazistom... pisał namiętne artykuły w obronie demokracji... a on sam postępował w sposób tak...

– Dyktatorski?

– Czasami. Ale Harvey nadal go podziwiał. Za to, kim był i co zrobił. Za ocalenie tych francuskich dzieci przed rządem; za pracę nad dziecięcym rozwojem. I był dobrym nauczycielem. Od czasu do czasu jeździłam na jego seminaria. Andreas wygłaszał mowy jak prawdziwy don. Mógł mówić godzinami i wciąż był zainteresowany tematem.. wplatał mnóstwo dowcipów. Czasami też przyprowadzał na sesje dzieci z sal. Miał dar, otwierały się przed nim.

– A co z Katariną? – dociekałem – Harvey mówił, że też uczestniczyła w spotkaniach.

– Istotnie... jako dziecko, nastolatka, ale przemawiała jakby była lordem. A teraz ona... i ci wszyscy ludzie... jak to możliwe?

– Czasem moc rozkazywania może pójść za daleko – stwierdziłem.

Jej policzki drgnęły. Potem wykrzywiła usta w delikatnym, nerwowym uśmiechu.

– Tak, nic nie jest takie, na jakie wygląda, prawda? Pacjenci mówią mi to od ponad trzydziestu lat, a ja kiwam głową i powtarzam: tak, rozumiem... Naprawdę chyba nie rozumiałam nigdy...

– Zglądałaś kiedyś do akt Harveya, próbując odgadnąć, który z pacjentów tak go zaniepokoił?

Posłała mi długie spojrzenie i skinęła głową.

– Używał kaset – powiedziała – nie lubił pisać, więc nagrywał. Nie pozwoliłam słuchać ich policji... w imię ochrony pacjentów. Ale później zaczęłam sama słuchać... Znalazłam sobie wymówkę: dla ich własnego dobra; byłam za nich odpowiedzialna, dopóki nie znajdą następnego, stałego terapeuty. Musiałam do nich dzwonić, zawiadamiać... Więc najpierw musiałam ich poznać. – Opuściła wzrok. – Kiepska wymówka.. ale słuchałam. Miesiące sesji, głos Harveya.. Czasami nie byłam w stanie tego znieść. Nie znalazłam nic, co mogłoby go rozczarować. Wszyscy pacjenci wydawali się jak starzy znajomi. Nie zajmował się nikim nowym od dwóch lat.

– Nikim?

Pokręciła głową.

– Harvey był staromodnym analitykiem. Terapeutyczna kanapa; wolne skojarzenia; długoterminowa, intensywna praca. Te same piętnaście osób, od trzech do pięciu razy w tygodniu.

– Nawet stary pacjent mógł powiedzieć coś niepokojącego.

– Nie – odparła – nie było nic takiego na żadnej z sesji. Żaden z tych pacjentów nigdy by go nie skrzywdził. Wszyscy go kochali.

– Co zrobiłaś z tymi kasetami?

Zamiast odpowiedzi oznajmiła.

– Był delikatny, tolerancyjny, pomagał ludziom. Wszyscy byli zdruzgotani.

– Przyjęłaś któregoś z tych pacjentów?

– Niece.. Przez długi czas nie byłam w formie do pracy. Nawet z własnymi pacjentami. . –

Kolejny raz spróbowała wzruszyć ramionami. – Wszystko się rozpadło... tak wielu ludzi zawiedziono. Dlatego nie rozgrzebywałam sprawy jego śmierci. Dla dobra moich dzieci i pacjentów, jego rozległej rodziny. Dla własnego dobra. Nie mogłam narażać nas na obrzucenie błotem. Rozumiesz?

– Oczywiście.

Ponownie zapytałem, co zrobiła z kasetami.

– Zniszczyłam je – odparła, jakby pierwszy raz słyszała pytanie – rozbiłam taśmy młotkiem..

jedną po drugiej... Co za bajzel... wszystkie wyrzuciłam. – Uśmiechnęła się – Katarsis?

– Czy Harvey tuż przed śmiercią uczestniczył w jakiejś konferencji? W zlocie albo seminarium psychiatrycznym na temat pomocy dzieciom?

– Nie. Dlaczego?

– Ponieważ możliwe, że profesjonalne mitingi pobudzają zabójcę do działania. Dwóch terapeutów zamordowano w trakcie trwania konferencji. Sympozjum de Boscha, na którym poznałem Harveya, prawdopodobnie dało początek tej serii morderstw.

– Nie – odrzekła – nie jeździł nigdzie. Zrezygnował ze wszystkich sympozjów. Odszedł z akademii. Zostawił posadę na uniwersytecie, żeby skoncentrować się na swoich pacjentach i rodzinie. Chciał też zająć się sobą. Jego ojciec umarł młodo na zawał. Harvey osiągnął już ten wiek, kiedy należy naprawdę zacząć dbać o zdrowie. Zdecydował się na stosowanie odpowiednich diet i uporządkowany tryb życia... Mówił, że chce być ze mną i z dziećmiakami jeszcze bardzo, bardzo długo.

Wykrzywiwszy usta, z wysiłkiem uniosła dłoń i opuściła ją na moją. Rękę miała zimną i miękką. Jej wzrok spoczął na akwarium.

– Czy możesz mi jeszcze coś powiedzieć? – zapytałem. – Cokolwiek?

Przez chwilę pomyślała.

– Nie... przykro mi, bardzo bym chciała.

– Dzięki za spotkanie – powiedziałem.

Jej ręka ważyła teraz tonę.

– Proszę, daj mi znać, jeżeli czegoś się dowiesz.

– Tak zrobię.

– Jak długo zostajesz w Nowym Jorku?

– Myślę, że będę wracać dziś wieczorem.

– Jeśli potrzebujesz miejsca na nocleg, to jesteś tutaj mile widziany. . jeżeli tylko nie masz nic przeciwko rozkładanej sofie.

– Bardzo miło z twojej strony – stwierdziłem – ale muszę wracać.

– Do swojej miłej kobiety?

– I do domu – odparłem, nie wiedząc, co dokładnie miałem na myśli.

Jeszcze bardziej natężył się jej uścisk.

Usłyszeliśmy dźwięk zamykanych drzwi, a później głos kroków. Wszedł Josh taszcząc ze sobą kota Leo. Spojrzał na nasze ręce i jego brwi opadły.

– Dobrze się czujesz? – zapytał matkę.

– Tak, kochanie. Doktor Delaware był wielce pomocny. Dobrze, że go przyprowadziłeś.

– Pomocny? W jaki sposób?

– Przyznał nam rację... co do taty.

– Świetnie – podsumował Josh, stawiając kota na podłogę. – Tymczasem ty nie masz dość odpoczynku.

Jej dolna warga opadła.

– Wystarczy tego wysiłku – dodał. – Proszę, musisz odpocząć.

– Nic mi nie jest, kochanie.

Poczułem delikatne szarpnięcie dłoni. Uniosłem rękę Shirley i umiejscowiłem na narzucie.

Wstałem z krzesła.

Joshua przeszedł na drugą stronę łóżka i zaczął poprawiać poślanie.

– Naprawdę musisz odpoczywać, mamó. Lekarz twierdzi, że to najważniejsze.

– Wiem... przepraszam... Tak zrobię, Josh.

– To dobrze.

Wydała szlochający odgłos. Łzy zachmurzyły delikatne, błękitne oczy.

– Och, mamó... – wykrzyknął.

Wyglądał teraz dziesięć lat starzej.

– W porządku, kochanie.

– Nie, nie; zachowuję się jak ostatni dupek, przepraszam. Miałem ciężki dzień.

– Opowiedz mi o tym.

– Wierz mi, nie zechcesz tego słuchać.

– Ależ chcę. Opowiedz.

Usiadł obok niej.

Uchyliłem drzwi i wymknąłem się z mieszkania.

## **Rozdział dwudziesty ósmy**

Zarezerwowałem miejsce na lot powrotny do L.A. Wepchnąłem ciuchy do torby i

poinformowałem automatyczną sekretarkę Milo i Ricka o czasie przylotu. Wymeldowawszy się z

Middletonu, ruszyłem taksówką na lotnisko Kennedy'ego.

Z powodu pożaru na Queens Boulevard dojazd do lotniska trwał godzinę i czterdzieści pięć

minut. Na miejscu dowiedziałem się, że lot jest opóźniony o ponad pół godziny.

Przy niektórych fotelach w poczekalni znajdowały się płatne odbiorniki telewizyjne.

Podróżni gapili się w ekrany, jakby przedstawiano na nich jakieś prawdziwe wydarzenia.

Wszedłem do lotniskowej restauracji i zamówiłem kanapkę z wołowiną oraz wodę sodową.

Jedząc, podsłuchałem rozmowę grupy sprzedawców. Ich poglądy były szalenie proste: ekonomia śmierdzi na kilometr, a kobiety nie wiedzą, czego chcą.

Wróciłem do strefy odlotów. Znalazłem wolny odbiornik telewizyjny i wrzuciłem ćwierć dolara do maszyny uruchamiającej urządzenie.

Jakaś lokalna stacja przekazywała wiadomości tak dobre, jak się tego spodziewałem.

Kotły erozyjne w Bronx; kampania reklamowa dotycząca używania prezerwatyw przez uczniów szkół publicznych; burmistrz toczący boje z radę miejską z powodu fatalnego zadłużenia.

Poczułem się jak w domu.

Jeszcze kilka lokalnych historyjek, a później głos dziennikarki oznajmił: „Według statystyk zmniejszyły się wydatki na cele konsumpcyjne, a komisja senacka prowadzi dochodzenie w sprawie odpowiedzialności jednego z synów prezydenta za marnotrawstwa. Z Kalifornii donoszą o stłumieniu buntu w więzieniu Folsom, który prawdopodobnie wywołany został podwójnym morderstwem na tle rasowym. Tego ranka dwóch białych więźniów zostało zadźganych przez członków meksykańskiego gangu »Neustra Raza«. Zamordowani, zidentyfikowani jako Rennard Russell Hanpt i Donald Dell Wallace, odsiadywali wyroki za zabójstwa. Dochodzenie w tej sprawie trwa...”

Neustra Raza. „Na zawsze”. Tatuże na rękach Roddy’ego...

Pomyślałem o firmie murarskiej Rodrigueza, wysprzątanej i szczelnie zaryglowanej.

Ewakuacja z domu na McVine była precyzyjnie przygotowana.

Evelyn zabawiała mnie na podwórzu, w czasie gdy kumple jej męża ostrzyli noże.

Umówiła się ze mną na środę, później weszła do domu z Roddym i zmieniła termin na czwartek.



Dwadzieścia cztery godziny więcej na ucieczkę.

Teraz wizyta Hurleya Kefflera w mojej posiadłości miała sens. Jak również pogródki Bucleara. Więzienne plotki doniosły prawdopodobnie Żelaznemu Zakonowi, na co się zanosi. Zlokalizowanie Rodrigueza mogło zapobiec uderzeniu, a przynajmniej dałoby Zakonowi natychmiastową możliwość zemsty.

Zemsta.

Ten sam, głupi, stary cykl gwałtu.

Narzędzia włamywacza i szybkie wypchnięcie z okna ósmego piętra.

Zwłoki na podłodze garażu. Mały chłopiec, który nigdy się nie narodzi.

Dwie uciekające dziewczynki.

Czy Chandra i Tiffani były teraz w jakimś przygranicznym, meksykańskim miasteczku i otrzymywały prywatne lekcje zachowania się uchodźcy? Czy robiono to z większą precyzją niż uczono ich czytania i pisania?

A może Evelyn zabrała je gdzieś, gdzie będą mogły swobodnie oddychać. Ale karmione piersią gwałtu na zawsze pozostaną inne. Wiele lat później nie zrozumieją, dlaczego mają skłonności do okrutnych, bezlitosnych mężczyzn.

Monotonny głos wylał się z głośników. Ktoś informował o odlocie. Wstałem i zająłem miejsce w szeregu.

Sześć tysięcy mil przebyte w mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Bolały mnie nogi i mózg. Zastanawiałem się, czy Shirley Rosenblatt będzie mogła jeszcze kiedyś chodzić.

Wkrótce znajdę się w odległości trzech stref czasowych od jej problemów i stanę twarzą w twarz z moimi własnymi.

Samolot wylądował tuż przed północą. Terminal był opustoszały. Robin czekała za automatycznymi drzwiami.

– Wyglądasz na wycieńczonego – stwierdziła, kiedy szliśmy do furgonu.

– Przychodzę do siebie.

– Mam trochę wiadomości, które mogą przyspieszyć ten proces. Na krótko przed przyjazdem tu, dzwonił Milo. Chodziło o kasetę. Wychodziłam już, a on też się spieszył, ale mówił, że dowiedział się czegoś ważnego.

– Ten szeryf, który pracował nad taśmą, musiał coś wymodzić. Gdzie jest teraz Milo?

– Poszedł na jakieś spotkanie. Powiedział, że jak przyjedziemy, będzie już w domu.

– W którym domu?

Pytanie zbiło ją z tropu.

– Och... u Milo. Razem z Rickiem naprawdę się o nas troszczyli. A dom jest tam, gdzie serce, prawda?

Spąłem w samochodzie. Zaparkowaliśmy pod rezydencją Sturgisa o dwunastej czterdzieści.

Czekał w salonie, ubrany w szarą koszulkę i dżinsy. Przed nim, obok przenośnego magnetofonu, stała filiżanka kawy. Pies chrapał u jego stóp. Kiedy weszliśmy, obudził się. Wykonał kilka chaotycznych ruchów językiem, a następnie znowu zapadł w drzemkę.

– Witamy w domu, dziewczęta i chłopcy.

Postawiłem torby.

– Słyszałeś o Donaldzie Dellu?

Milo skinął głową.

– Co? – zapytała Robin.

Powiedziałem jej, a wtedy cicho jęknęła.

– Neustra Raza. Mógł być ojcem chrzestnym – stwierdził detektyw.

– Właśnie tak pomyślałem. Prawdopodobnie dlatego Evelyn przełożyła spotkanie ze mną.

Rodriguez powiedział jej, że muszą wyjechać w środę. I dlatego też napadł mnie Hurley Keffler...

Co z nim?

– Dalej siedzi. Znalazłem kilka nowych dowodów, a jeden ze strażników zgubił trochę dokumentów. Tylko parę dni, ale zawsze coś.

– To się nigdy nie skończy – wywnioskowała Robin.

– Nie ma obaw – rzekłem – Zakon nie powinien nas niepokoić.

– Zgadza się – poparł mnie Milo, ale zrobił to zbyt szybko. – Żelazny Zakon i Raza skoncentrują się teraz na sobie. To ich podstawowa religia: moja kolej, by umrzeć; twoja kolej, by umrzeć.

– Cudownie – skomentowała Robin.

– Kilku chłopaków z Foothill odwiedziło ich zaraz po tej historii z Kefflerem – dodał Sturgis

– ale zobaczę, czy uda mi się zorganizować następną wizytę. Nie powinnaś się nimi martwić,

Rob. Naprawdę. Są najmniejszym z naszych problemów.

– W przeciwieństwie do?

Policjant zerknął na magnetofon.

Usiedliśmy. Nacisnął odtwarzanie.

Odezwał się dziecięcy głos.

*Niedobra miłość, niedobra miłość.*

*Nie dawaj mi tej niedobrej miłości.*

Spojrzałem na niego. Uniósł palec.

*Niedobra miłość, niedobra miłość.*

*Nie dawaj mi tej niedobrej miłości.*

Te same płytkie tony, ale tym razem był to głos mężczyzny.

Zwykły, umiarkowanie niski, męski głos. Nic nadzwyczajnego w barwie dźwięku ani w akcencie.

Przetransformowany głos dziecka – jakiś rodzaj elektronicznej manipulacji?

Coś znajomego w tym głosie... ale nie potrafiłem tego określić.

Ktoś, kogo spotkałem dawno temu? W 1979?

Nie licząc dyszenia psa, w pokoju panowała cisza.

Milo wyłączył magnetofon i popatrzył na mnie.

– Jakieś skojarzenia?

– Tak, ale nie potrafię ich skonkretyzować – odpowiedziałem.

– Śpiew dzieciaka był sztuczny. Głos, który właśnie słyszeliście, to może być ten prawdziwy niedobry facet. Nigdzie nie dzwoni, hę?

– Puść to raz jeszcze.

Przewijanie. Play.

– Jeszcze raz – zażądałem.

Teraz słuchałem z zamkniętymi oczami. Ścisnąłem powieki tak, że wydawały się zlepione na wieki. Słuchałem kogoś, kto mnie nienawidził. Żadnych skojarzeń.

Robin i Milo studiowali wyraz mojej twarzy, jakby oglądali cudowne objawienie pańskie.

Okropnie bolała mnie głowa.

– Nie – rzekłem – nie potrafię tego określić. Nie jestem nawet pewien, czy słyszałem już ten głos.

Rob dotknęła mojego ramienia. Twarz Sturgisa była bez wyrazu, ale oczy były rozczarowane.

Spojrzałem na magnetofon i skinąłem głową.

Przewinął znowu.

Tym razem głos wydawał się bardziej odległy... jakby pamięć obraziła się na mnie. Jakbym zmarnował swoją okazję.

– Niech to szlag – skomentowałem. Buldog otworzył ślepią. Przytoczył się do mnie i polizał po ręce. Poglaskałem zwierzę po łbie i zerknąłem na Milo.

– Jeszcze raz.

– Jesteś zmęczony. Może spróbujemy jutro rano? – zapytała Robin.

– Ostatnia próba – zakomunikowałem.

Przewijanie. Play. Głos.

Teraz zupełnie obcy. Kpiący ze mnie.

Zakryłem twarz dłońmi. Dotyk Robin stanowił abstrakcyjny komfort... Doceniałem ten sentymentalny gest, ale nie mogłem się rozluźnić.

– Co miałeś na myśli mówiąc, że to może być ten zły facet? zapytałem.

– Naukowe przecucie szeryfa. Uzyskał to brzmienie, przepuszczając głos dziecka przez inną częstotliwość.

– Skąd ma pewność, że ten właśnie głos został przekształcony?

– Bo jego urządzenia tak mu powiedziały. Doszedł do tego zupełnie przypadkiem. Pracował nad krzykami, które, jest tego w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewien, należą do Hewitta. Potem zabrał się za to dziecięce rzępolenie i coś mu w nim nie pasowało – metaliczna łagodność tego głosu.

– Dźwięki robota – dodałem.

– Taak. Jednak nie brał pod uwagę żadnego prania mózgu ani innych psychologicznych sztuczek. Jest technomolem, więc przeanalizował fale dźwięku. Zauważył dziwne zmiany w cyklu amplitud fali. Prawdziwe ludzkie głosy szeleszczą i drgają. Ten się tak nie zachowywał. Szeryf zrozumiał, że kasetą została elektronicznie przetransformowana, prawdopodobnie przy użyciu miksera. Takiego urządzonek, które przyjmuje próbkę dźwięku i zmienia częstotliwość. Ton w górę, a otrzymujesz Alvina i zespół the Chipmunks. Ton w dół i mówisz jak lord James

Jones.

- Zły człowiek wyposażony w wysokiej jakości sprzęt do nagrań wywnioskowałem.
- Niezupełnie. Podstawowy sprzęt jest całkiem tani. Ludzie często montują takie urządzenia do telefonów – kobiety, które mieszkają same i chcą brzmieć jak Joe Testosterone. Są również używane do nagrań muzycznych, kreowania podkładu orkiestrowego. Piosenkarz nagrywa wokal, potem popracuje mikserem i otrzymujemy utwór Everly Brothers.
- Pewnie – zgodziła się Robin. – Miksery są teraz na porządku dziennym. Widziałam, jak gitarzyści wykorzystują je do tworzenia wzbogaconych ścieżek dźwiękowych.
- Lyle Gritz – powiedziałem – kolejny Elvis... Skąd szeryf wiedział, do jakiej częstotliwości obniżyć ton?
- Założył, że mamy do czynienia z mężczyzną używającym relatywnie taniego sprzętu, ponieważ lepsze maszyny mogą zostać zaprogramowane do imitowania drgań głosu. Na takich urządzeniach są zazwyczaj możliwe do stworzenia tylko trzy kombinacje: ton dziecięcy, dorosły męski i czasami kobiecy. Obniżywszy sztuczne dźwięki, otrzymał ten głos. Ale jeżeli nasz facet jest akustycznym maniakiem i dysponuje fachowym sprzętem, to może uczynił jeszcze dodatkowe zmiany i to co słyszałeś, daleko odbiega od jego autentycznego głosu.
- Może w ogóle wykorzystał głos kogoś innego.
- Słusznie. Ale wydaje ci się, że już gdzieś go słyszałeś.
- Takie było pierwsze wrażenie. Nie wiem. Nie ufam już własnemu osądowi.
- Cóż – powiedział Milo – przynajmniej wiemy, że nie wciągano w to dzieci.
- Dzięki Bogu i za to. Dobra, zostaw mi tę kasetę. Popracuję nad nią jutro. Co oznacza te dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewności, że krzyki należą do Hewitta?
- To oznacza, że na procesie szeryf zezna, że zgodnie z jego zawodową wiedzą, tak właśnie jest. Jedyne problem w tym, że najpierw musimy znaleźć kogoś do postawienia przed sądem.

– Więc miałem rację, twierdząc, że to nie dzieło bezdomnego włóczęgi. Potrzebuje miejsca, gdzie przechowuje swój sprzęt.

Sturgis wzruszył ramionami.

– Może gdzieś ma sekretną norę i właśnie teraz w niej siedzi. Rozmawiałem z detektywami z innych podstacji. Jeżeli drań krąży po okolicy, to go capniemy.

– Krąży – zapewniłem. – Nie dokończył jeszcze swojej pracy domowej.

Powiedziałem Milo, o czym dowiedziałem się w Nowym Jorku.

– Pseudowłamanie? – zdziwił się. – Brzmi głupkowato.

– Gliniarze z Nowego Jorku wcale tak nie uważają. Styl pasuje do kilku innych włamań w sąsiedztwie: wejście na wytrych, właściciele na wakacjach, szklanka wody sodowej pozostawiona na nocnej szafce, wody z kuchni ofiary. Pasuje?

– Pisali w gazetach o innych włamaniach?

– Nie wiem.

– Jeżeli tak, to mamy tu prawdopodobnie dobrą imitację. Jeśli nie, to może nasz zabójca ma za sobą karierę włamywacza. Może zdobędziesz kilka brukowców sprzed czterech lat i sprawdzisz. Ja zadzwonię do Nowego Jorku i zobaczę, czy w czasie wypadku Rosenblatta wypływały gdzieś nazwiska Gritz albo Silk-Merinos.

– Jak dotąd facet jest raczej ostrożny i nie popełnia takich błędów.

– Wcale nie musi chodzić o jakieś wielkie przestępstwo. Syn Sama dał się złapać za nieopłacenie miejsca na parkingu. Mnóstwo spraw zostaje rozwiązanych w taki głupi sposób.

– Okay – odparłem – zaatakuję bibliotekę, jak tylko ją otworzą.

Milo uniósł filiżankę i pociągnął kilka łyków kawy.

– Zatem jaki był ten rzekomy motyw, który pchnął Rosenblatta do popełnienia samobójstwa?

– Poczucie winy. Nie mógł znieść już dłużej swojej kryminalnej, sekretnej działalności.

Policjant zawył.

– Co?! Stoi tutaj z zamiarem rąbnięcia diamentowej kolii i nagle zagryza go sumienie? Dla mnie to kupa gówna.

– Rodzina też tak uważa, ale nowojorska policja wydawała się przekonana. Powiedzieli wdowie, że jeżeli będzie naciskać, wszyscy zostaną obrzuceni błotem. Prywatny detektyw, którego wynajęła, powiedział to samo, tyle że bardziej taktownie.

Podałem mu nazwiska, które skwapliwie zanotował. Zerkając do filiżanki, zapytał:

– Jak chcesz, to zostało trochę w dzbanku.

– Nie, dzięki.

– Następny upadek. Zupełnie jak te dwa poprzednie – podsumowała Robin.

– Upadek Delmara Parkera ze skały – powiedziałem. – Musi być jakiś związek. Zabójca doznał poważnego wstrząsu i usiłuje się uspokoić. Musimy się więcej dowiedzieć o tym wypadku.

– Dotąd nie zlokalizowałem matki Delmara – wyznał Milo. – W żadnej z gazet Santa Barbara nie ma też wzmianek na temat tej katastrofy.

– Ktoś z wychowanków szkoły musi coś wiedzieć – stwierdziłem.

– W dalszym ciągu żadnych akt. Sally razem z ekipą zrywa klepki podłogowe w domu Katariny. I nic nie możemy znaleźć. Totalny brak wszelkich dowodów.

Przetarł dłonią swą ciężką, zmęczoną twarz.

– Jedno mnie martwi – dodał – Rosenblatt, doświadczony psychiatra, spotyka się z kimś w cudzym mieszkaniu.

– Był doświadczony, ale miał miękkie serce. Zabójca mógł go tam zwabić błaganiem o pomoc.

– To nie jest zbyt konwencjonalna praktyka lekarska, prawda? A może Rosenblatt był



zwolennikiem awangardy, wierzącym w terapię jednej sesji?

– Jego żona powiedziała, że był ortodoksyjnym analitykiem.

– Tacy faceci nie opuszczają nigdy swojego biura, zgadza się? Potrzebują leczniczych kanap i małych, skórzanych notesików.

– Istotnie. Jednak powiedziała również, że bardzo zmartwiło go jakieś wydarzenie z jednej z ostatnich sesji. Był rozczarowany. Całkiem możliwe, że sprawa dotyczyła de Boscha. Coś wstrząsnęło nim do tego stopnia, że zgodził się na spotkanie poza biurem. Może szedł tam w przekonaniu, że to dom pacjenta. Zabójca mógł go zwabić sloganem: „Leżę w łóżku i nie mogę się ruszyć”. Okno, z którego wyleciał Rosenblatt, znajdowało się w sypialni.

– Fałszywy kaleka – skinął głową Milo. – Potem doktor podchodzi do okna, a zły facet wyskakuje z łóżka i pomaga mu wypaść... bardzo wyrafinowane. A żona nie miała pojęcia, co skłoniło go do wybrania się na tę wizytę?

– Próbowала się dowiedzieć. Złamała swoje zasady i słuchała kaset, na które nagrywał sesje. Nie trafiła jednak na nic szczególnego.

– O tym, co go rozczarowało, na pewno dowiedział się podczas sesji?

– Tak twierdził.

– Może zatem nie było to pierwsze spotkanie z zabójcą. Dlaczego ta rozmowa nie znalazła się na kasecie?

– Może Rosenblatt nie wziął ze sobą dyktafonu. Albo pacjent nie życzył sobie nagrywania. Harvey na pewno by się zgodził. A może nawet sesja została nagrana, a taśma zniszczona.

– Sypialnia nieznajomego... to dodaje sprawie prawie seksualnego smaku, nie uważasz?

Skinąłem głową.

– Rytuał.

– Kto był właścicielem mieszkania?

– Małżeństwo o nazwisku Rulerad. Stwierdzili, że nie słyszeli nigdy o Harveyu Rosenblatt. Shirley mówiła, iż byli do niej bardzo wrogo nastawieni. Odmówili wpuszczenia do lokum prywatnego detektywa i grozili wytoczeniem procesu.

– Nie można ich winić, prawda? Przychodzisz do domu i dowiadujesz się o włamaniu do twojego mieszkania, którego później ktoś używa dla prywatnych, samobójczych celów. Czy Rosenblatt był typem łatwowiarka, dającego nabierać się na takie historie?

– Zdecydowanie. Prawdopodobnie otrzymał taki sam telefon co Bert Harrison i na niego odpowiedział. Później z tego powodu zginął.

– Więc dlaczego zabójca stawiał się na spotkanie z Rosenblattem, a nie przyszedł na rozmowę z Harrisonem? – zainteresował się Milo. – Dlaczego, teraz nasunęło mi się to na myśl, Harrison został zdjęty z haka? Również pracował dla de Boscha i przemawiał na tej cholernej konferencji. Więc w jaki sposób doszło do tego, że wszyscy z łodzi utonęli lub toną, a on siedzi na brzegu i popija *pina coladas*?

– Nie wiem.

– To raczej zabawne, Alex, nie uważasz? Nagła wyrwa w ogniwach łańcucha. Może powinienem dowiedzieć się czegoś więcej o Harrisonie.

– Może – odparłem, czując mdłości. – To byłoby coś. Siedziałem z nim przy stole, próbowałem go chronić... Leczył Mitcha Lenera. Wiedział, gdzie mieszka Katarina... Trudno w to uwierzyć. Wydawał się takim porządnym facetem.

– Masz pomysł, dokąd mógł się ulotnić?

Pokręciłem głową.

– Jednak bardzo się rzuca w oczy w tych purpurowych ciuchach.

– Purpurowe ciuchy? – zdziwiła się Robin.

– Twierdzi, że to jedyny kolor, jaki widzi.

– Następny dziwak – skomentował Milo. – Co jest z tą twoją profesją?

– Zapytaj mordercy – doradziłem. – Ma skonkretyzowane poglądy na ten temat.

## **Rozdział dwudziesty dziewiąty**

Spędziliśmy noc u Milo. Kiedy wyszedł, tuzin razy przesłuchałem kasetę. Mężczyzna mówił jak księgowy omawiający bilans miesięczny. Znajoma nuta wciąż dźwięczała w jego głosie, ale nie budziła żadnych wspomnień.

Wróciliśmy na Benedict Canyon. Robin zabrała psa do garażu, a ja zadzwoniłem do operatorki. Czekwały na mnie dwie wiadomości. Jean Jeffers informowała, że nie znalazła żadnych danych na temat pana G. i sędziego Stephen Huff prosił o telefon. Złapałem go w jego kancelarii.

– Cześć, Alex. Podejrzewam, że słyszałeś.

– Czy powinienem wiedzieć coś poza tym, co podawano w wiadomościach?

– Są prawie pewni, kto to zrobił, ale nie potrafią jeszcze tego udowodnić.

Dwóch członków meksykańskiego gangu; wymyślili jakąś wojnę narkotykową.

– Prawdopodobnie tak jest – odparłem.

– Cóż, można w zasadzie sprawę zamknąć. Jakies wiadomości od babci?

– Ani jednej.

– Tym lepiej... mam na myśli dzieciaki. Należy trzymać je od tego z daleka, nie uważasz?

– To zależy w jakim środowisku wylądowały.

– Och, jasne. Naturalnie. Hmm, dzięki za twoją pomoc. Jeden krok bliżej do sprawiedliwości.

Jeszcze kilka razy – przyłożyłem ucho do magnetofonu i pojechałem do biblioteki Beverly Hills.

Cały ranek poświęciłem na przeglądanie nowojorskich dzienników sprzed czterech i pięciu lat. Czytałem wolno i uważnie, ale nie znalazłem żadnych wzmianek o „Włamywaczu z East

Side”.

Nie zaskoczyło mnie to. Mieszkańcy rejonu dziewiętnastego posterunku prawdopodobnie nie chcieli figurować na stronach gazet o tematyce kryminalnej. Właściciele lokalnych brukowców z całą pewnością mieszkali na tym obszarze. Reszta miasta pewnie również wiedziała, czego chce od prasy.

Brak owych danych w dalszym ciągu nie oznaczał, że zabójca Rosenblatta nie był odpowiedzialny za wcześniejsze włamania. Rezydenci mogli wiedzieć o częstych włamach, a któryś z miejscowych mógł orientować się, kto i kiedy wyjeżdża na wakacje. Jednak idea mieszkańca z okręgu dziewiętnastego posterunku biegającego po okolicy i okradającego sąsiadów wydawała się mniej niż prawdopodobna. Tak więc pan Silk parał się zajęciem włamywacza już wcześniej. Rytualnie.

Ten sam motyw użycia tego, co miał pod ręką. Mistrz dominujący nad swoją ofiarą.

Niedobra miłość.

Myra Evans Paprock.

Rodney Shipler.

Katarina.

Tylko przy tych trzech zabójstwach pozostawiono te słowa na miejscu zbrodni.

Trzy krwawe, nie zatajone morderstwa. Żadnych starań, by potraktowano je inaczej.

Stoumen, Lerner i Rosenblatt. Trzy śmierci upozorowane na tragiczne wypadki.

Dwie klasy ofiar... dwa rodzaje zemsty?

Masakra dla motłochu, wypadki dla terapeutów.

Jednak Katarina była przecież terapeutką..

Potem zdałem sobie sprawę, że w czasie, gdy pan Silk doznał urazu, a więc przed siedemdziesiątym dziewiątym, a prawdopodobnie bliżej siedemdziesiątego trzeciego roku, wtedy

gdy Delmar Parker spadł ze skały, ona nie miała jeszcze dyplomu. Jako dwudziestolatka była nadal studentką.

Dwa wzory... Jakieś niezwykle połączenie furii i pożądania, którego nie mógł zrozumieć żaden zdrowy umysł?

I gdzie do tych modeli pasowała Becky Basille?

Dwóch morderców...

Przypomniałem sobie czystą, wytworną ulicę, na którą spadł Harvey: francuskie restauracje, kwiaciarnie i limuzyny.

Jak wiele czasu zajęło temu biedakowi zorientowanie się, co oznaczało szybkie, ostre pchnięcie w jego drobne plecy?

Miałem nadzieję, że nie zdał sobie z tego sprawy. Łudziłem się, wbrew logice, że nie czuł nic prócz czystej przyjemności lotu Ikara.

Upadek. Zawsze upadek.

W tym musi tkwić Delmar Parker.

Odwet zniewolonego dziecka?

Jeżeli de Bosch niewłaściwie traktowałby swoich uczniów, ktoś z pewnością by to pamiętał.

Dlaczego nikt nie chciał mówić po tych wszystkich latach?

To nietrudna zagadka: bez dowodów, kto by uwierzył? I po co rozkopywać glinę wokół grobu martwego człowieka, jeżeli wywołuje to powrót demonów własnego dzieciństwa?

Mimo to ktoś powinien wiedzieć, co przydarzyło się chłopcu w skradzionej ciężarówce.

Siedziałem tak bardzo długo, gapiąc się na drobne literki mikrofilmu.

Wychowankowie Szkoły Poprawczej... Jak znaleźć ich dane. Wtedy pomyślałem o jednym z uczniów. O kimś, kogo nie spotkałem nigdy i kogo imienia nigdy nie poznałem.

O dziecku z problemami, dzięki któremu Katarina owinęła mi smycz wokół szyi.

Porzuciwszy kabinę z mikrofilmami, wybiegłem z sali. Popędziłem do aparatu telefonicznego znajdującego się w holu biblioteki, chociaż nie byłem pewien, do kogo chcę dzwonić.

Western Pediatry, koniec lat siedemdziesiątych...

W ubiegłym roku szpital miał poważne problemy finansowe. Wiązało się to z wieloma zmianami, również kadr. Mnóstwo ludzi odeszło.

Ale jeden z notabli pozostał.

Reuben Eagle był szefem oddziału, kiedy przyjęto mnie do pracy. Profesor uniwersytetu i utalentowany nauczyciel, który specjalizował się w edukacji medycznej. W nowym zarządzie Western Ped zajął stanowisko głównego dyrektora oddziału pediatrii. Niedawno widziałem w szpitalnej gablotce jego zdjęcie: te same okulary, w oprawkach z szylkretu; jasnobrązowe włosy, wychudzone ciało i twarz sportsmena ozdobiona szarą, przerzedzoną brodą.

Sekretarka oznajmiła, że wyszedł na obchód. Poprosiłem, żeby go wywołała. Kilka chwil później odezwał się miękim, uprzejmym głosem.

– Rube Eagle.

– Rube, mówi Alex Delaware.

– Alex... łoś! Co za niespodzianka.

– Jak leci?

– Nieźle, a co u ciebie?

– Wegetuję. Słuchaj, Rube, potrzebuję drobnej przysługi. Usiłuję zlokalizować jedną z córek Henry'ego Borka i pomyślałem, że może wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

– Którą córkę? Henry i Mo mieli całą gromadkę. Chyba trzy lub cztery.

– Najmłodszą. Miała problemy z nauką. W siedemdziesiątym szóstym albo siódmym została wysłana do szkoły specjalnej w Santa Barbara. Teraz będzie miała około dwudziestu ośmiu,

dwudziestu dziewięciu lat.

– Musi ci chodzić o Meredith – stwierdził. – Pamiętam ją, bo kiedyś Henry wyprawiał w domu przyjęcie, na którym była. Naprawdę atrakcyjna i prawdziwa flirciara. Myślałem, że jest starsza i trochę z nią pogadałem. Potem ktoś mnie ostrzegł i szybko się wycofałem.

– Ostrzegli cię co do jej wieku?

– I problemów. Uchodziła za dzikuskę. Pamiętam, że słyszałem coś o pobycie w zakładzie.

Najwyraźniej przysparzała Mo i Henry’emu sporo kłopotów. Słyszałeś, że zmarł?

– Tak – odparłem.

– Ben Wardley również. I Milt Chenier... Dlaczego szukasz Meredith?

– To długa historia, Rube. Ma to związek ze szkołą, do której została wysłana.

– Co z tą szkołą?

– Coś mogło się tam wydarzyć.

– Wydarzyć? Następny bajzel? – W jego głosie brzmiał raczej smutek niż zaskoczenie.

– Możliwe.

– Powinienem o czymś wiedzieć?

– Nie, chyba że masz coś wspólnego ze Szkołą Poprawczą założoną przez psychologa o imieniu Andreas de Bosch.

– Nie mam – odrzekł. – Cóż, żywię nadzieję, że to wyjaśnisz. A co do Meredith, chyba nadal mieszka w L.A. Zajmuje się biznesem filmowym.

– Wciąż nazywa się Bork?

– Hmm, nie wiem. Jeżeli chcesz, mogę zadzwonić do Mo i zapytać. Nadal angażuje się w sprawy szpitala. Powiem, że sporządzam jakąś statystykę lub coś podobnego.

– Naprawdę byłbym ci wdzięczny, Rube.

– Zostań na linii. Zobaczę, czy ją zastanę.

Czekałem piętnaście minut ze słuchawką przy uchu. Udawałem, że wyglądam na szalenie zajętego, za każdym razem, kiedy się ktoś zbliżał do aparatu. Wreszcie Rube ponownie wszedł na linię.

– Alex?

– Wciąż tu jestem.

– Meredith dalej mieszka w L.A. Prowadzi własną firmę. Nie wiem, czy wyszła za męża, ale nadal używa nazwiska Bork.

Podał adres i numer telefonu, a ja ponownie mu podziękowałem.

– Niech to... następny bajzel. Paskudnie. Jak w to wdepnąłeś, Alex? Przez pacjenta?

– Nie – odpowiedziałem – ktoś przesłał mi wiadomość.

Bork i Hoffman Public Relations. 8845 Wilshire Boulevard, biuro nr 304. Wschodnia krawędź Beverly Hills. Pięć minut drogi od biblioteki.

– Panna Brok rozmawia na drugiej linii – oznajmiła recepcjonistka.

– Zaczekam.

– Może pan jeszcze raz podać nazwisko?

– Doktor Alex Delaware. Pracowałem z jej ojcem w Western Pediatrics Center.

– Chwileczkę.

Pięć minut później:

– Proszę pana? Panna Bork za momentik podejdzie.

Potem odezwał się żeński, ochryply od nikotyny głos:

– Meredith Bork.

Przedstawiłem się.

– Specjalizuję się w świecie rozrywki, doktorze – film, teatr... – oznajmiła. – Czasami zajmujemy się lekarzami; kiedy piszą książki. Napisał pan jakąś książkę?



– Nie...

– Chce pan tylko trochę prasowego szumu? Dobry pomysł jak na obecne czasy, ale to nie nasza domena. Przykro mi. Chętnie podam panu nazwisko człowieka, który zajmuje się medycznymi publikacjami, chociaż...

– Dzięki, ale nie chodzi mi o publicity.

– Och?

– Panno Bork, przepraszam za kłopot, ale potrzebuję kilku informacji o Andreasie de Boschu i Szkole Poprawczej z Santa Barbara.

Cisza.

– Panno Bork?

– Mówi pan poważnie?

– Pojawiły się pewne podejrzenia dotyczące niewłaściwego traktowania uczniów szkoły.

Chodzi o wydarzenia z początku lat siedemdziesiątych; O wypadek, w którym zginął niejaki Delmar Parker.

Brak odpowiedzi.

– Maj, 1973 – podpowiedziałem – Parker wypadł z górskiej drogi i umarł. Słyszała pani coś o tym? Albo o maltretowaniu dzieci?

– Nie, tego już za wiele – odparła. – Dlaczego, kurwa, to pana interesuje?

– Pracuję jako konsultant dla policji.

– Policja bada sprawę szkoły?

– Przeprowadzają wstępne dochodzenie.

Cierpki śmiech.

– Nabiera mnie pan.

– Nie – podałem jej dane Milo, jako referencje.

– Okay. I co z tego? – zapytała. – Dlaczego pan „sądzi, że w ogóle chodziłam do tej szkoły?

– Pracowałem w Western Pediatrics Center, kiedy pani ojciec był szefem personelu i...

– Plotka poszła w obieg. Och, wiedziałam.

– Panno Bork. Naprawdę mi przykro...

– Jestem pewna, że tak było... Szkoła Poprawcza – kolejny gniewny śmiech – nareszcie.

Cisza.

– Po tych wszystkich latach. Co za przygoda... Szkoła Poprawcza. Dla złych dzieci potrzebujących obróbki. Taak, poddano mnie obróbce, w porządku.

– Znęcano się nad panią?

– Znęcano? – roześmiała się tak głośno, że musiałem odsunąć słuchawkę od ucha. – Jak delikatnie powiedziane, doktorze. Jest pan subtelnym mężczyzną? Jednym z tych zmysłowych facetów grających na uczuciach innych?

– Staram się.

– Cóż, dobrze dla pana. Przepraszam, to poważna sprawa, nieprawdaż? Zawsze miałam ten problem, nie traktowałam niczego poważnie. Nigdy nie dojrzałam. Bycie dojrzałym to straszliwa nuda, co doktoru? Ja, kurwa, odmówiłam. Dlatego pracuję w show biznesie. Nikt tutaj nie dorósł. Dlaczego pan robi to co robi?

– Dla sławy i pieniędzy – oznajmiłem.

Roześmiała się jeszcze bardziej i głośniej.

– Psycholodzy, psychiatry, znałam całe to cholerne stado... Skąd mam wiedzieć, że jest pan autentyczny. To jakiś kawał, prawda? Czy Ron cię do tego namówił?

– Kim jest Ron?

– Innym zmysłowym facetem.

– Nie znam go.

- Na pewno.
  - Chętnie pokazałbym ci moje dokumenty.
  - Jasne, przepuść je przez słuchawkę.
  - Chcesz, żebym przesłał je faksem?
  - Nieee... po diabła? Czego naprawdę pan chce?
  - Porozmawiać trochę o szkole.
  - Dobra, stara szkoła. Szkolne dni, okrutne dni... chwileczkę... – Klik. Cisza. Klik. – Skąd pan dzwoni?
  - Z pewnego miejsca niedaleko pani biura.
  - Co, z aparatu w korytarzu na parterze, jak w filmach?
  - Kilometr dalej. Mogę przyjechać tam za pięć minut.
  - Jak miło. Nie, nie chcę wnosić osobistego gówna do biura. Spotkajmy się w Cafe Mocha za godzinę albo zapomnijmy o sprawie. Wie pan, gdzie to jest?
  - Nie.
  - Wilshire, niedaleko Crescent Heights. Mała knajpka na... południowo-wschodnim rogu. Podają tam wspaniałą kawę, a ich klienci mają pretensje do bycia artystami. Będę w loży z tyłu sali. Jeżeli się pan spóźni, to nie zaczekam.
- Restauracja mieściła się w wąskim budynku. W oknach wisiały błękitne zasłony w kratę. Tuż przy wejściu stały worki z kawą, przechylone jak topniejące bałwany. Kilka, wyglądających na desperatów, typów siedziało daleko od siebie.
- Meredith Bork zajęła miejsce w ostatniej loży. Usadowiła się plecami do ściany. W ręce trzymała kubek. Była wysoką, piękną, ciemnowłosą kobietą. W momencie kiedy wszedłem, spojrzała na mnie i nie odwróciła wzroku do chwili, aż stanąłem przed nią.
- Jej naturalnie czarne włosy, zaczesane do tyłu i spływające luźno na ramiona, lśniły. Twarz

miała oliwkową, owalną, z szerokimi wydatnymi ustami, prostym, wąskim nosem i idealną brodę. Pod ogromnymi, szaroniebieskimi oczami rozciągały się, również idealne, policzki. Używała srebrno-błękitnego lakieru do paznokci, który pasował do jedwabnej bluzki. Zauważyłem silne, kwadratowe ramiona i mnóstwo bransoletek wokół zaskakująco smukłych nadgarstków. Gustowała w dużych ilościach złotych ozdóbek. Błyszczała nawet w słabym świetle.

– Świetnie – rzuciła na przywitanie – jesteś całkiem przystojny. Pozwalam ci usiąść.

Postawiła kubek obok talerza z francuską bułeczką.

– Zakłamanie – powiedziała. – Religia lat dziewięćdziesiątych.

Podeszła kelnerka i poinformowała mnie, że dziś serwuje się kawę etiopską.

Odparłem, iż najzupełniej mi to odpowiada, i otrzymałem napełniony kubek.

– Etiopską – powtórzyła Bork. – Oni tam umierają z głodu, prawda? Ale eksportują kawę.

Nie uważasz, że to dziwne?

– Ktoś zawsze robi biznes – odpowiedziałem – nieważne, jak źle sprawy stoją.

– Prawda, prawda – uśmiechnęła się. – Lubię tego faceta. Perfekcyjna mieszanka szczerości i cynizmu. Mnóstwo kobiet to kocha, zgadza się? Prawdopodobnie używasz tego dla otumanienia ich, a potem się nudzisz i zostawiasz je pogrążone w rozpaczach, czyż nie?

Zmusiłem się do śmiechu.

– Nie.

– Nie, to znaczy, że nie otumaniasz ich, czy że nie nudzisz się?

– Nie jestem za uwodzeniem kobiet.

– Pedał?

– Nie.

– Więc jaki masz problem?

– O tym będziemy mówić?

– Dlaczego nie? – posłała mi uśmiech – ty chcesz rozmawiać o moich problemach, kochasiu, więc wet za wet.

Uniosłem kubek do ust.

– Jak tam kawa? – zapytała – czy ci zagłodzeni Etiopczycy wiedzą, jak ją hodować?

– Bardzo dobra.

– Cieszę się. Ja mam kolumbijską. Regularnie ją pijam. Wciąż mam nadzieję, że nastąpi jakaś pomyłka przy pakowaniu i trafi mi się trochę darmowych narkotyków.

Potarła nos i mrugnęła. Nachyliła się, eksponując piersi. Czarny stanik wcinał się w miękkie, piegowate ciało. Używała perfum, których zapachu wcześniej nie znałem; mnóstwo woni kwiatów, trawy i szczypta jej własnego potu.

Zachichotała.

– Nie, tylko sobie kpię, panie, przepraszam, doktorze. Wiem, jak wrażliwi jesteście na tym punkcie. Tata zawsze dostawał spazmów, gdy ktoś nazwał go „pan”.

– Mów mi Alex.

– Alex. Alex Wielki. Jesteś wielki? Chcesz się pieprzyć?

Zanim zdołałem przymknąć usta, dodała:

– Dobra, gadajmy poważnie.

Uśmiech nadal widniał na jej twarzy, a piersi wciąż zbliżały się do mnie. Zarumieniła się i mięśnie pod jednym z uroczych policzków drgnęły.

– Powiedziałam bardzo niesmaczną rzecz, prawda? – stwierdziła. – Także głupią, w erze wirusa. Zapomnijmy więc o ściąganiu ciuchów, a zajmijmy się obnażaniem psychiki, okay?

– Meredith...

– Nie wymawiaj tego imienia. – Trąciła ręką kubek i parę kropel kawy rozbiło się o stół.

– Cholera – chwyciła serwetkę i starła plamy – teraz naprawdę przyprawileś mnie o spazmy.

– Nie musimy rozmawiać konkretnie o tobie – rzekłem. – Tylko o szkole.

– Nie rozmawiać o mnie? To mój ulubiony temat, Alex. Spędziłam Bóg wie ile godzin rozmawiając o mnie z twoimi kumplami po fachu. Wszyscy udawali skrajnie zafascynowanych. Przynajmniej ty tego nie rób.

Uśmiechnąłem się i wyprostowałem na krześle.

– Nie lubię cię – wyznała. – Jesteś zbyt ugodowy... Nie możesz stać się pożądanym brutalem... Nie, zapomnij, żadnych więcej sprośnych rozmów. Będzie to platoniczna, aseksualna, antyseptyczna dyskusja.. o Szkole Poprawczej. Jak spędziłam letnie wakacje. Wypracowanie Meredith, Rozlewającej Kawę, Bork.

– Spędziłaś tam tylko jedno lato?

– To wystarczyło, wierz mi.

Nadeszła kelnerka i zapytała, czy chcemy zamówić coś jeszcze.

– Nie, moja droga, kochamy się i niczego więcej nam nie trzeba powiedziała Meredith, odprawiając hostessę.

Między pojemnikami z solą i pieprzem leżała lista win. Sięgnęła po nią i przestudiowała kartę, poruszając wargami. Wokół nich uformowały się drobne kropelki. Odłożyła listę i otarła pot z ust.

– I tu mnie masz – stwierdziła. – Dysleksja. Nie analfabetyzm. Prawdopodobnie wiem więcej o tym, co się dzieje, niż wasz umiarkowanie dupkowaty senator. Jednak to wymaga wysiłku; mnóstwa drobnych sztuczek, żeby słowa miały sens. Dlatego właśnie lubię pracować z dupkami z Hollywood. Żaden z nich nie umie czytać.

– Czy to z powodu dysleksji poszłaś do Szkoły Poprawczej?

– Nie poszłam, Alex. Zostałam wysłana. Nie, to nie była oficjalna przyczyna. Wysłano mnie

dlatego, że się wychylałam. To jeden z chłopięcych terminów określających niedobrą dziewczynkę. Chcesz wiedzieć, co oznacza?

– Jeśli zechciałabyś mi powiedzieć.

– Oczywiście, że zechcę. Oznacza, iż jestem ekshibicjonistką. Nie, zapomnij o tym. Co cię to może obchodzić? – Oblizła usta i uśmiechnęła się. Powiedzmy, że dowiedziałam się o kogutach, kiedy byłam zbyt młoda, by je docenić. – Podsunęła kubek pod mój nos, jakby to był mikrofon. – I dlaczego tak się stało, Zawodniku Numer Jeden? Dlaczego za wycieczkę na Hawaje młoda, słodka dziewczyna dała się zniewolić?

Nie odpowiedziałem.

– Buzzz... Przykro mi, Numerze Jeden, czas minął. Prawidłowa odpowiedź brzmi: z powodu braku samoposzanowania. Dwudziestowieczny korzeń wszelkiego zła, prawda? Miałam czternaście lat i ledwie umiałam czytać, ale za to nauczyłam się korzystać z darów natury.

Spuściłem wzrok na kubek z kawą.

– Och, patrzcie, wpędziłam go w zakłopotanie. Nie martw się. Nic mi nie jest. Jestem z tego dumna. Pracujesz z tym, co masz.

Ponownie uśmiechnęła się szeroko.

– Pewnego fatalnego poranka mamusia odkryła dziwne, lepkie plamy na spodniach mojego dresu. Mamusia skonsultowała się z uczonym tatusiem doktorem i razem założyli koalicję.

Szkolne dni dobiegły końca i zostałam deportowana do wełnianych i dzikich wzgórz Santa Barbara. Małe, brązowe mundurki, paskudne buciki, dziewczęce baraki oddzielone od chłopięcych ohydny, warzywnym ogrodem. Doktor Bosch szarpiący swą kozią bródkę i informujący nas, że będą to najlepsze wakacje, jakie kiedykolwiek mieliśmy.

Skryła usta za kubkiem. Odłamała kawałek bułeczki i rozgniotła ją w palcach.

– Nie potrafiłam czytać, więc wysłali mnie do Buchenwaldu na Pacyfiku. Tam czeka

sprawiedliwość na nieletnich.

– Czy de Bosch kiedykolwiek zdiagnozował twoją dysleksję? – zapytałem.

– Żartujecie? Jedyne co robił, to obrzucał mnie tym freudowskim gównem. Byłam sfrustrowana, ponieważ mama miała tatę, a ja go chciałam.

Więc próbowałam być kobietą, a nie dziewczyną. Wychylałam się, żeby zająć jej miejsce.

Wybuchnęła śmiechem.

– Wierz mi, wiedziałam, czego chcę, i nie chodziło o tatę. Pragnęłam młodych, szczupłych, dobrze zbudowanych ciał z twarzami Jamesa Deana. I miałam odpowiednią siłę, żeby je zdobyć.

Wierzyłam w siebie, dopóki Bosch mnie partacko nie naprawił.

Nagle wyraz jej twarzy uległ zmianie. Zdecydowanym ruchem odstawiła kubek. Potrząsnęła włosami jak zmoknięte szczenię i potarła dłońmi skronie.

– Co on ci zrobił? – spytałem.

– Wyrwał mi duszę – odpowiedziała bez namysłu. Kiedy mówiła, strąki włosów opadły i ukryły twarz.

Długa cisza.

– Cholera – rzekła wreszcie – to trudniejsze niż myślałam. Jak mnie zepsuł? Subtelnie. Nic, za co mógłby pójść do mamra, kochanie. Więc powiedz swoim kumplom z policji, żeby wrócili do dawania mandatów za parkowanie. Nigdy go nie przyszpilicie. Poza tym, chyba teraz jest już antykiem. Kto będzie ciągał biednego, starego pryka do sądu?

– On nie żyje.

Włosy zsunęły się z twarzy. Oczy Meredith nadal były spokojne.

– Och... cóż, dla mnie bomba, koleś. Czy przypadkiem było to długie i bolesne?

– Zabił się. Długo chorował. Miał kilka wylewów.

– Jak się zabił?



– Pigułkami.

– Kiedy?

– W 1980.

Jej oczy zwęziły się.

– W osiemdziesiątym? Więc co to za brednie z tym całym śledztwem?

Błyskawicznie sięgnęła dłonią i chwyciła mój nadgarstek. Duża, silna kobieta.

– No mów, psychoczołwieku! Kim jesteś i o co tu chodzi?

Kilka głów odwróciło się w naszą stronę. Puściła moją rękę.

Wyciągnąłem oznakę wywiadowcy, pokazałem jej i rzekłem:

– Powiedziałem ci prawdę, a chodzi tu o zemstę.

Opowiedziałem jej, pominąwszy nazwiska ofiar, o morderstwach z cyklu „parszywa miłość”.

Kiedy skończyłem, Meredith uśmiechnęła się.

– Hmm, przykro mi z powodu tych innych, ale...

– Ale co?

– Parszywa miłość. Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Podoba mi się to.

– Niedobra miłość była czymś, co praktykował?

– Och, taak – odparła przez zaciśnięte szczęki. – Niedobra miłość oznaczała, że jesteś

bezwartościową kupą gówna zasługującą na maltretowanie. Niedobra miłość dla niedobrych małych dzieci. Taka psychologiczna akupunktura. Wbijanie drobnych igiełek i manewrowanie nimi w ciele.

Wykonała kilka ruchów dłońmi. Bizuteria błysnęła.

– Żadnych blizn. Nie, nie chcieliśmy zostawiać śladów na tych pięknych, małych dzieciach.

– Co on dokładnie robił?

– Bawił się nami. Dobra miłość jednego dnia, niedobra następnego. Publicznie, kiedy

byliśmy wszyscy razem, w jadalni, na zbiorce, zachowywał się jak święty. Kiedy przyjeżdżali goście, również. Święty. Śmiał się, opowiadał dowcipy... Mnóstwo dowcipów. Czochrał nas po włosach, przyłączał się do gier... był stary, ale wysportowany. Lubił grać w piłkę, aż do utraty tchu. Kiedy ktoś skaleczył się w rękę, doktorek biegał wokół niego i obcałowywał ranę. Pan Litościwy. Doktor Litościwy. Powtarzał, że jesteśmy najpiękniejszymi dziećmi na świecie, szkoła najpiękniejszą szkołą, a nauczyciele najpiękniejszymi nauczycielami. Ten cholerny ogród warzywny też był cudowny, chociaż wszystko, co tam sadziliśmy, wyrastało łykowate. I tak musieliśmy to potem jeść. Byliśmy jedną, wielką, szczęśliwą rodziną. Globalną rodziną w stylu lat sześćdziesiątych.

– To była dobra miłość – zgadywałem.

Skinęła głową i wydała z siebie cichy, brzydki śmiech.

– Jedna, wielka rodzina.. Ale jeżeli dostałeś się na jego niedobłą stronę, jeśli się wychyliłeś, wtedy udzielał ci prywatnej sesji. W jednej chwili przestawałeś być piękny, a cały świat wokół ciebie stawał się wyjątkowo paskudny.

Prychnęła i użyła serwetki do wytarcia nosa. Myśląc o jej komentarzu na temat kolumbijskiej kawy, zastanawiałem się, czy nie pokrzepiła się nieco przed naszym spotkaniem. Przerwała moje rozważania.

– Nie martw się, to nie katar. To czyste, stare, odżywiające uczucie. A do tego starego drania, nawet po jego śmierci, czuję wyłącznie nienawiść. Czyż to nie zdumiewające, po tych wszystkich latach? Sama dziwię się, jak bardzo go nienawidzę. Ponieważ to on sprawił, że nienawidzę siebie. Minęły lata, zanim uwolniłam się od tej pieprzonej niedobrej miłości.

– Prywatne sesje – powtórzyłem.

– Bardzo prywatne... uderzał, kiedy to było według niego konieczne. Nie potrzebowałam, żeby ktokolwiek obniżał moją wiarę w siebie. Byłam wystarczająco przybita nie umiając czytać

w wieku lat trzynastu. Każdy mnie obwiniął i ja obwinałam samą siebie. . Wszystkie siostry miały piątki, a ja dostawałam trójki. Byłam wcześniakiem. Ciężka sprawa. Musiało to wpłynąć na rozwój mojego umysłu – dysleksję, inne prób...

Jej ręce drżały nerwowo.

– Teraz już po wszystkim – powiedziała z uśmiechem. – Ale mam jeszcze inny problem.

Będziesz strzelał, Zawodniku Numer Jeden?

Pokręciłem głową.

– Nie jesteś hazardzistą? Cóż, nie ma powodów, żebym czuła się zawstydzona. To wszystko czysta chemia, nieprawdaż? Dwubiegunowe, rozległe zaburzenia. Twój podstawowy ogród depresyjnego maniactwa. Mówisz ludziom, że czujesz się, jakbyś traciła rozum, a oni odpowiadają: o, taak, ja też czuję się jak oszalały. A ty mówisz, nie, nie, nie, to zupełnie coś innego. Taka jest prawda, kochaniutki.

– Bierzesz lit?

Skinęła głową.

– Chyba że nazbiera mi się pracy i potrzebuję dodatkowego bodźca. Wreszcie znalazłam psychiatrę, który wie, co robi. Wszyscy inni byli ignoranckimi dupkami jak doktor Bosch.

Analizowali mnie i obwiniali. Bosch prawie mnie przekonał, że naprawdę chcę się pieprzyć z tatą. I utwierdził mnie w przekonaniu, że jestem zła.

– Używając niedobrej miłości?

Nagle wstała i chwyciła torebkę. Miała prawie metr osiemdziesiąt, drobną talię, wąskie biodra i długie nogi wystające spod czarnej, jedwabnej minispódniczki. Spódniczka podsunęła się nieco, ukazując gładkie uda. Zauważyła to, ale zignorowała.

– Martwi cię, że odchodzę – wybuchnęła śmiechem – nie bój się, synu. Idę się tylko wysiusiać.

Wykonała szybki zwrot i ruszyła w kierunku tylnej ściany restauracji. Chwilę potem wstałem i w końcu sali dostrzegłem drzwi toalety, których wcześniej nie zauważyłem.

Wróciła kilka minut później, z ułożonymi włosami i poprawionym makijażem. Siadając trąciła mój goleń i uśmiechnęła się słabo. Przywołaawszy kelnerkę, poprosiła o dolewkę. Wypiła połowę zawartości kubka; powoli i długo przełykając.

Wyglądała, jakby za moment się miała udławić. Terapeutyczny impuls podpowiadał mi, że powinienem pogłaskać ją po ręce, jednak zrezygnowałem z tego.

– Niedobra miłość – powiedziała miękko. – Małe pokoiki. Małe, zamykane cele. Słabe żarówki, a czasami zapalał tylko świecę. Te świece my robiliśmy na zajęciach. Piękne świece, w zasadzie to były paskudne kawałki gówna, z prawie tym samym odrażającym zapachem. W celi nic, poza dwoma krzesłami. Siadał naprzeciwko ciebie. Prawie stykaliście się kolanami. Nic między wami. Potem bardzo długo się na ciebie gapił. Bardzo długo. Później zaczynał mówić; tym niskim, zrelaksowanym głosem. Jakby to była tylko pogawędka. Jakby dwoje ludzi prowadziło miłą, cywilizowaną konwersację. Początkowo myślałeś, że wszystko pójdzie gładko, wydawał się taki uprzejmy. Uśmiechał się i bawił się tą głupią brodą. Gówno – podsumowała i napiła się kawy.

– O czym mówił?

– Zaczynał od wykładu na temat ludzkiej natury. Mówił, że każdy ma dobre i złe strony charakteru, a różnica pomiędzy ludźmi odnoszącymi sukces a przegranymi zależy od tego, którą stronę wykorzystujesz. I, że my, dzieciaki, byliśmy tam, ponieważ używaliśmy zbyt często złej strony, a nie dość często dobrej. Działo się tak dlatego, że byliśmy wypaczeni (nazywał to „skazą”) na skutek chęci spania z naszymi mamusiami albo tatusiami. Ale wszyscy inni w szkole radzili sobie teraz wspaniale. Wszyscy oprócz ciebie, młoda damo, kontrolują swoje impulsy i uczą się używać tej dobrej części. Oni sobie poradzą. Zaslужują na dobrą miłość i będą mieć

szczęśliwe życie.

Zamknęła oczy. Wzięła głęboki oddech. Złożyła usta w trąbkę i wypuściła powietrze.

– Potem przerywał. Czekał, aż to w ciebie wsiąknie. I dalej się gapił. Przybliżał się. Jego oddech zawsze śmierdział kiełbasą... Pokój był tak mały, że zapach wypełniał całą salkę – on ją wypełniał. Nie uchodził za wielkiego mężczyznę, ale tam wydawał się ogromny. Czułeś się jak mrówka przed starciem z czołgiem. Jakby z pokoju wyszano powietrze i zaraz miałbyś się udusić... Sposób, w jaki patrzył; miał oczy jak igły. I to spojrzenie, kiedy raczył cię niedobrą miłością; gdy skończyła się już sielankowa pogaduszka. Dawał ci do zrozumienia, że jesteś łajnem.

– „Ty”, mówił. A potem powtarzał: „Ty, ty, ty”. I wtedy się dopiero zaczynało. Ty byłeś jedynym, który nie czynił dobrze. Ty nie potrafiłeś kontrolować swoich impulsów. Ty nie próbowałeś. Ty zachowywałeś się jak zwierzę. Ohydne, plugawe zwierzę. Szkodnik. To było jego ulubione powiedzonko. Zwierzęce szkodniki, z tym żalonym akcentem inspektora Clouseau. Zwierzęce szkodniki. Potem zaczynał cię wyzywać. Głupek, idiota, wymoczek, kretyn, dzikus, gówno. Żadnych przekleństw. Tylko jedna obelga za drugą. Czasami po francusku. Wymawiał je tak cicho, że ledwie mogłeś usłyszeć. Jednak musiałeś słyszeć, bo w pokoju nie było niczego innego do słuchania. Czasami kapnął wosk, ale głównie panowała cisza. Musiałeś słuchać.

W jej oczach pojawił się wyraz zagubienia. Odsunęła się ode mnie na całą szerokość kabiny.

Kiedy przemówiła znowu, jej głos był jeszcze łagodniejszy, głębszy; prawie męski.

– Zachowujesz się jak zwierzęcy szkodnik, młoda damo. Będziesz żyła jak szkodnik i umrzesz jak szkodnik. Potem wdawał się w szczegóły dotyczące życia szkodników. Mówił, jak to nikt ich nie obdarza dobrą miłością, ponieważ nie zasługują na to. Zasługują jedynie na niedobrą miłość; plugastwo i poniżenie.

Sięgnęła po kubek. Jej ręka drżała i przytrzymała go drugą, zanim przystawiła do ust.

– Dalej kontynuował podobne wywody. Nie pytaj mnie jak długo, bo nie wiem. Wydawało się, że mijają lata. Żałobne przyśpiewki. Wciąż i wciąż, i wciąż. Dostaniesz niedobłą miłość, dostaniesz niedobłą miłość... Ból, cierpienie i samotność, która nigdy się nie skończy – więzienie, gdzie ludzie cię zgwałcą, okaleczą i zwiążą, żebyś się mógł się ruszać. Dosięgną cię straszne choroby... I tu znów wdawał się w szczegóły. Mówił o samotności; jak to na wieki pozostaniesz sam. Jak trup pozostawiony na pustyni; jak kawałek gliny na jakiejś zimnej, odległej planecie. Doktor B. bawił się samotnością jak instrumentem. „Twoje życie będzie tak ciemne i puste jak ten pokój, w którym teraz siedzimy, młoda damo. Twoja cała przyszłość będzie zdewastowana. Nikt nie obdarzy cię dobrą miłością, tylko niedobłą; plugastwem i poniżeniem. Ponieważ na to zasługują niedobre dzieci. Na zimny, samotny świat”. Potem pokazywał zdjęcia. Martwe ciała, fotki z obozów koncentracyjnych. Tak właśnie skończysz! Znów przysunęła się do mnie.

– Po prostu śpiewał psalm – powiedziała, dotykając mojego rękawa. Jak ksiądz... Nie dawał ci szansy odezwać się. Sprawiał, że czułeś się jedyną parszywą osobą na całym pięknym świecie; głównianą plamą na jedwabiu. I wierzyłeś mu. Wierzyłeś, że każdy zmieniał się na lepsze i uczył samokontroli. Wszyscy stali po jego stronie, a ty byłeś jedynym zgniłkiem we wszechświecie.

– Zamykał ci usta – stwierdziłem – żebyś nie zwierzała się innym dzieciom.

– To działało. Nie zwierzałam się nikomu. Później, kiedy już stamtąd odeszłam, wiele lat później, zorientowałam się, że postępowałam głupio. Widziałam, jak inne dzieciaki wchodzą do tych pokoi. Teraz wydaje się to śmiesznie logiczne. Ale wtedy, nie potrafiłam... On powodował, że całą swoją uwagę poświęcałam sobie. Swoim złym cechom. Cechom szkodnika.

– Od początku byłaś odizolowana. Nowe środowisko, nowe zwyczaje.

– Dokładnie! – wykrzyknęła, ściskając moje ramię. – Byłam cholernie przestraszona.

Rodzice nie powiedzieli mi, dokąd jedziemy. Spakowali walizkę i wrzucili mnie do samochodu.

Przez całą drogę nie odezwali się ani słowem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zostawili mnie w biurze i odjechali. Później dowiedziałam się, że takie im dał instrukcje. Udanych wakacji, Meredith...

Jej oczy zaszyły mgłą.

– Powtarzałam siódmą klasę. Wreszcie udało mi się zdać i z utęsknieniem oczekiwałam wakacji. Myślałam o lecie przy plaży nad jeziorem Arrowhead, gdzie mieliśmy chatę i jeździliśmy całą rodziną. A oni zostawili mnie i pojechali sami... Żadnych przeprosin, żadnych wyjaśnień. Myślałam, że umarłam i znalazłam się w piekle. Siedziałam w tym biurze, otoczona brązowymi mundurkami i nikt ze mną nie rozmawiał. Potem wszedł on. Uśmiechał się jak kłown. Mówił, że jestem śliczną dziewczynką i że się mną zaopiekuje. Pomyślałam: co za palant, bez problemu sobie z nim poradzę. Za pierwszym razem, kiedy przekroczyłam linię, nie zareagował. Za drugim, zabrał mnie do pokoju i otumaniał niedobłą miłością. Wyszłam stamtąd na wpół w śpiączce... Ciężko wyjaśnić, ale to było prawie jak umieranie. Jak kiepski haszysz. Czułam, że jestem pośród sztormu na skalistej, bezludnej wyspie. Szalone, ciemne, wyjące, pełne rekinów morze wokół mnie, żadnych szans ucieczki i on pracujący nad moją złą stroną!

– Koszmar – przyznałem.

– Przez pierwszy tydzień prawie nie spałam ani nie jadłam. Schudłam pięć kilo. Najgorsze było to, że mu wierzyłeś. W pewien sposób kierował twoim umysłem; jakby siedział w twojej czaszce rozdrapując ci mózg. Naprawdę czuleś, że jesteś gównem i pasujesz wyłącznie do piekła.

– Dzieci w ogóle nie rozmawiały ze sobą?

– Może któreś tak. Ja – nie. Może mogłam, nie wiem. Na pewno nie czułam, że mogę.

Wszyscy chodzili uśmiechnięci i powtarzali, jaki to doktor B. jest wspaniały. Taki cudowny facet. I nagle sam tak mówiłeś, bez namysłu otwierając jadaczkę, jak przy śpiewaniu głupich,

obozowych piosenek. Tam była taka zakaźna atmosfera. Stado roześmianych idiotów. Jak wyznawcy kultu. Czułeś, że jeżeli wypowiesz się o nim niepozytywnie, to ktoś naleje ci trucizny do gardła.

– Czy kary fizyczne stanowiły część niedobrej miłości?

– Czasami. Zazwyczaj klaps, uszczypnięcie; nic, co powodowałoby poważny ból. Chodziło głównie o poniżenie, efekt zaskoczenia. Kiedy chciał cię zranić, szturchał w łokieć albo w nerw ramienia. Znał wszystkie czułe punkty... Nic co pozostawiłoby bliznę czy znamię. Zresztą i tak nikt by nam nie uwierzył. Kim byliśmy? Wagarowiczami, odmieńcami, wyrzutkami. Nawet teraz. . Czy byłabym wiarygodna? Cztery aborcje, walium, librium, thorazyna, elavil, lit? Wszystkie inne rzeczy, które robiłam? Czy jakiś prawnik nie wywleklby tego wszystkiego? Czy znowu nie byłabym tylko zwykłą kupą gówna?

– Prawdopodobnie.

Uśmiechnęła się z niesmakiem.

– Rajcuje mnie fakt, że on nie żyje; podwójnie rajcuje to, że sam się zabił. Przyszła kolej na jego poniżenie.

Zerknęła na sufit.

– O co chodzi? – zapytałem.

– O to samobójstwo. Sądzisz, że mógł się czuć aż tak winny?

– Z tego co mówiłaś, ciężko sobie wyobrazić.

– Taak. Pewnie masz rację.. Taak, uderzył mnie wiele razy, ale ten ból był mile widziany.

Ponieważ kiedy bił, to nie mówił. Jego głos. Jego słowa. Mógł sięgnąć do środka i wycisnąć życie z twoich wnętrzności... Miał swoje stałe rubryki w gazecie: „humanitarne wychowywanie dzieci”... Ludzie przysyłali listy, w których opisywali swoje problemy, a on oferował pieprzone rady?



Westchnąłem.

– Tak – powiedziała – moja smutna historia... taka patetyczna. – Rozejrzała się po restauracji przyłożywszy dłoń do ucha. – Czy słuchają tego jacyś reżyserzy seriali? Mam dla was zajebisty scenariusz.

– Nigdy nie powiedziałaś nikomu?

– Dopiero tobie, kochanie – uśmiech. – Nie czujesz, że ci pochlebiam? Wszyscy ci psychiatrzy, a ty jesteś pierwszy. Pozbawiłeś mnie dziewictwa. Poskromiłeś moją psychologiczną czeresienkę!

– Ciekawie to ujęłaś.

– Pasuje, co? Terapia jest jak pieprzenie i otwierasz się przed nieznanym i masz nadzieję na najlepsze.

– Powiedziałaś, że widziałaś, jak dzieci wchodziły do pokojów. Zabierali je inni ludzie, czy tylko de Bosch?

– Głównie on. Czasami jego córka. Ja byłem pacjentką szefa. Ze względu na pozycję społeczną taty.

– Katarina też leczyła? Kiedy dokładnie tam byłaś?

– W siedemdziesiątym szóstym.

– Miała wtedy tylko dwadzieścia trzy lata. Była jeszcze studentką.

Wzruszyła ramionami.

– Wszyscy traktowali ją jak psychiatrę. A była prawdziwą suką. Chodziła z filisterskim wyrazem twarzy. Tatuś był królem, a ona księżniczką. Pełna szacunku córeczka, która autentycznie chciała się pieprzyć z papą.

– Miałaś jakiegś zajścia bezpośrednio z nią?

– Poza wyzwiskami na korytarzu, nie.

– A co z innymi pracownikami? Widziałaś, żeby któryś z nich przeprowadzał prywatną sesję?

– Nie.

– Nie kojarzysz żadnego z imion, które wymieniłem?

Posłała mi pełne bólu spojrzenie.

– To wszystko jedna, wielka plama. Do niedawna całe moje życie było rozmazaną plamą.

– Mogę jeszcze raz je wymienić?

– Pewnie, dlaczego nie. – Uniosła kubek i pociągnęła łyk kawy.

– Grant Stoumen.

Pokręciła głową.

– Mitchell Lerner.

– Może... brzmi znajomo, ale nie potrafię dopasować żadnej twarzy.

Dałem jej trochę czasu do namysłu.

– Nie – odparła po chwili.

– Harvey Rosenblatt.

– Y-ymm.

– Wilbert Harrison.

– Nie.

– To taki mały człowieczek, wiecznie ubrany na czerwono.

– A jeździ na różowym słoniu?

– Myra Evans.

Mrugnęła. Zmarszczyła czoło.

Powtórzyłem nazwisko.

– Przedtem użyłeś innego imienia – powiedziała. – Myra-coś-rock.

– Evans-Paprock. Paprock nosiła po wyjściu za męż.

– Evans. – Kolejny uśmiech, ale wcale nie wesoły. – Myra Evans, Myra Suka. Była nauczycielką, zgadza się? Drobną blondynką z chudym tyłkiem i zgrabną sylwetką, mam rację? Skinąłem głową.

– Taak – rzekła Meredith – Myra Suka. Miała za zadanie walczyć tam, gdzie inni polegali.

Uczyła mnie czytać. Wciąż mnie straszyla i zmuszała do robienia głupkowatych ćwiczeń, które nie zdawały się na nic, bo i tak słowa ciągle zlewały mi się w jedno. Kiedy zrobiłam jakiś błąd, łączyła dłonie i głośno mówiła „nie”. Jakby tresowała psa. Powtarzała, że jestem głupią kretynką i niedostatecznie uważam. Łapała mnie za policzki i zmuszała, żebym patrzyła jej prosto w oczy.

Położyła dłonie na moich policzkach i mocno ścisnęła. Skóra na rękach Meredith była mokra, a usta otwarte. Przyciągnęła mnie i pomyślałem, że przymierza się do pocałunku.

Tymczasem krzyknęła:

– Uważaj! Słuchaj, ty kretynie!

Powstrzymałem się od chęci wyswobodzenia się z uścisku.

– Uważaj! Przestań się rozglądać, głupia! To jest ważne! Musisz się tego nauczyć! Jak nie będziesz uważać, to się nie nauczysz!

Przycisnęła mocniej. Odpuściła. Uśmiechnęła się.

– Miętowy oddech. To był jej zapach. Zabawne, jak człowiek pamięta zapachy. Miętowy, ale mimo to, gówniany. Uważała się za ponętną laskę. Młoda, minispódniczki, duże cyce... Może pozwalała doktorowi B je miętolić.

– Dlaczego tak mówisz?

– Po sposobie, w jaki zachowywała się w jego towarzystwie. Widziałam, jak na niego patrzyła. Składała raporty bezpośrednio jemu. Jednego mogłeś być zdecydowanie pewny: po trudnej rozmowie z panną Suką, wkrótce czekały cię świece i igielki doktora Boscha.

Zamordowano ją, he?

– W wyjątkowo paskudnym stylu.

– Fatalnie – wydeła usta i uśmiechnęła się. – Widzisz, mogę być też hipokrytką. To się nazywa gra. Pracuję z ludźmi, którzy w ten sposób zarabiają na życie. Zresztą wszyscy tak robimy, prawda?

– A co z Rodneyem Shiplerem? Czy to imię coś ci mówi?

– Nie.

– A Delmar Parker – chłopak, o którym wspominałem przez telefon.

– Taak, ciężarówka. Stąd wiedziałam, że nie jesteś żadnym oszustem. To było jeszcze przed moim przyjazdem.

– W maju, siedemdziesiątego trzeciego. Słyszałaś o tym?

– Słyszałam o tym od Boscha, chłopie.

– Podczas sesji?

Skinęła głową.

– Zapłata za grzechy. Popełniłam jakieś poważne przestępstwo; chyba nie nosiłam bielizny albo może złapał mnie z chłopakiem; nie pamiętam. Powiedział, że jestem zwierzęcym szkodnikiem, a potem uraczył mnie całym wywodem na temat chłopaka szkodnika, który otrzymał maksymalną karę za swoją głupotę. „Śmierć, młoda damo. Śmierć”.

– Powiedział, że co się wydarzyło?

– Dzieciak ukradł ciężarówkę, wypadł z drogi i się zabił. Dowód na to, co przydarza się kretyńskim dzieciom – zwierzęcym szkodnikom. Bosch dobrze się przy tym bawił. Żartował sobie z chłopaka, śmiał się, jakby to wszystko było tylko wielkim dowcipem. „Rozumiesz, ty zła, głupia dziewczyno? Chłopak tak głupi, że reżyseruje swoją własną śmierć? Cha, cha, cha...”

– Użył takiego słowa? „Reżyseruje”?

– Tak – odparła nieco zaskoczona – tak właśnie powiedział.

– Co jeszcze mówił o tym wypadku?

– Odrażające szczegóły – to należało do części niedobrej miłości. Ta historia była jego atutem. Mówił, że kiedy po pewnym czasie znaleźli ciało, robaki włączyły do ust trupa i wpełzały w oczodoły. „Jest zżerany przez robaki, moja droga Meredith. Konsumowany. I dzikie zwierzęta również się na nim pasły. Wchłonęły większość jego twarzy. Prawdziwy bałagan, zupełnie jak twój charakter, ty zła, głupia dziewczyno. Próbujemy zrobić z ciebie coś przyzwoitego, ale ty odmawiasz współpracy. Pomyśl, Meredith. Pomyśl o tym głupim chłopaku. O niedobrej miłości, którą otrzymał od robali. Tak się dzieje, kiedy szkodniki nie zmieniają swojego zachowania”.

Roześmiała się twardym, suchym głosem i znowu potarła nos.

– To może nie był dokładny cytat, ale cholernie zbliżony do oryginału. Wdawał się też w ten cały rasistowski rap. Powiedział, że chłopak z ciężarówki był czarny. „Dzikus, Meredith. Rodem z dżungli. Dlaczego chcesz naśladować takich dzikusów, skoro dokoła mamy cywilizowany świat?” Nie licząc wszystkiego innego, był również rasistą. Mogłeś poznać po spojrzeniach, jakimi obdarzał dzieciaki innych ras.

– Dużo ich tam było?

Pokręciła głową.

– Tylko kilkoro. Na pokaz zgrywał pana Liberała. Wszędzie wisiały zdjęcia Martina Luthera Kinga, Gandhiego i Kennedy’ego. Tak jak mówiłam; to wszystko gra. Ten świat jest pieprzoną sceną.

Położyła ręce płasko na stole, jakby się znów szykowała do wstania z miejsca.

– Jeszcze kilka nazwisk – powiedziałem – Silk...

Pokręciła głową.

– Merinos.

– Co to jest, show tekstyliów? Y-yymm.

– Lyle Gritz?

– Owies i toast. Nie. Tak w ogóle, to ilu ludzi wykończono?

– Wielu. Ja także jestem na liście.

Jej oczy zaokrągliły się.

– Ty? Dlaczego?

– Przewodniczyłem sympozjum poświęconym pracy de Boscha. W Western Peds.

– Dlaczego? – zapytała chłodno. – Byłeś fanem?

– Nie. W zasadzie to twój ojciec skłonił mnie do uczestnictwa.

– Skłonił, he? Jakiej użył taktyki? Ściskania za jaja czy całowania w dupę?

– Ściskania. Oddał przysługę Katarinie.

– Sympozjum, co? Dzięki tatusiowi. Facet mnie torturuje, a wy urządzenie mu przyjęcie.

Kiedy to się odbyło?

– W siedemdziesiątym dziewiątym.

Pomyślała chwilę.

– Siedemdziesiąty dziewiąty. W siedemdziesiątym dziewiątym byłam w Bostonie. W dziewczęcej szkole katolickiej, chociaż nie byliśmy katolikami... Sympozjum. – Roześmiała się.

– Nie powiedziałaś nigdy rodzicom, co wydarzyło się w Szkole Poprawczej?

– Ani słowa. Byłam zbyt sparaliżowana, a oni i tak by nie uwierzyli. Po tych wakacjach nie rozmawiałam z nikim, tylko błąkałam się jak robot. Wręczyli Boschowi wredną wychylającą się dziewczynę, a dostali z powrotem uległego, małego potworka. Myśleli, że to było cudowne wyleczenie. Wiele lat później wciąż powtarzali, że to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęli. Ja tylko gapiłam się i miałam ochotę ich zabić, ale dusiłam uczucia wewnątrz.

Jasne oczy Meredith wypełniły się łzami.

– Jak długo trwałaś w tym stanie? – spytałem.

– Nie wiem – miesiące, lata... Wiem tylko, że minęło dużo czasu, zanim wróciłam do prawdziwej siebie. Dostatecznie zmądrzałam, by uporządkować pewne sprawy. Nie zostawiałam już lepkich plam na ubraniach.

Oblizwała usta i uśmiechnęła się. Łza spłynęła po jej policzku. Starła ją ze złością.

– Kiedy miałam osiemnaście lat, powiedziałam im: „odpieprzcie się” i odeszłam. Uciekłam z facetem, który przyszedł odetkać toaletę.

– Widzę, że od tego czasu nieźle sobie radzisz.

– Jak miło, że to mówisz, kochanie. Och, tak, to był przebój. Reklama to gówniany biznes, więc jestem do niego idealna. Organizowanie promocji, reklamowe przyjęcia, płodzenie plotek dla kretyńskiej prasy. Cóż, show musi trwać. Ciao, to wszystko.

Wstała i prawie wybiegła z restauracji.

Położyłem na stole pieniądze, podążyłem za nią i dogoniłem, kiedy – wsiadała do czerwonego mustanga. Samochód wyglądał na nowy, ale na drzwiach kierowcy odpryskiwał lakier.

– Y-yymm, wystarczy – powiedziała, zapalając silnik – dostałeś szybkie, umysłowe pieprzenie za swoje dziesięć dolców i na tym koniec.

– Chciałem ci tylko podziękować – oznajmiłem.

– Do tego uprzejmy – stwierdziła. – Naprawdę cię nie lubię.

## **Rozdział trzydziesty**

Niedobra miłość. Hipokryzja – rzekła Robin. – Drań tworzy zwrot określający niewłaściwe traktowanie nieletnich, ale ma dla niego własne, prywatne znaczenie.

– Tyranizowanie małych dzieci – jej ręce zacisnęły się na drewnianym trzonku pilnika. Jego

ostrze zaczęło kawałek palisandru, więc uwolniła je.

– Jeżeli doświadczenia Meredith były typowe – dodałem – to znęcanie się było najzupełniej legalne. De Bosch nie molestował dzieci seksualnie, a fizyczne kary, które stosował, nie są zabronione w żadnym, poza szwedzkim, prawodawstwie.

– Szturchnięcia i klapsy?

– Żadnych siniaków i blizn, a zazwyczaj trzeba głębokich ran i złamanych kości, żeby wywalczyć cokolwiek w sądzie. W wielu szkołach nadal stosuje się kary cielesne. Nie sprecyzowano nigdy żadnego prawa zabraniającego zniewalania psychicznego. Jak można ustalić tu kryteria? De Bosch zachowywał się jak totalnie zepsuty rodzic, a to nie przestępstwo.

Robin pokręciła głową.

– I nikt nigdy ani słowa nie powiedział?

– Może któryś dzieciak tak, ale wątpię, czy ktoś mu uwierzył. Chodziło o dzieci stwarzające problemy. Ich wiarygodność była niska, a rodzice wściekli. W niektórych przypadkach traktowano de Boscha jak cudotwórcę. Meredith wróciła do rodziny z szokiem pourazowym, ale idealnie grzeczna. Nie podejrzewali nigdy, że lato w szkole było czymś innym niż wspaniałym sukcesem.

– Cóż, cel został częściowo osiągnięty.

– Rob, mówimy tu o bardzo sfrustrowanych rodzicach. Nawet jeżeli to, co robił de Bosch, wyszło na jaw i niektórzy rodzice zabrali stamtąd dzieci, to założę się, że inni popędzili, żeby swoje oddać do tej szkoły. Nie było prawa na doktorka. Teraz jedna z ofiar wymierza sprawiedliwość na własną rękę.

– Ten sam odwieczny łańcuszek – stwierdziła – tyranizowani i tyrani.

– Ciekawi mnie tylko fakt, dlaczego zabójca nie uderzył w de Boscha, a jedynie w jego stronników. Chyba dlatego, że Andreas umarł, zanim morderca wystarczająco dorósł – albo



wystarczająco się rozwinął, żeby zaplanować zemstę.

– Albo wystarczająco zwariował.

– To również. Jeżeli istotnie uraz został spowodowany bezpośrednio wypadkiem Parkera, to mówimy o kimś, kto był studentem w szkole w 1973. De Bosch zmarł siedem lat później, więc morderca mógł nadal być jeszcze dzieckiem. Młodzi przestępcy nie popełniają tak starannie zaplanowanych morderstw. Zazwyczaj działają bardziej impulsywnie. Może też nie dobrał się do de Boscha, ponieważ siedział w zamknięciu; więzieniu albo szpitalu psychiatrycznym. To pasuje do naszego pana Gritza: dziesięć niewytłumaczonych lat pomiędzy opuszczeniem Georgii a aresztowaniem tutaj.

– Dodatkowa frustracja – zauważyła Robin.

– Dokładnie tak. Doprowadziła do niej świadomość, że nie może ukarać de Boscha. Pierwsze morderstwo popełniono pięć lat temu. Myra Paprock. Może właśnie tego roku go zwolniono... Myra mogła wydać mu się dobrym celem. Wierna uczennica dyktatora.

– To ma sens – stwierdziła, spoglądając na swój warsztat – jeżeli de Bosch rzeczywiście sam się zabił. A co jeśli został zamordowany i upozorowano jego śmierć na samobójstwo?

– Nie wydaje mi się – wyznałam – przedawkowanie leków to zbyt łagodna śmierć. Dlaczego zabójca masakrowałby zwykły personel, a pozwoliłby na tak bezbolesne odejście szefa? I ten cały rytuał zaspokajający motywację psychologiczną? Czyż nie oznacza, że należy zostawić najlepsze na koniec, a nie zaczynać od de Boscha i później działać wstecz?

– Najlepsze na koniec – powtórzyła drżącym głosem – a więc do czego ty tu pasujesz?

– Jediną rzeczą, która wydaje mi się realna, jest to cholerne sympozjum.

Zaczęła wyłączać urządzenie. Pies wiernie podązał za nią, unosząc łeb, jakby w oczekiwaniu na aprobatę.

– Alex – rzekła zdejmując fartuch – ale jeżeli de Bosch istotnie popełnił samobójstwo, czy

nie wiąże się to z wyrzutami sumienia? Ten fakt nie znaczyłby wiele, lecz miło byłoby pomyśleć, że miał wątpliwości co do swoich poczynań.

– Ta kobieta zapytała mnie o to samo. Chciałem powiedzieć tak – ona marzyłaby o usłyszeniu czegoś takiego, ale nie uwierzyłaby. Mężczyzna, którego opisała, nie wydawał się takim typem. Według mnie w gazetach podali prawdziwą motywację: „przygnębienie z powodu stanu zdrowia”. Slajdy, które Katarina pokazywała na konferencji, przedstawiały zniszczoną istotę.

– Niszczyciela – poprawiła Rob.

– Taak. Kto wie, ile dzieci skrzywdził przez te wszystkie lata?

Pies wyczuł napięcie w moim głosie i potrząsnął pyskiem. Pogłaskałem go i dodałem.

– Więc kto w końcu zasługuje na karę?

Robin chwyciła miotłę i zaczęła sprzątać trociny.

– Były jakieś telefony? – zapytałem przytrzymując kosz na śmieci.

– U-uch.

Skończyła i wytarła ręce. Wyszliśmy z garażu. Zamknęła drzwi. Góry po drugiej stronie kanionu były jasne i zazielenione. Okres suszy minął.

Nagle ten obszerny, niski dom wydał mi się bardziej obcy niż kiedykolwiek. Weszliśmy do środka.

W sypialni Robin rozpięła roboczą koszulę. Zdjąłem jej stanik i zacząłem pieścić gorące piersi. Napięła kręgosłup. Potem odsunęła się i skrzyżowała ręce na klatce.

– Wynieśmy się stąd, Alex... z tego miasta.

– Pewnie – zgodziłem się, zerkając na psa, który szturmował posłane łóżka – zabieramy go ze sobą?

– Nie mówię o wakacjach, tylko o kolacji. O odległym miejscu, gdzie pocujemy się inaczej.

Jemu nic nie będzie. Zostawimy mu jedzenie, wodę, włączoną klimatyzację i parę gumowych kości.

– Okay, gdzie chciałabyś pojechać?

– W normalnych warunkach powiedziałabym, że do Santa Barbara.

Zmusiłem się do śmiechu.

– Co powiesz na inny kierunek – Laguna Beach?

– Laguna byłaby rozkoszna – podeszła i umieściła moje ręce na swoich biodrach. –

Pamiętasz to miejsce z widokiem na ocean?

– Taak – odparłem. – Calamari i obrazki szlochających kłownów. Zastanawiasz się, czy jeszcze istnieje?

– Jeżeli nie, to znajdziemy coś innego. Najważniejsze, żeby oddalić się stąd.

W celu uniknięcia korków, wyjechaliśmy o siódmej trzydzieści furgonem, ponieważ miał pełniejszy zbiornik paliwa. Prowadziłem bawiąc się świetnie wysokim siedzeniem i mocą silnika.

Robin wsunęła kasetę do magnetofonu. Jakaś nastolatka o imieniu Allison Krause śpiewała o błękitnej trawie głosem tak czystym i słodkim jak pierwsza miłość.

Nie zadzwoniłem do Milo, żeby powiedzieć mu o Meredith. Następna szumowina, skomentowałby, kolejny dziwak. Później potarłby dłonią twarz...

Pomyślałem o głosie mężczyzny z taśmy, zawodzącym jak dziecko przeżywające swoją przeszłość...

Do mojej głowy wdzierały się ohydne myśli.

Wyczułem stres Robin. Jej palce uderzały w moje udo w takt muzyki i nagle przestały.

Ścisnąłem je. Pozwoliłem swojej dłoni pobuszować wokół wąskiej talii kobiety.

Miała na sobie czarne koronkowe majteczki pod krótką, drelichową spódniczką. Włosy spięła w odsłaniający kark kok. Mężczyzna ze sprawnie funkcjonującym mózgiem dziękowałby

Bogu, że siedzi obok takiej istoty.

Przycisnąłem policzek do jej twarzy. Opuściłem ramiona i kiwałem głową w rytm muzyki.

Wiedziała, że próbuję ją rozweselić, i ułożyła dłoń wyżej na moim udzie.

Ukochana, ciężarówka i szeroka droga. Zanim dotarłem do Long Beach, zacząłem naprawdę tak czuć.

Laguna była spokojniejsza i ciemniejsza niż pamiętałem. Targ, prawie wszystkie turystyczne knajpy i galerie pozamykane.

Baru z kałamarnicami już nie było. Jego miejsce zajął „Karaoke”. Wewnątrz ludzie hartowali się pijąc margarity i udając, że są Righteous Brothers. Ich żalose krzyki wylewały się na chodnik.

Znaleźliśmy w końcu przyjemnie wyglądającą kawiarenkę. Zjedliśmy wielkie porcje zimnej sałatki, dużo ryby z frytkami i wypiliśmy najpierw trochę wina, a później mocną kawę.

Później poszliśmy daleko za centrum handlowe, żeby znaleźć bezludny skrawek plaży. Za białym paskiem rozpościerały się tysiące mil czarnej wody. Fale przetaczały się pijackim rytmem i czasami wydawały dźwięki, które brzmiały jak chóralny aplauz. Ściskaliśmy się za ręce tak mocno, że bolały nas palce. Objęci, całowaliśmy się, dopóki nasze języki nie zeszywniały.

W słabym świetle ledwie widziałem ciemne, zwężające się źrenice oczu Robin.

Przygryzła moją dolną wargę. Wiedziałem, że w tym geście było po trochu namiętności, relaksu i gniewu. Pocałowałem ją za uchem. Tuliliśmy się do siebie bardzo długo. Potem wróciliśmy do vana i wyjechaliśmy z miasta kierując się na północ.

– Nie wjeżdżaj na autostradę – zasugerowała Robin – pojeździmy trochę po okolicy.

Wyskoczyłem na Laguna Canyon Road. Krążyłem kilka kilometrów, a później wykonałem gwałtowny skręt na nieoznaczoną drogę prowadzącą wśród skał.

Żadnych rozmów ani muzyki.

Minęliśmy zakład garncarski, którego drewnianą wywieszkę oświetlała mdła żarówka. Potem

– ogrodzoną kurzą farmę. Następnie przejechaliśmy obok kilku stadnin i wiejskich chałup.

Później przez długi czas – nic. Wreszcie ślepy koniec drogi.

Świerszcze i cienie. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegłem oceanu.

Wrzuciłem wsteczny. Robin powstrzymała mnie i wyłączyła silnik.

Zaczęliśmy się całować i ściągać z siebie odzienie.

Kompletnie nadzy przywarliśmy do siebie. Oddychając ciężko walczyliśmy o zapomnienie.

Drogę powrotną przebyliśmy w ciszy. Zdołałem zachować szczególną uwagę, dopóki nie zjechaliśmy z autostrady. Robin spała aż do momentu, kiedy przekroczyliśmy granicę stanu L.A.

O czwartej zero dwie na Sunset nie było prawie żadnych aut. Znajoma wschodnia trasa wydawała się opustoszała i spokojna. Zbliżyłem się do skrzyżowania na Beverly Glen i przygotowałem do przemknięcia na zielonym świetle. Wtem zawodzący odgłos syren dobiegł mnie z miejsca, którego nie potrafiłem jednoznacznie określić. Otaczał mnie i narastał.

Zwolniłem i zatrzymałem samochód. Robin doznała lekkiego wstrząsu. Odgłos stawał się nie do zniesienia. Ze wschodu nadszedł kolos z drabiną. Potem następne dwa wozy strażackie z piskiem opon skrzyły na północ. Za nimi podążała jeszcze jedna ciężarówka i dwie mniejsze jednostki. Wiśniowy sedan zamykał konwój i po chwili wycie syren odjechało w kierunku Glen. Robin niemalże wbiła paznokcie w rączkę fotela. Oczy miała ogromne, jakby odcięto jej powieki.

Spojrzeliliśmy na siebie.

Skręciłem w lewo i pogałem za wyjąłym karawanem.

Poczułem to dwieście metrów dalej. Jakby ktoś zbyt długo zostawił na ogniu czajnik.

Dodałem gazu, śledząc światła lamp wozów strażackich. Miałem nadzieję, że pojedą dalej w górę, w stronę Mulholland. Ale skręcili, na zachód.

Pomknęła starą, górską ścieżką prowadzącą do opuszczonej posiadłości.

Robin trzymała się za głowę i coś mamrotała, kiedy ja żyłowałem ciężarówkę. Dotarłszy do mojej ulicy, jeszcze mocniej docisnąłem gaz. Drogę zablokowały nowo przybyłe wozy.

Musiałem zjechać do krawężnika i zaparkować.

Wokół roило się od reflektorów oświetlających żółte kaski ludzi walczących z ogniem.

Ogromne poruszenie, ale noc utrudniała dostrzeżenie szczegółów.

Wyskoczyliśmy z auta i biegiem ruszyliśmy na wzgórze. Spaleniznę czuć było teraz wyraźniej. Czarne niebo kamuflowało strugi ciemnego dymu, który strzelał w górę szarymi, tłustymi spiralami. Czulem ogień – ten żrący gorący – lepiej niż mogłem go widzieć. Moje ciało ociekało potem, choć wewnątrz przemarzłem do szpiku kości.

Strażacy krzycząc rozwijali węże. Byli za bardzo zajęci, by nas zauważyć.

To, co kiedyś było bramą do stawu, teraz stanowiło zlepek drzewnego węgla. Podjazd zapadł się, a cała prawa strona mojego domu uległa stopieniu. Tył budynku spowijały pomarańczowe barwy. Języki ognia lizaly niebo. Drzewo trzeszczało i skrzypiało.

Wysoki strażak podał wąż innemu mężczyźnie i ściągnął rękawice. Zauważył nas i zbliżył się, gestem dłoni odsyłając w tył.

Podeszliśmy do niego.

– To nasz dom – oznajmiłem.

Wyraz współczucia na jego twarzy głęboko mnie dotknął. Mężczyzna był czarny, z masywną szczęką i szerokim, ciemnym wąsem.

– Przykro mi, ludzie. Ciężko nad tym pracujemy. Przyjechaliśmy z remizy Mulholland najszybciej jak się dało. Właśnie dotarły posiłki z Beverly Hills.

– Czy wszystko przypadło? – zapytała Robin.

Zdjął kask i otarł czoło.

– Do tej pory nie, i mamy to już pod kontrolą. Niebawem zobaczycie, że dym zacznie przybierać białe barwy.

– Bardzo źle?

Zawahał się.

– Szczerze mówiąc proszę pani, to cała tylna struktura poważnie ucierpiała. Trochę przyczyniła się susza; połowa waszego domu spłonęła. Musiało tam być nieźle sucho. Z czego się składała, z ceramicznej dachówki?

– Z jakiejś dachówki – odparłem – nie wiem, osiedliłem się na gotowym.

– Te stare dachy... dziękujcie Bogu, że nie były drewniane. Zostałyby teraz stos popiołu.

Robin patrzyła na niego, ale nie słuchała. Strażak zagryzł wargi. Chciał położyć dłoń na jej ramieniu, ale powstrzymał się. Założywszy z powrotem rękawice, odwrócił się w moją stronę.

– Jeżeli wiatr nie spleta figła, powinniśmy ocalić część budynku. Wpuścimy was do środka tak szybko, jak to możliwe.

Robin zaczęła płakać.

– Naprawdę bardzo mi przykro – wyznał strażak. – Jeśli chce pani koc, to mamy kilka w ciężarówce.

– Nie – odpowiedziała – co się stało?

– Jeszcze dokładnie nie wiemy, może porozmawiacie z kapitanem, tym dżentelmenem tam dalej, nazywa się Gillespie. Powinien wiedzieć coś więcej.

Odbiegł, wskazawszy uprzednio mężczyznę średniego wzrostu, stojącego niedaleko podjazdu. Podeszliśmy do kapitana. Stał tyłem do nas. Lekko szturchnąłem go w ramię. Odwrócił się błyskawicznie, gotowy do wyrzucenia z siebie kilku wyzwisk. Jedno spojrzenie na nas zamknęło mu usta. Miał około pięćdziesiątki i mocno pokiereszowaną, prawie kwadratową twarz.

– Właściciele?

Dwa skinięcia głów.

– Przykro mi. Wyszliście na noc?

Kolejne skinięcia. Poczułem się jak ktoś zakopany w piasku. Każdy ruch był jak Sąd Boży.

– Walczymy od przeszło pół godziny i myślę, że dotarliśmy tu dość szybko po wybuchu.

Ktoś przejeżdżający przez Glen poczuł swąd i zadzwonił. Zlikwidowaliśmy już większość ognisk. Oczekujemy wkrótce na biały dym, panie...?

– Alex Delaware. To Robin Castagna.

– Ron Gillespie. Jesteście legalnymi właścicielami czy lokatorami?

– Właścicielami.

Następne, pełne żalu, spojrzenie. Z domu dobiegł nas stłumiony dźwięk. Kapitan obejrzał się przez ramię i ponownie popatrzył na nas.

– Powinniśmy zdołać ocalić przynajmniej połowę, ale woda też poczyni szkody. – Odwrócił wzrok raz jeszcze. Coś przykuło jego uwagę. – Chwileczkę. – Podbiegł do grupy nowych przybyszów, wskazał dłonią płonący dach i rozłożył ramiona jak kaznodzieja.

Kiedy wrócił, powiedział:

– Chcecie się czegoś napić? Chodźcie, wynośmy się z tego gorąca.

Podążyliśmy za nim kilka metrów w dół drogi. Część dymu zaczęła przybierać jaśniejsze barwy.

Gillespie wyciągnął puszkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał nam.

Robin pokręciła głową.

– Nie, dzięki – powiedziałem.

Kapitan otworzył puszkę i pociągnął kilka łyków. Poprawił kask i zapytał:

– Znacie kogoś, kto chciałby wam to zrobić?



– Dlaczego?

Spojrzał na mnie.

– Zazwyczaj ludzie mówią „nie”.

– Jest ktoś – rzekłem – nie wiem kto, to długa historia... powinien pan porozmawiać z takim jednym detektywem z departamentu policji.

Podałem mu nazwisko Milo. Zapisał je.

– Lepiej zaraz do niego zadzwonię – stwierdził. – Nasi specjaliści od podpaleń też się tym zajmą. Bez wątplenia zrobiono to umyślnie. Znaleźliśmy trzy, dyskretnie ukryte, źródła ognia i kanister z benzyną, który prawdopodobnie miał przyspieszyć rozprzestrzenienie się pożaru.

Wygląda na to, że drań wcale nie próbował tego ukryć.

– Nie – stwierdziłem – wcale by nie próbował.

Znowu popatrzył na mnie badawczo. Bez zastanowienia posłałem mu takie samo spojrzenie.

– Pójdę zadzwonić do tego detektywa.

## **Rozdział trzydziesty pierwszy**

Milo spędził z nami kilka cichych minut, a następnie oddalił się na rozmowę z Gillespie.

Ogień zniknął, pozostawiwszy kolumnę białego dymu. Jakiś czas potem odbyliśmy z Robin przechadzkę po zgliszczach. Towarzyszył nam strażak z latarką, który czuwał nad naszym bezpieczeństwem. Dyplomatycznie podążał za naszymi plecami, podczas gdy siarczyście przeklinając kroczyliśmy przez mroczną ruinę.

Ogród i tylna część domu uległy totalnemu zniszczeniu. Powietrze wciąż było gorące i cierpkie. Frontowe pokoje cuchnęły i wypełniał je rozmoknięty popiół. Przetarłem dłonią po zwęglonych meblach. Wyczułem jeszcze ciepły pył. Spojrzałem na zrujnowane antyki, telewizor, spalone stereo. Po chwili stało się to zbyt trudne do zniesienia. Ściągnąłem ze ścian te obrazy i reprodukcje, które wyglądały na nie uszkodzone. Ułożyłem na podłodze zgrabny plik. Niski plik.

Fotografia boksera, poza poczerniałą ramką, wyglądała zupełnie dobrze.

Robin błąkała się po salonie, kiedy oznajmiłem.

– Muszę stąd wyjść.

Posępnie skinęła głową. Wynieśliśmy ocalałe przedmioty do ciężarówki.

Milo i Gillespie wciąż jeszcze – debatowali. Dołączył do nich trzeci mężczyzna: młody, pękaty, łysiejący, z rzadkimi, rudymi włosami. Trzymał notatnik i zaciekle pracował nad zapiskami.

– Drew Seaver – oznajmił wyciągając wolną dłoń – Departament Straży, Badacz Spraw Podpaleń. Detektyw Sturgis wprowadza mnie w temat. Mam do pana kilka pytań, ale mogą poczekać parę dni.

– Poinformuję pana o wszystkim co istotne – zapewnił Milo.

– Świetnie – odrzekł Seaver. – Co z pana ubezpieczeniem, doktorze?

Tymczasem kapitan Gillespie zakomunikował:

– Lepiej już pójdę. Powodzenia, ludzie.

Kiedy odszedł, Seaver powtórzył zadane wcześniej pytanie o ubezpieczenie.

– Nigdy tak naprawdę nie sprawdzałem szczegółów polisy. Ale regularnie uiszczam składki.

– To dobrze. Ci faceci z ubezpieczeń są nieziemsko wredni, proszę mi wierzyć. Pomył się przy literowaniu swojego nazwiska, a znajdą sposób, żeby ci nie zapłacić. Jeżeli będzie pan potrzebował jakiejś pomocy przy wyjaśnianiu, proszę odesłać ich do mnie.

Wręczył mi wizytówkę.

– To i oświadczenie detektywa Sturgisa powinno wystarczyć.

– Na co wystarczyć? – zdziwiła się Robin – z czego mamy się tłumaczyć?

Seaver przyłożył palec do podbródka. Miał grube, różowe, nienaturalnie opadające wargi.

Powodowało to, że ciągle wyglądał na zasmuconego.

– Zazwyczaj podpaleń dokonują sami właściciele, panie Delaware. Przynajmniej w większości przypadków. Jak powiedziałem, towarzystwa ubezpieczeniowe zrobią wszystko, żeby wam nie zapłacić. Na początku będą zakładać, że wy za tym stoicie.

– Pieprzyć ich – zasugerował Milo, a potem dodał – nie martw się, ja to załatwię.

– Okay... – powiedział Seaver – ...cóż, lepiej jeszcze poszperam po okolicy.

Odszedł, rzuciwszy nam przelotny uśmiech.

Milo miał rozczochrane włosy, a z jego oczu emanowało elektryczne napięcie. Ubrany był w koszulę i krawat. Krawat zwisał luźno, a kołnierzyk był wygięty. Detektyw zaczął nerwowo pocierać dłońią po twarzy. Powtarzał ten gest z coraz większą prędkością.

– Spokojnie, Milo, już po wszystkim – odezwała się Robin.

– Nie, nie – odparł – uch-ch, nie uspokajaj mnie. Jesteście ofiarami cholernej służby. Wiem, że to brzmi szczeniacko, ale dostaniemy go w ten czy inny pieprzony sposób. Już należy do historii. Uwolnimy się od tego maniactwa.

W trójkę podeszliśmy do ciężarówki. Cywilny ford Milo stał zaparkowany za furgonem.

Żadne z nas się nie obejrzało. Światła wozów strażackich znikwały jedno po drugim. Do wschodu słońca pozostało kilka godzin. Bez blasku reflektorów i płomieni noc wydawała się pusta.

– Chcecie jechać ze mną? – zapytał Sturgis.

– Nie – odrzekłem – poradzę sobie.

Robin stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

– Dowiedziałem się, na czym polegał grzech de Boscha – oznajmiłem i opowiedziałem mu o przeżyciach Meredith.

– Ty dźgasz mnie, a ja dźgam ciebie – skomentował. – Żadnego pierdolonego usprawiedliwienia.

– Czy możemy być pewni, że to nie robota Żelaznego Zakonu?

– Nie możemy być pewni niczego – powiedział wściekle – ale stawiam tysiąc do jednego, że to nie oni. Bez obrazy, ale po prostu nie jesteś dla nich aż tak ważny. Chcą teraz krwi Raza. Nie, to była nasza „niedobra miłość”, kolego. Pamiętasz, jak Bancroft mówił o podkładaczach ognia w szkole?

– Powiedziałaś mi, że w aktach nie było wzmianek o żadnych pożarach.

– Taak... dzieciaki umiały się zachować. Problemy zaczęły się dopiero, kiedy ukończyły szkołę.

Jechałem, ale czułem się, jakby mnie holowano. Każdy przebyty metr drogi przyprawiał mnie o dodatkowe osłabienie. W drugiej części kabiny Robin płakała. Nie będąc w stanie przestać, w końcu ograniczyła się do przeciągłych, żalosnych sapnięć.

Ja nie potrafiłem zdobyć się na łzy.

Kiedy wjechałem na Beverly Hills, Robin wzięła oddech i zacisnęła pięści.

– Och, cóż... – powiedziała – zawsze chciałam zmienić wystrój.

Musiałem się roześmiać. Usłyszałem dwa histerycznie chichoczące głosy.

– Jaki styl wybierzemy? – zapytałem – phoenix rococo? Pojawiło się Benedict Canyon.

Czerwone światło. Zatrzymałem furgon. Czułem, jakby przemyto mi oczy kwasem.

– To i tak było małe, tandetne miejsce – stwierdziła. – Nie, wcale nie. To było cudowne małe miejsce... och, Alex!

Przytuliłem ją. Jej ciało wydawało się ciężkie i pozbawione kości.

Zielone światło. Umysł podpowiadał mi, żeby jechać, lecz stopa nie nadążała za tym poleceniem. Starając się nie myśleć o wszystkim, co straciłem, zdołałem wykonać pełny skręt w lewo. Zacząłem mozolną wspinaczkę na Benedict.

Dom. Tymczasowy dom.

Pies powinien wybiec nam na powitanie. Poczułem się niezdolny do odgrywania roli

zwierzęcego kumpla. Niezdolny do wszystkiego.

Podjechałem do białej bramy. Dużo czasu zajęło mi znalezienie karty, a jeszcze więcej wsunięcie klucza do wnęki. Prowadząc furgon po podjeździe liczyłem cyprysowe drzewa, żeby skoncentrować na czymś swoje myśli.

Zaparkowałem obok seville i wysiedliśmy z wozu.

Pies nie wybiegł nam na powitanie.

Przez chwilę szperałem kluczem w zamku. Przekręciłem go. Kiedy przechodziłem przez próg, coś zimnego i twardego przywarło do mojej lewej skroni. Jakaś ręka owinęła się wokół mej szyi, unieruchamiając czaszkę.

– Cześć, doktorze – powiedział głos z żałobnej pieśni – witamy w świecie niedobrej miłości.

## **Rozdział trzydziesty drugi**

Przepraszam za banał, ale się nie ruszaj ani nie odzywaj – rozkazał.

Nacisk na skroń zintensywniał. Silne palce wbijały mi się w policzek.

– Dobrze – stwierdził – jesteś posłuszny. Musiałeś być dobrym uczniem.

Ostre wbicie paznokci.

– Byłeś?

– Znośnym.

– Cóż za skromność. Byłeś o wiele lepszy niż znośny. Twoja nauczycielka z czwartej klasy, pani Lyndon, mówiła, że byłeś najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miała. Pamiętasz panią Lyndon?

Ścisk i potrząśnięcie.

– Tak.

– Ona ciebie pamięta... taki dobry, mały chłopiec... Pozostań dobry: ręce na głowę.

Kiedy moje palce dotknęły włosów, pojawiło się światło.

Jedna z kanap została przesunięta bliżej ławy. Na ławie stały drinki i talerze. Szklanka wypełniona była jakimś brązowym płynem. Paczka chipsów, kupiona kilka dni temu przez Robin, leżała otwarta.

Rozgościł się.

Wiedział, że wyjechaliśmy i wrócimy, nie mając dokąd pójść.

Podłożył ogień i wykorzystał czas na przygotowanie scenerii.

Rytuał.

Reżyserowanie śmierci.

Podkładacze ognia i wariaci...

Zastanawiałem się, jak mógłbym go podejść. Czułem ucisk i widziałem tylko czarny rękaw.

Gdzie była Robin?

– Naprzód marsz – rozkazał, ale przytrzymał mnie w miejscu.

Kroki na marmurze. Ktoś wszedł na moją linię wzroku. Trzymał Robin w ten sam sposób.

Wysoki. Czarny sweter. Workowate, czarne spodnie. Czarna kominiarka z otworami.

Błyszczące oczy. Kolor nierozpoznawalny z takiego dystansu. Ścisnął twarz Robin, zmuszając ją do patrzenia w sufit. Widać było jej naprężony kark.

Odruchowo poderwałem się. Ręka mocniej zgniotła moją głowę.

Unieruchamiając ją.

Wiedziałem, gdzie się tego nauczyli.

Skrobanie i drapanie w tylnej części domu. Zamknięty pies. Za zaciągniętymi roletami francuskich drzwi.

Coś jeszcze przy głowie Robin, oprócz ręki. Automatyczny pistolet. Mały, chromowany.

Uderzenie, skrobnięcie.

Głos za mną roześmiał się.

– Wspaniały pies obronny... Macie tu niezły system zabezpieczający. Prosty, standardowy alarm, oczywiście z kodem. Jedno cięcie i *bye-bye*. Zabawna elektryczna brama, przeskoczyłby ją byle karzeł; i te dwa śliczniutki telewizorki, które oznajmiły nam o waszym przybyciu.

Więcej śmiechu. Wysoki mężczyzna trzymający Robin nie ruszał się ani nie odzywał.

Dwa modele zabijania. Dwóch zabójców...

– No, dobra, jeńcy – powiedział mój oprawca.

Wysoki mężczyzna przesunął rękę do pleców Robin i poprowadził ją korytarzem w kierunku sypialni.

Kołysanie bioder. Zniewieściałe ruchy.

Szedł tak, jak poruszała się Robin.

Kobieta? Wysoka, silna kobieta...

Rozmawiałem z wysoką, gniewną kobietą dziś po południu.

Wychowanka Szkoły Poprawczej. Z tysiącem powodów, by nienawidzić.

Naprawdę cię nie lubię.

Wyrwałem Meredith z sielanki, a mimo to zgodziła się ze mną rozmawiać... Zbyt łatwo.

I miała szczególny powód, żeby czuć furię do sympozjum Western Pediatry.

Dzięki, tatusiu.

Gapiałam się na nich, chciałam zabić, ale tłumiłam swoje uczucia.

Teraz ona sama z Robin. Jej apetyt i gniew...

– Naprzód marsz, głupku. – Broń pozostała na miejscu, kiedy ręka obsunęła się z mojej twarzy. Żadnych nacisków więcej. Sam dotyk przeszywał mnie bólem.

Ostre uderzenie w nerki i popchnął mnie w głąb pokoju. Na kanapę. Jego stopa wylądowała na moim goleniu i piekący ból rozpałił się w nodze. Kiedy siadłem, opuściłem rękę z karku.

– Do góry, do góry!

Wykonałem. Czekalem, aż zostanę związany lub obezwładniony.

Pozwolił mi trwać w tej pozycji. Usiadł poza zasięgiem mojego wzroku i patrzył.

Najpierw zobaczyłem pistolet. Kolejny automat – większy od tego Meredith. Czarny, z ciemną, drewnianą rączką. Czulem, że jest świeżo naoliwiony.

Również wyglądał na wysokiego. Długi tułów, długie nogi, które pewnie stawiał na posadzce. Trochę za wąski w ramionach. Ciut za krótkie ręce. Błękitna, przepocona koszulka z logo. Czarne dżinsy, czarna skórzana kurtka, nowe wysokie buty.

Elegancki strój jak na morderczą wyprawę.

Maska z otworem na usta. Wypełniający tę dziurę uśmiech rekina.

Pies poskrobał w drzwi.

Czoło zabójcy poruszyło się pod maską.

Skrzyżował nogi, trzymając duży czarny rewolwer kilka centymetrów od środka mojej piersi.

Oddychał gwałtownie, ale jego ramię wciąż było stabilne.

Używając wolnej ręki zaczął od dołu ściągać maskę. Jego oczy nie odrywały się od moich, a broń ani na moment nie zadrżała.

Robił to powoli.

Wełna odwijala się, ukazując miękką, mało charakterystyczną twarz z regularnymi rysami.

Rumiane policzki. Włosy w kolorze mosiądzu. Rzadkie na czubku. Gęstsze po bokach.

Andrew Coburg.

Uśmiech prawnika był szeroki. Figlarny.

Uśmiech niespodzianki.

Odrzucił maskę.

– *Voilà.*

Usiłowałem złożyć to wszystko w logiczną całość. Coburg kierujący mnie do Gritza. Mylnie



kierujący. Drobiazgowo badania... Pani Lyndon...

– Naprawdę podoba mi się to miejsce – oznajmił – mimo tych wszystkich sprośnych obrazków. Miłe, dosadne, okrutne. Klimat L.A. Dużo lepiej niż w tej waszej małej chatce. I zbocze góry. – Prawie idealnie. Nie mówiąc o ciężarówce twojej małej przyjaciółki. Sam bym tego lepiej nie zorganizował.

Zamrugnął oczyma.

– Prawie uwierzyłeś w Boga, prawda? Przeznaczenie, karma, predestynacja, kolektywna nieświadomość – wybierz swój dogmat... Czy masz pojęcie, o czym mówię?

– O Delmarze Parkerze – odpowiedziałem.

Imię martwego chłopaka stało uśmiech z jego twarzy.

– Mówię o zgodności – odparł. – O właściwym postępowaniu.

– Delmar ma z tym coś wspólnego, nieprawdaż? Coś poza niedobrą miłością.

Rozprostował nogi. Broń zatoczyła niewielki łuk.

– A co ty wiesz o niedobrej miłości, ty pretensjonalny kutasie?

Pistolet zachybotał. Potem zaczął wibrować. Popatrzył przez sekundę na niego. Roześmiał się, jakby próbował wymazać swój wybuch gniewu. Uderzenie, skrobnięcie. Pies z całą siłą szturmował szklane drzwi. Coburg parsknął.

– Małe biedactwo. Kiedy będzie po wszystkim, to może zabiorę go ze sobą do domu.

Uśmiechał się, ale również pocił. Rumiane policzki nabrały żywszych barw.

Usiłując zachować naturalny wyraz twarzy, starałem się usłyszeć jakieś dźwięki z sypialni.

Nic.

– Więc mówisz, że wiesz o niedobrej miłości – powiedział Coburg.

– Meredith mnie oświeciła – wyznałem.

Uniósł brwi, na których pojawiło się kilka napiętych żyłek.

Buldog nie przestawał drapać.

Coburg posłał mi zdegustowane spojrzenie.

– Nie wiesz nic – stwierdził.

– Więc mi powiedz.

– Zamknij pysk – rozkazał i broń znów zbliżyła się do mojej piersi.

Nie poruszyłem się.

– Nie znasz nawet dziesiątej części. Nie pochlebiaj sobie, że wiesz, co myśmy czuli. Pieprzyć twoje odczucia.

Pies uderzył jeszcze parę razy. Oczy Coburga zmatowiały.

– Może go po prostu zastrzelę... oskalpuję i wypatroszę... Zresztą czy pies psychiatry może być dobry? Ilu psychiatrów potrzeba do wymiany żarówki? Żadnego. Wszyscy nie żyją.

Zaśmiał się ponownie. Otarł pot z nosa. Skoncentrowałem się na ramieniu z bronią.

Pozostawała sztywno w miejscu, jakby odcięta od reszty ciała.

– A wiesz, na czym polegał mój grzech? – zapytał. – Wielki grzech, który załatwił mi bilet do piekła?

Bilet do piekła. Meredith nazwała szkołę w ten sam sposób. Pokręciłem głową. Bolały mnie pachy, a palce sztywniały.

– Nocne moczenie – wyjaśnił. – Kiedy byłem mały, sikałem do łóżka.

Wybuchnął śmiechem.

– Traktowali mnie tak, jakbym to lubił. Mamunia i diabelski ojczymek. Jakbym lubił lepkie prześcieradła i ten rynsztokowy swąd. Byli przekonani, że robię to celowo, więc mnie bili. Wtedy jeszcze bardziej się denerwowałem i szczałem litrami. I co oni robili?

Patrzył na mnie. Czekał.

– Bili cię więcej.

– Bingo! I myli mi fiuta ługowym mydłem i innymi cudownymi rzeczami.

Nadal się uśmiechał, ale policzki miał szkarłatne. Włosy przywarły mu do czoła. Ramiona garbiły się pod przepoconą koszulą.

Kiedy zobaczyłem te rumiane poliki, pierwsze, co pomyślałem, to „wspaniała istota”.

– Więc zacząłem robić inne rzeczy – kontynuował. – Naprawdę paskudne rzeczy. Czy ktoś mógł mnie winić? Będąc torturowanym za coś, nad czym nie miałem kontroli?

Pokręciłem głową. Przez ułamek sekundy czułem, że moja zgoda ma dla niego jakieś znaczenie. Nagle w jego oczach pojawiło się oszalałe spojrzenie. Ramię z bronią drgnęło i czarny metal zbliżył się do mojej piersi.

– A w ogóle to jak postępuje się przy takich moczeniach? – zapytał. Czy wy, kutasy, dalej wmawiacie rodzicom, że to choroba umysłowa?

– To genetyczne – odparłem – spokrewnione z wzorcami snu. Zazwyczaj mija samoczynnie.

– Nie leczycie tego?

– Czasami stosuje się terapię.

– Leczyłeś kiedykolwiek na to dzieci?

– Kiedy chciały być leczone.

– Pewnie – zadrwił – jesteś prawdziwym humanistą. Więc co robiłeś wygłaszając przemówienia – składałeś hołd Hitlerowi?

– Ja...

– Zamknij się. – Pistolet dźgnął moją pierś. – To było pytanie retoryczne. Nie odzywaj się, dopóki ci nie rozkażę... Wzorce snu, he? Wy, szarlatani, nie mówiliście tak, gdy bito mnie paskiem. Wtedy mieliście te wszystkie voodoo teorie. Jeden z twoich kumpli powiedział mamusce i diabłu, że zostałem seksualnie nedorobiony. Inny stwierdził, że byłem w głębokiej depresji i potrzebna mi hospitalizacja. A jeden geniusz wywnioskował, że zachowywałem się tak,

ponieważ byłem niezadowolony z powodu ich małżeństwa. Co do drugiej kwestii miał rację, ale nie dlatego szczałem. Tę diagnozę kupili. Diabeł naprawdę zaczął wyrażać swoją złość. Miał całą kolekcję zabawnych pasów. Skóry jaszczurek, aligatorów; wszystkie z miłymi, ostrymi klamrami. Pewnego dnia poszedłem do szkoły ze szczególnie piękną kolekcją pręg na ramieniu. Nauczycielka zaczęła zadawać pytania i znalazłem się na pokładzie samolotu ze starą, kochaną mamuszką. Lecieliśmy do słonecznej Kalifornii. Pędź na zachód mały, niegrzeczny chłopcze. Opuścił rękę wolno na kolano. Jego oczy wyglądały na zmęczone, a ramiona się zaokrągliły. Buldog nadal szturmował szkło. Coburg spojrzał wprost na mnie.

– Ile miałaś lat, kiedy oddali cię do szkoły?

Broń znowu dźgnęła, odpychając mnie na oparcie kanapy. W jednej chwili jego twarz znalazła się tuż przy mojej. Czułem oddech lukrecji. Widziałem wyschnięty śluz w jego nozdrzach. Splunął. Zimna i tłusta ślina spłynęła po mej twarzy.

– Jeszcze do tego nie doszedłem – oznajmił, ledwie poruszając wargami. – Może byś się zamknął i poczekał, aż to powiem?

Oddychał ciężko i szybko. Zmusiłem się do spojrzenia mu w oczy. Czułem broń, chociaż jej nie widziałem. Tętno dudniło mi w uszach. Ślina kontynuowała podróż w dół i sięgnęła już mojego podbródka. Skapnęła na koszulę.

Wyglądał na skrzywdzonego. Uderzył mnie i jednocześnie startł plwocinę. Wytarł rękę o poduszkę fotela.

– Nie oddali mnie tam od razu. Najpierw wrzucili mnie do innego lochu. Dokładnie po drugiej stronie ulicy. Możesz w to uwierzyć? Dwa piekielne siedliska na tej samej ulicy. Co to było? Strefa H-1 do piekła? Prawdziwa gówniana dziura prowadzona przez beznadziejnego gamonia, ale droga jak cholera, więc mamunia pomyślała, że to w sam raz dla mnie. Ta kobieta była zawsze taka łatwowierna..

Staralem się wyglądać jak zafascynowany uczeń... Nadal żadnych dźwięków z sypialni.

– Gamoń. To nawet nie było wyzwanie – stwierdził Coburg. – Pudełko zapalek i parę kartek papieru.

Podkładacze ognia i wagarowicze... Bancroft nie powiedział, że pożar był w jego szkole.

– Biedna mamuśka miała ciężki orzech do zgryzienia. Czekał nas lot powrotny, biedactwo.

To cudowne spojrzenie beznadziejności na jej twarzy – i to ona, taka wykształcona kobieta.

Płakała, kiedy czekaliśmy na taksówkę. Myślałem, że wreszcie zdobyłem punkt. Potem, z drugiej strony ulicy nadszedł on. Ten kozi dziwoląg w czarnym garniturze i tanich butach. Wziął matkę za rękę. Powiedział, że słyszał, co się stało, i pozwolił jej jeszcze trochę popłakać nad swoim małym, złym chłopcem. Potem stwierdził, że jego szkoła radzi sobie z takimi wypadkami.

Zagwarantował to. Przez cały czas targał mnie za włosy. Jego ręka śmierdziała kiełbasą i rumem.

Broń odsunęła się nieco... Niedostatecznie. Uderzenie, skrobnięcie.

– Mama była podekscytowana – знаła go z gazetowych artykułów. Sławny człowiek chciał ujarzmić jej dziecko. – Wolna ręka Coburga nerwowo drgnęła. – Taksówka przyjechała, a ona odesłała ją pustą.

Rewolwer cofnął się na wystarczającą odległość, bym mógł zobaczyć czarną lufę.

Dwa piekielne siedliska na tej samej ulicy. De Bosch wykorzystujący niepowodzenia Bancrofta. Wychowanek obydwu szkół, wracający po latach włóczęga.. Zadbana twarz przede mną nie nosiła blizn. Jednak nie rany, które się zagoiły, były najważniejsze...

– Przeszedłem na drugą stronę ulicy. Mamusia podpisała kilka papierków i zostawiła mnie samego z Hitlerem. Uśmiechnął się i powiedział. „Andrew, mały Andrew. Mamy to samo imię. Zostańmy przyjaciółmi”. Ja odparłem: „Pierdol się, stary koźle”. Znowu się uśmiechnął i pogłaskał mnie po głowie. Poprowadził mnie długim, ciemnym korytarzem na dół, wepchnął do celi i zamknął drzwi na klucz. Płakałem całą noc. Kiedy wypuścili mnie na lunch, czmychnąłem

do kuchni i znalazłem zapaliki. Pełne smutku spojrzenie pojawiło się w jego oczach.

– Czy byłem dokładny dziś wieczorem? Czy coś się ostało z Zamko del Psychiatro?

Nie odezwałem się. Broń ukłuła moją pierś. – Ostało się?

– Niewiele.

– Dobrze. Ten cały świat jest tandetny. Ty ucieleśniasz tandetę. Byłeś tak łatwy do podejścia jak sardynka w puszcze. Wszyscy byliście – powiedz mi, dlaczego psychoterapeuci są tak pasywną, beznadziejną zgrają? Dlaczego wszyscy jesteście tak żałośni; gadacie o życiu, a nigdy niczego nie robicie?

Nie odpowiedziałem.

– Naprawdę tacy jesteście, wiesz – stwierdził – taka nieczuła grupa. Bez waszego żargonu jesteście niczym. Jeżeli ten twój pies się nie zamknie, to go zabiję. Albo lepiej zmuszę ciebie, żebyś go zabił. A potem zjadł. Możemy upiec to bydlę na rożnie, który masz w ogródku. Miły, mały hot-dog. To byłaby sprawiedliwość, nieprawdaż? Zmuszenie cię, żebyś stawiał czoło własnemu okrucieństwu? Żebyś posmakował stanowczości?

– A może go po prostu wypuścisz? – zapytałem. – Nie jest mój, to tylko znajda, którą się zaopiekowałem.

– Jak miło z twojej strony. – Dźgnięcie.

Poczułem piekący ból w mostku.

– Może wypuścimy też moją przyjaciółkę? – zasugerowałem. – Nie widziała waszych twarzy.

Uśmiechnął się i wyprostował na fotelu.

– Tandeta – skomentował. – To wielki problem. Fałszywa nauka, fałszywe przesłanki, fałszywe obietnice. Udajesz, że pomagasz ludziom, ale tylko się z nimi pieprzysz umysłowo.

Nachylił się.

– Jak dajesz radę żyć ze sobą, wiedząc, że jesteś sztuczny?

Dźgnięcie.

– Odpowiedz mi.

– Pomagałem wielu ludziom.

– W jaki sposób? Przy użyciu voodoo? Niedobrej miłości?

Usiłując przegonić skomlenie z mojego głosu odrzekłem:

– Nie mam nic wspólnego z de Boschem, poza tym sympozjum.

– Poza? Poza! To jak nazista twierdzący, że nie ma nic wspólnego z Hitlerem poza

wysyłaniem pociągów do obozów. To sympozjum było publicznym miłosnym festiwalem, ty dupku! Stałeś tam i kanonizowałeś go! On torturował dzieci, a ty go kanonizowałeś!

– Nie wiedziałem.

– Taak, ty i ci wszyscy inni dobrzy Niemcy.

Znowu splunął na mnie. Kostki palców zaciśniętych na broni były sino-białe. Pot oblał czoło prawnika.

– I to wszystko? – zapytał. – To twoje usprawiedliwienie: „nie wiedziałem”? Patetyczne.

Zupełnie jak wszyscy pozostali. Zgraja podobno wykształconych ludzi nie potrafi się nawet sensownie wytłumaczyć. Żadnej klasy. Delmar miał więcej klasy w małym palcu niż wy razem wzięci. I został powstrzymany.

Pokręcił głową i otarł pot. Zauważyłem, jak jego środkowy palec rytmicznie przesuwiał się po spuście. Gniewne spojrzenie przyprawiło mnie o lekki skręt kiszek. Za moment znów się uśmiechał.

– Powstrzymany – powtórzył, jakby fascynowało go to słowo. – Czternaście lat, ale bardziej przypominał siedmiolatka. Ja miałem wtedy dwanaście i odgrywałem rolę starszego brata. Był jedynym, który chciał ze mną rozmawiać. Hitler ostrzegł, żeby wszyscy trzymali się z daleka od

niebezpiecznego piromana. Wszyscy oprócz Delmara stronili ode mnie. Nie potrafił zbyt sprawnie myśleć, ale serce miał złote. Hitler wykorzystał go dla uzyskania publicznej sławy; biedny, mały Murzyn leczony przez wspaniałego, białego doktora. Kiedy przyjeżdżali goście, zawsze trzymał rękę na wełnistej, drobnej główce Delmara. Niestety, Parker nie był wielkim sukcesem. Nie potrafił spamiętać zasad ani nauczyć się czytać i pisać. Więc kiedy wokół nie plątali się żadni zwiedzający, na okrągło praktykował na nim niedobłą miłość. A gdy to nie zadziało, napuścił na niego tę bestię.

– Myrę Evans?

– Nie, nie ją, ty idioto. Ona była suką, a ja mówię o bestii – Doktor Córce. Zabij mnie, Kate – dziękuję, już to zrobiłam.

Śmiech. Spluwa przesunęła się w przód i spojrzałem w jej pojedyncze, czarne oko.

Pies znowu zaczął drapać, ale Coburg nie zwrócił uwagi.

– Kiedy bestia skończyła z Delmarem, mamrotał coś bez sensu i walił głową o ścianę.

– Co mu zrobiła?

– Co zrobiła? Zrobiła numer na jego głowie. I innych częściach ciała.

– Molestowała go?

Wolna ręka dotknęła policzka. Uniósł brwi.

– Taki szok, ten biedak jest zaszokowany? Taak, molestowała go, ty idioto. Na pewien sposób to boli. Wraciał z tej sesji, wpełzał do łóżka i płakał. Miałem pokój za ścianą.

Rozpracowałem zamek i zaniósłem mu coś do picia. Kiedy zapytałem, co się stało, nie odpowiedział. Nie mówił przez kilka tygodni, aż w końcu nie wytrzymał. Nie wiedziałem wiele o seksie, okresie i innych takich brzydkich rzeczach. Ściągnął spodnie i pokazał mi ślady.

Zaschnięta krew na majtkach. To był mój wstęp do świata ptaszków i pszczołek. I zmienił mnie.

Zmienił.



Jego wargi drgnęły i kilkakrotnie ciężko przełknął.

Ramię trzymające broń, jak ze stali. Wibrujące szklane drzwi.

– Więc wziął ciężarówkę – dokończyłem – żeby uciec od tego, co mu robiła.

– Wzięliśmy. Umiałem prowadzić, bo Diabeł miał farmę w Connecti. To takie miejsce letnich wakacji, dużo ciężarówek i traktorów. Jeden z farmerów mnie nauczył. Planowanie ucieczki było trudne, dlatego że Delmar miał problemy z zapamiętywaniem detali. Kilka razy nie wypaliło. Wreszcie się udało. Późno w nocy, kiedy wszyscy spali. Peter był przerażony.

Musiałem go ciągnąć. Nie miałem pojęcia, dokąd jechać. Droga zaczynała robić się kręta.

Delmar panicznie się bał i wołał na pomoc mamę. Mówiłem mu, że wszystko jest w porządku, ale jakiś idiota zostawił kozły do rżnięcia drzewa na środku jezdni. Kanał; żadnego znaku ostrzegawczego. Wylecieliśmy z... szosy... Krzyczałem Delmarowi, żeby skakał, próbowałem go wyciągnąć, ale był zbyt ciężki. Potem moje drzwi się otworzyły i wyleciałem. Delmar...

Oblizwał usta i westchnął z wymuszoną rozważą. Palec krążył po cynglu.

– Buum. Kabuum – powiedział. – Życie jest takie kruche, prawda?

Szeroki uśmiech Coburga był ewidentnie sztuczny.

– On... Dwie godziny siedłem z powrotem do piekła. Miałem podarte ciuchy i zwichniętą kostkę. To cud, że przeżyłem. To o czymś świadczyło. Zdołałem wczołgać się do łóżka... Tak głośno szczekałem zębami, że byłem pewien, że wszystkich pobudzę. Minęło sporo czasu, zanim rozpoczęło się zamieszanie. Rozmowy, kroki stóp, zapalanie świateł. Potem Hitler wkroczył do mojego pokoju. Zdarł ze mnie nakrycie i gapił się. To oszalałe spojrzenie pojawiło się w jego oczach. Podniósł ręce, jakby przymierzał się do rozszarpania mnie pazurami. I nagle opuścił ramiona. Wyszedł. Nigdy więcej się do mnie nie odezwał. Siedziałem zamknięty w pokoju przez trzy dni. Na czwarty przyjechała mama i zabrała mnie do domu. Wracaj na Wschód, młody triumfatorze.

– Więc zwyciężyłeś – skomentowałem.

– Och, taak – przyznał – byłem bohaterem. – Dźgnięcie. – Mój triumf przysporzył mi następnych lochów, sadystów, pigulek i igieł. O to właśnie chodzi w tych waszych miejscach; niezależnie, czy nazwiesz je szpitalem, więzieniem, czy szkołą. O zabijanie ducha.

Przypomniałem sobie błysk gniewu, jaki dostrzegłem podczas rozmowy o Dorseyu w jego biurze.

Powinien zostać oddany pod opiekę...

Zinstytucjonalizowany?

Oddany pod opiekę. Nie – więziony, och, do diabła, nawet więzienie byłoby lepsze, gdyby oznaczało leczenie. Jednak nigdy nie oznacza.

– Przecież poradziłeś sobie później – zauważyłem – skończyłeś prawo i pomagasz ludziom.

Roześmiał się. Broń przysunęła się o cal lub dwa.

– Nie popieraj mnie, ty pierdolcu. Taak, porozmawiajmy o wyższym wykształceniu. Wiesz, gdzie zdobyłem wiedzę prawniczą? W bibliotece stanowego więzienia Rahway. Wypełniając apelacje dla siebie i innych straceńców. Oto gdzie się dowiedziałem, że prawo zostało ustanowione przez gnębicieli po to, żeby mogli czerpać zyski z innych gnębicieli. Lecz możesz się nauczyć wykorzystywać je. Sprawić, by działało dla ciebie.

Ponownie wybuchnął śmiechem i otarł czoło.

– Od pięciu lat występuję przeciwko dupkowatym karierowiczom z Harvard i Stanford i kopię ich po tyłkach w sądzie. Sędziowie doceniają moją pracę.

– Pięć lat – powiedziałem – zaraz po Myrze.

– Zaraz przed – wyszczerzył zęby. – Zrobiłem sobie z tej suki prezent. Właśnie zakupiłem nowy sprzęt. Sprawilem sobie wtedy dwa prezenty. Suka i nowa gitara – czarny Les Paul Special.

Pamiętasz mój instrument, co? Całe to chromolenie u mnie w biurze?

Spinka w kształcie gitary...

Na jakiej zazwyczaj grasz, na akustycznej czy elektrycznej?

Ostatnio wciągam się w elektryczną. I w specjalne efekty również. Miksery dźwięku.

Wyszczrzył zęby i uniósł dłoń, jakby na powitanie.

– Hej, brachu, spiknijmy się i nagrajmy płytę.

– Taką ofertę złożyłeś Lyle’owi Gritzowi?

Uśmiech zmalął.

– To była przynęta, żeby zbić mnie z tropu? – zapytałem.

Ostro dźgnął mnie lufą pistoletu i spoliczkował.

– Zamknij się albo załatwię cię od razu i zmuszę twoją małą przyjaciółkę, żeby posprzątała.

Trzymaj te pieprzone łapy w górze. W górze!

Poczułem, jak ślina znów ląduje na mojej twarzy i ścieka po ustach. Cisza w sypialni.

Odgłosy psich zmagania stały się hałaśliwym podkładem.

– Powiedz, że przepraszasz – rozkazał – za próbę przejęcia kontroli.

– Przepraszam.

Sięgnął i poklepał mnie po policzku. Prawie czule.

– Suka – powiedział zadumany głosem. – Była mi dana. Podana na talerzu, z sałatką i świeżymi ziemniaczkami. Karma, fatum. Mieszkałem w dolinie, w małej kawalerce w Van Nuys.

W którąś niedzielę jechałem z pracy do domu. Przy krawężniku spostrzegłem planszę. Dom na sprzedaż. Kiedy byłem dzieckiem, lubiłem cudze domy. Wszystkie były lepsze od mojego.

Nieźle opanowałem sztukę wchodzenia do cudzych domów. Ten wyglądał na budynek, w którym mogłem znaleźć kilka ciekawostek, więc zatrzymałem się, żeby sprawdzić. Zadzwoiłem.

Agentka od sprzedaży podchodzi do mnie i z miejsca uracza gadką. Da, da, da, da, da...

Nie słucham ani słowa z tego, co mówi. Patrzę na jej twarz i poznaję sukę. Kilka błyskotek,

obwisłe cycki, ale nie mam wątpliwości. Potrząsa moją dłońią i papla, jaki to dumny będzie przyszedł właściciel tego domu. I to we mnie uderza! To nie przypadek. To jest karma. Przez te wszystkie lata rozmyślałem o sprawiedliwości. Przeleżałem te wszystkie noce w łóżku, myśląc o dopadnięciu Hitlera.

Wykrzywił usta w grymasie.

– Myślałem, że mi to przejdzie, ale kiedy spojrzałem w oczy suki, zorientowałem się, że nie. Ona ułatwiła sprawę. Odwracając się plecami i spacerując przede mną. Otwarte zaproszenie. Zakasłał. Odchrząknął. Broń podskoczyła do mojego mostka.

– Wszystko było idealnie. Nikogo w okolicy. Pozamykałem drzwi. Nie zauważyła. Zbyt przejęła się reklamową gadką. Uderzyłem ją, kiedy dotarliśmy do sypialni bez okien. Potem dobiłem. Rozpadła się, jakby była z porcelany. Początkowo zrobił się bajzel. Później wszystko poszło łatwo. W dobrym rytmie.

Mówił jeszcze przez długą chwilę. Rozwodził się nad szczegółami, jak chirurg podający instrukcje na sali operacyjnej. Przedstawiał mi detale, których nie chciałem usłyszeć.

Wyłączyłem się. Słuchałem warknięć psa i odgłosów z sypialni, które nie nadchodziły.

Cisza. Westchnienie.

– Odkryłem życiowe powołanie – powiedział, zakończywszy opis.

– A Rodney Shipler? – zapytałem. – Nie pracował w szkole, prawda? Był krewnym Delmara?

– Ojcem. Ale tylko z nazwiska.

– Jakie było jego przestępstwo?

– Współudział. Matka Delmara nie żyła, a Shipler był jedynym członkiem rodziny, którego udało mi się znaleźć. Delmar mówił, że ojciec nazywa się Rodney i pracuje w szkole w L.A. Myślałem, że jest nauczycielem. Wreszcie zlokalizowałem go w South Central. Woźny. Stary,

zmęczony dupek; duży i tłusty, popijający whisky z filizanki. Powiedziałem mu, że jestem prawnikiem i wiem, co naprawdę przydarzyło się jego synowi. Stwierdziłem, że moglibyśmy dużo wspólnie osiągnąć... Nawet po zabiciu suki próbowałem działać w obrębie systemu. On siedział, popijał i słuchał. Potem zapytał, czy mogę zagwarantować mu duże profity ze sprawy. Odpowiedziałem: „Nie, pieniądze się nie liczą”. Moglibyśmy powiedzieć światu, jaki naprawdę był Hitler. Delmar stałby się bohaterem.

Dźgnięcie.

– Shipler nalał sobie następną porcję i powiedział, że ma to w dupie. Że matka Delmara była nie warta złamanego centa dziwką, którą poznał w Manilli, a Delmar głupkiem i dzieciakiem sprawiającym problemy od dnia narodzin. Próbowałem się z nim spierać – przedstawić, jakie znaczenie miałyby zdemaskowanie Hitlera. Kazał mi iść do diabła.

Oczy Coburga błysnęły. Pistolet wydawał się przymarzać do jego dłoni.

– Następny dobry Niemiec. Próbował mnie wyrzucić, a ja nauczyłem go sprawiedliwości. Po tym zrozumiałem, że jedyny sposób to rychła kara. System nie był w stanie sprostać zadaniu.

– Jeden rodzaj kary dla służących, drugi dla władz wyższych – powiedziałem.

– Dokładnie. Jak fair, to fair. – Uśmiechnął się. – Wreszcie ktoś się połapał. Pani Lyndon miała rację; jesteś spryciarzem. Przedstawiłem się jej jako dziennikarz, który pisze artykuł na twój temat. Była szczęśliwa mogąc pomóc swojemu małemu, piątkowemu uczniowi. – Pistolet połaskotał moje żebra. Zasłużyłeś sobie na coś lepszego... Może cię ogłuszę, zanim cię zepchnę ze skały. Taka pięknie upozorowana śmierć... – potrząsnął głową w kierunku drzwi. Chciałbyś tak?

Zanim zdołałem odpowiedzieć:

– Tylko żartowałem! Twoje oczy będą szeroko otwarte. Doświadczysz każdej sekundy piekła. Tak jak ja doświadczyłem. Wybuchnął śmiechem.

Monotonnie opisał, jak zatłukł Shiplera. Cios za ciosem. Kiedy skończył, zapytałem:

– Katarina również zaliczała się do szefostwa. Dlaczego tak długo z nią zwlekałeś?

Usiłowałem kupić trochę czasu pytaniami, ale co dalej? Dłuższy Sąd Boży nad Robin?

Dlaczego było tam tak cicho?

Moje oczy zsunęły się w dół. To cholerne ramię wciąż się nie poruszało.

– A jak myślisz, spryciarzu? – odparł. – Chciałem zostawić najlepsze na koniec, ale pokrzyżowałeś mi szyki. Ty miałeś iść przed nią, lecz zacząłeś węszyć. Nasłałeś koleśków z policji, więc musiałem załatwić ją poza kolejnością. . Za to jestem na ciebie wkurwiony. Może nadzieję twoją panienkę na rożen. I zmuszę cię, żebyś na to patrzył.

Uśmiech. Westchnienie.

– Bestia padła, a co padnięte, jest padnięte.. Wiesz, jak przyjęła swoje przeznaczenie?

Biernie. Jak cała reszta. – Dźgnięcie. – Kto chciałby spędzić życie tak siedząc, słuchając i nic nie robiąc?

Roześmiał się.

– Uklękła i błagała. Jej gęba otwierała się jak kloaka pełna gówna.. Jadła śniadanie, kiedy wpadłem z wizytą. Przyłożyłem gnata do jej łba i powiedziałem: „niedobra miłość, bestio”.

Rozpadła się w drobny mak.

Kręcił głową, jakby wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć. Broń nieznacznie się przesunęła.

– Ani uncji walki. Żadna zabawa. Musiałem zmusić ją, żeby wstała. Rozkazałem biec.

Kopałem ją w dupę, by się poruszała szybciej. Nawet wtedy dobrnęła tylko do garażu i znowu uklękła. Ponownie zaczęła błagać. Ryczała, pokazywała na brzuch i mówiła, że jest w ciąży.

Proszę, miej litość nad moim dzieckiem. Tak jakby ona miała litość. . Potem wyciągnęła z

kieszeni wizytówkę próbując mi to udowodnić. Bank spermy. Miało sens; kto chciałby ją

zapłodnić? – Śmiech. – I to miał być powód. Ocalenie jej bestialskiego zarodka. Odwrotnie, to

był najlepszy powód, żeby ją wykończyć. Zabić nasienie Hitlera.

Kolejny raz pokręcił głową.

– Niewiarygodne. Plamiła krwią majtki Delmara i myśli, że dobrym powodem. Zaczęła mówić, że jest po mojej stronie, że mi pomogła zabijając go.

– Zamordowała swojego ojca?

– Tak twierdziła. Podała mu nadmierną dawkę pigułek. Wiedziała jednak, iż oddała mu przysługę. Wyzwoliła z tragedii. Sprawiała, że nigdy nie dostanę doktora. Dodała mi kolejnej motywacji do załatwienia jej. Najpierw wykończyłem dziecko. Wyciągnąłem, pokazałem bestii i wepchnąłem z powrotem.

Szturmy psa wydawały się słabnąć. Myślałem, że słyszę skowyt.

– Pomieszales mi szyki – wyznał Coburg – ale okay. Rozwijam się twórczo. Ty ze swoją przyjaciółką będziecie aktem finalnym.

– A co z pozostałymi? – zapytałem, walcząc o zapanowanie nad tonem głosu. Walcząc o zogniskowanie mojej własnej furii. – Dlaczego wybrałeś taką właśnie kolejność?

– Ciągle powtarzam ci: nie wybierałem niczego. Wzór sam się wykreował. Wrzuciłem nazwiska do kapelusza i wyciągałem po jednym. Wyy-liczanka.

– Nazwiska ludzi, którzy przemawiali na sympozjum.

Skinął głową.

– Wszystkich was, dobrych Niemców. Rozmyślałem nad tym przez lata. Nawet przed załatwieniem suki.

– Byłeś tam – stwierdziłem – słuchałeś nas.

– Siedziałem w ostatnim rzędzie i wszystko rejestrowałem.

– Byłeś jeszcze dzieckiem. Jak się tam znalazłeś?

– Znowu karma. Miałem dziewiętnaście lat. Mieszkałem w Hollywood na Serrano. Tylko

kilka przecznic od Western Peds. – ...Spacerowałem po Sunset i zobaczyłem tablicę z programem. Symposium psychiatryczne, jutro rano.

Na sekundę opuścił rękę z bronią i ponownie umieścił ją przy mojej koszuli.

– Jego imię. . Wszedłem i wziąłem z recepcji broszurę informacyjną. Ogoliłem się, umyłem, założyłem najlepsze ciuchy i poszedłem na konferencję. Obserwowałem jak wy, hipokrytyczne dranie, wstajecie i mówicie, jakim to on był pionierem. Dziecięcy orędownik. Utalentowany nauczyciel. Bestia i te jej domowe filmy. Wszyscy śmiejący się i bijący brawo. Ledwie zdołałem usiedzieć tam nie krzycząc – powinienem krzyczeć; wstać i powiedzieć, czym naprawdę się zajmowaliście. Byłem jednak za młody i bez wiary w siebie. Więc zamiast to zrobić wyszedłem i zrobiłem krzywdę sobie. Zaprowadziło mnie to do kolejnego lochu. Miałem mnóstwo czasu, by myśleć i skoncentrować się. Wasze zdjęcia wyciąłem i nakleiłem na kawałek papieru. Kartkę trzymałem w pudełku razem z innymi, ważnymi rzeczami. Żyłem z wami, dupku, dłużej niż większość ludzi pozostaje w związkach małżeńskich.

– Dlaczego oszczędziłeś doktora Harrisona?

Spojrzał na mnie, jakbym palnął jakieś głupstwo.

– Bo słuchał. Zaraz po kanonizacji Hitlera, zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że symposium bardzo mnie dotknęło. I słuchał. Mogłem stwierdzić, że traktuje mnie poważnie.

Wyznaczył termin spotkania, żeby przedyskutować temat. Miałem zamiar się pokazać, ale coś wyskoczyło. Ten kolejny loch.

– Dlaczego jemu przedstawiłeś jako Merinos, a mnie – Silk?

– Rozmawiałeś z Harrisonem? Mimo wszystko może jednak złożyć mu wizytę.

Poczułem odruch wymiotny.

– On nic nie w...

– Nie irytuj mnie, głupku. Ja gram fair. Zawsze. Dałem wam wszystkim szansę. Tę samą co



Harrisonowi. Cała reszta olała.

– Nigdy do mnie nie dzwoniłeś – powiedziałem.

Uśmiech.

– Trzynastego listopada 1979, czternasta, zero zero. Mam zapis tej rozmowy. Twoja sekretarka upierała się, że leczysz tylko dzieci i nie możesz mnie przyjąć.

– Nie miała obowiązku mi tego przekazać. Nie wiedziałem.

– I to jest usprawiedliwienie? Kiedy wojsko spieprzy sprawę, odpowiedzialny jest generał. A to była szansa, na którą nawet nie zasługiwałeś. Dużo więcej niż dostałem ja czy Delmar albo każdy z innych umiłowanych. Odwaliłeś fuszerkę.

– A Rosenblatt? Przecież się z tobą spotkał.

– Był największym hipokrytą. Udawał, że rozumie; ten miękki głos, sztuczna emfaza. Potem odkrył prawdziwe karty. Osaczał mnie, próbował dostać się do mojej głowy. „Słyszę mnóstwo bólu... powinieneś rozważyć ewentualność porozmawiania o tym”. – Furia pojawiła się w jasnobrązowych oczach Coburga. – Ten fałszywy drań chciał poddać mnie psychoanalizie. Terapeutyczna chałtura za sto dolców jako lekarstwo na polityczne ciemnienie; nie potrafił zaakceptować faktu, że uwielbiał Hitlera. Siedział tak i udawał, że słucha, ale mi nie wierzył. Chciał mi tylko zrobić mętlik w głowie. Najgorszy ze wszystkich. *Bye-bye*, ptaszyno.

Wykonał pchający ruch wolną ręką i uśmiechnął się.

– Jak zdołałeś skłonić go do spotkania poza jego biurem?

– Powiedziałem, że leżę przykuty do łóżka. Okaleczony przez coś, co zrobił Hitler. To go zaintrygowało. Przyszedł tego samego wieczoru – z tym swoim uprzejmym uśmiechem, z brodą i w kiepskim tweedowym garniturze. Było gorąco, ale on potrzebował swojego małego, służbowego kostiumu. Przez całą wizytę leżałem w łóżku. Za drugim razem też. Poprosiłem, żeby przyniósł mi napój... obsłużył mnie. Dzień był naprawdę parny, więc okno było szeroko otwarte. Na

parapecie leżało pudełko z chusteczkami – karma. Udałem, że kicham i poprosiłem, by podał mi chustkę.

Zaimitował pchnięcie.

– Odlatuj, hipokrytyczny ptaku.

Cudze domy. Budżetowy mężczyzna... Farma w Connecticut. Mieszkanie w Nowym Jorku? I ona, taka wykształcona kobieta. Ona – prawnik, on – bankier.

– Ten apartament należał do twojej matki i ojczyma – powiedziałem.

Radośnie pokręcił głową.

– Sprytny, mały Alex. Pani Lyndon byłaby taka dumna... Mamusia i Diabeł byli w Europie, więc zdecydowałem się uderzyć w stare domostwo. Biuro Rosenblatta dwa bloki dalej... karma.

Osiem pięter i wesołego lotu.

Pan i pani Malcolm J. Rulerand. Zimni ludzie, mówiła Shirley Rosenblatt. Nie chcieli wpuścić prywatnego detektywa, żeby przeszukał mieszkanie. Strzegli czegoś więcej niż prywatności? Jak dużo wiedzieli?

– Zostawiłeś narzędzia włamywacza – rzekłem. – Potrzebowałeś ich na wejście, czy tylko upozorowałeś na kolejne wtargnięcie złodzieja z East Side?

Próbował ukryć zaskoczenie za wolnym, przeciągłym uśmiechem.

– Jejku, jejku, byliśmy zajęci. Nie, miałem klucz. Każdy wciąż szuka domu, słodkiego domu.

Tego Wielkiego Wozu na niebie...

– A Stoumen i Lerner spotkali się z tobą?

– Nie – odrzekł nagle, znów gniewny. – Stoumen tłumaczył się, że przeszedł na emeryturę.

Następny pacholek pragnący szybko mnie zbyć. Czy ja chciałem rozmawiać z lekarzem przez telefon? Wy, ludzie, naprawdę nie wiecie, jak właściwie kierować swoim autorytetem. A Lerner wyznaczył spotkanie, ale się nie pojawił. Cholerny drań!

Niesolidność, o której mówił Harrison; to odbijało się na jego pracy – opuszczał spotkania.

– Więc załatwiłeś ich na konferencjach. Jak zdobyłeś listy członkowskie?

– Niektórzy sobie radzą. Pani Lyndon lubiłaby również mnie. Co za miła, stara pluskwa, z tą środkowo-wschodnią mieszanką życzliwości. Poszukiwania są takie zabawne; może któregoś dnia odwiedzę ją osobiście.

– Meredith pomogła ci zdobyć te listy? – zapytałem – przygotowywała reklamę konferencji?

Ściągnięte usta. Zmarszczone brwi.

– Meredith... ach, tak, droga Meredith. Była szalenie pomocna. A teraz przestań zadawać głupie pytania i na kolana. Trzymaj ręce w górze. Trzymaj je w górze!

Poruszając się najwolniej jak mogłem, zszedłem z kanapy i ukląknęłam. Usiłowałem nie spuszczać wzroku z broni.

Cisza. Po chwili kolejne uderzenie, które wstrząsnęło szybą.

– Ten pies zdecydowanie pójdzie na steki – oznajmił.

Pistolet dotknął czubka mojej głowy. Poczochrał mi włosy lufą.

Przycisnął broń, jakby chciał wepchnąć mi ją w czaszkę. Wszystko co mogłem dostrzec, to buty i nogawki dżinsów Coburga.

– Powiedz, że przepraszasz – rozkazał.

– Przepraszam.

– Głośniej.

– Przepraszam.

– Wczuj się w to – „Przepraszam, Andrew”.

– Przepraszam, Andrew.

– Więcej szczeroci!

– Przepraszam, Andrew.

Zmusił mnie do powtórzenia zwrotu sześć razy. Potem westchnął.

– Chyba wyszło najlepiej jak potrafisz. Jak się teraz czujesz?

– Zdarzało mi się czuć lepiej.

Chichot.

– Na pewno – wstań powoli – powoli. Po-o-owoli. Trzymaj ręce w górze – ręce na głowie – pan każe.

Cofnął się. Broń wycelowana w moją głowę. Za mną stała kanapa. Dokoła – krzesła.

Wyściełane pluszem więzienie; żadnej drogi ucieczki.. Bieg byłby samobójstwem; pozostawienie Robin samej z tym frustratem...

Buldog agresywniej szturmował drzwi...

Podniosłem się z klęczek. Zbliżył się. Jego twarz przy mojej. Lukrecja i furia. Opuścił broń na wysokość mojego pępka. Potem uniósł aż do gardła. Później obniżył ponownie.

Bawił się.

Reżyserował.

– Widzę to – oznajmił – po twoich oczach. Ten strach – wiesz, dokąd idziesz, prawda?

Nie powiedziałem nic.

– Prawda?

– Dokąd idę?

– Prosto do piekła. Bilet w jedną stronę.

Broń trąciła moją pachwinę. Podeszła znów pod gardło. Teraz do serca. Ponownie na krocze.

Wczuwał się w rytm, poruszając biodrami.

To mnie zmieniło...

Pachwina. Serce. Pachwina.

Szturchnął moje krocze i wybuchnął śmiechem. Kiedy znów uniósł pistolet, eksplodowałem.

– Wykręciłem nadgarstek z gnatem prawą ręką, podczas gdy palcami lewej dźgnąłem go w oko.

Stracił równowagę. Broń wypaliła.

Wylądował na boku, wciąż ściskając rewolwer między palcami. Nadepnałem nadgarstek mordercy. Wolną ręką zakrywał twarz. Po chwili uniósł ją i chwycił mnie za nogę. Jego zamknięte oko krwawiło.

Nadepnałem ponownie. I jeszcze raz. I jeszcze. Zawył z bólu. Ręka osłabła, ale broń wciąż tkwiła zaplątana między palcami. Usiłował podnieść ją i wycelować. Z całą siłą opuściłem kolano na jego ramię. Dopadłem dłoni zabójcy i po wściekłych zmaganiach wyszarpnąłem broń. Moja kolej na celowanie. Czuję zesztywnienie w dłoniach. Miałem problemy ze zgięciem palców wokół cyngla. Coburg, leżąc na plecach, desperacko przesunął się po dywanie. Zakrywał oko. Krew ściekała po jego ręce. Drogę odwrotu blokowała mu sofa. Wierzgając na oślep, spojrzał na mnie.

Nie – za mnie.

Krzyknął:

– Zrób to!

Odwróciłem się w stronę korytarza.

Mniejszy pistolet wycelowany w moją twarz. Za nim – kobieca dłoń. Czerwone paznokcie.

Coburg krzyczący: „Zrób to! Zrób to! Zrób to!” I zaczynający wstawać.

Upadłem na podłogę w momencie, gdy mały pistolet wypalił.

Więcej strzałów. Łagodniejszych niż grzmot czarnego rewolweru.

Coburg na mnie. Przetaczanka. Uderzam bronią i trafiam w bok jego głowy. Opada bezdźwięcznie. Łąduje na plecach. Nie rusza się.

Gdzie był ten srebrny pistolecik? Zbliżał się do mnie z przeciwnej strony pokoju. Dwie ręce z czerwonymi paznokciami zaczęły naciskać spust.

Dałem nura za kanapę.

Pop! Na tapicerce pojawiły się fałdy i parę kęsów materiału wylądowało kilka cali od mojej twarzy.

Przywarłem do marmurowej posadzki.

Pop! Pop! Pop!

Ciężki oddech, sapanie, ale nie potrafiłem zgadnąć czyje.

Pop!

Stłumiony hałas za moimi plecami. Potem odgłos tłuczonego szkła. Galopujące stopy.

Mała, czarna plama przemknęła obok mnie w kierunku Meredith.

Wysunąwszy ramię przed kanapę, wystrzeliłem kilkakrotnie na oślep. Staralem się mierzyć znacznie nad poziom psa. Odrzuciła mnie siła detonacji. Coś trzasnęło.

Szczekanie, warczenie i krzyki kobiece.

Przeczołgałem się na drugi koniec wersalki. Nacisnąłem spust. Czekałem na odzew.

Więcej krzyków. Odgłosy kroków. Ludzkich kroków.

Zaryzykowałem wyjrzenie zza kanapy. Zobaczyłem, jak kieruje się w stronę frontowych drzwi. Srebrny pistolet dyndał jak torebka, Coburg wciąż na podłodze.

Gdzie jest pies?

Meredith prawie dosięgła już drzwi. Zaczęła borykać się z zasuwą.

Popędziłem w jej stronę, celując z czarnego gnata. Rychła sprawiedliwość. – Stój! –

Krzyknąłem, strzelając w ścianę. Posłuchała. Chwyciła rączkę srebrnego pistoletu.

– Rzuć to, rzuć to!

Rewolwer upadł na podłogę, ślizgając się po posadzce.

– Przepraszam – powiedziała – nie chciałam. Zmusił mnie.

– Odwróć się.

Znowu posłuchała. Zerwałem maskę.

Twarz kobiety drżała. Odrzuciła włosy gestem bardziej pasującym do nastolatki.

Blond włosy.

Moja ręka wciąż przeżyła się na cynglu, ale nie wykonałem żadnego ruchu.

– Zmusił mnie – powtórzyła Jean Jeffers i spojrzała na Coburga. Nadal leżał z otwartymi ustami i pozostawał obojętny. Jej oczy umarły. Próbowwała ronić łzy.

– Uratowałeś mnie – rzekła – dzięki.

– Co zrobiłaś z Robin?

– Nic się jej nie stało, jest tam, idź i zobacz.

– Stań przede mną.

– Jasne, ale to głupie, Alex. On mnie zmusił – jest szalony. Walczymy po tej samej stronie, Alex.

Kolejne spojrzenie na Coburga.

Jego pierś nie poruszała się.

Trzymając czarny rewolwer wycelowany w Jeffers, sięgnąłem po srebrny i wetknąłem go do kieszeni. Baczenie ją obserwując, zdołałem przywalić ciało Coburga masywnym krzesłem. Nie było to wiele warte, ale chwilowo musiało wystarczyć.

Poprowadziłem Jeffers do sypialni. Drzwi były zamknięte. Pies stał na tylnych łapach, drapiąc je i oskrobując farbę. Z drugiej strony dobiegł nas znajomy odór acetonu.

– Otwieraj – rozkazałem.

Wykonała.

Robin leżała rozciągnięta na łóżku. Ręce i nogi miała przywiązane nylonową liną rybacką do słupków baldachimu, na ustach drelichową taśmę, a na oczach chustkę. Na szafce nocnej leżał zwój liny, nożyczki, lakier do paznokci, pudełko chusteczek higienicznych i przybornik.

Zmywacz do paznokci... aceton.

Jeffers zabijała czas, pielęgnując swoje paznokcie.

– Uwolnię ją – zaoferowała Jean.

Schowałem nożyczki do kieszeni i przyglądałem się, jak wyswobadza Robin. Pracowała bardzo niezręcznie. Pies skakał po łóżku, warczał na nią i lizał twarz Rob. Kilka krwawych cętek na jego futrze. Diamentowe lśnienie potłuczonego szkła... Robin usiadła, potarła nadgarstki i spojrzała na mnie zdezorientowana.

Pomogłem jej wstać i podałem srebrny pistolet. Zmusiłem Jeffers, by położyła się na łóżku, brzuchem do dołu, z rękami na plecach.

– Zrobiła ci krzywdę? – zapytałem.

– Oczywiście, że nie – zaprotestowała Jeffers.

Robin pokręciła głową.

Czerwone paznokcie Jean były tak świeże, że nadal wyglądały na wilgotne.

– Proszę, czy możemy...

Rob związała ją kilkoma szybkimi ruchami. Potem wróciliśmy do salonu. Głowa Coburga, w miejscu uderzenia, była ogromna, miękka i purpurowa. Zaczynał się poruszać, ale nie odzyskał jeszcze przytomności.

Robin skrępowwała go z precyzją eksperta, używając swoich dobrych, silnych rąk.

Pies dreptał przy mojej stopie. Ukląkłem i zbadałem rany zwierzęcia. Polizał moje ręce.

Potem broń.

Same powierzchowne nacięcia. Nic nie wskazywało na to, że cierpiał. Robin usunęła kawałki szkła ze skóry buldoga. Podniosła go, ucałowała i zaczęła kołysać jak małe dziecko.

Chwyciłem słuchawkę telefonu.

**Rozdział trzydziesty trzeci**



Trzy dni później czekałem na Milo w miejscu zwanym Angelas, usytuowanym naprzeciwko posterunku zachodniego L.A. Frontową część budynku zajmował sklep z kawą. Z tyłu znajdowała się sala koktajlowa, gdzie prawnicy, detektywi, poręczyciele oraz przestępcy razem pili i pracowali nad dewastacją swoich płuc.

Zająłem łóżę w tylnej części sali. Popijałem kawę i usiłowałem skoncentrować się nad poranną prasą. Nadal nie podano żadnych informacji na temat cyklu morderstw „parszywej miłości”. Coburg leżał w szpitalu, a Jean Jeffers została umieszczona w więzieniu stanowym. Milo przyszedł piętnaście minut później. Towarzyszyła mu czarna kobieta około trzydziestki. Stanęli w drzwiach lokalu, w mglistym, szarym świetle.

Adeline Potthurst – pracownica socjalna, ta której Dorsey Hewitt przystawiał nóż do gardła. Wyglądała starzej i grubiej niż na filmie. Ogromna, biała torebka podobna do liścia figowego dyndała na jej ramieniu.

Milo coś do niej powiedział. Spojrzała na mnie i odpowiedziała. Jeszcze moment pokonwersowali, a następnie uścisnęli sobie dłonie i kobieta wyszła.

Sturgis zajął miejsce w mojej łóży.

– Pamiętasz ją? Rozmawialiśmy trochę.

– Miała coś interesującego do powiedzenia?

Uśmiechnął się, zapalił cygaro i zanieczyścił nieco środowisko.

– Och, taak.

Zanim mógł wdać się w szczegóły, podeszła kelnerka i przyjęła od niego zamówienie na dietetyczną colę. Kiedy odeszła, oznajmił:

– Wiele się dzieje. Mam nowojorskie akta udowadniające, że Coburg był na Manhattanie w czasie wszystkich włamań na East Side. Aż do dnia po śmierci Rosenblatta. Przyłapali go za kradzież sklepową. Został aresztowany na Times Square dwa dni przed pierwszym włamaniem.

W dniu, kiedy wypchnął Rosenblatta przez okno, poszedł do sądu, ale jego adwokat uzyskał odroczenie. Wedle akt mieszkał w jakiejś norze przy Times Square.

– Więc świętował morderstwo.

Skinął głową, szczerząc zęby.

– Jean wreszcie się otworzyła. Adwokat przekonał ją, żeby wydała Coburga w zamian za obniżenie wyroku. Nazwiska, daty, miejsca. Dała niezły pokaz.

– Jaki jest związek Jean z de Boschem?

– Mówi, że żaden. Twierdzi, że idea zemsty to wyłącznie gra Coburga. W zasadzie nie wie, do czego zmierzał. Spotkała Andrew na jakiejś konferencji dotyczącej zdrowia psychicznego, pod hasłem „Adwokaci na rzecz bezdomnych”. Nawiazali rozmowę przy barze i doszli do wniosku, że mają ze sobą wiele wspólnego.

– Spotkanie pracownicy socjalnej z prawnikiem chroniącym prawa społeczeństwa – stwierdziłem. – Para idealistów, hę?

– Boże, dopomóż mi. – Miło poluzował krawat.

– Coburg prawdopodobnie odwiedzał mnóstwo konferencji. Ze swoim fałszywym dyplomem prawniczym i zainteresowaniem sprawami społecznymi wszędzie pasował. Tymczasem rozglądał się za uczniami de Boscha. I próbował odrobić swoją przeszłość. Po tych wszystkich latach, które spędził w rozmaitych instytucjach, teraz poczuł władzę zadając się z terapeutami. Był jak mały dzieciak myślący w magicznych kategoriach. Udawał, że wszystko to może usunąć ze swego życia.

– Nadal staramy się rozwikłać harmonogram jego podróży. Udowodnić przynajmniej jeden wspólny wyjazd z Jeffers. Acapulco, tydzień przed zabiciem Mitchella Lenera. Ona przyznaje się do wyjazdu na weekend, ale twierdzi, że nic nie wie o Lernerze. Zeznaje również, że wykorzystała swoją pozycję dla dostarczenia Coburgowi list psychiatrów. Ponoć myślała, że on

chce ich użyć w celu rozreklamowania centrum prawniczego.

– Jak wyjaśnia związanie Robin i oddanie strzałów w moim kierunku?

Uśmiechnął się krzywo.

– A jak myślisz?

– Że ten diabeł zmusił ją do tego.

– Dokładnie. W miarę rozwoju ich związku, Coburg zdominował ją psychicznie i fizycznie.

Zaczynała mieć pewne podejrzenia, ale była zbyt przerażona, żeby od niego odejść.

– Czy fizycznie znaczy seksualnie?

– Mówi, że coś takiego istniało, ale głównie chodziło o wpływ, jaki wywierał – posługując się strachem i groźbami – na stan jej umysłu. Biedna, nieodporną kobieta we władaniu psychopatycznego dzikusa. Twierdzi, że kiedy zapowiedział atak na ciebie, odmówiła współpracy. Coburg zagroził poinformowaniem jej męża, że pieprzą się od pięciu lat. Kiedy to nie zadziało, straszył, że ją zabije.

– Czym tłumaczy tak łatwe uleganie jego wpływom?

– Była podobno maltretowana jako dziecko. Według niej właśnie to przyciągnęło ją do Coburga – wzajemne doświadczenie. Początkowo ich związek był czysto platoniczny. Lunch, rozmowy o pracy. Coburg pomagał kilku jej klientom wydostać się z opresji, a ona świadczyła mu usługi socjalne. Potem związek stał się bardziej osobisty, ale wciąż bez seksu. Kiedyś Coburg zaprosił Jeffers do swojego mieszkania, ugotował obiad i odbyli szczerą pogawędkę.

Opowiedział o tym całym gównie, przez które przechodził jako dzieciak. Jeffers zwierzyła się mu z podobnych doświadczeń. Przeżyli wtedy ogromną, emocjonalną scenę, którą nazwała oczyszczającą. Później poszli do łóżka i cała sprawa przybrała zupełnie inny obrót.

– Pięć lat – rzekłem – wtedy zaczęły się morderstwa.. Mówi, że kto ją napastował, gdy była dzieckiem?

– Tatuś. Bez oporów opowiada o paskudnych szczegółach, ale nie jesteśmy w stanie tych zeznań zweryfikować. Obydwoje rodzice i jedyny brat Jeffers nie żyją.

– Z przyczyn naturalnych?

– Przyglądamy się sprawie.

– Wygodne – stwierdziłem – każdy jest ofiarą. Myślę, że może mówić prawdę, jeśli chodzi o molestowanie. Na pierwszym naszym spotkaniu powiedziała, że gwałcenie dziecięcego zaufania zasługuje na największą pogardę i że nigdy nie mogłaby się zajmować sprawami związanymi z seksualnym napastowaniem małoletnich. Chociaż, z drugiej strony, mogła się ze mną bawić. Ona i Coburg mieli pociąg do takich gier.

– Nawet jeśli to prawda, nie zmienia faktu, że Jeffers jest psychopatyczną wiedźmą. Para cholernych psychopatów... Zupełnie jak w twoim patologicznym scenariuszu o parze morderców.

– Wiąż między nimi nie mogła być aż tak głęboka. Niewiele czasu zajęło jej wystawienie Coburga.

– Honor wśród kanalii.

Podano zamówionego drinka i Milo chłodził dłonie na szklance.

– A co z Becky? Jaki według Jean był jej związek z Coburgiem?

– Twierdzi, że nie ma pojęcia, co było tego motywem. I wiesz co? Podejrzewa, że zrobił to, by ją uszczęśliwić.

– Zabójstwo Becky to sprawka Jean?

– Tak właśnie. I za to zamierzam ją przyszpilić. Współdział w innych morderstwach nie ma tu znaczenia, bo znalazłem niezależny motyw: Becky i Dick Jeffers mieli romans. Przez sześć miesięcy.

– Skąd wiesz?

– Od bardzo rozmownej Adeline Potthurst. Widziała, jak Becky i Dick zabawiali się podczas

świętecznego przyjęcia w Centrum. Namiętnie się całowali, wsuwał jej rękę pod spódnicę...

– Niezbyt dyskretni.

– Najwyraźniej. Dick przyjeżdżał po Jean i konwersował z Becky. Później się przerwali na język ciał. Romans był aferą, o której powszechnie wiadomo w Centrum. Rozmawiałem z innymi pracownikami i potwierdzili to.

– Zatem Jean wiedziała.

– Dick sam jej powiedział. Odbyłem z nim pogawędkę dziś rano; facet jest wyjątkowo strachliwym typem; przyznał się do wszystkiego. Sześć miesięcy nielegalnej namiętności.

Powiedział, że planował zostawić Jean dla Becky, i poinformował żonę o swych zamiarach.

– Jak zareagowała?

– Spokojnie. Porozmawiali. Mówiła, że go kocha, że jest przywiązana. Prosiła, by to jeszcze przemyślał, żeby przedyskutowali sprawę i tak dalej.

– Przedyskutowali?

– Nie. Miesiąc później Becky nie żyła. I nie było powodów, by ktoś łączył te dwa wydarzenia; przecież załatwił ją jakiś świr. Myślę, że stało, się tak, jak podejrzewałeś. Jean i Andrew szukali wariata, którym mogliby manipulować, i znaleźli Hewitta. Obydwoje byli z nim związani.

– Jeffers w jaki sposób?

– Była jego terapeutką, zanim podesłała chłopca Rebecce... Prawdopodobnie z powodu kłopotów z leczeniem.

– Powiedziała mi, że jedyną terapeutką, jaką miał, była Becky.

– Adeline zaprzecza. Upiera się przy tym, że najpierw leczyła go Jeffers. Sekretarka Jean, Mary Chin, również to potwierdza. Dwie sesje w tygodniu, czasami więcej, przez co najmniej trzy lub cztery miesiące, zanim zajęła się nim Becky. Nie możemy znaleźć żadnych notatek z

sesji – bez wątpienia Jean je zniszczyła. Ale to pogarsza tylko jej sytuację.

– W rozmowie ze mną podkreślała, że już nie prowadzi żadnej terapii kolejna zagrywka...

Dlaczego fakt, że pracowała z Hewittem, nigdy nie wyszedł na jaw?

Detektyw przetarł dłonią po twarzy.

– Nie pytaliśmy, a nikt się nie zgłosił na ochotnika. Dlaczego zresztą ktoś miałby lecieć do nas z informacjami? Wszyscy wiedzieli, że psychol zabił dziewczynę, a my psychola. Nikt nie podejrzewał pracowników Centrum ani Dicka Jeffersa. Teraz nieźle się rozkleił. Zabija się myślą, z jakim to żył potworem. Mówi, że chce zeznawać przeciwko niej. Zobaczymy, czy nie zmieni zdania.

– Romans – powtórzyłem – tak cholernie przyziemnie. Jean sypia z Coburgiem przez pięć lat, a Becky otrzymuje karę śmierci... Typowe psychopatyczne rozumowanie; ego wymykające się spod kontroli: ty mnie krzywdzisz, to ja cię zabiję.

– Taak – przyznał, pijąc i oblizując usta – powiedz mi, jak skłoniłbyś świra takiego jak Hewitt do zabicia?

– Wybrałbym kogoś z silniejszymi paranoidalnymi tendencjami, kogo fantazje stają się gwałtowniejsze, gdy nie zażywa leków. Potem pozbawiłbym go tych lekarstw lub podstawiał jakieś inne. Następnie próbowałbym osiągnąć maksimum kontroli nad jego umysłem. Może użyłbym jakichś regresywnych technik – hipnozy albo wolnych skojarzeń, by wprowadzić go ponownie w świat jego dzieciństwa. Żeby to poczuł. Ten ból i furję.

– Krzyki – zasugerował Milo.

Skinąłem głową.

– Prawdopodobnie właśnie dlatego go nagrali. Zmusili, żeby wykrzyczał swój ból, a potem odtworzyli mu to na taśmie. Pamiętasz, jak trudno było tego słuchać. Możesz sobie wyobrazić schizofrenika znoszącego takie odgłosy? Na dodatek nauczono go o niedobrej miłości i

diabelskich psychiatrach, wmawiając, że jest ofiarą. Podsuwają Becky jako przykład najwyższej klasy szatańskiego terapeuty, dostarczyciela nieodrobionej miłości. Kontynuują rozwój paranoi.

Przekonują, że jest żołnierzem z misją do spełnienia: uśmiercenia Rebecki. Potem przenoszą go pod jej opiekę. Założę się, że Jean cały czas się z nim widywała. Doradzała i ukierunkowywała.

Poza tym wspierał ją Coburg – kolejna autorytatywna postać. I nawet gdyby coś nie wypaliło i Hewitt zacząłby gadać, to kto by mu uwierzył? Był wariatem.

– Mniej więcej tak to sobie wyobrażałem – wyznał detektyw – ale twoje podsumowanie bardzo pomaga.

– Nie jest to silny dowód.

– Wiem, ale wszystkie okoliczności, kawałek po kawałku, składają się na całą sprawę.

Departament zamierza poinformować adwokata Coburga, jak intensywnie kabluje Jeffers, i zaproponować mu układ: rezygnacja z kary śmierci dla Andrew, w zamian za zeznania przeciwko Jeffers w sprawie Becky. Założę, że Coburg na to pójdzie. Dostaniemy ich oboje.

– Biedna Becky.

– Taak? Zgadnij, jak zaczęła z Dickiem. Jean gościła Rebeckę na kolacji, wiesz, układy z cyklu student – dyrektor. I co? Spojrzenie nad potrawką z kurczaka, kilka szturchnięć pod stołem, a następnego dnia Becky i Dick są już razem w motelu.

– Pani Basille powiedziała, że Becky miała nowego faceta. Rebecka nie chciała o nim rozmawiać. Coś skłoniło Rowandę do podejrzeń, że to ktoś, kogo by nie zaakceptowała, jakiś kolejny przegrany. Becky umawiała się już wcześniej z żonatymi facetami, którzy obiecywali się rozwodzić, ale nigdy nie dotrzymali słowa. Dick był dokładnie w jej typie żonaty i niepełnosprawny.

– A co ma do tego jego kalectwo?

– Becky czuła pociąg do facetów z problemami. Do zranionych ptaków. Brak nogi Jeffersa to

idealny bodziec.

– Brak nogi?

– Ma protezę. Ojciec Rebecki był cukrzykiem. Stracił kilka członków.

– Jezu... – Milo zaciągnął się papierosowym dymem. – Może jest w tym faktycznie coś patologicznego, he?

Pomyślałem o Becky Basille uwięzionej w zaryglowanym pokoju z szaleńcem.

– Wszystko, co zrobili Jean i Coburg, było częścią rytuału. Na przykład sfabrykowanie notatek Rebecki, które sugerowały jej romans z Hewittem. Miały nas zbić z tropu i napuścić na Gritza. A także upokorzyć Becky. Jakby to mogło cofnąć poniżenie, którego doświadczyła Jean. Sturgis zgasił cygaro.

– Tak à propos, chyba znalazłem Gritza. Kiedy zorientowałem się, iż Coburg i Jeffers użyli go dla odwrócenia naszej uwagi, wyglówkowałem, że biedaczysko nie mógł mieć długiego żywota. Zacząłem obdzwaniać kostnice. Na Long Beach mają kogoś, kto idealnie pasuje do jego opisu. Liczne rany klute i szrama od struny gitarowej wokół szyi.

– Następny Elvis. Sprawdziłbym kolekcję gitar Coburga.

– Del Hardy już to zrobił. Andrew ma ich mnóstwo. I muzyczny mikser, i inne techniczne cacka. W jednym z kompletów brakowało struny E. Inną ciekawą rzeczą była znaleziona tam koszula – za mała na Coburga, podarta na szmaty i śmierdząca alkoholem. A także stary wykaz dyżurów ze Szkoły Poprawczej z wyrwaną listą z roku 1973.

– Mała koszula – rzekłem – Gritz był małym facetem.

Milo skinął głową.

– I klientem Centrum Prawniczego. Coburg jego również bronił w sprawie za kradzież, kilka miesięcy temu.

– Jakies dowody, że znał Hewitta?



– Nie.

– Biedak – stwierdziłem – prawdopodobnie ogłupili go wizją zostania gwiazdą rocka.

Pozwolili mu trochę pograć na gitarach i pobawić się sprzętem. Dlatego mówił o wzbogaceniu się. Potem zabili go i wykorzystali do skierowania podejrzeń na inny tor. Żadnych powiązań rodzinnych, idealna ofiara. Gdzie znaleziono ciało?

– Niedaleko portu. Facet był nagi, bez dokumentów. Leżał w jednej z chłodni. Stwierdzili, że był martwy co najmniej od czterech dni.

– Dokładnie wtedy, kiedy zadzwoniłeś do Jeffers i poprosiłeś, żeby porozmawiała ze mną.

Powiedziałeś, że kojarzyła moje nazwisko. Kiedy się spotkaliśmy, twierdziła, że pamięta mnie ze sprawy Casa de Los Ninos. Ale знаła je z listy ofiar Coburga. To musiało przyprawić ich o szok.

Kolejna ofiara, tak sobie, przychodzi na rozmowę. I w dodatku ma koncepcję powiązania kasety ze śmiercią Becky. Ktoś inny mógłby się wycofać i odpuścić, ale nie Coburg. Więc postanowili z

Jean kontynuować i użyć Gritza jako dodatkowego zabezpieczenia. Jeffers wysłała mnie do

Coburga. Andrew przypomniał sobie o przyjacielu Hewitta i skierował mnie do Little Calcutta.

Potem na wszelki wypadek Jean proponuje notatki terapeutyczne z odniesieniami do „G”. Może

powinienem się wtedy głębiej zastanowić – Jeffers narzekała, że Becky była taka niedokładna w

papierkowej robocie, a tu nagle te dokumenty... Pani Basille upierała się, że jej córka żyła ściśle przestrzegając reguł, ale zignorowałem tę informację.

– Nie było sposobu, żeby przewidzieć – zauważył Milo – ci ludzie są jak z innej planety.

– I ten lunch z Jeffers – dodałem czując nagłe olśnienie – siedziała przy mnie, dotykała mojej ręki i roniła łzy. Przyrowadzenie Dicka to kolejny rytuał: Becky wyeliminowana, a Jean –

zwycięzcą. Kiedy skończyliśmy jeść, nalegała na odprowadzenie mnie do samochodu. Stała na chodniku, nierówno zapięła sweter na wszystkie guziki. Prawdopodobnie był to sygnał dla

Coburga, czekającego gdzieś po drugiej stronie ulicy. Opuściła mnie dopiero przy seville.

Andrew musiał jechać za mną do Benedict i dowiedzieć się o mojej kryjówce. Na lunchu opowiedziałem Jeffers o wyjeździe do Santa Barbara na rozmowę z Katariną. Zmartwili się, że mogę się czegoś dowiedzieć, więc musieli przerwać sekwencję. Coburg uprzedził mnie i zabił Katarinę. I przeszukał dom. Wiesz może, dlaczego nazywał siebie Silk i Merinos?

– Zapytałem dupka. Nie odpowiadał, tylko się głupkowato uśmiechał. Zacząłem wychodzić i wtedy powiedział: „Sprawdź to”. Więc sprawdziłem. W słowniku. „Coburg” to stare angielskie słowo określające imitację jedwabiu lub bawełny... Wystarczy tego, łeb mi pęka... Jak sobie radzicie?

– Zdołaliśmy wrócić do domu.

– Zostało coś?

– Głównie popiół.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, Alex.

– Przetrywamy – oznajmiłem – a mieszkanie w sklepie nie jest złe. Drobne rozmiary stanowią pewnego rodzaju komfort.

– Zwodzi cię towarzystwo ubezpieczeniowe?

– Wedle przewidywań.

– Daj mi znać, jeżeli będę mógł w czymś pomóc.

– Tak zrobię.

– A kiedy będziesz potrzebował dostawcy, to mam jednego dla ciebie; eks-glina, wykonuje relatywnie tanio drobne roboty.

– Dzięki – odparłem – dzięki za wszystko. I przykro mi z powodu tego wypożyczonego domu. Jestem pewien, że twój bankier nie spodziewał się dziur po pociskach w ścianach.

Powiedz mu, niech mi przyśle rachunek.

– Tym się nie martw. To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka mu się przydarzyła.

Uśmiechnąłem się. Milo odwrócił wzrok.

– Strzelanina na Beverly Hills – powiedział. – Powinienem tam być.

– Skąd mogłeś wiedzieć?

– Na tym polega moja praca.

– Zaproponowałeś podwiezienie nas do domu, a ja odmówiłem.

– Nie powinienem cię słuchać.

– Daj spokój, Milo. Zrobiłeś wszystko, co mogłeś. Cytując jednego z moich kolegów: „Nie smagaj się batem”.

Zmarszczył brwi. Przechylił szklankę i wciągnął do gardła kawałek lodu.

– Jak tam Rover-Spike?

– Kilka powierzchownych ran. Weterynarz powiedział, że buldogi doznają zaburzeń świadomości, kiedy są trzymane na uwięzi.

– Prosto przez szybę... – pokręcił głową Sturgis – mały maniak prawdopodobnie wziął rozpęd i wykorzystał swoją masę. Mówię o poświęceniu.

– Widujesz to od czasu do czasu – stwierdziłem.

Potem zamówiłem mu następną colę.

## **Rozdział trzydziesty czwarty**

Pojechałem z powrotem do Venice. Sklep był pusty, a Robin zostawiła na ladzie wiadomość:

*11.45. Musiałam biec do składu drewna. Wróć o drugiej. Zadzwoń do pani Braithwaite.*

*Mówi, że jest właścicielką Spike'a.*

Numer na Pacific Palisades. Zadzwoniłem, zanim ogarnęło mnie rozczarowanie.

Głos kobiety w średnim wieku odpowiedział:

– Halo?

– Pani Braithwaite? Dr Delaware odpowiada na pani telefon.

– Och, doktorze! Dziękuję za telefon i dziękuję za opiekę nad naszym małym Barry! Czy nic mu nie jest?

– Czuje się doskonale. To wspaniały pies – odparłem.

– Tak, istotnie. Tak bardzo się martwiliśmy, zaczynaliśmy tracić nadzieję.

– Cóż, jest teraz na wycieczce.

– To cudownie!

– Chciałaby pani chyba przyjechać po niego. Będzie z powrotem przed drugą.

Wahanie.

– Och, oczywiście. Przyjadę o drugiej.

Postanowiłem wypełnić czymś wolne chwile. Zadzwoiłem do Shirley Rosenblatt i odbyłem z nią półgodzinną rozmowę. Potem zatelefonowałem do Berta Harnsona. Następnie do towarzystwa ubezpieczeniowego, gdzie pogawędziłem z prawdziwie nikczemnymi osobnikami. Przez chwilę myślałem o córkach Wallace’a i przypomniałem sobie o innej małej dziewczynce. O Karen Alnord, która zgubiła boksera. Nie miałem jej numeru. Wszystkie moje papiery spłonęły. Gdzie ona mieszkała? Na Cohasset. W Reseda.

Z informacji otrzymałem numer. Odebrała jakaś kobieta. Poprosiłem do telefonu Karen.

– Jest w szkole – padła odpowiedź – kto mówi?

Przedstawiłem się.

– Dzwoniła do mnie w sprawie zgubionego boksera. Zastanawiałem się, czy go znaleźliście.

– Tak, znaleźliśmy – odparła uprzejmym głosem.

– Wspaniale. Dzięki.

– Za co?

– Za dobre wiadomości.

Pani Braithwaite pojawiła się o pierwszej czterdzieści pięć. Była niska i chuda. Miała wąską talię, mdłą trwałą, wydatne zmarszczki i wąskie, brązowe oczy skryte za szklami w perłowych oprawkach. Jej rudawy żakiet od Magnina byłby chlubą każdego ekskluzywnego butik. Nosila prawdziwe perły. Taszczyła ze sobą torbę dopasowaną kolorystycznie do żakietu.

Zmieszana rozejrzała się po sklepie.

– To miejsce pracy Robin – oznajmiłem – jesteśmy w trakcie remontu domu i chwilowo tu mieszkamy.

– Cóż, życzę powodzenia. Sama przez to przeszłam i wiem, że nie jest łatwo.

– Mogę zaproponować pani coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Podsunałem jej krzesło, ale pozostała w pozycji stojącej. Otworzyła torebkę. Wyjęła czek i próbowała mi go wręczyć. Dziesięć dolarów.

– Nie, nie – powstrzymałem ją.

– Och, doktorze, nalegam.

– To nie jest konieczne.

– Ale wydatki... wiem, ile Barry je.

– Zarobił na to – uśmiechnąłem się – jest czarującym stworzeniem.

– Tak, nieprawdaż? – przyznała bez przekonania w głosie – jest pan pewien, że nie muszę zwracać kosztów?

– Proszę to dać na jakiś cel charytatywny.

Chwilę się zastanawiała.

– W porządku. Dobry pomysł. Ktoś zawsze potrzebuje pomocy.

Usiadła. Powtórzyłem ofertę dotyczącą napoju.

– To doprawdy niekonieczne, ale jeżeli miałby pan mrożoną herbatę, chętnie się napiję.

Kiedy przygotowywałem drinka, uważnym wzrokiem lustrowała sklep.

Podałem jej szklankę. Znow podziękowała i delikatnie pociągnęła kilka łyków.

– Czy pana żona naprawia skrzypce?

– Rzadko. Głównie mandoliny i gitary. Naprawia i robi.

– Mój ojciec grał na skrzypcach... W zasadzie całkiem nieźle. Każdego lata chodziliśmy do

Bowl słuchać gry Jasha Heifetza. Uczył na USC Heifetz, nie ojciec. Ojciec był wychowankiem tej uczelni. Mój syn zresztą też. Pracuje w marketingu.

Uśmiechnąłem się nieznacznie.

– Mogę zapytać o pana specjalizację?

– Jestem psychologiem.

– A gdzie pan znalazł Barry’ego?

– Pojawił się niedaleko mojego domu.

– Gdzie to jest, doktorze?

– Tuż za Beverly Glenn.

– Na południe czy na północ od Sunset?

– Dwa kilometry na północ.

– Dziwne... Cóż, dzięki niebiosom za miłosiernych samarytanów. To miło pokładać wiarę w ludzką naturę.

– Jak mnie pani znalazła, pani Braithwaite?

– Przez Mae Josephs z Klubu Pomocy Frenchie. Byliśmy w Palm Deserts i dopiero dziś otrzymaliśmy wiadomość od niej.

Otworzyły się drzwi. Weszła Robin, niosąc siatkę i prowadząc na smyczy psa.

– Barry! – wykrzyknęła pani Braithwaite. Wstała z krzesła. Buldog truchtem podbiegł do niej i polizał po ręce.

– Barry, Barry, mój mały Barry. Miałeś niezłą przygodę, co!

Pogłaskała zwierzę.

Polizał ją jeszcze trochę, potem odwrócił się. Spojrzał na mnie i potrząsnął łbem.

– Wyglądasz cudownie, Barry – orzekła pani Braithwaite. – Naprawdę wygląda cudownie.

Tak bardzo państwu dziękuję...

– Cała przyjemność po naszej stronie – stwierdziła Robin. – Jest wspaniałym, małym facetem.

– Tak, jest... czyż nie, Barrymore? Taki słodki chłopiec, nawet ze swoim chrapaniem... chrapał?

– Głośno i zdrowo – odpowiedziała Robin. Śmiała się, ale jej oczy miały ten smętny wyraz, który doskonale znałem. Wziąłem ją za rękę. Ścisnęła moją dłoń i zaczęła rozpakowywać torbę.

Pies przydreptał do nas i położył przednie łapy na udzie Robin. Podrapała go pod brodą.

Przycisnął głowę do jej nogi.

– Matka uwielbiała to chrapanie. Barry w zasadzie należał do niej trzymała angielskie i francuskie buldogi przez ponad pięćdziesiąt lat. Wyhodowała kilka niezłych sztuk i prowadziła tresurę.

– Czy szkoliła go, żeby unikał wody? – zapytałem.

– Oczywiście. Wytresowała tak wszystkie swoje psy. Miała stawy i duży basen, a te biedactwa tonęły jak kamienie. Potem zaczęła mieć problemy z kręgosłupem. Angielskie buldogi były za ciężkie do noszenia, więc trzymała już tylko francuskie. Później stała się zbyt słaba nawet na Frenchie. Barry był jej ostatnim maluchem. Sprowadziła go aż z Holandii.

Płócienna chusteczka wysunęła się z torby Braithwaite. Kobieta zdjęła okulary i przytknęła ją do oczu.

– Mama zmarła trzy tygodnie temu. Była od dłuższego czasu chora, a Barry pozostawał jej

wiernym kompanem... Czyż nie tak, kochanie?

Wyciągnęła rękę. Pies stanął na wszystkie cztery łapy, ale nie odszedł od Robin. Znow przyłożyła chustkę do oczu.

– Zostawał z nią w łóżku, czekał na pielęgniarkę, kiedy... Wierzę, że właśnie on sprawił, że tak długo wytrwała w swoich cierpieniach. Ale oczywiście, w... kiedy ona... gdy po raz ostatni wzywaliśmy lekarzy, taki horror i rozgardiasz... Barry musiał się wyślizgnąć. Zorientowałam się dużo później...

– Gdzie mieszkała pani matka? – zapytałem.

– Na Little Holmby. Tuż za Comstoch, na południe od bulwaru.

Trzy kilometry od mojego domu.

– Zdołał przejść Sunset – cały ten ruch na ulicach. Biedactwo, jeśli cokolwiek by mu się stało.

– Cóż – odezwała się Robin – dzięki Bogu, przetrwał.

– Tak. Widzę. Stworzyliście mu milutki, mały domek, prawda?

– Próbowaliśmy.

– Tak, tak, widzę... tak... Chcielibyście go zatrzymać?

Robin rozdziawiła usta. Spojrzała na mnie.

– Pani go nie chce? – zapytałem.

– Nie o to chodzi, doktorze. Ja uwielbiam zwierzęta, ale mój mąż nie. Lub raczej one nie lubią jego. Cierpi na alergię. Kilka rodzajów. Psy, koty, konie... wszystko co ma sierść, momentalnie go pobudza i sprawia, że nadyma się jak balon. Dziś, zaraz po powrocie, będę musiała wziąć kąpiel albo Mountry zacnie charczeć na mój widok.

Wyciągnęła coś jeszcze z torebki i podała mi.

Był to odpis rodowodu wydanego przez AKC dla „Van Der Legyh’s Lionela Barrymore”.



Przy drzewie genealogicznym buldoga, to, mojej rodziny, wyglądało jak marny krzaczek.

– Czyż to nie imponujące? – zapytała pani Braithwaite.

– Niezwykłe.

– Szalenie pragnęlibyśmy go zatrzymać – wyznała Robin.

– To dobrze. Miałam nadzieję, że jesteście miłymi ludźmi.

Uśmiechnęła się, ale wciąż rzucała niepewne spojrzenia po sklepie.

– Lubi wątróbkę i swoje kielbaski. Ser oczywiście również. Chociaż nie wydaje się żywić specjalnych uczuć do Edamu... Czy to nie dziwne, jest przecież Holendrem?

– Zapewnimy mu styl życia, do jakiego przywykł – oświadczyła Robin.

– Taaak... – Kobieta ukradkiem rozejrzała się po sklepie. – Jestem pewna, że pokocha wasz nowy dom... czy będzie w tym samym miejscu?

– Zdecydowanie – odparłem, głaszcząc psa. – Byliśmy tam szczęśliwi.

## **Rozdział trzydziesty piąty**

Przesyłka nadeszła w gładkiej białej kopercie. Wcisnęto mi ją do ręki, kiedy wychodziłem bocznymi drzwiami ze sklepu. Spike trzymał się mojej stopy.

Uniosłem wzrok, by ujrzeć siostrę Ruthanne Wallace – Bonnie. Obcisłe dzinsy wetknięte w kowbojskie buty, biała bluzka, brak stanika i wydatne brodawki.

Mrugnęła do mnie i połaskotała palcem moją dłoń. Następnie pobiegła do krawężnika, gdzie ciemnoniebieski chevrolet z chromowanymi felgami i przyciemnianymi szybami pluł strugami szarego dymu. Wskoczyła do samochodu. Trzasnęła drzwiami i odjechała z piskiem opon.

Na kopercie nie zauważyłem żadnego stempla ani adresu.

Była zbyt cienka, by mogła zawierać coś innego niż papier.

Otworzyłem przesyłkę używając paznokcia.

Wewnątrz znalazłem kartkę z notesu przerwana równo na pół.

Na pierwszej stronie wiadomość:

*Drogi doktorze!*

*Czuję się świetnie. Jestem szczęśliwa. Dziękuję, że próbował nam Pan pomóc. Jezus Pana kocha.*

*Tiffani*

Na odwrocie rysunek. Błękitne niebo, złociste słońce, zielona trawa, czerwone kwiaty.

Dziewczynka siedząca w czymś przypominającym naziemny basen. Obfite krople wody pryskające dokoła. Twarz dziecka przyozdobiona rozkosznym uśmiechem.

W prawym, dolnym rogu podpis: Chondra W.

Obok słońca tytuł :

DOBRA ZABAWA.

To niezły pomysł – powiedziałem do Spike'a.

# Document Outline

- [Rozdział pierwszy](#)
- [Rozdział drugi](#)
- [Rozdział trzeci](#)
- [Rozdział czwarty](#)
- [Rozdział piaty](#)
- [Rozdział szósty](#)
- [Rozdział siódmy](#)
- [Rozdział ósmy](#)
- [Rozdział dziewiąty](#)
- [Rozdział dziesiąty](#)
- [Rozdział jedenasty](#)
- [Rozdział dwunasty](#)
- [Rozdział trzynasty](#)
- [Rozdział czternasty](#)
- [Rozdział piętnasty](#)
- [Rozdział szesnasty](#)
- [Rozdział siedemnasty](#)
- [Rozdział osiemnasty](#)
- [Rozdział dziewiętnasty](#)
- [Rozdział dwudziesty](#)
- [Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
- [Rozdział dwudziesty drugi](#)
- [Rozdział dwudziesty trzeci](#)
- [Rozdział dwudziesty czwarty](#)
- [Rozdział dwudziesty piaty](#)
- [Rozdział dwudziesty szósty](#)
- [Rozdział dwudziesty siódmy](#)
- [Rozdział dwudziesty ósmy](#)
- [Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
- [Rozdział trzydziesty](#)
- [Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
- [Rozdział trzydziesty drugi](#)
- [Rozdział trzydziesty trzeci](#)
- [Rozdział trzydziesty czwarty](#)
- [Rozdział trzydziesty piaty](#)